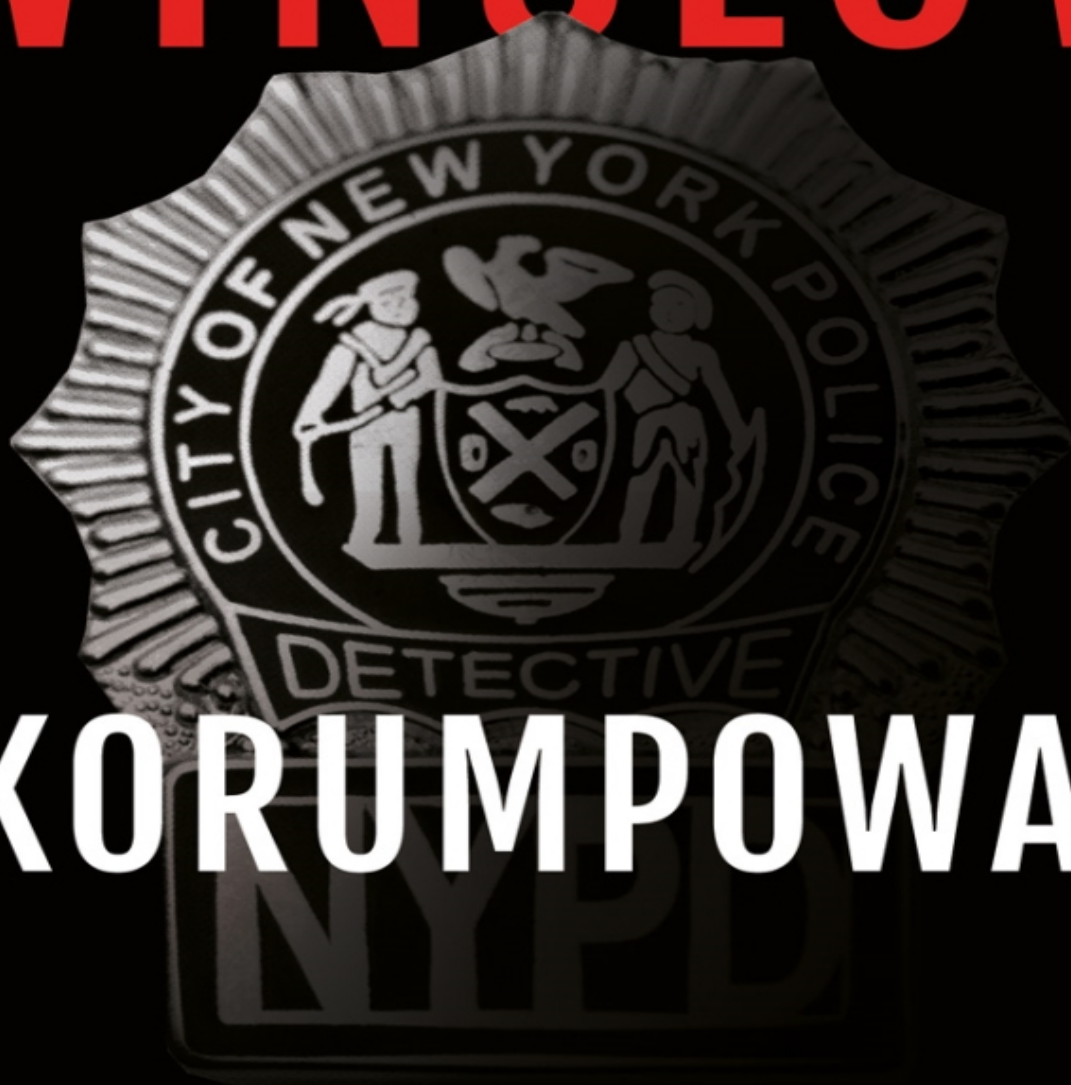


# DON WINSLOW



# SKORUMPOWANI

“Powieść, która hipnotyzuje, prawdziwy triumf.  
To *Ojciec chrzestny*, ale w świecie glin. Jest aż tak dobra.”

—STEPHEN KING

**Don Winslow**

# **Skorumpowani**

Tłumaczenie:  
Alina Patkowska

## DEDYKACJA

Dedykuję tę książkę pracownikom organów bezpieczeństwa i porządku publicznego, którzy zginęli na posterunku, w czasie gdy ją pisałem:

Sierżant Cory Blake Wride, zastępca szeryfa Percy Lee House III, zastępca szeryfa Jonathan Scott Pine, funkcjonariusz służby więziennej Amanda Beth Baker, detektyw John Thomas Hobbs, agent Joaquin Correa-Ortega, funkcjonariusz Jason Marc Crisp, główny zastępca szeryfa Allen Ray „Pete” Richardson, funkcjonariusz Robert Gordon German, starszy mat Mark Aaron Mayo, funkcjonariusz Mark Hayden Larson, funkcjonariusz Alexander Edward Thalmann, funkcjonariusz David Wayne Smith Jr., funkcjonariusz Christopher Alan Cortijo, zastępca szeryfa Michael J. Seversen, funkcjonariusz Gabriel Lenox Rich, sierżant Patrick Scott Johnson, funkcjonariusz Roberto Carlos Sanchez, funkcjonariusz Chelsea Renee Richard, starszy sierżant John Thomas Collum, funkcjonariusz Michael Alexander Petrina, detektyw Charles David Dinwiddie, funkcjonariusz Stephen J. Arkell, funkcjonariusz Jair Abelardo Cabrera, funkcjonariusz Christopher G. Skinner, marshal do zadań specjalnych Frank Edward McKnight, funkcjonariusz Brian Wayne Jones, funkcjonariusz Kevin Dorian Jordan, funkcjonariusz Igor Soldo, funkcjonariusz Alyn Ronnie Beck, komendant Lee Dixon, zastępca szeryfa Allen Morris Bares Jr., funkcjonariusz Perry Wayne Renn, patrolowy Jeffrey Brady Westerfield, detektyw Melvin Vincent Santiago, funkcjonariusz Scott Thomas Patrick, komendant Michael Anthony Pimentel, agent Geniel Amaro-Fantauzzi, funkcjonariusz Daryl Pierson, patrolowy Nickolaus Edward Schultz, kapral Jason Eugene Harwood, zastępca szeryfa Joseph John Matuskovic, kapral

Bryon Keith Dickson II, zastępca szeryfa Michael Andrew Norris, sierżant Michael Joe Naylor, zastępca szeryfa Danny Paul Oliver, detektyw Michael David Davis Jr., zastępca szeryfa Yevhen „Eugene” Kostiuchenko, zastępca szeryfa Jesse Valdez III, funkcjonariusz Shaun Richard Diamond, funkcjonariusz David Smith Payne, posterunkowy Robert Parker White, zastępca szeryfa Matthew Scott Chism, funkcjonariusz Justin Robert Winebrenner, zastępca szeryfa Christopher Lynd Smith, Agent Edwin O. Roman-Acevedo, funkcjonariusz Wenjian Liu, funkcjonariusz Rafael Ramos, funkcjonariusz Charles Kondek, funkcjonariusz Tyler Jacob Stewart, detektyw Terence Avery Green, funkcjonariusz Robert Wilson III, U.S. marshal Josie Wells, patrolowy George S. Nissen, funkcjonariusz Alex K. Yazzie, funkcjonariusz Michael Johnson, funkcjonariusz Trevor Casper, funkcjonariusz Brian Raymond Moore, sierżant Greg Moore, funkcjonariusz Liquori Tate, funkcjonariusz Benjamin Deen, funkcjonariusz Sonny Smith, detektyw Kerrie Orozco, funkcjonariusz Taylor Thyfault, patrolowy James Arthur Bennett Jr., funkcjonariusz Gregg „Nigel” Benner, funkcjonariusz Rick Silva, funkcjonariusz Sonny Kim, funkcjonariusz Daryle Holloway, sierżant Christopher Kelley, funkcjonariusz służby więziennej Timothy Davison, sierżant Scott Lunger, funkcjonariusz Sean Michael Bolton, funkcjonariusz Thomas Joseph LaValley, zastępca szeryfa Carl G. Howell, funkcjonariusz Steven Vincent, funkcjonariusz Henry Nelson, zastępca szeryfa Darren Goforth, sierżant Miguel Perez-Rios, funkcjonariusz Joseph Cameron Ponder, zastępca szeryfa Dwight Darwin Maness, zastępca szeryfa Bill Myers, funkcjonariusz Gregory Thomas Alia, detektyw Randolph A. Holder, funkcjonariusz Daniel Scott Webster, funkcjonariusz Bryce Edward Hanes, funkcjonariusz Daniel Neil Ellis, komendant Darrell Lemond Allen, funkcjonariusz Jaimie Lynn Jursevics, funkcjonariusz Ricardo Galvez, kapral William Matthew Solomon,

funkcjonariusz Garrett Preston Russell Swasey, funkcjonariusz Lloyd E. Reed Jr., funkcjonariusz Noah Leotta, inspektor Frank Roman Rodriguez, porucznik Luz M. Soto Segara, agent Rosario Hernandez de Hoyos, funkcjonariusz Thomas W. Cottrell Jr., agent specjalny Scott McGuire, funkcjonariusz Douglas Scott Barney II, sierżant Jason Goodding, funkcjonariusz Derek Geer, funkcjonariusz Mark F. Logsdon, funkcjonariusz Patrick B. Dailey, major Gregory E. „Lem” Barney, funkcjonariusz Jason Moszer, agent specjalny Lee Tartt, kapral Nate Carrigan, funkcjonariusz Ashley Marie Guindon, funkcjonariusz David Stefan Hofer, zastępca szeryfa John Robert Kotfila Jr., funkcjonariusz Allen Lee Jacobs, funkcjonariusz Carl A. Koontz, funkcjonariusz Carlos Puente-Morales, funkcjonariusz Susan Louise Farrell, funkcjonariusz Chad Phillip Dermeyer, funkcjonariusz Steven M. Smith, detektyw Brad D. Lancaster, funkcjonariusz David Glasser, funkcjonariusz Ronald Tarentino Jr., funkcjonariusz Verdell Smith Sr., funkcjonariusz Natascha Maria Hunter, funkcjonariusz Endy Nddiobong Ekpanya, zastępca szeryfa David Francis Michel Jr., funkcjonariusz Brent Alan Thompson, sierżant Michael Joseph Smith, funkcjonariusz Patrick E. Zamarripa, funkcjonariusz Lorne Bradley Ahrens, funkcjonariusz Michael Leslie Krol, szef ochrony Joseph Zangaro, kurator sądowy Ronald Eugene Kienzle, zastępca szeryfa Bradford Allen Garafola, funkcjonariusz Matthew Lane Gerald, kapral Montrell Lyle Jackson, funkcjonariusz Marco Antonio Zarate, funkcjonariusz służby więziennej Mari Johnson, funkcjonariusz służby więziennej Kristopher D. Moules, kapitan Robert D. Melton, funkcjonariusz Clint Corvinus, funkcjonariusz Jonathan De Guzman, funkcjonariusz José Ismael Chavez, agent specjalny De’Greaun Frazier, kapral Bill Cooper, funkcjonariusz John Scott Martin, funkcjonariusz Kenneth Ray Moats, funkcjonariusz Kevin „Tim” Smith, sierżant Steve Owen, starszy zastępca szeryfa Brandon

Collins, funkcjonariusz Timothy James Brackeen, funkcjonariusz Lesley Zerebny, funkcjonariusz Jose Gilbert Vega, funkcjonariusz Scott Leslie Bashioum, sierżant Luis A. Meléndez-Maldonado, zastępca szeryfa Jack Hopkins, funkcjonariusz służby więziennej Kenneth Bettis, zastępca szeryfa Dan Glaze, funkcjonariusz Myron Jarrett, sierżant Allen Brandt, funkcjonariusz Blake Curtis Snyder, sierżant Kenneth Steil, funkcjonariusz Justin Martin, sierżant Anthony Beminio, sierżant Paul Tuozzolo, zastępca szeryfa Dennis Wallace, detektyw Benjamin Edward Marconi, wiceinspektor Patrick Thomas Carothers, funkcjonariusz Collin James Rose, funkcjonariusz Cody James Donahue.

- *Gliny to tylko ludzie – zauważyła bez związku.*
- *Podobno zaczynają jako ludzie<sup>[1]</sup>.*

## OSTATNI

Denny Malone był ostatnim człowiekiem na świecie, o którym ktokolwiek mógłby sądzić, że skończy w Metropolitan Correctional Center, federalnym więzieniu przy Park Row.

Nowojorczyacy prędzej spodziewaliby się zobaczyć za kratkami burmistrza, prezydenta Stanów Zjednoczonych i papieża, niż detektywa pierwszego stopnia Dennisa Johna Malone'a.

Gliniarz bohater, syn gliniarza bohatera.

Sierżant, weteran najbardziej elitarnej jednostki nowojorskiej policji – NYPD:

The Manhattan North Special Task Force,  
czyli

Jednostki Specjalnej Manhattan Północ.

A przede wszystkim facet, który wie, gdzie są ukryte wszystkie szkielety, bo połowę z nich sam tam pochował.

Malone, Russo, Billy O, Big Monty i pozostali podporządkowali sobie ulice i rządzili nimi jak królowie. Zaprowadzili na nich bezpieczeństwo, żeby mogli tam żyć przyzwoici ludzie. To była ich praca, pasja i miłość, a jeśli czasem trzeba było manewrować na granicy boiska i nieco posmarować piłkę, to właśnie robili.

Ludzie nie mają pojęcia, czego wymaga zapewnienie im bezpieczeństwa, i lepiej, że nie wiedzą.

Może wydaje im się, że chcieliby wiedzieć, może mówią, że chcieliby wiedzieć, ale wcale nie chcą.



Malone i Task Force to nie byli pierwsi z brzegu gliniarze. Facetów w niebieskich mundurkach jest trzydzieści osiem tysięcy. Denny Malone i jego ludzie należeli do jednego procenta z jednego procenta z jednego procenta. Byli najbystrzejsi, najtwardsi, najszybsi, najdzielniejsi, najlepsi i najgorsi.

Special Task Force. Jednostka Specjalna Manhattan Północ. Da Force.

Da Force przenikała miasto jak zimny, ostry wicher, omiatała ulice i zaułki, boiska, parki i osiedla, zgarniając z nich śmieci i brud, drapieżna burza przepędzająca drapieżniki.

Silny wiatr wpada w każdą szczelinę, przelatuje przez każdą klatkę schodową na osiedlach, przez fabryki heroiny w kamienicach, zaplecza klubów, apartamentowce nowobogackich i penthouse'y, gdzie mieszkają stare pieniądze. Od Columbus Circle do Henry Hudson Bridge, od Riverside Parku do Harlem River, na całej długości Broadwayu i Amsterdam Avenue, na Lenox i w St. Nicholas, na numerowanych ulicach Upper West Side, Harlemu, Washington Heights i Inwood, jeśli gdziekolwiek tam istniała tajemnica, o której ludzie z Da Force jeszcze nie wiedzieli, to tylko dlatego, że nikt jeszcze o niej nie szeptał ani nawet nie myślał.

Handel bronią i narkotykami, żywym i kradzionym towarem, gwałty, napady i rozboje, przestępstwa omawiane po angielsku, hiszpańsku, francusku, rosyjsku nad sałatką z kapusty, duszonym kurczakiem, wieprzowiną z grilla, spaghetti marinara czy wykwinnymi daniami w pięciogwiazdkowych restauracjach w mieście stworzonym z grzechu i dla zysku.

Da Force uderzała w to wszystko, ale szczególnie w broń i narkotyki, bo broń zabija, a narkotyki skłaniają do zabijania.

A teraz Malone siedzi pod kluczem i wiatr ucichł, ale wszyscy wiedzą, że to oko cyklonu, martwa cisza, która nadchodzi przed najgorszym uderzeniem. Denny Malone w rękach federalnych? Nie Biura Spraw Wewnętrznych, nie prokuratorów stanowych, ale federalnych, gdzie nie może go dosięgnąć nikt z miasta?

Wszyscy przywarowali, zesrali się w portki i czekają na to uderzenie, na to tsunami, bo to, co wie Malone, może zdmuchnąć ze stołków komendantów, szefów, a nawet komisarza. Może wsypać prokuratorów, sędziów – cholera, może nawet podać federalnym na przysłowiowej srebrnej tacy burmistrza z przystawką w postaci co najmniej jednego kongresmena i paru miliarderów, którzy dorobili się na nieruchomościach.

Gdy się więc rozniosło, że Malone siedzi w MCC, ludzie w oku cyklonu wystraszyli się, bardzo się wystraszyli i zaczęli szukać schronienia, choć nic się jeszcze nie działo i choć wiedzieli, że nie ma murów tak wysokich ani piwnic tak głębokich – ani w głównym sztabie policji, ani w budynku Sądów Kryminalnych, ani nawet w Gracie Mansion czy w pałacach na szczytach wieżowców przy Piątej Alei i po południowej stronie Central Parku – żeby zapewnić im bezpieczeństwo przed tym, co Denny Malone ma w głowie.

Jeśli Malone zechce pociągnąć za sobą całe miasto, jest w stanie to zrobić.

Ale z drugiej strony nikt nigdy nie był bezpieczny przed Malone'em i jego ekipą.

Ludzie Malone'a trafiali na nagłówki – pisano o nich w *Daily News*, *Post*, mówiono na kanałach siódmym, czwartym i drugim, poświęcano im filmy o jedenastej. Byli rozpoznawani na ulicach, burmistrz znał ich nazwiska, dostawali darmowe wejściówki do Madison Square Garden,

Meadowlands, na stadiony Yankee i Shea, w każdej restauracji, barze i klubie traktowano ich jak rodzinę królewską.

A Denny Malone był bezdyskusyjnym przywódcą tego stada samców alfa.

Gdy wchodził do jakiegokolwiek komisariatu w mieście, mundurowi i nowicjusze zatrzymywali się i gapili na niego, porucznicy kiwali mu głowami, nawet kapitanowie wiedzieli, że nie należy mu nadeptywać na odcisk.

Zasłużył sobie na ich szacunek.

Oprócz wszystkich innych spraw (może chcecie pogadać o rozbojach, którym zapobiegł? O tym, jak został postrzelony? O chłopaku zakładniku, którego ocalił? O nalotach, aresztowaniach, wyrokach?) Malone i jego oddział przejęli jednorazowo największą ilość narkotyków w historii Nowego Jorku.

Pięćdziesiąt kilo heroiny.

Dominikańczyk, który nią handlował, zginął.

A także policjant bohater.

Oddział Malone'a złożył swojego towarzysza do ziemi – przy dźwięku dud, ze zwiniętą flagą i z czarnymi przepaskami na odznakach – i szybko wrócił do pracy, bo dilerzy, gangi, rabusie, gwałciciele i mafia nie biorą sobie wolnego, żeby przeżyć żałobę. Trzeba zapewnić bezpieczeństwo na ulicach, trzeba być na tych ulicach dniem i nocą, w weekendy, wakacje i święta, nieważne jak długo, a żony przecież wiedziały, na co się piszą, dzieci też w końcu rozumieją, że tatuś zajmuje się zamykaniem złych facetów za kratki.

Ale teraz to on znalazł się w klatce. Malone siedzi na stalowej ławce w celi aresztu tak samo jak śmieci, które zwykle tu zamykał, schylony, z głową ukrytą w rękach, i martwi się o swoich partnerów, swoich braci

z Da Force, i o to, co się z nimi stanie, gdy on wpakował ich po szyję w gówno.

Martwi się o swoją rodzinę – o żonę, która się na to nie pisała, o dwoje dzieci, syna i córkę, którzy są jeszcze za mali, żeby zrozumieć, ale kiedy podrosną, nigdy mu nie wybaczą, że musiały dorastać bez ojca.

I jest jeszcze Claudette.

Popieprzona na swój własny sposób.

Zależna od niego, potrzebuje go, a jego przy niej nie będzie.

Nie będzie go przy niej ani przy nikim innym. Malone nie ma pojęcia, co się stanie z ludźmi, których kocha.

Ściana, na którą się gapi, nie potrafi mu wyjaśnić, jak się tu znalazł.

Nie, pieprzyć to, myśli Malone. Przynajmniej bądź ze sobą szczerzy, myśli, gdy tak siedzi, nie mając przed sobą niczego oprócz czasu.

W końcu powiedz sobie prawdę.

Doskonale wiesz, jak się tu znalazłeś.

Krok po pierdolonym kroku.

W naszym końcu jest nasz początek, ale nie na odwrót.

Gdy Malone był dzieckiem, zakonnice uczyły go, że jeszcze przed naszym urodzeniem Bóg i tylko Bóg znał dni naszego życia i dzień naszej śmierci i wiedział, kim i czym się staniemy.

Szkoda, kurwa, że nie podzielił się tą wiedzą ze mną, kołatało mu w głowie. Kurwa, szkoda, że nie powiedział ani słowa, nie dał mi żadnej wskazówki, nie sypnął się, nie doniósł na mnie do mnie samego. Że nie powiedział mi nic, ani słowa, na przykład coś takiego:

– Hej, gnojku, skręciłeś w lewo, a przecież trzeba było skręcić w prawo.

Ale nie. Nic z tych rzeczy.

Po tym wszystkim, co widział, Malone nie jest wielkim fanem Boga i domyśla się, że to uczucie jest odwzajemnione. Ma mnóstwo pytań, które

chciałby mu zadać, ale gdyby znaleźli się w jednym pomieszczeniu, Bóg pewnie zamknąłby gębę, wezwał prawnika i pozwolił, żeby jego własne dziecko zebrało za swoje.

Przez te wszystkie lata w robocie Malone stracił wiarę, więc gdy przyszła chwila, kiedy musiał spojrzeć diabłu w oczy, między nim a morderstwem nie stało nic oprócz pięciu kilogramów nacisku na spust.

Pięć kilogramów grawitacji.

To palec Malone'a nacisnął na spust, ale może to grawitacja ściągnęła go w dół – bezlitosna, nieustająca siła ciężenia osiemnastu lat spędzonych w robocie.

Ściągnęła go w dół, w miejsce, gdzie jest teraz.

Malone nie zamierzał tu wylądować. W dniu, kiedy skończył akademię i złożył przysięgę, w najszcześniejszym dniu życia, najjaśniejszym, najbardziej błękitnym, najlepszym dniu, kiedy wiwatował i podrzucił czapkę, nawet nie przyszło mu do głowy, że tak skończy.

Nie, zaczął ze wzrokiem utkwionym w gwieździe przewodniej, stojąc pewnie na właściwej ścieżce. Ale tak to już jest z kompasem życia – na początku strzałka wskazuje północ dokładnie co do stopnia, ale potem odchyła się o stopień i przez rok, może przez pięć lat nie ma to żadnego znaczenia, ale gdy mijają kolejne lata, oddalamy się coraz bardziej i bardziej od kierunku, w którym wyruszyliśmy, a my nawet nie uświadamiamy sobie, że się zgubiliśmy, aż w końcu tak bardzo oddalamy się od pierwotnego celu, że zupełnie tracimy go z oczu.

Nie można nawet wrócić tą samą drogą i zacząć od początku.

Nie pozwalają na to czas i siła ciężenia.

Denny Malone dałby wiele, żeby móc zacząć od początku.

Do diabła, dałby wszystko.

Bo nigdy nie sądził, że skończy w federalnym areszcie przy Park Row.  
Nikt tak nie sądził, może oprócz Boga, ale Bóg nic nie mówił.

A jednak Malone tu właśnie jest.

Bez broni, bez odznaki, bez niczego, co świadczyłoby o tym, kim i czym jest, kim i czym był.

Brudny gliniarz.

# PROLOG

## ŁUP

*Harlem, Nowy Jork*

*Lipiec 2016*

Czwarta rano.

Miasto, które nigdy nie zasypia, o tej porze przynajmniej kładzie się i przymyka oczy.

Tak myśli Denny Malone, gdy jego crown victoria sunie wzdłuż kręgosłupa Harlemu.

Za ścianami i oknami mieszkań i hoteli, kamienic i wieżowców ludzie śpią albo nie mogą spać, śnią albo przestali już śnić. Ludzie kłócą się, pieprzą albo jedno i drugie, kochają się albo robią dzieci, wrzeszczą, przeklinają lub wypowiadają cicho intymne słowa przeznaczone dla tej drugiej osoby, nie dla ulicy. Niektórzy próbują ukołysać dzieci do snu albo wstają przed kolejnym dniem pracy, a inni przesypują kilogramy heroiny do pelurowych torebek, by sprzedać ćpunom poranną działkę.

Malone wie, że między zejściem prostytutek z ulic a przybyciem śmieciarzy tworzy się okienko, najlepszy czas do przeprowadzenia nalotu.

– Nic dobrego nie zdarza się po północy – mawiał jego ojciec.

I wiedział, co mówi. Był policjantem, pracował na tych ulicach. Wracał do domu po nocnej zmianie z morderstwem w oczach, zapachem śmierci w nosie i soplem lodu w sercu, który nigdy się nie roztopiał i w końcu go

zabił. Któregoś ranka, gdy wyszedł z samochodu, serce mu pękło. Lekarze powiedzieli, że kiedy upadł na ziemię, już nie żył.

To Malone go znalazł.

Miał osiem lat. Gdy wychodził rano do szkoły, zauważył niebieską kurtkę w stercie brudnego śniegu, który razem z ojcem odgarnął z podjazdu.

A teraz zbliża się świt i już jest gorąco. Jedno z tych lat, kiedy Bóg-właściciel lokalu nie chce wyłączyć ogrzewania ani włączyć klimatyzacji. Całe miasto jest spięte i zirytowane, na krawędzi wybuchu, walki, zamieszek, śmierdzi starymi śmieciami i skiśniętym moczem – zapach jednocześnie słodki, kwaśny, mdlący i dekadentcki, jak perfumy starej dziwki.

Denny Malone uwielbia ten zapach.

Nawet w dzień, kiedy jest gorąco jak w piekarniku i wszędzie słychać zgiełek, gdy gangsterzy stoją na rogach ulic, po uszach wałę hipopowe basy, a z okien bloków lecą butelki, puszki, brudne podpaski, plastikowe woreczki z siuškami i w śmierdzącym upale czuć zapach psiego gówna, nie chciałby być w żadnym innym miejscu na świecie.

To jego miasto, jego rewir, jego serce.

Jedzie teraz przez Lenox, mijając pełne wdzięku budynki z piaskowca w starej dzielnicy Mount Morris Park, i oddaje cześć bożkom tego miejsca – bliźniaczym wieżom Ebenezer Gospel Tabernacle, skąd w niedzielę płyną hymny śpiewane anielskimi głosami, i charakterystycznej wieży kościoła Adwentystów Dnia Siódmego z Efezu. Nieco dalej mieści się Harlem Shake – nie sala tańca, tylko najlepsze hamburgery w mieście.

Dalej są martwi bogowie – stary Lenox Lounge z kultowym neonem, czerwonym frontem i całą swoją historią. Kiedyś śpiewała tu Billie Holiday, Miles Davis i John Coltrane grali na trąbkach, przesiadywali tu



James Baldwin, Langston Hughes, Malcolm X. Teraz klub jest zamknięty, okna zasłonięte brązowym papierem, neon zgaszony, ale mówi się, że znów ma zostać otwarty.

Malone w to wątpi.

Martwi bogowie zmartwychwstają tylko w baśniach.

Przecina Sto Dwudziestą Piątą, czyli bulwar doktora Martina Luthera Kinga Juniora.

Miejscy pionierzy i czarna klasa średnia zgentryfikowały tę okolicę i pośrednicy nieruchomości nazywają ją teraz SoHa. Malone jest przekonany, że tego rodzaju akronimy zawsze zwiastują koniec dzielnicy. Gdyby deweloperzy mogli kupić nieruchomości na najniższych poziomach piekła Dantego, nazwaliby je LoHel i upstrzyli butikami oraz apartamentowcami.

Piętnaście lat temu ten odcinek Lenox składał się z pustych witryn sklepowych. Teraz znów jest na fali. Widać nowe restauracje, bary i kawiarniane ogródki, gdzie jadają lepiej sytuowani miejscowi. Biali przychodzą tu, żeby się poczuć trendy, a niektóre apartamenty w nowych wieżowcach sprzedają się po dwa i pół miliona.

Wszystko, co teraz trzeba wiedzieć o tej części Harlemu, myśli Malone, to że obok kina Apollo jest sklep firmowy Banana Republic. Istnieją bogowie miejsca i bogowie handlu, i gdybyś chciał się założyć, którzy wygrają, to pieniądze zawsze postaw na pieniądze.

Blokowiska nieco dalej od centrum to wciąż getto.

Malone przekracza Sto Dwudziestą Piątą i mija Red Rooster. Na dole w piwnicy mieści się Ginny's Supper Club.

To już mniej znane świątynie, ale dla Malone'a to wciąż święte miejsca.

Chodził na pogrzeby do Bailey's, kupował półlitrowe butelki w Lenox Liquors, zszywali go na izbie przyjęć w szpitalu Harlem, rzucał piłką do

kosza przy muralu Big L na boisku Freda Samuela, zamawiał jedzenie przez okienko w pancерnej szybie w Kennedy Fried Chicken. Parkował przy ulicy i patrzył na tańczące dzieciaki, palił trawę na dachu, oglądał wschód słońca z Fort Tryon Park.

Kolejni martwi bogowie, dawni bogowie – miejsca, gdzie znajdowały się Savoy Ballroom i Cotton Club. Jedno i drugie zniknęło na długo przed czasami Malone’a, a okolicę nawiedzają duchy renesansu Harlemu, przywołując obraz tego, czym była kiedyś ta dzielnica i czym już nigdy się nie stanie.

Ale Lenox Avenue wciąż żyje.

Jej puls bije wraz z linią metra IRT, która biegnie bezpośrednio pod nią na całej długości. Malone jeździł kiedyś linią 2 nazywaną Bestią.

Teraz mijają Black Star Music, kościół Mormonów, Najlepsze Jedzenie Afroamerykańskie. Docierają do końca Lenox i Malone mówi:

– Objedź kwartał.

Phil Russo skręca w lewo w Sto Czterdziestą Siódmą, objeżdża kwartał, jedzie Siódmą Aleją i znów skręca w lewo w Sto Czterdziestą Szóstą. Przejeżdża obok opuszczonej kamienicy, z której właściciel wypędził lokatorów i zaprosił szczury wraz z karaluchami, mając przy tym nadzieję, że jakiś narkoman, gotując sobie jedzenie, wywoła pożar, a wtedy on zgarnie odszkodowanie i sprzeda działkę.

Wszyscy by na tym wygrali.

Malone wypatruje patroli ulicznych albo policjantów drzemających w radiowozie na nocnej zmianie. Przy drzwiach stoi czujka. Zielona bandana, zielone buty firmy Nike z zielonymi sznurówkami świadczą o tym, że to Dominikańczyk z gangu Trinitario.

Oddział Malone’a przez całe lato obserwował fabrykę heroiny ulokowaną na pierwszym piętrze. Meksykanie przywożą tu proszek

i przekazują go Diego Penie, Dominikańczykowi odpowiedzialnemu za Nowy Jork. Pena rozsypuje go z kilogramowych opakowań do torebek na działki po dziesięć dolarów i przekazuje dominikańskim gangom, Trinitario i DDP (Dominicans Don't Play), a ci z kolei czarnym i portorykańskim gangom z osiedli.

Dzisiaj fabryka jest pełna po brzegi.

Pełna pieniędzy.

Pełna proszku.

– Szykujcie się – mówi Malone i sprawdza sig sauera P226 umieszczonego w kaburze na biodrze. W drugiej kaburze, na plecach tuż poniżej nowej ceramicznej kamizelki kuloodpornej, ma berettę 8000D mini cougar.

W jego oddziale wszyscy muszą nosić kamizelki. Big Monty narzeka, że kamizelka jest za ciasna, na co Malone powtarza, że jest luźniejsza od trumny. Bill Montague, czyli Big Monty, należy do starej szkoły. Zawsze, nawet w lecie, nosi kapelusz trilby z wąskim rondem i czerwonym piórkiem po lewej stronie. Jedynym jego ustępstwem na rzecz upałów jest luźna koszula w rozmiarze XXXL wyrzucona na luźne spodnie khaki. Z kącika ust zwisa niezapalone cygaro marki Montecristo.

U stóp Phila Russa, tuż obok wyglansowanych butów z czerwonej skóry, leży mossberg 590, dwunastka z ruchomym łożem i dwudziestocalową lufą załadowaną ceramicznymi kulami. Buty pasują kolorem do włosów. Russo jest rzadkim przypadkiem rudego Włocha i Malone żartuje, że któraś z jego babek musiała mieć na boku przyjaciela Irlandczyka. Russo odpowiada, że to niemożliwe, bo nie jest alkoholikiem i nie potrzebuje szkła powiększającego, żeby zobaczyć własnego fiuta.

Billy O'Neill ma ze sobą pistolet maszynowy HK MP5, dwa granaty hukowo-błyskowe i rolkę wzmacnianej srebrnej taśmy. Billy O jest

najmłodszy z całej załogi, ale ma talent, uliczną mądrość i umie się poruszać.

Ma też jaja.

Malone wie, że Billy nie ucieknie, nie sparaliżuje go i nie zawaha się, by w razie potrzeby nacisnąć spust. Przeciwnie, Billy może wystrzelić za szybko. Jest przystojny jak Kennedy i ma irlandzki temperament, a także kilka innych cech Kennedy'ego. Na przykład lubi kobiety, a kobiety lubią jego.

Dzisiaj wszyscy są uzbrojeni po zęby.

I nagrzani.

Jeśli trzeba się zmierzyć z narkomanami naćpanymi koką albo na spidach, dobrze jest wejść na ten sam poziom farmakologii, więc Malone połyka dwie tabletki dekstroamfetaminy. Potem narzuca na siebie niebieską kurtkę z białym napisem NYPD, a na szyję zakłada smycz z odznaką.

Russo jeszcze raz objeżdża kwartał. Na Sto Czterdziestej Szóstej przyciska mocniej gaz, a gdy zbliżają się do fabryki, gwałtownie hamuje. Czujka słyszy pisk opon, ale obraca się za późno. Jeszcze zanim samochód się zatrzyma, Malone wyskakuje na zewnątrz, przyciska twarz czujki do ściany i przykłada mu do głowy lufę sigi.

– *Cállate, pendejo* – mówi. – Jeden dźwięk, a zrobię z ciebie miazgę.

Kopniakiem podcina mu nogi i powala na ziemię. Billy już jest na miejscu. Owija chłopakowi ręce za plecami taśmą i zakleja usta.

Cała załoga przyciska się do ściany budynku.

– Mieście oczy wokół głowy, to wszyscy wrócimy dziś do domu – mówi Malone.

Dex zaczyna działać. Malone czuje, że serce przyśpiesza, a krew w żyłach rozgrzewa się.

To przyjemne uczucie.

Wysłała Billy'ego O na dach, by zszedł stamtąd po schodach przeciwpożarowych i pilnował okna. Pozostali wchodzą do budynku i idą na górę, Malone pierwszy, trzymając przed sobą siga w gotowości, za nim Russo ze strzelbą, no i Monty.

Malone ma dobrze zabezpieczone tyły.

Na szczycie schodów widzą drewniane drzwi.

Malone kiwa głową do Monty'ego, który wsuwa krawędź wyważarki między drzwi a futrynę. Pot zbiera się na jego czole i spływa po ciemnej skórze, gdy Monty ściska uchwyty narzędzia i wyłamuje drzwi.

Malone wchodzi do środka, zataczając łuk pistoletem, ale w korytarzu nie ma nikogo. Spogląda w prawo i na końcu korytarza widzi drugie, stalowe drzwi. Za nimi słychać radio z muzyką bachata, rozmowy po hiszpańsku, szum młynków do kawy, szcęk liczarki do banknotów.

I szczekanie psa.

Kurwa, myśli Malone. Teraz każdy ćpun ma psa. Każda laska na East Side nosi w torebce ujadającego yorka, a dilerzy mają pitbulle. To dobry pomysł – czarni srają w portki na widok psa, a *chicas*, które pracują w fabryce, nie zaryzykują kradzieży z obawy, że pitbull wygryzie im twarz.

Malone martwi się o Billy'ego O, bo młodziak kocha psy, nawet pitbulle. Malone dowiedział się o tym w kwietniu, gdy robili nalot na magazyn nad rzeką. Trzy pitbulle próbowały przeskoczyć przez siatkę, żeby złapać ich za gardła, ale Billy O nie mógł się zdobyć na to, żeby do nich strzelić, ani nie pozwolił na to nikomu innemu, i przez to musieli obejść budynek od tyłu, wspiąć się na dach schodami przeciwpożarowymi i znów zejść po schodach na dół.

Zawracanie dupy.

Pitbull już ich wyczuł, ale Domos nie. Jeden z nich krzyczy:

– *Callate!* – Potem rozlega się ostry pisk i pies milknie.

Ale stalowe drzwi antywłamaniowe stanowią problem.

Wyważarka hydrauliczna nie da im rady.

Malone sięga po radio.

– Billy, jesteś na miejscu?

– Stoję jak wmurowany.

– Musimy rozwalić drzwi – mówi Malone. – Jak puszcza, wrzucić do środka granat.

– Jasne, D.

Malone kiwa głową do Russa, który strzela dwa razy, mierząc w zawiasy. Ceramiczny proszek eksploduje z ponaddzwiękową szybkością i drzwi wylatują z futryny.

Kobiety, zupełnie nagie, jeśli nie liczyć foliowych rękawiczek i osłon na włosy, biegną w stronę okna, inni kryją się pod stołami. Liczarki do banknotów wypluwają na podłogę pieniądze jak automaty do gry wysypujące wygraną w postaci papieru.

– NYPD! – wrzeszczy Malone.

W oknie po lewej widzi Billy'ego.

Billy nie rusza się, tylko gapi się przez okno. Jezu Chryste, wrzucić ten granat!

Ale Billy nie robi nic.

Na co on, kurwa, czeka?

I wtedy Malone to dostrzega.

Pitbull ma szczeniaki – cztery, zwinięte w kłębek. Osłania je własnym ciałem, warcząc i szarpiąc za metalowy łańcuch.

Billy nie chce zranić szczeniaków.

– Wrzucić ten granat, do cholery! – wrzeszczy Malone przez radio.

Billy patrzy na niego przez okno, wybija szybę kopniakiem i wrzuca do środka granat.

Ale rzuca blisko, żeby nie zranić tych cholernych psów.

Wybuch roztrzaskuje resztę szkła, odłamki wbijają się w twarz i szyję Billy'ego.

Ostre, oślepiające białe światło, wrzaski i krzyki.

Malone liczy do trzech i wchodzi.

Chaos.

Jeden z Trinitarian chwieje się na nogach i osłania ręką oślepione oczy, drugi strzela z glocka, przesuając się w stronę okna i schodów przeciwpożarowych. Malone wbija mu w pierś dwie kule i Trini uderza w okno. Następny mierzy w Malone'a zza stolika z liczarką, ale Monty powala go strzałem z trzydziestkiósemki i dla pewności dokłada jeszcze jedną kulę.

Pozwalają kobietom uciec przez okno.

– Billy, jesteś cały? – pyta Malone.

Twarcz Billy'ego O wygląda jak maska na Halloween. Na nogach i rękach ma otwarte rany.

– Gorzej wyglądałem po meczach hokejowych – mówi ze śmiechem. – Dam się pozszywać, jak już tu skończymy.

Pieniądze są wszędzie – całe pliki w liczarkach i rozsypane na podłodze. Heroina jest nadal w młynkach do kawy, gdzie była rozdrabniana.

Ale to jest małe piwo.

*La caja* – schowek – wielka dziura wycięta w ścianie jest otwarta.

Od podłogi do sufitu załadowana paczkami heroiny.

Diego Pena siedzi spokojnie przy stole. Jeśli nawet przejął się śmiercią dwóch swoich ludzi, nie widać tego po nim.

– Masz nakaz rewizji, Malone?

– Słyszałem, jak jakaś kobieta wzywała pomocy – odpowiada Malone.

Pena uśmiecha się szyderczo.

Dobrze ubrany skurwysyn. Szary garnitur od Armaniego wart dwa kawałki, złoty zegarek marki Piguet pięć razy tyle.

Pena zauważa jego spojrzenie.

– Weź go sobie. Mam jeszcze trzy.

Pitbull szczeka jak szalowiec, szarpiąc się na łańcuchu.

Malone patrzy na heroinę.

Wielka sterta paczek zapakowanych próżniowo w czarną folię.

Tyle tego, że całe miasto mogłoby chodzić naćpane przez kilka tygodni.

– Oszczędzę wam trudu liczenia – mówi Pena. – Równe sto kilo. Dark Horse, meksykańska heroina cynamonowa. Sześćdziesiąt procent czystości. Można za nią wziąć sto tysięcy dolców za kilo, czyli za całość dziesięć milionów. Pieniądzy, które tu widzicie, jest jakieś pięć milionów. Bierzcie ten proszek i pieniądze, a ja wsiadam do samolotu na Dominikanę i nigdy więcej mnie nie zobaczycie. Zastanówcie się, kiedy znowu przydarzy się wam okazja, żeby zarobić piętnaście milionów za odwrócenie się plecami.

I wszyscy wrócimy dzisiaj do domu, myśli Malone.

– Oddaj pistolet. Powoli.

Pena powoli sięga do kieszeni marynarki po pistolet.

Malone dwa razy strzela mu w serce.

Billy O przykuca i bierze do ręki kilogramowe opakowanie. Rozcina je ostrzem noża, zanurza w heroinie niewielką fiolkę, nabiera do niej szczyptę proszku i wrzuca ją do woreczka testowego wyjętego z kieszeni. Zgniatą fiolkę i czeka na zmianę koloru.

Zawartość przybiera purpurowy odcień.

Billy uśmiecha się szeroko.

– Jesteśmy bogaci!

– Pośpiesz się, kurwa – mówi Malone.



Rozlega się trzask. Pitbull zrywa się z łańcucha i rzuca w jego stronę. Billy przewraca się na plecy. Kilo heroiny wzbija się w powietrze, a potem opada jak zamieć śnieżna prosto na jego otwarte rany.

Jeszcze jeden strzał. Monty zabija psa.

Ale Billy leży rozciągnięty na podłodze. Malone widzi, jak jego ciało sztywnieje, a potem heroina przenika do krwi i nogi zaczynają drgać konwulsyjnie.

Nogi Billy'ego dudnią o podłogę. Malone przykłęka i bierze go w ramiona.

– Billy, nie. Nie umieraj.

Billy patrzy na niego pustym wzrokiem.

Twarz ma zupełnie białą.

Kręgosłup drga jak puszczona sprężyna.

A potem nieruchomieje.

Cholerny Billy, młody i piękny Billy O. Już nigdy nie będzie starszy.

Malone słyszy, jak serce mu pęka, a potem rozlegają się przytłumione wybuchy. W pierwszej chwili wydaje mu się, że został postrzelony, ale nie widzi żadnych ran, myśli więc, że rozsadziło mu głowę.

A potem sobie przypomina.

Jest czwarty lipca.

# **CZEŚĆ 1**

## **BIAŁE BOŻE NARODZENIE**

# ROZDZIAŁ 1

*Harlem, NYC*

*Wigilia Bożego Narodzenia*

Południe.

Denny Malone wrzuca do ust dwie pigułki na energię i wchodzi pod prysznic. Właśnie wstał po zmianie od północy do ósmej i potrzebuje wspomnienia, żeby się rozkręcić. Podnosi twarz w stronę główki prysznica, ostre igiełki kłują go w skórę aż do bólu.

Tego też potrzebuje.

Zmęczona skóra, zmęczone oczy.

Zmęczona dusza.

Obraca się i rozkoszuje gorącą wodą, która strumieniami spływa na jego kark i barki, po czym ścieka po wytatuowanych ramionach. Mógłby tak stać przez cały dzień, ale ma sporo do zrobienia.

– Czas się ruszyć, asie – mówi do siebie. – Masz obowiązki.

Wychodzi spod prysznica, wyciera się i zawiązuje ręcznik dokoła bioder.

Malone ma metr osiemdziesiąt pięć wzrostu i jest mocno zbudowany. Skończył trzydzieści osiem lat i wie, że wygląda na twardziela. To przez tatuaże na potężnych przedramionach, wyraźny ślad zarostu nawet tuż po goleniu, krótko przycięte czarne włosy i przenikliwe niebieskie oczy.

Przyczynia się do tego również złamany nos, a także niewielka blizna tuż nad ustami, po lewej stronie. Ma też większe, niewidoczne pod ubraniem blizny na prawej nodze. Był na tyle głupi, że dał się postrzelić, i dostał za to medal zasługi. To właśnie NYPD, myśli. Dają ci medal za głupotę, zabierają odznakę za spryt.

Może ten sugerujący ciężki łomot wygląd niejedną raz uratował go przed fizycznymi konfrontacjami, których woli unikać. Po pierwsze, bardziej profesjonalnie jest załatwić sprawę gadaniem. Po drugie, w każdej walce doznaje się jakichś obrażeń, nawet gdy są to tylko kostki palców, a Malone nie lubi brudzić sobie ubrania, tarzając się w Bóg wie jakich paskudztwach na betonie.

Nie przepada za ciężarkami, ale boksuje w worek i biega, zwykle wcześniej rano albo późnym popołudniem, zależy, na którą zmianę pracuje. Biega po Riverside Parku, bo lubi otwarty widok na rzekę Hudson, Jersey na drugim brzegu i most Waszyngtona.

Teraz wchodzi do niedużej kuchni. Claudette zostawiła mu trochę kawy. Nalewa sobie kubek i wstawia do mikrofalówki. Claudette wzięła podwójną zmianę w szpitalu Harlem, o cztery przecznice stąd, przy Lenox i Sto Trzydziestej Piątej, żeby inna pielęgniarka mogła spędzić trochę czasu z rodziną. Przy odrobinie szczęścia zobaczy się z nią później tego dnia albo wcześniej rano.

Nie przeszkadza mu to, że kawa jest gorzka i zwietrzała. Nie szuka doznań smakowych, tylko kofeinowego kopa, żeby przyśpieszyć moment, gdy deksedryna zacznie działać. Zresztą nie cierpi całego tego bzdurnego szumu wokół kawy i stania w kolejce za jakimś milenijnym dupkiem, który przez dziesięć minut zamawia idealne latte, żeby zrobić sobie z nim selfie. Jak większość policjantów, Malone pije kawę z cukrem i śmietanką, bo piją jej za dużo. Mleko uspokaja żołądek, a cukier podnosi poziom energii.

Lekarz z Upper West Side wypisuje Malone'owi recepty na wszystko, czego tylko sobie zażyczy – na deksedrynę, vicodin, xanax, antybiotyki, na wszystko. Parę lat temu ten lekarz – porządny facet z żoną i trójką dzieci – miał na boku mały romansik, a gdy postanowił go skończyć, porzucona kochanka postanowiła go szantażować.

Malone pogadał z nią i wszystko wyjaśnił. Dał jej zaklejoną kopertę, w której było dziesięć tysięcy dolarów, po czym oznajmił, że na tym koniec. Ma nigdy więcej nie kontaktować się z tym lekarzem albo Malone postara się, żeby trafiła do aresztu, gdzie będzie oferować swoją przecenianą cipę za dodatkową łyżkę masła orzechowego.

Teraz lekarz z wdzięczności wypisuje mu recepty, ale przeważnie daje darmowe próbki. Każda odrobina się przyda, myśli Malone. I tak nie mógłby pozwolić, żeby stymulanty albo środki przeciwbólowe znalazły się w jego dokumentacji medycznej, nawet gdyby kupował je z ubezpieczenia.

Nie chce dzwonić do Claudette, żeby nie przeszkadzać jej w pracy, ale wysyła wiadomość, żeby wiedziała, że nie przespał budzika, i żeby zapytać, jak jej mija dzień. Odpowiada:

*Świąteczne szaleństwo, ale okej.*

No tak, świąteczne szaleństwo.

W Nowym Jorku zawsze panuje jakieś szaleństwo, myśli Malone.

Jeśli nie szaleństwo Bożego Narodzenia, to noworoczne (pijani) albo szaleństwo walentynek (apogeum domowych kłótni i bójki gejów w barach), Dzień Świętego Patryka (pijani gliniarze), szaleństwo Czwartego Lipca, szaleństwo Święta Pracy. Tak naprawdę przydałby się dzień wolny od świąt. Jeden rok wolnego od wszystkich świąt, żeby sprawdzić, jak to by wyglądało.

Pewnie nic by z tego nie wyszło.

Bo jest jeszcze szaleństwo dnia codziennego – szaleni pijacy, szaleni od heroiny, szaleni od cracka, szaleni od metamfetaminy, szaleni z miłości, szaleni z nienawiści, no i ulubieńcy Malone'a, zwyczajni szaleni z szaleństwa. Ogół społeczeństwa nie rozumie, że miejskie więzienia stały się w gruncie rzeczy szpitalami psychiatrycznymi i ośrodkami odwykowymi. Trzy czwarte więźniów wykazuje pozytywny wynik

w badaniu na obecność narkotyków albo ma zaburzenia osobowości. Albo jedno i drugie.

Powinni się znaleźć w szpitalu, ale nie mają ubezpieczenia.

Malone idzie do sypialni, żeby się ubrać.

Czarna dżinsowa koszula, lewisy, martensy wzmocnione stałą na palcach (żeby łatwiej było wywalać drzwi kopniakiem), czarna skórzana kurtka. Półoficjalny mundur uliczny nowojorkczyków irlandzkiego pochodzenia, oddział ze Staten Island.

Malone tam się wychował, jego żona i dzieci wciąż tam mieszkają. Gdy się jest Irlandczykiem albo Włochem ze Staten Island, zasadniczo można zostać gliniarzem, strażakiem albo oszustem. Malone wybrał bramkę numer jeden, ale jego brat i dwóch kuzynów zostali strażakami.

Cóż, jego brat Liam był strażakiem aż do jedenastego września.

A teraz jest powodem, by dwa razy w roku jeździć na cmentarz Silver Lake, zostawić tam kwiaty, pół litra Jamesona i zdać raport z tego, jak radzą sobie Rangersi.

Przeważnie parszywie.

Zawsze żartowali, że Liam jest czarną owcą w rodzinie, bo zamiast gliniarzem został „małą ze szlauchem”, czyli strażakiem. Malone mierzył ramiona brata, żeby sprawdzić, czy wydłużyły się od ciągnięcia węży, a Liam odpowiadał na to, że jedyną rzeczą, jaką gliniarz byłby w stanie wciągnąć na podest schodów, jest torba z pączkami. A potem licytowali się, kto mógłby ukraść więcej – strażak w płonącym domu czy policjant wezwany do włamania.

Malone kochał młodszego brata, opiekował się nim w te wszystkie wieczory, gdy ojca nie było w domu. Oglądali razem mecze Rangersów na kanale jedenastym. Ten wieczór 1994 roku, gdy Rangersi zdobyli Puchar Stanleya, był jednym z najszcześniejszych wieczorów w życiu Malone'a.

Obydwaj z Liamem padli na kolana przed telewizorem w ostatniej minucie meczu, gdy Rangersi resztkami sił utrzymywali jednopunktowe prowadzenie, a Craig MacTavish – niech go Bóg błogosławi – przez cały czas wybijał krążek głęboko na połowę Kanadyjczyków, a kiedy czas wreszcie się skończył i Rangersi wygrali finał w play-off cztery do trzech, Denny i Liam padli sobie w ramiona, podskakując z radości.

A potem Liam zginął, tak po prostu, i to Malone musiał powiedzieć o tym matce. Nigdy już nie doszła do siebie i zmarła zaledwie rok później. Lekarze stwierdzili, że to był rak, ale Malone wiedział, że matka była kolejną ofiarą jedenastego września.

Przypina do pasa kaburę z regulaminowym sig sauerem.

Wielu policjantów nosi kaburę na ramieniu, ale Malone uważa, że to niepotrzebny dodatkowy ruch, żeby podnieść rękę, i woli mieć broń tam, gdzie ręka już jest. Z tyłu przypina do paska niesłużbową berettę, nóż komandoski trafia do prawego buta. To wbrew regulaminowi, nielegalne jak cholera, ale Malone o to nie dba. Może się zdarzyć, że jakieś ćpuny odbiorą mu broń, i co ma wtedy wyciągnąć? Fiuta? Nie położy się jak dziwka, tylko podziurawi ich nożem.

A zresztą kto mógłby go zaatakować?

Mnóstwo ludzi, ty głupi ośle, mówi sobie. Przyszły takie czasy, że każdy gliniarz ma na plecach tarczę strzelniczą.

Ciężkie czasy dla NYPD.

Przede wszystkim sprawa Michaela Bennetta.

Michael Bennett był czternastoletnim czarnym chłopakiem, którego śmiertelnie postrzelił policjant z prewencji w Brownsville. Klasyczna sprawa: była noc, chłopak wyglądał podejrzanie, policjant żółtodziób o nazwisku Hayes kazał mu się zatrzymać, a Bennett się nie zatrzymał,

tylko odwrócił się, sięgnął za pasek spodni i wyciągnął coś, co Hayes uznał za pistolet.

Żółtodziób wpakował w niego cały magazynek.

Okazało się, że to nie był pistolet, tylko komórka.

Miejscowa społeczność była oczywiście „zbulwersowana”. Protesty balansowały na krawędzi rozruchów, zwykły zestaw kaznodziejów, prawników i aktywistów społecznych popisywał się przed kamerami, miasto obiecywało dogłębne dochodzenie. Hayesa wysłano na przymusowy urlop do czasu wyjaśnienia sprawy, a wrogość między czarnymi a policją stała się większa niż kiedykolwiek wcześniej.

Dochodzenie nadal „jest w toku”.

A potem zaczęły się zamieszki w Ferguson, Cleveland i Chicago, śmierć Freddiego Graya w Baltimore, Altona Sterlinga w Baton Rouge, Philanda Castile’a w Minnesocie i tak dalej.

Policjantom z NYPD też zdarzało się zabijać nieuzbrojonych czarnych mężczyzn – Sean Bell, Ousmane Zongo, George Tillman, Akai Gurley, David Felix, Eric Garner, Delrawn Small... A teraz ten żółtodziób musiał zastrzelić Michaela Bennetta.

Przez to wszystko ruch Black Lives Matter zaczął im się dobierać do tyłka, każdy obywatel zmieniał się w dziennikarza z komórką gotową do nagrywania i każdego dnia, kiedy szedłeś do pracy, cały świat uznawał cię za rasistowskiego mordercę.

No dobrze, może nie cały świat, przyznaje Malone, ale atmosfera bardzo się zmieniła.

Ludzie inaczej na ciebie patrzą.

Albo do ciebie strzelają.

Snajper w Dallas zastrzelił pięciu policjantów. W Las Vegas dwóch policjantów zginęło w restauracji, gdzie siedzieli przy lunchu. W ciągu



ostatniego roku w Stanach Zjednoczonych zamordowano czterdziestu dziewięciu policjantów. Jeden z nich, Paul Tuozzolo, był z NYPD. Rok wcześniej stracili Randy’ego Holdera i Briana Moore’a. Zbyt wielu ich było przez te wszystkie lata. Malone zna statystyki: trzystu dwudziestu pięciu zastrzelonych, dwudziestu jeden zadźganych nożem, trzydziestu dwóch pobitych na śmierć, dwudziestu jeden celowo przejechanych samochodem, ośmiu zginęło wskutek wybuchów, a do tego jeszcze ci, którzy zmarli, bo nawdychali się tego gówna jedenastego września.

Więc tak, Malone nosi ze sobą nóż, i tak, wie, że wielu ludzi gotowych byłoby powiesić go na miejscu, gdyby znaleziono przy nim nielegalną broń, a wśród nich na poczesnym miejscu znajduje się nienawidzące policji CCRB. Phil Russo twierdzi, że ten skrót rozwija się jako „Cipy, Cwele, Rury i Buce”, a tak naprawdę jest to Civilian Complaint Review Board, czyli Komisja do spraw Skarg Obywatelskich – ulubiony kij burmistrza, którym okłada policję, gdy chce odwrócić uwagę publiczną od własnych skandali.

A zatem CCRB chętnie by cię powiesiło, myśli Malone. A także Biuro Spraw Wewnętrznych. Cholerne Biuro Spraw Wewnętrznych powiesiłoby cię z pieśnią na ustach, i nawet własny szef z wielką radością założyłby ci pętlę na szyję.

Teraz Malone zmusza się, żeby zadzwonić do Sheili. Nie chce kłótni i nie chce słyszeć pytania „skąd dzwonicz?”, ale to właśnie słyszy, kiedy jego nominalna żona odbiera telefon.

– Skąd dzwonicz?

– Z miasta – mówi Malone.

Dla każdego mieszkańca Staten Island Manhattan jest i zawsze będzie miastem. Malone nie precyzuje, a ona na szczęście nie naciska, tylko mówi:

– Mam nadzieję, że nie zamierzasz odwołać jutrzejszego przyjazdu.

Dzieci będą...

– Przyjadę.

– Zdasz na prezenty?

– Będę wcześniej – obiecuje Malone. – O której mam się zjawić?

– Wpół do ósmej, ósma.

– Okej.

– Pracujesz od północy? – pyta Sheila nieco podejrzliwie.

– Tak – mówi Malone. Formalnie rzecz biorąc, jego oddział ma dzisiaj cmentarną zmianę, ale tak naprawdę pracują wtedy, kiedy uznają za stosowne, czyli wtedy, gdy wymaga tego jakaś sprawa. Dilerzy narkotykowi pracują w stałych godzinach, żeby klienci wiedzieli, gdzie i kiedy mogą ich znaleźć, ale hurtownicy pracują, kiedy chcą. – I to nie taka zmiana, jak myślisz.

– A co ja myślę? – Sheila wie, że każdy policjant, który ma iloraz inteligencji wyższy niż dziesięć i nie jest nowy na komisariacie, jeśli tylko chce, bez trudu dostaje wolne w Wigilię Bożego Narodzenia, a nocny patrol najczęściej jest tylko pretekstem, żeby się upić z kolegami albo przelecieć jakąś kurewkę, albo jedno i drugie naraz.

– Nic sobie nie wyobrażaj. Pracujemy nad czymś – mówi Malone. – Może dzisiaj zakończymy tę sprawę.

– Jasne.

Sarkazm. A jak jej się, do diabła, wydaje, kto płaci za prezenty, za aparaty ortodontyczne dzieci, za jej wizyty w spa i babskie wieczory? Każdy facet w robocie musi brać nadgodziny, żeby zapłacić rachunki i może jeszcze coś odłożyć. Żony, nawet takie, z którymi jest się w separacji, muszą zrozumieć, że ich mężowie na okrągło harują w mieście.

– Spędzasz z nią Wigilię? – pyta Sheila.

A już prawie się udało uniknąć tego tematu, myśli Malone. Sheila wymawia to jak „nio”: „Spędzasz z nio Wigilię?”.

– Ona pracuje. – Malone robi unik jak zatrzymany w pokoju przesłuchań.  
– Ja też.

– Ty przez cały czas pracujesz, Denny.

Żebyś wiedziała, myśli Malone. Traktuje te słowa jak pożegnanie i rozłącza się. Cholera, napiszą mi to na nagrobku:

*DENNY MALONE*

*CZŁOWIEK, KTÓRY PRZEZ CAŁY CZAS PRACOWAŁ*

Pieprzyć to. Pracujesz, umierasz i próbujesz jeszcze znaleźć w tym wszystkim odrobinę miejsca na życie.

Ale przeważnie pracujesz.

Wielu gliniarzy przychodzi do pracy tylko po to, żeby odsiedzieć swoje dwadzieścia lat, odwiesić odznakę i przejść na emeryturę. Ale Malone kocha tę robotę.

Powiedz to sobie szczerze, myśli, wychodząc z mieszkania. Gdybyś mógł jeszcze raz zacząć wszystko od początku, i tak zostałbyś detektywem policji Nowego Jorku.

To najlepsza robota na całym pieprzonym świecie.

Naciąga na głowę czarną wełnianą czapkę, bo jest zimno, zamyka drzwi i schodzi po schodach na Sto Trzydziestą Szóstą Ulicę. Claudette wybrała to mieszkanie, bo ma blisko do pracy, a poza tym niedaleko stąd jest Centrum Rekreacyjne Hansborough z krytym basenem, gdzie lubi pływać.

– Jak możesz pływać w publicznym basenie? – zapytał ją Malone. – Mam na myśli te wszystkie zarazki w wodzie. Przecież jesteś pielęgniarką.

Roześmiała się.

– A masz jakiś prywatny basen, o którym nic nie wiem?

Idzie Sto Trzydziestą Szóstą na zachód, do Siódmej Alei, inaczej nazywanej bulwarem Adama Claytona Powella Juniora, mija kościół scjentystów, United Fried Chicken i Café 22, gdzie Claudette nie lubi jadać, bo boi się, że utyje, a on, bo się boi, że naplują mu do jedzenia. Po drugiej stronie ulicy znajduje się Judi's, mały bar, gdzie wstępują czasem na drinka przy tych rzadkich okazjach, gdy żadne z nich nie jest akurat w pracy. Przy Sto Trzydziestej Piątej przechodzi na drugą stronę Siódmej Alei, mija Thurgood Marshall Academy i sieciówkę z pączkami mieszczącą się w budynku, gdzie w piwnicy był kiedyś Small's Paradise.

Claudette, która dużo wie o tych rzeczach, mówiła, że Billie Holiday miała tu swoje pierwsze przesłuchanie, a podczas drugiej wojny światowej Malcolm X był tu kelnerem. Malone'a bardziej zainteresowała informacja, że właścicielem budynku był przez jakiś czas Wilt Chamberlain.

Kwartaly miasta to wspomnienia.

Mają swoje życie i swoją śmierć.

Malone nosił jeszcze mundur i jeździł radiowozem, kiedy jakiś gnojek zgwałcił w tym kwartale haitańską dziewczynkę. To była czwarta dziewczynka, którą to zwierzę zgwałciło. Szukali go wszyscy policjanci z Trzydziestego Drugiego Komisariatu.

Haitańczycy dotarli na miejsce wcześniej niż policja. Znaleźli gwałciciela na dachu i zrzucili go do zaułka na tyłach.

Malone i jego ówczesny partner odebrali wezwanie i weszli w uliczkę, gdzie Rocky Nielot leżał w powiększającej się kałuży krwi. Większość kości miał połamanych, bo dziewięć piętér to spora wysokość.

– To ten – powiedziała jedna z miejscowych kobiet stojąca u wylotu uliczki. – Ten, który zgwałcił te dziewczynki.

Ratownicy medyczni wiedzieli, o co chodzi.

– Umarł już? – zapytał jeden z nich.

Malone potrząsnął głową. Ratownicy zapalili papierosy i palili je przez dobre dziesięć minut oparci o karetkę. Dopiero potem sięgnęli po nosze, weszli w uliczkę, wrócili i kazali wezwać lekarza.

Lekarz uznał, że przyczyną śmierci były „rozległe obrażenia i znaczna utrata krwi powstałe w wyniku upadku z dużej wysokości”, a policjanci z wydziału zabójstw, którzy wkrótce przybyli na miejsce, przyjęli oświadczenie Malone’a, że facet rzucił się z dachu wiedziony poczuciem winy z powodu tego, co zrobił.

Detektywi uznali, że to było samobójstwo, Malone został ulubieńcem Haitańczyków, a najważniejsze było to, że żadna z dziewczynek mieszkających w okolicy nie musiała zeznawać w sądzie w obecności wpatzonego w nią gwałciciela i sukinsyna obrońcy, który próbowałby wykazać, że kłamie.

To było dobre wyjście z sytuacji, ale cholera, myśli Malone, gdybyśmy zrobili to dzisiaj, sami trafilibyśmy do pudła.

Idzie dalej na południe i mija osiedle St. Nick’s, inaczej zwane Nickel.

Osiedle St. Nicholas Houses, składające się z trzynastu trzynastopiętrowych budynków położonych między bulwarami Adama Claytona Powella i Fredericka Douglassa od Sto Dwudziestej Siódmej do Sto Trzydziestej Pierwszej Ulicy, było świadkiem dużej części zawodowego życia Malone’a.

Tak, Harlem się zmienił, zgentryfikował się, ale bloki to wciąż bloki. Przypominają pustynne wyspy na tle nowobogackiego morza i mieści się w nich to, co zawsze można było znaleźć w osiedlach z niskim czynszem i rządowym dofinansowaniem – bieda, bezrobocie, handel narkotykami i gangi. Malone jest przekonany, że St. Nick’s w większości jest zamieszkane przez przyzwoitych ludzi, którzy mimo trudnych warunków

próbują godnie przeżyć życie, wychować dzieci i wypełniać codzienne obowiązki, ale są tam też gangi i najgorsze zbiry.

W St. Nick's ton nadają dwa gangi: Get Money Boys i Black Spades. GMB rządzi północną częścią osiedla, a Spades południową. Niepewny pokój między nimi wymuszony jest przez DeVona Cartera, który kontroluje większą część handlu narkotykami w zachodnim Harlemie.

Granica ich terytoriów biegnie wzdłuż Sto Dwudziestej Dziewiątej Ulicy. Malone idzie jej południową stroną, obok boisk do koszykówki.

Gangów dzisiaj tu nie ma. Jest za zimno.

Wychodzi na bulwar Fredericka Douglassa obok Harlem Bar-B-Q i kościoła Baptistów Wielkiego Syjonu. Właśnie na tej ulicy zdobył sobie reputację „bohaterskiego policjanta” i „rasistowskiego gliniarza”, uważa jednak, że żadna z tych dwóch etykietek nie jest prawdziwa.

To było... jakieś sześć lat temu. Pracował wtedy jako detektyw w Trzydziestym Trzecim Komisariacie i siedział przy lunchu w Manna's, gdy usłyszał na zewnątrz krzyk. Wyszedł na ulicę i zobaczył, że ludzie wskazują sklep spożywczy po drugiej stronie.

Wywołał kod 10-61, wyciągnął broń i wszedł do sklepu.

Rabuś pochwycił dziewczynkę i przyłożył jej pistolet do głowy.

Matka dziewczynki krzyczała.

– Rzuć broń! – wrzasnął złodziej do Malone'a. – Bo ją zabiję! Zrobię to!

Był czarny i na głodzie, kompletnie mu odbiło.

Malone nie opuścił broni.

– Gówno mnie obchodzi, czy ją zabijesz. Dla mnie to tylko kolejny murzyński bachor.

Gdy ćpun zamrugał, Malone wpakował mu kulkę w głowę.

Matka pochwyciła córkę w ramiona i przycisnęła mocno do piersi.

Malone po raz pierwszy zabił człowieka.

To była czysta sytuacja i nie miał z tego powodu kłopotów, choć musiał siedzieć za biurkiem, dopóki nie zakończono procedury sprawdzającej, i pójść do wydziałowego psychiatry, który zbadał Malone'a, czy nie cierpi na syndrom stresu pourazowego. Okazało się, że nie.

Jedyny problem polegał na tym, że sprzedawca w sklepie nagrał wszystko na komórkę i *Daily News* zamieścił nagłówek:

DLA MNIE TO TYLKO KOLEJNY MURZYŃSKI BACHOR

Pod nim umieszczono zdjęcie Malone'a z podpisem:

*Bohaterski policjant rasistą*

Malone'a wezwano na spotkanie z jego ówczesnym kapitanem, człowiekiem z Biura Spraw Wewnętrznych i PR-owcem z Komendy Głównej.

– Murzyński bachor? – zapytali.

– Musiałem mieć pewność, że mi uwierzy.

– Nie mogłeś inaczej dobrać słów? – zapytał rzecznik.

– Nie miałem ze sobą rzecznika prasowego – odrzekł Malone.

– Chcieliśmy wystąpić o przyznanie ci Medalu Zasługi – powiedział kapitan – ale...

– Ja nie zamierzałem występować o medal.

Trzeba przyznać facetowi z Biura Spraw Wewnętrznych, że wtrącił:

– Chciałbym zauważyć, że sierżant Malone ocalił życie afroamerykańskiego dziecka.

– A gdyby chybił? – rzekł na to rzecznik.

– Ale nie chybiłem – odpowiedział Malone.

Choć prawdę mówiąc, jemu też przychodziło to do głowy. Nie przyznał się do tego psychiatrze, ale śniły mu się koszmary o tym, że nie trafił w przestępcę, tylko w dziewczynkę.

Wciąż mu się śnią.

Cholera, miewa nawet koszmary, w których strzela w tego bandytę.

Filmik trafił na YouTube'a, a miejscowy zespół raperski nagrał piosenkę pod tytułem „Jeszcze jeden murzyński bachor”, która miała kilka tysięcy wyświetleń. A co po stronie plusów? Matka dziewczynki przysłała na komisariat z blachą chleba kukurydzianego swego wypieku z jalapeño oraz ręcznie napisaną kartką z podziękowaniami i odnalazła Malone'a.

Zachował tę kartkę.

Teraz przechodzi przez St. Nicholas i Convent i idzie Sto Dwudziestą Siódmą aż do miejsca, gdzie łączy się ze Sto Dwudziestą Szóstą, która dalej skręca na północny zachód. Przekracza Amsterdam Avenue, mija Amsterdam Liquor Mart, gdzie znają go dobrze, kościół baptystów z Antiochii, gdzie nie znają go w ogóle, Centrum Marii Panny, Dwudziesty Szósty Komisariat i wchodzi do starego budynku, który obecnie jest siedzibą Jednostki Specjalnej Manhattan Północ.

Czy też, jak się mówi na ulicy, Da Force.



## ROZDZIAŁ 2

Jednostka Specjalna Manhattan Północ w połowie była pomysłem Malone'a.

Jej misja opisana jest potokiem biurokratycznego wielosłowania, ale Malone i każdy inny policjant w Da Force wiedzą dokładnie, na czym polega ich „specjalne zadanie”:

Trwać na posterunku.

Big Monty ujął to inaczej:

– Jesteśmy architektami krajobrazu. Naszą pracą jest pilnować, żeby dżungla znów wszystkiego nie zarosła.

– O czym ty, kurwa, mówisz? – zdziwił się Russo.

– Ta stara miejska dżungla, czym była północ Manhattanu, została w większości wykarczowana – wyjaśnił Monty. – Żeby zrobić miejsce dla wypielegnowanego, skomercjalizowanego rajskiego ogrodu. Ale wciąż pozostały skrawki dżungli, a ściśle mówiąc, osiedla komunalne. Mamy pilnować, żeby dżungla znowu nie zarosła raj. Na tym polega nasza praca.

Gdy spada przestępczość, rosną ceny nieruchomości. Malone zna to równanie, ale gównem go to obchodzi.

Jego interesuje przemoc.

Przemoc w dżungli, bo dżungla zawsze pozostaje, choćbyś nie wiedzieć jak próbował ją wykarczować.

Gdy Malone zaczynał pracę w policji, miasto odmieniał „cud Giulianiego”. Komisarze Ray Kelly i Bill Bratton skorzystali z „teorii rozbitej szyby” i technologii CompStat, by zniwelować przestępczość uliczną do niemal pomijalnego poziomu.

Po jedenastym września główny punkt zainteresowania departamentu przeniósł się z zapobiegania przestępczości na zapobieganie terroryzmowi, ale przestępczość uliczna nadal spadała. Statystyki morderstw pikowały w dół, a getta na górnym Manhattanie – Harlem, Washington Heights i Inwood – zaczęły odżywać.

Epidemia cracka w zasadzie dobiegała swego tragicznego darwinowskiego końca, ale problemy związane z biedą i bezrobociem – uzależnienie od narkotyków, alkoholu, przemoc domowa i gangi – nie zniknęły.

W oczach Malone’a wyglądało to tak, że były to dwie dzielnice, dwie kultury zgromadzone wokół swoich zamków, czyli nowych błyszczących apartamentowców i starych wieżowców. Różnica polegała na tym, że obecnie ludzie mający władzę naprawdę się zaangażowali.

Kiedyś Harlem to był Harlem i bogaci biali po prostu się tam nie zapuszczali, chyba że chcieli zobaczyć slumsy albo szukali tanich podniet. Statystyki zabójstw były wysokie. Napady, wymuszenia, rozboje i wszelkie inne akty przemocy, które towarzyszą narkotykom, zdarzały się na każdym kroku, ale dopóki to czarni gwałcili, okradali i mordowali innych czarnych, nikogo to nie obchodziło.

Cóż, nikogo oprócz Malone’a.

I innych policjantów.

Oto gorzka, brutalna ironia pracy gliniarza.

To właśnie jest źródło miłości i nienawiści, które współistnieją w relacjach między policją a miejscową społecznością.

Policjanci widzą to każdego dnia i każdej nocy.

Cierpienie, śmierć.

Ludzie zapominają, że policja widzi najpierw ofiary, a dopiero potem sprawców. Od niemowlęcia, które jakaś naćpana dziwka upuściła do wanny,

po dziecko ciężko pobite przez osiemnastego z rzędu konkubenta matki, staruszkę, która złamała sobie miednicę, gdy przewrócił ją na chodnik wyrostek, który ukradł jej torebkę, czy piętnastoletniego gówniarza, którego zastrzelono na rogu ulicy, bo chciał zostać dilerem narkotyków.

Policjanci współczują ofiarom i nienawidzą sprawców, ale nie powinni czuć za wiele, bo wtedy by nie mogli wykonywać swojej pracy, i nie powinni zbyt mocno nienawidzić, bo wtedy sami by się stali sprawcami. Obrastają zatem skorupą, otaczają się tarczą siłową, na której napisane jest „nienawidzimy wszystkich” i którą wyczuwa się już z odległości trzech metrów.

Malone wie, że to konieczne, bo bez tego ta praca może cię zabić fizycznie albo psychicznie. Albo tak i tak.

Współczujesz zatem staruszce, ale nienawidzisz kundla, który jej to zrobił; współczujesz sklepikarzowi, którego właśnie okradziono, ale gardzisz bandziorem, który go okradł; współczujesz czarnemu chłopakowi, którego postrzelono, i nienawidzisz czarnucha, który go postrzelił.

Prawdziwy problem, myśli Malone, pojawia się wtedy, gdy zaczynasz nienawidzić również ofiary. A tak się dzieje, bo to wszystko cię wyczerpuje. Ich cierpienie staje się twoim cierpieniem, na twoich barkach spoczywa odpowiedzialność za ich ból: nie zrobiłeś dość, by ich chronić, byłeś w niewłaściwym miejscu, nie złapałeś bandyty wcześniej.

Zaczynasz winić siebie i zaczynasz winić ofiary. Dlaczego były takie bezbronne, takie słabe, dlaczego mieszkają w takich warunkach, dlaczego przyłączają się do gangów i handlują narkotykami, dlaczego muszą strzelać do siebie z byle powodu... dlaczego to są takie pieprzone zwierzęta?

Ale Malone'a wciąż to, kurwa, obchodzi.

Nie chce tego.

Ale go obchodzi.

Tenelli nie jest zadowolona.

– Dlaczego ten kutas musi nas ściągać w Wigilię? – pyta Malone’a w drzwiach.

– Chyba sama sobie odpowiedziałaś – mówi Malone.

Kapitan Sykes to kutas.

A skoro już mowa o kutasach, panuje powszechna opinia, że w całej Da Force największego ma Janice Tenelli. Malone widział, jak raz za razem kopała ciężki worek dokładnie w miejscu, gdzie człowiek miałby jaja, i od tego widoku skurczyły mu się własne.

A może nabrzmiały. Tenelli ma gęstą grzywę czarnych włosów, wydatny biust i twarz jakby wyjętą prosto z włoskiego filmu. Każdy facet w Da Force chciałby się z nią przespać, ona jednak bardzo jasno daje im do zrozumienia, że nie sra tam, gdzie je.

Wbrew wszelkim przesłankom, Russo uparł się powiedzieć prosto w twarz tej zamężnej matce dwójki dzieci, że jest lesbijką.

– Bo nie chcę się z tobą pieprzyć? – pyta Tenelli.

– Bo to moja najczulej hołubiona fantazja – wyjaśnia Russo. – Ty i Flynn.

– Ale Flynn naprawdę jest lesbijką.

– Wiem.

– Zrób sobie dobrze – odpowiada Tenelli, poruszając nadgarstkiem, po czym zwraca się do Malone’a: – Nie zapakowałam jeszcze żadnego prezentu, a jutro przyjeżdżają teściowie. Naprawdę muszę tu siedzieć i słuchać jakichś oszczerstw? Zrób coś z tym facetem, Denny.

Tenelli wie to, co wiedzą wszyscy: Malone był tu przed Sykesem i będzie nadal, gdy tamten odejdzie. Dowcip polega na tym, że Malone bez trudu mógłby zdać egzamin na porucznika, ale nie może sobie pozwolić na obniżkę pensji.

– Siedź i wysłuchaj jego przemowy – odpowiada Malone – a potem wróć do domu i zrób... Co przygotowujesz?

– Nie wiem, w naszym domu od gotowania jest Jack. Chyba będą zeberka. A ty znowu robisz coroczną rundkę z indykiem?

– Dlatego nazywa się „coroczna”.

– Masz rację.

Wchodzą do pokoju odpraw. Kątem oka Malone zauważa Kevina Callahana. Wysoki chudy tajniak z długimi rudymi włosami i taką brodą wydaje się naćpany po same uszy.

Policjanci, tajniacy czy nie, nie powinni używać narkotyków, ale jak inaczej mają kupować, żeby się nie ujawnić? Więc czasem przechodzi to w nałóg. Bardzo wielu trafia prosto z pracy na odwyk i spieprza sobie karierę.

Ryzyko zawodowe.

Malone podchodzi, łapie Callahana za łokieć i wyprowadza za drzwi.

– Jak Sykes cię zobaczy, to od razu skieruje cię na badanie moczu.

– Muszę się zalogować.

– Powiem, że prowadzisz obserwację. Gdyby ktoś pytał, to wysłałem cię do Ville.

Siedziba Jednostki Specjalnej Manhattan Północ jest wygodnie zlokalizowana między dwoma osiedlami. Manhattanville leży po drugiej stronie ulicy, a Grant po drugiej stronie Sto Dwudziestej Piątej, bliżej centrum.

W razie rewolucji, myśli Malone, jesteśmy otoczeni.

– Dzięki, Denny.

– Dlaczego jeszcze tu stoisz? – mówi Malone. – Rusz tyłek i zmiataj do Ville. I jeszcze jedno, Callahan. Jak znowu zawalisz, to sam cię wyślę na testy.

Wraca do sali i siada na składanym metalowym krześle obok Russa.

Big Monty obraca się do nich. W rękę trzyma kubek z parującą herbatą, którą udaje mu się popijać, choć w kąciku ust wciąż tkwi niezapalone cygaro.

– Chciałbym tylko zgłosić oficjalny protest dotyczący działań dziś po południu.

– Odnotowano – mówi Malone.

Monty znów odwraca się do nich plecami.

– Nie jest zadowolony – komentuje Russo z szerokim uśmiechem.

Jest bardzo niezadowolony, myśli Malone z satysfakcją. Od czasu do czasu dobrze jest potrząsnąć niewzruszonym Big Manem.

To go odświeża.

Raf Torres wprowadza swój oddział: Gallina, Ortiz i Tenelli. Malone'owi nie podoba się to, że Tenelli jest z Torresem, bo Tenelli mu się podoba, a Torresa uważa za gnojka. Torres to kawał drania, ale zdaniem Malone'a wygląda jak duża, brązowa, parchata portorykańska ropucha.

Torres kiwa mu głową. Jakimś sposobem udaje mu się zawrzeć w tym geście jednocześnie pozdrowienie, szacunek i wyzwanie.

Sykes wchodzi do sali i staje za pulpitem jak profesor. Jest młody jak na kapitana, ale ma protektorów w Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, grube ryby, które dbają o jego interesy.

I jest czarny.

Malone wie, że Sykes jest przygotowywany na stanowisko szefa, a Jednostka Specjalna Manhattan Północ to dla niego ważna rubryczka do odfajkowania we wspinaczce na samą górę drabiny.

Zdaniem Malone'a wygląda jak bardzo młody kandydat na republikańskiego senatora: bardzo czysty, bardzo schludny, z krótko

przyciętymi włosami. Z całą pewnością nie ma żadnych tatuaży, chyba że skierowaną do góry strzałkę z napisem: „Tędy do mózgu”.

Jesteś niesprawiedliwy, myśli Malone. Ten facet ma solidną historię, odwalił kawał porządnej policyjnej roboty w Wydziale Zbrodni w Queens, a potem dostał za zadanie uporządkować sprawy w okręgu. Wyczyścił Dziesiąty i Siedemdziesiąty Piąty, prawdziwe stajnie Augiasza, a teraz przenieśli go tutaj.

Czy po to, żeby mógł zaznaczyć następny kwadracik w swoim kwestionariuszu? – zastanawia się Malone.

A może po to, żeby i tutaj posprzątał?

Tak czy owak, Sykes przyniósł tu ze sobą obyczaje z Queens.

Wszystko według regulaminu.

Jak w piechocie morskiej.

Pierwszego dnia po objęciu stanowiska ściągnął do tej sali całą jednostkę – pięćdziesięciu czterech detektywów, tajniaków, facetów z prewencji i mundurowych – posadził ich przed sobą i wygłosił mowę.

– Wiem, że patrzę na elitę – oznajmił. – Na najlepszych z najlepszych. Wiem też, że mam przed sobą kilku skorumpowanych policjantów. Sami wiecie, o kim mówię. Wkrótce ja również będę wiedział. I słuchajcie mnie uważnie: jeśli przyłapię któregokolwiek z was na tym, że przyjął od kogoś za darmo choćby kawę czy kanapkę, to natychmiast odbiorę odznakę, broń i emeryturę. A teraz wynoście się. Do roboty.

Nie zyskał sobie żadnych przyjaciół, ale od początku jasno okazywał, że nie przyszedł tu po to, by ich znaleźć. Zraził do siebie ludzi również tym, że wypowiadał się przeciwko brutalności policji i ostrzegał, że nie będzie tolerował zastraszania, bicia, stereotypowych uprzedzeń ani zatrzymywania przypadkowych osób.

W takim razie jak my, kurwa, mamy choćby udawać, że sprawujemy kontrolę nad czymkolwiek? – myśli Malone, patrząc na niego.

Kapitan podnosi *New York Timesa*.

– Białe Boże Narodzenie – czyta. – Heroina w święta zasypuje miasto. To słowa Marka Rubensteina z *New York Timesa*. I nie jest to tylko jeden artykuł, on pisze całą serię. Panowie, to jest *New York Times*.

Robi pauzę, żeby to, co mówi, dobrze do nich dotarło.

Ale nie dociera.

Większość policjantów nie czyta *Timesa*. Czytają *Daily News* i *Post*, głównie dla wiadomości sportowych i rozebranych zdjęć na szóstej stronie. Kilku czyta *Wall Street Journal*, żeby orientować się w wartości swoich portfeli. *Times* jest wyłącznie dla garniturowców z Komendy Głównej i pomagierów burmistrza.

Ale *Times* napisał, że jest „epidemia heroiny”, myśli Malone.

Oczywiście uznali to za epidemię tylko dlatego, że teraz umierają biali.

Biali zaczęli od tabletek opartych na opium, które dostawali od swoich lekarzy – oksykodon, vicodin, tego rodzaju gówno. Ale to było drogie i lekarze nie chcieli przepisywać za dużo ze względu na możliwość uzależnienia. Dlatego biali weszli na otwarty rynek i tabletki stały się narkotykiem ulicznym. Wszystko przebiegało w bardzo miły i cywilizowany sposób do czasu, gdy kartel Sinaloa z Meksyku podjął korporacyjną decyzję, że będzie w stanie rywalizować z wielkimi amerykańskimi firmami farmaceutycznymi, jeśli zwiększy produkcję heroiny, a tym samym obniży cenę.

Na zachętę zwiększyli również moc.

Uzależnieni biali Amerykanie przekonali się, że meksykańska cynamonowa heroina jest silniejsza niż tabletki, więc zaczęli dawać sobie w żyłę i przedawkowywać.



Działo się to dosłownie na oczach Malone'a.

On sam i cały jego oddział nie potrafiliby zliczyć wszystkich ćpunów spod mostów i z tuneli, żon z przedmieść i panienek z Upper East Side, których wygarnęli. Coraz więcej martwych ciał znajdowanych w zaułkach było białych.

Według mediów to właśnie jest tragedią.

Nawet kongresmeni i senatorzy wyciągnęli nosy z tyłków sponsorów na wystarczająco długi czas, by zauważyć nową epidemię i domagać się, by koniecznie coś z tym zrobiono.

– Macie wyjść na ulice i aresztować za heroinę – mówi Sykes. – Mamy dobre statystyki, gdy chodzi o cracka, ale za niskie przy heroinie.

Ci w garniturach uwielbiają cyferki, myśli Malone. Ten nowy rzut „policjantów-menedżerów” przypomina maniaków od bejsbolowych statystyk. Po prostu wierzą, że liczby mówią wszystko. A gdy liczby nie mówią tego, co chcieliby usłyszeć, masują je jak Koreanki przy Ósmej Alei, aż dojdą do szczęśliwego końca.

Chcesz wyglądać dobrze? Statystyki ciężkich przestępstw spadają.

Potrzebujesz więcej pieniędzy? Rosną.

Potrzebne ci aresztowania? Wyślij ludzi na ulice, żeby bez sensu zgarnęli parę osób, które nigdy nie zostaną skazane. Ciebie to nie obchodzi, bo wyroki to problem prokuratury. Ty potrzebujesz tylko liczby aresztowań.

Chcesz udowodnić, że w twoim sektorze jest coraz mniej narkotyków? Wyślij chłopaków na misję pod hasłem „szukaj i unikaj”, tak żeby nie znaleźli żadnych narkotyków.

To jest połowa ściemy. Inny sposób na manipulację liczbami to dać policjantom do zrozumienia, że powinni zmieniać kwalifikacje oskarżeń z przestępstw na wykroczenia. Oczywisty rabunek staje się

przywłaszczeniem, włamanie klasyfikuje się jako „stratę materialną”, gwałt jako „napaść o charakterze seksualnym”.

Ta dam! Przystępność spada.

Niewiarygodne!

– Jest epidemia heroiny – mówi Sykes. – A my jesteśmy na pierwszej linii.

Widocznie na ostatnim zebraniu poświęconym statystykom porządnie przytrzasnęli jaja inspektorowi McGivernowi, a ten przekazał swój ból Sykesowi, myśli Malone.

Zatem Sykes przekazuje go nam.

A my pošlemy go dalej, w stronę drobnych dilerów, ćpunów, którzy sprzedają, żeby zarobić na swoją działkę, i wypełnimy areszt po brzegi, aż po korytarzach spłynie rzeka rzygowin narkomanów na głodzie, i zasypimy wokandy sądów trzęsącymi się śmieciami, które przyznają się do wszystkiego i wrócą do więzienia, gdzie dostaną jeszcze więcej heroiny. Wyjdą nadal uzależnieni i cały cykl zacznie się od nowa.

Ale osiągniemy niezły wynik.

Ci w garniturach z Komendy Głównej mogą mówić, ile tylko chcą, że nie ma żadnych wymaganych poziomów statystyk, ale każdy gliniarz wie, że są. Kiedyś, w czasach „rozbitej szyby”, pisali wezwania za wszystko – włóczęgostwo, śmiecenie, przeskakiwanie przez kołowrót w metrze, nieprzepisowe parkowanie – zgodnie z teorią, że jeśli drobne wykroczenia nie będą ścigane, ludzie uznają, że można się dopuszczać poważniejszych występków.

Wypisywali więc mnóstwo bzdurnych wezwań, przez co mnóstwo nieszczęśników musiało brać wolne w pracy, choć nie mogli sobie na to pozwolić, żeby pójść do sądów i zapłacić grzywny, na które nie było ich stać. Niektórzy nie stawiali się w sądzie, więc wydawano na nich nakaz

aresztowania, przez co wykroczenia urastały do rangi przestępstw, i tym ludziom groziła odsiadka za wyrzucenie na chodnik papierka po gumie do żucia.

To wzbudziło mnóstwo złości na policję.

A potem nadeszła „epoka kodu dwieście pięćdziesiąt”.

Prawo do zatrzymania i obszukania.

Zasadniczo oznaczało to, że jeśli zobaczyło się na ulicy czarnego chłopaka, należało go zatrzymać i obszukać. To również wzbudziło mnóstwo niechęci i negatywnej uwagi mediów, więc tego też już nie robimy.

Tylko że robimy.

A teraz wymagane statystyki, które rzekomo nie istnieją, dotyczą heroiny.

– Kooperacja – mówi Sykes – oraz koordynacja sprawiają, że jesteśmy jednostką do zadań specjalnych, a nie zbiorem pojedynczych oddziałów, które przypadkiem mają siedzibę w tym samym miejscu. Musimy zatem pracować razem, panowie, i załatwić tę sprawę.

Gadaj zdrów, myśli Malone.

Sykes prawdopodobnie nie zdaje sobie sprawy, że właśnie wydał swoim ludziom sprzeczne instrukcje: mają korzystać ze swoich źródeł i dokonywać aresztowań za heroinę. On nie rozumie, że korzysta się ze źródeł, dając im narkotyki i NIE aresztując ich.

Oni dają ci informacje, a ty puszczasz ich wolno.

Tak to działa.

Czy jemu się wydaje, że diler będzie z tobą gadał z dobrego serca, którego i tak nie ma? Bo zechce być przykładnym obywatelem? Diler gada tylko za pieniądze albo za proszek, żeby wywinąć się z oskarżenia albo wyruchać drugiego dilera. Albo może dlatego, że ktoś pieprzy jego dziwkę.

I tyle.

Chłopaki z Da Force nie wyglądają na policjantów. Malone rozgląda się i myśli, że wyglądają raczej jak przestępcy.

Wtyczki przypominają narkomanów albo handlarzy: bluzy z kapturem, workowate portki albo brudne dżinsy, sportowe buty. Ulubieniec Malone'a, czarny chłopak o przydomku Babyface, chowa się pod grubym kapturem i ssie wielki smoczek. Patrzy na Sykesa i dobrze wie, że szef nie zająknie się o tym ani słowem, bo Babyface dowiaduje się tego, czego ma się dowiedzieć.

Niemundurowi to miejscy piraci. Mają blaszane odznaki, ale nie złote, schowane pod czarnymi skórzanymi kurtkami, granatowymi dwurzędówkami i puchowymi kamizelkami. Noszą dżinsy, czyste, ale bez kantów, a od tenisówek wolą wsuwane skórzane buty do kostek.

Oprócz Boba „Kowboja” Bartletta, który nosi wieśniackie buty z wąskim czubem, „żeby lepiej wchodził w czarną dupę”. Bartlett nigdy nie był dalej na zachodzie niż w Jersey City, ale naśladuje akcent południowców i wkurza Malone'a, puszczając w szatni muzykę country-western.

Mundurowi też nie przypominają standardowych gliniarzy. Nie chodzi o to, w co są ubrani, ale o ich twarze. Na pierwszy rzut oka widać, że to dranie; krzywe uśmieшки mają przypięte do twarzy jak odznaki do piersi. Ci chłopcy zawsze są gotowi do akcji, gotowi zacząć tango tylko po to, żeby coś się działo.

Nawet kobiety mają charakterek. Nie ma ich wiele w Da Force, ale te, które są, nie znają litości. Są Tenelli i Emma Flynn, ostro tankująca (Irlandka, kto by pomyślał) imprezowa dziewczyna z seksualnym apetytem godnym rzymskiej cesarzowej. Wszystkie są twarde, a w sercach mają zdrową nienawiść.

Ale detektywi ze złotymi tarczami, jak Malone, Russo, Montague, Torres, Gallina, Ortiz, Tenelli, grają w zupełnie innej lidze. To najlepsi z najlepszych, obwieszeni medalami weterani. Każdy z nich ma na koncie głośne zatrzymania.

Detektywi z Task Force nie należą do mundurowych ani do niemundurowych, ani do wtyczek.

Są królami.

Ich królestwa nie składają się z pól i zamków, lecz z kwartałów miasta i wieżowców mieszkalnych, ze snobistycznych kamienic na Upper West Side i osiedli w Harlemie. Rządzą Broadwayem i West Endem, alejami Amsterdam, Lenox, St. Nicholas i Adam Clayton Powell, Central Parkiem i Riverside Parkiem, gdzie jamajskie niańki pchają wózki z dziećmi bogaczy i gdzie biegają przedsiębiorcy od start-upów, a także zaśmieconymi boiskami, na których gangi balują i handlują.

I lepiej, żebyśmy rządili żelazną ręką, myśli Malone, bo naszymi poddanymi są biali i czarni, Portorykańczycy i Dominikańczycy, Haitańczycy, Jamajczycy, Włosi, Irlandczycy, Żydzi, Chińczycy, Wietnamczycy, Koreańczycy. Oni wszyscy nienawidzą się nawzajem i pod nieobecność królów wybijałoby się jeszcze skuteczniej, niż robią to teraz.

Rządzimy gangami – Crips and Bloods, Trinitarios, Latin Lords, Dominicans Don't Play, Broad Day Shooters, Gun Clappin' Goonies, Goons on Deck (powracający motyw), From Da Zoo, Money Stackin' High, Mac Baller Brims, Folk Nation, Insane Gangster Crips, Addicted to Cash, Hot Boys, Get Money Boys.

Są też Włosi – rodziny Genovese, Luchese, Gambino, Cimino. Oni wszyscy kompletnie wyrwaliby się spod kontroli, gdyby nie było królów gotowych poucinać im głowy.

Rządzimy też w Da Force. Sykes myśli, że to on rządzi, a w każdym razie udaje, że tak myśli, ale tak naprawdę o wszystkim decydują królowie-detektywi. Wtyczki to nasi szpiedzy, mundurowi to nasza piechota, niemundurowi to nasi rycerze.

I nie zostaliśmy królami dlatego, że byli nimi nasi ojcowie. Zdobyliśmy korony własnym wysiłkiem, jak dawni wojownicy, którzy wywalczyli sobie drogę do tronu wyszczerbionymi mieczami, poprzez pocięte zbroje, rany i blizny. Zaczynaliśmy na tych ulicach z bronią, z pałkami i pięściami, z charakterem, z zimną krwią, z jajami i sprytem. Awansowaliśmy dzięki zdobytej w wielkim trudzie ulicznej mądrości. Zasłużyliśmy na szacunek za nasze zwycięstwa, a nawet za porażki. Zdobyliśmy reputację twardych, silnych, bezlitosnych i sprawiedliwych władców, którzy wymierzają twardą sprawiedliwość, z umiarem doprawiając ją miłosierdziem.

Taka jest rola króla.

Wymierzać sprawiedliwość.

Malone wie, jak ważne jest, by wyglądali na tych, kim są. Poddani oczekują, że król będzie wyglądał schludnie, że będzie się wyróżniał, że będzie miał styl i będzie po nim widać pieniądze. Na przykład Montague. Big Monty ubiera się jak profesor z Ligi Bluszczowej – tweedowe marynarki, kamizelki, dzianinowe krawaty – a do tego kapelusz trilby z czerwonym piórkiem. To wbrew stereotypom i przez to Monty jest groźny, bo przestępcy nie wiedzą, co o nim myśleć, a gdy dobiera się do nich w pokoju przesłuchań, wydaje im się, że rozmawiają z geniuszem.

Bo Monty zapewne jest geniuszem.

Malone widział, jak Monty wszedł do parku Morningside, gdzie czarni staruszkowie grają w szachy, rozegrał pięć partii jednocześnie i ze wszystkich wyszedł zwycięsko.

A potem oddał staruszkom pieniądze, które właśnie od nich wygrał.

To również był błysk geniuszu.

Russo jest ze starej szkoły. Nosi długi, czerwonobrazowy skórzany płaszcz w stylu lat osiemdziesiątych i dobrze w nim wygląda. Ale z drugiej strony Russo dobrze wygląda we wszystkim i potrafi się ubrać. Płaszcz retro, szyte na zamówienie włoskie garnitury, koszule z monogramami, buty od Magliego.

Strzyże się co piątek i goli dwa razy dziennie.

Gangsterski szyk – to ironiczny komentarz Russa na temat facetów, wśród których wyrastał, choć sam nigdy nie chciał się taki stać. Poszedł w drugą stronę. Żartuje, że jako policjant jest „białą owcą w rodzinie”.

Malone zawsze ubiera się na czarno. To jego znak rozpoznawczy.

Wszyscy detektywi z Da Force są królami, ale Malone – nic nie ujmując naszemu Panu i Zbawcy – jest królem królów.

Królestwem Malone’a jest północny Manhattan.

Jak każdego króla, poddani zarazem kochają i boją się go, szanują i nienawidzą, wychwalają i czują do niego wstręt. Ma lojalnych poddanych i rywali, pochlebców i krytyków, błaznów i doradców, ale nie ma prawdziwych przyjaciół.

Oprócz partnerów.

Russa i Monty’ego.

Jego braci-królów.

Oddałby za nich życie.

– Malone, znajdziesz dla mnie chwilę?

To Sykes.

## ROZDZIAŁ 3

– Jak na pewno wiesz – mówi Sykes w swoim gabinecie – prawie wszystko, co przed chwilą powiedziałem, to bzdury.

– Tak, sir – mówi Malone. – Zastanawiałem się tylko, czy pan o tym wie.

W uśmiechu Sykesa pojawia się jeszcze większe napięcie, choć Malone sądził, że to niemożliwe.

Kapitan uważa, że Malone jest arogantem.

Malone nie zamierza z tym dyskutować.

Gliniarz, który pracuje na tutejszych ulicach, musi być arogancki. Jeśli ci ludzie dostrzegą, że nie uważasz się za króla świata, to cię zabiją. Strzelą do ciebie i nasrają na rany. Niech Sykes sam wyjdzie na te ulice, niech sam robi naloty, niech przechodzi przez drzwi.

Sykes tego nie akceptuje, przy tym u detektywa sierżanta Dennisa Malone'a nie podoba mu się dużo więcej, choćby jego specyficzne poczucie humoru, tatuaże, encyklopedyczna znajomość tekstów hiphopowych. A najbardziej nie podoba mu się zdecydowane przekonanie Malone'a, że północny Manhattan to jego królestwo, a kapitan jest tu tylko turystą.

Pieprzyć go, myśli Malone.

Sykes nic nie może zrobić, bo w lipcu zeszłego roku Malone i jego oddział przejęli największą partię heroiny w historii miasta Nowy Jork. Trafili Diego Penę, dominikańskiego króla przemytników, na pięćdziesiąt kilo. To taka ilość, żeby wszyscy mężczyźni, kobiety i dzieci w tym mieście dostali działkę.

Przechwycili również prawie dwa miliony w gotówce.



Garnitury z Komendy Głównej nie były zachwycone tym, że Malone i jego oddział przeprowadzili całe śledztwo na własną rękę, nie włączając w nie nikogo innego. Wydział Narkotykowy był wściekły, DEA (Drug Enforcement Administration)<sup>[2]</sup> też. Ale pieprzyć ich wszystkich, myśli Malone.

Media wpadły w zachwyt.

Krzykliwe barwne nagłówki zajmowały całą szpaltę *Daily News* i *Post*. W każdej stacji telewizyjnej był to wiodący temat. Nawet *Times* pisał o tym na swoich miejskich stronach.

Toteż garnitury musiały robić dobrą minę do złej gry, pozując do zdjęć przy stertach heroiny.

Media ponownie wpadły w ekstazę we wrześniu, po wielkim nalocie Task Force na osiedla Grant i Manhattanville, w którym zgarnięto ponad setkę gangsterów z 3Staccs, Money Avenue Crew i Make It Happen Boys. Młodociany przestępca z tego ostatniego gangu postrzelił osiemnastoletnią gwiazdę koszykówki w odwecie za postrzelenie jednego z nich. Dziewczyna klęczała na schodach, błagając o darowanie życia i o szansę pójścia do college'u, który oferował jej pełne stypendium, ale nie dostała tej szansy.

Zostawili ją na podeście. Jej krew spływała po stopniach jak mały szkarłatny wodospad.

Gazety pełne były zdjęć Malone'a, jego oddziału i wszystkich innych z Task Force w chwili, gdy wyciągali zabójców z budynku, prowadząc ich w kierunku odsiadki bez prawa do wcześniejszego zwolnienia w więzieniu o zastrzonym rygorze w Attice, znanym na ulicy jako Świątynia Terroru.

A zatem mój oddział, myśli Malone, odpowiada za trzy czwarte istotnych aresztowań przeprowadzonych pod twoim dowództwem. Poważnych aresztowań pod poważnymi zarzutami, prowadzących do poważnych

wyroków. Tego nie widać w twoich statystykach, ale cholernie dobrze wiesz, że moja załoga miała udział w prawie wszystkich zatrzymaniach za zabójstwa związane z narkotykami i wszystkie te zatrzymania prowadziły do wyroków skazujących. Nie wspominając już o rozbojach, włamaniach, kradzieżach, przemocy domowej i gwałtach popełnianych przez uzależnionych i dilerów.

Zdjąłem z ulicy więcej złych ludzi niż rak i dobrze wiesz, że to właśnie mój oddział dociska pokrywkę na tym kociołku z gównem, żeby nie wykipiało.

Więc nawet jeśli czujesz się przeze mnie zagrożony, nawet jeśli wiesz, że tak naprawdę to ja, a nie ty, przewodzę Task Force, nigdzie mnie nie przeniesiesz, bo to dzięki mnie dobrze wyglądasz.

I o tym też wiesz.

Może nie lubisz swojego najlepszego gracza, ale nie pozbędziesz się go, bo to on dopisuje ci punkty na tablicy wyników.

Sykes nie może go tknąć.

– To była pokazówka dla tych w garniturach – mówi Sykes. – Heroina trafia na nagłówki. Musimy jakoś zareagować.

Malone zna fakty. Użycie heroiny w czarnych społecznościach spada, a nie rośnie. Detaliczny handel heroiną prowadzony przez czarne gangi też jest coraz mniejszy. Młodzi członkowie gangów obecnie specjalizują się w kradzieżach komórek lub w cyberprzestępstwach, głównie kradzieżach tożsamości i oszustwach związanych z kartami kredytowymi.

Każdy gliniarz z Brooklynu, Bronksu i północnego Manhattanu wie, że przemoc nie towarzyszy heroinie, tylko marihuanie. Chłopaki z rogów ulic walczą o to, kto i gdzie będzie sprzedawał niewinną trawkę.

– Jeśli możemy zlikwidować fabryki heroiny, to jak najbardziej je likwidujemy, ale ważniejsza jest dla mnie broń. Zależy mi na tym, żeby ci

młodzi durnie przestali zabijać siebie nawzajem i niewinnych ludzi na moich ulicach – mówi Sykes.

Broń i narkotyki to główne dania amerykańskiej przestępczości. Policja ma obsesję na punkcie heroiny, ale jeszcze większa obsesja dotyczy uwolnienia ulic z broni palnej. I są ku temu dobre powody, bo to właśnie policjanci muszą się zajmować zabójstwami i rannymi, zawiadamiać rodziny, pracować z nimi, starać się dla nich o sprawiedliwość.

A poza tym, oczywiście, to broń palna na ulicach zabija policjantów.

Durnie z NRA – Narodowego Stowarzyszenia Strzeleckiego Ameryki – powtarzają, że to nie broń zabija, tylko ludzie. Tak, myśli Malone. Ludzie z bronią.

Jasne, istnieją też noże i śmiertelne pobicia, ale bez broni statystyki zabójstw byłyby nieporównanie mniejsze. A większość z tych kurewskich kongresmenów, którzy chodzą na zebrania NRA wypachnieni i w wytwornych strojach, nigdy nie widziała zabójstwa z broni palnej ani nawet kogoś, kto został postrzelony.

Policjanci widzieli i widzą przez cały czas.

Nie wygląda to ładnie. Absolutnie nie wygląda to ani nie pachnie tak jak w filmach. Ci pajace, którzy uważają, że najlepszym rozwiązaniem jest uzbroić wszystkich, żeby można było na przykład zastrzelić kogoś w ciemnym kinie, nigdy nie stali przed lufą pistoletu, a gdyby stanęli, natychmiast by się zesrali w portki.

Mówią, że chodzi o drugą poprawkę do konstytucji i o prawa człowieka, ale tak naprawdę chodzi o pieniądze. Producenci broni, którzy w przeważającej części finansują NRA, chcą sprzedawać broń i zarabiać pieniądze.

I to już koniec tej kurewskiej historii.

Miasto Nowy Jork ma najbardziej restrykcyjne prawo dotyczące broni palnej w całym kraju, ale nic to nie daje, bo broń dociera tu z zewnątrz, tak zwanym Żelaznym Szlakiem. Pośrednicy kupują ją przez podstawionych ludzi w stanach, gdzie prawo nie jest tak restrykcyjne – w Teksasie, Arizonie, Alabamie, obu Karolinach – a potem przewożą autostradą numer 95 do miast w Nowej Anglii i w ogóle na całym północnym wschodzie kraju.

Te błazny z Południa uwielbiają się rozwodzić nad przestępczością w wielkich miastach, myśli Malone, i albo nie wiedzą, albo nic ich to nie obchodzi, że broń pochodzi z ich stanów.

Co najmniej czterech policjantów z Nowego Jorku zginęło od broni, która przybyła do miasta Żelaznym Szlakiem.

Nie wspominając już o chłopakach z rogów ulic i przypadkowych przechodniach.

Gabinet burmistrza, policja, wszyscy bardzo chcą uwolnić ulice od broni. Policja nawet ją odkupuje, nie zadaje żadnych pytań, płaci gotówką i dodaje kartę upominkową. Przynosisz broń palną, my się do ciebie uśmiechamy i dajemy ci dwieście dolarów w banknotach za pistolety i karabiny automatyczne, a dwadzieścia pięć za strzelby, karabiny i broń pneumatyczną.

Ostatni skup w kościele przy Sto Dwudziestej Dziewiątej i bulwarze Adama Clayтона Powella przyniósł czterdzieści osiem rewolwerów, siedemnaście pistoletów półautomatycznych, trzy karabiny, jedną strzelbę i jeden AR-15.

Malone nie ma nic przeciwko temu. Ta broń w każdym razie zniknie z ulic. A gdy broń znika z ulic, policjantowi łatwiej jest osiągnąć cel numer jeden – wrócić do domu po zmianie. Kiedy Malone zaczynał tę robotę, pewien stary wyga powiedział mu:

– Twoje najważniejsze zadanie to wrócić do domu po zmianie.

A teraz Sykes pyta:

– Na czym stoimy z DeVonem Carterem?

DeVon Carter to narkotykowy król północnego Manhattanu. Nazywany jest Ostatnim Zbawcą, wywodzi się z dynastii królów Harlemu pochodzącej od Bumpy’ego Johnsona, Franka Lucasa i Nicky’ego Barnes’a.

Większość jego dochodów pochodzi z fabryk heroiny, które tak naprawdę są centrami dystrybucji rozsyłającymi towar do Nowej Anglii, mniejszych miejscowości w górze rzeki Hudson i na południe, do Filadelfii, Baltimore i Waszyngtonu.

Coś w rodzaju narkotykowego Amazonu.

DeVon Carter jest inteligentny, ma dobrą strategię i odizolował się od codziennych operacji. Nawet się nie zbliża do narkotyków ani do miejsc, gdzie są sprzedawane. Wszystkie jego kontakty są filtrowane przez garstkę podwładnych, którzy rozmawiają z nim osobiście, nigdy przez telefon ani przez mejla.

Da Force nie udało się umieścić informatora w grupie Cartera, bo Ostatni Zbawca dopuszcza do wewnętrznego kręgu tylko starych przyjaciół i bliską rodzinę. Nawet gdyby ich zgarnąć, woleliby iść siedzieć, niż go wsypać, bo odsiadka pozwoliłaby im ujść z życiem.

To naprawdę wkurzające. Task Force może zgarnąć tylu ulicznych dilerów, ilu tylko zechce, wtyczki przez cały czas robią kontrolowane zakupy, ale to są obrotowe drzwi: kilku gangsterów trafia do Rikers, a inni już czekają w kolejce, żeby zająć ich miejsce.

Ale Cartera dotychczas nie udało się tknąć.

– Mamy informatorów na ulicach – mówi Malone. – I czasami udaje się go namierzyć, ale co z tego? Bez podsłuchu nic mu nie zrobimy.

Carter jest właścicielem lub częściowym właścicielem ponad dziesięciu klubów, sklepów spożywczych, apartamentowców, łodzi i Bóg wie czego jeszcze. Nigdy nie wiadomo, gdzie się akurat pojawi. Gdyby udało się założyć podsłuch w którymś z tych miejsc, to może zdobyliby wystarczające podstawy, żeby go zgarnąć.

To klasyczne błędne koło. Bez uzasadnienia nie można dostać pozwolenia na założenie podsłuchu, ale bez pozwolenia nie uda się uzyskać uzasadnienia. Malone nie musi o tym wszystkim wspominać. Sykes i tak to wie.

– Nasi wywiadowcy – mówi Sykes – twierdzą, że Carter negocjuje duży zakup broni. Chodzi o duży kaliber, o karabiny automatyczne, pistolety automatyczne, nawet wyrzutnie raketowe.

– Skąd pan o tym wie?

– Nie jesteś jedynym człowiekiem w tym budynku, który coś robi, choć może tak ci się wydaje – odpowiada Sykes. – Skoro Carter potrzebuje tego rodzaju broni, to znaczy, że zamierza wydać wojnę Dominikańczykom.

– Zgadzam się.

– To dobrze – mówi Sykes. – Nie chcę, żeby ta wojna odbywała się na moim terenie. Nie chcę widzieć takiego rozlewu krwi. Trzeba powstrzymać ten transport.

No tak, myśli Malone. Chcesz go powstrzymać, ale na swój sposób, czyli „żadnych kowbojskich akcji, nielegalnych podsłuchów, uderzeń zapobiegawczych, żadnych przecieków”. Słyszał już to wszystko wcześniej.

– Wychowałem się na Brooklynie – mówi Sykes. – Na osiedlu Marcy.

Malone zna tę historię. Było o tym w gazetach, nadal jest też na stronie internetowej policji:

*Z blokowisk na komisariat – czarny policjant kiedyś należał do gangu, teraz zajmuje ważne stanowisko w NYPD.*

O tym, jak Sykes zmienił swoje życie o sto osiemdziesiąt stopni, otrzymał stypendium Uniwersytetu Browna, a potem wrócił do domu, żeby zmieniać świat.

Malone nie ma zamiaru popłakać się ze wzruszenia.

Ale czarnemu policjantowi na wysokim stanowisku z pewnością nie jest łatwo, bo każdy widzi go inaczej. Dla mieszkańców rejonu nie jest całkiem czarny, a dla gliniarzy w komisariacie nie jest całkiem niebieski. Malone zastanawia się, kim Sykes jest dla samego siebie i czy w ogóle wie, kim jest. Musi to być trudne, szczególnie teraz, kiedy tyle się gada o rasizmie.

– Wiem, co o mnie myślisz – mówi Sykes. – Pusty garnitur. Czarny karierowicz. Myślisz, że tylko czekam na chwilę, kiedy uda mi się wskoczyć na następny, wyższy stołek.

– Jeśli mamy rozmawiać szczerze, to ma pan sporo racji, sir.

– Ci w garniturach chcą, żeby północny Manhattan stał się bezpiecznym miejscem dla białych pieniędzy. A ja chcę, żeby był bezpieczny dla czarnych ludzi. Czy to dla ciebie wystarczająco szczerze?

– Może być.

– Wiem, że wydaje ci się, że jesteś nietykalny, bo zdjąłeś Penę i masz na koncie parę innych heroicznych wyczynów, że chroni cię McGivern i irlandzko-włoski klub z siedzibą w Komendzie Głównej. Ale coś ci powiem, Malone. Trochę niżej masz wrogów, którzy tylko czekają, aż się poślizniesz na skórcie od banana, a wtedy z radością się po tobie przespacerują.

– A pan na to nie czeka?

– Akurat teraz jesteś mi potrzebny – odpowiada Sykes. – Potrzebuję ciebie i twojego oddziału, żeby DeVon Carter nie zmienił moich ulic

w rzeźnie. Jeśli to dla mnie zrobisz, to tak, wtedy wskoczę na wyższy stółek i zostawię cię tutaj, w tym twoim małym królestwie. Ale jeśli tego nie zrobisz, staniesz się tylko białym wrzodem na mojej czarnej dupie i przeniosę cię tak daleko od północnego Manhattanu, że będziesz wkładał do pracy sombrero.

Spróbuj tylko, skurwysynu, myśli Malone.

Spróbuj, a przekonasz się, co wtedy będzie.

Ale najgorsze ze wszystkiego jest to, że obydwaj dążą do tego samego. Nie chcą, żeby ta broń trafiła na ulice.

I to są moje ulice, myśli Malone, a nie twoje.

– Mogę zatrzymać ten transport – mówi. – Ale nie jestem pewien, czy mogę go zatrzymać regulaminowo.

A zatem jak bardzo ci na tym zależy, Sykes?

Malone siedzi i patrzy na kapitana, który zastanawia się, czy powinien zawrzeć pakt z diabłem, i w końcu mówi:

– Potrzebuję raportów, sierżancie. I wszystko, co się znajdzie w raporcie, ma być zgodne z prawem. Chcę wiedzieć, na czym stoisz i co robisz. Rozumiemy się?

Doskonale się rozumiemy, myśli Malone.

Wszyscy jesteśmy umoczeni.

Tylko każdy na swój własny sposób.

Poza tym to jest gałązka oliwna. Jeśli dojdzie do przejęcia transportu, tym razem wezmę cię ze sobą. Będziesz robił za gwiazdę w filmach, twoje zdjęcie znajdzie się w *Post* i dostaniesz kopa w górę. I dopóki tak się nie stanie, nikogo nie będą obchodzić statystyki północnego Manhattanu.

– Wesołych świąt, kapitanie – mówi Malone.

– Wesołych świąt, Malone.



## ROZDZIAŁ 4

Malone rozpoczął rundkę z indykiem jakieś pięć lat temu, gdy powstało Task Force, i uznał, że przydałoby im się trochę pozytywnego rozgłosu w okolicy.

I tak wszyscy znają detektywów z Da Force, więc nie zaszkodzi okazać trochę życzliwości i dobrej woli. Nigdy nie wiadomo, kiedy jakiś dzieciak, który w Boże Narodzenie zjadł indyka i dzięki temu nie chodził głodny, wyświadczy ci przysługę i da jakąś wskazówkę.

Malone szczyci się tym, że osobiście finansuje indyki. Lou Savino i mafia z Pleasant Avenue z wielką radością oddaliby mu indyki, które spadły z samochodów dostawczych, ale Malone wie, że miejscowi natychmiast by się o tym dowiedzieli. Toteż przyjmuje zniżkę od hurtownika żywności, który w zamian nie dostaje mandatów za nieprawidłowo zaparkowane ciężarówki, ale resztę kosztów pokrywa z własnych pieniędzy.

Do cholery, jeden porządny nalot wystarczy, żeby to pokryć z nawiązką.

Malone nie ma złudzeń i doskonale wie, że ci sami ludzie, którzy przyjmują od niego indyki, już pojutrze będą zrzucać na niego z górnych pięter wieżowców pocztę lotniczą – butelki, puszki, brudne podpaski. Raz ktoś wyrzucił z dziewiętnastego piętra cały klimatyzator, który o centymetr minął jego głowę.

Rundka z indykiem to tylko chwilowe zawieszenie broni.

Idzie do szatni, gdzie Big Monty przebiera się w kostium Świętego Mikołaja.

– Dobrze wyglądasz – śmieje się Malone.

W gruncie rzeczy Monty wygląda absurdalnie – wielki czarny mężczyzna, który zazwyczaj zachowuje się z godnością i rezerwą, w czerwonej czapce Świętego Mikołaja i z długą brodą.

– Czarny Mikołaj?

– Wielokulturowość – mówi Malone. – Czytałem o tym na naszej stronie internetowej.

– Tak czy owak – mówi Russo – nie jesteś Świętym Mikołajem, tylko skrakowanym Mikołajem. Taki Mikołaj musi tu być czarny. A do tego masz brzuch.

– To nie moja wina, że za każdym razem, kiedy pieprzę twoją żonę, ona mi robi kanapkę – odpowiada Montague.

– To i tak dostajesz od niej więcej niż ja – śmieje się Russo.

Kiedyś to Billy O odgrywał Świętego Mikołaja, chociaż był chudy jak tyczka. Uwielbiał to. Wpychał sobie poduszkę pod kostium, żartował z dziećmi i rozdawał indyki. Teraz ta rola przypadła Monty’emu, mimo że jest czarny.

Monty poprawia brodę i patrzy na Malone’a.

– Przecież wiesz, że oni sprzedają te indyki. Równie dobrze moglibyśmy wyeliminować pośrednika i rozdawać im od razu cracka.

Malone wie, że nie wszystkie indyki trafią na stół. Wiele z nich zostanie spalonych, wciągniętych nosem albo wstrzykniętych w żyłę. Te indyki trafią do dilerów, którzy sprzedadzą je sklepikom spożywczym, które z kolei wystawią je na półki i zarobią. Ale większość zostanie wykorzystana zgodnie z przeznaczeniem, a życie jest grą opartą na statystyce. Niektóre dzieciaki dostaną dzięki tym indykom świąteczny obiad, a inne nie.

To musi wystarczyć.

DeVon Carter uważa, że to w żadnym razie nie wystarcza. Śmiał się z indyczej rundki Malone'a.

To było jakiś miesiąc temu.

Malone, Russo i Monty siedzieli przy lunchu w Sylvia's. Każdy z nich miał przed sobą porcję duszonych skrzydeł z indyka. Naraz Monty podniósł głowę i powiedział:

– Zgadnijcie, kto tu jest.

Malone spojrzał w stronę baru i zauważył DeVona Cartera.

– Chcecie wziąć rachunek i wyjść? – zapytał Russo.

– Nie ma powodu zachowywać się nieprzyjaźnie – odrzekł Malone. – Chyba podejść i się z nim przywitam.

Podniósł się z miejsca. Dwóch z obstawy mafiosa zastąpiło mu drogę, ale machnął na nich ręką, żeby się odsunęli. Malone usiadł na stołku obok Cartera.

– DeVon Carter – powiedział. – Jestem Denny Malone.

– Wiem, kim jesteś. Masz jakiś problem?

– Jeśli ty nie masz problemu, to ja też nie. Pomyślałem tylko, że skoro już znaleźliśmy się w tym samym miejscu, to może poznamy się osobiście.

Carter wyglądał dobrze, jak zawsze. Szary kaszmirowy golf od Brioniego, grafitowe spodnie od Ralpa Laurena, okulary w dużych oprawkach od Gucciego.

Sala ucichła. Największy hurtownik narkotyków w Harlemie i policjant, który próbuje go dopaść, siedzieli obok siebie.

– Prawdę mówiąc, właśnie się z ciebie śmialiśmy – powiedział Carter.

– Tak? A co we mnie takiego zabawnego?

– Ta rundka z indykiem. Dajesz ludziom indycze nóżki. Ja im daję pieniądze i proszek. Jak myślisz, który z nas wygra?

– Właściwe pytanie brzmi: kto wygra, ty czy Dominikańczycy? – odrzekł Malone.

Nalot na Penę trochę przyhamował Dominikańczyków, ale to było chwilowe. Niektóre z gangów Cartera zaczęły już rozważać przejście na stronę tamtych, obawiając się, że Dominikańczycy mają przewagę liczebną i w uzbrojeniu, no i że mogą przejąć rynek marihuany.

Carter handluje różnymi narkotykami, bo musi. Oprócz heroiny, która w większości wychodzi z miasta albo trafia do białych klientów, sprzedaje też kokę i marihuanę, bo po to, żeby utrzymać biznes heroinowy, który przynosi mu pieniądze, potrzebuje swojego wojska. Potrzebuje ochrony, mułów, pośredników. Potrzebuje gangów.

Gangi muszą zarabiać, muszą jeść.

Carter nie ma wyboru. Musi pozwolić swoim gangom na handel ziołem, bo jeśli tego nie zrobi, zrobią to Dominikańczycy i przejmą cały biznes. Wykupią gangi Cartera albo zetrą je z mapy, bo bez pieniędzy z marihuany gangi nie będą mogły kupić broni i staną się łatwym celem.

Cała piramida się zawali, zaczynając od dołu.

Malone'a niewiele by obchodził handel marihuaną, gdyby nie to, że siedemdziesiąt procent morderstw na północnym Manhattanie ma związek z narkotykami.

Są zatem latynoskie gangi, które walczą ze sobą, są czarne gangi, które walczą ze sobą, i w miarę jak eskaluje walka między ich szefami, którzy robią wielkie pieniądze na heroinie, coraz częściej czarne gangi walczą z latynoskimi.

– Wyświadczyłeś mi przysługę, zdejmując Penę – powiedział Carter.

– I nie dostałem za to nawet koszyka muffinów.

– Słyszałem, że całkiem nieźle ci się to opłaciło.

Malone poczuł dreszcz na plecach, ale nawet nie mrugnął.

– Po każdym większym nalocie ludzie gadają, że gliniarze coś dla siebie uszczknęli.

– Bo zawsze tak robią.

– Jest coś, czego nie rozumiesz – mówi Malone. – Kiedyś młodzi czarni mężczyźni zbierali bawełnę, a teraz wy sami jesteście bawełną. Surowcem wrzucanym do maszyny. Całymi tysiącami, każdego dnia.

– Kompleks więziennie-przemysłowy – odrzekł Carter. – To ja pokrywam twoją pensję.

– Nie sądz, że jestem niewdzięczny, ale gdyby nie ty, byłby ktoś inny. Jak myślisz, dlaczego nazywają cię Ostatnim Zbawcą? Bo jesteś czarny i samotny. Takich jak ty już nie ma. Kiedyś biali politycy całowali cię w tyłek, żeby dostać twoje głosy, ale już tego nie robią, bo cię nie potrzebują. Teraz całują w tyłek Latynosów, Azjatów, Hindusów. Kurwa, nawet muzułmanie mają większą siłę przebicia niż ty. Jesteś na wylocie.

Carter uśmiechnął się.

– Gdybym dostawał dziesięć centów za każdym razem, kiedy to słyszałem...

– Byłeś ostatnio na Pleasant Avenue? – zapytał Malone. – Cała jest chińska. W Inwood albo w Heights? Z dnia na dzień coraz więcej tam Latynosów. Twój ludzie w Ville i Grant zaczynają kupować od Domosów. Niedługo stracisz nawet St. Nicholas. Dominikańczycy, Meksykanie, Portorykańczycy, oni wszyscy mówią tym samym językiem, to samo jedzą, słuchają tej samej muzyki. Sprzedają ci towar, ale żeby wejść w partnerstwo? Zapomnij. Meksykanie dają miejscowym ceny hurtowe, jakich nie dadzą tobie. A ty w żaden sposób z nimi nie wygrasz, bo ćpun jest lojalny tylko wobec własnej żyły.

– Stawiasz na Dominikańczyków? – zapytał Carter.

– Stawiam na siebie – odpowiedział Malone. – Wiesz dlaczego? Bo maszyna przez cały czas miele.

Później tego samego dnia na komisariat przyniesiono koszyk muffinów przeznaczony dla Malone'a. Do koszyka dołączona była karteczka z ceną: czterdzieści dziewięć dolarów i dziewięćdziesiąt pięć centów, czyli o pięć centów poniżej granicy cenowej, do której policjant może przyjąć prezent.

Kapitan Sykes nie wyglądał na ubawionego.

Teraz Malone jedzie przez Lenox. Siedzi na pace dostawczaka, drzwi są otwarte, Monty pokrzykuje:

– Ho, ho, ho!

A Malone rozdaje indyki z błogosławieństwem:

– Niech Da Force będzie z tobą!

To nieoficjalne zawołanie jednostki.

Też nie podoba się Sykesowi, który uważa, że jest „zbyt frywolne”. Kapitan nie rozumie, że bycie policjantem w tej części miasta to po części show-biznes. Nie są przecież tajniakami. Wtyczki pracują dla nich, ale wtyczki nie robią nalotów.

To my robimy naloty, myśli Malone, i w niektórych gazetach pojawiają się zdjęcia naszych uśmiechniętych twarzy. Sykes nie rozumie, że musimy zaznaczyć naszą obecność w tym miejscu. Musimy stworzyć sobie wizerunek i zgodnie z tym wizerunkiem Da Force ma być z ludźmi, a nie przeciwko nim.

Oprócz tych, którzy handlują proszkiem, napadają na innych, gwałcą kobiety, strzelają z samochodów. Tym Da Force z pewnością dobierze się do tyłka.

W tę albo we w tę.

A tutejsi i tak nas znają.

Odkrzykują:

- Pieprzyć Da Force!
- Dawajcie, sukinsyny, tego kurewskiego indyka!
- Dlaczego nie rozdajecie wieprzowiny, świnie?

Malone się śmieje. To tylko popisy, a większość ludzi nie mówi nic albo po cichu dziękuje. Bo większość tutejszych mieszkańców to dobrzy ludzie, którzy próbują jakoś się utrzymać i wychować dzieci, jak wszyscy.

Tak jak Montague.

Ten wielki facet zbyt wiele dźwiga na barkach, myśli Malone. Mieszka w Savoy Apartments z żoną i trzema synami. Najstarszy dorasta już do tego wieku, kiedy chłopaka albo udaje się zachować, albo traci się go na rzecz ulicy, i Montague coraz bardziej martwi się tym, że spędza za dużo czasu z dala od synów. Ot, choćby dzisiaj chciał spędzić Wigilię Bożego Narodzenia w domu, z rodziną, a tymczasem wypełnia obowiązek ojca i zarabia na college dzieciaków.

To najlepsze, co można zrobić dla swoich dzieci – wypełniać obowiązki ojca.

Synowie Montague'a to dobrzy chłopcy, myśli Malone. Inteligentni, uprzejmi, odnoszą się do innych z szacunkiem.

Malone jest dla nich „wujkiem Denny”.

Jest też ich opiekunem prawnym. On i Sheila są opiekunami dzieci Monty'ego i dzieci Russa. Jeśli Montague'owie i Russowie wychodzą razem na kolację, co czasem się zdarza, Malone żartuje, że nie powinni jechać tym samym samochodem, żeby nie spadła mu na głowę szóstka dzieci.

Phil i Donna Russowie są prawnymi opiekunami dzieci Malone'a. Gdyby Denny i Sheila zginęli w katastrofie samolotu czy coś w tym rodzaju – co od jakiegoś czasu staje się coraz mniej prawdopodobne – John i Caitlin zamieszkaliby z rodziną Russo.

Nie chodzi o to, że Malone nie ufa Montague'owi. Jest chyba najlepszym ojcem, jakiego Malone widział, ale Phil jest jego bratem. Obydwaj pochodzą ze Staten Island i są nie tylko partnerami, ale też najbliższymi przyjaciółmi. Razem się wychowali, razem chodzili do akademii. Malone nie potrafiłby policzyć, ile razy ten gładki makaroniarz ratował mu życie, a Malone odwdzięczał mu się tym samym.

Dałby się postrzelić za Russa.

Za Monty'ego też.

A teraz Monty'ego dręczy dzieciak, taki mniej więcej ośmioletni:

– Mikołaj nie pali żadnych pierdolonych cygar.

– Ten Mikołaj pali. I nie wyrażaj się tak.

– Bo co?

– Chcesz indyka czy nie? – pyta Monty. – To nie podskakuj.

– Mikołaj tak nie mówi.

– Zostaw Mikołaja w spokoju i bierz indyka. – Do dostawczaka podchodzi wielebny Cornelius Hampton. Tłum rozstępuje się przed nim jak Morze Czerwone, o którym zawsze opowiada w kazaniach opartych na słowach „wypuść mój lud”.

Malone patrzy na słynną twarz, chemicznie wyprostowane siwe włosy, maskę łagodności. Hampton jest lokalnym aktywistą, obrońcą praw obywatelskich, częstym gościem w telewizyjnych talk-show w CNN i MSNBC.

Wielebny Hampton jeszcze nigdy nie widział kamery, która by mu się nie podobała, myśli Malone. Hampton dostaje więcej czasu telewizyjnego niż sędzia Judy.

Monty podaje mu indyka.

– Dla Kościoła, wielebny.

– Nie ten indyk – mówi Malone. – Tamten.



Sięga za plecy, wybiera indyka i podaje Hamptonowi.

– Ten jest tłusciejszy.

A także cięższy, bo nafaszerowany.

Dwadzieścia tysięcy w gotówce wetknięte w kuper indyka za sprawą Lou Savina, który w Harlemie jest capo rodziny Cimino i chłopców z Pleasant Avenue.

– Dziękuję, sierżancie Malone – mówi Hampton. – Nakarmię tym biednych i bezdomnych.

Aha, myśli Malone. Może chociaż częścią tego.

– Wesołych świąt – mówi Hampton.

– Wesołych świąt.

Malone zauważa Śmierdziela.

Podryguje na skraju otaczającej ich grupki, chowając długą chudą szyję w kołnierzu puchowej kurtki, którą Malone mu kupił, żeby nie zamarznął na śmierć na tych ulicach.

Śmierdziel to jeden z informatorów Malone'a, jego specjalny kapuś, choć Malone nigdy nie założył mu oficjalnej teczki. Narkoman i drobny diler, zwykle ma dobre informacje. Swój uliczny przydomek zawdzięcza temu, że zawsze śmierdzi, jakby przed chwilą wyszedł z kibla. Jeśli to możliwe, lepiej z nim rozmawiać na świeżym powietrzu.

Podchodzi teraz na tył dostawczaka, trzęsąc się z zimna albo dlatego, że jest na głodzie. Malone podaje mu indyka, choć nie ma najmniejszego pojęcia, gdzie Śmierdziel go upiecze, bo zwykle sypia na melinach.

– Sto Osiemdziesiąta Czwarta dwieście osiemnaście. Koło jedenastej.

– Co on tam będzie robił? – pyta Malone.

– Moczył fiuta.

– Jesteś pewny?

– Sto procent. Sam mi powiedział.

– Jak się okaże, że to prawda, to będziesz bogatszy – mówi Malone. –  
I na rany boskie, znajdź wreszcie, kurwa, jakąś toaletę, co?

– Wesołych świąt – mówi Śmierdziel i odchodzi z indykiem.

Może uda mu się go sprzedać, myśli Malone, i kupi sobie działkę, która przywróci mu równowagę.

Jakiś mężczyzna na chodniku wrzeszczy:

– Nie chcę żadnego indyka od gliniarzy! Michael Bennett już nie zje,  
kurwa, żadnego indyka, nie?

No tak, to prawda, myśli Malone.

Naga prawda.

A potem zauważa Marcusa Sayera.

Twarz chłopaka jest opuchnięta i purpurowa, dolna warga rozcięta. Prosi  
o indyka.

Matka Marcusa, leniwa tłusta kretynka, uchyla drzwi i widzi złotą  
odznakę.

– Wpuść mnie, Lavelle – mówi Malone. – Mam dla ciebie indyka.

I rzeczywiście pod pachą trzyma indyka, a za rękę ośmioletniego  
Marcusa.

Lavelle zdejmuje łańcuch i otwiera drzwi.

– Coś ty narozrabiał? Marcus, co zrobiłeś?

Malone wypycha Marcusa naprzód i wchodzi do środka. Kładzie indyka  
w kuchni na blacie ledwie widocznym między pustymi butelkami,  
popielniczkami i ogólnym brudem.

– Gdzie jest Dante? – pyta.

– Śpi.

Malone podciąga kurtkę i koszulę w kratę, w które ubrany jest Marcus,  
i pokazuje pręgi na plecach chłopca.

– Dante to zrobił? – pyta.

– A co Marcus powiedział? – odpowiada Lavelle.

– Nic mi nie powiedział.

Dante wychodzi z sypialni. Najnowszy mężczyzna Lavelle jest napakowany i ma chyba ze dwa metry – dwa metry mięśni i podłości. Jest pijany, oczy ma zażółcone i przekrwione. Staje nad Malone'em.

– Czego chcesz?

– Mówiłem ci, co zrobię, jak jeszcze raz pobijesz tego chłopaka?

– Mówiłeś, że złamiesz mi rękę.

Malone obraca w rękę pałkę i opuszcza ją na prawy nadgarstek Dantego. Kość pęka jak patyczek od lizaka. Dante ryczy i bierze zamach lewą ręką. Malone uchyla się, przykuca i uderza pałką po łydkach, a Dante pada jak powalone drzewo.

– No to masz – mówi Malone.

– To brutalność policji!

Malone przydeptuje szyję Dantego, a drugą nogą kopie go w tyłek – mocno, trzy razy.

– Widzisz tu jakiegoś Ala Sharptona? Ekipy telewizyjne? A może Lavelle nagrywa na komórkę? Jak nie ma włączonych kamer, to nie ma żadnej brutalności policji.

– Ten chłopak mnie obraził – jęczy Dante. – Trzeba go było nauczyć dyscypliny.

Marcus stoi obok i patrzy na tę scenę szeroko otwartymi oczami. Jeszcze nigdy nie widział, żeby ktoś wygrał z wielkim Dantem, i widać, że mu się to podoba. Lavelle wie tylko, że gdy gliniarz wyjdzie, ona znowu oberwie.

Malone mocniej przyciska nogę.

– Jak jeszcze raz zobaczę go z siniakami i z pręgami na plecach, to ciebie nauczę dyscypliny. Wepchnę ci tę pałkę w dupę tak, że wyjdzie ustami.

A potem razem z Big Montym zalejemy ci nogi cementem i wrzucimy do Zatoki Jamajskiej. A teraz wynoś się. Już tu nie mieszkasz.

– Nie będziesz mi mówił, gdzie mam mieszkać!

– Właśnie ci powiedziałem. – Malone podnosi lewą nogę z szyi Dantego.

– Dlaczego jeszcze tu leżysz, skurwysynu?

Dante wstaje. Zdrową ręką obejmuje złamany nadgarstek i krzywi się z bólu.

Malone rzuca mu kurtkę.

– A buty? – pyta Dante. – Są w sypialni.

– Idź boso – mówi Malone. – Idź boso po śniegu na oddział ratunkowy i opowiedz im, co się przytrafia dorosłym facetom, którzy biją małych chłopców.

Dante wywleka się za drzwi.

Malone wie, że dziś wieczorem cała okolica będzie o tym mówić. Nowiny rozejdą się szybko. Może bije się dzieci na Brooklynie albo w Queens, ale nie na północnym Manhattanie, nie w królestwie Malone'a.

Spogląda na Lavelle.

– Co z tobą nie tak?

– Ja też potrzebuję miłości.

– Kochaj swoje dziecko – mówi Malone. – Jak jeszcze raz coś takiego zobaczę, to pójdziesz do więzienia, a on do rodziny zastępczej. Tego chcesz?

– Nie.

– To weź się w garść. – Wyjmuje z kieszeni dwadzieścia dolarów. – To nie jest na słodycze dla ciebie. Masz jeszcze czas zrobić zakupy i położyć mu coś pod choinką.

– Nie mam choinki.

– Tak się mówi.

Jezu Chryste.

Przykuca przed Marcusem.

– Jeśli ktoś cię skrzywdzi albo będzie ci groził, to masz przyjść do mnie, do Monty’ego, do Russa albo do kogokolwiek z Da Force. W porządku?

Marcus kiwa głową.

No, może, myśli Malone. Może jest jakaś szansa, że ten dzieciak nie będzie dorastał w nienawiści do wszystkich gliniarzy.

Malone nie jest głupi. Wie, że nie uda mu się całkowicie albo choćby w znaczącym stopniu zapobiec biciu dzieci na północnym Manhattanie. Ani zapobiec większości innych przestępstw. I dręczy go to, bo to jego boisko, jego odpowiedzialność. Jest odpowiedzialny za wszystko, co dzieje się na północnym Manhattanie. Wie, że to nie jest realistyczne podejście, ale tak właśnie czuje.

Król odpowiada za wszystko, co dzieje się w królestwie.

Znajduje Lou Savina w D’Amore przy Sto Szesnastej Ulicy. Kiedyś tę okolicę nazywano hiszpańskim Harlemem.

Wcześniej to był włoski Harlem.

Teraz powoli staje się azjatyckim Harlemem.

Malone ostrożnie podchodzi do baru.

Savino to capo w rodzinie Cimino, a jego ekipa pochodzi z dawnego rewiru Pleasant Avenue. Zajmują się wymuszeniami na budowach, infiltracją związków zawodowych, lichwą, hazardem, czyli zwykłą działalnością mafii. Ale Malone wie, że Lou handluje też narkotykami.

Ale nie na północnym Manhattanie.

Malone zapewnił Savina, że jeśli jego towar kiedykolwiek pojawi się w tej okolicy, wszystko może się zdarzyć i odbije się to rykoszetem na jego innych biznesach. Właśnie tak policja zawsze układała się z mafią. Gdy mafia chciała kontrolować prostytucję czy hazard – gry karciane, nielegalne

kasyna, gry liczbowe, zanim jeszcze państwo przejęło te rzeczy, nazwało je loterią i uczyniło z nich cnotę obywatelską – policjanci co miesiąc dostawali kopertę.

Nazywało się to „poduszka”.

Zwykle jeden policjant z każdego komisariatu był skarbnikiem. Zbierał daniny i rozdzielał je między kolegów. Patrolowi podrzucali działkę sierżantom, sierżanci porucznikom, porucznicy kapitanom, kapitanowie inspektorom, a inspektorowie szefom.

Każdy dostawał cukierka.

I prawie wszyscy uważali, że to czyste pieniądze.

Policjanci w tamtych czasach (cholera, myśli Malone, policjanci w TYCH czasach) rozróżniali „czyste” i „brudne” pieniądze. Czyste pieniądze pochodzą przede wszystkim z hazardu, brudne z narkotyków i z przestępstw przeciwko życiu i zdrowiu, w tych rzadkich wypadkach, gdy jakiś członek mafii próbował się wyłgać pieniędzmi z morderstwa, napadu z bronią w rękę, gwałtu albo napaści. Prawie każdy gliniarz weźmie czyste pieniądze, ale tylko nieliczni brali forszę splamioną krwią albo narkotykami.

Nawet mafia wie o tej różnicy i pogodziła się z tym, że ten sam gliniarz, który weźmie pieniądze z hazardu we wtorek, w czwartek zaaresztuje tego samego gangstera za handel heroiną albo zabójstwo.

Wszyscy znają zasady.

Lou Savino należy do tych członków mafii, którym wydaje się, że są na weselu, i nie uświadamiają sobie, że tak naprawdę jest to pogrzeb.

Modli się przy ołtarzu martwych fałszywych bożków.

Próbuje stworzyć sobie wizerunek gangstera, jacy jego zdaniem istnieli kiedyś, choć w gruncie rzeczy nie istnieli nigdy, może tylko w kinie. Ten fajansiarz bardzo chce być częścią czegoś, co istniało tylko w wyobrażeniach, a nawet i te wyblakły, już niemal się rozplynęły.

Facetom z pokolenia Savina podobały się filmy, które widzieli w kinie, i chcieli być tacy sami. Dlatego Lou nie próbuje naśladować Lefty'ego Ruggiera, tylko Ala Pacino, który grał Lefty'ego Ruggiera. Nie próbuje być Tommym DeSimone'em, tylko Joe Pescim grającym Tommy'ego DeSimone'a; nie Jakiem Amarim, tylko Jamesem Gandolfinim.

To były dobre filmy, myśli Malone, ale Jezu, Lou, to były tylko filmy! Ludzie jednak wciąż pokazują sobie miejsce o kilka przecznic stąd, gdzie Sonny Corleone pobił Carla Rizziego pokrywą kubła na śmieci, jakby to się zdarzyło naprawdę, a nie że jest to miejsce, gdzie Francis Ford Coppola sfilmował, jak James Caan udaje, że bije Gianniego Russa.

No tak, myśli Malone, każda instytucja karmi się własną mitologią. NYPD też.

Savino ubrany jest w czarną jedwabną koszulę i perłowszarą marynarkę od Armaniego. Siedzi i popija seven and seven. Malone nie jest w stanie zrozumieć, po jaką cholere ludzie dolewają słodkiego napoju do dobrej whisky, ale cóż, są gusta i guściki.

– Hej, to nasz gliniarz *de tutti* gliniarze! – Savino podnosi się i obdarza go uściskiem. Koperta gładko przechodzi z kieszeni jego marynarki do kieszeni Malone'a. – Wesołych świąt, Denny.

Boże Narodzenie to ważny okres w życiu mafii. Właśnie wtedy wszyscy dostają roczne premie, często w wysokości dziesiątek tysięcy dolarów. Grubość koperty jak barometr wskazuje twoją pozycję – im cięższa koperta, tym wyższy status.

Ale koperta Malone'a nie ma z tym nic wspólnego.

To za jego usługi w roli skarbnika.

Łatwe pieniądze. Trzeba po prostu spotkać się z kimś tu czy tam – w barze, w restauracji, na boisku w Riverside Parku – i wsunąć mu kopertę. Oni wiedzą, za co to, wszystko jest dopracowane. Malone jest tylko

doręczycielem, bo porządni obywatele nie chcą ryzykować, że ktoś zobaczy ich w towarzystwie znanego mafiosa.

To urzędnicy miejscy – ci, którzy decydują o wynikach przetargów.

Główne źródło dochodów rodziny Cimino.

*Borgata* Cimino dostaje po kawałku od wszystkiego: od wykonawcy za wygranie przetargu, od cementu, od zbrojeń, od instalacji elektrycznych, od instalacji sanitarnych. Jeśli nie dostanie, związki zawodowe znajdą jakiś problem i zamrożą projekt.

Wszyscy myśleli, że mafia skończyła się po Giulianim, po procesie Komisji Syndykatu, po „sprawie okien”, w której skazano na długoletnie więzienie dwóch przywódców wielkich mafijnych rodzin.

I tak było.

A potem runęły wieże.

Z dnia na dzień federalni przerzucili trzy czwarte personelu do zajmowania się antyterroryzmem i mafia wróciła, a nawet zbiła fortunę, żądając wygórowanych stawek za usuwanie gruzów z obszaru Strefy Zero. Louie chwalił się, że zgarnęli sześćdziesiąt trzy miliony.

Jedenasty września ocalił mafię.

Nie jest teraz jasne, kto stoi na czele rodziny Cimino, ale wygląda na to, że Stevie Bruno. Odsiedział dziesięć lat po procesie Komisji Syndykatu, od trzech lat jest na wolności i szybko pnie się do góry. Bardzo trudno do niego dotrzeć – mieszka w Jersey i rzadko przyjeżdża do miasta, nie pojawia się nawet w restauracjach.

Tak więc wrócili, choć już nigdy nie będą tym, czym byli kiedyś.

Savino gestem przywołuje barmana, żeby podał Malone’owi drinka. Barman już wie, że ma to być czysty jameson.

Siadają i prowadzą rytualną rozmowę wstępną. Co tam u rodziny? Wszystko w porządku. A u ciebie? Wszystko dobrze. Jak interesy? No



wiesz, kolejny dzień, kolejny dolar w plecy. Zwykle bzdury.

– Widziałeś się z wielebnym? – pyta Savino.

– Dostał swojego indyka – odpowiada Malone. – Paru twoich któregoś wieczoru spuściło łomot właścicielowi baru przy Lenox. Facet nazywa się Osborne.

– A co, masz monopol na bicie czarnych?

– A tak, mam – odpowiada Malone.

– Zalegał z ratami – wyjaśnia Savino. – Dwa tygodnie pod rząd.

– Nie wystawiaj mnie i nie rób tego na ulicy, na oczach wszystkich – mówi Malone. – W okolicy i tak jest niespokojnie.

– To mam rozdawać jakieś darmowe bilety tylko dlatego, że jeden z waszych wykończył chłopaka? – obrusza się Savino. – Ten durny śmieć postawił na Knicksów. Na Knicksów, Denny! A potem mi nie zapłacił. To co ja mam robić?

– Po prostu nie rób tego na moim dyżurze.

– Jezu, kurwa, wesołych świąt. Miło, że wpadłeś – mówi Savino. – Ktoś jeszcze nadepnął ci na odcisk?

– Nie, to już wszystko.

– Dzięki, święty Antoni.

– Dostałeś grubą kopertę?

Savino wzrusza ramionami.

– Powiem ci coś, ale to tylko między nami. Szefowie w tych czasach to tanie dziwki. Ten gość ma dom nad rzeką w Jersey, kort tenisowy... Prawie nigdy nie przyjeżdża do miasta. No dobra, rozumiem, odsiedział dychę, ale chyba mu się wydaje, że teraz może zagarniać pod siebie obiema rękami i nikt nie będzie miał nic przeciwko temu. A wiesz co? Ja mam coś przeciwko temu.

– Lou, kurwa, ludzie tu mają uszy.

– Pierdolę ich – mówi Savino i zamawia następnego drinka. – Wiesz, co słyszałem? Powinno cię to zainteresować. Słyszałem, że chyba nie wszystek towar z nalotu na Penę, z tego, po którym zostałeś gwiazdą, trafił do szafy z dowodami.

Jezu Chryste, czy wszyscy już o tym gadają?

– Bzdury.

– Pewnie tak – mówi Savino. – Bo inaczej już by się pokazał na ulicach, a nie ma go. Domyślam się, że jeśli ktoś się chciał zabawić we francuskiego łącznika, to pewnie trzyma to pod tyłkiem.

– Lepiej się za wiele nie domyślaj.

– Cholernie jesteś dzisiaj przewrażliwiony. Tak tylko gadam. Ktoś siedzi na towarze i szuka okazji, żeby go opchnąć.

Malone odstawia szklanę.

– Muszę lecieć.

– Pokazać się w paru miejscach, zobaczyć się z paroma osobami – mówi Savino. – *Buon natale*, Malone.

– Nawzajem.

Malone wychodzi na ulicę. Jezu, co ten Savino słyszał o nalocie na Penę? Tylko zanęcił czy naprawdę coś wie? Niedobrze. Trzeba się będzie tym zająć.

Tak czy owak, myśli Malone, makaroniarze nie będą więcej tłukli leniwych czarnych na Lenox.

A to już coś.

Następny proszę.

Debbie Phillips była w czwartym miesiącu ciąży, kiedy zginął Billy O.

Ponieważ nie mieli ślubu (jeszcze nie – Monty i Russo wciąż nagabywali chłopaka, by zrobił, co należy, i wszystko zmierzało w tym kierunku), departament nic dla niej nie zrobił. Nie złożyli jej hołdu na pogrzebie

Billy'ego – pieprzony katolicki departament nie zamierzał zwijać flagi przed niezamężną matką, powiedzieć jej dobrego słowa, a już z całą pewnością zapewnić ubezpieczenia czy wdowiej renty. Chciała zrobić badania na ojcostwo i zaskarżyć policję, ale Malone odwiódł ją od tego pomysłu.

Nie wnosi się skarg na policję do prawników.

– Nie tak to się robi – powiedział jej. – Zajmiemy się tobą i dzieckiem.

– Jak? – zapytała Debbie.

– Niech cię o to głowa nie boli – odpowiedział Malone. – Jeśli będziesz czegokolwiek potrzebować, zadzwoń do mnie, a w razie babskich problemów dzwoń do Sheili, do Donny Russo albo do Yolandy Montague.

Debbie do nikogo nie zadzwoniła.

Należała do niezależnych kobiet i nie była aż tak bardzo przywiązana do Billy'ego, nie wspominając już o jego dalszej rodzinie. To miała być przygoda na jedną noc, która przetrwała dłużej mimo nieustannych ostrzeżeń Malone'a, że Billy powinien zakładać podwójne gumki.

– Przecież wyszedłem w porę – tłumaczył się Billy, kiedy Debbie zadzwoniła i przekazała mu nowinę.

– Co ty jesteś, gimnazjalista? – zdumiał się Malone.

Monty postukał go w głowę kostkami palców.

– Idiota.

– Ożenisz się z nią? – zapytał Russo.

– Ona nie chce wychodzić za mąż.

– Nie chodzi o to, czego chce ona czy ty – powiedział Monty. – Chodzi o to, czego potrzebuje dziecko. Dziecko potrzebuje dwojga rodziców.

Ale Debbie jest jedną z tych nowoczesnych kobiet, które uważają, że mężczyzna nie jest im niezbędny do wychowania dziecka. Powiedziała

Billy'emu, że powinni poczekać i przekonać się, jak będzie się rozwijał ich związek.

Ale nie dostali na to szansy.

Debbie otwiera Malone'owi drzwi. Widać, że jest już w ósmym miesiącu. Nie dostała żadnej pomocy od rodziny z zachodniej Pensylwanii i nie ma nikogo bliskiego w Nowym Jorku. Yolanda Montague, która mieszka najbliżej, wpada tu czasem, przynosi zakupy i chodzi z Debbie na wizyty do lekarza, gdy Debbie jej na to pozwoli. Ale Yolanda nie zajmuje się pieniędzmi.

Żony nigdy nie zajmują się pieniędzmi.

– Wesołych świąt, Debbie – mówi Malone.

– A tak. Dzięki.

Wpuszcza go do środka.

Debbie jest mała i drobna, więc brzuch wydaje się ogromny. Jasne włosy ma brudne i w strąkach, w mieszkaniu panuje bałagan. Siada na starej kanapie przed telewizorem włączonym na wieczorne wiadomości.

W mieszkaniu jest duszno, ale w tych starych mieszkaniach zawsze jest za gorąco albo za zimno, bo nikt nie potrafi dojść do ładu z kaloryferami. Jeden z nich zaczyna syczeć, jakby chciał powiedzieć Malone'owi, że jeśli mu się tu nie podoba, to może spieprzać.

Malone kładzie na stoliku kopertę.

Pięć kawałków.

Decyzja była prosta – Billy przez cały czas dostaje pełny udział, a gdy upłynięty towar od Peny, z tego też dostanie swoją część. Malone jako wykonawca postanowień będzie przekazywał Debbie pieniądze w miarę jej potrzeb, w ratach, jakie uzna za stosowne. Reszta zostanie odłożona na college dla dziecka Billy'ego.

Jego synowi niczego nie zabraknie.

Mama będzie mogła zostać w domu, żeby się nim opiekować.

Pokłócili się o to.

– Możecie zapłacić za żłobek. Ja muszę pracować – powtarzała Debbie.

– Nie, nie musisz – odpowiadał Malone.

– Nie chodzi tylko o pieniądze. Zwariuję, siedząc przez cały dzień tylko z dzieckiem!

– Zmienisz zdanie, gdy już się urodzi.

– Wszyscy tak mówią.

Teraz Debbie patrzy na kopertę, a potem na niego.

– Zasilek dla białych.

– To nie jest pomoc społeczna – mówi Malone. – To pieniądze Billy’ego.

– W takim razie daj mi je wszystkie, zamiast wydzielać zasiłki jak pomoc społeczna.

– Dbamy o naszych – mówi Malone, rozglądając się po małym mieszkaniu. – Jesteś gotowa na to dziecko? Masz wanienkę, pieluchy, przewijak, takie tam?

– Co ty nie powiesz.

– Yolanda może cię zabrać na zakupy. Albo podrzucimy ci wszystko, jeśli wolisz.

– Jeśli Yolanda zabierze mnie na zakupy – odpowiada Debbie – będę z nią wyglądać jak bogata suka z West Side z niańką. Może uda mi się ją przekonać, żeby mówiła z jamajskim akcentem. A może teraz wszystkie niańki pochodzą z Haiti?

Jest rozgoryczona.

Malone nie może jej za to winić.

Krótką znajomość z policjantem zakończyła się ciężą, policjant zginął, a ona została sama ze spieprzonym życiem. Inni gliniarze i ich żony mówią jej, co ma robić, i wydzielają kieszonkowe jak dziecku. Tylko że ona jest

dzieckiem, myśli Malone. Gdybym dał jej od razu cały udział Billy'ego, przehulałaby wszystko i co by się wtedy stało z jego synem?

– Masz jakieś plany na jutro?

– Obejrzę sobie „To wspaniałe życie” – odpowiada Debbie. – Montague'owie mnie zaprosili. Russowie też, ale nie chcę się narzucać.

– Zaprosili cię szczerze.

– Wiem. – Debbie kładzie nogi na stół. – Tęsknię za nim, Malone. Czy ja całkiem zwariowałam?

– Nie – odpowiada Malone. – Nie zwariowałam.

Ja też za nim tęsknię, myśli.

Ja też go kochałem.

Dublin House, Siedemdziesiąta Dziewiąta przy Broadwayu.

Kogóż innego można się spodziewać w irlandzkiej knajpie w Wigilię Bożego Narodzenia, myśli Malone, jeśli nie irlandzkich pijaków i irlandzkich gliniarzy w dowolnej kombinacji.

Bill McGivern stoi przy zatłoczonym barze z drinkiem w ręku.

– Inspektorze?

– Malone – mówi McGivern. – Miałem nadzieję, że cię dzisiaj zobaczę. Co pijesz?

– To samo co pan.

– Jeszcze jednego Jamesona – mówi McGivern do barmana. Od zarumienionych policzków jego gęste białe włosy wydają się jeszcze bielsze. McGivern jest jednym z tych ogorzałych, uśmiechniętych, życzliwych świata Irlandczyków o okrągłych twarzach. Jest ważną postacią w Emerald Society, organizacji strażaków irlandzkiego pochodzenia, i Catholic Guardians zajmującej się dobroczynnością. Gdyby nie był policjantem, mógłby się doskonale sprawdzić jako człowiek od politycznej czarnej roboty.

– Chce pan usiąść przy stoliku? – pyta Malone, gdy barman podaje im drinki.

Znajdują wolną przegródkę i siadają.

– Wesołych świąt, Malone.

– Wesołych świąt, inspektorze.

Stukają się szklankami. McGivern jest „kotwicą” Malone’a – mentorem, protektorem i sponsorem. Każdy gliniarz, który chce do czegoś dojść, ma opiekuna, który pełni rolę tarczy ochronnej i zapewnia mu najlepsze przydziały.

A McGivern jest potężnym protektorem. Inspektor NYPD stoi o dwie rangi wyżej niż kapitan, tuż pod szefami. Dobrze postawiony inspektor, taki jak McGivern, może zniszczyć karierę kapitana i Sykes o tym wie.

Malone zna McGiverna od dzieciństwa. Jego ojciec i inspektor służyli razem jako mundurowi na Szóstym Komisariacie. Kilka lat po śmierci ojca to właśnie McGivern wyjaśnił Malone’owi niektóre sprawy.

– John Malone był świetnym gliniarzem – powiedział.

– Pił – odrzekł Malone. Podczas tej rozmowy miał już szesnaście lat i wszystko wiedział.

– Pił – potwierdził McGivern. – Wtedy na Szóstce twój ojciec i ja w ciągu dwóch tygodni znaleźliśmy ośmioro zamordowanych dzieci, wszystkie poniżej czwartego roku życia.

Jedno z tych dzieci miało niewielkie oparzenia na całym ciele. McGivern i ojciec Malone’a nie mieli pojęcia, od czego mogą pochodzić te ślady, aż w końcu przyszło im do głowy, że dokładnie pasują do ustnika fajki do palenia cracka.

Dziecko było torturowane i z bólu odgryzło sobie język.

– Więc tak – powtórzył McGivern. – Twój ojciec pił.

A teraz Malone wyciąga z kieszeni kopertę i kładzie na stoliku. McGivern waży ją w ręku.

– Rzeczywiście wesołe święta.

– Miałem dobry rok.

McGivern chowa kopertę do kieszeni wełnianej marynarki.

– Co tam w życiu?

Malone upija łyk whisky przed odpowiedzią.

– Sykes orze mną jak roboczym wołem.

– Nie mogę załatwić, żeby go przenieśli – mówi McGivern. – To złoty chłopiec tych z Pałacu Puzzli.

One Police Plaza. Komenda Główna NYPD.

Mają tam teraz własne kłopoty, myśli Malone. Dochodzenie FBI w sprawie wysoko postawionych funkcjonariuszy, którzy przyjmowali prezenty w zamian za przysługi.

Gówniane sprawy – wycieczki, bilety na Super Bowl, wystawne posiłki w modnych restauracjach w zamian za anulowanie mandatów czy kar za naruszenie prawa budowlanego. Nawet eskortowanie durniów, którzy ściągają brylanty z zagranicy. Jeden z tych bogatych popierdoleńców kazał dowódcy marines przywieźć sobie przyjaciół na Long Island policyjną łodzią, a innym razem, na polecenie dowódcy jednostki lotniczej, policyjny pilot przetransportował jego gości na przyjęcie w Hamptons policyjnym helikopterem.

No i jeszcze sprawa pozwoleń na broń.

W Nowym Jorku trudno jest dostać pozwolenie na broń, szczególnie na noszenie broni w miejscu publicznym. Zwykle osoby ubiegające się o takie pozwolenie są bardzo dokładnie prześwietlane i przeprowadza się z nimi osobiste rozmowy – chyba że kogoś stać, żeby zapłacić dwadzieścia tysięcy



„pośrednikowi”, który przekupuje wysoko postawionego policjanta i tym samym skraca cały proces.

Federalni złapali jednego z tych pośredników za jaja, a on zaczął wymieniać nazwiska.

Wniesienie oskarżeń jest tylko kwestią czasu.

Już w tej chwili pięciu szefów zwolniono.

Jeden popełnił samobójstwo.

Wjechał na uliczkę przy polu golfowym w pobliżu swojego domu na Long Island i zastrzelił się.

Nie zostawił żadnego listu pożegnalnego.

Fale szczerego żalu i szoku poruszyły górne półki NYPD, w tym również McGiverna.

Nie wiedzą, kto następny zostanie aresztowany albo włoży sobie pistolet w usta.

Media rzuciły się na ten temat jak ślepy pies na nogę od kanapy przede wszystkim dlatego, że burmistrz i komisarz policji toczą ze sobą wojnę.

Właściwie to nie jest wojna, myśli Malone, a raczej walka dwóch facetów na tonącym statku o ostatnie miejsce w łodzi ratunkowej. Nad obydwoma ciąży poważne skandale i każdy z nich próbuje rzucić drugiego na pożarcie medialnym rekinom w nadziei, że skupią się na ofierze, a jemu uda się w tym czasie bezpiecznie odpłynąć. Malone nie czułby się wystarczająco usatysfakcjonowany, nawet gdyby na Ojca Gospodarza spadły wszystkie nieszczęścia świata, a większość jego braci i sióstr z policji podziela to przekonanie, bo ten sukinsyn nie przepuści żadnej okazji, żeby wepchnąć ich pod autobus. Nie wspierał ich w sprawach Garnera, Gurleya i Bennetta. Wie, kto na niego głosował, dlatego podlizuje się mniejszościom i niemal gotów jest przynosić sałatki z baru organizacji Black Lives Matter.

Ale teraz jemu też pali się pod tyłkiem.

Okazało się, że jego administracja wyświadczała przysługi najważniejszym politycznym sponsorom. Coś takiego, myśli Malone. Tego jeszcze na świecie nie było. Ale burmistrz i jego ekipa podobno posunęli się aż do pogróżek wobec potencjalnych sponsorów, którzy nie chcieli nimi być. Śledczy stanowią znaleźli na to brzydkie słowo: wymuszenia.

To prawnicze określenie reketu, odwiecznej nowojorskiej tradycji.

Mafia robiła to od pokoleń i pewnie nadal robi w tych nielicznych okolicach, które jeszcze kontroluje. Zmuszała sklepikarzy i właścicieli barów do wnoszenia cotygodniowych opłat za ochronę przed kradzieżami i wandalizmem, co oczywiście zdarzało się, gdy opłata nie została wniesiona.

Policja też to robiła.

Kiedyś każdy właściciel interesu wiedział, że na piątek powinien przygotować kopertę dla patrolowego, a jeśli nie kopertę, to darmowe kanapki, kawę czy napoje. prostytutki płaciły w naturze. W rewanżu patrolowy opiekował się swoim rejonem, sprawdzał zamki w nocy, rozganiał chłopaków z rogów ulicy.

Ten system działał.

A teraz okazało się, że Ojciec Gospodarz również zbierał haracze na fundusz kampanijny, a do tego obrał komiczną linię obrony. Mianowicie zaproponował, że przedstawi listę ważnych sponsorów, którym nie wyświadczył żadnych przysług. Tu również mówi się o wniesieniu oskarżeń. Z trzydziestu ośmiu tysięcy policjantów w Nowym Jorku jakieś trzydzieści siedem tysięcy siedemset dziewięćdziesięciu dziewięciu zgłosiło się na ochotnika do założenia burmistrzowi kajdanek.

Ojciec Gospodarz wyrzuciłby komisarza, gdyby to już na pierwszy rzut oka nie wydawało się zbyt grubymi nićmi szyte, potrzebuje zatem jakiegoś

pretekstu i jeśli znajdzie dowolne gówno, którym będzie mógł obrzucić policję, natychmiast sięgnie po największą łopatę.

A komisarz wygrałby tę walkę na punkty z palcem w uchu, gdyby nie skandale, które mącą wodę w One Police. Dlatego potrzebuje lepszych wiadomości, potrzebuje nagłówek.

Potrzebuje nalotów na fabryki heroiny i obniżenia wskaźników przestępczości.

– Misja Jednostki Specjalnej Manhattan Północ nadal jest ta sama – mówi McGivern. – Nie obchodzi mnie, co ci mówi Sykes. Prowadź to zoo tak, jak potrzebujesz. Oczywiście nie cytuj mnie publicznie.

Gdy Malone po raz pierwszy poszedł do McGiverna i zaproponował utworzenie jednostki specjalnej, która zajmowałaby się jednocześnie bronią i brutalnymi przestępstwami, nie napotkał oporu, jakiego się spodziewał.

Zabójstwami i narkotykami zajmują się dwa odrębne wydziały. Narkotyki mają własny wydział, kierowany bezpośrednio z Komendy Głównej, i zwykle nie mieszają się do innych. Ale to nie ma sensu, skoro prawie trzy czwarte zabójstw ma związek z narkotykami, argumentował Malone. Tak samo jak nie ma sensu osobny wydział do spraw gangów, bo większość przemocy związanej z narkotykami ma również związek z gangami.

Trzeba utworzyć specjalną jednostkę, mówił, żeby dobrać się do tych wszystkich problemów jednocześnie.

Wydziały do spraw narkotyków, zabójstw i gangów piszczały jak zarzynane świnie. I to prawda, że w NYPD uważa się, że elitarne jednostki śmierdzą.

Przede wszystkim dlatego, że są podatne na korupcję i często nadużywają siły.

Dawny wydział tajniaków, istniejący w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, doprowadził do powstania komisji Knappa, która omal nie zniszczyła całego departamentu. Frank Serpico był naiwnym dupkiem, myśli Malone. Przecież wszyscy wiedzieli, że tajniacy biorą pieniądze, ale on i tak tam poszedł. Wiedział, w co się pakuje.

Facet miał kompleks Jezusa.

Nic dziwnego, że kiedy go postrzelono, ani jeden policjant z NYPD nie zgodził się oddać krwi. A do tego prawie rozłożył całe miasto. Jeszcze przez dwadzieścia lat po komisji Knappa priorytetem policji była walka z korupcją zamiast walka z przestępczością.

Potem powstało SIU – Specjalna Jednostka Dochodzeniowa – które dostało wolną rękę w działaniu na terenie całego miasta. Zrobili kilka udanych nalotów i zdarli z dilerów mnóstwo pieniędzy. Oczywiście sprawa wyszła na jaw i na jakiś czas zapanował spokój.

Następną elitarną jednostką było SCU, Jednostka do Przeciwdziałania Przestępczości Ulicznej. Jej najważniejszym zadaniem było uwolnienie ulic od broni, która trafiła tam dzięki komisji Knappa. Stu trzydziestu ośmiu policjantów, sami biali. Byli tak dobrzy w tym, co robili, że jednostkę powiększono czterokrotnie, ale zrobiono to zbyt szybko.

W rezultacie nocą czwartego lutego 1999 roku ulice południowego Bronksu przemierzał patrol SCU złożony z czterech policjantów, spośród których tylko dowódca miał za sobą dwa lata służby w jednostce, a trzech pozostali służyli w niej zaledwie od trzech miesięcy. Nie było z nimi superwizora i nie znali ani okolicy, ani siebie nawzajem.

Toteż gdy odnieśli wrażenie, że Amadou Diallo wyciąga pistolet, jeden z nich zaczął strzelać, a pozostali zaraz się do niego przyłączyli.

Eksperci nazywają to „zaraźliwą strzelaniną”.

Niesławne czterdzieści jeden strzałów.

SCU rozwiązano.

Czterem policjantom postawiono zarzuty, ale wszystkich uniewinniono. Społeczeństwo przypomniało sobie o tym po zastrzeleniu Michaela Bennetta.

Ale sprawa jest skomplikowana. Faktem pozostaje, że SCU było skuteczne w uwalnianiu ulic od broni palnej, więc więcej czarnych zginęło w wyniku rozwiązania jednostki niż wskutek użycia broni przez policję.

Dziesięć lat temu powstał poprzednik Task Force, NMI – Instytut Północnego Manhattanu, złożony z czterdziestu jeden detektywów zajmujących się narkotykami w Harlemie i Washington Heights. Jeden z nich zdarł z dilerów ponad osiemset tysięcy, jego partner zajął drugie miejsce z kwotą siedmiuset czterdziestu tysięcy. Federalni dopadli ich przypadkiem, w akcji wymierzonej przeciwko pralni pieniędzy. Jeden dostał siedem lat, drugi sześć, a dowódca jednostki rok z groszami za to, że brał od nich działkę.

Widok policjanta wyprowadzanego w kajdankach przyprawia wszystkich o zimne dreszcze.

Ale niczemu to nie zapobiega.

Mniej więcej co dwadzieścia lat wybucha jakiś skandal korupcyjny i pojawia się nowa komisja.

Dlatego nie było łatwo przekonać górę do utworzenia Task Force.

Wymagało to sporo czasu, nacisków i wpływów, ale w końcu powstała Jednostka Specjalna Manhattan Północ.

Jej misja jest prosta: odzyskać ulice.

Malone wie, że niepisana umowa brzmi: nie obchodzi nas, co robicie ani jak to robicie, dopóki nie trafi to do gazet. Macie tylko utrzymać te zwierzęta w klatkach.

– Co mogę dla ciebie zrobić, Denny? – pyta teraz McGivern.

– Mamy taką wtyczkę, nazywa się Callahan – mówi Malone. – Zaczyna przeginać z ćpaniem. Chciałbym go stąd wyciągnąć, zanim zrobi sobie krzywdę.

– Byłeś z tym u Sykesa?

– Nie chciałem zaszkodzić chłopakowi. To dobry gliniarz, tylko już za długo był wtyczką.

McGivern wyciąga z kieszeni marynarki długopis i rysuje na serwetce kółko, a potem zaznacza w środku dwie kropki.

– Te dwie kropki, Denny, to ty i ja. Wewnątrz kręgu. Jeśli prosisz o przysługę dla siebie, wszystko zostaje wewnątrz kręgu. A ten Callahan...

– Rysuje kropkę na zewnątrz kółka. – To on. Rozumiesz, co chcę powiedzieć?

– Dlaczego proszę o przysługę dla kogoś spoza kręgu?

– Tylko ten jeden raz, Denny – mówi McGivern. – Ale rozumiesz chyba, że jeśli ja za to zbiorę, odbiję wszystko w twoją stronę.

– Jasne.

– Jest wolne miejsce w prewencji na Sześćdziesiątym Siódmym – mówi McGivern. – Zadzwoń do Johnny’ego, jest mi winien przysługę. Weźmie twojego chłopaka.

– Dzięki.

– Potrzebujemy więcej zatrzymań związanych z heroiną – mówi McGivern, podnosząc się. – Szef narkotykowego dyszy mi nad karkiem. Szukaj śniegu, Denny. Postaraj się, żebyśmy mieli białe Boże Narodzenie.

Przeciska się przez zatłoczony bar, promieniejąc życzliwością i poklepując znajomych po ramionach.

Malone’a ogarnia smutek.

Może to spadek adrenaliny.

Może to świąteczny blues.

Wstaje, podchodzi do szafy grającej, wrzuca kilka monet i znajduje to, czego szuka.

The Pogues „Fairytale of New York”.

To wigilijna tradycja Malone’a.

Kontemplowanie pewnej wizji.

Wizji starca, który spędza Wigilię w izbie wytrzeźwień.

I myśli, że to już jego ostatnia Wigilia.

Malone wie, że Sykes jest pupilem tych z Police Plaza, ale zastanawia się, kto dokładnie go wspiera i jak głęboko sięga to poparcie. Sykes bez wątpienia chce mu się dobrać do tyłka.

Ale jestem bohaterem, myśli Malone ironicznie.

Co najmniej połowa policjantów w barze zaczyna śpiewać refren. Powinni być w domach, z rodzinami, przynajmniej ci, którzy jeszcze je mają, ale są tutaj ze swoimi drinkami, wspomnieniami i ze sobą nawzajem.

Więc jakby ciut weselsza wizja od chłopaków z The Pogues.

Nowojorscy policjanci śpiewają irlandzkie pieśni, a w ich uszach brzmia świąteczne dzwony.

Jest mroźna noc w Harlemie.

Cholernie zimno.

Brudny śnieg skrzypi pod nogami i widzisz własny oddech. Jest po dziesiątej, ulice prawie puste, pozamykano nawet większość sklepików. Drzwi osłaniają ciężkie metalowe żaluzje pokryte graffiti, okna zamknięte sztabami. Kilka taksówek pełnie po ulicy, szukając klientów, paru narkomanów przemyka jak duchy.

Nieoznakowany crown victoria toczy się na południe przez Amsterdam Avenue. Teraz już nie będą rozdawać indyków, tylko ból. Cierpienie dla mieszkańców tej okolicy nie jest niczym nowym, to nieodłączny składnik życia.

Jest Wigilia. Zimno, czysto i spokojnie.

Nikt nie spodziewa się, żeby cokolwiek miało się wydarzyć.

Malone właśnie na to liczy – na to, że Gruby Teddy Bailey jest gruby, szczęśliwy i zadowolony z życia. Już od kilku tygodni próbuje przy pomocy Śmierdziała namierzyć tego średniego szczebla handlarza heroiny w chwili, kiedy ten nie będzie się tego spodziewał i będzie miał przy sobie towar.

Russo śpiewa:

*Bądź cicho i nie krzycz, bądź cicho i nie płacz,*

*Nie chowaj się po kątach, bo ktoś tutaj zmierza.*

*Mikołaj z herą jedzie tu już.*

Skreca w prawo w Sto Osiemdziesiątą Czwartą. Śmierdziel mówił, że Gruby Teddy przyjedzie tu, żeby sobie ulżyć.

– Za zimno na czujki – mówi Malone, bo nie widzi żadnych małałów i nikt nie gwizdże, żeby zawiadomić wszystkich zainteresowanych, że na ulicy pojawiła się Da Force.

– Czarni nie lubią zimna – odpowiada Monty. – Kiedy ostatni raz widziałeś czarnego na nartach?

Volkswagen caddy Grubego Teddy’ego stoi przed budynkiem numer 218.

– Dobra robota, Śmierdzielu – zauważa Malone.

*On wie, kiedy śpisz,*

*On wie, kiedy jesz.*

*On wie, kiedy ćpasz...*

– Chcesz go zdjąć teraz? – pyta Monty.

– Niech sobie najpierw zamoczy – mówi Malone. – W końcu jest Boże Narodzenie.

– Ach, Wigilia – wzdycha Russo, gdy tak siedzą w samochodzie. – Poncz z żółtkami i rumem, prezenty pod choinką, podchmielona żona wreszcie



chce ci dać, a my siedzimy w tej dżungli i odmrażamy sobie dupy.

Malone podaje mu flaszkę wyciągniętą z kieszeni kurtki.

– Jestem na służbie – mówi Russo.

Pociąga spory łyk i podaje butelkę do tyłu. Big Monty pije i znów oddaje Malone'owi.

Czekają.

– Jak długo ta tłusta dupa może obracać dupę? – pyta Russo. – Bierze viagrę czy co? Mam nadzieję, że nie dostał zawału.

Malone wysiada z samochodu, przykuca przy volkswagenie Grubego Teddy'ego i wypuszcza powietrze z tylnej lewej opony. Russo go asekuruje. Wracają do crown vica i czekają w zimnie przez kolejne pięćdziesiąt minut.

Gruby Teddy ma metr dziewięćdziesiąt i waży sto czterdzieści kilo. No i w końcu wychodzi. W długiej puchowej kurtce przypomina ludzika Michelin. Kroczy w stronę swojego samochodu w butach do koszykówki LeBron Air Force One za dwa tysiące sześćset dolców, kołysząc się lekko, zadowolony jak ktoś, kto właśnie sobie ulżył.

A potem dostrzega oponę.

– Skurwysyny.

Otwiera bagażnik, wyjmuje klucz i pochyla się, żeby odkręcić śruby.

Nie słyszy, co się dzieje za jego plecami.

Malone przykłada mu lufę pistoletu do ucha.

– Wesołych świąt, Teddy. Ho, ho, kurwa, ho.

Russo trzyma go na muszce strzelby, a Monty przeszukuje samochód.

– Zachłanne sukinsyny – mówi Gruby Teddy. – Nigdy nie macie wolnego?

– A czy zaraza bierze sobie urlop? – Malone popycha Teddy'ego na samochód, obmacuje przez grubą kurtkę i uwalnia od pistoletu z amunicją .25 ACP. Handlarze narkotyków uwielbiają dziwne kalibry broni. – No, no.

Skazany za ciężkie przestępstwa posiada ukrytą broń palną. To jest minimum pięć lat.

– To nie moje – mówi Gruby Teddy. – Za co mnie zatrzymujecie? Za to, że jestem czarny i chodzę po ulicy?

– Za to, że chodzisz po ulicy i nazywasz się Teddy – mówi Malone. – Wyraźnie dostrzegłem pod twoją kurtką wybrzuszenie, które wyglądało na broń palną.

– Sprawdzacie moje wybrzuszenie? – obrusza się Gruby Teddy. – Jesteś pedałem, synu?

W odpowiedzi Malone znajduje komórkę Teddy’ego, rzuca na chodnik i rozdeptuje.

– Co ty robisz, synu? To była szóstka. Przegiąłeś.

– Masz takich dwadzieścia – odpowiada Malone. – Ręce za plecy.

– Chyba mnie nie zgarniecie – mówi Gruby Teddy ze znużeniem w głosie, ale robi, co mu każą. – Przecież nie będziecie siedzieć i wypełniać raportów w pieprzoną Wigilię! Do roboty, irlandzkie pracusie, flaszki na was czekają. Zajmijcie się *akaholem*.

Malone spogląda na Monty’ego.

– Dlaczego ci twoi bracia nie potrafią wymówić słowa „alkohol”?

– Mnie nie pytaj. – Monty sięga pod fotel pasażera i wyjmuje rękaw proszku, sto małych torebek pogrupowanych po dziesięć. – O, co my tu mamy? Boże Narodzenie w Rikers. Weź ze sobą jemiołę, Teddy, może pozwolą, żebyś pocałował ich w usta.

– Wrobiliście mnie.

– Nie pieprz głupot – mówi Malone. – To heroina DeVona Cartera. Nie będzie zadowolony ze straty.

– Pogadajcie ze swoimi kumplami – odpowiada na to Gruby Teddy.

– Z którymi? – Malone uderza go w twarz. – Z kim?

Gruby Teddy milczy.

– Powiem w areszcie, że jesteś kapusiem. Nie wyjdiesz żywy z Rikers – mówi Malone.

– Naprawdę chcesz mi to zrobić, człowieku?

– Albo jedziesz ze mną, albo spycham cię z drogi.

– Carter mówił, że ma ochronę w Manhattan Północ. Myślałem, że to wy.

– No cóż, to nie my.

Malone jest wkurzony. Albo Teddy ściemnia, albo Carter opłaca kogoś z ich jednostki.

– Co jeszcze masz przy sobie?

– Nic.

Malone wkłada rękę do jego kieszeni i wyciąga rolki banknotów ściągniętych gumką.

– To jest nic? Masz tu pewnie ze trzydzieści kawałków. To poważna kasa. Dostałeś rabat dla lojalnych klientów w McDonalddie?

– Ja jadam w Five Guys, sukinsynu. McDonald!

– No to dzisiaj wieczorem będziesz jadł mielonkę.

– Daj spokój, Malone – mówi Gruby Teddy.

– Coś ci powiem – odpowiada Malone. – Skonfiskujemy tę kontrabandę i puścimy cię wolno. Możesz to uznać za świąteczny prezent.

To nie jest propozycja, tylko groźba.

– Jak chcecie to zabrać, to musicie mnie zaarrestować i dać mi na to papier – odpowiada Teddy.

Gruby Teddy potrzebuje raportu z aresztowania na dowód dla Cartera, że to nie on zachachmęcił towar, tylko zabrała go policja. To standardowa procedura operacyjna. Jeśli zgarnie cię policja, musisz pokazać protokół z zatrzymania, w innym wypadku obetną ci palce.

Carter już to robił.

Legenda głosi, że ma biurową gilotynę do papieru. Dilerzy, którzy nie mają jego towaru, pieniędzy albo raportu, kładą tam rękę. Ciach, i po palcach.

Tylko że to nie jest plotka.

Pewnego wieczoru Malone spotkał faceta, który zataczał się na ulicy, plamiąc chodnik krwią. Carter zostawił mu kciuk, żeby mógł wskazać tylko na siebie, gdy zechce pokazać palcem winnego.

Zostawiają Teddy'ego przy samochodzie i wracają do crown vica. Malone rozdziela pieniądze na pięć części – po jednej dla każdego, jedna wspólna na wydatki i jedna dla Billy'ego O. Każdy wkłada swoją część do zaadresowanej do siebie koperty. Zawsze noszą takie koperty przy sobie. Potem wracają po Teddy'ego.

– A co z moim samochodem? – pyta Teddy, gdy podnoszą go z ulicy. – Chyba go nie zabierzecie, co?

– Miałeś w nim proszek, durniu – odpowiada Russo. – Teraz to jest własność NYPD.

– To znaczy własność Russa – mówi Gruby Teddy. – Ten śmierdzący makaroniarz nie będzie jeździł moim caddym po plaży w Jersey.

– W życiu bym nie wsiadł do tej furmanki dla czarnuchów – odparowuje Russo. – Trafi na parking policyjny.

– Przecież jest Boże Narodzenie! – jęczy Teddy.

Malone wskazuje podbródkiem budynek, przed którym stoją.

– Jaki jest do niej numer?

Gruby Teddy podaje numer. Malone wybiera go i przykłada mu telefon do ust.

– Zejź na dół, mała – mówi Teddy. – Zajmij się moim samochodem. Mam nadzieję, że go tu znajdę, kiedy mnie wypuszczą, i że będzie wypucowany na błysk.

Russo rzuca kluczyki Teddy'ego na klapę bagażnika, a jego samego wciągają do crown vica.

– Kto mnie wsypał? – pyta Teddy. – Ten oślizły szczur Śmierdziel?

– Chcesz zostać świątecznym samobójcą? – odpowiada Malone. – Skoczyć z mostu Waszyngtona? Możemy ci to załatwić.

Gruby Teddy obiera teraz za cel Monty'ego.

– I ty, bracie, pracujesz dla niego? Robisz za domowego murzyna?

Monty uderza go w twarz. Gruby Teddy jest wielki, ale jego głowa odskakuje jak na sprężynce.

– Jestem czarnym, a nie murzynem, ty handlarzu proszkim, osiedlowa małpo, beczko z oranżadą, damski bokserze!

– Ty skurwysynu, gdybym nie miał tych kajdanek...

– Chcesz to załatwić tutaj? – pyta Monty. Rzuca cygaro na ulicę i rozgniata je obcasem. – No chodź. Tylko ty i ja.

Gruby Teddy milknie.

– Tak myślałem – oświadcza Monty.

W drodze na Trzydziesty Drugi Komisariat zatrzymują się przy skrzynce pocztowej i wrzucają koperty. Potem wprowadzają Teddy'ego do środka i stawiają mu zarzut posiadania broni i heroiny. Sierżant przy biurku nie jest zachwycony.

– Jest Wigilia. Dupki z Task Force.

– Niech Da Force będzie z tobą – odpowiada Malone.

I na nostalgiczną nutę nuci, że w snach nawiedza go białe Boże Narodzenie, piękne wspomnienie z dawnych lat.

Russo jedzie Broadwayem w stronę Upper West Side.

– O kim mówił Gruby Teddy? Tak tylko gadał czy ktoś naprawdę siedzi w kieszeni u Cartera?

– To pewnie Torres.

Torres jest tym złym.

Zdziera z pośredników, sprzedaje sprawy, a nawet prowadzi interes z dziwkami, przeważnie uzależnionymi od cracka, ale i takimi, które uciekły z domu. Mocno je eksploatuje i przywołuje do porządku anteną samochodową. Malone widział pręgi na ich ciałach.

Nawet według standardów jednostki Manhattan Północ sierżant ma ciężką rękę i znany jest z brutalności, ale Malone stara się nie wchodzić z nim w konflikty. W końcu wszyscy są częścią Task Force i muszą jakoś ze sobą żyć.

Malone jednak nie może pozwolić na to, żeby taki karaluch jak Gruby Teddy Bailey mówił mu, że jest chroniony, więc będzie musiał coś wymyślić w sprawie Torresa.

O ile to prawda.

O ile to w ogóle Torres.

Russo skręca w Osiemdziesiątą Siódmą i znajduje miejsce do zaparkowania naprzeciwko kamienicy numer 349.

Malone wynajmuje tu mieszkanie od pośrednika nieruchomości, którego chronią.

Czynsz wynosi zero.

To mała garsoniera, ale wystarczająca do ich celów. Sypialnia, gdzie można się przespać albo przyprowadzić dziewczynę, salonik, kuchenka i kabina, w której można wziąć prysznic.

Albo ukryć towar, bo kabina ma podwójne dno z luźnym kafelkiem. Tam właśnie złożyli pięćdziesiąt kilo heroiny, którą zgarnęli od nieodżałowanego i świętej pamięci Diego Peny.

Teraz czekają, żeby ją upłynnić. Pięćdziesiąt kilo byłoby widoczne na ulicach, wywołałoby poruszenie, a nawet obniżkę ceny, muszą zatem zaczekać, aż sprawa nalotu na Penę przyschnie, zanim wypuszczą towar. Na

ulicy ta heroina warta jest pięć milionów dolarów, ale będą ją musieli oddać ze zniżką zaufanemu paserowi. Mimo wszystko to wielka suma, nawet podzielona na cztery.

Malone nie ma problemu z czekaniem.

To największy obryw, jaki kiedykolwiek im się przytrafił i jaki zapewne nie przytrafi się po raz drugi. To ich zabezpieczenie, plan emerytalny, ich przyszłość, chesne za college ich dzieci, poduszka finansowa na wypadek groźnej choroby, różnica między emeryturą w przyczepie kempingowej w Tucson albo w apartamencie w West Palm. Trzy miliony w gotówce od razu podzielili między siebie. Malone ostrzegł ich, żeby za szybko nie zaczęli szaleć z pieniędzmi, nie kupowali nowych samochodów, nie obrzucali żon biżuterią, nie kupowali jachtu ani nie wybierali się na wycieczkę na Bahamy.

Tego właśnie wypatrują te kutasy z Biura Spraw Wewnętrznych – zmiany stylu życia, przyzwyczajzeń, zachowań. Odłóżcie te pieniądze, powiedział Malone swoim ludziom. Schowajcie co najmniej pięćdziesiąt tysięcy w takim miejscu, żebyście mogli do nich dotrzeć w ciągu godziny, na wypadek gdyby Biuro Spraw Wewnętrznych coś zwąchało i gdyby trzeba było się zmywać. Następne pięćdziesiąt na kaucję, jeśli nie uda się zniknąć w porę. Poza tym możecie wydać trochę, a resztę odłóżcie. Odróbcie swoje dwadzieścia lat, powieście odznaki na kołku i zacznijcie żyć.

Zastanawiali się nawet, czy już teraz nie odejść na emeryturę. Oczywiście nie wszyscy naraz, w odstępach kilku miesięcy, ale mimo wszystko odejść, dopóki są do przodu. Może to niezły pomysł, myśli Malone, ale gdybyśmy to zrobili tak szybko po załatwieniu Peny, wyglądałoby to podejrzenie.

Oczami duszy już widzi te nagłówki:

POLICJANT-BOHATER RZUCA PRACĘ PO NAJWIĘKSZYM NALOCIE

Biuro Spraw Wewnętrznych z pewnością by się tym zainteresowało.

Malone i Russo kładą na miejsce fałszywą podłogę w brodziku i wracają do salonu. Malone wyciąga butelkę Jamesona i nalewa każdemu na dwa palce do przysadzistych szklaneczek.

Rudowłosey, wysoki i patykowaty Russo kojarzy się z Włochami mniej więcej tak samo jak kanapka z szynką i majonezem. To już Malone bardziej wygląda na Włocha. W dzieciństwie żartowali, że może zamieniono ich w szpitalu.

Tak naprawdę Malone prawdopodobnie zna Russa lepiej niż siebie samego przede wszystkim z tego powodu, że on jest skryty, a Russo nie. Powie wszystko, co pomyśli, ale nie każdemu, tylko swoim braciom gliniarzom.

Gdy po raz pierwszy przespał się z Donną – klasyczne zakończenie balu maturalnego – następnego dnia nawet nie musiał nic mówić. Miał to wypisane na głupio uśmiechniętej twarzy. Zawsze widać było po nim wszystkie uczucia.

– Kocham ją, Denny – powiedział. – Ożenię się z nią.

– Czy ty, kurwa, jesteś Irlandczykiem? – zdumiał się Denny. – Przecież nie musicie brać ślubu tylko dlatego, że to zrobiliście.

– Ale ja chcę – odrzekł Russo.

Russo zawsze wiedział, kim jest. Wielu chłopaków chciało wyrwać się ze Staten Island i stać się kimś innym, ale nie Russo. On wiedział, że ożeni się z Donną, będzie miał dzieci, będzie mieszkał tam gdzie zawsze, i bardzo mu odpowiadało, że jest stereotypowym facetem ze Wschodniego Wybrzeża – miejski policjant, żona, dzieci, dom z trzema sypialniami i półtorej łazienki, grill w ogródku w świąteczne dni.

Razem zdawali egzamin, razem zaczęli pracę w departamencie, razem poszli do Akademii. Malone musiał pomóc Russowi przytyć o dwa i pół



kilo, żeby osiągnął minimum wagowe. Karmił go na siłę koktajlami mlecznymi, piwem i hot dogami.

Mimo wszystko Russo nie skończyłby akademii bez Malone'a. Trafiał w tarczę strzelniczą, jak chciał, ale kompletnie nie umiał walczyć. Zawsze tak było, nawet kiedy grali w hokeja. Russo miał miękkie uderzenie i potrafił zgrabnie wbić krążek w siatkę, ale każda bójka to była katastrofa. Choć ramiona miał długie, Malone za każdym razem musiał go ratować z opresji. Toteż na treningach w akademii zwykle starali się ćwiczyć w jednej parze i Malone pozwalał, żeby Russo go przewrócił, wykręcił mu rękę i założył chwyt duszący.

W dniu ukończenia akademii – czy Malone zapomni kiedyś ten dzień? – Russo miał na twarzy szeroki, głupawy uśmiech, którego za nic nie potrafił się pozbyć. Popatrzyli na siebie i obydwaj wiedzieli, jak będzie wyglądało ich życie.

Gdy Sheila nasikała na test i pokazały się dwie niebieskie kreski, to właśnie Russo dowiedział się o tym pierwszy. Natychmiast powiedział, że tu nie ma żadnej dyskusji, jest tylko jedna rzecz, którą Malone może zrobić, a on, Phil Russo, chce być świadkiem na ślubie.

– To stara szkoła – powiedział Malone. – Tak robili nasi rodzice, nasi dziadkowie, ale teraz już niekoniecznie tak to działa.

– Jak to, kurwa, nie – odrzekł Russo. – My jesteśmy ze starej szkoły, Denny. Jesteśmy ze Staten Island na Wschodnim Wybrzeżu. Może ci się wydaje, że jesteś jakimś kurewsko nowoczesnym dupkiem, ale nic z tego. Sheila też nie. No co? Nie kochasz jej?

– Sam nie wiem.

– Kochałeś ją na tyle, żeby ją przelecieć. Znam cię, Denny, nie nadajesz się na anonimowego dawcę nasienia. To nie ty.

I tak oto Russo został świadkiem na ich ślubie.

Malone nauczył się kochać Sheilę.

Nie sprawiło mu to wielkich trudności – była ładna, pogodna, na swój sposób inteligentna i przez długi czas było dobrze.

Obydwaj z Russem wciąż nosili mundury, gdy runęły wieże. Russo biegł w tę stronę, a nie w przeciwną, bo wiedział, kim jest. A gdy Malone się dowiedział, że Liam został pod wieżą numer dwa i już nigdy nie wróci, to Russo siedział przy nim przez całą noc.

Tak jak Malone siedział przy Russem, gdy Donna poroniła.

Russo płakał.

Gdy córka Russa, Sophia, urodziła się przedwcześnie, kilo z groszami, i lekarze mówili, że sprawa waży się na ostrzu noża, Malone siedział z nim w szpitalu przez całą noc. Nic nie mówił, tylko siedział, dopóki Sophia nie wyszła na prostą.

A wtedy, gdy Malone głupio dał się postrzelić, bo wybiegł za daleko naprzód, by pochwycić włamywacza, gdyby nie Russo, wydział zafundowałby mu uroczysty pogrzeb, a Sheila patrzyłaby na zwiniętą flagę. Zagrano by mu na dudach, urządzono stypę i Sheila byłaby wdową, a nie rozwódką, gdyby Russo nie postrzelił włamywacza i nie popędził na izbę przyjęć w tempie złodzieja samochodów, bo Malone miał krwotok wewnętrzny.

Phil wpakował dwie kule w pierś włamywacza, a trzecią w głowę, bo takie są zasady. Ten, kto postrzeli policjanta, ginie od razu albo umiera w drodze do szpitala, bo wiezie się go powoli, po największych wybojach, a jeśli zachodzi taka potrzeba, ambulans zbacza w różne miejsca.

Lekarze składają przysięgę Hipokratesa, ale ratownicy medyczni nie. Wiedzą, że jeśli będą się starali za wszelką cenę ocalić życie kogoś, kto postrzelił policjanta, to następnym razem, gdy poproszą policję o wsparcie, przyjazd radiowozu może się opóźnić.

Ale Russo tamtej nocy nie czekał na ratowników. Sam zawiózł Malone'a do szpitala i wniósł go do środka jak dziecko.

Ocalił mu życie.

Ale taki właśnie jest Russo.

Honorowy facet ze starej szkoły z fartuszkim mistrza grillowania, dziwnym zamiłowaniem do Nirvany, Pearl Jam i Nine Inch Nails, bystry jak diabli, żelazne jaja, wierny jak pies. Phil Russo będzie przy tobie zawsze i wszędzie.

Swój chłop.

Brat.

– Przychodzi ci czasem do głowy, że powinniśmy to rzucić? – pyta Malone.

– Robotę?

Malone potrząsa głową.

– Tamto drugie. Bo w końcu ile jeszcze potrzebujemy zarobić?

– Mam troje dzieci – mówi Russo. – Ty masz dwoje, Monty też troje. Wszystkie są zdolne. Wiesz, ile teraz kosztuje college? Wbijają w ciebie szpony gorzej niż rodzina Gambino. Nie wiem jak ty, ale ja potrzebuję nadal zarabiać.

Ty też potrzebujesz, powtarza sobie Malone.

Potrzebujesz pieniędzy, przyływu gotówki, ale przyznaj, że nie tylko o to chodzi. Kochasz tę zabawę, ten dreszczyk, zdejmowanie złych facetów. Nawet niebezpieczeństwo, nawet myśl, że mogą cię przyłapać.

Jesteś chorym na umyśle skurwysynem.

– Może już czas ruszyć ten towar od Peny – mówi Russo.

– A co, potrzebujesz pieniędzy?

– Nie, wszystko w porządku. Tylko wiesz, trochę się już uspokoiło, a ten towar siedzi w schowku i nie zarabia na siebie. To są pieniądze na

emeryturę, Denny. To są pieniądze, żeby móc powiedzieć: pieprzę was i wynoszę się stąd. Pieniądze na przetrwanie, gdyby cokolwiek się zdarzyło.

– Sądziysz, że coś może się zdarzyć, Phil? – pyta Malone. – Wiesz o czymś, o czym ja nie wiem?

– Nie.

– To poważny krok – mówi Malone. – Wcześniej braliśmy tylko pieniądze, ale nigdy nie handlowaliśmy towarem.

– To po co go braliśmy, jeśli nie zamierzaliśmy go sprzedawać?

– Staniemy się handlarzami narkotyków – precyzuje Malone. – Przez całe życie walczyliśmy z nimi, a teraz będziemy tacy jak oni.

– Gdybyśmy przekazali wszystko, to ktoś inny by wziął – mówi Russo.

– Wiem.

– Dlaczego nie my? – pyta Russo. – Dlaczego zawsze to inni mają się bogacić? Mafia, dilerzy, politycy. Dlaczego dla odmiany to nie możemy być my? Kiedy będzie nasza kolej?

– Rozumiem cię – mówi Malone.

Siedzą w milczeniu i piją.

– Coś jeszcze cię niepokoi? – pyta Russo.

– Sam nie wiem – odpowiada Malone. – Może chodzi tylko o to, że są święta.

– Jedziesz tam?

– Jutro rano. Na rozpakowanie prezentów.

– To dobrze.

– Tak, to dobrze – powtarza Malone.

– Zajrzyj do nas, gdybyś był gdzieś w pobliżu. Donna idzie na całość z włoskim jedzeniem. *Macaroni* z sosem, *baccalata* i do tego indyk.

– Dzięki, postaram się wpaść.

Malone jedzie na komisariat Manhattan Północ i pyta sierżanta przy biurku:

– Gruby Teddy już pojechał?

– Malone, jest Wigilia – odpowiada sierżant. – Wszystko idzie z opóźnieniem.

Malone schodzi do celi dla zatrzymanych. Teddy siedzi na ławce. Malone nie zna żadnego miejsca, które mogłoby przygnębić człowieka w Wigilię bardziej niż cela aresztu. Gruby Teddy na jego widok podnosi wzrok.

– Musisz coś dla mnie zrobić, bracie.

– A co ty zrobisz dla mnie?

– A co mogę?

– Powiedzieć mi, kto siedzi w kieszeni u Cartera.

Teddy śmieje się.

– Jakbyś sam nie wiedział.

– Torres?

– Ja tam nic nie wiem.

Trafiony, myśli Malone. Gruby Teddy boi się wsypać gliniarza.

– Dobra – mówi. – Teddy, nie jesteś idiotą, tylko udajesz idiotę na ulicy. Wiesz, że z dwoma wyrokami na koncie za sam pistolet dostaniesz pięć lat. A jak wyśledzimy, że ta broń została kupiona na słupa w jakiejś pipidówie w Massachusetts, to sędzia się wkurzy i da ci dwa razy tyle. Dziesięć lat to kupa czasu. Ale sam widzisz, przyszedłem cię odwiedzić i przyniosłem ze sobą zeberka od mamusi.

– Nie rób sobie ze mnie jaj, Malone.

– Mówię śmiertelnie poważnie. Co będzie, jak ci załatwię wyjście?

– A co by było, gdybyś miał jaja zamiast tego czegoś, co masz?

– Sam prosiłeś, żebym mówił poważnie, Teddy – odpowiada Malone. – Ale skoro nie...

– Co za to chcesz?

– Słyszałem, że Carter negocjuje duży zakup broni. Chcę wiedzieć, z kim go negocjuje.

– Uważasz mnie za głupka?

– Wcale nie.

– Nie ma innej możliwości, Malone – mówi Teddy. – Bo jeśli puścisz mnie wolno i dopadniesz tej broni, Carter poskłada jedno z drugim do kupy i skończę twarzą w dół na ulicy.

– A czy ty uważasz mnie za głupka, Teddy? Zrobię tak, żeby twoje wyjście wyglądało zupełnie normalnie.

Gruby Teddy zaczyna się wahać.

– Pieprz się – mówi Malone. – Czeka na mnie piękna kobieta, a ja tu siedzę z brzydkim facetem.

– Nazywa się Mantell.

– Kto się nazywa Mantell?

– Ten biały od broni w ECMF.

Malone wie, że East Coast Motherfuckers to klub motocyklowy, który siedzi po uszy w handlu marihuaną i bronią. Ma swoje filie w Georgii i obu Karolinach, ale to rasiści wyznający dogmat supremacji białych.

– ECMF robi biznes z czarnym?

Gruby Teddy wzrusza ramionami.

– Za czarne pieniądze kupisz tyle samo. W dodatku pomagają czarnym zabijać czarnych.

Malone'a jeszcze bardziej dziwi to, że Carter robi biznesy z białymi. Widocznie jest zdesperowany.

– Co oni mu proponują?

– AK, AR, MAC-10. Co tylko chcesz – mówi Teddy. – To wszystko, co wiem, synu.

– Carter jeszcze nie podesłał ci prawnika?

– Nie mogę się do niego dodzwonić. Jest na Bahamach.

– Zadzwoń do tego gościa. – Malone podaje mu wizytówkę. – Marc Piccone. On cię stąd wyciągnie.

Teddy bierze wizytówkę.

Malone podnosi się.

– Nie wydaje ci się, Teddy, że obaj robimy coś nie tak? My sobie odmrażamy tyłki, a Carter popija piña coladę na plaży.

– Święte słowa.

Święte słowa.

Malone krąży po mieście nieoznakowanym służbowym samochodem.

Istnieje ograniczona liczba miejsc, w których może się pojawić Śmierdziel. Przeważnie bywa na północ od Columbii, ale poniżej Sto Dwudziestej Piątej. Znajduje go po wschodniej stronie Broadwayu. Jest roztrzęsiony, kiwa się w głodowym tańcu narkomanów.

Malone zatrzymuje się obok niego i opuszcza szybę po stronie pasażera.

– Wsiadaj.

Śmierdziel rozgląda się nerwowo i wsiada. Jest trochę zaskoczony. Malone zwykle nie wpuszcza go do samochodu, bo mówi, że śmierdzi, chociaż Śmierdziel sam tego nie czuje.

Jest na poważnym głodzie.

Cieknie mu z nosa. Zapłata trzęsące się ręce na ramionach i kołysze się w przód i w tył.

– Wszystko mnie boli, nikogo nie mogę znaleźć. Musisz mi pomóc, człowieku – mówi.

Jego chuda twarz jest ściągnięta, brązowa skóra ma niezdrowy odcień. Dwa górne przednie zęby wystają jak u wiewiórki w kiepskiej kreskówce. Gdyby tak nie śmierdział, nazywano by go Paskudą.

A teraz zbiera mu się na wymioty.

– Proszę, Malone.

Malone sięga pod deskę rozdzielczą, do metalowego pudełka przyczepionego na magnes. Otwiera je i podaje Śmierdzielowi kopertę. To wystarczy, żeby odzyskał równowagę.

Śmierdziel otwiera drzwi.

– Nie, zostań w samochodzie – mówi Malone.

– Mogę się dziabnąć tutaj?

– Możesz. A co tam, kurwa. W końcu jest Boże Narodzenie.

Skręca w lewo i jedzie Broadwayem na południe. Śmierdziel wytrząsa heroinę na łyżkę, ogrzewa ją zapalniczką i wciąga do strzykawki.

– Czysta? – pyta Malone.

– Jak noworodek.

Śmierdziel wbija igłę w żyłę i opróżnia strzykawkę. Odrzuca głowę do tyłu i wzdycha głęboko.

Znów czuje się dobrze.

– Gdzie jedziemy?

– Port Authority – mówi Malone. – Musisz na jakiś czas zniknąć z miasta.

Śmierdziel jest przerażony.

– Dlaczego?!

– Dla twojego dobra. – Na wypadek, gdyby wkurzony Gruby Teddy zechciał go wyśledzić i załatwić.

– Nie mogę wyjechać – mówi Śmierdziel. – Nie mam żadnych kontaktów poza miastem.

– I tak pojedziesz.

– Proszę, nie zmuszaj mnie. – Śmierdziel zaczyna płakać. – A jak będę na głodzie? Bez miasta umrę.



– Wolisz być na głodzie w Rikers? – pyta Malone. – Bo taki masz wybór.  
– Dlaczego zachowujesz się jak kutas, Malone?  
– Taki mam charakter.  
– Kiedyś taki nie byłeś.  
– Kiedyś było kiedyś, a teraz jest teraz.  
– Gdzie mam jechać?  
– Nie wiem. Do Filadelfii, do Baltimore.  
– Mam kuzyna w Baltimore.  
– No to jedź tam. – Malone podaje mu pięć studolarowych banknotów. – Tylko nie wydaj tego wszystkiego na koks. Wypieprzaj z Nowego Jorku i nie wracaj przez jakiś czas.  
– Jak długo mam tam być?

Wydaje się zrozpaczony i szczerze przerażony. Malone wątpi, czy Śmierdziel kiedykolwiek był na East Side, nie wspominając już o wyjeździe z miasta.

– Zadzwoń do mnie za jakiś tydzień, to ci powiem. – Zatrzymuje się przy Port Authority i wypuszcza Śmierdziela. – Jeśli cię zobaczę w Nowym Jorku, to naprawdę się wkurzę.

– Myślałem, że jesteśmy kumplami, Malone.  
– Nie, nie jesteśmy kumplami – odpowiada Malone. – I nie będziemy. Jesteś moim informatorem. Kapusiem. To wszystko.

W drodze powrotnej Malone nie zamyka okna.

Claudette otwiera drzwi.

– Wesołych świąt, kochanie – mówi.

Malone uwielbia jej głos.

To właśnie ten jej głos, niski i miękki, na samym początku przyciągnął go do niej jeszcze bardziej niż wygląd.

Głos pełen obietnic, dodający pewności.

Znajdziesz tu spokój i przyjemność.

W moich ramionach, w moich ustach, w mojej cipce.

Wchodzi i siada na tej małej kanapie – Claudette nazywa ją jakoś inaczej, ale Malone nigdy nie pamięta jak – i mówi:

– Przepraszam, że przychodzę tak późno.

– Ja też dopiero wróciłam.

A jednak ma na sobie białe kimono, a jej perfumy pachną niebiańsko.

Dopiero wróciła do domu i przygotowała się, żeby mnie przywitać, myśli Malone.

Claudette siada obok niego, otwiera rzeźbione drewniane pudełeczko, które stoi na stoliku, i wyjmuje cienkiego jointa. Zapala, pociąga i podaje mu.

Malone pociąga i mówi:

– Myślałem, że masz zmianę od czwartej do dwunastej.

– Ja też tak myślałam.

– Ciężki dyżur?

– Bójki, próby samobójcze, przedawkowania – odpowiada Claudette i znów bierze od niego jointa. – Jeden facet przyszedł boso ze złamanym nadgarstkiem. Mówił, że cię zna.

Jest pielęgniarką na oddziale ratunkowym i zwykle pracuje na nocną lub poranną zmianę, więc wszystko już widziała. Poznali się, gdy Malone przywiózł do szpitala narkomana informatora, który przypadkiem odstrzelił sobie pół stopy.

– Dlaczego nie wezwał pan karetki? – zapytała.

– Do Harlemu? – zdziwił się Malone. – Wykrwawiłby się, a ratownicy w tym czasie spokojnie by popijali kawę w Starbucksie. Zamiast tego zakrwawił mi cały samochód. A właśnie był czyszczony.

– Jest pan policjantem?

– Przyznaję się do winy.

Teraz Claudette przechyla się do tyłu i kładzie nogi na jego nogach. Kimono rozchyła się, ukazując uda. Tuż pod jej cipką znajduje się miejsce, które Malone uważa za najmiększe na świecie.

– Mieliśmy dzisiaj porzucone kokainowe dziecko. Ktoś je zostawił na schodach.

– Owinięte chustą?

– Rozumiem ironię, Malone – odpowiada. – Jak ci minął dzień?

– Dzięki, dobrze.

Malone lubi w niej to, że nie naciska i zadowala się tym, co sam jej zechce powiedzieć. Wielu kobietom to by nie wystarczyło. Nalegałyby, żeby dzielił się szczegółami, o których wolałyby zapomnieć. Claudette to rozumie. Ona też ma swoje koszmary.

Gładzi ją po tym miękkim miejscu.

– Jesteś zmęczona. Pewnie chcesz spać?

– Nie, kochanie, chcę się pieprzyć.

Kończą drinki i idą do sypialni.

Claudette rozbiera go, całując obnażoną skórę. Opada na kolana, bierze w usta i choć w sypialni jest ciemno, a światło dochodzi tylko z ulicy, widok jej pełnych czerwonych warg na jego penisie sprawia Malone'owi wielką przyjemność.

Nie jest dzisiaj naćpana, to tylko trawa, chociaż to bardzo dobra trawa i Malone też ją lubi. Dotyka włosów Claudette, a potem przesuwa dłoń niżej, pod kimono, obejmuje pierś i słyszy cichy jęk.

Opiera dłonie na jej ramionach, by ją powstrzymać.

– Chcę być w tobie.

Claudette podnosi się, podchodzi do łóżka, kładzie się i podciąga kolana w zaproszeniu.

– No to chodź tu, kochanie.

Jest ciepła i wilgotna.

Malone ślizga się po jej ciele, pełnych piersiach, ciemnobrązowej skórze, dotyka palcem tego miękkiego miejsca. Na zewnątrz odzywają się syreny i słycać krzyki, ale nic go to nie obchodzi, w tej chwili nic go to nie musi obchodzić, wystarczy mu, że wsuwa się w nią i wysuwa, i słyszy, jak ona mówi:

– Uwielbiam to, kochanie. Uwielbiam to.

Gdy czuje, że za chwilę dojdzie, chwytą ją za pośladki. Claudette twierdzi, że jak na czarną dziewczynę prawie nie ma tyłka, ale on chwytą jej drobny jędrny tyłek, przyciąga bliżej i wchodzi w nią tak głęboko, jak tylko się da, aż poczuje tę drobną fałdkę w jej wnętrzu, a ona chwytą go za ramiona, unosi biodra i dochodzi tuż przed nim.

On szczytuje tak jak zawsze z nią, od czubka palców u stóp aż po czubek głowy, i może to przez tę trawę, ale wydaje mu się, że chodzi właśnie o Claudette, o jej miękki niski głos i ciepłą brązową skórę, teraz śliską i spoconą, która stapia się z jego skórą.

Mija może minuta, a może godzina, gdy w końcu słyszy jej głos:

– Och, kochanie, jestem zmęczona.

– Tak, ja też.

Stacza się z niej.

Claudette sennie ściska jego dłón i po chwili już śpi.

Malone leży na plecach. Po drugiej stronie ulicy właściciel sklepu monopolowego zapomniał wyłączyć światła, dlatego czerwone refleksy odbijają się od sufitu Claudette.

Jest Boże Narodzenie w dżungli i przez krótką chwilę Malone czuje wreszcie spokój.

## ROZDZIAŁ 5

Malone śpi tylko godzinę, bo chce być na Staten Island, zanim dzieci wstaną i zaczną otwierać prezenty pod choinką.

Wstaje, ale nie budzi Claudette.

Ubiera się, wchodzi do kuchni, robi sobie kawę rozpuszczalną i wyjmuje z kieszeni kurtki prezent dla Claudette.

Brylantowe kolczyki od Tiffany'ego.

Bo ona szaleje na punkcie tego filmu z Audrey Hepburn.

Zostawia pudełko na stoliku i wychodzi. Wie, że Claudette będzie spała do południa, ogarnie się i pójdzie do siostry na świąteczny obiad.

– A potem pewnie pójde na mityng do St. Mary's – zapowiedziała.

– Są mityngi w Boże Narodzenie? – zdziwił się Malone.

– Zwłaszcza w Boże Narodzenie.

Dobrze sobie radzi, już od prawie sześciu miesięcy jest czysta. To trudne dla kogoś uzależnionego, kto pracuje w szpitalu i przez cały czas ma dostęp do leków.

Malone jedzie do swojego mieszkania na Sto Czwartej między Broadwayem a West Endem.

Kiedy ponad rok temu zdecydowali się na separację z Sheilą, postanowił, że będzie jednym z nielicznych policjantów, którzy mieszkają w swoim rejonie. Nie przeniósł się aż do Harlemu, ale znalazł mieszkanie na skraju Upper West Side. Może dojeżdżać do pracy pociągiem albo nawet chodzić pieszo, jeśli przyjdzie mu na to ochota, a poza tym podoba mu się okolica dokoła Columbii.

Studenci college'u są irytujący z tą swoją młodzieńczą arogancją i pewnością siebie, ale w tym również jest coś, co mu się podoba. Lubi chodzić do kawiarni i barów i przysłuchiwać się rozmowom. Lubi zapuszczać się dalej na północ pieszo, pokazując dilerom i narkomanom, że jest w pobliżu.

Mieszkanie jest na drugim piętrze bez windy – mały salonik, jeszcze mniejsza kuchenka i jeszcze mniejsza sypialnia z łazienką. W salonie zwisa na łańcuchu ciężki worek bokserski. To wszystko, czego mu potrzeba; i tak rzadko tu bywa. To jest miejsce, gdzie można paść na łóżko, wziąć prysznic i rano zrobić sobie kawę.

Teraz wchodzi na górę, bierze prysznic i przebiera się. Nie może pojechać do domu w tym samym ubraniu, bo Sheila natychmiast wyczułaby zapach i zapytała, czy był z „nią”.

Malone nie ma pojęcia, dlaczego tak bardzo jej to przeszkadza, a właściwie dlaczego w ogóle jej to przeszkadza. Gdy poznał Claudette, byli w separacji niemal już od trzech miesięcy, popełnił jednak poważny błąd, odpowiadając szczerze na pytanie Sheili:

– Spotykasz się z kimś?

Gdy Malone opowiedział o reakcji Sheili, Russo skwitował:

– Jako gliniarz powinienes to wiedzieć. Nigdy nie mów prawdy.

Albo w ogóle nic nie mów. Tylko „chcę prawnika, chcę przedstawiciela”.

Sheila wpadła w histerię.

– Claudette? To Francuzka?

– Prawdę mówiąc, czarna. Afroamerykanka.

Sheila roześmiała mu się w twarz. Po prostu nie mogła w to uwierzyć.

– Kurczę, Denny, kiedy w Święto Dziękczynienia powiedziałaś, że lubisz ciemne mięso, myślałam, że chodzi ci o nóżkę indyka!

– To miłe, co mówisz.

– Nie udawaj, że jesteś taki poprawny politycznie. Ty sam ciągle opowiadasz o czarnuchach i asfaltach. Powiedz, mówisz tak do niej?

– Nie.

Sheila nie mogła się przestać śmiać.

– Nie mówisz swojej „czarnej siostrze”, ilu jej „czarnych braci” zaprawiłeś kiedyś pałką?

– Możliwe, że o tym nie wspomniałem.

Znów się roześmiała, ale wiedział, co nadchodzi. Połknęła wcześniej kilka pigułek, więc to była tylko kwestia czasu, nim rozbawienie przejdzie we wściekłość i w uzalanie się nad sobą.

Ta chwila właśnie nadeszła:

– Powiedz mi, Denny, czy ona pieprzy się lepiej niż ja?

– Daj spokój, Sheilo.

– Nie. Chcę to wiedzieć. Czy ona pieprzy się lepiej niż ja? Wiesz, jak mówią: gdy raz spróbujesz czarnego, już nigdy nie pójdziesz do innego.

– Nie wchodźmy w to.

– Zwykle zdradzałeś mnie z białymi dziwkami.

No cóż, to prawda, pomyślał Malone.

– Przecież cię nie zdradzam. Jesteśmy w separacji.

Ale Sheila nie była w nastroju do takich formalnych rozróżnień.

– Nawet kiedy jeszcze byliśmy małżeństwem, nigdy ci to nie przeszkadzało, prawda, Denny? Ty i twoi bracia gliniarze rżnęliście wszystko, co miało cipę. Zaraz, a oni o tym wiedzą? Russo i Big Monty? Wiedzą, że teraz dłubiesz w asfalcie?

Nie chciał stracić cierpliwości, ale stracił:

– Zamknij się, Sheilo, do cholery!

– A co, uderzysz mnie?

– Nigdy nie tknąłem cię nawet palcem – odrzekł Malone.

Robił w życiu wiele złych rzeczy, ale nigdy nie uderzył kobiety.

– To prawda – przyznała Sheila. – W ogóle przestałeś mnie dotykać.

Problem w tym, że miała rację.

Teraz Malone goli się starannie – najpierw z włosom, a potem pod włos, bo chce wyglądać czysto i świeżo.

No tak, powodzenia, myśli.

Otwiera szafkę z lekami i łyka kilka pięciomiligramowych tabletek deksedryny, żeby trochę się rozruszać.

Potem wkłada czyste dżinsy, białą garniturową koszulę i czarną wełnianą sportową kurtkę, żeby wyglądać jak przykładowy obywatel. Nawet w lecie zwykle wkłada coś z długimi rękawami, gdy wybiera się do domu, bo tatuaże wkurzają Sheilę.

Uważa, że to był dla niego symbol wyjazdu ze Staten Island, że chciał się w ten sposób upodobnić do miejskich hipsterów.

– A na Staten Island nikt nie ma tatuaży? – odparł Malone. Przecież salony tatuażu są teraz na co drugim rogu ulicy. Połowa facetów w tej okolicy nosi na sobie wzorki. Jeśli się zastanowić, to połowa kobiet też.

Podobają mu się własne wytatuowane ramiona. Po pierwsze, po prostu mu się podobają, po drugie, bandyci na ich widok wpadają w strach, bo nie przywykli widzieć ich u gliniarzy. Gdy Malone podwija rękawy i zabiera się do takiego kmiota, ten wie, że trzeba zacząć się bać.

A poza tym to hipokryzja ze strony Sheili, bo sama ma małą, zieloną czterolistną koniczynkę wytatuowaną przy prawej kostce, jakby już na pierwszy rzut oka nie było widać, że jest Irlandką z tymi rudymi włosami, zielonymi oczami i piegami.

Nie trzeba psychiatry, który bierze dwieście dolców za godzinę, by się domyślić, że Claudette jest zupełnym przeciwieństwem mojej wkrótce byłej żony, myśli Malone, przypinając do paska prywatny pistolet.



Sam o tym wiem.

Sheila jest uosobieniem wszystkiego, z czym Malone wyrósł. Nie ma tu żadnych niespodzianek, wszystko jest znajome. Claudette to zupełnie inny świat, druga strona rzeczy, nieustanne odkrycia. Nie chodzi tylko o kolor skóry, chociaż ma to bardzo duże znaczenie.

Sheila to Staten Island, Claudette to Manhattan.

Ona dla niego jest miastem.

Uosabia jego ulice, dźwięki, zapachy, wyrafinowanie, seksowność, egzotykę.

Na pierwszą randkę przyszła w sukience retro z lat czterdziestych i z białą gardenią we włosach, jak Billie Holiday. Usta miała pomalowane na jaskrawą czerwień, a od jej perfum zakręciło mu się w głowie z pożądania.

Zabrał ją do Buvette w Greenwich Village, w pobliżu Bleecker, bo pomyślał, że skoro nosi francuskie imię, może się jej tam spodobać, a poza tym nie chciał jej zabierać nigdzie w rejonie Manhattan Północ.

Przejrzała to natychmiast.

– Nie chcesz, żeby cię ze mną widziano w twoim rejonie – powiedziała, kiedy usiedli przy stoliku.

– Nie o to chodzi. – To tylko w połowie było kłamstwo. – Ale tam zawsze czuję się tak, jakbym był na służbie. Nie lubisz Village?

– Uwielbiam Village. Mieszkałabym tu, gdybym nie miała stąd tak daleko do pracy.

Nie poszła z nim do łóżka na tamtej randce ani na następnej, ani na jeszcze następnej, ale kiedy w końcu to zrobiła, było rewelacyjnie i zakochał się bardziej, niż wydawało mu się to możliwe. A właściwie już wcześniej był zakochany, bo stawiała mu wyzwania. Sheila albo niechętnie akceptowała wszystko, co robił, albo szła na całość z rudowłosą irlandzką

brawurą. Przy Claudette musiał rewidować swoje poglądy, zaczął widzieć różne rzeczy w nowym świetle. Nigdy nie był zapalonym czytelnikiem, ale przy niej zaczął czytać, w tym również – o dziwo – poezję, i niektóre rzeczy nawet mu się podobały, na przykład Langston Hughes. Czasami w sobotę wstawali późno, wychodzili na kawę i przeglądali książki w księgarniach – kolejna rzecz, o jaką Malone nigdy by się nie podejrzewał. Claudette pokazywała mu książki o sztuce, opowiadała o wakacjach w Paryżu, na które pojechała zupełnie sama, i o tym, że bardzo chciałyby tam wrócić.

Kurczę, Sheila nie chce przyjechać sama nawet do miasta.

Ale nie tylko różnice z Sheilą sprawiają, że Malone kocha Claudette.

Chodzi o jej inteligencję, poczucie humoru, ciepło.

Nigdy nie spotkał osoby o lepszym sercu.

I to jest problem.

Jest za dobra na tę pracę. Cierpi, patrząc na swoich pacjentów. Wykrwawia się wewnętrznie od wszystkiego, co tam widzi, i to ją doprowadza do stanu, w którym sięga po igłę.

Dobrze, że chodzi na te mityngi.

Już ubrany, Malone sięga po zapakowane prezenty, które kupił dla dzieci. Właściwie to on kupił wszystkie prezenty, ale te, które znajdują się pod choinką, pójdą na konto Świętego Mikołaja. Te są od niego: nowa konsola Play Station 4 dla Johna i zestaw Barbie dla Caitlin.

To nie było trudne. Najgorsze było znalezienie prezentu dla Sheili.

Chciał jej kupić coś ładnego, ale pozbawionego romantycznej aury, no i w żadnym razie nie powinno kojarzyć się z seksem. W końcu poprosił o radę Tenelli, a ta zaproponowała ładny szalik.

– Tylko nie kupuj nic taniego w ostatniej chwili od handlarza na ulicy, bo wy tak lubicie robić. Zarezerwuj sobie na to trochę czasu. Idź do Macy's

albo do Bloomie's. Jaką ma kolorystykę?

– Co?

– Jak ona wygląda, tępaku – tłumaczy Tenelli. – Jest blada czy ciemna?

Jakiego koloru ma włosy?

– Błada. Rude.

– Kup szary. To bezpieczny kolor.

Poszedł zatem do Macy's, przedarł się przez tłum i znalazł ładny, szary wełniany szalik, który zubożył go o setkę. Ma nadzieję, że szalik powie Sheili to, co trzeba: nie kocham cię już, ale zawsze będę się o ciebie troszczył.

Sądzi, że Sheila i tak o tym wie.

Nigdy nie spóźnia się z alimentami, płaci za ubrania dzieci, za treningi hokejowe Johna, lekcje tańca Caitlin. Całą rodzinę wciąż obejmuje jego program ubezpieczeniowy, który jest bardzo dobry, w pakiet usług wchodzi też leczenie stomatologiczne.

Poza tym Malone zawsze zostawia Sheili kopertę, bo nie chce, żeby pracowała ani żeby musiała doświadczyć tego, jak to się nazywa – „obniżenia poziomu życia”. Toteż robi, co trzeba, i zostawia jej grubą kopertę, a ona z wdzięczności i przyzwoitości nigdy nie pyta, skąd pochodzą te pieniądze.

Jej ojciec też był gliniarzem.

– To dobrze, że robisz, co trzeba – powiedział Russo pewnego razu, gdy o tym rozmawiali.

Malone wzruszył ramionami.

– A co innego mam zrobić?

Gdy się wyrasta w takiej okolicy, robi się to, co trzeba.

Większość mieszkańców Staten Island uważa, że mężczyzna może odejść od żony, ale tylko czarni odchodzą od dzieci. To niesprawiedliwe, myśli

Malone; Bill Montague jest chyba najlepszym ojcem, jakiego zna. Ale ludzie myślą, że czarni mężczyźni robią bachory swoim suczkom, a potem naciągają białych na pomoc społeczną.

Gdyby biały facet ze Wschodniego Wybrzeża spróbował czegoś takiego, wszyscy dobraliby mu się do skóry: proboszcz, rodzice, rodzeństwo, przyjaciele. Wszyscy w kółko by mu powtarzali, że jest degeneratem, i sami staraliby się pomagać jego dzieciom.

– Gdybyś tak zrobił – oznajmiłaby matka takiego faceta – to nie byłabym w stanie pójść na mszę i popatrzeć ludziom w oczy. Co bym powiedziała księdzu?

Akurat ten argument niewiele znaczy dla Malone'a.

Nie cierpi księży. Uważa ich za pasożytów i w ogóle nie zbliża się do kościoła, chyba że musi pójść na ślub albo na pogrzeb, ale nawet wtedy nie daje im ani grosza.

Malone, który przy każdej zbiórce na Armię Zbawienia wrzuca do pudełka przynajmniej pięć dolarów, nie ma zamiaru dać choćby dziesięciu centów Kościołowi katolickiemu, w którym się wychował. Nie zamierza dawać pieniędzy organizacji pedofilów, których należałoby skazać na mocy ustawy RICO.

Gdy papież przyjechał do Nowego Jorku, Malone chciał go zaaresztować.

– To nie zostałyby dobrze przyjęte – zauważył Russo.

– Pewnie nie. – Wszyscy gliniarze powyżej stopnia kapitana rozpychali się łokciami, żeby ucałować pierścień albo tyłek papieża, cokolwiek znajdzie się przed ich twarzą wcześniej.

Malone nie przepada również za zakonnicami.

– A matka Teresa? – zapytała Sheila, gdy kiedyś się o to pokłócili. – Karmiła głodujących ludzi.

– Gdyby rozdawała prezerwatywy, to może mniej by było głodnych ludzi do nakarmienia – odrzekł Malone.

Malone nie znosi nawet filmu „Dźwięki muzyki”. To był jedyny film, przy którym kibicował nazistom.

– Jak można nie znosić „Dźwięków muzyki”? – dziwił się Monty. – To ładny film.

– Jak można być takim głupim czarnym? – odparował Malone. – Tylko posłuchaj tych pieprzonych „Dźwięków muzyki”.

– No właśnie – mówi Monty. – A ty posłuchaj tego rapowego gówna.

– A co masz do rapu?

– Jest rasistowski.

Z doświadczenia Malone’a wynika, że nikt bardziej nie darzy aż tak wielką nienawiścią rapu i hip-hopu niż czarni około czterdziestki. Po prostu nie znoszą tego typu postawy, nie znoszą tego zachowania, tych portek zwisających z tyłka, tych czapeczek bejsbolowych włożonych daszkiem do tyłu, tej biżuterii. I większość czarnych mężczyzn w tym wieku nie pozwoli, by ich żony nazywano suczkami.

Jeszcze czego.

Malone widział to na własne oczy. Kiedyś, jeszcze zanim wszystko się rozsypało, on, Sheila, Monty i Yolanda jechali Broadwayem w ciepły wieczór przy otwartych oknach i jakiś raper stojący na rogu Dziewięćdziesiątej Ósmej na widok Yolandy wykrzyknął:

– Fajną masz suczkę, bracie!

Monty zatrzymał samochód pośrodku Broadwayu, wysiadł, podszedł do rapera i dał mu w twarz, po czym wrócił do samochodu, a wszystko to zrobił w absolutnym milczeniu.

Nikt z pozostałych też nie powiedział ani słowa.

Claudette nie ma nic do hip-hopu, ale przeważnie słucha jazzu i zabiera Malone'a do klubów, gdy gra jakiś muzyk, który jej się podoba. Malone nie ma nic przeciwko temu, ale tak naprawdę lubi starszy rap i hip-hop: Biggie, Sugar Hill Gang, NWA, Tupac. Nelly i Eminem też są w porządku, tak jak i Dr. Dre.

Stoi pośrodku salonu i uświadamia sobie, że czuje się rozproszony. To znaczy, że deksedryna jeszcze nie zaczęła działać. Zamyka drzwi i idzie do garażu, gdzie stoi jego samochód.

Prywatny samochód Malone'a to pięknie odnowiony chevy camaro SS, rocznik 1967, z rozsuwanym dachem, czarny, z paskami Z-28, siedmiolitrowym silnikiem, ręczną czterobiegową skrzynią, wyposażony w nowy system dźwiękowy Bose. Nigdy nie jeździ nim do pracy, w ogóle rzadko jeździ po Manhattanie. To jego kaprys – używa go, gdy wybiera się na Staten Island albo gdy ma ochotę wyrwać się z miasta.

Teraz jedzie przez West Side Highway w stronę centrum, a potem przecina Manhattan w pobliżu miejsca, gdzie runęły wieże. Minęło już ponad czternaście lat, a on wciąż czuje wściekłość na widok tego pustego miejsca – dziury w pejzażu, dziury w sercu. Malone nie czuje nienawiści do muzułmanów, ale z całą pewnością nienawidzi tych skurwysynów dżihadystów.

Tamtego dnia zginęło trzystu czterdziestu trzech strażaków.

Trzydziestu siedmiu policjantów z New Jersey i Port Authority.

Dwudziestu trzech policjantów wbiegło do tych budynków i już nie wyszło.

Malone nigdy nie zapomni tego dnia, choć chciałby. Nie miał wtedy służby, ale odpowiedział na wezwanie mobilizacyjne czwartego stopnia, podobnie jak Russo i dwa tysiące innych policjantów. Widział, jak runęła druga wieża, choć nie miał wówczas pojęcia, że w środku jest jego brat.

Tamtego dnia bez końca szukali i czekali, a potem zadzwonił telefon i potwierdził to, co Malone czuł już w głębi duszy: że Liam nie wróci. Malone musiał powiedzieć o tym matce. Nigdy nie zapomni tego dźwięku, przenikliwego krzyku rozpacz, który wydobył się z jej ust i wciąż rozbrzmiewa mu w uszach w szarych godzinach przed świtem, gdy nie może spać.

Inną pozostałością tamtego dnia jest zapach. Liam powiedział kiedyś, że nie potrafi się pozbyć z nosa zapachu zwęglającego się ciała. Malone nigdy tak do końca mu nie uwierzył – aż do jedenastego września. Wtedy całe miasto śmierdziało śmiercią, popiołem, zwęglonymi ciałami, zgnilizną, wściekłością i smutkiem.

Liam miał rację. Malone już nigdy nie pozbył się tego zapachu.

Włącza Kendricka Lamara na pełny regulator i wjeżdża w Battery Tunnel.

Telefon odzywa się, gdy jest na moście Verrazano. To Marc Piccone.

– Znajdziesz dla mnie dzisiaj kilka minut?

– Jest Boże Narodzenie.

– Pięć minut – mówi Piccone. – Mój nowy klient chce, żebym to jak najszybciej załatwił.

– Gruby Teddy? – domyśla się Malone. – Przecież jego proces będzie dopiero za parę miesięcy.

– Denerwuje się.

– Jadę na Staten Island – mówi Malone.

– Ja już tam jestem – odpowiada Piccone. – Wielki zjazd rodzinny. Pomyślałem, że spróbuję się urwać późnym popołudniem.

– Zadzwonię do ciebie.

Zjeżdża z mostu przy Fort Wadsworth, gdzie startuje nowojorski maraton, skręca w Hylan i jedzie przez Dongan Hills obok Last Chance

Pond, a potem skręca w lewo na Hamden Avenue.

Okolica, w której się wychował.

Nic w niej szczególnego, typowy dla Wschodniego Wybrzeża kwartał ładnych jednorodzinnych domków, w których przeważnie mieszkają Irlandczycy albo Włosi. Mnóstwo gliniarzy i strażaków.

Dobre miejsce do wychowywania dzieci.

Ale Malone nie był już go w stanie ścierpieć.

Pieprzona, niewiarygodna nuda.

Nie mógł już znieść tego, że wracał z nalotów, z obserwacji, z dachów, z zaułków i pościgów – do czego? Do Hylan Plaza, sklepów Pathmark, Toys „R” Us i GameStop. Wracał do domu po patrolu nabuzowany szybkością, adrenaliną, strachem, złością, smutkiem, wściekłością, a potem musiał iść do jakiegoś domku z piernika i grać w Mexican Train, Monopol albo w pokera po pięć centów. To byli mili ludzie i czuł się winny, siedząc tam, popijając wino z wodą sodową i rozmawiając o niczym, choć tak naprawdę znów chciał się znaleźć na ulicach gorącego, śmierdzącego, hałaśliwego, niebezpiecznego, zabawnego, ciekawego, pobudzającego i wkurzającego Harlemu z prawdziwymi ludźmi i ich rodzinami, z alfonsami, handlarzami koksu i dziwkami.

Z poetami, artystami i marzycielami.

Po prostu kochał to pieprzone miasto.

Kochał patrzeć na grających w kosza w Rucker Parku albo stać na tarasie w Riverside Parku i obserwować kubańskie mecze bejsbolu na dole. Czasami wybierał się do Heights i Inwood, żeby popatrzeć na Dominikańczyków – partie domina na chodnikach, muzyka *reggaetón* waląca z samochodów na cały regulator, uliczni sprzedawcy rozcinający orzechy kokosowe maczetami. Wpadał do Kenny's na *café con leche* albo przystawał przy ulicznym straganie i kupował słodką zupę z fasoli.



To właśnie kocha w Nowym Jorku – znajdziesz tu wszystko, czego zapragniesz.

Słodkie, przejrzałe bogactwo tego miasta. Tak naprawdę doświadczył go dopiero wtedy, gdy opuścił swoje irlandzko-włosko-robotniczo-policyjno-strażackie getto w Staten Island i przeniósł się do miasta. Tutaj, idąc ulicą, słyszy się pięć języków, czuje zapach sześciu kultur, słyszy siedem rodzajów muzyki, widzi sto różnych rodzajów ludzi, tysiąc historii – i to wszystko jest Nowy Jork.

Nowy Jork to cały świat.

W każdym razie to świat Malone'a.

Nigdy stąd nie wyjedzie.

Po co?

Próbował to wyjaśnić Sheili, ale jak mógł jej to wyjaśnić, nie wprowadzając jej w świat, którego nie chce jej zrzucić na głowę? Jak można wyjść z kamienicy, w której znalazło się martwe od tygodnia dziecko ze stopami ogryzionymi przez szczury oraz mamusię i tatusia nagrzanym crackiem, a potem zabrać własne dzieci na pizzę? Miał jej o tym opowiadać? „Dzielić się” tym? Nie, mógł tylko naciągnąć uśmiech na twarz i rozmawiać ze sprzedawcą opon o meczu Metsów czy o czymkolwiek, kurwa, innym, bo nikt nie ma ochoty słuchać o takich rzeczach, a ty nie masz ochoty o nich opowiadać. Chciałbyś o nich zapomnieć, no więc próbuj, mistrzu.

Albo tamtym razem, kiedy on, Phil i Monty dostali anonimową wskazówkę, żeby zajrzeli pod pewien adres w Washington Heights. Znaleźli tam faceta przywiązanego do krzesła. Odcięto mu dłonie za to, że podprowadził trochę koksu z dostawy. Żył jeszcze, bo ludzie, którzy go ukarali, nienagannie skauteryzowali rany lampą lutowniczą. Oczy wychodziły mu z czaszki, zęby zaciskał tak mocno, że złamał sobie

szczękę. A potem wrócili do domu i musieli pójść na grilla i stać przy tym grillu razem z gospodarzem, bo tak robią wszyscy faceci. Malone i Phil popatrzyli na siebie i każdy z nich wiedział, co ten drugi myśli. Nie rozmawia się o tym głównie z innymi gliniarzami, bo nie ma takiej potrzeby. Oni i tak wiedzą. Tylko oni wiedzą.

A potem były te urodziny.

Malone nawet nie pamięta, czyje to były urodziny – może jakiejś przyjaciółki Caitlin – i znów była impreza na podwórku za domem. Na sznurku do wieszania bielizny wisiała piniata wypełniona cukierkami, a Malone siedział i patrzył na dzieci walące w nią kijem. Cały tamten tydzień spędził w sądzie przy sprawie Bobby’ego Jonesa, dilera heroiny. Ława przysięgłych uznała go za niewinnego, bo nie potrafili uwierzyć, że Malone dostrzegł przez szerokość ulicy, że „Bobby Bones” handluje heroiną. Tak więc Malone siedział i patrzył na dzieci, które raz za razem uderzały kijem w osiołka, ale nie były w stanie go rozbić. W końcu podniósł się, zabrał jakiemuś dziecku kij i rozwalił tego pieprzonego osiołka na drzazgi, a cukierki rozsypały się po całym podwórzu.

Wszyscy znieruchomieli.

Goście gapili się na niego.

– Zjedzcie te cukierki – powiedział Malone i zażenowany poszedł do łazienki.

Sheila ruszyła za nim.

– Jezu, Denny, o co ci, kurwa, chodzi?

– Nie wiem.

– Ty nie wiesz? Przynosisz nam wstyd w obecności wszystkich znajomych i nie wiesz?

Nie, to ty nie wiesz, pomyślał Malone.

A ja nie wiem, jak ci to powiedzieć.

Nie mogę już tak dłużej.

Nie mogę tak po prostu przechodzić od jednego życia do drugiego, a to życie, to życie tutaj wydaje się...

Głupie.

Fałszywe.

To nie jest to, kim jestem.

Przykro mi, Sheila, ale ja taki nie jestem.

A zatem w ten poranek Bożego Narodzenia zaspana Sheila, w niebieskiej flanelowej koszuli nocnej, otwiera Malone'owi drzwi. Włosy ma potargane, twarz jeszcze bez makijażu, w rękę trzyma kubek z kawą.

Mimo wszystko Malone uważa, że jest piękna.

Zawsze tak uważał.

– Dzieci już wstały? – pyta.

– Nie. Wczoraj wieczorem dałam im benadryl. – Na widok wyrazu jego twarzy Sheila dodaje: – To był żart, Denny.

Malone idzie za nią do kuchni, przyjmuje od niej kubek kawy i siada na stołku przy blacie śniadaniowym.

– Jak wam minęła Wigilia?

– Świetnie. Dzieci kłóciły się, co mamy oglądać, i w końcu stanęło na „Krainie lodu” i „Kevin sam w domu”. A ty co robiłeś?

– Rundkę – odpowiada.

W spojrzeniu Sheili widzi, że mu nie wierzy i jest przekonana, że spędził Wigilię z „nią”.

– Masz dzisiaj służbę? – pyta.

– Nie.

– Idziemy na kolację do Mary. Chętnie bym cię zaprosiła, ale wiesz, że oni cię nienawidzą.

Ta sama stara Sheila. Subtelność młota parowego.

Prawdę mówiąc, jest to jedna z cech, która zawsze mu się w niej podobała. Sheila jest czarno-biała, przy niej człowiek zawsze wie, na czym stoi. I ma rację. Siostra Sheili, Mary, oraz cała jej rodzina nienawidzą go od czasu separacji.

– W porządku – mówi. – Może zajrzę do Phila. A co słyhać u dzieci?

– Będziesz musiał wkrótce przeprowadzić męską rozmowę z Johnem.

– On ma jedenaście lat.

– Niedługo pójdzie do gimnazjum – mówi Sheila. – Nie uwierzyłbyś, co się tam teraz wyprawia. Dziewczyny w siódmej klasie robią chłopakom laskę.

Malone pracuje w Harlemie, Inwood i Washington Heights.

Siódma klasa to późno.

– Porozmawiam z nim.

– Ale nie dzisiaj.

– Nie, nie dzisiaj.

Słyszają głosy na górze.

– Czas na zabawę – mówi Malone.

Staje u stóp schodów, po których zbiegają dzieci. Na widok prezentów pod choinką oczy im się rozświełają.

– Zdaje się, że Święty Mikołaj już tu był – mówi Malone i nie ma im za złe, że przeciskają się obok niego, by dopaść choinki. To tylko dzieci, a także – a może w każdym razie – są szczerze.

– PlayStation cztery! – krzyczy John.

No tak, więc mój prezent szlag trafił, myśli Malone. Żaden dzieciak nie potrzebuje dwóch PlayStation.

Jak to możliwe, by tak bardzo urosli w ciągu tych dwóch tygodni? Sheila pewnie tego nie zauważa, bo jest z nimi codziennie, ale John mocno ciągnie w górę. Ma coraz dłuższe nogi i ręce. Caitlin odziedziczyła rude włosy po

matce, choć nadal jej się kręca. Ma też takie same zielone oczy. Będę musiał zbudować wieżę strażniczą przed domem, myśli Malone, żeby utrzymać chłopaków z dala od niej.

Serce mu się ściska.

Kurwa, myśli. Żałuję, że nie widzę, jak moje dzieci dorastają.

Siada w tym samym fotelu, w którym siedział w każde Boże Narodzenie, gdy jeszcze byli razem, a Sheila zajmuje to samo miejsce na kanapie.

Tradycje są ważne, myśli Malone. Zwyczaje są ważne, dają dzieciom poczucie stabilności. Dlatego oboje z Sheilą siadają i próbują wprowadzić jakiś porządek. Każą dzieciom otwierać paczki po kolei, żeby całe święta nie skończyły się w ciągu trzydziestu sekund. Sheila zmusza ich jeszcze do nieznośnej przerwy na bułeczki cyjamonowe i gorącą czekoladę i dopiero potem pozwala wrócić do rozpakowywania.

John otwiera prezent od Malone'a i udaje entuzjasm.

– O kurczę, tato!

To dobry dzieciak, myśli Malone. Wrażliwy. Nie można dopuścić do tego, żeby przejął rodzinny zawód. Ta robota zjadłaby go żywcem.

– Nie miałem pojęcia, że Święty Mikołaj się tym zajmie – mówi. Ma to być subtelny przytyk przeznaczony dla Sheili.

– Nie, to świetnie – improwizuje John. – Mogę trzymać jedną na górze, a drugą na dole.

– Odniosę do sklepu i kupię ci coś innego.

John podskakuje i zarzuca mu ramiona na szyję.

To bardzo wiele znaczy dla Malone'a.

Trzeba utrzymać chłopaka z dala od tej roboty, myśli.

Caitlin jest zachwycona zestawem Barbie. Podchodzi do ojca, ściska go i całuje w policzek.

– Dziękuję, tatusiu.

– Proszę bardzo, skarbie.

Wciąż pachnie jak dziecko.

Słodko i niewinnie.

Sheila jest świetną matką.

A potem Caitlin łamie mu serce, gdy pyta:

– Zostaniesz z nami, tatusiu?

Trzask. John patrzy na niego wzrokiem, który mówi, że wcześniej w ogóle nie przyszło mu do głowy, że to możliwe, ale teraz nabrał nadziei.

– Nie dzisiaj – mówi Malone. – Muszę iść do pracy.

– Łapać bandytów – mówi John.

– Łapać bandytów.

Nie będziesz mną, myśli Malone. Nie będziesz mną.

Ale Caitlin się nie poddaje:

– A jak już złapiesz wszystkich bandytów, to przyjdiesz do domu?

– Zobaczymy, skarbie – wtrąca się Sheila.

– „Zobaczymy” to znaczy, że nie. – Caitlin obrzuca matkę ostrym spojrzeniem.

– A czy wy nie macie żadnych prezentów dla nas? – pyta Sheila.

Dzieci z podnieceniem rzucają się pod choinkę i wyciągają spod niej prezenty. John dał Malone’owi dzianinową czapeczkę z napisem „New York Rangers”, a Caitlin kubek do kawy, który sama ozdobiła na zajęciach plastycznych.

– Ten kubek będzie na moim biurku – mówi Malone. – A czapka na głowie. Bardzo mi się podobają te prezenty, dziękuję. O, a to dla ciebie. – Podaje Sheili pudełko.

– A ja nie mam nic dla ciebie – mówi Sheila.

– To dobrze.

– Macy's. – Unosi szalik i pokazuje dzieciom. – Jest piękny i będzie mi ciepło w szyję. Dziękuję.

– Proszę bardzo.

Dalej atmosfera robi się niezręczna. Malone wie, że dzieci powinny zacząć się ubierać przed wyjściem do rodziny. Dzieci też o tym wiedzą, ale wiedzą również, że jeśli się ruszą, to ojciec wyjdzie i rodzina znów będzie rozbita, dlatego siedzą nieruchomo jak posągi.

Malone spogląda na zegarek.

– O kurczę, bandyci na mnie czekają.

– To śmieszne, tatusiu – mówi Caitlin z oczami pełnymi łez.

Malone podnosi się.

– Bądźcie mili dla mamy, dobrze?

– Dobrze – odpowiada John, przyjmując rolę mężczyzny w rodzinie.

Malone przyciąga ich oboje do siebie.

– Kocham was.

– My też cię kochamy – odpowiadają smutnym chórem.

On i Sheila nie obejmują się, bo nie chcą dawać dzieciom fałszywej nadziei.

Malone wychodzi, myśląc, że Boże Narodzenie wymyślono po to, żeby torturować rozwiedzionych rodziców i ich dzieci.

Pieprzyć Boże Narodzenie.

Jest o wiele za wcześnie, żeby iść do Russa, więc Malone jedzie na wybrzeże.

Chce tam trafić już po kolacji, żeby uniknąć uśmiercenia makaronem, które planuje Donna, i trafić na rurki z kremem, ciasto z dyni i kawę z dodatkiem czegoś mocniejszego.

Zatrzymuje się na parkingu naprzeciwko plaży i siedzi w samochodzie z zapalonym silnikiem oraz włączonym ogrzewaniem. Ma ochotę się

przejsć, ale jest za zimno.

Wyciąga ze schowka butelkę i pociąga łyk. Malone sporo pije, choć z pewnością nie jest alkoholikiem i normalnie nie piłby tak wcześnie, ale whisky go rozgrzewa.

Może i mógłbym zostać alkoholikiem, myśli, tylko że mam zbyt wielkie ego, żeby poddać się stereotypowi.

Irlandzki gliniarz, rozwiedziony alkoholik.

Kto to był? A tak, Jerry McNab. Przyjechał tu kiedyś po południu w dzień Bożego Narodzenia i przystawił sobie pistolet pod podbródek. To była jego prywatna broń. Rozwiedziony irlandzki gliniarz alkoholik rozwalił sobie mózg.

Następny stereotyp.

Koledzy ze Sto Pierwszego ustalili, że był to wypadek przy czyszczeniu broni, dzięki czemu nie było problemu z ubezpieczeniem ani rentą. Rzecznawca od ubezpieczeń wiedział, że lepiej z nimi nie zadzierać, udawał więc, że wierzy, że ktoś czyścił pistolet na plaży w dzień Bożego Narodzenia.

Tylko że McNab bał się odsiadki. Sfilmowano go na gorącym uczynku, jak brał pieniądze od dilerów cracka na Brooklynie. Odebraliby mu odznakę, pistolet, emeryturę, wsadziliby go za kratki. Nie zniósł tego. Nie mógł znieść myśli o wstydzie, jakim okryłaby się rodzina, o tym, że żona i dzieci zobaczą go w kajdankach, więc strzelił sobie w mózg.

Russo miał inne wyjaśnienie. Rozmawiali o tym któreś nocy w samochodzie, zabijając czas na patrolu, i Russo stwierdził:

– Zupełnie na opak to rozumiecie, idioci. On to zrobił, żeby ocalić emeryturę dla swojej rodziny.

– Nic nie odłożył? – zapytał Malone.



– Jeździł radiowozem – powiedział Russo. – Nawet na Siedemdziesiątym Piątym nie mógł zgarniać za dużo. Jeśli zginął w wypadku, to rodzina zachowuje rentę i świadczenia. McNab zrobił to, co trzeba.

Ale oszczędzał, myśli Malone.

Malone oszczędza.

Ma trochę schowanej gotówki, część zainwestował, ma też konta bankowe, na których federalni nigdy nie położą łapy.

I ma jeszcze jedno konto – u makaroniarzy przy Pleasant Avenue, u resztek rodziny Cimino, które jeszcze pozostały we wschodnim Harlemie. Ci goście są lepsi niż banki. Nie okradną cię ani nie utopią twoich pieniędzy w złych kredytach hipotecznych.

Lepszy uczciwy gangster niż te skurwysyny z Wall Street, myśli Malone. Ludzie tego nie rozumieją. Uważają, że mafia to oszuści. Makaroniarze mogą tylko pomarzyć o kradzieżach na taką skalę jak ci z funduszy holdingowych, politycy, sędziowie, prawnicy.

A Kongres?

Nie ma o czym mówić.

Jeśli policjant przyjmie kanapkę z szynką i w zamian przymknie na coś oko, to wylatuje z roboty. Gdy kongresmen Dupa przyjmuje parę milionów za swój głos od firmy zbrojeniowej, nazywa się go patriotą. Jeśli jakiś polityk rozwali sobie mózg, żeby uratować emeryturę, będzie to pierwszy taki wypadek w historii.

A ja wtedy otworzę szampana, myśli Malone.

Ale nie pójdę w ślady Jerry’ego McNaba.

Malone wie, że nie jest typem samobójcy.

Zmuszę ich, żeby to oni mnie zastrzelili, myśli, patrząc na trawy porastające wydmy i powyginaną siatkę. Staten Island przeżyło uderzenie huraganu Sandy. Malone postarał się być tamtego wieczoru w domu.

Siedział z Sheilą i dziećmi w piwnicy i grali w karty. Następnego dnia wyszli i robił, co mógł, żeby pomóc.

Jak mnie dopadną, to odsiedzę swoje. Pieprzę was i waszą emeryturę.

Sam potrafię zadbać o własną rodzinę.

Sheila nie będzie musiała nawet iść na Pleasant Avenue, to oni przyjdą do niej. Co miesiąc przyniosą jej grubą kopertę.

Zrobią, co trzeba.

Bo to nie są członkowie Kongresu.

Wyciąga telefon i dzwoni do Claudette.

– Wstałaś już? – pyta.

– Dopiero co. Dziękuję za kolczyki, kochanie, są piękne. Ja też mam coś dla ciebie.

– Dałaś mi prezent wczoraj wieczorem.

– Tamto było dla nas – odpowiada. – Mam zmianę od czwartej do północy. Przyjedziesz tu później?

– Przyjadę. Idziesz dzisiaj do siostry, tak?

– Nie mogę się od tego wykręcić – odpowiada Claudette. – Ale miło będzie zobaczyć dzieci.

Malone jest zadowolony, że Claudette się tam wybiera. Woli, żeby nie była sama.

Ostatnim razem, gdy wzięła, dał jej wybór: wsiadasz ze mną do samochodu i zawożę cię na odwyk albo zakładam ci bransoletki i możesz się odtruwać w Rikers. Była na niego wściekła, ale wsiadła do samochodu. Zawiózł ją do Berkshires w Connecticut, do ośrodka, który znalazł jego lekarz z West Side.

Sześćdziesiąt kawałków za odwyk, ale było warto.

Od tamtej pory jest czysta.

– Chciałbym kiedyś poznać twoją rodzinę – mówi teraz Malone.

Claudette śmieje się cicho.

– Nie jestem pewna, czy jesteśmy na to gotowi, kochanie.

To znaczy, że nie czuje się jeszcze gotowa, by przyprowadzić białego gliniarza do swojej rodziny w Harlemie. Byłby tam równie mile widziany jak członek Ku-Klux-Klanu w czarnym domu w Missisipi.

– Ale może kiedyś – mówi Malone.

– Zobaczymy. Muszę iść pod prysznic.

– Wskakuj – mówi. – Zobaczymy się później.

Naciąga na głowę czapkę Rangersów, zasuwa zamek kurtki i gasi silnik. Jeszcze przez kilka minut w samochodzie będzie ciepło. Siedzi z przymkniętymi oczami. Wie, że deksedryna nie pozwoli mu usnąć, ale oczy go pieką.

Dotarł do domu Phila w sama porę.

Właśnie sprząтали talerze po obiedzie. W domu panuje włosko-amerykański chaos, dokoła kręci się około pięćdziesięciu siedmiu kuzynów. Mężczyźni plotkują przy telewizorze, kobiety rozmawiają w kuchni, a ojcu Phila jakimś sposobem udało się przespać to wszystko w wielkim fotelu.

– Gdzieś ty, kurwa, byłeś? – pyta Phil. – Spóźniłeś się na kolację.

– Za późno wstałem.

– Pieprzysz. – Phil wprowadza go do środka. – Ty głupi ośle, pewnie wpadłeś w tę irlandzką melancholię. Chodź, Donna da ci coś do jedzenia.

– Oszczędzam miejsce na rurki z kremem.

– I tak dostaniesz wałówkę na wynos. Nawet nie próbuj protestować.

Bliźniaki Phila, Paul i Mark, podchodzą, żeby się przywitać z wujem Dennem. To typowi włoscy chłopcy z południowego Staten Island: fryzury na żel i charakterek.

– Rozpuszczone pajace – powiedział mu kiedyś Russo. – Połowę czasu spędzają w centrum handlowym, drugą połowę przy grach komputerowych.

Malone wie, że to nieprawda. Donna wciąż wozi ich na treningi hokeja, piłki nożnej i bejsbolu. Chłopcy są dobrymi sportowcami i może nawet dostaną stypendium, ale Russo się tym nie chwali.

Może dlatego, że rzadko mu się udaje bywać na ich meczach.

Ich córka Sophia to zupełnie inna sprawa. Russo zastanawiał się nawet nad przeprowadzką na drugą stronę rzeki, bo choć Sophia nie ma szans na to, by zostać miss Nowego Jorku, to może udałoby się jej zostać miss New Jersey.

Ma siedemnaście lat i jest podobna do Donny – wysoka, długonoga, z czarnymi jak węgiel włosami i zaskakującymi niebieskimi oczami.

Jest prześliczna.

I wie o tym. Ale to dobre dziecko, myśli Malone. Nie jest tak zarozumiała, jak mogłaby być, i uwielbia swojego tatę.

Russo nie chwali się jej urodą, tylko powtarza:

– Muszę dopilnować, żeby nie zaczęła tańczyć na rurze.

– Chyba nie musisz się o to martwić – powiedział mu kiedyś Malone.

– I żeby nikt jej nie zrobił dziecka – dodał Russo. – Z chłopakiem jest łatwiej. Martwisz się tylko o jednego kutasa.

Sophia podchodzi i całuje Malone'a w policzek, po czym zadaje rozbijająco dojrzałe pytanie:

– Jak się miewają Sheila i dzieci?

– Wszystko dobrze. Dzięki, że zapytałaś.

Obdarza go współczującym uściskiem dłoni, dając do zrozumienia, że jest kobietą i rozumie jego cierpienie, a potem wraca do kuchni, żeby pomóc matce.

– Jak poszło rano? W porządku? – pyta Russo.

– Tak.

– Musimy chwilę pogadać. Hej, Donna! – woła Russo. – Zabieram Denny’ego na dół do sutereny, żeby mu pokazać zastaw narzędzi, który mi kupiłaś!

– Tylko nie siedźcie tam długo! Zaraz będzie deser.

Piwnica jest czysta jak sala operacyjna, każda rzecz ma swoje miejsce, chociaż Malone nie ma pojęcia, kiedy Russo znajduje czas, żeby tu przychodzić.

– To Torres – mówi Russo. – W kieszeni u Cartera.

– Skąd wiesz?

– Dzwonił dziś rano.

– Żeby ci życzyć wesołych świąt?

– Żeby pojęciec na temat Grubego Teddy’ego – odpowiada Russo. – Założę się, że ta gruba świnia poleciała z płaczem do Cartera, a ten pociągnął za sznurek Torresa. Torres mówi, że musi coś jeść.

– Przecież nie zabraniamy mu zarabiać – mówi Malone.

Gdy któryś z nich zarabia poza rejonem, zatrzymuje całość, ale jeśli on sam albo jego oddział zdobędzie jakiś łup na terenie północnego Manhattanu, oddaje dziesięć procent do wspólnego funduszu.

Coś jak zakłady futbolowe.

Każda ekipa może działać, gdzie chce, ale w praktyce Washington Heights i Inwood stanowią główne centra dochodów oddziału Torresa.

Ale teraz wychodzi na to, że Torres siedzi w kieszeni u Cartera.

Malone nie siedzi w niczyjej kieszeni. Bierze obrywy od dilerów i razem z nimi przedziera się przez system, ale nie chce być niczym pracownikiem ani filią.

Mimo wszystko nie pójdzie na wojnę z Torresem. Gdy życie układa się dobrze, lepiej za dużo nie mieszać.

– Piccone zajmie się Grubym Teddym. Mam się z nim spotkać później.

Przychodzi mu do głowy, że Torres wkręca ich w pułapkę, żeby komuś ich nadać, ale odsuwa tę myśl. Torres nie wydałby brata policjanta, nawet gdyby połamali mu nogi. Jest zepsutym, brutalnym gliniarzem i chciwym kutasem, ale nie jest szczurem.

Szczur to najgorsza rzecz na świecie.

Przez chwilę milczą, po czym Russo mówi:

– Boże Narodzenie nie jest już takie samo bez Billy’ego, nie?

– Nie.

W Boże Narodzenie zawsze czekali, jaką kobietę Billy przyprowadzi ze sobą tym razem.

Modelki, aktorki, zawsze to były niezłe laski.

– Chodźmy już na górę, bo pomyślą, że ssiesz mi pałkę – mówi Russo.

– A może pomyślą, że to ty ssiesz moją?

– Nikt by w to nie uwierzył. Chodź.

Rurki z kremem spełniają wszelkie oczekiwania.

Malone zjada dwie i wysłuchuje dyskusji o zaletach Rangersów, Islandersów i Devilsów. Położenie Staten Island daje prawo do kibicowania każdej z tych trzech drużyn.

Malone zawsze kibicował Rangersom i to się nigdy nie zmieni.

Wychodzi z talerzem do kuchni. Donna Russo znajduje go tam i natychmiast korzysta z okazji, by zastawić pułapkę. Z Donna nie ma żartów.

– Twoja żona i dzieci. Wracasz do nich?

– Nie widzę tego w kartach.

– To kup sobie nową talię – odpowiada Donna szorstko. – Oni cię potrzebują. Możesz mi wierzyć albo nie, ale ty też ich potrzebujesz. Przy Sheili byłeś lepszym człowiekiem.

– Ona tak nie uważa.

Malone nie ma pojęcia, czy to prawda. Ich separacja trwa już ponad rok i choć Sheila mówi, że nie ma nic przeciwko temu, by się rozwiedli, wciąż się ociąga ze złożeniem papierów. A on był zbyt zajęty, żeby się tym zająć.

W każdym razie tak sobie to tłumaczysz, myśli Malone.

– Daj mi go. – Donna zabiera mu talerz i upycha w zmywarce. – Phil mówi, że masz kogoś na boku na Manhattanie.

– Nie na boku – odpowiada Malone. – Tylko w centrum. Nie jestem już żonaty.

– W oczach Kościoła...

– Tylko nie zaczynaj z tymi bzdurami.

Malone bardzo lubi Donnę. Zna ją od dziecka i gotów byłby oddać za nią życie, ale nie ma nastroju na hipokryzję spod znaku „wzorowa gospodyni domowa”. Donna Russo wie – musi przecież wiedzieć – że jej mąż ma dziewczynę przy Columbus Avenue i odwiedza ją przy każdej okazji, a okazje zdarzają się często. Wie, ale woli to ignorować, bo chce mieć ładny dom, ubrania i dzieci w college’u.

Malone nie wini jej, ale niech popatrzy realnie.

– Dam ci trochę jedzenia do domu – mówi Donna. – Marnie wyglądasz. Jadasz coś w ogóle?

– Ach, te Włoszki.

– Szkoda, że ty nie miałaś tyle szczęścia. – Donna napełnia duże plastikowe pojemniki indykiem, ziemniaczanym purée, warzywami i makaronem. – Chodzimy z Sheilą na kurs tańca na rurze. Mówiła ci o tym?

– Nic nie wspominała.

– To dobre na serce – mówi Donna, wciskając mu naręczę pojemników. – A także bardzo seksowne, wiesz? Możliwe, że Sheila poznała parę nowych sztuczek, których jeszcze nie widziałeś, chłopie.

– Nie chodziło tylko o seks – mówi Malone.

– Zawsze chodzi tylko o seks – odpowiada Donna. – Wracaj do żony, Denny, zanim będzie za późno.

– Wiesz o czymś, o czym ja nie wiem?

– Wiem o wszystkim, o czym ty nie wiesz.

W drodze do wyjścia Malone żegna się z Russem.

– Czepiała się ciebie o Sheilę? – pyta Russo.

– Jasne, że tak.

– Słuchaj, ona nawet mnie się czepia o ciebie i Sheilę.

– Dzięki za zaproszenie.

– Odpieprz się.

Malone układa jedzenie na tylnym siedzeniu samochodu i dzwoni do Marca Piccone.

– Masz teraz czas?

– Dla ciebie zawsze. Gdzie?

– Może na promenadzie? – proponuje Malone pod wpływem nagłego impulsu.

– Jest cholernie zimno.

– Tym lepiej. – Nie będzie zbyt wielu ludzi.

I rzeczywiście jest pusto. Dzień jest szary, od strony zatoki wieje ostry wiatr. Czarny mercedes Piccone już tam stoi, a obok niego jeszcze parę samochodów, ludzie, którzy uciekli z rodzinnych obiadów, oraz stara furgonetka, która wygląda tak, jakby ktoś ją tam porzucił.

Malone parkuje obok Piccone po stronie kierowcy zwrócony w przeciwnym kierunku i opuszcza okno. Nie ma pojęcia, dlaczego wszyscy prawnicy jeżdżą mercedesami.

Piccone podaje mu kopertę.

– Nagroda dla znalazcy za Grubego Teddy'ego.



– Dzięki.

Tak to działa. Jak kogoś przymkniesz, dajesz mu wizytówkę adwokata. Jeśli wynajmie tego adwokata, dostajesz premię.

Ale okazuje się, że jest jeszcze lepiej.

– Możesz to wyprostować? – pyta Piccone.

– A kto prowadzi?

– Justin Michaels.

Malone wie, że Michaels jest graczem. Większość asystentów prokuratora okręgowego nie bierze udziału w grze, ale tych, którzy biorą, jest wystarczająco dużo, by gliniarz, który ma dobre kontakty – a Malone ma dobre kontakty – mógł polizać łyżeczkę z obu stron.

– To pewnie mogę.

Za pomocą koperty dla prokuratora stanowego Michaelsa, który może podważyć łańcuch dowodowy.

– Ile? – pyta Piccone.

– Mówimy o zmniejszeniu wyroku czy o umorzeniu?

– O wolnym wyjściu.

– Dziesięć do dwudziestu kawałków.

– Razem z twoją działką, tak?

Dlaczego on się tak dopytuje? – zastanawia się Malone. Przecież wie tak samo dobrze jak ja, że biorę swoją działkę z pieniędzy dla Michaelsa. Dostaję ją za pośrednictwo, dzięki czemu dwóch pieprzonych prawników uniknie krępującej sytuacji, w której musieliby ujawnić wprost przed tym drugim, że są na sprzedaż. Poza tym tak jest dla nich bezpieczniej. Rozmowa policjanta z prokuratorem w korytarzu jest czymś zwyczajnym i nie budzi żadnych podejrzeń.

– Tak, jasne.

– To działaj.

Nowy Jork, Nowy Jork, myśli Malone. To takie miłe miasto, że płacą ci dwa razy.

A poza tym winien jest coś Teddy'emu za wiadomość o pochodzeniu broni.

Wyjeżdża z parkingu i o trzy przecznice dalej zauważa jadący za nim samochód.

To nie jest Piccone.

Kurwa, czyżby to było Biuro Spraw Wewnętrznych?

Samochód zbliża się i Malone teraz widzi, że to Raf Torres.

Zatrzymuje się i wysiada. Torres zatrzymuje się za nim i spotykają się na chodniku.

– Co jest, kurwa? – pyta Malone. – Mamy Boże Narodzenie. Nie powinieneś być z rodziną, dziewczkami czy gdzieś indziej?

– Załatwiłeś tę sprawę z Piccone?

– Twojemu chłopakowi nic się nie stanie.

– Ta sprawa powinna się skończyć w chwili, kiedy wymienił moje nazwisko – mówi Torres.

– On nie wymienił żadnego pieprzonego nazwiska – odpowiada Malone. – I dlaczego ci się wydaje, że możesz kryć człowieka Cartera?

– Trzy kawałki miesięcznie – mówi Torres. – Carter jest niezadowolony. Chce zwrotu pieniędzy.

– A co mnie, kurwa, obchodzi, czy on jest zadowolony?

– Musisz pozwolić innym się wyżywić.

– Jedz, ile chcesz – odpowiada Malone. – Tylko poza Harlemem.

– Straszny z ciebie chuj, Malone, wiesz?

– Właściwe pytanie brzmi: czy ty o tym wiesz?

Torres śmieje się.

– Piccone coś ci odpalił?

Malone nie odpowiada.

– Powinienem dostać z tego działkę – mówi Torres.

Malone sięga ręką do krocza.

– Możesz dostać działkę z tego.

– Nieźle – stwierdza Torres. – Ładna gadka jak na Boże Narodzenie.

– Jak chcesz brać pieniądze od Cartera, to twoja sprawa, ale on musi wiedzieć, że kupił ciebie, a nie mnie. Jeśli sprzedaje na moim terenie, to gra jest otwarta.

– Jak sobie życzysz, bracie.

– Poza tym postawiłeś na niewłaściwego konia – dodaje Malone. – Jeśli ja nie zniszczę Cartera, zrobią to Dominikańczycy.

– Nawet po tym, jak stracili siedemdziesiąt kilo towaru?

– Pięćdziesiąt – poprawia Malone.

Torres uśmiecha się szyderczo.

– Skoro tak mówisz.

Jest cholernie zimno.

Malone wsiada do samochodu i odjeżdża.

Torres już za nim nie jedzie.

W drodze na Manhattan Malone nastawia rapera Nasa i podkreśla głośność, a potem śpiewa razem z muzyką.

To wyznanie wiary człowieka, który pragnie, by reprezentowali go prezydenci.

Martwi prezydenci.

To wyznanie wiary człowieka, który pragnie, by w ciało przemieniły się słowa, że świat należy do każdego z nas.

Zgadza się, dodaje w myślach Malone. Już się przemieniły.

Jest mój, jest mój, jest mój.

Jeśli tylko potrafię go utrzymać.

Jeśli DeVon Carter podłączy się do Żelaznego Szlaku, to ciała Dominikańczyków zaścielą cały północny Manhattan. Doms odpowiedzą tym samym i zanim się obejrzymy, będziemy tu mieli pieprzone Chicago.

A to jeszcze nie wszystko.

Carter wspominał o nalocie na Penę, potem Lou Savino, a teraz Torres zaczyna o tym gadać...

Na razie to zbyt wielkie ryzyko ruszać gównem od Peny.

Gówno od Peny mogłoby cię zaprowadzić tam, gdzie znalazł się Jerry McNab.

Może będziesz miał szczęście i umrzesz nagle na zawał, udar albo tętniaka, ale jeśli nie, to gdy nadejdzie ta chwila, nie będziesz potrafił o siebie zadbać...

Jezu, ależ się z ciebie zrobiła żalosna galareta.

Weź się, kurwa, w garść.

Masz robotę, którą kochasz.

Pieniądze.

Przyjaciół.

Mieszkanie w mieście.

Masz piękną, seksowną kobietę, która cię kocha.

Cały Manhattan Północ jest twój.

Więc nie mogą cię tknąć.

Nikt nie może cię tknąć.

Nikt?

Raper Nas uważa inaczej.

Śpiewa o tym, że jeśli żyjesz w tym mieście, to „oni” cisną cię na głębę... on – Szatan – schwyta cię w objęcia...

## CZEŚĆ 2

### WIELKANOCNY ZAJĄCZEK

*W ciągu ponad czterdziestu lat pracy jako oskarżyciel spotkałem wielu ludzi, którzy kłamali, oszukiwali i próbowali nagiąć system tak, żeby być górq.*

*Większość z tych ludzi pracowała dla rządu.*

Oscar Goodman „Being Oscar”

## ROZDZIAŁ 6

*Harlem, Nowy Jork*

*Marzec*

Martwy chłopak zabija staruszkę.

Kobieta ma dziewięćdziesiąt jeden lat i jest drobna.

Po śmierci wydaje się jeszcze drobniejsza.

Rana wlotowa, jak większość ran wlotowych, wygląda schludnie. Znajduje się pośrodku lewego policzka, tuż pod okiem. Rana wylotowa, jak większość ran wylotowych, nie jest mała ani schludna. Krew, mózg i białe włosy przykleiły się do sztucznego tworzywa pokrywającego oparcie fotela.

– Nie powinny wyglądać przez okno, kiedy słyszą jakieś zamieszanie – mówi Ron Minelli. – Ale to pewnie było całe jej życie. Pewnie przez cały dzień siedziała przy oknie.

Czwarte piętro w budynku numer sześć w Nickel. Staruszkę trafiła zbłąkana kula. Malone podchodzi do okna i patrzy w dół. Ten, kto strzelał, leży na dziedzińcu. Ręka z pistoletem wyprostowana, palec wciąż na spuście, jak w chwili, gdy upadł na plecy. A kiedy upadał, wystrzelił. Pewnie już nie żył, to był tylko odruch mięśni.

– Dzięki, że nas wezwałeś – mówi Malone.

– Zdawało mi się, że to może mieć związek z narkotykami – odpowiada Minelli.

Bo ma. Denat na dziedzińcu to Mookie Gillette, jeden z dilerów DeVona Cartera.

Monty rozgląda się po małym mieszkaniu. Zdjęcia dorosłych dzieci, wnuków i prawnuków, porcelanowe filizanki, kolekcja pamiątkowych

łyżeczek z Saratogi, Colonial Williamsburga, parku stanowego Franconia Notch – prezenty od rodziny.

– Leonora Williams – mówi Monty. – Świeć, Panie, nad jej duszą.

Zapala cygaro, choć ciało nie zaczęło jeszcze śmierdzieć. Staruszce już to nie przeszkadza.

Na dziedziniec zajeżdża radiowóz. Wysiada z niego Sykes, podchodzi do martwego chłopaka i potrząsa głową, a potem podnosi wzrok na okno.

Malone kiwa do niego.

– Znalazłem kulę – mówi Russo. – Jest tu, w ścianie.

– Zaczekaj na techników – odpowiada Malone. – Idę na dół.

Zjeżdża windą na dziedziniec.

Zebrała się tu połowa St. Nick's. Mundurowi z Trzydziestego Drugiego Komisariatu i żółta taśma trzymają ich z dala od ciała. Jeden z chłopaków pyta:

– Hej, Malone, czy to prawda, że pani Williams nie żyje?

– Tak.

– Szkoda.

– Szkoda.

Malone podchodzi do Sykesa.

Sykes patrzy na niego.

– Co za świat.

– Ale to nasz świat.

– Cztery śmiertelne postrzelenia w ciągu sześciu tygodni – dodaje Sykes.

No tak, kapitanie, popsuli ci statystyki, myśli Malone. Na poniedziałkowym spotkaniu CompStatu rozerwą cię na strzępy. Choć zaraz robi mu się głupio, że tak pomyślał. Nie lubi Sykesa, ale widzi, że zasmuciły go te śmierci w blokowisku.

Kapitana to martwi.

Malone'a też.

Powinien chronić takich ludzi jak Leonora Williams. To co innego, gdy dilerzy strzelają do siebie, a całkiem inna sprawa, gdy od przypadkowego postrzału ginie niewinna starszka.

Za chwilę będą tu media.

Podchodzi do nich Torres.

Ich układ obowiązuje od trzech miesięcy. Torres w dalszym ciągu siedzi w kieszeni u Cartera, a Malone i jego ekipa nie odpuścili. Ale walka zęb za zęb między Carterem a Dominikańczykami, grożąca wybuchem otwartej wojny o terytorium, stanowi zagrożenie również dla tego trudnego rozejmu.

A teraz jeszcze zginęła niewinna osoba.

– Nikt nic nie widział – mówi Torres. – Co za zaskoczenie.

– To musiał być ktoś z Trinitarian – stwierdza Sykes. – Odwet za DeJesusa.

Raul DeJesus, zastrzelony w zeszłym tygodniu w Heights, był głównym podejrzanym o zabójstwo chłopaka z Get Money Boys, zastrzelonego na Sto Trzydziestej Piątej Ulicy.

– Ten Gillette był z GMB? – pyta Sykes.

– Od urodzenia.

A GMB handluje towarami Cartera.

– Zajmijcie się Trinitarianami – mówi Sykes do Torresa. – Zgarnijcie ich na przesłuchanie, zatrzymajcie za marihuanę, użyjcie zaległych nakazów aresztowania. Wszystko jedno co. Zobaczymy, czy któryś będzie wolał gadać, niż iść siedzieć w Rikers.

– Jasne, szefie.

– Malone, sprawdź swoich informatorów i zobacz, czy ktoś ci coś powie – ciągnie Sykes. – Chcę mieć podejrzanego. Chcę kogoś aresztować. Chcę skończyć z tymi zabójstwami.



Cały cyrk jest już na miejscu – reporterzy i furgonetki wiadomości telewizyjnych, a razem z nimi wielebny Hampton.

Jasne, myśli Malone. Światła, kamery, Hampton.

W gruncie rzeczy to nie jest takie złe. Hampton w każdym razie trochę odciąga uwagę mediów od policji. Malone słyszy strzępki jego wypowiedzi: „Społeczność... tragedia... cykl przemocy... nierówności ekonomiczne... co robi policja, żeby...”.

Trzeba przyznać, że Sykes wziął pozostałych reporterów na siebie.

– Tak, możemy potwierdzić dwa zabójstwa... Nie, w tej chwili nie mamy żadnych podejrzanych... Nie potrafię powiedzieć, czy te zabójstwa miały jakiś związek z narkotykami albo gangami... Jednostka Specjalna Manhattan Północ będzie prowadziła dochodzenie...

Jakiś reporter odrywa się od grupki i podchodzi do Malone’a.

– Detektyw Malone?

– Tak.

– Mark Rubenstein, *New York Times*. – Wysoki, chudy, ze schludnie przyciętą bródką. Sportowa kurtka, pod spodem sweter, okulary, inteligentny wygląd.

– Kapitan Sykes odpowiada na wszystkie pytania – mówi Malone.

– Rozumiem – mówi Rubenstein. – Chciałem tylko zapytać, czy moglibyśmy się kiedyś spotkać i porozmawiać. Piszę serię artykułów o epidemii heroiny.

– Chyba pan rozumie, że w tej chwili jestem zajęty.

– Jasne. – Rubenstein podaje mu wizytówkę. – Bardzo chciałbym z panem porozmawiać, jeśli kiedyś zechce pan mi poświęcić trochę czasu.

Nigdy nie zechcę, myśli Malone, ale bierze wizytówkę.

Rubenstein wraca na zaimprovizowaną konferencję prasową.

Malone podchodzi do Torresy.

– Chcę pogadać z Carterem.

– Tak ci się wydaje? – kwituje Torres. – Nie jesteś jego ulubionym gliniarzem.

– Zajmuję się dla niego Baileyem.

Zbliża się termin rozprawy. Wszystko jest już załatwione.

– Pieprzeni Dominikańczycy – mówi Torres. – Sam jestem Latynosem, ale nie cierpię tych wypomadowanych skurwysynów.

Podchodzi do nich Tenelli.

– W GMB gadają już o zemście.

– Ej, Tenelli, daj nam jeszcze chwilę, co? – mówi Malone, a ona wzrusza ramionami i odsuwa się. – Umówisz mnie z Carterem?

– A zagwarantujesz mu bezpieczeństwo?

– Myślisz, że Trinitarianie mogą go dopaść, gdy...

– Nie mam na myśli Dominikańczyków, tylko ciebie.

– Umów mnie z nim – powtarza Malone i wraca do Sykesa, który właśnie kończy rozmowę z mediami.

Obok niego staje policjant bez munduru.

– Malone, to jest Dave Levin – przedstawia go Sykes. – Właśnie dołączył do Task Force. Przydzielam go do twojego zespołu.

Levin może mieć niewiele ponad trzydzieści lat. Jest wysoki, chudy, z gęstymi czarnymi włosami i ostrym nosem. Potrząsa dłonią Malone'a.

– To zaszczyt pana poznać.

Malone patrzy na Sykesa.

– Kapitanie, można dwa słowa?

Sykes kiwa głową do Levina, który odsuwa się na bok.

– Gdybym chciał mieć szczeniaka, to wybrałbym się nad staw – mówi Malone.

– Levin to bystry facet. Przyszedł z prewencji w Sześćdziesiątym Siódmym. Ma na koncie parę poważnych aresztowań, odwalił kupę brudnej roboty i zdjął mnóstwo broni z ulicy.

Świetnie, myśli Malone. Sykes sprowadza swoją starą ekipę z Sześćdziesiątego Siódmego. Levin będzie lojalny przede wszystkim wobec kapitana, a nie wobec ekipy.

– Nie o to chodzi. Mój zespół dobrze funkcjonuje. Działamy sprawnie, a ktoś nowy może nas wytrącić z równowagi.

– Zespoły w Task Force są czteroosobowe – odpowiada Sykes. – Trzeba kimś zastąpić O’Neilla.

Nikt nie może zastąpić Billy’ego, myśli Malone.

– W takim razie niech mi pan da kogoś z Latynosów. Na przykład Gallinę.

– Nie mogę tak upieprzyć Torresa.

To Torres pieprzy cię jak więzienną dziwkę, myśli Malone.

– W porządku, to wezmę Tenelli.

Sykes wydaje się rozbawiony.

– Chcesz kobietę?

Lepsza kobieta niż pieprzony szpieg, myśli Malone.

– Tenelli uzyskała bardzo dobry wynik z egzaminu na porucznika – mówi Sykes. – Długo już tu nie posiedzi. Nie, bierz Levina. Brakuje ci ludzi, a ja chyba już wspominałem, że chcę doprowadzić te sprawy do końca. Robisz jakieś postępy w sprawie zakupu broni przez Cartera?

– Ta sprawa stanęła.

– Idzie Wielkanoc – mówi Sykes. – Odśwież to. Bez broni nie będzie wojny.

Malone podchodzi do Levina.

– Chodź – mówi i prowadzi go do budynku, w którym mieszka Leonora.

Mieszkała.

– Nie mogę uwierzyć, że pracuję w Manhattan Północ z pieprzonym Dennym Malone'em.

– Nie musisz ssać mi fiuta – mówi Malone. – Wystarczy, że będziesz więcej słuchał, niż gadał i jednocześnie niczego nie będziesz słyszał. Łapiesz?

– Jasne.

– Nie, nie łapiesz – mówi Malone. – I jeszcze przez jakiś czas nie złapiesz. Ale jeśli jesteś tak bystry, jak twierdzi Sykes, to w końcu zrozumiesz.

Pytanie brzmi: czyim jesteś szpiegiem. Sykesa? Biura Spraw Wewnętrznych? Jesteś jednym z nich czy tylko towarzyszem z pola bitwy, gliniarzem, którego wykorzystują do własnych celów?

Czy masz na sobie podsłuch?

Czy chodzi o Penę?

– Dlaczego chciałeś się przenieść do Task Force?

– Bo tu się najwięcej dzieje – odpowiada Levin.

– W Sześćdziesiątym Siódmym też się sporo dzieje.

To najtrudniejszy rejon w mieście. Prowadzi w statystykach postrzeleń i rozbojów. I pełno tam gangów – Eight Trey Crips, Folk Nation, Bully Gang. Czego jeszcze chce ten chłopak?

– No cóż, uważaj na to, czego sobie życzysz. Czasami nuda jest lepsza – mówi Malone. – Jesteś żonaty? Masz dzieci?

– Mam dziewczynę. Jesteśmy ze sobą na wyłączność.

Aha, zobaczymy, jak długo to potrwa, myśli Malone. Ludzie z Da Force rzadko dotrzymują obietnic.

– Ta dziewczyna ma jakieś imię?

– Amy.

– Ładne.

Powodzenia, Amy.

Jeśli Dave nie jest z Biura Spraw Wewnętrznych, to fiut jest równie czysty jak nos. Trzeba na niego uważać. Nie można zaufać facetowi, który nie napije się z tobą, nie zapali gandzi, nie wciągnie ścieżki i nie przeleci na boku jakiejś dziewczyny. Taki facet nie będzie miał ochoty tłumaczyć się swoim szefom.

– Więc Sykes jest twoim protektorem? – pyta Malone.

– Tego bym raczej nie powiedział.

– W Manhattan Północ wszyscy mają protektorów. Task Force to najlepszy przydział. Masz jakiegoś wujka w Komendzie Głównej?

– Wydaje mi się, że kapitanowi Sykesowi podobało się to, co robiłem w Sześćdziesiątym Siódmym – odpowiada Levin. – Ale jeśli pytasz, czy jestem jego protegowanym, to nie.

– A on o tym wie?

Levin najeża się. A zatem ten szczeniak ma zęby.

– Tak, sądzę, że o tym wie. A co, jesteście w jakimś konflikcie?

– Powiedzmy po prostu, że inaczej patrzymy na niektóre sprawy.

– On jest służbistą – mówi Levin.

– To fakt.

– Na pewno nie jesteś zachwycony tym, że dostałeś kogoś nowego. I wiem, że nie jestem w stanie zastąpić Billy’ego O’Neilla. Chcę tylko powiedzieć, że doceniam ten przydział i nie będę plątał się wam pod nogami.

Już mi się płaczesz, myśli Malone. Albo próbujesz mnie wyruchać.

Winda śmierdzi moczem.

Levin wstrzymuje oddech i przętyka.

– Używają wind jako toalet – wyjaśnia Malone.

– A dlaczego nie używają toalet?

– Bo większość jest zepsuta. Wyrywają i sprzedają instalacje. Mamy szczęście, że dzisiaj tylko nasikali.

Wysiadają na czwartym piętrze i wchodzi do mieszkania Leonory. Ekipa śledcza robi tam swoje, choć sprawa jest oczywista.

– To jest Dave Levin – mówi Malone. – Dołączył do naszego zespołu.

Russo patrzy na Levina takim wzrokiem, jakby oglądał warzywa w supermarkecie.

– Phil Russo.

– Miło mi cię poznać.

Montague podnosi wzrok znad skarpetek, które właśnie podciągał.

– Bill Montague.

– Dave Levin.

– Przyszedł z Sześćdziesiątego Siódmego – mówi Malone.

Teraz oni myślą to samo co on. Nawet jeśli Levin nie jest szpiegiem Sykesa, to taki żółtodziób nie jest im do niczego potrzebny. Nie znają go i nie wiedzą, czy mogą mu zaufać.

– Chodźmy popracować na ulicy – mówi Malone.

Na ulicy zawsze jest dobrze.

Tutaj Malone czuje się jak w domu. Odpowiada za wszystko, panuje nad sobą i nad otoczeniem.

Na ulicy znajduje się odpowiedź na wszystkie problemy.

Russo skręca w lewo z Fredericka Douglassa na Sto Dwudziestą Dziewiątą, przecina osiedle i zatrzymuje się przy dużym dwupiętrowym budynku.

– To jest HCZ<sup>[3]</sup> – mówi Malone Levinowi. – Strefa Dziecka w Harlemie, niepubliczna szkoła. Tu nie ma zbyt wielu handlarzy

narkotyków, bo chłopcy nie chcą podwyższać sobie wyroków za handel w pobliżu szkoły.

Handel narkotykami od jakiegoś czasu odbywa się przede wszystkim w budynkach, bo bezpieczniej jest to robić tam, gdzie policja nie widzi, a poza tym kupującym wygodniej jest zadzwonić czy wysłać wiadomość do diler, a potem wejść do jakiegoś mieszkania czy na klatkę schodową i tam dokonać zakupu. Zrobienie udanego nalotu w budynku jest prawie niemożliwe, bo dilerzy wystawiają dzieciaki na czujkach i znikają, zanim jeszcze policja pojawi się w drzwiach.

Jadą na wschód do końca kwartału i przy kościele Metodystów z Salem skręcają na południe w Siódmą Aleję, w stronę boiska.

– Na tym osiedlu są dwa boiska – mówi Malone. – Północne i południowe. To jest północne. Tu idzie duży hazard na mecze koszykówki. Zdarzało się, że przegrani strzelali, zamiast płacić. Co ty robisz?

– Notuję.

– Czy tobie się wydaje, że jesteś w college'u? – mówi Malone. – Widzisz tu gdzieś akademiki, korty tenisowe, facetów z kucykami? Nic nie notuj, niczego nie zapisuj. Jedyne, co będziesz pisał, to raporty. Notatki robione na służbie ktoś może przeczytać, a potem jakiś gówniany obrońca celowo źle zinterpretuje i wbije ci je w dupę w sądzie.

– Rozumiem.

– Zapisuj wszystko w głowie, Student – mówi Russo.

Kilku młodocianych gangsterów z Black Spades wrzucających piłkę do kosza widzi radiowóz i zaczyna pokrzykiwać:

– Malone! Hej, Malone!

Powietrze przeszywają dźwięki gwizdków. Czujki ostrzegają dilerów. Dranie z gangów znikają za budynkami. Malone macha do chłopaków na

boisku.

– Wrócimy tu!

– Jak tu wrócisz, Malone, to przywieź swojej żonie czyste majtki, bo te, które ma na sobie, śmierdzą!

Malone śmieje się.

– Pożyczę jej twoje, Andre! Te czerwone jedwabne, które najbardziej mi się podobają!

Odpowiadają mu kolejne okrzyki.

Och Nie Henry idzie chodnikiem, a wyraz jego twarzy, jednocześnie pełen poczucia winy i ekstazy, wyraźnie mówi, że przed chwilą był w łóżku z dziewczyną.

Och Nie Henry dostał ten przydomek, gdy go zgarnęli po raz pierwszy, czyli jakieś trzy lata temu. Postawili go pod ścianą i zapytali, czy ma przy sobie heroinę.

– Och nie – odparł tonem oburzonej niewinności.

– Koksujesz się? – zapytał Malone.

– Och nie.

Potem Monty znalazł w kieszeni jego spodni kopertę z proszkiem oraz całe oprzyrządowanie, a Henry powiedział tylko:

– Och nie.

Tego wieczoru Monty opowiedział tę historię w szatni i przydomek się przyjął.

Teraz Malone czeka, aż Och Nie Henry skręci w zaułek, w którym rozłoży cały swój kram i da sobie w żyłę. Malone, Russo i Levin idą za nim. Henry odwraca się i na ich widok odzywa się z cudowną przewidywalnością:

– Och nie.

– Henry, nie uciekaj przede mną – mówi Malone.



– Nie uciekaj, Henry – powtarza Russo.

Przeszukują go i znajdują proszek.

– Nie mów tego, Henry – prosi Malone. – Błagam cię, tylko tego nie mów.

Henry nie ma pojęcia, o co mu chodzi. Jest biały, chudy i dobiega trzydziestki, choć można by mu dać pięćdziesiąt lat. Ubrany jest w dzinsową kurtkę, która kiedyś miała wełnianą podszewkę, dzinsy i trampki. Włosy ma długie i brudne.

– Henry, Henry, Henry – mówi Russo.

– To nie moje.

– No, moje też nie – odpowiada Malone. – I nie wydaje mi się, żeby to należało do Phila. Ale możemy go zapytać. Phil, czy to twoja heroina?

– Nie, nie moja.

– No widzisz, nie jego – mówi Malone. – Więc skoro nie jest moja i nie jest Phila, to musi być twoja, Henry. Chyba nie zarzucasz nam kłamstwa?

– Daj mi spokój, Malone – jęczy Henry.

– Chcesz mieć spokój – powtarza Malone. – To ty daj mi spokój. Słyszałeś coś o tej strzelaninie w St. Nick's?

– A co chcesz, żebym słyszał?

– Nie, Henry, tak nie będziemy się bawić. Jeśli coś słyszałeś, to powiedz co.

Henry rozgląda się dokoła, po czym mówi:

– Słyszałem, że to Spadesi.

– Głupoty opowiadasz – komentuje Malone. – Spadesi też pracują dla Cartera.

– Pytaliście, co słyszałem – obrusza się Henry. – Właśnie to słyszałem.

Jeśli taka jest prawda, nie są to dobre wiadomości. Black Spades i GMB mniej więcej przed rokiem zawarli trudny, ale skuteczny rozejm

wymuszony przez Cartera. Jeśli ten rozejm został zerwany, oznacza to, że w St. Nick's wybuchnie krwawa wojna domowa ze strefą buforową na Sto Dwudziestej Dziewiątej Ulicy, a to może mieć katastrofalne skutki.

– Jeśli jeszcze coś usłyszysz, to zadzwoń – mówi Malone.

– Kto to? – pyta Henry, wskazując na Levina.

– On jest z nami – odpowiada Malone.

Henry patrzy na niego podejrzliwie.

On też mu nie ufa.

Spotykają się z Babyface'em w Hamilton Heights, za zakładem fryzjerskim Big Brother's.

Tajniak ssie swój smoczek, gdy Malone powtarza mu, co Henry powiedział o Spadesach.

– To nie jest głupie – mówi Babyface. – Ten, kto strzelał, z pewnością był czarny.

– A to nie był ciemny Dominikańczyk? – pyta Monty.

– Nie, na pewno czarny. Mógł być ze Spadesów. Oni się ostro zbroją. – Spogląda na Levina.

– To Dave Levin – wyjaśnia Malone. – Przyszedł do nas z Brooklynu.

Babyface kiwa mu głową. Levin nie powinien się spodziewać serdeczniejszego powitania. Babyface dodaje jeszcze:

– Szkoda tej kobiety.

– Co słyszałeś o broni?

– Cisza – mówi Babyface.

– Ktoś coś wspominał o białym gościu? – pyta Monty. – O ćpunie, który nazywa się Mantell?

– Ten motocyklista? Widziałem go, kręci się tu, ale nikt o nim nie mówi. Myślisz, że szukamy broni z Żelaznego Szlaku?

– Możliwe.

- Będę miał uszy otwarte.
- Bądź ostrożny – prosi Malone.
- Zawsze jestem.

– Ktoś jest głodny? – pyta Russo.

– Ja bym coś zjadł – odpowiada Monty. – Manna’s?

– Gdy jesteś w Nairobi... – odpowiada Russo. Wjeżdża w Sto Dwudziestą Szóstą przy Douglass i parkuje naprzeciwko domu pogrzebowego Unity Funeral Chapel.

Na chodniku stoi mniej więcej czternastoletni chłopak.

– Dlaczego nie jesteś w szkole? – pyta go Monty.

– Zawiesili mnie.

– Za co?

– Za bójki.

– Dureń. – Monty podaje mu dziesięć dolarów. – Popilnuj samochodu.

Wchodzą do Manna’s.

Wnętrze jest długie i wąskie. Kasa stoi przy oknie od ulicy, a dalej ciągną się dwa rzędy metalowych półek wypełnionych tacami z jedzeniem. Malone sięga po duże styropianowe pudełko i napełnia je kurczakiem z grilla, smażonym kurczakiem, sałatką makaronową, warzywami, a na koniec dokłada pudding bananowy.

– Bierz, co chcesz – mówi do Levina. – Płaci się od wagi.

Wszyscy pozostali klienci są czarni. Większość odwraca głowy albo patrzy na nich pustym, wrogim wzrokiem. Wbrew temu, co głoszą mity, większość policjantów nie jada we własnym rejonie, szczególnie jeśli jest to rejon zamieszkały głównie przez czarnych lub Latynosów, a to z obawy, że personel restauracji napluje do jedzenia albo zrobi coś jeszcze gorszego.

Malone lubi jadać w Manna’s, bo jedzenie jest tu już gotowe, więc ma kontrolę nad tym, co je, a poza tym, cóż – po prostu mu smakuje.

Staje w kolejce.

– Za czterech? – pyta facet przy kasie.

Malone wyciąga dwie dwudziestki. Tamten nie bierze pieniędzy, ale i tak podaje paragon. Malone idzie do stolika na tyłach sali. Odprowadzeni spojrzeniami, siadają przy nim wszyscy czterej.

Odkąd zastrzelono Bennetta, jest gorzej. Już po Garnerze było źle, ale teraz jest jeszcze gorzej.

– Nie płacimy? – pyta Levin.

– Zostawimy napiwek – mówi Malone. – I to duży. To dobrzy ludzie, ciężko pracują. I nie przychodzimy tu częściej niż raz w miesiącu, żeby ich nie zadusić.

– A co, nie smakuje ci jedzenie? – mówi Russo.

– Żartujesz? Jest zajebiście dobre.

– Zajebiście dobre – powtarza Monty. – Próbujesz się wtopić w okolicę, Levin?

– Nie, tylko...

– Jedz – przerywa mu Russo. – Jak chcesz colę czy coś, to sobie kup, bo z tego muszą się rozliczać.

Wszyscy wiedzą, że to jest test. Jeśli Levin jest szpiegiem Sykesa albo agentem Biura Spraw Wewnętrznych, trafią na dywanik. Ale Malone ma paragon i może powiedzieć, że Levin gada bzdury.

Chyba że Levin ma na oku coś większego, myśli Malone i naciska mocniej, żeby go wyczuć:

– Zmieniamy się na patrolach. W grafiku mamy na przemian dzienne zmiany, wieczorne i poranne, ale to tylko formalność. Godziny pracy zależą od prowadzonych spraw. Jesteśmy elastyczni. Jeśli potrzebujesz wolnego, to powiedz. Nie musisz tego przepuszczać przez papiery. Wyrabiamy niezłe nadgodziny, czasem trafia się dobra robota na boku, która może cię

zainteresować. Ale nie przyjmuj żadnej zewnętrznej roboty bez uzgodnienia ze mną.

– Okej.

Malone przechodzi w tryb instruktora.

– Nigdy nie wchodzi sam w to osiedle wieżowców. Dach i dwa ostatnie piętra to strefa wojny, gangi zawsze je przejmują. Najbardziej gówniane rzeczy dzieją się na klatkach schodowych – dilerka, napady, gwałty.

– Ale my się zajmujemy głównie narkotykami, tak? – upewnia się Levin.

– Ty jeszcze nie jesteś „my”, Student – odpowiada Malone. – Zgadza się, nasze główne obszary zainteresowań to narkotyki i broń, ale oddziały Task Force mogą robić, co chcą, bo to wszystko się ze sobą wiąże. Większość rabunków przeprowadzają ćpuny i nagrzeni crackiem. Gwałty i napady to przeważnie gangsterzy, którzy zajmują się też dilerką.

– Rozgrywamy ich – mówi Russo. – Facet, którego zaaresztujesz za narkotyki, może ci wydać mordercę, jeśli zmniejszysz podstawę oskarżenia albo puścisz go wolno. Współuczestnik zabójstwa może ci wydać grubego dilerka, jeśli pozwolisz mu pójść na ugodę.

– Każdy zespół z Task Force może się zajmować każdą sprawą na całym północnym Manhattanie – mówi Malone. – Nasza grupa pracuje głównie na Upper West Side i w zachodnim Harlemie. Torres ze swoją ekipą działa w Inwood i Heights. Jesteśmy na wszystkich ulicach i osiedlach: St. Nick’s, Grant, Manhattanville, Wagner. Nauczysz się, gdzie jest nasze terytorium, a gdzie ich – OTV, „Only the Ville”; załoga z Money Avenue; Very Crispy Gangsters; Cash Bama Bullies. Teraz najważniejszą sprawą jest to, że Dominikańczykom z Heights, czyli Trinitarianom, nie wystarcza już tylko hurt i przyciskają tutejszych czarnych detalistów.

– Integracja pionowa – mówi Monty.

– Skąd jesteś, Levin? – pyta Russo.

– Z Bronksu.

– Z Bronksu? – powtarza Monty.

– Z Riverdale – przyznaje Levin.

Pozostali wybuchają śmiechem.

– Riverdale to nie jest Bronx – mówi Russo. – Tylko przedmieścia.

Bogaci Żydzi.

– Powiedz, że nie chodziłeś do Horacego Manna. – Monty ma na myśli drogą prywatną szkołę.

Levin nie odpowiada.

– Tak myślałem – mówi Monty. – A potem co?

– Uniwersytet Nowojorski. Zrobiłem dyplom z systemu sprawiedliwości.

– Równie dobrze mógłbyś zrobić dyplom na temat yeti – mówi Malone.

– Dlaczego? – dziwi się Levin.

– Bo yeti też nie istnieje. Zrób coś dla nas: zapomnij o wszystkim, czego cię nauczyli. – Malone podnosi się. – Muszę zadzwonić.

Wychodzi na zewnątrz i wyciąga telefon.

– Widziałeś go?

Larry Henderson, porucznik z Biura Spraw Wewnętrznych, siedzi w samochodzie zaparkowanym przed domem pogrzebowym.

– Levin to ten wysoki? Czarne włosy?

– Jezu, kurwa, Henderson – mówi Malone. – To ten, który nie jest od nas.

– Od nas też nie.

– Jesteś pewny?

– Dam znać, jeśli coś usłyszę – mówi Henderson. – Biuro nic do ciebie nie ma.

– Tego też jesteś pewny?

– Czego ty ode mnie chcesz, Malone?

– Za tysiąc dolców miesięcznie? Żebyś mnie uspokoił.

– Idź w pokoju – mówi Henderson. – Od czasu nalotu na Penę otacza cię pole siłowe.

– Ale sprawdź tego Levina, co?

– Dobra.

Henderson odjeżdża. Malone wraca do restauracji i znów siada przy stoliku.

– Nasz Levin nie wie, co to jest wielkanocny zajaczek – oznajmia Russo.

– Wiem, co to jest wielkanocny zajaczek – obrusza się Levin. – Chodziło mi o to, że nie rozumiem związku między tym, że wasz zbawca został przybity do krzyża i potem zmartwychwstał, co samo w sobie jest już wątpliwym założeniem, a królikiem, który chowa w dziwnych miejscach czekoladowe jajka, zwłaszcza że królik jest żyworodnym ssakiem.

– Tego ich uczą na studiach. – Russo kręci głową. – A co chciałbyś, żebyśmy chowali? Czekoladowe krzyże?

– To by miało więcej sensu – stwierdza Levin.

Teraz Monty włącza się do rozmowy:

– Zajaczek wielkanocny pochodzi z germańskiej pogańskiej tradycji, którą luteranie przejęli po to, żeby odróżnić grzeczne dzieci od niegrzecznych.

– Trochę jak Święty Mikołaj – dodaje Russo.

– Który również nie ma żadnego sensu – mówi Levin.

– Jesteś jakiś zgorzkniały – kwituje Russo. – Pewnie dlatego, że żydowskie dzieci nie dostają prezentów na Boże Narodzenie.

– Pewnie tak – przyznaje Levin.

– Jajko – wywodzi Monty – jest symbolem narodzin, nowego życia. Gdy je zakopiesz, a potem wykopiesz, staje się symbolem nowego, zmartwychwstałego życia. Ale królik nie składa jaj, a ludzie nie wracają ze świata umarłych. Jedno i drugie wymaga cudu, dlatego wielkanocny

zajęczek jest symbolem nadziei, że cuda, takie jak zmartwychwstanie, nowe życie czy odkupienie, są możliwe.

– Hej, patrzcie. – Russo wskazuje telewizor na ścianie.

Przed St. Nick's stoi burmistrz i rozmawia z dziennikarzami.

– Moja administracja i całe to miasto – mówi – nie będzie tolerować przemocy w osiedlach komunalnych.

Starszy człowiek siedzący w pobliżu telewizora zaczyna się śmiać.

Burmistrz mówi dalej:

– Wydałem instrukcje naszym siłom policyjnym, żeby nie szczędziły wysiłków w odnalezieniu sprawcy czy sprawców. I obiecuję, że ich znajdziemy. Mieszkańcy Harlemu, mieszkańcy Nowego Jorku mogą być pewni, że dla naszej administracji życie czarnych obywateli ma wielkie znaczenie.

– Co za kupa gówna! – krzyczy starszy mężczyzna.

Kilku klientów kiwa głowami.

Kilku innych patrzy na Malone'a i jego zespół.

– Słyszeliście, co powiedział – mówi Malone. – Wracamy do roboty.

W samochodzie Malone spogląda na sig sauera P226 w kaburze na ramieniu Levina.

– Co masz jeszcze?

– To wszystko.

– To dobra broń, ale potrzebujesz czegoś więcej.

– Taki jest regulamin – mówi Levin.

– Powiedz to jakiemuś bandycie, który ci to zabierze i będzie chciał cię zastrzelić – odpowiada Malone.

– Potrzebujesz drugiego pistoletu do asekuracji – mówi Russo. – I jeszcze czegoś, co nie będzie pistoletem.

– Na przykład czego? – pyta Levin.



Russo wyciąga z jednej kieszeni skórzaną pałkę, a z drugiej mosiężny kastet. Montague ma rączkę odpiłowaną od kija bejsbolowego z ołowianym rdzeniem.

– Jezu Chryste – mówi Levin.

– To jest Manhattan Północ – odpowiada Malone. – Task Force. Mamy jedno zadanie: trwać na posterunku. Reszta to tylko szczegóły.

Dzwoni jego telefon. To Torres.

DeVon Carter zgadza się dzisiaj spotkać z Malone'em.

## ROZDZIAŁ 7

Malone siedzi przy stole naprzeciwko DeVona Cartera w pomieszczeniu nad sklepem metalowym, którego Carter używa jako jednego ze swoich licznych biur. Gdy wyjdzie stąd po spotkaniu, nie wróci tu przez wiele miesięcy, o ile w ogóle wróci.

Malone domyśla się, że Carter ma coś do ugrania na tej rozmowie, skoro zdecydował się spalić jedno ze swoich miejsc kontaktowych.

– Chciałeś pogadać – mówi Carter. – Mów.

– Właśnie zabiłeś niewinną staruszkę – odpowiada Malone. – Kto będzie następny? Dziecko? Dziewczyna w ciąży? Niemowlę? Bo przecież wcześniej czy później weźmiesz odwet za Mookiego.

– Jeśli nie wezmę odwetu za Mookiego, to stracę szacunek – mówi Carter.

– Nie chcę wojny na moim terenie.

– Powiedz to Dominikańczykom – obrusza się Carter. – Wiesz, kogo mi tu przysłali? Niejakiego Carlosa Castilla. To certyfikowany łowca głów.

– To nie Dominikańczyk zastrzelił Mookiego – mówi Malone. – To był czarny. Być może ze Spadesów.

– O czym ty gadasz?

– O tym, że Spadesi za twoimi plecami przechodzą do Dominikańczyków – wyjaśnia Malone. – Może załatwienie Mookiego było biletem wstępu.

Carter potrafi nad sobą panować, ale na ułamek sekundy w jego oczach pojawia się wyraz, który upewnia Malone'a, że się nie myli.

– I co chcesz, żebym zrobił? – pyta Carter.

– Odwołaj ten interes z motocyklistami. Powiedz, że nie potrzebujesz już ich broni.

– Ty się tym nie interesuj.

W głosie Cartera pojawia się ostry ton. Spogląda na Torresę.

A zatem Torres wie o zakupie broni, myśli Malone.

– Ależ ja będę się tym interesował.

– Nie mogę walczyć z Domosami bez broni – mówi Carter. – Co mam zrobić? Tak po prostu zginąć?

– My się zajmiemy Dominikańczykami.

– Tak jak zajęliście się Peną?

– Jeśli to się okaże konieczne.

Carter uśmiecha się.

– I czego chcesz za tę usługę? Trzy tysiące miesięcznie? Pięć? Jednorazowa stawka czy po prostu możliwość maksymalnego obrywu?

– Chcę, żebyś zniknął z tego biznesu – mówi Malone. – Jedź na Maui, na Bahamy, wszystko mi jedno gdzie, ale odejdz na emeryturę. Nikt cię nie będzie ścigał.

– Tak po prostu mam zwinąć interes i odpłynąć?

– Ile jeszcze pieniędzy potrzebujesz, żeby przeżyć? Iloma samochodami możesz jeździć? W ilu domach możesz mieszkać? Ile kobiet przelecieć? Daję ci możliwość wyjścia.

– Sam w to nie wierzysz, Malone – mówi Carter. – Ze wszystkich ludzi akurat ty powinienes wiedzieć, że królowie nie odchodzą na emeryturę.

– To ty bądź pierwszy.

– Żebyś ty mógł zostać królem?

– Diego Pena zabił twojego chłopaka i całą jego rodzinę, wszystkich Clevelandów – odpowiada Malone. – Nie kiwnąłeś nawet palcem. Tamten legendarny DeVon Carter tak by nie zrobił. Myślę, że już jesteś na zjeździe.

– A wiesz, co ja słyszałem? – pyta Carter. – Słyszałem, że maczasz pióro w czarnym atramencie. I słyszałem, że ta twoja panna Claudette jeździ jeszcze na innych białych koniach. – Postukuje grzbietem dłoni o przedramię.

– Jeśli ty albo któryś z twoich goryli się do niej zbliżycie, pozabijam was – mówi Malone.

Carter uśmiecha się.

– Mówię tylko, że gdyby zachorowała, to ja mogę ją uleczyć.

Malone podnosi się.

– Moja propozycja jest nadal aktualna.

Torres idzie za nim po schodach.

– Co jest, kurwa, Denny?

– Wracaj do szefa.

– Zostaw tę broń w spokoju – mówi Torres. – Ostrzegam cię.

Malone obraca się.

– Ostrzegasz czy grozisz?

– Mówię ci – mówi Torres. – Zostaw tę pieprzoną broń w spokoju.

– A co? Ty też dostajesz kawałek tego tortu?

Biali motocykliści nie lubią prowadzić interesów z czarnymi, ale chętnie posłużą się brązowym jako pośrednikiem.

– Po raz ostatni powtarzam: trzymaj się swojego pasa – mówi Torres.

Malone odwraca się i schodzi na dół.

Manhattan Północ to zoo.

Są tu wszystkie zwykłe zwierzęta, ale także stado garniturowców z Komendy Głównej i gromada urzędników z biura burmistrza.

Jest tu też McGivern. Podchodzi do Malone'a przy drzwiach.

– Denny, musimy jakoś nad tym zapanować.

– Pracuję nad tym, inspektorze.

– To pracuj bardziej – mówi McGivern. – *Post, Daily News...* wszyscy dyszą nam nad karkiem.

Z dwóch stron naraz, myśli Malone. Z jednej strony chcą ukrócić przemoc na osiedlach, a z drugiej wychodzą protestować przeciw policyjnej obławie na gangi, która trwa od rana, od chwili, gdy zamordowano Gillette'a i Williams.

Więc czego właściwie chcą, bo nie da się mieć jednego i drugiego naraz.

Malone przepycha się przez tłum do sali odpraw, gdzie Sykes zwołał zebranie całej Task Force.

– Co mamy? – pyta Sykes.

– Dominikańczycy zapierają się rękami i nogami, że nie mieli nic wspólnego z zastrzeleniem Gillette'a – mówi Tenelli.

– Przecież to oczywiste – odpowiada Sykes. – Nie przewidzieli, że zginie Williams i podniesie się kurz.

– Wiem o tym – mówi Tenelli. – Ale nie chodzi tylko o to, że jak zawsze powtarzają „ja nie miałem z tym nic wspólnego”. Sami z siebie wysłali do nas ludzi, żeby nam powiedzieć, że to nie był nikt z nich.

– Bo nie był – mówi Malone. – Zlecili to Black Spades.

– Dlaczego Spadesi mieliby wziąć taką robotę?

– Cena za przyłączenie się do Dominikańczyków – wyjaśnia Malone. – Doszli do wniosku, że Carter nie dostarczy im dobrej jakości towaru ani ludzi. Albo wyskoczą już teraz, albo zostaną na tonącym statku.

Babyface wyciąga smoczek z ust.

– Zgadzam się.

– Pytanie brzmi, dlaczego teraz? – pyta Emma Flynn. – Domosi siedzieli cicho od nalotu na Penę. Dlaczego teraz zaczynają wymianę ognia?

Sykes wrzuca na ekran zdjęcie.

– Skontaktowałem się z wydziałem narkotykowym i z DEA – mówi. – Zgodnie z ich najlepszą wiedzą ten człowiek, Carlos Castillo, przyjechał z Dominikany, żeby zaprowadzić porządek w organizacji. Castillo jest profesjonalistą w handlu narkotykami. Urodził się w Los Angeles, podobnie jak wielu podobnych mu z jego pokolenia. Ma podwójne obywatelstwo, dominikańskie i amerykańskie.

Malone patrzy na ziarnistą podobiznę Castilla. Drobny gładki mężczyzna o karmelowej skórze, gęstych ciemnych włosach, z zakrzywionym nosem i wąskimi ustami, starannie wygolony.

– DEA miało go na radarze już od lat. Nigdy nie zebrali wystarczających dowodów, by go oskarżyć, ale to wszystko składa się w całość. Castillo przyjechał tutaj, żeby uporządkować nowojorski rynek heroiny. Integracja pionowa od Dominikany po Harlem, od fabryki do klienta. Chcą to zrobić szybko i chcą przejąć cały rynek. Castillo jest tutaj, żeby przeprowadzić ostateczny atak na Cartera.

Flynn spogląda ma Malone’a.

– Naprawdę uważasz, że Dominikanie przeciągnęli Spadesów na swoją stronę?

Malone wzrusza ramionami.

– To prawdopodobna teoria.

– Albo po prostu rozejm pomiędzy Black Spades a GMB nie przetrwał – zauważa Flynn.

– Nic o tym nie słyhać na ulicach – mówi Babyface.

– Czy mamy jakieś informacje, które pozwoliłyby połączyć tę strzelaninę ze Spadesami? – pyta Sykes.

Mnóstwo informacji.

Cele aresztu w Trzydziestym Drugim, Trzydziestym Czwartym i Trzydziestym Trzecim Komisariacie pełne są gangsterów z GMB,

Trinitarios i Dominicans Don't Play. Zgarnięto ich za cokolwiek, od śmiecenia na ulicach po zaległe nakazy aresztowania, złamanie warunków przepustek i wyroków w zawieszeniu, posiadanie substancji odurzających. Ci, którzy w ogóle coś mówią, powtarzają to samo co Och Nie Henry: ten, kto strzelał – niektórzy używają liczby mnogiej – był czarny (lub byli czarni).

– Przypuszczam, że nikt nie podaje żadnych nazwisk – stwierdza Sykes.

Wie, że członkowie GMB nie wydadzą zabójcy z Black Spades policji, bo wolą zająć się nim sami.

– No dobrze – mówi Sykes. – Jutro robimy piony w budynkach na północy. Potrząśniemy Spadesami, ściągniemy ich tutaj i zobaczymy, co nam spadnie z drzewa.

„Piony” to wyrywkowe patrole w klatkach schodowych wieżowców. Mundurowi zwykle rezerwują je sobie na zimowe wieczory, gdy chcą schować się przed zimnem.

Malone nie dziwi im się. Piony są niebezpieczne, w każdej chwili można oberwać kulkę albo samemu postrzelić w półmroku jakiegoś dzieciaka, tak jak ten nieszczęśnik Liang, który wpadł w panikę i zabił nieuzbrojonego czarnego faceta, a potem, podczas procesu, twierdził, że pistolet sam wypalił.

Ława przysięgłych nie uwierzyła i wyszedł z sądu z wyrokiem za nieumyślne spowodowanie śmierci.

W każdym razie nie poszedł siedzieć.

Tak, piony są zdradzieckie. A teraz będą robić obławę na Spadesów.

Jeden z przydupasów burmistrza mówi:

– Lokalnej społeczności to się nie spodoba. Już teraz są zaniepokojeni ostatnimi aresztowaniami.

– Co to za jeden? – pyta Russo, wskazując na faceta ruchem gałek ocznych.

– Widzieliśmy go już. – Malone próbuje przypomnieć sobie nazwisko. – Chandler coś tam albo coś tam Chandler.

– Niektórym ludziom z tej okolicy to się nie spodoba – odpowiada Sykes. – Inni będą udawać, że im się to nie podoba. Ale większość chciałaby pozbyć się gangów. Chcą i zasługują na to, żeby czuć się bezpiecznie we własnych domach. Czy gabinet burmistrza ma coś przeciwko temu?

Punkt dla ciebie, myśli Malone.

Ale gabinet burmistrza najwyraźniej ma coś przeciwko temu.

– Czy nie można by tego przeprowadzić jakoś dyskretniej? – upiera się Chandler.

– Być może, gdybyśmy znali nazwisko podejrzanego – odpowiada Sykes. – Ale ponieważ nie znamy, to jest najlepszy sposób działania.

– Miejscowa społeczność uzna aresztowanie dużej grupy młodych czarnych mężczyzn za profilowanie rasowe – mówi Chandler.

Babyface wybucha głośnym śmiechem.

Sykes mierzy go groźnym spojrzeniem i znów przenosi wzrok na wysłannika burmistrza.

– To pan tutaj profiluje rasowo.

– Jak to?

– Zakładając, że wszyscy czarni będą przeciwni tej operacji – wyjaśnia Sykes.

Wszyscy dobrze wiedzą, dlaczego gabinet burmistrza próbuje grać na obydwie strony naraz. Mniejszości są jego bazą wyborczą i nie może sobie pozwolić na wzbudzenie ich wrogości.

Znalazł się między młotem a kowadłem. Z jednej strony powinien być postrzegany jako ktoś, kto próbuje stłumić przemoc w czarnej społeczności,



z drugiej nie chce zostać skojarzony z policyjną taktyką ciężkiej ręki wobec tej samej społeczności. Nalega zatem na aresztowania, choć oficjalnie twierdzi, że jest przeciwny działaniom, które mogą najskuteczniej doprowadzić do tychże aresztowań. Jednocześnie wykorzystuje tę sprawę, by odwrócić publiczną uwagę od własnego skandalu i skupić ją na departamencie policji.

– Po zastrzeleniu Bennetta nie możemy sobie pozwolić na dalszą alienację – mówi Chandler.

Stojący z tyłu pokoju McGivern przerywa mu:

– Czy naprawdę musimy prowadzić tę dyskusję przy całej jednostce? To problem dowodzenia, a ci policjanci muszą wracać do pracy.

– Jeśli pan woli, możemy przenieść tę rozmowę do... – odpowiada Chandler.

– Nigdzie nie będziemy jej przenosić – mówi Sykes. – Zaprosiliśmy pana na tę odprawę z uprzejmości, po to, żeby był pan na bieżąco, a nie po to, żeby brał pan udział w podejmowaniu decyzji, które leżą w gestii departamentu.

– Wszystkie decyzje policji są decyzjami politycznymi – mówi Chandler. Wypełnił swoje zadanie.

Jeśli operacja doprowadzi do zaareztowania mordercy Leonory Williams, gabinet burmistrza przypisze zasługę sobie. Jeśli nie doprowadzi, burmistrz obwini komisarza, będzie głośno protestował przeciwko profilowaniu rasowemu, a po cichu miał nadzieję, że gazety zajmą się problemami policji i dadzą mu spokój.

– Wypocznijcie – mówi Sykes do swoich policjantów. – Ruszamy jutro rano.

Zaczynają się rozchodzić.

Przedstawiciel burmistrza podchodzi do Malone'a i podaje mu wizytówkę.

– Detektywie Malone, nazywam się Ned Chandler i jestem asystentem burmistrza do spraw specjalnych.

– Aha, rozumiem.

– Zechciałby pan poświęcić mi chwilę? Ale może nie tutaj.

– Ale o co chodzi? – Malone wolałby się nie pokazywać w towarzystwie faceta, na którym jego kapitan przed chwilą wyładował złość.

– Inspektor McGivern uważa, że jest pan osobą, z którą powinienem porozmawiać.

To przesądza sprawę.

– No dobrze. Gdzie?

– Zna pan hotel NYLO?

– Siedemdziesiąta Ósma i Broadway.

– Spotkajmy się tam, gdy już będzie pan wolny.

McGivern, stojący obok Sykesa, przywołuje Malone'a.

Chandler odchodzi.

– Właśnie włożyłeś głowę w pętlę – mówi McGivern do Sykesa. – Sądziś, że te sukinsyny z Gracie Mansion zawahają się przed zamknięciem pułapki?

– Nie mam żadnych złudzeń – odpowiada Sykes.

Wie też, myśli Malone, że jeśli będą kogoś wieszać, McGivern będzie stał w tłumie entuzjastycznych gapiów, ciesząc się, że nie wieszają jego. Dlatego zlecił prowadzenie spotkania Sykesowi, zamiast zrobić to osobiście. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, na McGiverna spłynie chwała za działania jego utalentowanego podwładnego, a jeśli wszystko się spieprzy, będzie szeptał:

– No cóż, próbowałem mu powiedzieć...

A teraz mówi:

– Sierżancie Malone, liczymy na pana.

– Tak, sir.

Inspektor kiwa głową i odchodzi.

– Jak sobie radzi Levin? – pyta Sykes.

– Jest z nami od jakichś siedmiu godzin – odpowiada Malone. – Ale na razie nieźle.

– To dobry policjant. Ma przed sobą karierę.

Więc nie spieprz mu tej kariery. To właśnie Sykes próbuje mu powiedzieć.

– Co macie nowego w sprawie broni?

Malone przekazuje mu wszystko, co wie o Carterze, Mantellu i interesach z klubem czy też gangiem motocyklowym ECMF. Nie nadszedł jeszcze żaden transport, ale negocjacje trwają. Carter przepuszcza ten interes przez Teddy’ego, sterując wszystkim ze swojego biura nad sklepem żelaznym na rogu Broadwayu i Sto Pięćdziesiątej Ósmej. Ale bez podsłuchu...

– Nie mamy wystarczających podstaw, żeby dostać pozwolenie na podsłuch – mówi Malone.

Sykes patrzy na niego.

– Zrób, co musisz zrobić. Ale pamiętaj, że będziemy potrzebowali jakiegoś prawdopodobieństwa winy.

– Proszę się nie martwić – odpowiada Malone. – Jeśli będą pana wieszać, pociągnę pana za nogi.

– Doceniam to, sierżancie.

– Cała przyjemność po mojej stronie, kapitanie.

Oddział czeka na Malone’a na ulicy.

– Levin – zwraca się do niego Malone. – Idź do domu i zdrzemnij się. Dorośli muszą teraz porozmawiać.

– Okej. – Jest trochę zirytowany, ale odchodzi.

– I co myślicie? – pyta Malone.

– To chyba dobry chłopak – mówi Russo.

– Możemy mu zaufać?

– Pod jakim względem? – pyta Monty. – W pracy pewnie tak. W innych sprawach? Nie wiem.

– A skoro już o tym mówimy, mam pozwolenie na nagrywanie Cartera.

– Dostałeś to na piśmie? – pyta Monty.

– W postaci skinienia głowy. Zajmiemy się tym po jutrzejszej zabawie. Muszę się teraz spotkać z tym gościem od burmistrza.

– Po co? – pyta Russo.

Malone wzrusza ramionami.

Siedzi w barze w snobistycznym hoteliku NYLO na West Side i popija wodę sodową. Zamówiłby prawdziwego drinka, ale ten facet, z którym ma się spotkać, jest z gabinetu burmistrza, więc nigdy nie wiadomo.

Ned Chandler wpada do środka chwilę później, rozgląda się, dostrzega Malone'a i siada przy stoliku.

– Przepraszam za spóźnienie.

– Nie ma problemu – mówi Malone, ale jest zirytowany. To Chandler prosił o spotkanie, więc powinien tu być na czas, jeśli nie wcześniej. Gdy prosi się o przysługę, to nie każe się czekać facetowi, od którego czegoś się chce.

Ale Chandler jest z gabinetu burmistrza, więc te zasady pewnie go nie dotyczą. Przechyla głowę w stronę kelnerki, jakby to miało sprawić, że zwróci na niego uwagę. No i rzeczywiście zwraca.

– Jakie macie whisky single malt?

– Laphroaig quarter cask.

– Zbyt dymna. A co jeszcze?

– Dwunastoletnia caol ila – mówi kelnerka. – Bardzo lekka. Odświeżająca.

– Może być.

Malone zna Neda Chandlera od jakichś czterdziestu sekund, a już ma ochotę dać w zęby temu snobistycznemu dupkowi. Facet ma niewiele po trzydziestce, ubrany jest w koszulę w kratę z dzianinowym krawatem, szary rozpinany sweter i beżowe sztruksy.

Samo to wystarczy, by Malone go znienawidził.

– Wiem, że pański czas jest cenny – mówi Chandler – dlatego od razu przejdę do rzeczy.

Gdy ktoś ci mówi, że twój czas jest cenny, tak naprawdę chce powiedzieć, że to jego czas jest cenny.

– Bill McGivern zarekomendował mi pana. Oczywiście słyszałem o panu wcześniej i to, co usłyszałem, zrobiło na mnie wrażenie, ale Bill potwierdził, że jest pan kompetentnym i dyskretnym profesjonalistą.

– Jeśli chce pan mieć szpiega w jednostce Sykesa, to proszę szukać dalej.

– Nie szukam szpiega, detektywie. Czy zna pan Bryce’a Andersona?

Nie, myśli Malone. Nie znam dewelopera miliardera, który zasiada w Komisji Rozwoju Urbanistycznego miasta. Ale do cholery, wiem, kim jest. Chce zamieszkać w Gracie Mansion, gdy obecny lokator przeniesie się do gabinetu gubernatora.

– Znam nazwisko, ale nie poznałem go osobiście – mówi.

– Bryce ma pewien problem, który wymaga dyskrecji.

Chandler przerywa, gdy kelnerka podaje mu lekką i odświeżającą whisky single malt.

– Przepraszam – mówi do Malone’a. – Powinienem zapytać. Ma pan ochotę...

– Nie, dziękuję.

– Jest pan na służbie.

– No właśnie.

– Bryce ma córkę – ciągnie Chandler. – Lyndsey, dziewiętnaście lat. Inteligentna, piękna, oczko w głowie ojca i tak dalej. Rzuciła Bennington College i stwierdziła, że chce budować swoją „markę życiową”, zostając celebrytką z YouTube’a.

– Co to jest marka życiowa?

– Nie mam pojęcia – odpowiada Chandler. – Ona pewnie też nie. W każdym razie mała Lyndsey ma chłopaka. Zupełny pajac. Oczywiście spotyka się z nim, żeby odegrać się na tatusiu za to, że dał jej wszystko, co mógł.

Malone nie znosi, gdy cywile próbują mówić jak gliniarze.

– Dlaczego mówi pan, że to pajac?

– To kompletny nieudacznik.

– Czarny?

– Nie, przynajmniej tego banału nam oszczędziła. Kyle to mały biały mieszczanin, któremu wydaje się, że jest następnym Scorsesem. Tylko że zamiast nakręcić „Ulice nędzy”, nagrał film pornograficzny z córką Andersona.

– I teraz grozi, że go upubliczni – domyślił się Malone. – Ile chce?

– Sto tysięcy – mówi Chandler. – Jeśli ta taśma ujrzy światło dzienne, zrujnuje życie tej małej.

Nie wspominając już o tym, że zrujnuje też szanse jej tatusia na posadę gubernatora, myśli Malone. Kandydat reprezentujący prawo i porządek,

który chce zlikwidować uliczne gangi, ale nie potrafi zapanować nad własną córką.

– Ten Kyle ma jakieś nazwisko?

– Havachek.

– Ma pan jego adres?

Chandler przesuwa w jego stronę kawałek papieru. Havachek mieszka w Washington Heights.

– Czy ona mieszka z nim?

– Mieszkała, ale wróciła do mamy i taty, a on zaczął ją szantażować.

– Stracił źródło utrzymania i potrzebuje nowego – domyśla się Malone.

– Też tak to rozumiem.

Malone chowa kartkę do kieszeni.

– Zajmę się tym.

Chandler zaczyna się denerwować, jakby chciał coś powiedzieć, ale nie miał pojęcia, jak to zrobić, żeby zabrzmiało grzecznie. Malone mógłby mu pomóc, ale nie ma ochoty.

W końcu Chandler mówi:

– Bill dał mi do zrozumienia, że może się pan tym zająć w taki sposób, żeby nie... nie posunąć się za daleko.

Malone chce, żeby powiedział to głośno, jak w podobnych przypadkach robi to mafia. Chcę, żebyś go załatwił. Nie chcę, żebyś go załatwił. Chcę, żeby został ukarany, żeby dostał nauczkę...

Gdyby trzeba było zamordować tego nieszczęśnika, żeby zapobiec wyciekowi taśmy, to oni by chcieli, żebym go zamordował, myśli Malone. A jeśli to nie jest konieczne, to nie chcą zbędnego zamieszania. Ale nie chodzi o to, że nie chcą mieć go na sumieniu.

Kurwa, nienawidzę tych ludzi, myśli, ale uwalnia Chandlera z haczyka.

– Będę się zachowywał odpowiednio.

Uwielbiają to słowo.

– To znaczy, że się rozumiemy? – upewnia się Chandler.

Malone kiwa głową.

– Jeśli chodzi o zapłatę za pański czas...

Malone macha ręką.

Nie tak się to robi.

Russo czeka na niego na Siedemdziesiątej Dziewiątej Ulicy.

– Czego chciał od ciebie ten gość od burmistrza?

– Przysługi. Masz trochę czasu?

– Dla ciebie, skarbie...

Jadą do Washington Heights i znajdują obskurny budynek przy Sto Siedemdziesiątej Szóstej, między St. Nicholas i Audubon. Russo parkuje na ulicy. Malone dostrzega na rogu dzieciaka, podchodzi do niego i wsuwa mu dwadzieścia dolarów.

– Ten samochód ma tu stać, kiedy wrócimy. Cały. Jasne?

– Jesteście z policji?

– Jeśli z tym samochodem coś się stanie, to dla ciebie jesteśmy przedsiębiorcami pogrzebowymi.

Havachek mieszka na trzecim piętrze.

– Dlaczego takie gnidy nigdy nie mogą mieszkać na parterze – zastanawia się Russo, wspinając się po schodach. – Albo w budynkach z windą. Robię się już za stary na takie rzeczy. Kolana mnie bolą.

– Kolana sypią się pierwsze – stwierdza Malone.

– Bogu dzięki, nie?

Malone stuka do drzwi Havachka.

– Kto tam?

– Chcesz sto kawałków czy nie?



Drzwi uchylają się na szerokość łańcucha. Malone otwiera je kopniakiem.

Havachek jest wysoki i chudy. Na głowie ma koczek, a na czole już tworzy się guz w miejscu, gdzie dostał drzwiami. Ubrany jest w brudny sweter, wąskie czarne dżinsy i sztyblety. Cofa się i przykłada rękę do czoła, sprawdzając, czy nie ma krwi.

– Rozbieraj się – mówi Malone.

– Kim ty, kurwa, jesteś?

– Jestem facetem, który właśnie kazał ci się rozebrać. – Malone wyciąga pistolet. – Nie zmuszaj mnie, żebym to powtórzył, Kyle, bo wtedy poproszę o coś, co ci się nie spodoba jeszcze bardziej.

– Jesteś gwiazdą porno, tak? – mówi Russo. – Więc to nie powinien być dla ciebie problem. Ściągaj te pieprzone ciuchy.

Kyle rozbiera się do spodenek.

– Wszystko – mówi Russo i wyciąga pasek ze szlufek spodni.

– Co chcecie zrobić? – pyta Kyle. Nogi pod nim drżą.

– Chciałeś być gwiazdą porno – wyjaśnia Malone. – Przyzwyczajaj się.

– To tylko część pracy – dodaje Russo.

Kyle wychodzi ze spodenek i zakrywa ręką genitalia.

– Czy tak się zachowuje gwiazda porno? – Russo kręci głową. – No chodź tu, ogierze, pokaż, co tam masz.

Wykonuje ruch pistoletem. Kyle podnosi rękę.

– I jak się teraz czujesz, nagi przed obcymi ludźmi? – pyta Malone. – Myślisz, że tak właśnie mogła się czuć Lyndsey Anderson? To miła dziewczyna, a nie jakaś wywłoka, z którą robi się filmy porno.

– To ona mnie do tego namówiła – odpowiada Kyle. – Powiedziała, że dzięki temu wyciągnie pieniądze od swoich starych.

– Nic z tego, Kyle – mówi Malone. – Załadowałeś już ten film do sieci?

– Nie.

– Powiedz prawdę.

– To prawda.

– To dobrze – mówi Malone. – Dobrze dla ciebie.

Sięga po laptop i podchodzi do okna, a widząc, że wychodzi na zaulek, otwiera je.

– Ten laptop kosztował tysiąc dwieście dolarów! – krzyczy Kyle.

– Coś wyleci przez to okno – odpowiada Malone. – Albo ty, albo twój laptop. Wybieraj.

Havachek wybiera laptop. Malone wyrzuca go przez okno i patrzy, jak rozbija się na kawałki na betonie.

– Lyndsey była z tobą w zмовie?

– Tak.

– Walnij go i powiedz, że to gówno prawda.

Russo smaga pasem uda Kyle'a od tyłu i recytuje:

– Gówno prawda.

– Nie, naprawdę – mówi Kyle. – To był jej pomysł.

– Walnij go jeszcze raz.

Russo wali.

– To prawda!

– Wierzę ci – mówi Malone. – Ale zasłużyłeś na lanie. Zasłużyłeś na coś znacznie gorszego, ale będę się zachowywał odpowiednio.

– Zachowuje się bardzo odpowiednio – potwierdza Russo.

– Ale coś ci powiem, Kyle – ciągnie Malone. – Jeśli ta taśma gdzieś wypłynie albo jeśli usłyszę, że powtórzyłeś ten numer z jakąś inną dziewczyną, znów tu przyjdziemy i wtedy przypomnisz sobie te klapsy z wielką nostalgią.

– Pomyślisz o nich jak o starych dobrych czasach – dodaje Russo.

– A kiedy Lyndsey przyśle ci SMS-a z pytaniem, co się dzieje, nie odpowiesz – ciągnie Malone. – Nie będziesz odbierał jej telefonów, wiadomości na Facebooku, nie będziesz do niej dzwonił ani próbował się z nią skontaktować. Po prostu znikniesz. Bo jeśli nie... – Mierzy z pistoletu w jego czoło. – Po prostu znikniesz – powtarza. – Wracaj do Jersey, Kyle. Nie nadajesz się do miejskich gier.

– Tu są zupełnie inne zasady – dodaje Russo.

Malone ojcowskim gestem opiera dłonie na ramionach Kyle'a.

– Teraz posiedzisz tutaj nago przez godzinę i zastanowisz się nad tym, jakim jesteś oślizłym gnojkiem. – Szybko i mocno unosi kolano do góry. Kyle zwija się w kłębek, jęczy z bólu i próbuje złapać powietrze. – Nie traktujemy kobiet w ten sposób, nawet jeśli same nas o to proszą.

Gdy schodzą na dół, Malone pyta:

– Czy zachowałem się nieodpowiednio?

– Nie sądzę – odpowiada Russo.

Samochód czeka na nich na ulicy.

Nietknięty.

Malone dzwoni do Chandlera i mówi:

– Sprawa załatwiona.

– Jesteśmy pańskimi dłużnikami – odpowiada Chandler.

A owszem, myśli Malone.

Claudette ma ochotę dzisiaj być wredna i to wszystko.

A gdy kobieta – czarna, biała, brązowa, fioletowa, jakakolwiek – ma ochotę być wredna, myśli Malone, to będzie.

Może to przez wiadomości telewizyjne, przez te relacje pokazujące, jak policja otacza czarne dzieciaki, protestujących, kimkolwiek oni tam, kurwa, są. Może o to, że stacje telewizyjne od razu skojarzyły obławy na osiedlach

ze sprawą Michaela Bennetta, a Cornelius Hampton zajął swoje zwykłe miejsce przed kamerami i powtarza:

– Nie ma sprawiedliwości dla młodych Afroamerykanów. Gwarantuję wam, że gdyby Sean Gillette był biały i został zastrzelony w biały dzień pośrodku białego osiedla, policja miałaby już podejrzanego w areszcie. Podobnie gwarantuję, że gdyby Michael Bennett był biały, proces jego zabójcy już dawno by się rozpoczął.

Prokurator okręgowy wykazał się doskonałym wyczuciem chwili, przekazując właśnie teraz sprawę Bennetta wielkiej ławie przysięgłych. Trzeba będzie czekać tygodnie, jeśli nie miesiące, na podjęcie decyzji. Gdy dołożyć do tego morderstwa w Nickel, trudno się dziwić, że okolica wrze.

– Czy to prawda? – pyta Claudette.

Siedzą przed telewizorem i jedzą hinduskie jedzenie na wynos, które Malone przyniósł ze sobą – kurczak tikka dla niej, korma z jagnięciny dla niego.

– Czy co jest prawdą?

– Cokolwiek z tego.

– Myślisz, że nie staramy się znaleźć tych, którzy dzisiaj zabili dwie osoby? – mówi Malone. – Myślisz, że odpuszczamy, bo to byli czarni?

– Ja tylko pytam.

– No tak. Wiesz co? Odpieprz się.

Nie jest w odpowiednim nastroju na taką gadkę.

Ale Claudette przeciwnie.

– Bądź ze mną szczery. Czy chcesz mi powiedzieć, że przynajmniej podświadomie Gillette nie jest dla ciebie trochę mniej ważny przez to, że to tylko następny dżamal? Bo tak ich chyba nazywacie, prawda? Dżamale?

– Tak, mówimy o nich dżamale – przyznaje Malone. – Również pajace, głąby, bandyci, gangsterzy, chłopaki z ulicy...

– Czarnuchy? – podsuwa Claudette. – Słyszałam rozmowę gliniarzy na izbie przyjęć. Śmiali się, że dali w łeb jakiemuś czarnuchowi. Pokazali asfaltowi, gdzie jego miejsce. Czy ty też tak mówisz, Denny, kiedy nie jesteś ze mną?

– Nie mam ochoty się kłócić. Miałem ciężki dzień.

– Biedactwo.

Korma nagle zaczyna smakować jak gówno, Malone czuje, że wstępuje w niego złe.

– Jeśli poczujesz się od tego lepiej, to powiem ci, że jedyny chłopak, jakiego dzisiaj pobiłem, był biały.

– Cudownie. Widzę, że jako bandzior wyznajesz zasadę równych szans.

– Dzisiaj zginęły dwie osoby – mówi Malone, bo nie potrafi się powstrzymać. – Ten chłopak i staruszka. A wiesz dlaczego? Bo czarnuchy muszą handlować proszkiem.

– Teraz ty się odpieprz.

– Haruję jak wół, żeby pozamykać te sprawy.

– No właśnie – mówi Claudette. – Dla ciebie to są sprawy, a nie ludzie.

– Jezu Chryste, Claudette. Czy ty próbujesz mi powiedzieć, że każdy pacjent, którego ci przywożą na wózku, zawsze jest dla ciebie pełnowymiarowym człowiekiem, a nie tylko kolejną sprawą do załatwienia? Kolejnym kawałkiem mięsa? Próbujesz ich ocalić, ale czy nie zdarza ci się czasem trochę ich nienawidzić za to, że zrzucają ci na głowę to swoje popieprzone, nawalone, naćpane, głupie i agresywne gówno?

– Mówisz o sobie, nie o mnie.

– Tak. Ale czy przypadkiem nie dlatego właśnie, nie przez to ich cierpienie zaczęłaś dawać sobie w żyłę?

– Pierdol się, Denny. – Claudette wstaje. – Mam ranną zmianę.

– Idź do łóżka.

– Chyba pójdę.

Zwleka jednak dość długo i wsuwa się do łóżka dopiero wtedy, gdy sądzi, że on już śpi. Malone czuje się prawie tak, jakby znów był na Staten Island.

Śnią mu się koszmary z piekła rodem.

Billy O podrygujący na podłodze jak zerwany przewód wysokiego napięcia.

Otwarte usta Peny, oskarżycielskie spojrzenie martwych oczu. Z sufitu pada śnieg, ze ściany sypią się białe cegły, pies szarpie się na łańcuchu, szczeniaki piszczą ze strachu.

Billy z trudem łapie powietrze jak ryba rzucająca się na dnie łodzi.

Malone z płaczem uderza go w pierś. Z ust Billy'ego wysypuje się śnieg i osiada na twarzy Malone'a.

Zamarza na jego skórze.

W jego głowie rozlega się kanonada z broni maszynowej.

Otwiera oczy.

Wygląda z okna mieszkania Claudette.

To młoty pneumatyczne.

Robotnicy miejscy w żółtych kaskach i pomarańczowych kamizelkach naprawiają jezdnię. Na klapie ciężarówki siedzi nadzorca. Pali papierosa i czyta *Post*.

Pieprzony Nowy Jork, myśli Malone.

Skurwysyński Nowy Jork.

Słodkie, soczyste, zgniłe jabłko.

Śnił mu się nie tylko Billy.

Billy to tylko sen z ostatniej nocy. Trzy noce wcześniej śniła mu się śmierć z czasów, gdy pracował w Dziesiątce. Odpowiedział na wezwanie i pojechał na piąte piętro na osiedlu Chelsea-Elliott. Rodzina siedziała przy

stole i jadła kolację. Gdy zapytał, gdzie jest ciało, ojciec wskazał kciukiem na drzwi sypialni. Malone wszedł do środka i zobaczył dziecko leżące na łóżku twarzą w dół.

Siedmioletni chłopiec.

Ale nie widać było żadnych ran ani śladów po uderzeniach. Nic. Obrócił chłopca i zobaczył igłę sterczącą z jego ramienia.

Miał siedem lat i brał heroinę.

Malone przełknął wściekłość, wyszedł z sypialni i zapytał rodzinę, co się, do cholery, stało.

Ojciec odrzekł, że dzieciak „miał problemy”.

A potem wrócił do jedzenia.

Więc to był tamten sen.

A były jeszcze inne.

W ciągu osiemnastu lat spędzonych w robocie widzi się rzeczy, jakich wolałoby się nie widzieć. Co miał zrobić? „Podzielić się” tym z jakimś terapeutą? Z Claudette? Z Sheilą? Nawet gdyby to zrobił, nic by nie zrozumiały.

Idzie do łazienki i ochlapuje twarz zimną wodą. Gdy wychodzi, Claudette jest w kuchni i robi kawę.

– Miałeś kiepską noc?

– Wszystko w porządku.

– No jasne. Zawsze wszystko jest w porządku.

– Zgadza się. – Jezu, o co jej, kurwa, chodzi? Malone siada przy stole.

– Może powinieneś z kimś porozmawiać – mówi Claudette.

– To byłby koniec mojej kariery. – Claudette nie wie, co się dzieje, gdy policjant z własnej woli idzie do psychiatry. Aż do emerytury zostaje uziemiony przy biurku, bo nikt nie chce znaleźć się na ulicy z potencjalnym

świrem. – W każdym razie nie wyobrażam sobie, że mógłbym pójść do jakiegoś lekarza od czubków i jęczeć, że mam złe sny.

– Bo ty nie jesteś taki słaby jak inni ludzie.

– Jezu, kurwa – mówi Malone. – Gdybym chciał słuchać, jakim jestem dupkiem, tobym...

– Wrócił do żony? – kończy Claudette. – Więc dlaczego tego nie zrobisz?

– Bo chcę być z tobą.

Claudette stoi przy blacie i starannie układa w plastikowym pudełku składniki sałatki na lunch.

– Wiem, że twoim zdaniem tylko inny policjant może zrozumieć, przez co przechodzisz. Wszyscy jesteście wkurzeni, bo wini się was za zabicie Freddiego Graya czy Michaela Bennetta. Ale nie masz pojęcia, jak to jest być obwinianym za to, że urodziłeś się Freddie Grayem czy Michael Bennetem. Myślisz, że ludzie nienawidzą cię za to, co robisz, ale nie musisz boksować się z tym, że ludzie nienawidzą cię za to, kim jesteś. W każdej chwili możesz zdjąć ten niebieski mundurek, a ja żyję w swojej skórze dwadzieścia cztery godziny na dobę siedem dni w tygodniu, i tego właśnie nie jesteś w stanie zrozumieć, Denny. Nie możesz tego zrozumieć, bo jesteś biały. Chodzi o ciężar, jaki w tym kraju dźwigasz na sobie tylko dlatego, że jesteś czarny. Wyczerpujący ciężar, który przygniata ci ramiona, od którego bolą cię oczy i czasami po prostu ciężko jest zrobić krok.

Zamyka pudełko, milczy przez chwilę, i wreszcie dodaje:

– Wczoraj wieczorem miałeś rację. Czasami nienawidzę swoich pacjentów i jestem zmęczona, Denny. Cholernie zmęczona sprzątaniami po tym wszystkim, co oni robią sobie nawzajem. Co my robimy sobie nawzajem. I czasami nienawidzę ich, bo są czarni tak jak ja, i przez to zaczynam się zastanawiać nad sobą. – Wkłada pudełko do torby. – I przez



to właśnie musimy przechodzić, skarbie, i to każdego dnia. Nie zapomnij zamknąć drzwi.

Całuje go w policzek i wychodzi.

Wczesna wiosna przyszła do miasta jak nieoczekiwany dar.

Śnieg zamienił się w chlapę, ulicami spływają strumyki wody. Odrobina słońca obiecuje ciepło.

Nowy Jork budzi się po zimie, choć tak naprawdę nigdy nie spał. Miasto po prostu postawiło kołnierz i pochyliło głowę dla ochrony przed siekącym wiatrem, który przelatywał przez betonowe kaniony, od którego zamarzały twarze i drętwiały usta. Nowojorczycy przedzierają się przez zimę jak żołnierze przez ostrzał artyleryjski.

Teraz miasto zaczyna się odkrywać.

A Da Force szykuje się do obławy w Nickel.

– Zaczynaj spokojnie – mówi Malone do Levina. – Nie próbuj niczego udowodniać. Trzymaj się z tyłu, obserwuj, patrz, co się dzieje. Nie martw się, wpiszemy cię w raporcie. Jakies aresztowanie pójdzie na twoje konto, żebyś dobrze wyglądał w papierach.

Mają wejść do budynku numer sześć w północnej części St. Nick's i zrobić pionki.

Gang już wie, że policja jest w tym budynku i w czterech innych. Dziesięcioletni kandydaci na gangsterów ogłosili alarm okrzykami i gwizdami. Ludzie uciekają z korytarzy, jakby załoga Malone'a składała się z trędowatych. Jakaś para, która została, patrzy na nich ponuro, przekazując im wzrokiem, żeby się odpieprzyli. Malone słyszy, jak jedno z nich mruczy pod nosem „Michael Bennett”, ale ignoruje to.

Levin podchodzi do drzwi na schody.

– Gdzie idziesz? – pyta Russo.

– Myślałem, że będziemy sprawdzać schody.

– Masz zamiar iść w górę po schodach?

– No tak.

– Pieprzony idiota – mówi Russo. – Pojedziemy windą na dach i będziemy schodzić w dół. Trzeba oszczędzać nogi. A poza tym wtedy będziemy mieć problemy pod sobą, a nie nad sobą.

– Och.

– Kończyłeś Uniwersytet Nowojorski, tak?

Jakaś staruszka siedząca na składanym metalowym krześle patrzy na Levina i potrząsa głową.

Jadą windą i wysiadają na trzynastym piętrze.

Ściany pokryte są graffiti. To podpisy gangów.

Schodzą w dół do metalowych drzwi, za którymi znajduje się klatka schodowa. Otwierają je i naraz dokoła nich rozpętuje się chaos. Czterech członków Black Spades rozbiega się w różne strony jak stado przepiórek. Jeden z nich ma broń. Biegną w dół po schodach.

Malone instynktownie zaczyna biec za nimi. Levin przeskakuje przez poręcz i jest już przed nim.

– Nowy, stój! – woła Malone, ale Levina już nie widać, tylko jego kroki dudnią na dwunastym piętrze. A potem Malone słyszy strzał. „Słyszysz” to mało powiedziane. Huk odbija się echem po całej klatce schodowej i atakuje bębni. Przez chwilę jest zupełnie ogłuszony, a potem w uszach zaczyna mu dzwonić. Biegnie w dół, spodziewając się ujrzeć wykrwawiającego się Levina, tymczasem widzi, że Levin goni tamtego po schodach, a potem dopada go, wprawnie atakuje zza pleców i rzuca na podest akurat w chwili, gdy Malone do niego dobiega.

Gangster próbuje zrzucić broń po schodach, ale Russo, który już jest przy nich, chwyta ją w porę.

Levin jest nakręcony do granic możliwości.

– Zabezpiecz tę broń! Ten dureń do mnie strzelił!

Napędza go strach i adrenalina, ale udaje mu się założyć napastnikowi kajdanki. Monty rzuca go na podłogę i klęka na jego karku. Levin siada na podeście, opiera się plecami o ścianę i oddycha głęboko, gdy adrenalina opada.

– Wszystko w porządku? – pyta Malone.

Levin tylko kiwa głową. Jest zbyt wstrząśnięty, by mówić.

Malone rozumie to. Zna z doświadczenia to uczucie, gdy cudem uszło się z życiem.

– Odetchnij, a potem zabierz go na Trzydziesty Drugi. Będziesz miał na koncie zatrzymanie.

Gdy Malone dociera na komisariat, Levin już tam na niego czeka.

– Odelle Jackson. Był na niego wydany nakaz aresztowania za handel crackiem. To dziesięć do piętnastu lat. Po co ryzykował, strzelając do policjanta?

– Gdzie on teraz jest?

– W sali odpraw.

Malone idzie tam i widzi Jacksona w klatce.

Levin siedzi w szatni.

– Co jest, do cholery? – pyta go Malone. – Jackson wygląda, jakby właśnie wyszedł z kościoła.

– A jak ma wyglądać?

– Jakby się zderzył z ciężarówką.

– Ja czegoś takiego nie robię – mówi Levin.

– On próbował cię zabić.

– I pójdzie za to siedzieć.

– Słuchaj – mówi Malone. – Wiem, że kwestia sprawiedliwości społecznej leży ci na sercu i chcesz, żeby mniejszości cię kochały, ale jeśli

Jackson trafi do centralnego aresztu cały i nietknięty, to każdy kretyn w Nowym Jorku będzie przekonany, że można bezkarnie strzelać do policjantów.

– Jak nie połamiesz na nim kija, to narazisz nas wszystkich na niebezpieczeństwo – dodaje Monty.

Levin wydaje się wstrząśnięty.

– Nie musisz mu wsadzać w dupę szczotki do kibla – wyjaśnia Russo. – Ale jak mu nie przestawisz buźki, nikt na tym komisariacie nie będzie cię szanował.

– Zrób, co trzeba – dodaje Malone. – Albo zabieraj rzeczy z szafki.

Dwadzieścia minut później, gdy schodzą na dół, żeby wsadzić Jacksona do autobusu, który zawiezie go do Centralnego Aresztu, jego głowa wygląda jak dynia, a oczy przypominają dwie szparki. Utyka i trzyma się za żebra.

Levin zrobił swoje.

– Spadłeś ze schodów podczas obławy, prawda? – mówi Malone. – Potrzebujesz lekarza?

– Nic mi nie jest.

Na razie, myśli Malone. Aresztanci z Centralnego nie lubią gliniarzy i zostawią cię w spokoju. Co innego, gdy już pójdziesz siedzieć. Strażnicy więzienni przez cały czas mają wrażenie, że ich życie jest zagrożone, i bardzo poważnie traktują ataki na policjantów. Będziesz bohaterem wśród więźniów, ale strażnicy spuszczą cię ze schodów.

Levin wygląda, jakby zbierało mu się na mdłości.

Malone to rozumie. On też tak się czuł, gdy stary wyga kazał mu popracować nad pierwszym zatrzymanym.

O ile pamięć go nie zawodzi.

To było dawno temu.

Wchodzi Monty i podaje Malone'owi kawałek papieru.

– Nasz pan Jackson ma dzisiaj kiepski dzień.

Malone patrzy na papier. Kula, którą Jackson wystrzelił w stronę Levina, jest taka sama jak kula, która trafiła w pierś Mookiego Gillette'a.

Ta sama broń.

– Hej, sierzancie – mówi Malone. – Odepnij tego gościa. Idziemy do pokoju przesłuchań numer jeden. I zadzwoń do Minellego z zabójstw. Będzie chciał przy tym być.

Jackson jest przykuty do haka na stole. Malone i Minelli siedzą naprzeciwko niego.

– Dzisiaj jest chyba najgorszy dzień w całym twoim życiu – mówi Malone. – Strzeliłeś do policjanta i chybiłeś, a teraz będziesz odpowiadał za podwójne zabójstwo.

– Podwójne? Ja nie zastrzeliłem pani Williams.

– To ciekawa teoria – mówi Minelli. – Według prawa to, że zastrzeliłeś Mookiego, bezpośrednio doprowadziło do śmierci pani Williams.

– Ja nie zastrzeliłem Mookiego. Byłem tam, ale nie zastrzeliłem go. Tylko przechodziłem.

Oddają pistolet stażycie, który wychodzi z pokoju.

– Wciąż miałeś przy sobie broń, z której dokonano zabójstwa – mówi Minelli. – I znów jej użyłeś.

– Dali mi ten pistolet – mówi Jackson. – I kazali się go pozbyć.

– A ty się go nie pozbyłeś – mówi Malone. – I wdepnąłeś w gówno.

– Kto ci dał ten pistolet? – pyta Minelli. – Kto strzelał?

Jackson wpatruje się w stół.

– Przecież wiesz, jak to działa – mówi Minelli. – Albo ty pójdziesz siedzieć za te morderstwa, albo ktoś inny. Mnie gówno obchodzi kto. Tak czy owak, sprawę będę miał zamkniętą.

– Rozumiem cię – mówi Malone. – Zabicie Mookiego miało cię uwiarygodnić. Ale czy naprawdę chcesz siedzieć za panią Williams?

– I tak pójdę siedzieć za strzelanie do gliniarza.

– Według prawa stanu Nowy Jork – mówi Malone – za strzelanie do policjanta jest od czterdziestu lat do dożywocia. Byłeś już dwukrotnie skazany, więc możesz śmiało postawić na to, że będziesz siedział do końca życia.

– Więc tak czy owak, nie wygrzebię się z tego.

– Podaj nam nazwisko tego, kto strzelał, to może pomożemy ci przy sprawie ze strzelaniem do policjanta – proponuje Malone. – Nie możemy cię puścić wolno, ale możemy przekonać prokuratora, żeby powiedział sędziemu, że współpracowałeś z policją w sprawie podwójnego zabójstwa. Dostaniesz czterdzieści lat, odsiedzisz piętnaście i będziesz miał jeszcze kawałek życia przed sobą. W innym wypadku zdechniesz w więzieniu.

– Jak ich wydam, to i tak mnie zabiją – mówi Jackson.

Malone widzi to w jego oczach. Ten chłopak wie, że jego życie właśnie się skończyło.

Gdy już raz trafisz w tryby maszyny, nie wyjdiesz, dopóki nie przemieli cię na miazgę.

– Masz babcię? – pyta Malone.

– Jasne, że mam – odpowiada Jackson i po jakichś dziesięciu sekundach podejmuje decyzję: – Jamichael Leonard.

– Gdzie go znajdziemy? – pyta Minelli.

– U kuzyna.

Podaje im adres, po czym Malone znów prowadzi go do autobusu.

– Skontaktujemy się z twoim obrońcą.

– Jak chcecie.

Zakuwają go w łańcuch i pakują do samochodu.

– Chcesz być wymieniony z nazwiska przy tym zatrzymaniu? – pyta Minelli.

– Nie – mówi Malone. – Za dużo atramentu sprawia, że stajemy się celem. Ale zrób coś dla mnie. Daj Levinowi asystę i dopisz jeszcze Sykesa, zanim po niego pojedziesz.

– Tak?

– Tak. A dlaczego nie?

Każdy mafioso wie, że jeśli chcesz jeść, to nie jesz sam. Robisz dobrze górze, a płatności można regulować w różnych walutach.

Malone wraca do szatni. Zastaje tam Russa, Montague'a i Levina.

– Jeśli od tego poczujesz się lepiej, nowy, to powiem ci, że Jackson podał nazwisko zabójcy Williams. Zarobiłeś asystę – mówi do Levina.

To pomaga, ale nie załatwia wszystkiego. Widać to w oczach Levina. Ten pierwszy raz, gdy zostawiasz część siebie na ulicy, zawsze boli. Tkanka jeszcze nie pokryła się bliznami i czuje się to miejsce.

– Myślę, że zasłużyliśmy sobie na wieczór przy kręglach – mówi Malone.

## ROZDZIAŁ 8

Wieczór przy kręglach to instytucja w Task Force.

Obecność obowiązkowa, żadne usprawiedliwienia nie są przyjmowane. Mężczyźni mówią swoim żonom i dziewczynom, że idą z kolegami na kręgle.

To przywilej dowódcy oddziału, choć niektórzy nazwaliby to obowiązkiem. Zwołuje wieczór przy kręglach, kiedy trzeba upuścić pary. A gdy ktoś strzela do policjanta, powstaje mnóstwo pary.

Kiedy brat policjant ginie, nie rozmawia się o tym, ale kiedy uchodzi z życiem, koniecznie trzeba rozmawiać – wyrzucić to z siebie, śmiać się z tego, bo jutro albo pojutrze znów przyjdzie im zejść po kolejnych schodach.

Spotkania oznaczone kodem 10-13 zdarzają się często. Ta nazwa pochodzi od radiowego kodu, który oznacza: policjant potrzebuje wsparcia. Wtedy po prostu siadają w jakimś miejscu i imprezują. Ale wieczór przy kręglach to zupełnie coś innego. Trzeba się ubrać na duże wyjście, nie przyprowadza się żadnych dziewczyn, żon ani nawet *gumare*, stałych kochanek, no i nie odbywa się to w żadnym ze zwykłych barów.

Podczas tego wieczoru wszystko od początku do końca musi być pierwszej klasy.

Sheila powiedziała kiedyś z przenikliwością żony gliniarza ze Staten Island:

– Wy wcale nie idziecie na kręgle. To tylko przykrywka, żeby się upić i pieprzyć tanie dziwki.



Nieprawda, pomyślał wtedy Malone, wychodząc z domu. To przykrywka, żeby zjeść wystawną kolację, upić się i pieprzyć drogie dziwki.

Levin nie chce iść.

– Jestem wykończony – mówi. – Chyba po prostu wrócę do domu, żeby ochłonąć.

– To nie jest zaproszenie – mówi Malone. – To jest wezwanie.

– Idziesz – mówi Russo.

– Należysz do drużyny – dodaje Monty. – Więc idziesz na kręgle.

– A co mam powiedzieć Amy?

– Powiedz, że wychodzisz z kolegami i żeby na ciebie nie czekała – wyjaśnia Malone. – A teraz idź do domu, doczyść się i ładnie ubierz. Spotkamy się o siódmej u Gallaghery.

Narożny stolik u Gallaghery przy Pięćdziesiątej Ulicy i Drugiej Alei.

Russo wygląda bardzo elegancko. Ciemnoszary garnitur, dopasowana biała koszula, w mankietach perłowe spinki.

– Słyszałeś ten strzał? – pyta Levina.

– Dopiero później. To właśnie jest najśmieszniejsze, że usłyszałem go dopiero później.

– Człowieku, ty po prostu powaliłeś tego dupka – mówi Russo. – Zapiszcie go do Jetsów.

– To Jetsi kogoś powalają? – dziwi się Malone.

I tak dalej. Zmuszają Levina do mówienia. Chcą, żeby przyznał, że wykazał się odwagą i przetrwał.

– Najważniejsze jest to, że masz już to z głowy na całe życie – zauważa Malone.

– Jak to?

Montague wyjaśnia:

– Do większości policjantów przez całe życie nikt nie strzela. Do ciebie strzelili, ale nie trafili. Statystycznie nikt już nie powinien do ciebie strzelać. Po dwudziestu latach odejdiesz cały i zdrowy na emeryturę.

Malone napełnia szklanki.

– Wypijmy za to!

– Pamiętasz Harry’ego Lemlina? – pyta Russo.

Malone i Monty zaczynają się śmiać.

– Kto to był Harry Lemlin? – pyta Levin. Uwielbia te stare historyjki i nawet nie jest wkurzony, że kazali mu zapłacić karę w wysokości stu dolarów za to, że włożył koszulę z guzikami na mankietach.

– Mankiety na spinki – wyjaśnił mu Malone. – Kiedy wychodzimy, mamy robić wrażenie. Mankiety na spinki.

– Nie mam żadnych spinek.

– To sobie kup – mówi Malone, wyjmując setkę z portfela Levina.

– Kto to był Harry Lemlin? – pyta Levin jeszcze raz. – Opowiedzcie mi o nim.

– Harry Lemlin...

– Nieśmiertelny Harry – wtrąca Monty.

– Nieśmiertelny Harry – powtarza Russo. – Był rewidentem księgowym w gabinecie burmistrza. Odpowiadał za to, żeby budżet wyglądał w miarę przyzwoicie. I był bardzo dobrze obdarzony przez naturę. Te konie, których używa się jako reproduktorów... Och, gdyby te konie go zobaczyły, to pospuszczałyby łby ze wstydu. Kutas Harry’ego przychodził na spotkania dwie minuty wcześniej niż on sam. No więc Harry był stałym klientem u Madeleine. To było w czasach, kiedy większość jej klientów stanowili gliniarze.

Malone uśmiecha się. Russo wpadł w tryb gawędziarski.

– Wtedy Madeleine urzędowała przy Sześćdziesiątej Czwartej i Park Avenue. No i Harry zaczął brać viagrę. Jego zdaniem to był najlepszy wynalazek w historii ludzkości. Pieprzyć penicylinę, szczepionki przeciwko polio, wszystko. Harry zakochał się w błękitnej pigułce.

– Ile miał lat? – pyta Levin.

– Dasz mi opowiedzieć czy będziesz ciągle przerywał? – obrusza się Russo. – Ta dzisiejsza młodzież!

– Moim zdaniem to wina rodziców – oświadcza Monty.

– To jest następna setka – stwierdza Malone.

– Harry był po sześćdziesiątce. Nie wiem dokładnie – wyjaśnia Russo. – Ale pieprzył jak dziewiętnastolatek. Dwie dziewczyny naraz, trzy. Jak lokomotywa parowa. Dziewczyny musiały się przy nim zmieniać, bo nie wytrzymały tempa. Madeleine nic to nie obchodziło, bo zarabiała pieniądze, a dziewczyny go uwielbiały, bo dawał im wielkie napiwki.

– Liczył napiwki od cała – mówi Monty.

– Dlaczego Monty nie dostaje kary? – obrusza się Levin.

– To jest następna setka.

– Więc pewnego wieczoru – Russo wyraźnie zaczyna się rozgrzewać – robiliśmy we trzech nalot na dilerę koki, gdy nagle na prywatny telefon Malone’a dzwoni Madeleine. Jest cała roztrzęsiona, zawodzi, że Harry nie żyje. Poleciliśmy tam, no i rzeczywiście, Harry leży w łóżku, dziwki stoją dokoła i szlochają, jakby był Jezusem albo kimś takim, a Madeleine histerycznie nalega, że musimy go stamtąd zabrać. Faktycznie, myślimy, bo to będzie wielki wstyd, jeśli rewident burmistrza zostanie znaleziony o pierwszej po północy w burdelu, całkiem nagi i otoczony wianuszkami dziewczyn. Musimy zabrać ciało. Ale pierwszy problem, to jak go ubrać, bo Harry waży ze sto czterdzieści kilo, a w dodatku występuje jeszcze pewna, powiedzmy, przeszkoda.

– Przeszkoda? – pyta Levin.

– Żołnierz Harry’ego wciąż stoi na baczność – wyjaśnia Russo. – Gotów do służby. Próbujemy nałożyć mu bokserki, nie mówiąc już o spodniach, które w ogóle były trochę przyciasne, i przez cały czas zmagamy się z tym masztem od flagi, który w ogóle nie chce opaść. Nie wiemy, czy to przez pigułkę, czy przez stężenie pośmiertne, ale...

Russo zaczyna się śmiać.

Malone i Monty dołączają do niego. Levin też doskonale się bawi.

– I co zrobiliście?

– A co, kurwa, mieliśmy zrobić? – ciągnie Russo. – Szarpiemy się z nim. W końcu udało się go ubrać. Ma na sobie spodnie, koszulę, krawat, wszystko. Tylko że ten maszt dalej sterczy i mógłbym przysiąc, że robi się coraz większy, jak nos Pinokia.

Russo robi efektowną pauzę, nim ciągnie dalej:

– Schodzę na dół, daję portierowi dwudziestkę, żeby sobie poszedł zapalić, i pilnuję wejścia. Monty i Malone wciągają Harry’ego do windy, a potem taszczymy go przez boczne wyjście do samochodu, co też nie było łatwe. No ale Harry siedzi w końcu na przednim fotelu i wygląda, jakby był pijany. Jedziemy do centrum, do jego biura. Setka dla strażnika, znowu do windy i posadziliśmy go na krześle za biurkiem, żeby wyglądał jak oddany pracownik, który po nocach ślęczy nad robotą.

Russo upija łyk martini i gestem zamawia następne.

– Ale co dalej? Powinniśmy po prostu zniknąć, ale wszyscy lubiliśmy Harry’ego. Bardzo go lubiliśmy i nie mieliśmy serca zostawić go tak, żeby siedział i gnił, więc Malone zadzwonił do dyżurnego sierżanta w Piątce. Opowiedział mu jakieś bzdury, że przechodził obok budynku, zobaczył światła i pomyślał, że wpadnie na górę, żeby się przywitać ze starym przyjacielem Harrym, bla, bla, bla, przyślijcie kogoś.

Popatruje ponagląjąco na kelnera i mówi dalej:

– Przyjechali mundurowi, a potem dyżurny lekarz. Tylko spojrzął na Harry’ego i mówi, że serce nie wytrzymało. Kiwamy głowami, czyli: no tak, to smutne, był przepracowany. I wtedy lekarz mówi, że to się nie stało tutaj. Wszyscy udajemy strasznie zdziwionych. Jak to, co to ma niby znaczyć? A on wdaje się w długie wyjaśnienia o śmiertelności i plamach opadowych i że denat nie zesrał się w spodnie, a co więcej, ma erekcję jak taran, no i widać, że ten lekarz zastanawia się, o co tu właściwie chodzi. Więc wzięliśmy go na bok i wszystko mu wyjaśniliśmy. To znaczy mówię: „Widzi pan, Harry padł w siodle i chcielibyśmy oszczędzić wstydu jego żonie i dzieciom. Czy może nam pan w tym pomóc?”. A on na to: „Przenieśliście ciało”. Przyznajemy się do tego, na co on, że to przestępstwo. Zgadza się z lekarzem, bo niby jak inaczej. Malone obiecuje, że będziemy mu winni przysługę, jeśli załatwi to tak jak trzeba. I ten lekarz w końcu mówi: „No dobra, napiszę, że Harry zmarł przy biurku jako wierny sługa miasta”.

– Bo nim był – wtrąca Monty.

– Jak najbardziej – potwierdza Russo. – Tylko że teraz musimy pojechać do Rosemary i powiedzieć, że mąż nie żyje. Jedziemy na Wschodnią Czterdziestą Pierwszą, dzwoniemy do drzwi, Rosemary otwiera nam w szlafroku i lokówkach, mówimy jej, co się stało. Trochę płacze, robi nam herbatę, a potem...

Kelner wreszcie przynosi martini dla Russa.

– Chce go zobaczyć. Mówimy jej, że lepiej poczekać do jutra, zidentyfikowaliśmy ciało, nie ma takiej konieczności. Ale nie, chce zobaczyć męża.

Malone potrząsa głową.

– No więc dobrze – ciągnie Russo. – Jedziemy do kostnicy, pokazujemy odznaki, wyjmują Harry’ego z szuflady. Muszę przyznać, że zrobili, co mogli, przykryli go prześcieradłami, kocami, ale to wszystko na nic. Nadal sterczy jak maszt od namiotu. Można by w środku zrobić zebranie całej klasy z liceum albo, nie wiem, urządzić cyrk. Zmieściłaby się cała arena ze słoniami, klaunami, akrobatami i ze wszystkim. A Rosemary patrzy na to i mówi...

Znów wybuchają śmiechem.

– A Rosemary mówi: „Tylko popatrzcie na małego Harry’ego. On jest nieśmiertelny!”. Była z tego dumna. Dumna, że zmarł w siodle, robiąc to, co uwielbiał robić. My omal nie dostaliśmy przepukliny, targając go z miejsca na miejsce, a ona i tak wiedziała, co się stało.

– A pożegnanie zmarłego? Wiesz, że tych z mafii czasem żegna się przy zamkniętej trumnie? Trumnę Harry’ego musieli zakryć wiekiem od pasa w dół. Rosemary powiedziała, że pójdzie do nieba gotowy.

Monty unosi szklanę.

– Za Harry’ego.

– Nieśmiertelny – mówi Malone.

Stukają się szklankami.

A potem Russo spogląda ponad ramieniem Levina.

– O cholera.

– Co?

– Nie odwracaj się – mówi Russo. – Przy barze. Lou Savino.

Malone wydaje się zaniepokojony.

– Jesteś pewny?

– Savino i trzech jego ludzi – mówi Russo.

– Kto to jest Lou Savino? – pyta Levin.

– Kto to jest Lou Savino? – powtarza Russo. – Chyba żartujesz? To capo z rodziny Cimino.

– Dowodzi ekipą z Pleasant Avenue – dodaje Malone. – Ma ważny nakaz aresztowania. Musimy go zgarnąć.

– Tutaj? – dziwi się Levin.

– A jak, kurwa, myślisz – mówi Russo – co powiedzą ci z Biura Spraw Wewnętrznych, jeśli dojdzie do nich, że byliśmy w tej samej restauracji co gangster z ważnym nakazem aresztowania i pozwoliliśmy mu odejść wolno?

– Jezu – mówi Levin.

– Ty to musisz zrobić – mówi Malone. – Jeszcze nas nie zauważył, ale jak któryś z nas się podniesie, to ucieknie jak królik.

– Będziemy cię asekurować, młody – zapewnia Russo.

– Bądź grzeczny – radzi Monty.

– Ale stanowczy – dodaje Russo.

Levin podnosi się. Wydaje się zdenerwowany jak wszyscy diabli, ale podchodzi do baru, gdzie Savino pije ze swoimi trzema ludźmi i ich kobietami. Gdy członkowie mafii siedzą w głównej sali restauracji, zawsze chcą, żeby widziano ich w towarzystwie pięknych kobiet. Spotkania czysto męskie odbywają się w prywatnych salach. Ekipa Malone’a długo dyskutowała, czy należy zabierać kobiety na kolacje podczas wieczorów przy kręglach. Padały argumenty za i przeciw. Z jednej strony zawsze miło jest zjeść kolację w towarzystwie pięknej kobiety, z drugiej może to być zbyt ostentacyjne. To, że grupa znanych detektywów wychodzi na kolację do drogiej restauracji, już jest na granicy. Gdyby mieli ze sobą drogie dziwki, byłoby jeszcze gorzej.

Dlatego Malone tego zakazał. Nie chce, żeby te spotkania rzucały się w oczy facetom z Biura Spraw Wewnętrznych, a poza tym to dobra okazja,

by mogli porozmawiać. W restauracji jest głośno, szanse, że ktoś będzie ich tu podsłuchiwał, nie są wielkie, a nawet gdyby Biuro chciało to zrobić, dźwięk byłby tak niewyraźny i zatarty, że można byłoby się wyprzeć własnego głosu. Taka taśma nie przeszłaby przez przesłuchanie dowodowe.

Teraz wszyscy trzej patrzą, jak Levin podchodzi do Savina.

– Bardzo pana przepraszam.

– Tak, o co chodzi? – Savino jest niezadowolony, że ktoś mu przeszkodził, tym bardziej że jest to nieznajomy.

Levin pokazuje odznakę.

– Jest na pana wydany nakaz aresztowania. Obawiam się, że muszę pana aresztować, sir.

Savino spogląda na swoich ludzi i wzrusza ramionami, jakby chciał powiedzieć: co to, kurwa, za bzdury? Znów przenosi wzrok na Levina.

– Nie ma żadnego nakazu.

– Obawiam się, że jest.

– Nie obawiaj się, mały – mówi Savino. – Albo jest nakaz, albo go nie ma. A ponieważ go nie ma, to nie musisz się niczego obawiać.

Odwraca się do Levina plecami i kiwa do barmana, żeby nalał następną kolejkę.

– To jest coś pięknego – mówi Monty. – Piękna sprawa.

Levin sięga za plecy po kajdanki.

– Sir, czy możemy to załatwić jak dżentelmeni, czy...

Savino obraca się gwałtownie.

– Gdybyśmy chcieli się zachowywać jak dżentelmeni, to nie przeszkadzałbyś mi w spokojnym wieczorze w towarzystwie moich współpracowników i przyjaciółek, ty... kim ty właściwie jesteś? Włochem? Żydem?

– Jestem Żydem, ale nie rozumiem, co...



– ...ty pejsaty Żydka, pieprzony morderco Chrystusa, ty... – Savino ogląda się przez ramię, dostrzega Malone’a i krzyczy: – Ty źmijo! Ty źmijo!

Levin obraca się i widzi, że Malone i Russo omal nie pospadali z krzeseł, a ramiona Monty’ego unoszą się i opadają ze śmiechu.

Savino klepie Levina po ramieniu.

– Zrobili z ciebie głupka, chłopcze! Co to ma, do cholery, być!? Wieczór przy kręglach, tak? Ale muszę przyznać, że masz *coglioni*, żeby tak do mnie podejść.

– Najmocniej pana przepraszam, sir.

Levin wraca do stolika.

– No dobra. Najadłem się wstydu.

Malone zauważa, że chłopak przyjął to dobrze i śmieje się z siebie. A w dodatku nie skrewił. Trzech gangsterów w towarzystwie kobiet, a on do nich podszedł. To coś o nim mówi.

Russo podnosi szklankę.

– Za ciebie, Levin.

– Czy to naprawdę był Lou Savino? – pyta Levin.

– A co, myślisz, że wynajęliśmy aktorów? To on.

– Znacie go?

– Znamy go – odpowiada Malone. – A on zna nas. Działamy w tym samym interesie, tylko stoimy po dwóch stronach lady.

Kelner przynosi steki.

Kolejna zasada obowiązująca podczas wieczoru przy kręglach: zamawia się steki.

Wielki, czerwony, soczysty New York Strip, Delmonico albo Chateaubriand. Bo są dobre, bo należy je zamówić, a poza tym dlatego, że

jeśli jest się w tej samej restauracji, co gangsterzy, to trzeba pokazać, że je się mięso.

Policjanci dzielą się na dwie grupy: trawożerców i mięsożerców. Trawożercy żerują na drobnicy: biorą odsyp od laweciarzy, dostają za darmo kawę czy kanapkę. Biorą, co się trafi, i nie są agresywni. Mięsożercy to drapieżniki, zdobywają to, na czym im zależy – obrywy z narkotyków, pensja od mafii, gotówka. Wychodzą na polowanie i wracają ze zdobyczą. Dlatego kiedy cała załoga wychodzi gdzieś razem, należy ubrać się porządnie i jeść steki.

To ważne, bo niesie przekaz dla innych.

Można by to uznać za żart, ale to nie jest żart. Oni naprawdę patrzą, co się ma na talerzu. Jeśli zobaczą cheeseburgera, następnego dnia zaczną się gadanie:

– Widziałem Denny’ego Malone’a u Gallaghery i wiecie, co jadł? W życiu byście nie zgadli. Hamburgera.

Mafia uzna, że jesteś bankrutem albo tandeciarzem, albo jednym i drugim naraz, a każda z tych opcji wyśle do ich mózgu przekaz, że jesteś słaby, i zanim się obejrzysz, będą próbowali to wykorzystać. Oni też są drapieżnikami. Wybierają najsłabsze zwierzę w stadzie i nie ustają w pościgu.

Ale stek Malone’a jest doskonały – piękny New York Strip, na wpół surowy, z zimnym czerwonym środkiem. Zamiast pieczonych ziemniaków zamówił odsmażane i stertę zielonej fasolki. Dobrze jest wgryzać się w stek.

Jest mięsisty.

Solidny.

Prawdziwy.

To była słuszna decyzja, żeby ogłosić wieczór przy kręglach.

Big Montague z absolutną koncentracją wbija widelec w półkilogramowy Delmonico. W rzadkiej chwili zwierzeń powiedział kiedyś Malone'owi, że wychował się w domu, gdzie mięso było rzadkim przysmakiem. W dzieciństwie jadał na śniadanie płatki z wodą zamiast z mlekiem, a był dużym dzieckiem i zawsze chodził głodny. Monty powinien zostać ulicznym zbirem. Ze swoimi gabarytami byłby doskonałym ochroniarzem i pomocnikiem jakiegoś dilerza średniego lub wyższego szczebla. Malone uważa jednak, że był na to za inteligentny. Monty zawsze potrafił dostrzec, co się czai za następnym rogiem, umiał przewidywać i już jako młody chłopak zdawał sobie sprawę, że handel narkotykami prowadzi do więzienia albo do trumny, i że tylko ci na samym szczycie piramidy zarabiają naprawdę duże pieniądze.

Ale widział też, że policjanci zawsze mają co jeść.

Nigdy nie widział głodnego policjanta.

Podszedł zatem do sprawy od drugiej strony.

W tamtych czasach policja wchłaniała czarnych kandydatów jak orzeszki ziemne wchłaniają sól. Przyjmowano każdego Afroamerykanina, który miał dwie nogi i widział na metr przed sobą. Nie oczekiwano, że czarny kandydat będzie miał iloraz inteligencji sto dwadzieścia sześć, ale Monty taki właśnie wynik uzyskał. Był wielki, inteligentny i czarny, toteż od pierwszego dnia było jasne, że nadaje się na detektywa.

Nawet policjanci, którzy nienawidzą czarnych, nie mogą odmówić mu zasług.

To jeden z najbardziej szanowanych gliniarzy w całym wydziale.

Prezentuje się rewelacyjnie w granatowym, szytym na miarę garniturze od Josepha Abbouda i jasnoniebieskiej koszuli. Czerwony krawat zasłonięty jest płócienną serwetką zatknietą pod szyją. Monty nie zamierza

ryzykować, że zaplamie koszulę za sto dolarów, i nic go nie obchodzi, jak to wygląda.

– Na co tak patrzysz? – pyta Malone’a.

– Na ciebie.

– A co we mnie jest takiego?

– Uwielbiam cię, stary.

Monty o tym wie. On i Malone nie opowiadają żadnych gównianych bzdur o tym, że są braćmi z dwóch różnych matek, hebanem i kością słoniową, ale są braćmi. Brat Monty’ego jest księgowym w Albany, drugi odsiaduje piętnaście do trzydziestu w Elmirze, ale Malone jest mu najbliższy.

To zupełnie naturalne – przez pięć lub sześć dni w tygodniu spędzają ze sobą co najmniej po dwanaście godzin i życie każdego z nich zależy od tego drugiego. To nie jest banał. Nigdy nie wiesz, co cię czeka za drzwiami, dlatego chcesz mieć ze sobą braci.

Nie dyskutuje się też o tym, czy to, że jest czarnym policjantem, sprawia jakąś różnicę. Oczywiście, że sprawia i już. Koledzy z pracy, z wyjątkiem jego braci, którzy tu siedzą, traktują go trochę inaczej, a tak zwana „lokalna społeczność” – jak aktywiści, wygadani kaznodzieje i miejscowi politycy dowcipnie nazywają getto – uważa go albo za potencjalnego sojusznika, który powinien im pomóc, albo za zdrajcę. Widzą w nim wuja Toma albo ciasteczko Oreo, z wierzchu czarne, ale w środku białe.

Monty o to nie dba.

Wie, kim jest: człowiekiem, który próbuje utrzymać rodzinę, wychować dzieci i wyrwać je w cholerę z tej społeczności, w której każdy gotów jest okraść, oszukać i zabić drugiego za porcję marihuany.

A każdy z jego braci siedzących przy tym stoliku gotów byłby zginąć za drugiego.

Malone powiedział kiedyś, że nie powinno się nigdy mieć za partnera kogoś, kogo nie odważyłbyś się zostawić samego ze swoją rodziną i z wszystkimi swoimi pieniędzmi. Gdyby zostawił rodzinę i pieniądze pod opieką któregokolwiek z siedzących tu mężczyzn, po powrocie zastałby rodzinę roześmianą, a pieniędzy by przybyło.

Zamawiają deser – ciasto czekoladowe, szarlotkę z wielkimi kawałami sera cheddar i sernik z wiśniami. Potem kawę z brandy albo z sambucą.

Malone uznaje, że Levinowi coś się od nich należy, więc mówi:

– Nieśmiertelny Harry był świetny, ale skoro już mówimy o martwych ciałach, to...

– Nie rób tego – przerywa mu Russo, ale już zaczyna się śmiać.

– To co? – pyta Levin.

Monty też się śmieje, bo zna tę historię.

– Nie – mówi Malone.

– No mów.

Malone patrzy na Russa, który kiwa głową.

– To było w czasach, kiedy obydwaj z Russem wciąż siedzieliśmy w mundurkach na Szóstce. Mieliśmy takiego sierżanta...

– Brady’ego.

– Brady’ego, który lubił mnie, ale z jakiegoś powodu nie znosił Russa. W każdym razie Brady lubił się napić i często musiałem go podwozić do White Horse, żeby zatankował. Potem znów po niego jechałem i przywoziłem na komisariat, gdzie odsypiał. – Przerwał na moment. – Pewnego wieczoru dostaliśmy zawiadomienie o znalezieniu trupa. A w tamtych czasach mundurowy musiał zostać przy ciele, dopóki na miejsce nie dotarł lekarz. Była cholernie zimna noc, poniżej zera, i Brady pyta mnie: „Gdzie Russo?”. A ja mu mówię, że na posterunku. On na to: „Ściągnij go tutaj, do tego denata”. Dobrze brzmi, nie? Mam ściągnąć go

z mrozu do budynku. Ale Brady dobrze wiedział, że Phil... – Malone znów zaczyna się śmiać. – W tamtych czasach Russo śmiertelnie bał się trupów.

– Sztywniał ze strachu, jeśli można tak powiedzieć – dodaje Monty.

– Odpieprzcie się obydwaj.

– Więc próbowałem przekonać Brady’ego, żeby tego nie robił – mówi dalej Malone. – Bo wiedziałem, że Russo w takich sytuacjach zachowuje się jak cipa i może zemdleć albo coś w tym rodzaju, ale Brady nie chciał o tym słuchać. Russo i nikt inny. Ujął to tak: „Powiedz mu, żeby przywłókł tu tę swoją cholerną dupę i został przy ciele”. To była kamienica w pobliżu Washington Square. Ciało znaleziono w łóżku na pierwszym piętrze i było jasne, że śmierć nastąpiła z naturalnych przyczyn.

– To był stary pedał – wtrąca Russo. – Właściciel kamienicy. Mieszkał sam i dostał w łóżku ataku serca.

Malone mówi dalej:

– Zostawiłem tam Russa i wciąż czekam pod White Horse. Brady wychodzi w porozpinanym mundurze i każe mi się zawieźć do domu denata. Po pięciu sekundach od wyjścia z baru, już w samochodzie, wyciąga flecik.

– Co to jest flecik? – pyta Levin.

– Butelka po coli z alkoholem w środku – wyjaśnia Monty.

– Jedziemy – ciągnie Malone. – Russo stoi przy wejściu i odmraża sobie jaja. Brady dostaje małego rozumu i wrzeszczy do Phila: „Mówiłem przecież, durniu, żebyś został przy ciele! Zabieraj dupę do środka, szoruj na górę i zostań tam, bo podam cię do raportu”. Więc Russo wraca do środka, a my wracamy do baru. To znaczy Brady tankuje, a ja czekam w aucie. I nagle słyszę przez radio wezwanie 10-10, czyli padły strzały, i słyszę adres. Ten sam adres, przy którym mieszka nasz denat.

– O kurwa – mówi Levin z zachwytem.

– To samo pomyślałem. Wbiegam do baru, znajduję Brady’ego i mówię, że mamy problem. Jedziemy tam, pędzimy na górę po tych cholernych schodach i widzimy Russa z pistoletem w ręku, a denat siedzi wyprostowany na łóżku. Phil wpakował mu dwie kule w pierś.

Malone śmieje się tak bardzo, że dopiero po chwili z trudem wypowiada następne słowa:

– Wiesz... co się stało? W ciele... zaczęły się zbierać gazy i wtedy... dzieją się dziwne rzeczy. Trup usiadł, a Russo... tak się przestraszył... że strzelił do niego dwa razy...

– Zobaczyłem przed sobą pieprzone zombie – mówi Russo. – I co, kurwa, miałem zrobić?

– No ale teraz mamy prawdziwy problem – ciągnie Malone. – Bo gdyby ten facet nie był już martwy, to Russo odpowiadałby nie tylko za nieuzasadnione użycie broni, ale też za zabójstwo.

– Wystraszyłem się jak cholera – mówi Russo.

Ramiona Monty’ego trzęsą się ze śmiechu, po jego policzkach spływają łzy.

– Brady pyta: „Jesteś pewien, że ten facet był martwy?” – ciągnie Malone. – Mówię, że tak, jestem zupełnie pewien. A on dalej: „Zupełnie pewien? Co to, kurwa, znaczy?”. A ja na to: „Nie wiem... no, nie miał tętna”. A na to Brady: „No jasne, że nie miał tętna, skoro Russo wpakował mu dwie kule w pierś!”.

– I co zrobiliście? – pyta Levin.

– Dyżurnym lekarzem był Brennan, najbardziej leniwy z nich wszystkich. Dali mu tę robotę, żeby nie musiał się zajmować żywymi ludźmi. Przyszedł, popatrzył, potem spojrzął na Russa i pyta: „Zastrzeliłeś trupa?”. Phil cały się trzęsie i mówi: „Więc on już nie żył?”. A Brennan na to: „Chyba żartujesz. Naprawdę nie wiesz? Wykorkował trzy godziny przed

tym, zanim go zastrzeliłeś. Ale jak mam, do cholery, wyjaśnić te dwie kule w jego piersi?”.

Monty ociera sobie policzek serwetką.

– I muszę powiedzieć, że wtedy Brady zasłużył na swoje belki – opowiada Malone. – Bo powiedział do Brennana: „To będzie wymagało od ciebie mnóstwa roboty. Raporty, dochodzenie. Być może będziesz musiał świadczyć w sądzie...”. Brennan na to: „A może sobie tego wszystkiego oszczędzimy? Przyjedzie samochód, wsadzimy go do worka, ja stwierdzę, że śmierć nastąpiła z naturalnych przyczyn, a Russo kupi sobie nowe gacie”.

– Niesamowite – mówi Levin.

Lou Savino i jego towarzysze zbierają się do wyjścia. Savino kiwa głową do Malone’a, który odpowiada mu tym samym.

Pieprzyć Biuro Spraw Wewnętrznych.

Gdyby gangsterzy nas nie znali i nie okazywali nam szacunku, to by znaczyło, że nie robimy tego, co do nas należy.

Rachunek wynosi ponad pięćset dolarów, albo raczej wynosiłby, gdyby go wypisano.

Kelnerka przynosi im rachunek na kwotę zero, ale kładzie go na stoliku na wypadek, gdyby ktoś ich obserwował. Malone podaje jej kartę kredytową, a gdy dziewczyna wraca, udaje, że podpisuje kwit.

Zostawiają na stole dwie setki.

Nigdy nie należy zrażać do siebie obsługi.

Po pierwsze, to nieładnie. Po drugie, rozniosą się plotki, że jesteś tandeciarzem, a tobie zależy na tym, żeby na twój widok każdy kelner mówił: to ja chcę go obsłużyć.

W ten sposób zawsze dostaje się stolik.

A jeśli nie jest się z żoną, nikt tego nie zauważy i nie będzie pamiętał.



Nigdy nie wystawia się kelnerów do wiatru ani nie bierze się reszty z dwudziestki, bez względu na to, czy jest się w barze, czy w sklepie spożywczym.

To dobre dla trawożerców, a nie dla detektywów z Da Force.

To po prostu koszty prowadzenia biznesu.

Jeśli masz coś przeciwko temu, to wracaj do patrolowania ulic.

Malone zostawia napiwek i wzywa samochód.

Na wieczór przy kręglach zawsze ściągają z miasta samochód z kierowcą.

Bo wiedzą, że urzną się jak świnie, a nikt nie chce sobie zepsuć zabawy oskarżeniem o prowadzenie samochodu pod wpływem alkoholu, w razie gdyby jakiś żółtodziób zatrzymał ich i wypisał raport, zanim się zorientuje, co jest co.

Połowa mafiosów z Nowego Jorku posiada firmy wynajmu samochodów, bo to są dobre pralnie pieniędzy, nie ma zatem problemu, żeby grzecznościowo skorzystać z usług którejś z nich. Oczywiście kierowca dokładnie opowie swojemu szefowi, gdzie pojechali i co robili, ale nie dbają o to. Nie niesie to żadnych konsekwencji, bo żaden kierowca nie wysypie ich przed Biurem Bezpieczeństwa Wewnętrznego ani nawet nie przyzna się, że ich wiozł. A jeśli jakiś gangster się dowie, że się uchłali i poszli na dziwki, kogo to obchodzi? To żadna nowina.

Oczywiście firmy wynajmu samochodów wiedzą, że nie należy im podsyłać Rosjan, Ukraińców ani Etiopczyków. Zawsze jest to Włoch, który wie, co jest grane, i wie, że powinien mieć uszy szeroko otwarte, a gębę zamkniętą.

Dzisiaj kierowcą jest Dominic, pięćdziesięcioletni „współpracownik” mafii, który woził ich już wcześniej. Wie, że dostanie wielki napiwek, i lubi, kiedy do jego samochodu wsiadają faceci

w ubraniach Armaniego, Bossa i Abbouda. Zatrzymuje samochód tuż przy krawężniku, żeby klienci nie zmoczyli sobie butów Gucciego, Ferragamo i Magliego. To dżentelmeni – potraktują jego samochód z szacunkiem, nie zarzygają go, nie będą jedli śmierdzących fast foodów, palić śmierdzących narkotyków ani kłócić się ze swoimi kobietami.

Wieżie ich do Madeleine przy Dziewięćdziesiątej Ósmej i Riverside.

– Będziemy tu co najmniej dwie godziny. – Malone wsuwa mu pięćdziesiątkę. – Możesz iść na kolację.

– Proszę po prostu zadzwonić – odpowiada Dominic.

– Co to za miejsce? – pyta Levin.

– Słyszałeś, jak opowiadaliśmy o Madeleine – wyjaśnia Malone. – To właśnie jest Madeleine.

– Burdel?

– Można to tak nazwać.

– No nie wiem – mówi Levin. – Amy i ja, wiecie, spiamy tylko ze sobą.

– Założyłeś jej obrączkę na palec? – pyta Russo.

– Nie.

– To o co chodzi?

– Wiecie co, ja chyba pójdę do domu – odpowiada Levin.

– To się nazywa wieczór przy kręglach – wyjaśnia Monty. – A nie kolacja przy kręglach. Idziesz z nami.

– Chodź na górę – mówi Malone. – Możesz posiedzieć. Jeśli nie chcesz wziąć sobie kobiety, to w porządku, nie musisz. Ale idziesz z nami.

Madeleine jest właścicielką całej kamienicy, ale prowadzi interes bardzo dyskretnie, żeby sąsiedzi nie wtykali nosa w nie swoje sprawy. Zresztą teraz przeważnie obsługuje klientów w innych miejscach, a w tym budynku odbywają się tylko małe przyjęcia i przyjmuje się specjalnych gości. Nie ma też prezentacji dziewcząt po wejściu – mężczyźni wybierają je online.

Madeleine wita Malone'a przy drzwiach i całuje go w policzek.

Wznosili się razem. Ona wciąż przyjmowała klientów, gdy on nosił mundur. Któregoś wieczoru, gdy wracała do domu przez Straus Park, jakiś dupek próbował ją nagabywać, a policjant w mundurze – by tak powiedzieć – zainterweniował, to znaczy uderzył durnia pałką po głowie, a potem, dla podkreślenia wagi przekazu, dołożył jeszcze parę kopniaków w nerki.

– Czy chce pani wniesć oskarżenie? – zapytał.

– Wydaje mi się, że pan właśnie to zrobił – odpowiedziała.

Od tamtej pory są przyjaciółmi i wspólnikami w interesach. On ją ochrania i podsyła klientów, ona w zamian gości całą jego załogę oraz pozwala mu zajrzeć do swojego czarnego notesika i sprawdzić, czy ma jakichś klientów, którzy mogliby mu się na coś przydać. W domu Madeleine Howe nigdy nie ma nalotów, jej dziewczyny nie dostają pogroźek ani nie są nękanie, a w każdym razie takie rzeczy nigdy nie trwają długo i nigdy się nie powtarzają. Nie zdarza się też, żeby klient zniknął, nie płacąc.

Malone zajmuje się również tymi rzadkimi przypadkami, gdy jakaś dziewczyna zaczyna się stawiać i próbuje zaszantażować klienta. Odwiedza ją, wyjaśnia prawne konsekwencje tego, co ona zamierza zrobić, a potem opisuje, jak wygląda więzienie dla kobiet i co może tam spotkać bardzo atrakcyjną, rozpieszczoną dziewczynę. Ostrzega także, że jeśli zakuje ją w kajdanki, to już nigdy w życiu nie dostanie od mężczyzny innej bransolety. Zwykle dziewczyna wybiera proponowany jej bilet lotniczy.

Toteż mężczyźni, którzy figurują w czarnym notesie Madeleine – biznesmeni z wyższej półki, politycy, sędziowie – czy o tym wiedzą, czy nie, również są chronieni przez Da Force. Ich nazwiska nie pojawiają się w nagłówkach na pierwszej stronie *Daily News*, nie mewają też głupich pomysłów. Kilka razy zdarzyło się, że Malone czy Russo musieli

porozmawiać z jakimś menedżerem funduszu hedgingowego albo z wschodzącą gwiazdą polityki, która zakochała się w jednej z dziewczyn Madeleine, i wyjaśnić mu, że tak się nie robi.

– Ale ja ją kocham – powiedział im kiedyś potencjalny kandydat na gubernatora. – A ona kocha mnie.

Miał zamiar porzucić żonę, dzieci i karierę i założyć palarnię kawy w Kostaryce z kobietą, która jak sądził, miała na imię Brooke.

– Ona dostaje pieniądze za to, żebyś tak myślał – powiedział mu Russo. – To jej praca.

– Nie, to co innego – upierał się zakochany polityk. – To prawdziwe uczucie.

– Nie pogrążaj się – odrzekł Malone. – Bądź mężczyzną. Masz żonę i dzieci. Masz rodzinę. To jedno. A drugie? Nie zmuszaj mnie, żebym przywołał tę twoją Brooke do telefonu, bo usłyszysz, że masz fiuta jak ołówkę, śmierzący oddech i że ostatnim razem prosiła Madeleine, by wysłała kogoś innego.

Madeleine zaprasza ich do środka. Jadą małą windą na górę, do urządzonego ze smakiem apartamentu.

Kobiety, które na nich czekają, są olśniewające.

I takie być powinny przy cenie dwóch tysięcy dolarów za spotkanie.

Levinowi oczy wychodzą z głowy.

– Spokojnie, Student – mówi Russo.

– Wybrałam wam towarzyszkę, opierając się na waszych poprzednich preferencjach – mówi Madeleine. – Ale jeśli chodzi o waszego nowego kolegę, musiałam zgadywać. Mam nadzieję, że Tara cię zadowoli. Jeśli nie, możemy wybrać kogoś innego.

– Jest piękna – mówi Levin. – Ale ja nie będę brał udziału...

– Możemy po prostu wypić kilka drinków i porozmawiać – mówi do niego Tara.

– O, to świetnie.

Tara prowadzi go do baru.

Dziewczyna Malone’a używa imienia Niki. Jest wysoka i długonoga, ma włosy podobne do Veroniki Lake i chłodne błękitne oczy. Siadają. Malone pije szkocką, a ona brudne martini. Rozmawiają przez kilka minut, a potem dziewczyna prowadzi go do sypialni.

Ma na sobie obcisłą czarną sukienkę z głębokim dekoltem. Zdejmuje ją, odsłaniając czarną bieliznę. Malone lubi taką bieliznę, a Madeleine o tym wie.

– Chcesz czegoś wyjątkowego? – pyta.

– Ty sama jesteś wyjątkowa.

– Maddy mówiła, że umiesz czarować.

Zaczyna zdejmować buty na niebotycznym obcasie, ale Malone ją powstrzymuje.

– Zostaw je.

– Chcesz, żebym cię rozebrała, czy...

– Sam to zrobię.

Wiesza ubranie na wieszakach, które Madeleine przygotowała, żeby żonaci klienci nie musieli wracać do domu w pomiętych garniturach.

Wyjmuje pistolet z kabury i kładzie go pod poduszką.

Niki obrzuca go znaczącym spojrzeniem.

– Nigdy nie wiadomo, kto może stanąć w drzwiach – mówi Malone. – To nie jest fetysz. Jeśli masz coś przeciwko temu, poproszę o inną dziewczynę.

– Nie. Podoba mi się to.

Dostarcza mu przeżycia wartego dwa tysiące dolarów.

W osiemdziesiąt minut dookoła świata.

Potem Malone ubiera się, znów wkłada pistolet do kabury i zostawia na stole pięć studolarowych banknotów. Niki wkłada sukienkę, bierze pieniądze i pyta:

– Kupić ci drinka?

– Jasne.

Wracają do salonu. Monty i jego dziewczyna, czarna i niemożliwie wysoka, już tam są. Russo jeszcze nie skończył, ale to jest właśnie Russo.

– Jem powoli, piję powoli i kocham powoli – powiedział kiedyś. – Delektuję się.

Levina nie ma przy barze.

– Nowy nawiał? – pyta Malone.

– Poszedł do pokoju z Tarą – mówi Monty. – Jak to powiedział Oscar Wilde, „potrafię się oprzeć wszystkiemu oprócz pokusy”.

Russo w końcu wychodzi z pokoju z brunetką o imieniu Tawny, która zdaniem Malone’a przypomina Donnę. Klasyka, myśli Malone. Facet zdradza żonę z kobietą do niej podobną.

Po kilku minutach pojawia się Levin. Wydaje się nieco pijany, bardzo onieśmielony i bardzo dokładnie wypieprzony.

– Tylko nie mówcie Amy – prosi.

Wybuchają śmiechem.

– Nie mówcie Amy! – powtarza Russo, otaczając ramieniem barki Levina. – Ten dzieciak, ten pieprzony dzieciak rzuca się na dżamala na klatce schodowej jak Batman i omal nie zostaje postrzelony, potem rozwała na nim drążek gimnastyczny, potem idzie zaarrestować Lou Savina w obecności jego kobiet i cyngli w samym środku Gallagher, potem zamacza fiuta w cipce za tysiąc dolarów, wychodzi i mówi: „Nie mówcie Amy!”.

Wszyscy znów zanoszą się śmiechem.

Russo całuje Levina w policzek.

– Co za dzieciak! Uwielbiam tego dzieciaka!

– Witaj w drużynie – mówi Malone.

Wypijają jeszcze jednego drinka, a potem czas już się zbierać.

Kobiety jadą z nimi na Sto Dwudziestą Siódmą przy Lenox.

Klub nazywa się Cove Lounge.

– Dlaczego słuchasz tej czarnej muzyki? – w drodze Russo pyta Malone’a.

– Bo pracujemy z czarnymi – odpowiada Malone. – A poza tym podoba mi się.

– Monty, tobie się podoba to hipopowe gówno?

– Nienawidzę tego – odpowiada Monty. – Ja słucham Buddy’ego Guya, BB, Evelyn „Champagne” King.

– Ile wy, ludzie, macie lat? – wzdycha Levin.

– No, a ty kogo słuchasz? – odpowiada Malone. – Matisyahu?

Zatrzymują się przed Cove. Kolejka na zewnątrz zauważa limuzynę i wyciąga szyje, żeby zobaczyć, kto wysiada, spodziewając się jakiejś gwiazdy hip-hopu. Gdy z samochodu wysiada dwóch białych, w kolejce budzi się wyraźne niezadowolenie.

Potem jeden z nich rozpoznaje Malone’a.

– To gliny! – wrzeszczy. – Hej, Malone, ty skurwysynu!

Bramkarz wpuszcza ich do środka bez kolejki. Wewnątrz niebieskie i purpurowe światła pulsują w rytmie muzyki.

Poza tym widać tu jeszcze tylko kolor czarny.

W klubie jest dokładnie osiem osób, które nie są czarne, wliczając w to Malone’a, Russa, Levina i ich dziewczyny.

Wszyscy się na nich gapią.

Ale dostają stolik.

Hostessa – niewiarygodnie piękna czarna kobieta – prowadzi ich prosto do umieszczonej nieco wyżej sekcji dla VIP-ów i wskazuje miejsca.

Po chwili pojawiają się przed nimi cztery butelki piwa Cristal.

– Z pozdrowieniami od Tre – mówi hostessa. – Prosił, żeby wam przekazać, że tutaj nie bierzemy waszych pieniędzy.

– Proszę mu podziękować – odpowiada Malone.

Tre oficjalnie nie jest właścicielem klubu. Ten raper i producent muzyczny z dwoma wyrokami na koncie nie dostałby licencji na sprzedaż alkoholu, nawet gdyby próbował ją wymusić z wyrzutnią raketową w rękę, ale tak naprawdę jest właścicielem klubu. Teraz patrzy na Malone’a z góry, z wyniesionej platformy w części sekcji dla VIP-ów, i unosi szklanę.

Malone również unosi szklanę.

Ludzie to widzą.

To uspokaja atmosferę.

Skoro biali gliniarze są w dobrych stosunkach z Tre, to wszystko w porządku.

– Znasz Tre? – pyta Niki. Wyraźnie jej to imponuje.

– Tak, trochę.

Ostatnim razem, gdy policja chciała pogadać z Tre, Malone przyprowadził go osobiście – bez kajdanek, bez eskorty, bez kamer.

Tre był mu wdzięczny za ten dowód szacunku.

Zaczął podsyłać Malone’owi zlecenia w ochronie. Jeśli to coś ważnego, Malone zajmuje się nimi osobiście albo bierze do towarzystwa Monty’ego. Rutynowe sprawy przekazuje innym policjantom z Manhattan Północ, którzy są mu wdzięczni za dodatkowe pieniądze.

A Tre kręci to, że zatrudnia policjantów rasistów. Wysyłał ich po kawę, ciastka i temu podobne, dopóki Malone się o tym nie dowiedział.



– To jest policja miasta Nowy Jork. Oni są tu po to, żeby chronić twoją dupę – powiedział do Tre. – Jeśli chcesz coś zjeść, to wyślij któregoś ze swoich przybocznych.

Teraz Tre podchodzi i siada obok Malone’a.

– Witaj w dżungli.

– Ja tu mieszkam – odpowiada Malone. – To ty mieszkasz w pieprzonym Hamptons.

– Powinieneś nas kiedyś odwiedzić.

– Dobrze, dobrze.

– Przyjedź na imprezę – mówi Tre. – Moja pani cię lubi.

Jego czarna skórzana kurtka musiała kosztować kilka kawałków, a zegarek Piageta o wiele więcej.

W muzyce, w klubach są pieniądze.

– Czarni czy biali, pieniądze zawsze są zielone – mawia Tre.

A teraz pyta Malone’a:

– Kto ma mnie chronić przed policją? Czarne chłopaki nie mogą już chodzić po ulicach, bo gliniarze do nich strzelają. Zwykle w plecy.

– Michaela Bennetta trafili w pierś.

– Ja słyszałem co innego – odpowiada Tre.

– Jeśli chcesz się bawić w Jesse’ego Jacksona, to proszę bardzo – mówi Malone. – Jak masz jakieś dowody, to je zgłoś.

– Do NYPD? Żeby je wyprali na białe?

– Czego ode mnie chcesz, Tre?

– Niczego – mówi Tre. – Ja cię tylko ostrzegam.

– Wiesz, gdzie mnie znaleźć.

– Wiem. A na razie zrób sobie dobrze.

Sięga do kieszeni, i nim odejdzie, podaje mu blanta wielkości cygara.

Malone podnosi go do nosa.

– Jezu, kurwa.

– Zapal go – mówi Niki.

Malone zapala, pociąga raz i podaje blanta Niki. Towar pierwsza klasa, myśli. Ale z drugiej strony co innego mógłby mu dać Tre? Słodki, łagodny, energetyzujący. Więcej sativy niż indiki. Blant krąży dokoła stołu, aż dochodzi do Levina.

Levin podnosi wzrok na Malone’a.

– No co? – mówi Malone. – Nigdy nie paliłeś trawy?

– Odkąd jestem w policji, to nie.

– Ale my nikomu nie powiemy.

– A jak pójdę na badania?

Śmieją się z niego.

– Nikt ci jeszcze nie powiedział o dyżurnym sikaczu? – pyta Russo.

– A co to jest?

– Nie co, tylko kto – poprawia go Monty. – Bryan Mulholland.

– Ten facet, który sprząta szatnie? – pyta Levin. – Mysz Domowa?

Prawie każdy komisariat ma kogoś takiego – policjanta, który nie nadaje się do służby na ulicach, ale nie może jeszcze odejść na emeryturę. Trzyma się go w budynku, gdzie sprząta i pełni rolę chłopca na posyłki. Mulholland był dobrym gliniarzem do czasu, gdy odpowiadając na wezwanie, znalazł dziecko, które „wpadło” do wanny z wrzątkiem. Potem zaczął zaglądać do butelki, ale to go pogrążyło jeszcze bardziej. Malone przekonał kapitana w Trzydziestce Dwójce, żeby zatrzymał go w robocie i ukrył pod postacią Myszy Domowej.

– On jest nie tylko Myszą Domową. Jest też Dyżurnym Sikaczem – wyjaśnia Russo. – Jak dostaniesz wezwanie na testy, Mulholland nasika do torebki za ciebie. Twoje siuski mogą się składać z samego THC, ale w badaniach wyjdiesz czysty.

Levin pociąga blanta i podaje go dalej.

– To mi przypomina następną historię – mówi Malone, spoglądając na Monty’ego.

– Pieprzę was wszystkich – reaguje Monty.

– Nasz Montague – ciągnie niezrażony Malone – miał podejść do testów sprawnościowych. A nie jest przecież, jak by to powiedzieć... niedożywiony.

– I wasze matki też – dodaje Monty.

– Chcę tylko powiedzieć, że Monty nie potrafi nawet przejść jednej mili, nie mówiąc już o tym, żeby ją przebiec i zmieścić się w limicie czasowym.

Więc co zrobił Monty?

Monty podnosi rękę.

– Był taki nowy na komisariacie, przystojny i elegancki młody afroamerykański dżentelmen, którego nazwiska nie będziemy tu wymieniać...

– Grant Davis – uzupełnia Russo.

– ...który był gwiazdą lekkoatletyki na Uniwersytecie Syracuse – kończy Monty.

– Był nawet na testach u Dolphins – dodaje Malone.

– Była okazja upiec dwie pieczenie na jednym ogniu – mówi Monty. – Po pierwsze, żeby ja zaliczył testy sprawnościowe, a po drugie, żeby dowieść, że w policji nie potrafią odróżnić jednego czarnego od drugiego, a w dodatku nikogo to nie obchodzi.

Malone podejmuje wątek.

– Więc Monty błysnął swoją wielką złotą odznaką i przekonał tego nowego, żeby wziął jego papiery i poszedł za niego na testy. Chłopak był przerażony i chyba przez to biegł jeszcze szybciej, bo pobił rekord departamentu na dystansie jednej mili.

– Nie przyszło mi do głowy podpowiedzieć mu, żeby trochę zwolnił – mówi Monty.

– Ale nikt się nie zorientował – ciągnie Malone.

– Co tylko dowodzi, że miałem rację.

– Aż do czasu – ciągnie Malone – kiedy jakiś geniusz w Komendzie Głównej postanowił poprawić stosunki między strażakami a policją, urządzając towarzyski mityng lekkoatletyczny.

Levin spogląda na Monty’ego z szerokim uśmiechem.

Monty kiwa głową.

– Ten komendant wyciągnął wyniki testów, zobaczył, że detektyw William Montague ma czas na jedną milę zbliżony do olimpijczyków, i pomyślał, że ma murowanego kandydata na zwycięzcę – mówi Malone. – Wszystkie grube ryby z Komendy Głównej zaczęły stawiać pieniądze przeciwko swoim braciom ze straży pożarnej.

– A tamci przyjmowali zakłady – mówi Russo. – Bo prawie nikt z nich nie znał prawdziwego Williama J. Montague’a i zdawało im się, że mają pewniaka.

– I mieli pewniaka – mówi Malone – bo w żaden sposób nie dało się podstawić fałszywego Monty’ego za prawdziwego w obecności wszystkich gliniarzy i strażaków, którzy go znali. Monty zaczął trenować, to znaczy palił jedno cygaro dziennie mniej i nie używał tyle sosu do barbecue. I w końcu nadszedł wielki dzień. Idziemy do Central Parku, a tam departament straży pożarnej przygotował niespodziankę w postaci stażysty z Iowa, który był mistrzem konferencji Big Ten w biegu na milę. Ten chłopak...

– Był biały – wtrąca Monty.

– Wyglądał jak pieprzony grecki bóg. Jak grecka rzeźba. A Monty przyszedł w szortach w kratkę, z brzuchem opiętym T-shirtem i z cygarem

w ustach. Komendant popatrzył na niego, o mało się nie zesrał i zaczyna krzyczeć: „Coś ty, kurwa, ze sobą zrobił! Ile można zjeść przez miesiąc?”. Cała góra postawiła tysiące dolców na ten bieg i teraz są załamani. Ale co mogli na to poradzić? Idą na start. Pistolet wypala i przez chwilę wydaje mi się, że komendant postrzelił Monty’ego. Monty rusza...

– Jeśli można to tak nazwać – mówi Russo.

– Robi pięć kroków – ciągnie Malone – i przewraca się.

– Ściągnę podkolanowe – wyjaśnia Monty.

– Te szympansy ze straży zaczynają podskakiwać – mówi Malone. – Gliniarze klną i oddają pieniądze. Monty leży na ziemi i trzyma się za nogę, a my przewracamy się ze śmiechu.

– Ale chyba sporo przegraliście? – mówi Levin.

– Co ty, kurwa, żartujesz? – odpowiada Russo. – Kazałem mojemu kuzynowi Ralphiemu ze straży postawić nasze pieniądze przeciwko temu Usainowi Beczce, więc wyszliśmy na swoje. A komendant był wściekły. Słyszałem, jak mówił: „W całym Harlemie jest tylko jeden powolny czarnuch, i akurat mnie się musiał trafić”.

Levin spogląda na Monty’ego, sprawdzając, jak zareagował na „czarnucha”.

– O co chodzi? – pyta go Monty.

– No wiesz, o to słowo na „c” – odpowiada Levin

– Nie znam żadnego słowa na „c” – mówi Monty. – Znam tylko słowo „czarnuch”.

– I nie masz nic przeciwko temu?

– Nie mam nic przeciwko temu, gdy mówi tak Russo. Albo Malone. Może kiedyś ty też będziesz mógł tak mówić.

– Jak to jest być czarnym policjantem? – pyta go Levin.

Malone krzywi się. Są dwie opcje: Monty może wybuchnąć albo rozpocząć wykład.

– Jak to jest? – powtarza Monty. – Nie wiem. A jak to jest być żydowskim policjantem?

– Inaczej – odpowiada Levin. – Ale kiedy ja się pokazuję na ulicy, Żydzi nie zaczynają mnie nienawidzić.

– Sądzisz, że czarni mnie nienawidzą? – mówi Monty. – Niektórzy tak. Niektórzy nazywają mnie Tomem, domowym murzynem. Ale większość czarnych uważa, że jestem po to, żeby ich chronić, czy o tym mówią, czy nie.

– A w robocie? – nie odpuszcza Levin.

– Są hejterzy w robocie – mówi Monty. – Hejterzy są wszędzie, ale w gruncie rzeczy większość gliniarzy nie widzi czarnych i białych. Widzą niebieskich i wszystkich innych.

– Ale większość ludzi uważa, że przez „wszystkich innych” rozumiemy czarnych – mówi Levin.

Zapada milczenie, a potem na wszystkich twarzach pojawiają się głupawe uśmiechy od mocnego ziała. Ten blant zupełnie zlasował im mózgi. Potem wstają i zaczynają tańczyć. Malone jest zaskoczony, bo zwykle nie tańczy, ale teraz tańczy, podryguje razem z Niki w gęstym tłumie klubowiczów, muzyka pulsuje w jego żyłach, wiruje w głowie. Obok niego Monty, supergość, spoko czarny gość, nawet Russo podniósł się i tańczy, wszyscy są na haju.

Tańczą w dżungli z całą resztą zwierząt.

Albo aniołów.

Zresztą kto by to, kurwa, odróżnił.

Odwożą Levina do domu na Zachodnią Osiemdziesiątą Siódmą przy West Endzie. Jego dziewczyna Amy nie wygląda na zachwyconą, gdy

wnoszą jej półprzytomnego chłopaka przez drzwi.

– Trochę za bardzo się odświeżył – mówi Malone.

– Chyba tak – odpowiada Amy.

Ładna dziewczyna.

Ciemne kręcone włosy, ciemne oczy.

Wygląda na inteligentną.

– Świątowaliśmy jego pierwsze zatrzymanie – mówi Russo.

– Szkoda, że do mnie nie zadzwonił – odpowiada Amy. – Lubię świętować.

Powodzenia, bystra Amy, myśli Malone. Gliniarze świętują z innymi gliniarzami. Nikt inny nie rozumie, co właściwie świętujesz.

To, że jeszcze żyjesz.

To, że zgarnąłeś złego faceta.

To, że masz najlepszą robotę na świecie.

To, że żyjesz.

Rzucają Levina na kanapę.

Jest nieprzytomny.

– Miło było cię poznać, Amy – mówi Malone. – Słyszałem o tobie same dobre rzeczy.

– Ja też – odpowiada Amy.

Odsyłają Dominica, żeby odwiózł dziewczyny, a sami wsiadają do samochodu Russa i jadą przez Lenox Avenue z otwartymi oknami i muzyką na pełny regulator, śpiewając na całe gardło razem z N.W.A.

Piosenka jest o nich. Czarnuch narzeka, że gliny wciąż grzebią mu w aucie, szukając towaru. Bo dla nich każdy czarny to diler.

Jadą tą starą ulicą, zimną ulicą, mijając kamienice, mijając osiedla.

Malone wychyla się przez okno.

N.W.A. zastanawia się, czy przypadkiem gliniarze to nie pedały, bo jak rewidują czarnego, to łapią go za jaja.

Russo wybucha demonicznym śmiechem i wszyscy wykrzykują wraz z N.W.A., co warto zrobić z policją.

Pierdolić ją.

Jadą przez dżungłę.

Upaleni, pijani, na haju.

Przez twardą szarość wczesnego poranka.

Wrzeszczą do nielicznych zdumionych przechodniów na chodnikach.

O tym, by pierdolić policję.

A także o pewnym marzeniu.

Marzeniu o sprawiedliwości.

A na koniec wszyscy razem wywrzaskują, że pierdolą jeszcze kogoś innego.

Czarnych skurwysynów.



## ROZDZIAŁ 9

Zgarniają go, gdy idzie w stronę swojego mieszkania.

Przed wejściem zatrzymuje się czarny samochód i wysiada z niego trzech facetów w garniturach.

Malone wciąż jest na haju i w pierwszej chwili myśli, że to przywidzenie. Nie potrafi skupić na nich wzroku i właściwie jest mu wszystko jedno. Zresztą to brzmi jak kiepski żart: trzech facetów w garniturach wysiadło z samochodu i...

Ta myśl nagle go otrzeźwia. To na pewno cyngle.

Ludzie Peny?

Savina?

Sięga po broń, ale jeden z tamtych pokazuje odznakę i przedstawia się jako agent specjalny O'Dell z FBI.

Wygląda na federalnego, myśli Malone. Krótkie jasne włosy, niebieskie oczy. Granatowy garnitur, czarne buty, biała koszula, czerwony krawat. Skurwysyńskie gestapo z Church Street.

– Sierzancie Malone, proszę wsiąść do samochodu – mówi O'Dell.

Malone wyciąga odznakę i odpowiada niewyraźnie:

– Jestem z policji, ty pierdolony posrańcu z Church Street. NYPD, prawdziwa policja, Manhattan Północ.

– Mamy pana zakuć w kajdanki tu, na ulicy, sierzancie Malone? – pyta O'Dell. – W pańskim rejonie?

– Zakuć mnie? Za co? – bełkocze Malone. – Za pijaństwo w miejscu publicznym? To teraz jest federalne przestępstwo? Chryste, pokazałem

wam przecież odznakę. Moglibyście okazać trochę zawodowej uprzejmości, co?

– Nie będę pana prosił po raz drugi.

Malone wsiada do samochodu.

Przez mgłę w jego umyśle przebija się lęk.

Lęk?

Nie, kurwa, to nie jest lęk. Przerazenie.

Bo nagle dociera do niego, że dowiedzieli się o akcji z Peną.

Od trzydziestu lat do dożywocia, ze znacznie większym prawdopodobieństwem dożywocia.

John będzie dorastał bez ojca. Caitlin pójdzie do ołtarza bez ciebie, a ty zgnijesz w federalnym więzieniu.

Przerazenie rozprasza mgłę alkoholu i marihuany. Malone czuje, że jego serce zaczyna podrygiwać, jakby ktoś przyłożył do niego kabel z prądem. Zbiera mu się na wymioty.

Bierze głęboki oddech i mówi:

– Jeśli chodzi o inspektorów i przełożonych, którzy przyjmują gotówkę i inne prezenty, to ja nic o tym nie wiem. To wykracza poza moje kompetencje.

Ja nic nie wiem.

Zupełnie jakby słyszał Grubego Teddy'ego.

– Ani słowa więcej, dopóki nie dojedziemy na miejsce – mówi O'Dell.

– To znaczy dokąd? Na Church Street?

Centrala FBI w Nowym Jorku.

Okazuje się, że jadą do hotelu Waldorf. Wchodzą bocznymi drzwiami, służbową windą wjeżdżają na szóste piętro i kierują się do apartamentu na końcu korytarza.

– Waldorf? – mówi Malone. – Dostanę czerwony torcik?

– Chcesz czerwony torcik? – pyta O’Dell. – Zadzwońię po obsługę. Jezu Chryste, jak ty wyglądasz. Coś ty porabiał? Gdybyśmy zrobili ci teraz badanie moczu, co by wyszło? Trawa? Koka? Deksedryna? Od razu byś stracił odznakę i pistolet.

Na stoliku stoi otwarty laptop. O’Dell wskazuje mu miejsce na kanapie.

– Siadaj. Napijesz się czegoś?

– Nie.

– Napijesz się – mówi O’Dell. – Wierz mi, będzie ci to potrzebne. Jameson, tak? Porządny Irlandczyk nie będzie przecież pił protestanckiej whisky. Nie dam bushmillsa komuś, kto nazywa się Malone.

– Przestań mnie wkurzać i powiedz wreszcie, o co tu chodzi – mówi Malone. Nie brzmi to tak spokojnie, jak chciałby, ale nic na to nie może poradzić. Nie zniesie kolejnej sekundy wyczekiwania na wyrok śmierci.

Pena.

Pena.

Pena.

O’Dell podaje mu whisky.

– Sierżant Dennis Malone. Jednostka Specjalna Manhattan Północ. Policjant bohater. Twój ojciec był gliniarzem, a brat strażakiem, stracił życie jedenastego września...

– Nie wycieraj sobie gęby moją rodziną.

– Byliby z ciebie bardzo dumni – mówi O’Dell.

– Nie mam czasu na taką gównianą gadkę. – Malone idzie do drzwi, a raczej zatacza się w stronę drzwi. Stopy ma jak z drewna, a nogi z galarety.

– Siadaj, Malone. Pooglądaj sobie trochę telewizję. – Te słowa wypowiada przysadzisty facet w średnim wieku, który siedzi w kącie na fotelu.

– A ty kim, kurwa, jesteś? – pyta Malone.

Przeciągaj sprawę. Przedłużaj, jak się da, aż do czasu, gdy w końcu uda ci się zebrać myśli. To nie jest żaden sen, to jest twoje życie. Jeden niewłaściwy ruch i masz z głowy całą resztę tego pieprzonego życia. Zaczynij wreszcie używać mózgu, tępy osłe.

– Stan Weintraub – mówi tamten. – Jestem śledczym w gabinecie prokuratora federalnego, Południowy Dystrykt Nowego Jorku.

FBI i Południowy Dystrykt, myśli Malone.

Sami federalni.

Nie żadni stanowi ani Biuro Spraw Wewnętrznych.

– Skoro już zmusiłeś mnie, żebym przyszedł do pracy tak wcześnie rano – mówi O'Dell – to teraz możesz przynajmniej usiąść i pooglądać ze mną telewizję.

Włącza odtwarzanie filmu na ekranie komputera.

Malone siedzi i patrzy.

Widzi na ekranie własną twarz. Marc Piccone podaje mu kopertę i mówi:

– Nagroda dla znalazcy za Grubego Teddy'ego.

– Dzięki.

– Możesz to wyprostować?

– A kto prowadzi?

– Justin Michaels.

– To pewnie mogę.

Innymi słowy, mają go jak na talerzu.

Słyszy, jak Piccone pyta:

– Ile?

– Mówimy o zmniejszeniu wyroku czy o umorzeniu?

– O wolnym wyjściu.

– Dziesięć do dwudziestu kawałków.

– Razem z twoją działką, tak?

– Tak, jasne.

Innymi słowy, złapany na gorącym uczynku.

Jak mógł być tak głupi i nie zachować ostrożności tylko dlatego, że było Boże Narodzenie? Co się, kurwa, z tobą dzieje? – myśli. Czy dopadli wcześniej Piccone i on cię wystawił, czy pilnowali właśnie ciebie?

Cholera, od jak dawna byłeś pod obserwacją? Co wiedzą? Czy chodzi tylko o Piccone, czy mają coś więcej? Skoro wiedzą o Piccone, to czy wiedzą też o obrywie z Grubego Teddy’ego? Wówczas Russo i Monty byliby ugotowani razem z tobą.

Ale nie chodzi o Penę, myśli.

Nie panikuj.

Bądź silny.

– Macie tu dowód, że wziąłem opłatę za pośrednictwo od obrońcy. Dobra, możecie mnie powiesić, ale szkoda na to sznura.

– To my o tym zdecydujemy – mówi Weintraub.

– Chciałem pomóc Baileyowi, żeby się wywinął – mówi Malone. – To mój informator.

– To znaczy, że ma założoną teczkę? – pyta O’Dell. – Możemy ją wyciągnąć i obejrzeć?

– On mi się bardziej przydaje żywy.

– Bardziej ci się przydaje jako źródło dochodu – stwierdza Weintraub.

– To nie ty prowadzisz tę sprawę – mówi O’Dell. – Ty siedzisz po uszy w gównie. Mamy na tej taśmie dosyć, żeby zabrać ci odznakę, broń, robotę i emeryturę.

– I zamknąć w federalnym więzieniu – dodaje Weintraub. – Pięć do dziesięciu lat.

– Z federalnego wyroku – uzupełnia O'Dell. – Odsiedzisz z tego osiemdziesiąt pięć procent.

– Serio? Nie miałem pojęcia.

– Chyba że wolisz pójść do więzienia stanowego razem z tymi, których sam tam wsadziłeś – mówi Weintraub. – Co ty na to?

Malone podnosi się i staje tuż przed Weintraubem.

– Chcesz tu zgrywać twardziela? Nic z tego. To nie twój poziom gry. Jak jeszcze raz zaczniesz mi grozić, to przepchnę cię przez tę ścianę.

– Nie będziemy się bawić w ten sposób, Malone – mówi O'Dell.

Owszem, będziemy, myśli Malone. Trzeba być twardym. Ci tutaj są tacy sami jak ćpuny na ulicy. Jeśli okażesz słabość, zjedzą cię żywcem.

– Czy jeszcze jacyś inni prokuratorzy oprócz Michaela sprzedają sprawy? – pyta Weintraub.

O'Dell nie wydaje się zadowolony. A zatem popełnili pierwszy błąd. Weintraub pokazał rękę – interesują ich prawnicy, a nie policjanci.

Namierzali Piccone, nie mnie.

Kurwa, od piętnastu lat udaje mi się unikać Biura Spraw Wewnętrznych, a teraz pakuję się w cudzy kociołek. Muszę się dowiedzieć, czy Piccone wie, czy nie.

– Zapytajcie Piccone.

– Pytamy ciebie – mówi Weintraub.

– Chcecie, żebyśmy nasikał na własne portki?

– Chcemy, żebyś odpowiedział na pytanie – mówi O'Dell.

– Skoro Piccone z wami współpracuje, to już znacie odpowiedź.

Weintraub zaczyna tracić cierpliwość.

– Czy w tym dystrykcie jacyś prokuratorzy sprzedają sprawy?!

– A jak sądzicie?

– Pytałem cię, co ty, do diabła, o tym sądzisz! – Weintraub pała świętym oburzeniem.

A zatem Piccone nie współpracuje. Pewnie jeszcze nie wie, że został gwiazdą filmu.

– Myślę, że wiecie – mówi Malone. – Ale myślę też, że nie chcecie wiedzieć. Mówicie, że chcecie wyczyścić całą stajnię, a skończy się na tym, że dopadniecie paru obrońców, z którymi macie na pieńku, a prokuratorzy i sędziowie prześlizną się na czysto. Jeśli uda wam się któregoś dorwać, będzie to pierwszy taki wypadek w historii.

– Wspomniałeś coś o sędziach? – pyta Weintraub.

– Dorośnij.

Weintraub nie odpowiada.

– Nie musimy rozmawiać w ten sposób – mówi O'Dell.

Nadeszła ta chwila, myśli Malone. Układ.

Ilu przestępcom sam proponowałem układ?

– Bierzesz pieniądze bezpośrednio od prokuratorów czy za pośrednictwem obrońców?

– A bo co?

– Bo jeśli bierzesz, założymy ci podsłuch – mówi O'Dell. – Nagrasz ich. Pieniądze przyniesiesz nam jako dowód.

– Nie jestem kapusiem.

– Słynne ostatnie słowa.

– Mogę iść siedzieć.

– Jestem pewny, że możesz – mówi O'Dell. – Ale co z twoją rodziną?

– Już mówiłem, zostawcie moją rodzinę w spokoju.

– Nie, to ty ich w to nie mieszaj – odpowiada O'Dell. – To ty ich w to wpakowałeś. Nie my. Jak się będą czuły twoje dzieci, kiedy się dowiedzą, że ich ojciec jest przestępcą? Jak się poczuje twoja żona? Co im powiesz,

kiedy zechcą pójść do college'u? Że nie mogą, bo wszystkie oszczędności poszły na obrońców, tatuś nie dostaje emerytury, a uniwersytet nie przyjmuje kuponów żywnościowych?

Malone nie odpowiada.

O'Dell jest niezły jak na federalnego. Wie, które guziki nacisnąć. Irlandzki katolik ze Staten Island miałby żyć z kuponów żywnościowych? Okryłby się wstydem na trzy pokolenia.

– Nie musisz odpowiadać mi teraz – mówi O'Dell. – Masz dwadzieścia cztery godziny. Zastanów się. Będziemy tutaj. – Podaje mu kawałek papieru. – To numer telefonu. W stu procentach bezpieczny. Jeśli zadzwonisz pod ten numer w ciągu najbliższej doby, umówimy cię na spotkanie z naszym szefem i zobaczymy, do czego uda nam się dojść.

– A jeśli nie zadzwonisz – dodaje Weintraub – to założymy ci kajdanki na komisariacie w obecności wszystkich twoich braci policjantów.

Malone nie bierze kartki.

O'Dell wsuwa mu ją do kieszeni koszuli.

– Zastanów się.

– Nie jestem kapusiem – powtarza Malone.

Idzie ulicą z nadzieją, że świeże powietrze rozjaśni mu w głowie i zacznie logicznie myśleć. Jest mu niedobrze od stresu, strachu, alkoholu i narkotyków. Uświadamia sobie, że te pieprzone dupki czekały. Wybrały cel i czekały, żeby go dopaść w chwili słabości, kiedy głowę miał mocno zmaconą.

To było dobre posunięcie. On sam też by tak zrobił.

Chodzi się za celem i próbuje dopaść go o świcie, gdy cel śpi. Zmienia się jego sny w koszmar, wydobywa wyznania, zanim cel się zorientuje, że budzik nie zadzwoni.



Tylko że te skurwysyny nie potrzebują od niego żadnego wyznania. Mają nagranie i proponują wyjście, jakie on sam proponował już tysiącom gangsterów: bądź moim informatorem, moim kapusiem. Wygrzebiesz się w ten sposób z dziury i wepchniesz do niej kogoś innego. Sądzisz, że w odwrotnej sytuacji oni nie zrobiliby tego samego tobie?

Sam to powtarzał setki razy.

I dziewięćdziesiąt dziewięć razy na sto to działało.

Dochodzi do południowej strony Central Parku i skręca na zachód w stronę Broadwayu, obok miejsca, gdzie kiedyś stał hotel Plaza. Trafiła mu się tu kiedyś najlepsza w życiu fucha w ochronie – pilnował sprzętu filmowego, który przyjechał wcześniej niż ekipa. Płacili mu za to, żeby siedział w apartamencie w hotelu Plaza, zamawiał sobie jedzenie do pokoju, oglądał telewizję i patrzył przez okno na piękne kobiety.

Jest już południe, wiosna, turyści nadciągają w pełnej sile. Malone słyszy dokoła siebie wszystkie języki świata – azjatyckie, europejskie, nowojorskie. To dla niego jeden z dźwięków miasta. Czuje się obco, dziwnie. Całe jego życie zmieniło się w ciągu ostatnich dwóch godzin, ale miasto dokoła dalej żyje tak jak wcześniej, ludzie zmierzają w swoją stronę, rozmawiają, siedzą w ogródkach, na chodnikach, jeżdżą dorożkami, zupełnie jakby świat Denny'ego Malone'a właśnie się zawalił.

Zmusza się, żeby napełnić płuca wiosennym powietrzem.

Uświadamia sobie, że federalni popełnili błąd.

Wypuścili go, pozwolili mu wyjść z pokoju, wyjść na świat i złapać perspektywę. Ja nigdy bym nie wypuścił podejrzanego, chyba że wezwałby prawnika, myśli Malone, a nawet wtedy próbowałbym go zatrzymać i nie pozwoliłbym mu się przekonać, że istnieje jakikolwiek świat oprócz mojej twarzy, jakiegokolwiek inne możliwości oprócz tych, które ja trzymam w ręku.

Ale oni to zrobili i trzeba z tego skorzystać.

Myśl.

No dobra, więc mogą cię wysłać na cztery do pięciu lat do federalnego więzienia, ale nie wiedzą, że ty możesz zniknąć, mówi sobie. Masz pieniądze odłożone właśnie na taką okoliczność. To była jedna z pierwszych rzeczy, jakich sam się nauczył, a potem nauczył tego swoich ludzi: trzeba odłożyć pierwsze dwadzieścia tysięcy w gotówce w miejsce, gdzie w razie wpadki łatwo będzie się do nich dostać. Dzięki temu zawsze będziesz miał pod ręką pieniądze na kaucję i na adwokata.

Może uda ci się z tego wypłatać, może trafisz na odpowiedniego prokuratora i na odpowiedniego sędziego. Zresztą to i tak jest główniane oskarżenie. Połowa sędziów działających w tym systemie natychmiast umorzyłaby tę sprawę, gdyby o niej wiedzieli. A nawet jeśli nie uda ci się wypłatać, to pewnie dostaniesz góra dwa lata.

A gdyby jednak przyszło odsiedzieć całe cztery? – zastanawia się. To będą cztery krytyczne lata w życiu Johna. Te lata zadecydują, w jakim kierunku pójdzie jego życie. A Caitlin? Malone słyszał mnóstwo opowieści o dziewczynach wychowujących się bez ojców, które zakochują się w pierwszym chłopaku, jaki stanie im na drodze.

Nie. Sheila jest świetną matką, a poza tym są jeszcze wujowie. Wuj Phil, wuj Monty i ciotka Donna.

Oni nie pozwolą dzieciom zboczyć z właściwego toru.

Dzieci będą cierpiały, ale nie stanie im się nic złego. Noszą nazwisko Malone, są twarde i pochodzą z okolicy, gdzie ojcowie czasami „wyjeżdżają”. Inne dzieci nie będą im z tego powodu dokuczać.

A college? O tym pomyślał już wcześniej.

Mężczyzna powinien mieć swoje sprawy pod kontrolą.

Czesne dla dzieci jest w schowku pod prysznicem.

Koledzy zajmą się Sheilą. Będzie dostawać swoją kopertę, więc pieprzę wasze kupony żywnościowe.

Gdyby zdarzyło się najgorsze, Russo co miesiąc przyniesie Sheili kopertę. Będzie zabierał jego syna na mecze, przemówi mu do rozumu, jeśli okaże się to konieczne, i dopilnuje, żeby mały zachowywał się jak trzeba.

Mafiosi składają podobną przysięgę, ale w obecnych czasach rzadko wytrzymują dłużej niż parę miesięcy. Jeśli któryś z nich trafi do więzienia albo do piachu, żona musi iść do pracy, a dzieci wyglądają jak oberwańcy. Kiedyś tak nie było, a teraz to jest jeden z najważniejszych powodów, dla których członkowie mafii zostają kapusiami.

Z jego ekipą tak nie będzie. Monty i Russo wiedzą, do kogo mają się zwrócić, żeby dobrać się do ukrytych pieniędzy Malone'a. Te pieniądze co do centa pójdą na wygodne życie dla Sheili.

Będzie też dostawała swoją działkę z pieniędzy Peny.

Więc nie musi się martwić o rodzinę.

Claudette. Zawsze można jej dostarczyć pieniędzy, gdyby ich potrzebowała, ale dopóki nie bierze tego gówna, wszystko z nią będzie w porządku. Jest czysta od ponad roku, ma pracę, rodzinę i kilkoro przyjaciół. Może na ciebie czeka, może nie, ale wszystko z nią będzie w porządku.

Dociera do południowo-zachodniego narożnika parku i przez Columbus Circle wychodzi na Broadway.

Malone bardzo lubi chodzić Broadwayem. Zawsze lubił.

Lincoln Center zawsze wygląda pięknie. A teraz już znalazł się w swoim rejonie, na swoim boisku, na swoim terytorium.

Na swoich ulicach.

Północny Manhattan.

Boże, jak on kocha te ulice. Kocha je od czasu, gdy pracował w Dwudziestym Czwartym. Stary budynek Astorii, Sherman Square, który nazywano Parkiem Igieł, Gray's Papaya. Dalej jest stare kino Beacon, hotel Belleclaire i miejsce, gdzie kiedyś znajdował się Nick's Burger Joint. Zabar's, stara Thalia i długa, łagodnie wznosząca się ulica.

Nie obawia się odsiadki. Jasne, na pewno spotka tam takich, którzy będą chcieli wyrównać z nim rachunki, i są to twardzi goście, ale ja jestem twardszy, myśli. I nie pójdę tam nieprzygotowany. Bez względu na to, do którego więzienia mnie wyślą, rodzina Cimino dopilnuje, żeby czekał tam na mnie komitet powitalny. Nikt nie zadziera z tymi, którzy mają dobre kontakty z mafią.

O ile w ogóle pójdę siedzieć.

Tak czy owak, stracisz pracę. Jeśli nawet nie z powodu oskarżenia kryminalnego, to przez komisję dyscyplinarną departamentu. To nierówna walka. Komisarz nigdy nie przegrywa. Jeśli chce się ciebie pozbyć, to znaczy, że już cię tam nie ma.

Bez broni, bez odznaki, bez emerytury, bez pracy. I żaden inny departament w całym kraju nie tknie cię nawet długim drągiem.

Co ja, do cholery, zrobię?

Nic innego nie umie robić. Przez całe życie był tylko policjantem i nigdy nie chciał być nikim innym.

A teraz już po wszystkim.

Czuje się tak, jakby dostał w twarz. Nie będzie policjantem.

Przez jeden głupi, nieostrożny moment w popołudnie Bożego Narodzenia nie mogę już być policjantem.

Może mógłbym pracować w jakiejś firmie ochroniarskiej albo detektywistycznej, myśli, ale zaraz odrzuca ten pomysł. Nie chce być fałszywym gliniarzem, byłym gliniarzem. A taka praca zmuszałaby go do

kontaktów z prawdziwymi policjantami, którzy współczuliby mu, patrzyli na niego z góry, a przynajmniej przypominali, kim był kiedyś i kim już nie jest.

Lepiej z tym wszystkim całkowicie zerwać i zająć się czymś innym.

Ma pieniądze w banku, a będzie miał dużo więcej, gdy ruszą łup po Penie.

Mogę prowadzić jakiś interes, myśli. Nie bar, bo to robi każdy emerytowany gliniarz. Coś innego.

Ale co, Malone? – pyta siebie.

Na przykład co?

Nic.

Umiesz tylko być policjantem, nic więcej.

Więc idzie do pracy.

## ROZDZIAŁ 10

– Gdzie byłeś? – pyta go Russo.

Malone spogląda na zegarek.

– Południowy obchód. Zdążyłem na czas.

Zdążył na czas, ale w głowie wciąż mu wiruje jak diabli. Kac alkoholowy, kac narkotykowy, kac po seksie, kac ze strachu.

Złapali go za same jaja i nie ma pojęcia, co zrobić.

– Nie o tym mówię – mówi Russo. – Nie zmieniłeś ubrania. Śmierdzisz wódką, trawą i cipą. Drogą cipą, ale jednak.

– Byłem u dziewczyny – mówi Malone. – Może tak być?

To pierwsze kłamstwo.

Okłamał swojego partnera, najlepszego przyjaciela, brata.

Powiedz mu, myśli Malone. Wyprowadź jego i Monty’ego na zewnątrz, w jakiś zaułek, i powiedz im. Przytrzasnęli ci fiuta w sprawie Piccone, jakoś się z tego wygrzebiesz, nie ma się o co martwić.

Ale nie robi tego.

– Byłeś u dziewczyny? – śmieje się Russo. – Tak jak stoisz? I jak poszło?

– Tak jak wygląda – odpowiada Malone. – Jeśli nie masz nic przeciwko temu, mamusiu, to wezmę tu prysznic i się przebiorę.

Jeśli on wygląda jak kawałek gówna, to Levin tym bardziej. Siedzi skulony na ławce i próbuje zawiązać sobie buty, ale zadanie wydaje się go przerastać. Podnosi wzrok i spogląda na Malone’a. Twarz ma zupełnie białą.

I przepełnioną poczuciem winy.

Jak przestępca, który za chwilę ma zostać aresztowany.

Levin będzie dobrym gliniarzem, myśli Malone, ale nigdy nie mógłby być wtyczką. Nie potrafi pozbyć się tego poczucia winy z twarzy.

– Wieczór przy kręglach nie jest dla mięczaków – mówi.

– Tylko dla cipek – dodaje Russo. – Ale o tym już wiesz, nie?

– Nie chcę o tym rozmawiać.

– Biedna Emily – mówi Russo.

– Amy.

– Przecież było „Nie mówcie Amy” – przypomina Monty.

– Co to, kurwa, za różnica? – pyta Russo. – Nie martw się, Dave. To, co się dzieje w jednostce Manhattan Północ, zostaje w jednostce Manhattan Północ. Nie, zaraz, to chodziło o Vegas. O tym, co się dzieje w Manhattan Północ, opowiadamy wszystkim.

Malone wchodzi pod prysznic. Połyka dwie pigułki na energię, przebiera się w niebieską koszulę i czarne dżinsy.

Gdy wychodzi, Russo mówi:

– Sykes chce się z tobą zobaczyć.

Malone idzie na górę do gabinetu kapitana.

– Wyglądasz okropnie – stwierdza Sykes. – Świętowaliście?

– Pan też powinien świętować – mówi Malone. – Zamknął pan sprawę Gillette/Williams i pozbył się pan pętli z szyi. *Post* i *News* dostają erekcji, gdy o panu piszą.

– W *Amsterdam News* nazwali mnie ciasteczkiem Oreo.

– Obeszło to pana?

– Niespecjalnie – mówi Sykes, ale Malone wie, że jest inaczej. – Cieszę się z zamknięcia sprawy Gillette/Williams, ale to nie rozwiązuje większego problemu. W gruncie rzeczy tylko go pogarsza. I jeśli Carter dostanie tę broń, to weźmie mocny odwet.

– Rozmawiałem z nim – mówi Malone.

– Co robiłeś?

– Spotkałem go przypadkiem, więc skorzystałem z okazji i poprosiłem go, żeby sobie odpuścił.

– I?

– Ma pan rację. Nie odpuści.

Kolejne uniki. Malone nie powiedział Sykesowi, że jeden z jego detektywów siedzi u Cartera w kieszeni, a nawet pośredniczy w zakupie broni. Nie może mu tego powiedzieć, bo Sykes zakułby Torresa w kajdanki, toteż mówi tylko:

– Pracujemy nad tym.

– Powiesz coś konkretniej?

– Obserwujemy dom przy Broadwayu 3803. Uważamy, że tam właśnie Teddy Bailey ustala szczegóły transakcji.

– Dostaniemy w ten sposób Cartera?

– Pewnie nie. Chce pan broń czy Cartera?

– Najpierw jedno, potem drugie.

– Dostaniemy broń – mówi Malone. – A Carter i tak zniknie ze sceny.

– Chcę go aresztować. Nie chcę, żeby go zabił Carlos Castillo.

– A jakie to ma znaczenie? – mówi Malone.

– Nie chcę, żeby wyglądało, jakby Task Force popierało jedną mafię narkotykową przeciwko innej. To jest Nowy Jork, a nie Meksyk.

– Jezu Chryste, kapitanie – mówi Malone. – Chce pan tę broń czy nie? Obydwaj wiemy, że DeVon Carter nawet się do niej nie zbliży. Wiemy również, że wyjaśnienie tych zabójstw kupiło panu trochę czasu, ale niezbyt wiele, i Komenda Główna wkrótce znów dobierze się panu do tyłka.

– Załatw tę sprawę z bronią – mówi Sykes. – Tylko pamiętaj, że twój oddział jest szpicą włóczni w Task Force i że nie jesteś wolnym strzelcem.



– Proszę się nie martwić – mówi Malone. – Kiedy przyjdzie co do czego, weźmiemy pana na akcję.

Będziesz tam, żeby dotknąć piłką boiska i świętować zwycięstwo.

Ale lepiej, żebyś nie wiedział, jak wprowadziłem cię w czerwoną strefę.

Schodzi na dół i trafia prosto w kurewską, paskudną pułapkę.

To Claudette.

Dwóch mundurowych trzyma ją pod łokcie i delikatnie próbuje wyprowadzić z holu, ale Claudette się nie daje.

– Gdzie on jest? – pyta. – Gdzie jest Denny?! Chcę się zobaczyć z Dennym!

Właśnie w tej chwili Malone pojawia się w korytarzu.

Claudette jest na głodzie. Przyćpała, a teraz jest roztrzęsiona. Wszystkie jej nerwy zaczynają paskudnie podrygiwać.

Ona też go zauważa.

– Gdzieś ty był? Szukałam cię wczoraj wieczorem. Dzwoniłam. Nie odbierałeś. Przyjechałam do ciebie, ale nie było cię w domu.

Większość mundurowych patrzy na nią z przerażeniem i zgrozą. Kilku uśmiecha się krzywo, ale Monty przyszpila ich wzrokiem.

– Zajmę się nią – mówi i wyciąga Claudette z uścisku policjantów. – Wyjdźmy na zewnątrz.

Ale ona zapiera się w miejscu z siłą, jaką daje szaleństwo.

– Kim ona jest? Śmierdzisz cipą, ty skurwysynu. Białą cipą. Co to za zdzira?

Dyżurny sierżant wychyla się zza biurka.

– Denny...

– Wiem! Zajmę się nią.

Chwyta Claudette wpół i ciągnie do drzwi, choć ona wierzga i wrzeszczy:

– Nie chcesz, żeby twoi koledzy mnie widzieli, ty dupku?! Wstydzisz się mnie pokazać innym gliniarzom?! Słuchajcie wszyscy, on mnie pieprzy! Pozwalam mu pieprzyć się w dupę, kiedy chce! W moją czarną dupę!

Sykes stoi na schodach.

Widzi to wszystko.

Malone wyciąga Claudette na ulicę. Tajniacy, którzy właśnie wchodzą do środka, gapią się na nich.

– Wsiadaj do samochodu.

– Odpierdol się.

– Wsiadaj do tego pierdolonego samochodu!

Wrzuca ją do środka przez drzwi od strony pasażera, obchodzi samochód dokoła i sam również wsiada. Blokuje drzwi, podwija jej rękawy i widzi ślad po igle.

– Jezu, Claudette.

– Czy jestem aresztowana, panie władzo? Panie władzo, czy mogę coś zrobić, żeby nie pójść do więzienia?

Rozpina mu rozporek i pochyla się nad nim.

Malone podciąga ją do góry.

– Przestań się wydurniać.

– Nie stanie ci? Ta kurwa tak cię zmęczyła?

Dwoma palcami podnosi jej głowę.

– Posłuchaj mnie. Posłuchaj. Nie możesz się tak zachowywać. Nie możesz tu przychodzić.

– Bo się mnie wstydzisz.

– Bo ja tu pracuję.

Claudette rozsypuje się.

– Przepraszam cię, Denny. Byłam w rozpaczy. Zostawiłeś mnie samą. Zostawiłeś mnie zupełnie samą.

To jest jednocześnie wyjaśnienie i oskarżenie.

Malone to rozumie.

Narkoman wchodzi w zaulek razem z uzależnieniem, ale z zaułka wychodzi tylko uzależnienie.

– Ile wzięłaś?

Jest przerażony, bo świat bardzo się zmienił i teraz dilerzy mieszają heroinę z fentanylem. Ta mieszanka jest czterdzieści razy mocniejsza i gdyby Claudette właśnie to wzięła, mogłaby przedawkować. Ćpuny padają jak muchy, mrą jak homoseksualiści w najgorszych czasach AIDS.

– Tyle, że wystarczy – odpowiada i powtarza: – Zostawiłeś mnie samą, skarbie, i nie mogłam tego znieść, więc wyszłam z domu i wzięłam.

– Kto ci to sprzedał?

Claudette potrząsa głową.

– Zrobisz mu krzywdę.

– Obiecuję, że nie zrobię. Kto?

– A co to za różnica? Myślisz, że potrafisz zastraszyć wszystkich dilerów w Nowym Jorku?

– A ty myślisz, że się nie dowiem?

– To się dowiedz. Wszystko mnie boli, skarbie.

Zawozi ją do domu, wyciąga ze schowka w samochodzie zestaw antynarkotykowy i zabiera ze sobą.

– Idź do sypialni i wstrzyknij to sobie. Ja nie chcę na to patrzeć.

– To było ostatni raz, skarbie – mówi Claudette. – Dadzą mi jakąś odtrutkę w szpitalu. Znam jednego lekarza. Przestanę brać, obiecuję.

Malone siada na kanapie.

Jeśli pójdę do więzienia, myśli, to ona umrze.

Nigdy w życiu nie poradzi sobie sama.

Kilka minut później Claudette wychodzi z sypialni.

– Jestem zmęczona. Śpiąca.

Malone układa ją na kanapie, idzie do łazienki, klęka przy sedesie i wymiotuje. Torsje wstrząsają nim tak długo, że pod koniec wymiotuje tylko powietrzem. Siada na czarno-białych kafłach podłogi, sięga po ręcznik i ociera twarz z potu. Po kilku minutach podnosi się i ochlapuje sobie twarz i kark zimną wodą.

Myje zęby tak długo, aż zapach rzygowin znika.

Potem sięga po telefon i wybiera numer.

– Halo – słyszy.

O'Dell pewnie siedział przez cały czas przy telefonie i czekał, podły skurwysyn. Wiedział, że się ugnę.

– Dam ci prawników – mówi Malone. – Ale żadnych policjantów, rozumiesz?

Nigdy ci nie wydam moich braci, dodaje w duchu.

## ROZDZIAŁ 11

Gdy znów wchodzi do budynku, Sykes kiwa do niego ręką, przywołując do siebie.

Idzie do gabinetu.

– Słyszałeś kiedyś o seksualnym wykorzystaniu zależności? – pyta Sykes.

– Nie.

– Na przykład – wyjaśnia Sykes – jeśli osoba w pozycji władzy, dajmy na to policyjny detektyw, nawiązuje relacje seksualne z osobą, która tej władzy podlega, powiedzmy z informatorem policyjnym, jest to seksualne wykorzystanie zależności. To ciężkie przestępstwo, od dziesięciu lat do dożywocia.

– Ona nie jest informatorką.

– Była naćpana.

– Nie jest informatorką – powtarza Malone.

– W takim razie kim jest?

– To nie pańska sprawa.

– Gdy kobieta urządza karczemną awanturę w holu mojego komisariatu, z pewnością jest to moja sprawa. Nie mogę pozwolić, żeby życie osobiste któregoś z moich detektywów ściągało publiczną uwagę i okrywało wstydem całą policję. Jesteś żonaty, sierżancie Malone, tak?

– W separacji.

– Czy ta kobieta mieszka na północnym Manhattanie?

– Tak.

– Więc masz romans z kobietą, która mieszka w twoim rejonie – mówi Sykes. – To niegodne policjanta, żeby nie powiedzieć więcej.

– Proszę wnieść oskarżenie.

– Zrobię to.

– Nie, nie zrobi pan tego – mówi Malone. – Dlatego że właśnie zamknąłem ważną dla pana sprawę, pańska kariera wróciła na właściwe tory i nie zrobi pan niczego, co mogłoby rzucić negatywne światło na sposób, w jaki zarządza pan tym komisariatem.

Sykes patrzy na niego i Malone wie, że ma rację.

– Trzymaj swój prywatny bałagan z dala od mojego komisariatu – mówi kapitan.

Malone i Russo jadą Broadwayem na północ od Sto Pięćdziesiątej Ósmej.

– Chcesz o tym pogadać? – pyta Russo.

– Nie, ale ty chcesz. I tak będziesz gadał, więc mów.

– Czarna kobieta, która ma problem z narkotykami, to nic dobrego, Denny. Szczególnie w obecnej, jak by tu powiedzieć... wrażliwej rasowo atmosferze.

– Poradzę sobie.

– Chcesz powiedzieć, że skończysz ten związek?

– Chcę powiedzieć, że sobie poradzę – odpowiada Malone. – Koniec tematu.

Broadway w tym miejscu rozdziela się na dwie nitki, północną i południową, które są przedzielone rzędem drzew. Sklep żelazny, nad którym mieści się biuro Cartera, jest po zachodniej stronie.

– Schodami na piętro – mówi Russo. – Grubemu Teddy'emu na pewno się to nie spodoba.

Zatrzymuje samochód przy bankomacie po wschodniej stronie ulicy. Wsiadają i udają, że wypłacają pieniądze, a tak naprawdę obserwują, jak Babyface wchodzi do sklepu monopolowego, który sąsiaduje z żelaznym.

Pięć minut później wychodzi z sześciopakiem colta 45 i podaje go Montague'owi.

Malone i Russo przechodzą na drugą stronę Broadwayu i wchodzi do baru. Po kwadransie Montague siada naprzeciwko nich.

– Mów – mówi Malone. – Wyduś to z siebie.

– Co mam powiedzieć? – pyta Monty. W jego oczach pojawia się przekorny błysk, ale Malone dostrzega pod humorem powagę. – Ja też wolę czarne kobiety.

– To była niezła scena – mówi Russo.

– Masz dobry gust, jeśli chodzi o kobiety – powtarza Monty. – Naprawdę tak myślę. Ale jesteśmy teraz pod ostrzałem i nie powinniśmy dodatkowo ściągać na siebie uwagi.

– Powiedziałem Russowi, że się tym zajmę.

– Słyszałem – mówi Monty. – A wracając do pilniejszych spraw, ten Chaldeczyk chciałby zachować licencję na sprzedaż alkoholu. Wyjaśniłem mu, że właśnie sprzedał nieletniemu. Zdaje się, że nie zna Cartera. Powiedziałem mu, że jeśli wpuści nas na kilka tygodni do pomieszczenia na zapleczu sklepu, to wszystko zostanie mu wybaczone.

Malone podnosi się.

– Lepiej wnośmy się stąd w cholerę.

Znów wsiadają do samochodu. Tym razem Levin wchodzi do sklepu i znika na czterdzieści pięć minut. Potem wychodzi, wsiada do samochodu i Russo odjeżdża.

– Można by wybić dziurę w płycie gipsowej – mówi Levin. – Poprowadzić przewód na piętro i już mamy podsłuch w gabinecie Cartera.

– A kto będzie siedział na nasłuchu? – pyta Russo. – Teddy zna mnie, Malone’a i Monty’ego, a ty nie możesz nasłuchiwać dwadzieścia cztery godziny na dobę.

– Wy jeszcze nie wyszliście z epoki kamienia łupanego. Gdy już poprowadzimy przewód, będę mógł kontrolować sytuację na laptopie w każdym miejscu, gdzie jest Wi-Fi. To znaczy praktycznie wszędzie. I nie musimy sprawdzać non stop przez całą dobę, tylko wtedy, kiedy Teddy się pojawi.

– Śmierdziel nam powie, kiedy Teddy się pojawi – mówi Malone. – Levin, na pewno nie masz nic przeciwko temu? Nie mamy pozwolenia. To nielegalne jak cholera. Jak nas złapią, to stracisz odznakę i możesz pójść siedzieć.

Levin uśmiecha się.

– Po prostu nie mówcie Amy.

– Wracasz na komisariat? – pyta Russo Malone’a.

– Nie. Muszę pojechać do centrum i przygotować się do przesłuchania dowodowego w sprawie Grubego Teddy’ego.

– Powodzenia – mówi Russo.

– Dzięki. – Na tym właśnie polega pieprzona ironia sytuacji, myśli Malone. Żeby przeprowadzić sprawę z bronią, muszą dopilnować, żeby Gruby Teddy był na ulicy, a nie w więzieniu. Gdyby od początku o tym wiedzieli, to udałoby się załatwić umorzenie skargi i nie trzeba by było kupować sprawy.

I nie byłoby tego gównianego zamieszania z federalnymi.

A teraz Malone musi kupić tę sprawę, żeby ocalić własny tyłek przed więzieniem.

Robi mu się niedobrze.



Przestań się nad sobą uzalać, myśli. Weź się w garść i zrób to, co masz zrobić.

Śmierdziel podryguje na chodniku przy Amsterdam Avenue i Sto Trzydziestej Trzeciej. Malone zatrzymuje się przy nim.

– Wsiadaj. – Zapomniał już, jak okropnie śmierdzi ten śmieć. – Jezu, Śmierdziel.

– Co? – Śmierdziel jest rozluźniony i szczęśliwy. Widocznie dał sobie w żyłę.

– Używasz czasem toalety?

– Nie mam żadnej toalety.

– To sobie pożycz. – Malone opuszcza okno. – Znasz taką pielęgniarkę, która szukała towaru? Na imię ma Claudette.

– Czarna? Bardzo ładna?

– Aha.

– Widziałem ją.

– Od kogo kupiła?

– Od detalisty. Nazywa się Frankie.

– Biały? Pracuje przy boiskach w Lincoln?

– To ten.

Malone daje mu dwudziestkę.

– Biali ludzie są skąpi.

– Dlatego mamy pieniądze – odpowiada Malone. – Wsiadaj.

– Biali ludzie są niegrzeczni.

– Teraz będę musiał wymienić ten samochód na nowy.

– Krzywdzisz mnie, człowieku. Jesteś sadystycznym skurwysynem.

– Zadzwoń kiedyś.

– Skąpy, niegrzeczny i do tego sadysta.

– Wynocha.

Śmierdziel wywleka się z samochodu.

Frankie siedzi na stalowej ławce aresztu na samym końcu korytarza.

Malone zgarnął go i zawiózł na Trzydziesty Drugi, nie na Manhattan Północ, a potem zostawił na jakiś czas, żeby dojrzał. Cęła śmierdzi moczem, gównem, wymiotami, lękiem, desperacją, beznadzieją i mocnym zapachem wody kolońskiej marki Axe, którą Frankie zapewne podwędził z Duane Reade. Malone otwiera drzwi i wchodzi do środka.

– Nie wstawaj.

Frankie ma niewiele po trzydziestce, ogoloną głowę, tatuaże na ramionach i jeszcze więcej tatuaży na szyi.

Malone podwija własne rękawy.

Frankie dostrzega jego tatuaże.

– Chcesz pokazać, że masz więcej? Będziesz mnie bił?

– Pamiętasz kobietę o imieniu Claudette? – pyta Malone. – Sprzedałeś jej jakieś gówno.

– Chyba tak.

– Chyba tak – powtarza Malone. – Wiedziałeś, że była czysta, bo nie widziałeś jej od dłuższego czasu. Tak?

– Albo poszła do kogoś innego. – Frankie wzrusza ramionami.

– Ty też jesteś uzależniony?

– Czasem biorę.

– Więc handlujesz, żeby mieć na towar dla siebie.

– Właściwie tak. – Frankie drży.

– Wiesz, dlaczego wsadzili cię akurat do tej celi? – pyta Malone. – Bo tutaj kamera nie ma zasięgu. A wiesz, jak to teraz jest. Co się nie nagrało, to się nie zdarzyło.

– O Jezusie.

– Jezusa tu nie ma – mówi Malone. – Jestem tylko ja. A różnica między nim a mną polega na tym, że on lubi wybaczać, a ja nie mam w sobie ani odrobiny chęci do wybaczenia.

– O Boże, czy ona przedawkowała?

– Nie – mówi Malone. – Gdyby przedawkowała, nawet byś tu nie dotarł. Posłuchaj, Frankie. Patrz na mnie i słuchaj.

Frankie podnosi wzrok.

– Obiecałem jej, że cię nie skrzywdzę, więc gdy stąd wyjdę, wypuszczą cię wolno. Ale posłuchaj mnie, Frankie. Kiedy ją zobaczysz następnym razem, masz uciekać. Nie odejść, tylko uciekać w przeciwnym kierunku. Jeśli kiedyś jeszcze sprzedasz jej towar, to ja cię znajdę i zatłukę na śmierć. A musisz wiedzieć, że zawsze dotrzymuję słowa.

Wychodzi z celi.

## ROZDZIAŁ 12

Isobel Paz, prokurator federalny Południowego Dystryktu Nowy Jork, wygląda zabójczo.

Kurewsko zabójczo, myśli Malone.

Karmelowa skóra, smolistoczarne włosy, czerwona szminka na szeroko wyciętych ustach o cienkich wargach. Zapewne jest po czterdziestce, ale wygląda młodziej. Wchodzi do pokoju w czarnym żakiecie, obcisłej spódnicy i butach na wysokich obcasach.

Pełny rynsztunek bojowy.

Znów są w tym pieprzonym Waldorfie.

Paz oczywiście pojawiła się ostatnia.

To tak samo jak w mafii, myśli Malone. Szef zawsze ostatni przychodzi na spotkania, inni muszą na niego czekać. W ten sposób ustala się hierarchia dziobania. Tu nie jest inaczej.

Malone należy do starej szkoły, toteż wstaje.

Paz nie wyciąga do niego ręki, tylko się przedstawia:

– Isobel Paz, prokurator federalny.

– Denny Malone, detektyw NYPD.

Bez uśmiechu wygładza spódnicę i siada naprzeciwko niego.

– Proszę usiąść, sierżancie Malone.

Malone siada. Weintraub włącza cyfrowy dyktafon. O'Dell podaje pani prokurator filiżankę kawy takim gestem, jakby to były jego własne jaja, po czym również siada.

Więc wszyscy siedzimy przy tym pieprzonym stole, myśli Malone.

I co teraz?

– Sierżancie Malone, chciałabym zostać dobrze zrozumiana – mówi Paz.  
– Nie uważam pana za bohatera. Uważam pana za przestępcę, który przyjmuje łapówki od innych przestępców. To tylko tak, żebyśmy się dobrze zrozumieli.

Malone nie odpowiada.

– Chętnie bym pana wsadziła za kratki za to, że złamał pan przysięgę, zhańbił odznakę i zawiódł publiczne zaufanie – ciągnie Paz. – Ale mamy na oku ważniejsze cele. Dlatego jestem skłonna powstrzymać się i współpracować z panem. – Otwiera teczkę. – Przejdźmy do rzeczy. Będzie pan musiał przyznać się do wszystkich bez wyjątku przestępstw, które popełnił pan do tej chwili. Jeśli pan świadomie skłamię albo coś przemilczy, nasza umowa tym samym stanie się nieważna. Jeśli popełni pan kolejne przestępstwa, które będą wykraczać poza ramy tego dochodzenia i nie otrzymają naszej wyraźnej aprobaty, wszelkie umowy między nami staną się nieważne. Jeśli dopuści się pan krzywoprzysięstwa w zeznaniu złożonym pod przysięgą albo jako świadek, wszystkie nasze ustalenia staną się nieważne. Czy pan zrozumiał?

– Nie będę donosił na policjantów – mówi Malone.

Paz patrzy na O’Della i Malone uświadamia sobie, że nie słyszała wcześniej o tym zastrzeżeniu. O’Dell spogląda na niego ponad stolikiem.

– Zajmiemy się przejściem przez ten most, kiedy do niego dotrzemy.

– Nie – mówi Malone. – Tu nie ma żadnego mostu.

– W takim razie pójdzie pan do więzienia – mówi Paz.

– To pójdę do tego pieprzonego więzienia.

A ty spieprzaj.

– Czy pan uważa, że to żart, sierżancie Malone?

– Chcicie, żebym dał wam prawników. Zacisnę zęby i będę z wami pracował – mówi Malone. – Ale jeśli chcecie, żebym działał przeciwko

policjantom, to powiem krótko: odpieprzcie się.

– Wyłącz nagrywanie – warczy Paz do Weintrauba i znów spogląda na Malone’a. – Możliwe, że wziąłeś mnie za jednego z tych cieciów z Południowego Dystryktu, którzy pokonczyli prywatne szkoły i uniwersytety Ligi Bluszczowej. Ale ja jestem Portorykanką z południowego Bronksu. To twardsze ulice niż te, na których ty dorastałeś, *hijo de puta*. Jestem środkowa z sześciorga dzieci, mój ojciec pracował w kuchni, matka zszywała skrawki dla Chińczyków. A ja skończyłam Fordham. Więc jeśli będziesz mi podskakiwał, ty głupi ośle, to najdalej za sześć tygodni znajdziesz się w federalnym supermaksie i będziesz się ślinił nad owsianką. *Compréndeme, puñeto?* Możesz już włączyć nagrywanie.

Weintraub znów włącza dyktafon.

– Ta taśma zostanie zabezpieczona i dostęp do niej będą miały tylko osoby, które w tej chwili siedzą przy tym stole – mówi Paz. – Nie będzie żadnego transkryptu. Agent O’Dell streści to, co robimy, w raporcie, do którego dostęp będą mieli tylko autoryzowani członkowie personelu Południowego Dystryktu Stanu Nowy Jork oraz FBI.

– Ten raport może mnie zabić – mówi Malone.

– Gwarantuję, że zostanie zabezpieczony – zapewnia O’Dell.

– No tak, bo wśród federalnych wszyscy są kryształowo uczciwi – mówi Malone. – Żadnemu prawnikowi nie wisi nad głową kredyt hipoteczny, mąż żadnej sekretarki nie zalega rekinom z ratami.

– Jeśli znasz jakieś nazwiska... – mówi Paz.

– Nie znam żadnych nazwisk – odpowiada Malone. – Wiem tylko, że takie raporty zawsze w końcu pojawiają się w klubach obok ekspresu do kawy, a skoro nie będzie transkryptu, biuro może dowolnie przekręcić wszystko, co powiem.

Paz odkłada długopis.

– Chcesz współpracować czy nie?

– Tak – wzdycha Malone.

Jeśli nie zaczniesz z nimi rozmawiać, to nie będzie żadnej umowy.

Paz odbiera od niego przysięgę. Malone obiecuje, że będzie mówił prawdę, całą prawdę...

– Pokazano ci nagranie, na którym przyjmowałeś pieniądze za skontaktowanie aresztowanego z adwokatem – mówi Paz. – Czy przyznajesz się do tego?

– Tak.

– Wygląda również na to, że brałeś udział w spisku, którego celem było przekupienie prokuratora, żeby umorzył sprawę. Czy to się zgadza?

– Tak.

– Czy to się nazywa „kupowanie sprawy”?

– Ja to tak nazywam.

– Ile razy kupowałeś sprawę albo pośredniczyłeś w takiej transakcji?

Malone wzrusza ramionami.

Paz patrzy na niego z niechęcią.

– Tak wiele razy, że straciłeś rachubę?

– Miesza pani dwie rzeczy – mówi Malone. – Czasami za opłatą polecałem podejrzanemu obrońcę. Kiedy indziej pomagałem mu dotrzeć do prokuratora, żeby kupić sprawę, i dostawałem za to również odsyp od prokuratora.

– Dziękuję za to wyjaśnienie – mówi Paz. – Ile razy otrzymywałeś pieniądze za polecenie aresztowanego obrońcy?

– Przez te wszystkie lata? Pewnie setki razy.

– A od opłaconych prokuratorów?

– Pewnie dwadzieścia albo trzydzieści razy – mówi Malone. – Przez te wszystkie lata.

– Czy dostarczałeś pieniądze prokuratorom? – pyta Weintraub.

– Czasami.

– Ile razy? – pyta Paz.

– Dwadzieścia?

– Pytasz czy mówisz?

– Nie prowadziłem notatek.

– Z pewnością nie – mówi Paz. – Zatem mniej więcej dwadzieścia razy.

Podaj nazwiska, daty i wszystko, co jesteś w stanie sobie przypomnieć.

To jest przekroczenie granicy, myśli Malone. Jeśli zacznę wymieniać nazwiska, nie będzie już odwrotu.

Jestem kapusiem. Szczurem.

Zaczyna od najstarszych spraw. Podaje jej nazwiska ludzi, o których wie, że odeszli już na emeryturę albo zajęli się czymś innym. Większość prokuratorów nie zostaje w tym zawodzie zbyt długo. Traktują to jak okres stażu, który prowadzi ich do bardziej lukratywnej palestry obrońców. I tak będą mieli kłopoty, ale nie tak wielkie jak ci, którzy jeszcze nigdzie nie odeszli.

– Marc Piccone? – podsuwa O’Dell.

– Brałem pieniądze od Piccone – przyznaje Malone, bo w końcu, kurwa, wszyscy to widzieli.

– Czy to był pierwszy raz? – pyta Paz.

– A czy to wyglądało na pierwszy raz? Myślę, że polecałem Piccone więcej niż dziesięć razy.

– Ile razy w jego imieniu nosiłeś pieniądze prokuratorom?

– Trzy razy.

– Czy wszystkie te sprawy były prowadzone przez Justina Michaela? – pyta Paz.



Michaels to mały pikuś, myśli Malone. Po co tyle krzyku o drobne rutynowe bzdury? Michaels nie jest taki zły. Weźmie pieniądze za niewielkie oskarżenie, które i tak do niczego by nie doprowadziło, ale nie da się kupić przy napadach, rabunkach czy gwałtach.

A teraz oni narobią mu kłopotów.

Nie, myśli Malone. To ty narobisz mu kłopotów.

Ale pieprzyć to, przecież i tak wiedzą.

– Dwie z tych spraw prowadził Michaels – mówi.

– Które to były sprawy? – pyta Weintraub. Jest wyraźnie zły.

– W jednej chodziło o narkotyki. Ćwierć kilo koki. Facet nazywał się Mario Silvestri.

– Ten sukinsyn – parska Weintraub.

Na twarzy Paz pojawia się blady uśmiech.

– A druga sprawa? – pyta Weintraub.

– To było gówniane oskarżenie o posiadanie broni wobec dilerka heroiny. Nazywał się... Nie pamiętam, jak się naprawdę nazywał, ale miał ksywę Długi Pies. Chyba Clemmons.

– DeAndre Clemmons – potwierdza Weintraub.

– Tak, to ten – mówi Malone. – Michaels pokombinował przy łańcuchu dowodowym i sędzia umorzył sprawę podczas przesłuchania wstępnego. Chce pani nazwisko tego sędziego?

– Później – mówi O'Dell.

– Dobra, później – zgadza się Malone. – I założę się, że to nie trafi do raportu.

– A zatem Silvestri i Clemmons – mówi Paz. – A teraz Bailey.

– I tak nie udałoby się ich skazać – mówi Malone. – Więc co to za różnica, jeśli dla odmiany zarobi na tym ktoś jeszcze oprócz handlarzy narkotyków?

– Naprawdę próbujesz to usprawiedliwić? – ironizuje Paz.

– Mówię tylko, że nałożyliśmy na tych bandytów grzywnę w wysokości kilku tysięcy dolarów – odpowiada Malone. – A wam nie udało się zrobić nawet tego.

– A zatem wymierzasz sprawiedliwość – kwituje Paz.

Masz cholerną rację, myśli Malone. To właśnie robię. Bardziej niż system. Wymierzam sprawiedliwość na ulicy, kiedy tłukę jakiegoś zbrodnicę, który molestował dziecko, wymierzam ją w sądach, kiedy wrabiam jakiegoś dilerę heroiny, którego w innym wypadku nigdy byście nie ukarali. I tak, wymierzam ją, gdy odbieram tym skurwysynom pieniądze, których wy nigdy byście od nich nie wydobyli.

– Są różne rodzaje sprawiedliwości – mówi.

– I przypuszczam, że oddajesz te pieniądze na cele dobroczynne? – pyta Paz.

– Część tak.

Od czasu do czasu Malone wysyła kopertę z gotówką do Szpitala Dziecięcego Świętego Judy, ale te sukinsyny nie muszą o tym wiedzieć. Malone nie chce, żeby ich brudne łapy dotknęły czegoś czystego.

– I co jeszcze robiłeś? – pyta Paz. – Masz opowiedzieć o wszystkim.

Jezu, kurwa, myśli Malone. Chodzi o Penę.

To wszystko było tylko przygotowaniem gruntu przed Peną.

Ale czy naprawdę myślisz, że powiem o tym z własnej woli? Myślisz, że jestem jak ćpun w sali przesłuchań, który gotów jest zrobić wszystko, żeby poczuć się lepiej?

– Jeśli będziecie zadawać pytania, to odpowiem – mówi.

– Czy okradałeś kiedyś dilerów narkotykowych? – pyta Paz.

Chodzi o Penę, myśli Malone. Jeśli w ogóle cokolwiek wiedzą, to będą naciskać, najlepiej więc odpowiadać krótko, żeby nie dawać im punktu

zaczepienia.

– Nie.

– Czy kiedykolwiek przywłaszczyłeś sobie pieniądze albo narkotyki, których nie wpisałeś w raporcie?

– Nie.

– Czy kiedykolwiek sprzedawałeś narkotyki?

– Nie.

– Nigdy nie dałeś narkotyku informatorowi? – drąży Paz. – W świetle prawa to jest sprzedaż.

Muszę jej coś dać, myśli Malone.

– Tak, robiłem to.

– Czy to powszechna praktyka?

– Dla mnie tak – mówi Malone. – W ten sposób zdobywam informacje, dzięki którym mogę aresztować tych, którymi później wy się zajmujecie.

A czy ty widziałaś kiedyś narkomana na głodzie? – myśli. Widziałaś, co wyprawia? Jak się trzęsie, podryguje, błaga, płacze? Ty też byś mu dała działkę.

– Czy to powszechna praktyka wśród innych policjantów? – pyta Paz.

– Mogę mówić tylko we własnym imieniu – odpowiada Malone. – Nie w imieniu innych.

– Ale na pewno wiesz.

– Następne pytanie.

– Czy kiedyś pobiłeś podejrzanego, żeby uzyskać od niego informacje albo przyznanie się do winy?

Czy ty, kurwa, żartujesz? Tłukłem ich, aż zaczynali srać w gacie. Czasami dosłownie.

– Nie nazwałbym tego pobiciem.

– A jak byś to nazwał?

– Może dałem któremuś w twarz albo pchnąłem na ścianę, to wszystko.

– To wszystko – powtarza Paz.

– Przecież mówię. – Pytasz, ale nie chcesz wiedzieć. Chcesz sobie mieszkać na Upper East Side, w Village albo w Westchester, i nie chcesz, żeby to gówno przeciekło w twoją miłą okolicę. Nie chcesz wiedzieć, dlaczego nie przecieka. Po prostu chcesz, żebym robił swoje.

– A inni policjanci? – pyta Paz. – Twoi koledzy z oddziału. Czy oni też brali udział w sprzedawaniu spraw?

– Nie będę mówił o moich kolegach z oddziału.

– Daj spokój – wtrąca Weintraub. – Mamy uwierzyć, że Russo i Montague nie współdziałali z tobą?

– Nie mam żadnych oczekiwań co do tego, w co uwierzycie, a w co nie.

– Zabierałeś wszystkie te pieniądze dla siebie? – pyta Weintraub. – Nie dostawali od ciebie odsypu? Co z ciebie za partner?

Malone nie odpowiada.

– To wygląda zupełnie niewiarygodnie – mruczy Weintraub.

– Zobowiązałeś się do pełnej szczerości – mówi Paz.

– Powiedziałem już jasno – odpowiada Malone. – Nie będę donosił na policjantów. Powiem ci, co masz teraz, *chica*. Masz jednego obrońcę, którego możesz nakryć, i złapałaś jednego gliniarza, bo chwalił się, że może kupić sprawę. Możesz sprawić, że wyrzucą Piccone z palestry, możesz mi odebrać odznakę, a nawet posadzić na parę lat, ale obydwójce wiemy, że twoi szefowie popatrzą na to i zapytają: czy tylko tyle dostajemy za nasze pieniądze? Wyjdiesz na głupią.

Chwila ciszy, po czym Malone ciągnie dalej:

– Więc teraz pozwól, że ja ci powiem, jak będzie. To proste jak ABC. Każdy, ale nie policjant. Dam wam Michaela. Dam wam paru obrońców i jednego czy dwóch prokuratorów. Dorzucę nawet kilku sędziów, jeśli

macie jaja, żeby się nimi zająć. Ale w zamian za to odejdę wolno. Żadnej odsiadki. I zachowam odznakę i pistolet.

Podnosi się, idzie do drzwi i przykłada rękę do ucha, co ma oznaczać: zadzwońcie do mnie.

Kiedy czeka na windę, z pokoju wychodzi O'Dell.

To była bardzo krótka narada.

– Dobra – mówi O'Dell. – Umowa stoi.

Ano tak, myśli Malone, bo każdego można kupić.

Trzeba tylko znaleźć odpowiednią monetę.

Claudette jest chora.

Z nosa jej cieknie, całe ciało się trzęsie. Przenikający do szpiku kości głód narkotykowy.

Malone musi jej jednak oddać sprawiedliwość: tak czy inaczej, próbuje się z tego wyrwać.

Ale ona szybko pozbawia go złudzeń.

– Chciałam coś wziąć, ale nie mogłam znaleźć mojego dilera. Zrobiłeś mu coś?

– Nie zrobiłem mu krzywdy, jeśli o to pytasz – mówi Malone. – Udało ci się przekonać lekarza, żeby coś ci dał? Bo jeśli nie, to ja znam takiego...

– Lekarz z urazówki dał mi robaxin.

– Nie boisz się, że podkablujecie cię do dyrekcji?

– Po tym całym gównie, o którym ja wiem?

– I to pomaga?

– A wygląda, jakby pomagało?

Malone nastawia wodę, żeby zrobić ziołową herbatę. Wprawdzie zioła nic tu nie pomogą, ale może herbata trochę rozgrzeje Claudette.

– Zawiozę cię na detoks.

– Nie.

– Martwię się o ciebie, wiesz?

– Nie martw się. To alkoholicy umierają od odstawienia, a nie ci, którzy biorą heroinę. My tylko źle się czujemy, a potem wychodzimy i znowu bierzemy.

– Właśnie o to się martwię.

– Gdybym chciała wziąć, tobym wyszła – mówi Claudette.

Malone owija ją kocem, a potem obejmuje i kołysze jak dziecko.

Gdyby chodziło o kogoś innego, radziłby mu odciąć się od tej kobiety. Gdy się ma do czynienia z narkomanem, trzeba wyprawić pogrzeb, jakby ten ktoś już umarł, przejść przez okres żałoby, a potem ruszyć dalej, bo osoba, którą się znało, już nie istnieje.

Ale nie jest w stanie zrobić tego z Claudette.

## ROZDZIAŁ 13

Następnego ranka Malone wchodzi do Rand's, restauracji w pobliżu sądu, z egzemplarzem *New York Post* pod pachą. Kilka minut później Piccone wsuwa się do boks, siada naprzeciwko niego i kładzie na stole *Daily News*.

- Strona szósta jest dzisiaj niezła.
- Jak dobra?
- Warta dwadzieścia tysięcy.

Niektóre sprawy są droższe niż inne. Samo posiadanie to kilka tysięcy. Posiadanie z intencją sprzedaży to już dwucyfrowe sumy. Duża ilość z intencją sprzedaży może z łatwością dojść do sześciocyfrowych kwot, ale z drugiej strony jeśli obrońca jest wystarczająco dobry, to ma takie pieniądze.

Wyroki za posiadanie broni od jakiegoś czasu są coraz wyższe, szczególnie jeśli oskarżony jest recydywistą. Gruby Teddy mógłby odsiedzieć od pięciu do siedmiu lat, więc to nie jest wysoka cena.

Malone musi przyspilić Piccone. Tak mu powiedzieli. Ma udawać, że rozmowa jest odgrywana przed ławą przysięgłych.

- Jeśli przekonam Michaela, żeby sprzedał tę sprawę za dwadzieścia, pasuje ci to? – Malone bierze *Daily News* i kładzie obok siebie.
- Pod warunkiem, że uda ci się go przekonać, żeby umorzył sprawę.
- Za dwadzieścia tysięcy gotów będzie nawet przysiąc, że to jego broń.
- Co zamawiasz? – pyta Piccone. – Placki są tu w marę jadalne.
- Nie, muszę lecieć. – Malone podnosi się i sięga po *Daily News Post* zostawia Piccone. Idzie do męskiej toalety, odlicza z sumy w kopercie pięć

tysięcy, wsuwa je do kieszeni i wychodzi na ulicę.

Zawsze uważał, że adres Centre Street 100 jest jednym z najbardziej przygnębiających miejsc na świecie.

Nic dobrego nigdy nie zdarzyło się w budynku sądu kryminalnego.

A nawet gdy z rzadka przez całe panujące tu zło przekradnie się coś dobrego, na przykład zły człowiek zostanie skazany, zawsze kryje się za tym tragedia, zawsze jest jakaś ofiara – co najmniej jedna zrozpaczona rodzina albo gromadka dzieci, których mamusia czy tatuś mają zniknąć.

Malone znajduje Michaela w holu i podaje mu gazetę.

– Powinieneś to przeczytać.

– Tak? A dlaczego?

– Gruby Teddy Bailey.

– Baileyowi nic już nie pomoże.

– Piętnaście kawałków wystarczy, żebyś wyjął kutasa z jego dupy?

– Odebrałeś już nagrodę dla znalazcy? – pyta Michaels.

– Chcesz te pieniądze czy nie? Ale to ma być umorzenie, nie obniżenie wyroku.

Michaels wkłada gazetę do płóciennej torby i zaczyna spektakl.

– Do cholery, Malone, to było bezpodstawne przeszukanie! Ta sprawa zostanie oddalona na podstawie precedensu Dunaway kontra Nowy Jork.

Brak prawdopodobnej przyczyny zatrzymania.

Kilka osób przechodzących w pobliżu spogląda w ich stronę. Malone upewnia się, czy na nich patrzą, i krzyczy donośnie:

– To recydywista, a poza tym widziałem wybrzuszenie pod kurtką!

– A jaką kurtkę Bailey miał na sobie?

– A co ja, do cholery, jestem, Ralph Lauren?

– Puchową – oznajmia Michaels. – Miał grubą puchową kurtkę. Staniesz przed sądem i powiesz mi... nie, powiesz sędziemu, że dostrzegłeś pod taką



kurtką pistolet kaliber dwadzieścia pięć? Mam wyjść na idiotę? W dodatku na rasistowskiego idiotę?

– Masz tam iść i zrobić, co do ciebie należy.

– To najpierw ty zrób, co do ciebie należy! – wrzeszczy Michaels. – Zatrzymaj go tak, żebym miał z czym pracować!

– Przez ciebie ten bandyta znowu wróci na ulicę.

– Nie, to przez ciebie wróci na ulicę – mówi Michaels i odchodzi.

– Jezu Chryste. – Malone kręci głową. – Co za cipa.

Ludzie patrzą na niego, gdy tak stoi w holu. Ale nic w tym dziwnego. Policjanci i prokuratorzy przez cały czas się kłócą.

Malone wchodzi na drugie piętro starego budynku tkalni w Garment District, gdzie O'Dell urządził swoje centrum dowodzenia.

Kilka biurek, jednorazowy telefon, czerwone pudła z teczkami, tanie metalowe szafki, ekspres do kawy. Malone podaje mu pięć tysięcy, zdejmuje kurtkę, ściąga z siebie przewód z mikrofonem i kładzie na biurku.

– Masz? – pyta O'Dell.

– Mam.

Weintraub chwytą taśmę i przesuwa ją do początku rozmowy z Michaelsem. Słucha i mówi:

– Boże drogi, kurwa.

– To wystarczy? – pyta Malone. – Wystawiłem wam obydwu?

– A co, źle się z tym czujesz? – odpowiada Weintraub. – Masz ochotę zająć ich miejsce?

– Zamknij się, Stan – mówi O'Dell. – Dobra robota, Denny.

– A tak, jestem dobrym szczurem. – Malone idzie do drzwi. Chce się jak najszybciej wydostać z tego pieprzonego miejsca, od którego zbiera mu się na mdłości. To dosłownie gniazdo szczurów. I co to za „Denny”, kurwa. Jesteśmy teraz przyjaciółmi czy jak? Stan i Denny, jakbyśmy grali w tej

samej drużynie. I jeszcze głaszczą mnie po głowie? „Dobra robota, Denny”. Teraz, kurwa, jestem ich psem?

– Gdzie idziesz? – pyta O’Dell.

– A co cię to, kurwa, obchodzi? Bo co, nie mogę wyjść? Myślisz, że pójdę go ostrzec? Nie martw się. Wstyd by mi było.

– Nie masz się czego wstydzić – mówi O’Dell. – Jeśli już chcesz się wstydzić, to wstydz się tego, co robiłeś wcześniej, a nie tego, co robisz teraz.

– Do kurwy nędzy, nie przyszedłem tu, żeby cię prosić o rozgrzeszenie.

– Nie? – mówi O’Dell. – A mnie się wydaje, że tak. Wydaje mi się, że w głębi duszy chciałeś, żeby ktoś cię dopadł, Denny.

– Tak myślisz? W takim razie jesteś jeszcze większym durniem, niż myślałem.

– Chcesz kawy albo czegoś mocniejszego? – pyta O’Dell.

Malone obraca się na pięcie.

– Nie próbuj mną manipulować, O’Dell. – I dodaje w duchu: wiesz, ilu informatorów ja sam zmanipulowałem, ugłaskałem, uwodziłem, mówiłem, że robią to, co trzeba? Ale ja dawałem im heroinę, a nie kawę. I wiem, jaka jest podstawowa zasada w kontaktach z informatorami: nie można ich traktować jak ludzi, bo to są kapusie. Jeśli zaczniesz się w nich zakochiwać, troszczyć o nich, uważać, że są kimś innym, niż są naprawdę, to w końcu cię zabiją.

Jestem twoim szczurem, O’Dell.

Nie spieprz tego i nie próbuj mnie traktować jak człowieka.

Claudette mówi mu mniej więcej to samo, kiedy zagląda do niej, żeby sprawdzić, jak się miewa.

Wchodzi w drzwi i pierwsze słowa, jakie od niej słyszy, brzmią:

– Czy ty się wstydzisz ze mną pokazywać?

– Jak na to, kurwa, wpadłaś? – Przygląda się jej, sprawdzając, czy ma zwężone źrenice, ale nie. Nic nie wzięła. Siedzi tu na głodzie i Malone wie, że to trudne jak diabli, że Claudette jest wściekła i że musi się na nim wyładować.

– Zastanawiałam się, dlaczego znowu wzięłam.

Wzięłaś, bo jesteś uzależniona, myśli Malone.

– Dlaczego nigdy nie spotkałam twoich partnerów? Ty znasz ich kochanki, prawda?

– Nie jesteś moją kochanką.

– To kim jestem?

O kurwa.

– Moją dziewczyną.

– Nie poznałeś mnie z nimi, bo jestem czarna.

– Claudette, jeden z moich partnerów też jest czarny.

– I nie chcesz, żeby wiedział, że syplas z czarną dziewczyną – mówi Claudette.

To po części prawda, myśli Malone. Nie wie, jak Monty by na to zareagował. Nie miałby nic przeciwko czy też byłby wkurzony?

– A dlaczego chciałabyś ich poznać?

– A dlaczego ty nie chcesz, żebym ich poznała? – odparowuje Claudette.

– Dlatego że jestem czarna? A może dlatego, że jestem uzależniona?

– Nikt o tym nie wiedział – mówi Malone.

– Bo nikt nie wiedział o mnie.

– Ale teraz już wiedzą. Dlaczego moi partnerzy są dla ciebie tacy ważni?

– Bo to twoja rodzina. Oni znają twoją żonę, twoje dzieci, ty znasz ich rodziny. Znają wszystkie ważne osoby w twoim życiu oprócz mnie. Dlatego myślę, że ja nie jestem dla ciebie ważna.

– Nie wiem, co jeszcze mogę zrobić, żeby...

– Jestem twoim sekretnym życiem. Ukrywasz mnie.

– Bzdury.

– Prawie nigdy nie wychodzimy.

To prawda. To i tak jest trudne ze względu na godziny pracy ich obojga, a poza tym biały mężczyzna z czarną dziewczyną w Harlemie to rzadki widok nawet w dwa tysiące szesnastym roku. Gdy wychodzą razem do kawiarni czy do sklepu spożywczego, zauważają dziwne, ukradkowe spojrzenia, a niektórzy ludzie gapią się na nich otwarcie.

W dodatku Malone nie jest zwykłym białym facetem. Jest białym gliniarzem.

To powoduje wrogość albo jeszcze gorsze reakcje. Niektórzy z miejscowych być może uważają, że Malone powinien ich potraktować ulgowo, bo sam jest z czarną kobietą.

– Nie wstydzę się ciebie. Tylko że...

Próbuje jej wyjaśnić, że nie chce, by ludzie w okolicy uznali, że będzie na nich patrzył przez palce.

– Ale jak chcesz gdzieś wyjść, to chodźmy. Wyjdźmy gdzieś teraz.

– Popatrz tylko, jak wyglądam – mówi Claudette. – Nie chcę teraz wychodzić.

– Jezu Chryste, przecież powiedziałaś...

– Chodzi mi o to, jak mnie traktujesz. Jak heroinę. Jak lek na gorączkę. Po prostu przychodzisz tu i pieprzysz mnie.

– Nie.

Ty też mnie pieprzysz, skarbie, myśli Malone, ale wystarczy mu rozumu, żeby tego nie mówić.

– Denny, czy przyszło ci kiedyś do głowy, że ty możesz być jednym z powodów, dla których ćpam?

Jezu Chryste, kurwa, Claudette, a czy tobie przyszło kiedyś do głowy, że ty możesz być jednym z powodów, dla których właśnie zostałem pieprzonym donosicielem, zmieniłem się w pieprzonego szczura? Że twoje pierdolone uzależnienie, twoja pierdolona choroba mnie do tego zmusiła?

– Odpieprz się – mówi.

– Ty też się odpieprz.

Malone wstaje.

– Gdzie idziesz? – pyta Claudette.

– Gdziekolwiek indziej.

– To znaczy gdzieś, gdzie nie ma mnie.

– Może być.

– Idź – mówi Claudette. – Idź sobie. Jak chcesz być ze mną, to traktuj mnie jak człowieka, a nie jak uzależnioną dziwkę.

Malone wychodzi, trzaskając drzwiami.

## ROZDZIAŁ 14

Malone i Russo oglądają mecz Rangersów. Bilety na miejsca tuż przy niebieskiej linii dostali gratis od faceta z Madison Square Garden, który wciąż lubi policję.

Coraz mniej ludzi ją lubi, myśli Malone.

Zaledwie w ostatnim miesiącu dwóch niemundurowych siedzących w nieoznaczonym samochodzie w pobliżu Ozone Parku w Queens zauważyło faceta, który stał z otwartą butelką alkoholu przy nieprawidłowo zaparkowanym samochodzie.

Zwyczajna bzdura. Ale kiedy ruszyli w jego stronę, on zaczął uciekać.

Jeśli uciekasz przed policją, ona będzie cię gonić. To jest mentalność golden retrievera. Otoczyli go, wyciągnął broń i wbili w niego trzynaście kul.

Rodzina wynajęła prawnika, który rozdmuchał sprawę w mediach:

*Ojciec pięciorga małych dzieci postrzelony trzynaście razy, w tym w plecy i w głowę, z powodu otwartej butelki alkoholu.*

Najpierw zginął Garner przez to, że sprzedawał papierosy, potem Michael Bennett, a teraz następny facet z powodu otwartej butelki.

Trzeba jednak przyznać, że rozdrażniony komisarz się postawił:

– Najlepszy sposób, żeby nie zostać postrzelony przez policję Nowego Jorku, to przy sobie tej broni nie nosić i w policję z niej nie mierzyć!

Pominąwszy składnię i gramatykę, jak zauważył Monty, było to dobitne zajęcie stanowiska, tym bardziej że komisarz dodał:

– Moi funkcjonariusze każdego dnia narażają życie, a prawnicy tylko zbawiają się w swoje gierki.

Prawnik odpowiedział ogniem:

– Naturalnie rozumiemy dobrych policjantów, którzy ryzykują życie, żeby chronić naszych obywateli. Któż ich nie rozumie? Ale jeśli mówimy o gierkach i grach, wystarczy dowolnego dnia otworzyć gazetę, żeby przeczytać o kłamstwach, oszustwach i kradzieżach, jakich dopuszczają się funkcjonariusze NYPD. Dlatego proszę mi wybaczyć, jeśli nie od razu uwierzę w ich słowa o tym, co naprawdę zaszło.

Policja obrywa ze wszystkich stron.

Protestujący wyszli na ulicę, aktywiści wzywają do działania, napięcia między policją a mieszkańcami są większe niż kiedykolwiek.

A Wielka Ława Przysięgłych wciąż nie wypowiedziała się w sprawie Bennetta.

Kiedy czarni nie strzelają do czarnych, policja strzela do czarnych.

Tak czy owak, myśli Malone, czarni giną.

A on nadal jest policjantem.

Nowy Jork nadal jest Nowym Jorkiem.

Świat nadal jest światem.

Jest i nie jest. Jego świat się zmienił.

Jest kapusiem.

Gdy się to robi po raz pierwszy, myśli Malone, całe życie się zmienia.

Za drugim razem myślisz tylko: takie jest życie.

Za trzecim to już jest twoje życie.

To jest to, kim jesteś.

Gdy po raz pierwszy wyposażono go w podsłuch, miał wrażenie, że cały świat to widzi. Jakby miał to wypisane na czole, jakby była to gruba blizna na skórze, świeża i wciąż szarpiąca bólem.

A teraz zakłada ten sprzęt z większą swobodą niż pasek do spodni. Prawie nie pamięta, że go ma.

O'Dell nie nazywa go szczurem.

Agent FBI nazywa go gwiazdą.

Gwiazdą.

Do połowy maja Malone wydał federalnym czterech obrońców i trzech prokuratorów. Biuro Isobel Paz zaczęło tworzyć utajnione akty oskarżenia. Ale nikogo nie aresztowano, czekając z tym, aż będą gotowi zamknąć pułapkę i zgarnąć wszystkich jednocześnie.

Najbardziej popieprzone w tym wszystkim jest to, że w chwilach, gdy nie zapuszcza haczyka na skorumpowanych prawników, Malone nadal jest po prostu policjantem.

Tak jakby nic z tego wszystkiego nie działa się naprawdę.

Chodzi do roboty, pracuje ze swoim oddziałem, monitoruje sprawę Cartera, radzi sobie z Sykesem. Jeździ po ulicach, rozmawia ze swoimi kapusiami. zatrzymuje tych, których trzeba zatrzymać.

Pojawia się w miejscach, gdzie zdarzyła się jakaś strzelanina.

Dwa tygodnie po zabójstwach Gillette'a i Williams jeden z Trinitarian w Inwood wracał do domu z klubu i dostał kulkę w tył głowy. Dziesięć dni później w północnej części St. Nick's zginął jeden ze Spadesów. Strzelono do niego z przejeżdżającego samochodu. Leży w szpitalu Harlem, ale nie zanosi się na to, żeby miał przeżyć.

Zgodnie z przewidywaniami Malone'a dobra atmosfera po aresztowaniu zabójcy Williams trwała mniej więcej półtorej godziny. Teraz Sykes obrywa na spotkaniach CompStatu, komisarz obrywa od burmistrza, a burmistrz od mediów.

Sykes dyszy Malone'owi nad karkiem, domagając się postępów w sprawie zakupu broni.

Dyszy nad karkiem wszystkim.



Popędza Malone'a w sprawie Cartera, Torresa w sprawie Castilla, rozesłał po mieście tajniaków, żeby zajęli się czyszczeniem ulic z broni. Wtyczki próbują skupować pistolety.

Całe gówno spływa z góry na dół.

Ale to Levin dostarczył im przełomu.

Pieprzony Levin. Któregoś dnia przyniósł ze sobą iPada i usiadł w schowku w sklepie monopolowym. Russo i Monty uznali, że chłopak po prostu zabawia się w sieci i ogląda filmy na Netfliksie, ale nic ich to nie obchodziło. To nudna robota i trzeba się czymś zająć. Ale parę dni później Levin wyszedł stamtąd dumny jak czternastolatek, któremu dziewczyna po raz pierwszy pozwoliła dotknąć cycków, włączył iPada i powiedział:

– Tylko popatrzcie.

– Coś ty tam, kurwa, robił?

– Zhakowałem jego telefony – oświadczył Levin. – To znaczy nie głos, słyszać tylko jedną połowę rozmowy. Ale za każdym razem, kiedy on dzwoni albo odbiera połączenie, widzę to na ekranie.

– Levin – oświadczył Monty. – Możliwe, że właśnie uzasadniłeś swoje istnienie na tym świecie.

Jasna cholera!

Teraz wiedzą, z kim rozmawia Gruby Teddy, i okazuje się, że często rozmawia z Mantellem.

– Analiza liczby połączeń – powiedział Levin. – Im bliżej terminu dostawy, tym częściej będą rozmawiać.

– Ale jak się dowiemy, gdzie to ma się odbyć? – zapytał Malone.

– Na razie tego nie wiemy – odrzekł Levin. – Ale się dowiemy.

– Carter nie pojawi się w pobliżu tego miejsca – stwierdził Monty. – Teraz nawet nie rozmawia przez telefon. Wszystko załatwia Gruby Teddy.

– Nic nas nie obchodzi Carter, tylko broń – odrzekł Malone.

Może uda się powstrzymać krwawą łaźnię.

A zatem Malone próbuje być prawdziwym policjantem i odwalać prawdziwą policyjną robotę, żeby przywrócić pokój w swoim królestwie.

Ale nie jest w stanie przywrócić sobie spokoju wewnętrznego.

W jego własnej głowie odbywa się strzelanina.

Monty nie miał ochoty iść na mecz Rangersów.

– Czarni nie chodzą na lodowiska.

– Przecież są czarni hokeiści – zdziwił się Malone.

– To zdrajcy rasowi.

Zabraliby Levina na mecz, ale nawet łomem i granatem nie da się go oderwać od podsłuchiwania Grubego Teddy’ego, więc tylko Malone i Phil przyglądają się, jak Penguinsi niszczą szanse Rangersów na awans w tabeli. Siedzą z piwem w ręku i Russo pyta:

– Co się z tobą, kurwa, dzieje?

– A o co ci chodzi?

– Kiedy ostatni raz widziałeś swoje dzieci?

– A co, zostałeś moim spowiednikiem? Chcesz mnie wypieprzyć od tyłu, ojczy?

– Pij swoje piwo. Przepraszam, że zapytałem.

– Pojadę tam w weekend.

– Rób, co chcesz – mówi Russo, ale po chwili znowu pyta: – A co z tą czarną kobietą? Załatwiłeś tę sprawę?

– Jezu, kurwa, Chryste, Phil.

– Dobra, dobra.

– Czy możemy oglądać ten pieprzony mecz?

Oglądają ten pieprzony mecz, w którym Rangersi robią to, co zwykle robią Rangersi, to znaczy trwonią przewagę w trzeciej tercji i przegrywają w dogrywce.

Po meczu Malone i Russo idą do pubu Jack Doyle's na rozchodniaczka. Telewizor jest włączony na wiadomości. Wielebny Cornelius mówi o „policyjnych zabójstwach” w Ozone Parku.

Przy barze stoi jakiś pieprzony skurwysyn w garniturze i z rozluźnionym krawatem. Wygląda na prawnika.

– To była policyjna egzekucja! – wrzeszczy.

Russo dostrzega wyraz oczu Malone'a.

Widował to spojrzenie już wcześniej, a teraz Malone jest po kilku piwach i trzech pod rząd kolejkach Jamesona.

– Spokojnie.

– Niech spierdala.

– Nie zwracaj uwagi, Denny.

Ale krzykacz nie chce odpuścić i zaczyna wygłaszać przed całą salą wykład o „militaryzacji sił policyjnych”. A najzabawniejsze jest to, że Malone nawet się z nim zgadza, tylko po prostu nie jest w nastroju na to gównu.

Wpatruje się w tamtego, tamten w końcu to zauważa i oddaje mu spojrzenie, a wtedy Malone mówi:

– Na co się gapisz?

Tamten ma ochotę się wycofać.

– Na nic.

Malone zsuwa się ze stołka.

– Nie, kurwa. Na co się gapisz, pajacu?

Russo staje za nim i kładzie rękę na jego ramieniu.

– Daj spokój, Denny. Wyluzuj.

Malone odpycha jego rękę.

– Sam, kurwa, wyluzuj!

Kumple krzykacza próbują wyciągnąć go z baru. Russo uważa, że to dobry pomysł, odwraca się do nich i ponagla:

– Może zabierzecie swojego kolegę do domu?

– Kim ty jesteś, prawnikiem? – pyta krzykacza Malone.

– Prawdę mówiąc, zgadłeś.

– A ja jestem gliniarzem – odpowiada Malone. – Jestem, kurwa, detektywem policji miasta Nowy Jork!

– Wystarczy już, Denny.

– Odbiorę ci odznakę – mówi prawnik. – Jak się nazywasz?

– Denny Malone. Sierżant Dennis John Malone! Manhattan, kurwa, Północ!

Russo kładzie na barze kilka dwudziestek i mówi do barmana:

– Wszystko w porządku, już stąd idziemy.

– Najpierw muszę nakopać w dupę tej cipie – mówi Malone.

Russo staje między nimi, odpycha Malone'a i podaje prawnikowi wizytówkę.

– On miał ciężki tydzień, rozumiesz, i trochę za dużo wypił. Weź to. Gdybyś kiedyś potrzebował jakiejś przysługi, mandat czy coś, to zadzwoń.

– Twój kumpel to kretyn.

– Dzisiaj nie będę z tym polemizował. – Russo chwytając Malone'a wpół, wyciąga z baru na Ósmą Aleję i pyta zirytowany: – Denny, o co ci, kurwa, chodzi?

– Ten facet mnie wkurzył.

– Chcesz mieć na głowie Biuro Spraw Wewnętrznych, żeby Sykesowi kutas stanął jeszcze bardziej? Jezu!

– Chodźmy się napić.

– Lepiej idź do domu i się prześpij.

– Jestem detektywem policji miasta Nowy Jork.

– Słyszałem to już – mówi Russo. – Wszyscy słyszeli.

– Najlepsi w Nowym Jorku.

– Jasne, mistrzu.

Idą na parking i Russo odwozi go do domu, a potem prowadzi w górę po schodach.

– Denny, zrób coś dla siebie. Zostań tutaj. Nie wychodź już dzisiaj.

– Nie wyjdę. Jutro mam być w sądzie.

– No to będziesz doskonale wyglądał – mówi Russo. – Nastawisz sobie budzik czy mam do ciebie zadzwonić?

– Budzik.

– Zadzwonię. Prześpij się.

Sny po pijaku są najgorsze.

Może dlatego, że umysł jest już zamulony i łatwo poddaje się najbardziej chorym wizjom, jakie w nim krążą.

Dzisiaj Malone śni o rodzinie Clevelandów.

Dwoje dorosłych i troje dzieci – znaleźni martwi w mieszkaniu.

Egzekucja.

Dzieci proszą go o pomoc, ale on nie może im pomóc.

Nie może im pomóc, tylko stoi tam i płacze, płacze i płacze.

Wstaje rano i wypija pięć szklanek wody.

Głowa kurewsko go boli.

Whisky popita piwem jest dobra. Piwo popite whisky to katastrofa. Połyka trzy aspiryny, dwie deksedryny, bierze prysznic, goli się i ubiera. Do sądu wkłada białą koszulę z czerwonym krawatem, niebieski blezer, szare spodnie i wypastowane czarne buty.

Nie wkłada się garnituru do sądu, jeśli nie jest się co najmniej porucznikiem, żeby nie drażnić prawników i żeby ława przysięgłych

widziała w tobie uczciwego, ciężko pracującego służbistę.

Żadnych koszul ze spinkami.

Żadnego Armaniego ani Bossa.

Zwykle proste rzeczy ze sklepu Jos. A. Bank.

Mary Hinman na jego widok wybucha śmiechem.

– To twój mundurek szkolny?

Rude włosy, blada piegowata cera. Prokurator specjalny do spraw związanych z narkotykami. Gdyby była trochę wyższa, mogłaby się załapać do obsady „Riverdance”.

Ale Hinman jest mała, chociaż nie chce się do tego przyznać.

– Nie jestem mała – mówi, gdy zaczyna się rozmowa na ten temat. – Jestem skoncentrowana.

To szczerza prawda, myśli teraz Malone, siedząc przy stole naprzeciwko niej. Hinman jest zajadła. Metr sześćdziesiąt czystej zaciekłości wyrosłej na gruncie tradycji. Najpierw była katolicka szkoła dla dziewcząt, potem Uniwersytet Fordham, na koniec prawo na Uniwersytecie Nowojorskim. Kiedy Hinman siedzi na barowym stołku, jej nogi nie sięgają do podłogi, ale jest w stanie wygrać zawody w picciu z każdym. Malone sam się o tym przekonał. Pił z nią kolejka za kolejką tego wieczoru, gdy udało jej się skazać dilerę Coreya Gainesa, który zabił swoją dziewczynę.

Malone przegrał.

Hinman wsadziła go do taksówki.

Sama przyznaje szczerze, że jej ojciec był gliniarzem alkoholikiem, a matka żoną gliniarza alkoholika.

Hinman zna policjantów i wie, jak to wygląda. Mimo to w początkach jej kariery Malone musiał ją nauczyć kilku rzeczy, których nie nauczył jej ojciec. Prowadziła wtedy swoją pierwszą ważną sprawę związaną z narkotykami. Było to na długo przed tym, zanim łokciami utorowała sobie

drogę wśród mężczyzn i została prokuratorem specjalnym. Malone był wtedy w prewencji i nie nosił munduru.

Malone i jego ówczesny partner, Billy Foster, znaleźli w kamienicy na Sto Czterdziestej Ósmej Ulicy całe kilo koki. Dostali cynk od kapusia, ale to nie wystarczyło, żeby wydano im nakaz aresztowania. Malone nie zamierzał przekazywać tej sprawy wydziałowi narkotykowemu, bo chciał, żeby aresztowanie poszło na jego konto, więc obaj z Fosterem weszli tam z nakazem wystawionym za posiadanie broni, aresztowali dilerów i dopiero wtedy zgłosili sprawę.

Dostał ochrzany od sierżanta i od wydziału narkotykowego, ale jednocześnie zwrócono na niego uwagę. W innych okolicznościach nic by go nie obchodziło, czy aresztowany został skazany, ale chciał przypiąć sobie jego skalp do pasa i obawiał się, że początkujący prokurator, a do tego prokurator kobieta, może spieprzyć sprawę.

Hinman wezwała go w sprawie przygotowania świadków i powiedziała do niego:

– Po prostu powiedz prawdę i doprowadź do skazania.

– Czyli co z dwojga? – zapytał Malone.

– O co ci chodzi?

– Chodzi mi o to, że mogę powiedzieć prawdę albo mogę doprowadzić do skazania. Co wolisz?

– Jedno i drugie – odpowiedziała Hinman.

– Nie możesz mieć jednego i drugiego.

Gdyby powiedział prawdę, przegraliby sprawę już w postępowaniu dowodowym, bo Malone nie miał nakazu aresztowania ani uzasadnionej przyczyny, by wejść do mieszkania. Dowody, które zdobył, stałyby się „owocami z zatrutego drzewa” i diler wyszedłby wolno.

Hinman zastanawiała się przez kilka sekund, a potem powiedziała:

– Nie mogę pana namawiać do krzywoprzysięstwa ani do składania fałszywych zeznań. Mogę tylko poradzić, żeby zrobił pan to, co uważa za słuszne.

Mary Hinman już nigdy więcej nie namawiała Malone’a, żeby po prostu mówił prawdę.

Bo obydwójce wiedzą, że gdyby policjanci nie „zeznałgali”, gabinet prokuratora nie uzyskałby prawie żadnych wyroków skazujących.

Ale Malone nie ma nic przeciwko temu.

Gdyby świat grał czysto, on też grałby czysto, ale karty są ułożone przeciwko prokuratorom i policji. Prawa Mirandy, precedens Mappa, wszystkie inne decyzje Sądu Najwyższego dają przewagę bandytom. To tak jak w obecnym NFL: w lidze potrzebne są punkty, więc obrońcy nie wolno nawet dotknąć tego, który ma piłkę. Jesteśmy biednymi obrońcami, myśli Malone, którzy próbują powstrzymać złych ludzi przed zdobyciem punktu.

Prawda, sprawiedliwość i amerykański styl.

Amerykański styl polega na tym, że prawda i sprawiedliwość być może pozdrawiają się w korytarzu i wysyłają sobie kartki na Boże Narodzenie, ale na tym ich związek się kończy.

Hinman to rozumie.

Teraz siedzi po drugiej stronie stołu w jednym z gabinetów w budynku sądu i patrzy na Malone’a.

– Coś ty robił wczoraj wieczorem?

– Mecz Rangersów.

– Aha – mówi. – Jesteś przygotowany do zeznawania? Streść, co macie.

– Mój partner, detektyw sierżant Philip Russo – mówi Malone – i ja otrzymaliśmy od okolicznych mieszkańców informację, że przy Zachodniej Sto Trzydziestej Drugiej Ulicy pod numerem trzysta dwadzieścia cztery odbywa się jakaś podejrzana działalność. Prowadziliśmy obserwację tego



miejsca i widzieliśmy, jak podjechał tam biały cadillac escalade, z którego wysiadł oskarżony, pan Rivera. Nie miałem rozstrzygających dowodów, że są tam narkotyki, i z pewnością nie miałem wizualnych dowodów, które uzasadniałyby zatrzymanie podejrzanego.

To była najlepsza część zabawy. Trzeba odwrócić sytuację, żeby przekonać ławę przysięgłych, że mówi się prawdę. Poza tym ława przysięgłych ogląda telewizję i właśnie tego oczekuje.

– Skoro nie mieliście rozstrzygających dowodów, to jakim prawem wtargnęliście do budynku? – pyta Hinman.

– Pan Rivera nie był sam – odpowiada Malone. – Razem z nim z samochodu wysiadło dwóch innych mężczyzn. Jeden z nich niósł pistolet maszynowy MAC-10 z tłumikiem, a drugi TEC-9.

– I widzieliście je.

Malone wypowiada magiczne słowa:

– Były na publicznym widoku. Widzieliśmy je wyraźnie.

Jeśli broń jest wyraźnie widoczna, niepotrzebne są rozstrzygające dowody. Występuje powód bezpośredni. A broń była na publicznym widoku – leżała u stóp Malone’a.

– A zatem uzyskaliście prawo do wejścia pod podany adres – mówi Hinman. – Czy zidentyfikowaliście się jako funkcjonariusze policji?

– Tak. Wykrzyknąłem: „Policja miasta Nowy Jork!”. Odznaki na smyczkach mieliśmy wyłożone na kamizelki ochronne.

– Co się potem stało? – pyta Hinman.

Podrzuciliśmy broń maszynową tym durnym bandziorom.

– Podejrzani wypuścili broń z rąk.

– Co znaleźliście w mieszkaniu?

– Cztery kilogramy heroiny oraz amerykańskie studolarowe banknoty. Po przeliczeniu okazało się, że było tam pięćset pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

Hinman przechodzi teraz przez nudną część. Wymienia numery protokołów, skąd ma pewność, że przechwycona heroina to ta sama, która teraz znajduje się na sali sądowej, bla, bla, bla... i w końcu mówi:

– Mam nadzieję, że podczas procesu będziesz nieco bardziej ożywiony niż teraz.

– Zacytuję Allena Iversona – mówi Malone. – „Mówimy tu o praktyce. O praktyce”.

– Mówimy o Gerardzie Bergerze – odpowiada Hinman.

Malone podsumowuje swoją opinię na temat Gerarda Bergera w następujący sposób:

– Gdyby płonął, nasikałbym na niego benzyną, żeby ugasić ogień.

Denny Malone najbardziej w życiu nienawidzi trzech rzeczy, niekoniecznie w podanym porządku:

1. Tych, którzy molestują dzieci
2. Szczurów (ludzkiej odmiany)
3. Gerarda Bergera

Obrońca nie wymawia tego nazwiska tak, jak wymawiano by je w snobistycznej restauracji P.J. Clarke's. Wymawia je „Berdziej” i upiera się, by Malone również tak mówił. On jednak nie zamierza tego robić, z wyjątkiem chwil, gdy stoi przed sądem, żeby nie sprawiać wrażenia aroganta.

We wszystkich innych miejscach mówi o nim Gerry Burger.

Malone nie jest osamotniony w swojej nienawiści do Bergera. Prokuratorzy, policjanci, funkcjonariusze więzienni i ofiary przestępstw – wszyscy go nie znoszą. Nawet jego klienci go nie znoszą, bo zanim sprawa dobiegnie końca, Berger staje się właścicielem większej części ich majątku.

Przejmuje ich pieniądze, domy, samochody, łodzie, a czasami również kobiety.

Ale, jak bezustannie im przypomina, w więzieniu nie wydaje się pieniędzy.

Klienci Bergera zwykle nie trafiają do więzienia. Wracają do domu albo dostają wyrok w zawieszeniu, albo trafiają na odwyk, albo na terapię kontroli emocji. Wracają do tego, co robili wcześniej, i zwykle jest to jakaś działalność kryminalna.

Bergera to nie obchodzi.

Przemytnicy narkotyków, mordercy, damscy bokserzy, gwałciciele, pedofile – Berger weźmie każdego klienta z grubym portfelem albo z historią, którą można sprzedać wydawcom lub filmowcom, a najlepiej jednym i drugim. Na przykład Diego Pena widział własne wcielenia w wykonaniu aktorów z pierwszej ligi. Niektórzy nawet przychodzili do niego po porady, on zaś kwitował te prośby jednym prostym zdaniem:

– Zachowuj się jak kompletny dureń.

Podobno jedyny przypadek, gdy klient Bergera do czegoś się przyznał, wydarzył się w talk-show Oprah Winfrey, ale jego wyznanie zostało zlekceważone.

Berger nie próbuje ukrywać swojego bogactwa, przeciwnie, ostentacyjnie się z nim obnosi. Szyte na miarę garnitury za wiele tysięcy dolarów, szyte na miarę koszule, buty i krawaty od znanych projektantów, drogie zegarki. Przyjeżdża do sądu ferrari albo maserati. Malone przypuszcza, że dostał te samochody w ramach zapłaty od klientów. Ma penthouse przy Upper East Side, letni dom w Hamptons, apartament narciarski w Aspen, przepisany na jego nazwisko przez wdzięcznego klienta, który obecnie rezyduje w Kolumbii, a poza tym na mocy zawartej z sądem umowy i tak nie może wrócić do Stanów Zjednoczonych.

Malone musi przyznać, że Berger jest bardzo dobry w tym, co robi. Doskonale radzi sobie z papierami. Jest geniuszem w zgłaszaniu wniosków, szczególnie wykluczających. Jest przebiegły i podstępny przy przesłuchaniach. Jest także mistrzem zdań otwierających oświadczenie oraz ostatecznych argumentów kończących dyskusję.

Największą tajemnicą jego sukcesu jest to, że jest skorumpowany.

Malone jest o tym przekonany.

Nigdy nie udało mu się tego udowodnić, ale gotów byłby postawić lewe jądro na to, że Berger opłaca sędziów.

Kolejny brudny sekret tak zwanego systemu sprawiedliwości.

Większość ludzi nie zdaje sobie sprawy z tego, że sędziowie nie zarabiają zbyt dużo, a zwykle muszą mnóstwo wydać, żeby dostać togę. Z prostej matematyki wynika, że wielu z nich można kupić.

Nie trzeba wiele, żeby przesądzić los sprawy, wystarczy uwzględnić albo odrzucić wniosek, wykluczyć albo dopuścić dowody, pozwolić zeznawać albo odesłać świadka. Drobne sprawy, niuanse mogą ocalić winnego oskarżonego.

Palestra obrońców wie – cholera, wszyscy wiedzą, które sprawy można kupić. Jednym z najbardziej lukratywnych stanowisk sędziowskich jest układanie grafiku rozpraw. Za odpowiednie pieniądze można kupić przyznanie sprawy sędziemu, który już wcześniej został kupiony.

A w każdym razie wynajęty.

Malone i Hinman przesłuchują świadków oskarżenia, a potem mają kilka minut wolnego, zanim dobierze się do nich Berger. Malone idzie się wysrać. Gdy wychodzi z kabiny, żeby umyć ręce, widzi przy sąsiedniej umywalce Bergera.

Patrzają na siebie w lustrze.

– Detektyw sierżant Malone – mówi Berger. – Co za przyjemność.

– Hej, Gerry Burger. Jak leci?

– Wszystko w najlepszym porządku – mówi Berger. – Nie mogę się już doczekać. Mam zamiar cię upokorzyć, zetrzeć z powierzchni ziemi i udowodnić, że jesteś zakłamanym i skorumpowanym policjantem, jakim jesteś naprawdę.

– Kupiłeś sędziego, Gerry?

– Skorumpowani widzą wszędzie korupcję – odpowiada Berger, wycierając ręce. – Do zobaczenia na miejscu dla świadka, sierżancie.

– Hej, Gerry! – woła za nim Malone. – W twoim gabinecie nadal śmierdzi psim gównem?

Znajomość Malone'a i Bergera sięga dawnych czasów.

Staje na miejscu dla świadka. Woźny przypomina mu, że zeznaje pod przysięgą.

Berger uśmiecha się do niego i mówi:

– Sierżancie Malone, czy wie pan, co to znaczy „zeznałgać”?

– Mniej więcej.

– W takim razie co to mniej więcej znaczy w kręgach policyjnych?

– Sprzeciw – mówi Hinman. – Pytanie jest nieistotne.

– Świadek może odpowiedzieć.

– Słyszałem to słowo w odniesieniu do policjantów, którzy w sądzie nie mówili całej prawdy – odpowiada Malone.

– Całej prawdy – powtarza Berger. – A czy istnieje coś takiego jak niecała prawda?

– Sprzeciw. Ten sam powód.

– Do czego pan zmierza? – pyta sędzia.

– Za chwilę to wyjaśnię, Wysoki Sądzie.

– Dobrze, ale proszę wyjaśnić.

– Na każdą sprawę można spojrzeć z różnych punktów widzenia – odpowiada Malone.

– Aha. – Berger patrzy na ławę przysięgłych. – A czy nie jest prawdą, że policjantom zdarza się „zeznałgać” po to, żeby oskarżony, który ich zdaniem jest winny, został skazany bez względu na dowody i dopuszczalność tych dowodów?

– Słyszałem, jak używano tego słowa w takim kontekście.

– Ale pan nigdy tego nie robił?

– Nie – odpowiada Malone. Jeśli nie liczyć kilkuset wyjątków.

– Nawet w ostatniej pańskiej odpowiedzi? – pyta Berger.

– Sprzeciw! To jest dręczenie świadka.

– Podtrzymuję – mówi sędzia. – Proszę przejść dalej, panie obrońco.

– Zeznał pan, że nie mógł pan wejść do tego mieszkania, bo nie miał pan rozstrzygających dowodów, że są tam narkotyki. Czy to się zgadza?

– Tak.

– I zeznał pan pod przysięgą, że zdobył pan podstawy do wejścia, gdy zobaczył pan moich klientów z bronią. Czy to się zgadza?

– Tak.

– Czy widział pan tę broń?

– Była na widoku publicznym – mówi Malone.

– Czy to znaczy, że pan potwierdza?

– Tak.

– A poza tym, że widział pan broń, która znajdowała się „na widoku publicznym”, nie miał pan innych podstaw, aby naruszyć mir domowy. Czy to się zgadza?

– Zgadza się.

– A kiedy zobaczył pan tę broń – ciągnie Berger – była ona w rękach podejrzanych. Czy to też się zgadza?

– Tak.

– Chciałbym włączyć do materiału dowodowego ten dokument – mówi Berger.

– Co to jest? – pyta Hinman. – Nie zawiadomiono nas o tym wcześniej.

– Właśnie to otrzymałem, Wysoki Sądzie.

– Proszę obie strony o podejście.

Malone patrzy na Hinman, która podchodzi do sędziego. Spogląda na niego ze zdziwieniem, ale on również nie ma pojęcia, co się dzieje.

– Wysoki Sądzie – mówi Berger – to jest protokół zatrzymania materiału dowodowego z datą dwudziestego drugiego maja dwa tysiące trzynastego roku. Proszę zauważyć, że dotyczy on pistoletu MAC-10, numer seryjny B-7842A14.

– Tak.

– Ten pistolet wymienionego dnia został zatrzymany jako materiał dowodowy przez Trzydziesty Drugi Komisariat, który oczywiście znajduje się na północnym Manhattanie.

– Jakie to ma znaczenie?

– Jeśli Wysoki Sąd pozwoli – mówi Berger – wykażę, jakie to ma znaczenie.

– Sąd pozwala.

– Sprzeciw – mówi Hinman. – Nie mieliśmy sposobności zapoznać się z tym dokumentem.

– Proszę zachować sprzeciw na postępowanie apelacyjne, pani Hinman.

Berger podaje Malone'owi dokument.

– Czy wie pan, co to jest?

– Tak, to jest protokół zatrzymania pistoletu MAC-10 odebranego jednemu z podejrzanych.

– Czy to pański podpis?

– Tak.

– Czy może nam pan odczytać numer seryjny tej broni? – pyta Berger.

– B-7842A14.

Berger podaje mu następny dokument.

– Czy wie pan, co to jest?

– Wygląda na następny protokół zatrzymania materiału dowodowego.

– Nie tylko „wygląda”. To jest protokół zatrzymania, nieprawdaż?

– Tak.

– I dotyczy pistoletu MAC-10, zgadza się?

– Zgadza się.

– Proszę odczytać nam datę wystawienia tego dokumentu.

– Dwudziesty drugi maja dwa tysiące trzynastego roku.

Niech to szlag, myśli Malone. Niech to jasny szlag! Zapewniali mnie, że ta broń jest absolutnie czysta.

Berger prowadzi go wprost na skraj przepaści i nie da się go już powstrzymać.

– A teraz proszę odczytać nam numer seryjny pistoletu MAC-10 przejętego trzynastego lutego dwa tysiące piętnastego roku.

Przejebane, myśli Malone.

– B-7842A14.

Słyszy reakcję ławy przysięgłych. Nie patrzy na nich, ale wie, że dostrzegłby w ich oczach sztylety.

– To ta sama broń, prawda? – pyta Berger.

Skąd on, kurwa, wziął ten papier? – zastanawia się Malone.

Tak samo, jak wszystko inne, idioto. Kupił go.

– Na to wygląda.

– A zatem – mówi Berger – czy jako doświadczony funkcjonariusz policji może nam pan powiedzieć, jakim sposobem ta sama broń mogła



jednocześnie pozostawać zamknięta w magazynie dowodów Trzydziestego Drugiego Komisariatu i magicznie pojawić się „na widoku publicznym” w rękach podejrzanych wieczorem trzynastego lutego dwa tysiące piętnastego roku?

– Sprzeciw. To jest prośba o spekulacje.

– Dopuszczam pytanie. – Sędzia jest wyraźnie wkurzony.

– Nie wiem – mówi Malone.

– No cóż, możliwości są ograniczone – mówi Berger. – Czy to możliwe, by broń została skradziona z magazynu dowodowego i sprzedana rzekomym handlarzom narkotyków? Czy istnieje taka możliwość?

– Przypuszczam, że to możliwe.

– A może jest bardziej prawdopodobne – mówi Berger – że wziął pan tę broń, żeby podrzucić ją podejrzanym i mieć pretekst do wejścia do domu?

– Nie.

– Nie dopuszcza pan takiej możliwości, sierżancie? – pyta Berger. Widać, że doskonale się bawi. – Czy nie jest możliwe, że wpadł pan do tego domu, postrzelił dwóch podejrzanych, w tym jednego śmiertelnie, podrzucił im broń, a potem kłamliwie przedstawił nam obraz sytuacji?

Hinman zrywa się z miejsca.

– Sprzeciw! To są spekulacje. obrońca domaga się hipotez. Wysoki Sądzie, obrona...

– Proszę podejść do ławy.

– Wysoki Sądzie – mówi Hinman. – Nie znamy pochodzenia tego dokumentu. Nie mieliśmy czasu potwierdzić jego wiarygodności i prawdziwości.

– Do diabła, Mary – mówi sędzia. – Jeśli to jest ustawiona sprawa...

– W żadnym wypadku nie chciałbym niczego zarzucać etyce pani Hinman – mówi Berger – ale faktem jest, że jeśli sierżant Malone nie

widział tej broni, choć twierdzi, że widział, to nie miał żadnych podstaw, by wejść do budynku, dlatego wszelkie dowody znalezione w środku są owocem z zatrutego drzewa. Wysoki Sądzie, zamierzam złożyć wniosek o ich odrzucenie.

– Nie tak szybko – mówi Hinman. – Obrońca sam wspominał o tym, że broń mogła zostać skradziona z komisariatu i...

– Głowa mnie przez was rozboli. – Sędzia wzdycha, po czym dodaje: – Zamierzam wykluczyć MAC-10 z materiału dowodowego.

– Zostaje jeszcze TEC-9.

– No tak – mówi Berger. – Ława przysięgłych ma uwierzyć, że jeden z pistoletów jest wątpliwego pochodzenia, ale drugi całkiem czysty. No, proszę was!

Malone wie, że Hinman zastanawia się nad możliwościami. Każda z nich jest gorsza od poprzedniej.

Jedna jest taka, że funkcjonariusze NYPD sprzedają handlarzom narkotyków broń automatyczną pochodzącą z materiałów dowodowych, a druga, że wielokrotnie odznaczany detektyw NYPD złożył fałszywe zeznania.

Jeśli zgodzi się przyjąć którąkolwiek z tych wersji, zaleje ich powódź nagłówków gazetowych, strzelanina okaże się nielegalna, a Biuro Spraw Wewnętrznych rozpocznie dochodzenie w sprawie sierżanta Denny'ego Malone'a i będzie kwestionować wszystkie jego poprzednie zeznania w sądzie. Hinman może stracić nie tylko tę sprawę, ale również dwadzieścia poprzednich. Dwudziestu winnych i skazanych bandytów wyjdzie z więzienia, a ona straci pracę.

Pozostaje tylko jedna możliwość.

Malone słyszy, jak Hinman pyta Bergera:

– Czy pański klient byłby gotów zawrzeć ugodę?

– To zależy od propozycji.

Malone czuje, jak zółć podchodzi mu do gardła, gdy Hinman mówi:

– Jeden zarzut za posiadanie. Dwadzieścia pięć tysięcy dolarów grzywny, dwa lata więzienia z uwzględnieniem czasu spędzonego w areszcie i deportacja.

– Dwadzieścia tysięcy bez kary więzienia i deportacja.

– Wysoki Sądzie? – pyta Hinman.

Sędzia jest zniesmaczony.

– Jeśli oskarżony się zgadza, ja przyjmuję wniosek o ugodę i zatwierdzę uzgodnioną karę.

– Jeszcze jedno – mówi Hinman. – Treść tego postępowania nie zostanie ujawniona.

– Ja nie mam nic przeciwko temu. – Berger uśmiecha się krzywo.

W sali sądu nie ma żadnych dziennikarzy, myśli Hinman. Istnieją spore szanse, że ta sprawa nie zwróci na siebie publicznej uwagi.

– Postępowanie zostaje utajnione – mówi sędzia. – Mary, sąd nie jest z tego zadowolony. Przygotuj papiery i przyślij do mnie Malone’a.

Sędzia podnosi się. Hinman podchodzi do Malone’a.

– Ja cię, kurwa, zabiję.

Berger tylko się do niego uśmiecha.

Malone idzie do gabinetu sędziego, który nie prosi go, by usiadł.

– Sierzancie Malone, brakowało trzech sylab, żeby stracił pan odznakę, pistolet i został skazany za składanie fałszywych zeznań.

– Podtrzymuję swoje zeznania, Wysoki Sądzie.

– Russo i Montague też je podtrzymają – mówi sędzia. – Niebieski mur.

Właśnie tak, myśli Malone.

Ale trzyma język za zębami.

– Przez pana – mówi sędzia – muszę wypuścić oskarżonego, który niemal ze stuprocentową pewnością jest winien. Muszę to zrobić, żeby chronić NYPD, które powinno chronić nas.

To przez Bergera, kretynie, myśli Malone. I przez jakichś bezmyślnych durniów z Trzydziestego Drugiego, tak leniwych, że nie chciało im się wyrzucić do kosza starego kwitu dowodowego. Albo może siedzą w kieszeni u Bergera. Tak czy owak, dowiem się, kto to taki.

– Czy ma pan coś do powiedzenia, sierżancie?

– Wysoki Sądzie, ten system jest popieprzony.

– Sierżancie Malone, proszę wyjść. Kiedy na ciebie patrzę, robi mi się niedobrze.

Od mojego widoku robi ci się niedobrze, myśli Malone, wychodząc. Ty hipokryto! To mnie robi się niedobrze na twój widok. Właśnie wziąłeś udział w rozmydleniu tej sprawy. Doskonale wiesz, co się dzieje. Nie chronisz policji z dobrego serca, tylko dlatego, że musisz. Ty też jesteś częścią systemu.

Hinman czeka na niego w holu.

– Losy nas obojga ważyły się na skraju przepaści – mówi. – Musiałam zaproponować temu draniowi układ, żeby nas ocalić.

Biedactwo, myśli Malone. Ja codziennie zawieram takie i jeszcze o wiele gorsze układy.

– Wiedziałaś, w co grasz, więc nie zgrywaj teraz Joanny d’Arc.

– Nigdy ci nie kazałam składać fałszywych zeznań.

– Nic cię nie obchodzi, co robię, dopóki udaje ci się uzyskać wyroki – odpowiada Malone. – Mówisz: rób to, co musisz zrobić, ale kiedy coś pójdzie nie tak, wtedy zaczynasz mówić: graj według reguł. Będę grał według reguł, kiedy wszyscy inni zaczną tak grać.

Gdy wychodzi, przez głowę przebiega mu podsumowująca myśl:  
w końcu nie bez powodu to się nazywa Sądy Kryminalne.

## ROZDZIAŁ 15

Malone spotyka się ze swoją załogą przy Montefiore Square, który wbrew nazwie wcale nie jest kwadratem, tylko trójkątem uformowanym przez Broadway, Hamilton Place i Sto Trzydziestą Ósmą Ulicę.

– Co mamy? – pyta.

– Gruby Teddy w ciągu ostatnich trzech dni trzydzieści siedem razy dzwonił na numery z kierunkowym Georgii – mówi Levin. – Transport przyjdzie z całą pewnością.

– No tak, ale dokąd ma przyjść?

– Teddy poda im adres dopiero w ostatniej chwili – mówi Levin. – Jeśli będzie rozmawiał ze swojego biura, to może się dowiemy, ale jeśli z ulicy, to będziemy wiedzieli, że dzwoni, ale nie usłyszymy, co mówi.

– Dostaniemy zezwolenie na podsłuch w telefonach Teddy’ego? – pyta Monty.

– W oparciu o to, czego dowiedzieliśmy się z nielegalnego podsłuchu? – zauważa Malone. – Nie w tych czasach.

Levin uśmiecha się szeroko.

– Z czego się tak cieszysz? – pyta Russo.

– A gdybyśmy zgarnęli Teddy’ego?

Russo wzrusza ramionami.

– Nic nam nie powie.

– Nie – mówi Levin. – Mam lepszy pomysł.

Wyjaśnia im, o co chodzi.

Trzej starsi policjanci spoglądają na siebie i w końcu Russo mówi:

– No i widzisz, właśnie na tym polega różnica między miejskim college'em a Uniwersytetem Nowojorskim.

– Siądź nad tym – mówi Malone do Levina. – I daj nam znać, kiedy będzie gotowe.

Malone rozmawia z Sykesem w gabinecie kapitana.

– Potrzebuję pieniędzy na zakup – mówi.

– Na co?

– Broń Cartera nadchodzi Żelaznym Szlakiem. Ale Mantell nie sprzeda jej Carterowi, tylko nam.

Sykes obrzuca go przeciągłym spojrzeniem.

– A zasada legalności dowodów?

– Nie będzie żadnych problemów. Zrobimy to na ulicy.

– Pod jaką przykrywką?

– Informator poda nam miejsce spotkania. Pójdziemy tam zamiast niego.

– Ten informator ma teczkę?

– Jak tylko stąd wyjdę, to mu założę.

– Ile?

– Pięćdziesiąt tysięcy – mówi Malone.

Sykes wybucha śmiechem.

– Mam iść do McGiverna po pięćdziesiąt tysięcy dolarów, bo ty usłyszałeś coś, czego nie powinieneś usłyszeć?

– Będę miał spisane i zaprzysiężone oświadczenie informatora.

– Jak tylko wyjdiesz z tego gabinetu.

– McGivern zdobędzie te pieniądze – mówi Malone. Ryzykuje, ale musi to zrobić. – Jeśli powie mu pan, że chodzi o mnie – dodaje.

Sykesowi trudno jest to przełknąć.

– Kiedy to ma się odbyć?

Malone wzrusza ramionami.

– Wkrótce.

– Porozmawiam z inspektorem, ale w tej sprawie wszystko ma przebiegać regulaminowo. Będziesz mnie informował o każdym kolejnym kroku.

– Jasne.

– A kiedy przyjdzie co do czego, chcę, żebyś wziął jeszcze jeden oddział. Weź Torresa i jego ludzi.

– Kapitanie...

– Co takiego?

– Nie Torresa.

– A co jest nie tak z Torresem?

– Musi mi pan zaufać w tej sprawie – mówi Malone.

Sykes przygląda mu się przez kilka długich sekund.

– Co ty mi próbujesz powiedzieć, sierżancie?

– Mój oddział zajmie się zakupem – mówi Malone. – Mundurowi i tajniacy niech się zajmą sprzedawcą. Może pan rozdysponować zasługi, jak pan tylko chce. Całe Task Force będzie świętować.

– Ale nie Torres.

– Ale nie Torres.

Znów milczenie.

Kolejne spojrzenie.

W końcu Sykes mówi:

– Jeśli spieprzysz coś w tej sprawie, Malone, to podpalę ci pod tyłkiem tak, że nigdy tego nie ugasisz.

– Uwielbiam, kiedy pan tak do mnie mówi, szefie.

– Czy składałeś fałszywe zeznania w sprawie Rivery? – pyta go Paz.

– Z kim pani jadła lunch? – odparowuje Malone. – Z Gerrym Bergerem?

Paz rzuca teczkę na stół.



– Odpowiedz mi na pytanie.

– Te akta były utajnione – mówi Malone. – Jakim sposobem Berger je zdobył i dał wam?

Paz nie odpowiada.

– Myślicie, że ten gnojek wygrywa wszystkie sprawy, bo jest taki genialny? Bo wszyscy jego klienci są niewinni? Myślicie, że nigdy nie kupił wyroku? Że kopertą nie załatwił sobie odrzucenia dowodów?

– Nie musiał załatwiać sobie odrzucenia twoich dowodów w tej sprawie – mówi Paz. – Sfabrykowałeś przyczynę aresztowania, a potem składałeś fałszywe zeznania.

– Skoro tak pani mówi.

– Tak wynika z akt. Czy Mary Hinman zwykle pozwala na takie praktyki przy swoich sprawach?

– Teraz będziecie szukać dowodów przeciwko niej?

– Jeśli jest skorumpowana.

– Nie jest – odpowiada Malone. – Zostawcie ją w spokoju.

– Dlaczego? Pieprzysz ją?

– Jezu Chryste.

– Jeżeli składałeś fałszywe zeznania, to nasza umowa jest nieważna – oznajmia Paz.

– Proszę bardzo – mówi Malone i wysuwa ręce przed siebie, zapraszając, by zakuła go w kajdanki. – Mówię poważnie. Zróbcie to od razu.

Paz patrzy na niego ze złością.

– Tak myślałem. – Opuszcza ręce. – Wie pani, dlaczego pani tego nie zrobi? Precedens Brady versus Maryland. Musiałaby pani powiadomić obrońców, że policjant, który zeznawał w ich sprawach, świadomie skłamał pod przysięgą. Bo jeśli powiem, że to zrobiłem, trzeba będzie otworzyć czterdzieści czy pięćdziesiąt starych spraw, które zakończyły się skazaniem,

i trzeba będzie zacząć od nowa procesy tych, którzy teraz siedzą w więzieniach. Niektórzy zaczną też pytać, czy pani koledzy prokuratorzy wiedzieli, że kłamałem, i tolerowali to, żeby uzyskać wyroki skazujące. Więc proszę nie opowiadać mi tych świętojebliwych, protekcyjnalnych bzdur, bo mogę się założyć, że pani musiała robić to samo, żeby trafić tam, gdzie pani jest teraz.

W pokoju zapada milczenie.

– Pieprzeni federalni – mówi Malone. – Gotowi jesteście łągać, oszukiwać i sprzedać własną matkę w zamian za skazanie. Ale kiedy to samo robi policjant, jest to złe.

– Zamknij się, Denny – mówi O'Dell.

– Dostaliście już... ile? Sześć, siedem oskarżeń? Kiedy to się skończy? Ilu jeszcze potrzebujecie?

– Skończy się wtedy, kiedy powiemy ci, że się skończy – mówi Paz.

– To znaczy kiedy? Jak wysoko chcecie dojść? Ma pani jaja, pani Paz, ale czy są wystarczająco duże, żeby dobrać się do sędziów? Jak pani myśli, ile oni zarabiają po podatku? Wystarczy na apartament w West Palm? A na darmowe wycieczki do Vegas? Wydają kupę pieniędzy i odpisują to sobie od podatku. Interesuje panią, jak to się dzieje?

– Naraz zacząłeś prowadzić krucjatę? – wtrąca Weintraub.

– Jeśli coś wiesz... – mówi Paz.

– Wszyscy wiedzą – odpowiada Malone. – Nawet pieprzony Hindus, który sprzedaje gazety. Każdy dziesięcioletni chłopak na rogu ulicy o tym wie. A ja pytam, jak to się dzieje, że wy o tym nie wiecie?

Milczenie.

– Widzę, że nagle zrobiło się tu bardzo cicho – mówi Malone.

– Musimy zacząć od dołu i iść do góry – odpowiada O'Dell.

– To bardzo wygodne – mówi Malone. – Bardzo wygodne dla was. Nie musicie ryzykować własnej dupy.

– Nie zmiernam tu siedzieć i słuchać pouczeń od zdeprawowanego gliniarza – mówi Paz.

– Ależ nie musi pani – odpowiada Malone i podnosi się.

– Siadaj, Denny – odzywa się O'Dell.

– Dostaliście już ode mnie to, czego chcieliście – mówi Malone. – Podałem wam nazwiska wszystkich prawników, z którymi współdziałałem. Ja już skończyłem swoje.

– W takim razie oskarżymy cię – mówi Paz.

– A tak. Postawcie mnie na miejscu oskarżonego. Zobaczycie wtedy, jakie nazwiska wymienię i co się stanie z waszymi karierami.

– Moje zawodowe nadzieje i ambicje nie mają z tym nic wspólnego – odpowiada Paz.

– A ja jestem Świętym Mikołajem.

Malone idzie do drzwi.

– Wiesz co, Malone, masz rację – mówi Paz. – Powiedziałeś nam już wszystko o prawnikach. Teraz chcę policjantów.

Ty durny irlandzki sukinsynu, myśli Malone, prawnicy byli tylko wstępem, żeby cię złapać w sidła. Ile razy rozgrywałeś w ten sam sposób swoich donosicieli? Gdy już raz odbierzesz im cnotę, są twoi. Wystawiasz ich na ulicę i wykorzystujesz.

Ale ty myślałeś, że z tobą będzie inaczej, głupi cieciu.

– Przecież mówiłem od samego początku, że nie wydam żadnych gliniarzy – mówi.

– Dasz mi policjantów, bo jak nie, to gdy odtajnimy oskarżenia wobec prawników, ujawnię, że to ty ich wysypałeś. – Paz milknie na chwilę dla lepszego efektu, a potem uśmiecha się do niego. – Biegnij, Denny, biegnij.

Ta suka złapała cię za jaja, myśli Malone. Jesteś w pułapce. Jeśli zdradzi, że jesteś szcurem, to będziesz miał na karku wszystkich – cały departament, rodzinę Cimino i tych skurwysynów z ratusza. Już po tobie.

– Ty latynoska cipo – mówi do niej.

Paz uśmiecha się do niego.

– Latynoskie cipy cieszą się zasłużoną sławą. Każdy chce taką mieć. Dawaj tych policjantów. Na taśmie.

Wychodzi.

Malone czuje, że pokój zaczyna wirować mu w oczach, ale opanowuje się i mówi do O’Della:

– Mieliśmy umowę.

– Nie prosimy, żebyś wydał nam partnerów – odpowiada O’Dell. – Daj nam tylko jednego czy dwóch innych. Denny, na pewno są tacy policjanci, o których myślisz, że przekraczają granice. Brutalni policjanci. Tacy, których należałoby zdjąć z ulic.

– Nie pozwolę zrobić krzywdy moim partnerom – mówi Malone.

– W ten sposób ich ocalisz – przekonuje O’Dell. – Czy uważasz, że jesteśmy głupi? Przecież wiemy, że takiego numeru jak z Riverą nie dałbyś rady przeprowadzić sam. Jeśli oskarżymy cię o to, pociągniesz za sobą Russa i Montague’a.

– Oni są w twoich rękach, Malone – dodaje Weintraub. – Nie zwlekaj.

– Denny – odzywa się znów O’Dell. – Lubię cię. Myślę, że jesteś dobrym człowiekiem, który zrobił parę złych rzeczy, ale istnieje droga wyjścia z tego gówna dla ciebie i twoich partnerów. Jeśli będziesz z nami współpracował, to my będziemy współpracować z tobą.

– A Paz?

– Przecież musisz wiedzieć, że ona nie może zawrzeć takiej umowy – odpowiada O’Dell.

– Jak sądzisz, dlaczego stąd wyszła? – pyta Weintraub.

– To będzie ciche porozumienie – mówi O’Dell.

– Jeśli dam wam jednego czy dwóch, to czy dostanę wasze najświętsze słowo honoru, czy przysięgniecie na własne dzieci, że nie zrobicie krzywdy moim partnerom?

– Masz moje słowo – mówi O’Dell.

Jak się przekracza granicę?

Krok po kroku.

## ROZDZIAŁ 16

Grubby Teddy rusza do działania.

Na tyle szybko, na ile w ogóle potrafi się ruszać.

Siedząc po drugiej stronie Broadwayu w ciężarówce dostarczającej towar do sklepu monopolowego, Malone widzi, jak Teddy wychodzi ze sklepu żelaznego i idzie ulicą, rozmawiając przez telefon.

– Mam go – mówi Levin, patrząc na ekran iPada.

Tedy zadzwonił z trzech różnych telefonów pod ten sam numer komórki w Georgii, a teraz idzie Broadwayem w stronę centrum.

– Właśnie wybrał dwieście dwanaście – mówi Levin. – Manhattan.

– Żeby zawiadomić Cartera, że transport już jedzie – mówi Monty.

– Gdzie go zdejmujemy? – pyta Russo.

– Zaczekaj – mówi Malone.

Jadą równolegle do Teddy'ego, który przechodzi przez Sto Pięćdziesiątą Ósmą, skręca w Sto Pięćdziesiątą Siódmą, potem znów w prawo i wychodzi na Edward Morgan Place.

– Jeśli wejdzie do Kennedy's Chicken, dla mnie to już będzie za wiele stereotypów – mówi Monty.

Skrecają tuż za nim.

– Nie zauważył nas? – upewnia się Russo.

– Nie – odpowiada Malone. – Za dużo ma na głowie.

– To jego samochód – mówi Russo. – Przed kawiarnią.

– A więc zaczynamy. – Malone dzwoni do Śmierdziela. – Rób, co masz zrobić.

Śmierdziel nie miał najmniejszej ochoty włączać się do akcji.

– Człowieku, poprzednim razem o mało mnie nie dorwali. Nie chcę znowu wyjeżdżać do Baltimore.

– Nie będziesz musiał nigdzie wyjeżdżać.

Śmierdziel próbuje z innej strony:

– A Carter nie jest chroniony przez Torresę?

No tak, właśnie o to, kurwa, chodzi.

– Czy teraz ty dowodzisz Task Force? – odpowiada Malone. – Zastąpili Sykesa czarnym ćpunem, który wygląda jak Ichabod Crane, i nikt mnie o tym nie zawiadomił? To ja decyduję, gdzie mam pracować, pajacu.

– Ja tylko mówię...

– Ty nic nie mów, tylko rób, co ci każę.

Dlatego Śmierdziel jest teraz na ulicy i dzwoni pod dziewięćset jedenaście.

– Widzę mężczyznę z bronią palną. – Podaje adres.

Wiadomość zostaje przekazana przez radio i Russo odpowiada:

– Jednostka Manhattan Północ. Jesteśmy na miejscu. Jedziemy tam.

Wyskakują z ciężarówki, idą za Teddym i chwytają go, zanim zdążył wejść do samochodu.

Teddy tym razem nie żartuje ani nie próbuje pyskować.

To poważna sprawa.

Monty przyciska go do samochodu.

Levin odbiera mu telefon.

– Przysięgam na Boga, jak odezwiesz się choćby słowem... – ostrzega go Malone.

Wpychają go do ciężarówki.

– Podobno jacyś śmierdzący gównem kowboje mają przyjechać do ciebie z Południa? – pyta Malone.

Teddy nie odpowiada.

Monty wchodzi do ciężarówki z aktówką w ręku.

– Patrzcie, co znalazłem.

Otwiera aktówkę. W środku widać pliki setek, pięćdziesiątek i dwudziestek.

– Oszczędź mi roboty, Teddy. Ile tu jest?

– Sześćdziesiąt pięć.

Malone wybucha śmiechem.

– Powiedziałeś Carterowi, że sześćdziesiąt pięć? Jaka jest prawdziwa cena?

– Pięćdziesiąt, sukinsynu.

Russo wyjmując piętnaście z aktówki.

– Żyjemy w smutnym, skorumpowanym świecie.

– Spotkałeś kiedyś osobiście Mantella czy tylko rozmawiałeś z nim przez telefon? – pyta Malone.

– A po co ci to wiedzieć?

– Powiem ci, co zrobimy. – Malone podnosi plik papierów. To dokumenty informatora wystawione na nazwisko Teddy’ego. – Albo w tej chwili zostaniesz moim konfidentem, albo te papiery przeciekną do Rafa Torresa, który sprzedaje je Carterowi.

– Zrobiłbyś mi to, Malone?

– Jak najbardziej. Właśnie ci to robię, durniu. Więc jaka jest twoja decyzja? Bo nie chciałbym, żeby twoi przyjaciele z Południa zaczęli się wkurzać.

– Nigdy nie spotkałem Mantella.

– Podpisz tutaj, tutaj i tutaj. – Malone podaje mu długopis.

Teddy podpisuje.

– Gdzie miała się odbyć wymiana?

– Przy Highbridge Park.



– A tamci o tym wiedzą?

– Jeszcze nie.

Dzwoni telefon Teddy’ego.

Levin patrzy na Malone’a.

– Georgia.

– Masz kod blokujący telefon? – pyta Malone.

– Nie.

Malone kiwa na Levina, który podsuwa telefon Teddy’emu.

– Gdzie jesteś? – pyta Teddy.

– Na Harlem River Drive. Gdzie mam jechać?

Teddy patrzy na Malone’a, który podsuwa mu notes.

– Na Dyckman, na wschód od Broadwayu – mówi Teddy. – W stronę wylotu z miasta Jest tam warsztat samochodowy. Zatrzymaj się w alejce.

– Masz pieniądze?

– A jak, kurwa, myślisz? – odpowiada Teddy.

Levin rozłącza rozmowę.

– Bardzo dobrze, Teddy – mówi Malone. – A teraz zadzwoń do Cartera i powiedz mu, że wszystko jest brylantowo.

– Co?

– Dobrze – wyjaśnia Monty.

Teddy wybiera numer, a Malone trzyma mu przed oczami formularz informatora, żeby nie zapomniał, jaka jest stawka.

– Tak, to ja – mówi Teddy do telefonu. – Wszystko w porządku... Dwadzieścia minut, może pół godziny... Dobra.

Rozłącza się.

– Rola godna Oscara – mówi Russo.

– Chłopaki czekają przy Highbridge Park? – pyta Malone.

– A jak myślisz?

– No to zbierzesz tę tłustą dupę i pojedziesz tam – mówi Malone. – Będziecie czekać na tych kowbojów, ale oni się nie pokażą.

– Nie potrzebujecie mnie do zakupu?

– Nie – mówi Malone. – Mamy własnego grubego czarnego. Słyszę, Teddy, jak kręcą ci się kółka w mózgu, więc pomyśl o jednym: jeśli twoi nowi biali przyjaciele nie pojawią się przy Dyckman, przekażę te papiery Carterowi.

– Co mam mu powiedzieć?

– Powiedz mu, żeby oglądał wiadomości – mówi Malone. – A potem jeszcze powiedz, żeby nie załatwiał interesów na moim terenie.

Teddy wysiada z ciężarówki.

Russo dzieli piętnaście tysięcy i podaje Levinowi jego udział.

Levin podnosi rękę.

– Wy sobie róbcie, co chcecie. Ja nic nie widziałem. Ja nie robię takich rzeczy.

– To tak nie działa – mówi Russo. – Albo w to wchodzisz, albo nie.

– Jeśli nie weźmiesz – dodaje Montague – to skąd mamy mieć pewność, że nie będziesz kłapał gębą?

– Nie jestem kapusiem – mówi Levin.

Malone czuje ściskanie w żołądku.

– Nikt nie mówi, że jesteś – odpowiada Montague. – Ale musisz mieć swój interes w tej zabawie, rozumiesz?

– Weź te pieniądze – mówi Russo.

– Jak chcesz, to oddaj na dobroczynność – dodaje Montague. – Wrzuć do skarbonki dla biednych.

– Wyślij do szpitala Świętego Judy – proponuje Malone.

– Wy tak robicie?

– Czasami.

– A co będzie, jak nie wezmę tych pieniędzy?

Russo łapie go za koszulę.

– Jesteś z Biura Spraw Wewnętrznych, Levin? Jesteś ich wysłannikiem?

– Zabierz te ręce.

Russo zabiera ręce, ale mówi:

– Zdejmuj koszulę.

– Co?

– Zdejmuj koszulę – powtarza Montague.

Levin patrzy na Malone'a.

Malone kiwa głową.

– Jezu Chryste. – Levin rozpina koszulę. – Zadowoleni?

– Może ma to pod jajami – mówi Russo. – Pamiętacie Leuciego?

– Jeśli masz pod jajami coś oprócz włosów, to lepiej powiedz o tym od razu – mówi Montague.

– Ściągaj to – dodaje Malone.

Levin potrząsa głową, rozpina pasek i zsuwa dżinsy do kolan.

– Do dupy też chcecie mi zajrzeć?

– A chciałbyś? – pyta Russo.

Levin znów naciąga dżinsy.

– To upokarzające.

– Nie traktuj tego osobiście – wyjaśnia Malone. – Ale nie chcesz wziąć pieniędzy, więc musimy się zastanawiać, o co ci chodzi.

– Ja po prostu chcę być gliniarzem.

– To bądź – mówi Malone. – Właśnie nałożyłeś na DeVona Cartera grzywnę w wysokości trzech kawałków.

– I tak to działa?

– I tak to działa.

Levin bierze pieniądze i liczy.

– Mało.

– O co ci chodzi?

– Piętnaście tysięcy podzielone przez cztery to trzy tysiące siedemset pięćdziesiąt – mówi Levin. – A tu jest równe trzy tysiące.

Wybuchają śmiechem i Russo mówi:

– No to teraz mamy w oddziale prawdziwego Żyda.

– Jedna działka idzie na koszty – wyjaśnia Malone.

– Jakie koszty? – dziwi się Levin.

– A co? – mówi Russo. – Chcesz zobaczyć dokładne sprawozdanie finansowe?

– Zabierz Amy na kolację i nie martw się o to – mówi Malone.

– Kup jej coś ładnego – dodaje Montague.

– Ale nie za bardzo ładnego – mówi Malone.

Russo podaje Levinowi grubą wzmocnianą kopertę i długopis.

– Zaadresuj do siebie i wrzuć do skrzynki, żebyś nie miał tego przy sobie.

Wsiadają do samochodu, przejeżdżają obok poczty, a potem jadą na Dyckman.

– A jeśli Teddy ich ostrzeże? – pyta Levin.

– To mamy przejebane – mówi Malone, ale łączy się przez radio z Sykesem i prosi o przysłanie wsparcia do Highbridge Park. Podaje mu markę, model i numer rejestracyjny samochodu Grubego Teddy’ego.

Levin jest zdenerwowany jak dziwka w kościele. Malone’a to nie dziwi, przecież stawka jest wysoka. To ma być wielka akcja z gatunku tych, które przechodzą do legendy i po których można dostać złotą odznakę. A w dodatku to był genialny pomysł Levina.

Dzwoni telefon Teddy’ego.

Monty odbiera.

- Gdzie jesteś?
- Zbliżam się do Dyckman od zachodu.
- Widzę cię – mówi Monty. – Żółta ciężarówka z logo Penske?
- To my.
- No to dawajcie.

Ciężarówka wjeżdża w alejkę.

Od strony pasażera wysiada z niej facet ze strzelbą.

Wygląda na motocyklistę – długie włosy, broda, skórzana kurtka z logo ECMF. Na szyi ma wytatuowaną swastykę i 88, numeryczny odpowiednik nazistowskiego pozdrowienia *Heil Hitler*.

Tak czy owak, ten skurwysyn wygra, myśli Malone. Zarobi trochę kasy i dostarczy „brudasom” narzędzi, żeby mogli się nawzajem powybić.

Monty wysiada z ciężarówki z uniesioną lewą ręką. W prawej trzyma aktówkę. Malone i Russo wychodzą za nim, osłaniając tył i boki. Mają otwarte pole do strzału.

Malone widzi, że motocyklista wydaje się zdenerwowany.

- Nie spodziewałem się białych.
- Chcieliśmy, żebyś czuł się komfortowo – odpowiada Monty.
- Nic o tym nie wiem.
- Tu dokoła jest mnóstwo czarnych – mówi Monty. – Tylko nie widzisz ich, bo jest ciemno.
- Zaczekaj chwilę. – Motocyklista wybiera numer Teddy’ego, słyszy, jak telefon dzwoni w kieszeni Monty’ego, i rozluźnia się nieco. – Dobra.
- Dobra – mówi Monty. – Co masz dla mnie?

Kierowca wysiada, obchodzi samochód i otwiera tył. Malone idzie za Montym i gdy motocyklista zaczyna otwierać skrzynki, zagląda do środka. Jest tam tyle broni, że chłopaki z wydziału zabójstw mieliby co robić przez

dwa lata – rewolwery, automaty, strzelby i automatyczne strzelby. AK, trzy AR15, w tym bushmaster.

– Wszystko jest – mówi motocyklista.

Monty kładzie teczkę na klapie samochodu.

– Pięćdziesiąt kawałków. Chcesz przeliczyć?

Chce. Zaczyna liczyć pliki znaczonych, zarejestrowanych banknotów.

– Zgadza się.

Malone i Russo rozładowują broń i przenoszą ją do ciężarówki sklepu monopolowego.

– Powiedz Mantellowi, że kupimy wszystko, co tylko zdołasz nam dostarczyć – mówi Monty.

Motocyklista uśmiecha się.

– O ile tylko będziecie tego używać przeciwko innym kolorowym.

– Może jeszcze przeciwko gliniarzom. – Monty nie potrafi się powstrzymać.

– Jak dla mnie, może być.

Dla ciebie może być, myśli Malone. Zobaczymy, jak ci się spodoba, kiedy jakiś klawisz rozłucze ci nerki na galarete, ty nagrany metamfetaminą pożeraczu wołowiny, ty wieśniacki kazirodco! Zafundowałbym ci tę przyjemność od razu, gdyby nie to, że chcę podarować tę akcję Sykesowi i Da Force.

Kończą rozładunek.

– Wiesz, jak wyjechać z miasta? – pyta Monty kierowcę.

Monty myśli o wszystkim. Sykes umieścił oddziały we wszystkich kierunkach, ale dzięki temu dowie się, którą drogą ciężarówka pojedzie.

– Pewnie tak samo jak przyjechałem – mówi kierowca.

– Możesz pojechać prosto przez Dyckman aż do Henry Hudson, potem na południe do mostu Waszyngtona i drogą numer dziewięćdziesiąt pięć do

Dixie.

– Jakoś sobie poradzimy – mówi motocyklista.

– Kurwa mać. – Monty potrząsa głową. – Gdybyśmy chcieli was obrabować, zrobilibyśmy to tutaj i nie ganialibyśmy się z wami po autostradach.

– Mantell się z wami skontaktuje.

– *Heil Hitler.*

Ciężarówka Penske wycofuje i w rozkwicie paranoi zawraca na Dyckman, zamierzając znów przejechać przez całe miasto, zanim wyjedzie na drogę szybkiego ruchu.

Malone włącza radio.

– Podejrzany jedzie na wschód przez Dyckman.

– Mamy go na kamerze – mówi Sykes.

Levin uśmiecha się szeroko.

– Teraz poczekaj – mówi Malone.

Naraz rozlegają się syreny i krzyki. Malone i Levin wychodzą na ulicę i widzą czerwone błyski nadjeżdżających radiowozów.

– No cóż – mówi Malone. – Co najmniej dwie matki nie zostaną dzisiaj wypieprzone. Levin, odwaliłeś kawał dobrej policyjnej roboty.

– Dzięki.

– Poważnie – mówi Malone. – Ocaliłeś życie wielu ludziom.

Nadjeżdża radiowóz. Z tylnych drzwi wysiada Sykes w pełnym umundurowaniu, świeżo ogolony, gotowy na kamery.

– Co tu mamy, sierżancie?

– Chodźmy. – Malone prowadzi go do ciężarówki.

Sykes patrzy na broń.

– Jezu Chryste.

– Dzwonił pan do McGiverna? – pyta Malone.

Jeśli Sykes od razu nie ściągnie tu McGiverna, inspektor będzie na każdym kroku upieprzał mu karierę aż do samej emerytury.

– Nie, sierzancie. Jestem zupełnym idiotą – mówi Sykes. – Już tu jedzie.

Wciąż patrzy na broń.

Malone wie, co to dla niego znaczy.

Oczywiście to wielki sukces w karierze, ale chodzi też o coś więcej. Podobnie jak wszyscy inni, Sykes widział martwe ciała, widział krew, rodziny i pogrzeby.

Przez chwilę niemal zaczyna go lubić.

A sam znów czuje się jak policjant.

A nie jak szczur.

Policjant, który robi swoją robotę i chroni ludzi. Bo dzięki temu, co zrobili dzisiaj, w królestwie Malone’a będzie mniej śmierci i cierpienia.

Podjeżdża następny samochód i wysiada z niego McGivern.

– Świetna robota, panowie! – krzyczy. – Doskonała robota, kapitanie. Dzisiaj dobrze jest być policjantem w Nowym Jorku. – Podchodzi do Sykesa. – Przechwytał pan pieniądze, tak?

– Tak, sir – mówi Sykes.

Podjeżdżają kolejne samochody. Ekipa śledcza, ludzie z Task Force. Zaczynają robić zdjęcia i spisywać przechwyconą broń, zanim zabiorą ją na komisariat, gdzie zostanie wyłożona do obejrzenia na porannej konferencji prasowej.

Gdy już papiery są wypełnione, Sykes zadziwia wszystkich i ogłasza, że pierwsza kolejka w Dublin House jest na jego koszt.

Jak pierwsza, to i druga, a jak druga, to i trzecia, a potem nikt już nie liczy. Gdzieś między piątą a szóstą Malone odkrywa, że siedzi przy barze obok Sykesa.



– Gdyby ktoś mi kazał wymienić nazwisko najlepszego i najgorszego policjanta, z jakim pracowałem, powiedziałbym, że to Denny Malone – mówi Sykes.

Malone unosi szklanę.

Sykes również unosi swoją i pija.

– Nigdy wcześniej nie widziałem pana bez munduru – mówi Malone.

– Przez trzy lata byłem tajniakiem w Siedemdziesiątym Ósmym – mówi Sykes. – Uwierzyłyś w to?

– Nie. Nie mogę sobie tego wyobrazić.

– Miałem dredy.

– Co pan, kurwa, pieprzy.

– Z ręką na sercu – mówi Sykes. – To była doskonała robota, Malone.

Nie chcę nawet myśleć, co by było, gdyby ta broń trafiła na ulicę.

– DeVon Carter będzie niepokieszony.

– Pieprzyć Cartera.

Malone parska śmiechem.

– Co? – pyta Sykes.

– Przypomniało mi się coś – mówi Malone. – Monty, Russo, Billy O, ja i jeszcze z sześciu detektywów po służbie siedzimy przy tym barze i nagle wchodzi taki czarny chłopak... bez urazy... Staje w drzwiach z bronią i wrzeszczy, że to jest napad. Największy kretyn na świecie, nie? To musiał być jego pierwszy raz, bo miał jakieś dziewiętnaście lat i wyglądał na śmiertelnie przerażonego. Mierzy z pistoletu w Mike'a, który stoi za barem, a Mike tylko na niego patrzy i nagle ten biedny chłopak widzi dwanaście pistoletów wycelowanych w siebie, a wszyscy gliniarze śmieją się i krzyczą: „Wynoś się stąd, kurwa!”, więc chłopak obraca się na pięcie jak w kreskówce i wybiega za drzwi. Nawet za nim nie poszliśmy, tylko wróciliśmy do picia.

– Ale nie strzelaliście.

– To był durny dzieciak – mówi Malone. – Co za kretyn organizuje napad na policyjny bar?

– Desperat.

– Chyba tak.

– Wiesz, na czym polega różnica między tobą a mną? – pyta Sykes. – Ja bym za nim poszedł.

Dokoła nich rozkręca się impreza. Monty tańczy, Russo i Emma Flynn przepijają do siebie, Levin wpółleży na stole, Babyface rozwała kilku tajniaków w piwnego ping-ponga.

Malone ma wrażenie, że serce za chwilę mu pęknie.

Zdradzi tych ludzi.

Wyda policjantów.

Kładzie dwudziestkę na barze i mówi:

– Muszę już lecieć.

– Denny „Ostatnia kolejka” Malone? – dziwi się Sykes.

– Tak.

Muszę stąd iść, myśli, zanim upiję się bardziej i zacznę gadać, zanim wyleje się ze mnie poczucie winy, zanim zacznę szlochać na barze i opowiadać wszystkim, jakim jestem kawałkiem gówna.

Levin widzi, że Malone wstaje.

– Malone! Nie idź jeszcze!

Malone macha do niego.

– Malone! – krzyczy Levin, unosząc kufel. – Słuchajcie wszyscy. Wszyscy. Ej wy, sukinsyny, słuchajcie!

– Jutro to odcierpi – mówi Sykes.

– Żydzi nie umieją pić – komentuje Malone.

Levin z kuflem piwa uniesionym nad głową wygląda jak Statua Wolności z pochodnią.

– Panie i panowie z Da Force! Oto sierżant Denny Malone! Największy skurwysyn, największy kozak, największy pogromca bandytów na ulicach naszego pięknego miasta! Król północnego Manhattanu! Niech żyje król!

Pozostali podchwytyją hasło i krzyczą:

– Niech żyje król! Niech żyje król! Niech żyje król!

Sykes uśmiecha się do Malone’a.

– Pan jest w porządku, kapitanie – mówi Malone. – Nie za bardzo pana lubię, ale jest pan w porządku. Niech się pan opiekuje tymi ludźmi, okej?

– To moja praca. – Sykes rozgląda się po barze. – Kocham tych sukinsynów.

Ja też, myśli Malone.

Wychodzi.

To już nie jest jego miejsce.

Mieszkanie Claudette to też już nie jest jego miejsce.

Wraca do swojego mieszkania i samotnie wykańcza resztkę Jamesona.

## ROZDZIAŁ 17

Konferencja prasowa przypomina wieczór otwartego mikrofonu w lokalnym klubie kabaretowym.

Klasyka, myśli Malone.

Na stołach rozłożona jest broń, starannie oznakowana, piękna i śmiercionośna. Na podium stoi rząd szyszek w garniturach i mundurach, czekających na swoją kolejkę przy mikrofonie. Poza Sykesem, po którym nie widać nawet kaca, i McGivernem, jest tu Neely – szef detektywów, Isadore – szef patroli, komisarz policji Brady, zastępca komisarza, burmistrz oraz z jakichś powodów, których Malone nie jest w stanie przeniknąć, wielebny Cornelius.

McGivern wygłasza kilka słów autogratulacji dla departamentu, a potem przedstawia Sykesa, który technicznym żargonem opowiada o operacji, przechwyconej broni i o tym, jak bardzo dumny jest z wielu członków Task Force, którzy współdziałali ze sobą, by osiągnąć sukces.

Oddaje mikrofon komisarzowi, który rozszerza gratulacje na cały departament i specjalnie przeciąga swój czas przy mikrofonie, żeby burmistrz musiał czekać.

Gdy Ojciec Gospodarz dopada wreszcie mikrofonu, rozciąga zasługi na wszystkich urzędników związanych z ratuszem, a szczególnie i przede wszystkim na siebie, a potem opowiada, jak to dzięki współpracy policji i administracji miasto staje się bezpieczniejsze dla wszystkich. Na koniec przedstawia wielebnego.

Malone'owi już wcześniej zbierało się na mdłości, ale naprawdę ma ochotę się porzygać, gdy Cornelius wygłasza kazanie o lokalnej

społeczności, działaniu bez przemocy i ekonomicznych korzeniach owej przemocy, a także o tym, że miejscowa społeczność potrzebuje programów, a nie pogromów (i nikt nie ma pojęcia, o co tu, kurwa, chodzi). A potem tańczy na cienkiej linie, próbując przekonywać policję, by robiła więcej, i jednocześnie ostrzegać, by nie robiła zbyt wiele.

Podsumowując, myśli Malone, świetne wystąpienie.

Nawet prokurator federalny Isobel Paz, która reprezentuje Południowy Dystrykt Nowego Jorku i która tak wiele zrobiła, by walczyć z handlem bronią między stanami, chyba dobrze się bawi.

Telefon Malone'a dzwoni. To Paz. Widzi ją po drugiej stronie zatłoczonej sali.

– Tylko nie myśl, gnojku, że ci to w czymś pomoże. Nadal chcę policjantów.

– Teraz jeszcze bardziej, tak? – Malone patrzy prosto na nią. – Zauważyłem, że komisarz wygląda prawie jak burmistrz.

– Policjantów. Na taśmie. Już.

Klik.

Torres podchodzi do niego w szatni komisariatu Manhattan Północ.

– Musimy pogadać – mówi.

– Dobra – odpowiada Malone.

– Nie tutaj.

Wychodzą na zewnątrz, na drugą stronę ulicy, i zatrzymują się na zadrzewionym dziedzińcu przy kościele Marii Panny.

– Ty skurwysynu – mówi Torres.

Dobrze, myśli Malone. Im bardziej się rozzłości, tym lepiej. W złości Torres staje się lekkomyślny i popełnia błędy.

Staje groźnie tuż przed Malone'em.

– Odsuń się, zasłaniasz mi widok.

– Powinienem ci skopać dupę.

– Nie jestem jedną z twoich dziewczyn.

Głos Torresa staje się ochrypły.

– Coś ty, kurwa, narobił, przejmując ten transport! Ten na Dyckman. To mój teren. Miałeś się nie wcinać w Heights.

– Carter zawarł tę umowę na moim terenie.

– Właśnie przekazałeś swój teren w ręce Castilla, durniu – mówi Torres.

– Co Carter zrobi bez broni?

– Zginie?

– Miałem udział w tym interesie, Malone. Znaleźne.

– A co, teraz przyjmujemy reklamacje?

– Nie żartuj z moich pieniędzy, Malone.

– Dobra, dobra – mówi Malone, a potem, choć czuje się jak kawałek gówna, strzela prosto w dołek. Paz dostanie to, czego chce. – Ile ci trzeba, żeby to wyrównać? Ile wynosił twój udział?

Torres uspokaja się nieco, a potem sam pakuje głowę w pętlę:

– Piętnaście. Plus trzy, których Carter nie da mi w tym miesiącu, bo go wyruchaliśmy.

– Chcesz też to, co zebrało się na moim fiucie?

– Nie, to możesz sobie zatrzymać – mówi Torres. – Kiedy dostanę kasę?

– Spotkajmy się na parkingu – odpowiada Malone.

Idzie na parking, wyjmuje spod deski rozdzielczej osiemnaście tysięcy i wkłada do koperty. Torres pojawia się po kilku minutach i wsuwa się na fotel pasażera. W ciasnej przestrzeni samochodu Malone czuje jego zapach – oddech przesycony nieświeżą kawą, dym papierosowy na ubraniu, zbyt mocną wodę kolońską.

– No więc? – mówi Torres.

Nie jest jeszcze za późno, myśli Malone. Nie jest za późno, by się wycofać i nie krzywdzić brata policjanta, nawet takiej gnidy jak Torres. Nic nie mają na Rafa, dopóki nie weźmie pieniędzy, tylko jakieś gówniane gadanie.

Jeśli przekroczy tę linię, nie będzie już odwrotu.

– No, Malone? – mówi Torres. – Masz coś dla mnie czy jak?

Tak, mam coś dla ciebie, myśli Malone i podaje mu kopertę.

– Tu są twoje pieniądze.

Torres wkłada kopertę do kieszeni.

– Zrób coś dla mnie, okej? Wybrandzłuj się porządnie, to może przestanie ci tak stawać na dźwięk nazwiska Cartera. Wierz mi, Castillo jest gorszy.

– Carter to już przeszłość – mówi Malone. – Tylko że on jeszcze o tym nie wie.

– Nie wchodź mi więcej w drogę, Denny.

– Pocałuj mnie w moją chudą irlandzką dupę.

Torres wysiada z samochodu.

Malone rozpina koszulę i sprawdza mikrofon. Nagrało się. Torres jest już chodzącym trupem.

Ty też, myśli Malone.

Człowiek, którym byłeś kiedyś, już nie istnieje.

Jedzie do centrum, żeby przekazać nagranie O'Dellowi. Po drodze piętnaście czy dwadzieścia razy przychodzi mu do głowy, żeby wyrzucić taśmę i odjechać. Ale jeśli tak zrobię, myśli, to wpakuję Russa i Monty'ego w to samo gówno, w którym ja już siedzę. Więc jeśli to ma być wybór między nimi a Torresem...

Weintraub od razu wrzuca taśmę do odtwarzacza i Malone słucha.

– Coś ty, kurwa, narobił, przejmując ten transport! Ten na Dyckman. To mój teren. Miałeś się nie wcinać w Heights.

– Carter zawarł tę umowę na moim terenie.

– Właśnie przekazałeś swój teren w ręce Castilla, durniu – mówi Torres.

– Co Carter zrobi bez broni?

– Zginie?

– Miałem udział w tym interesie, Malone. Znaleźne.

– A co, teraz przyjmujemy reklamacje?

– Nie żartuj z moich pieniędzy, Malone.

– Dobra, dobra. Ile ci trzeba, żeby to wyrównać? Ile wynosił twój udział?

Weintraub przerywa odtwarzanie i mówi:

– Coraz lepiej ci idzie, Malone. Zaczynasz łapać, o co w tym chodzi.

Posłuchajmy dalej...

– Piętnaście – słuchać znów Torresa – plus trzy, których Carter nie da mi w tym miesiącu, bo go wyruchaliśmy.

– Chcesz też to, co zebrało się na moim fiucie? – pyta Malone.

– Miły motyw – ponownie wtrąca się Weintraub.

– Nie, to możesz sobie zatrzymać. Kiedy dostanę kasę? – ponownie rozlega się głos Torresa.

– Okej. – Weintraub wyłącza urządzenie. – Dałeś mu oznaczone banknoty?

– Tak.

– No to mamy go – podsumowuje Weintraub.

– Dobra robota, Malone – dołącza się O'Dell.

– Spierdalajcie.

– Nasz chłopiec czuje się winny, bo wydał gliniarza, który handluje narkotykami – komentuje Weintraub. – Torres zasłużył sobie na wszystko, co go spotka.



– To znaczy na co? – pyta Malone.

– Zabierzemy go na miłą farmę na wsi, gdzie będzie szczęśliwy i będzie mógł się bawić z innymi przegniłymi gliniarzami – mówi Weintraub. – A myślałeś, że co się z nim stanie?

– Wystarczy już – mówi O’Dell. – Denny...

– Nie odzywaj się do mnie.

– Wiem, jak się czujesz.

– Nie, nie wiesz.

Malone wychodzi z pokoju. Jego kroki rozlegają się echem w pustym korytarzu.

Jezu Chryste, właśnie to zrobiłeś.

Wydałeś im brata policjanta.

Możesz sobie powtarzać, że nie miałeś wyboru. Musiałeś to zrobić, tak? Dla rodziny, dla Claudette, dla partnerów. Możesz to sobie wszystko powtarzać i to jest prawda, ale nic nie zmienia faktu, że właśnie skrzywdziłeś brata policjanta.

A potem ściany korytarza zaczynają się przechylać, nogi uginają się pod nim i nagle zdaje sobie sprawę, że opiera się o ścianę, przytrzymując się jej, jakby mogła powstrzymać go przed upadkiem. Zgina się wpół i chowa twarz w dłoniach.

Po raz pierwszy od dnia, kiedy zginął jego brat, wybucha płaczem.

## ROZDZIAŁ 18

Claudette wygląda przepięknie.

Białe na czarnym.

Obcisła biała sukienka podkreśla figurę i ciemną skórę. Złote kółka w uszach, czerwona szminka, włosy uczesane w stylu retro z lat czterdziestych, z białym kwiatem.

Olśniewająca.

Jej widok ściska serce, rozgrzewa krew, sprawia, że oczy wychodzą z orbit.

Malone znów się w niej zakochuje.

Umówili się na prawdziwą randkę.

Uznał, że miała rację. Z jakichś chorych powodów ukrywał ją. Zostawiał samą z wątpliwościami i uzależnieniem.

Pieprzyć wszystkich.

Jeśli tym wieśniakom w robocie to się nie spodoba, to pieprzyć również ich. A jeśli inni czarni uznają, że z tego powodu potraktuje ich ulgowo, to szybko się przekonają, że się mylili.

I jest coś jeszcze.

Potrzebuje jej.

Po wydaniu brata policjanta, nawet takiego durnia jak Torres, potrzebuje jej.

Sięgnął więc po telefon i zadzwonił. Był nieco zdziwiony, że nie rozłączyła się z miejsca, kiedy się przedstawił.

– Mówi sierżant Malone z Manhattan Północ.

Zapadła chwila ciszy, a potem Claudette zapytała:

– Co mogę dla pana zrobić, detektywie?

Po jej głosie poznał, że jest czysta.

– Wiem, że to jest zaproszenie na ostatnią chwilę, ale zarezerwowałem na dzisiejszy wieczór stół u Jean-Georges'a, a nikt nie chce się zlitować i zjeść kolacji z takim gruboskórnym, bezmyślnym idiotą jak ja. I choć jestem pewien, że kobieta taka jak ty ma już jakieś plany na wieczór, to pomyślałem, że zaryzykuję i zapytam, czy jest choćby cień szansy, żebyś zechciała zjeść ze mną kolację.

Musiał odczekać jeszcze dłuższą chwilę, zanim odpowiedziała:

-? Trudno dostać stół u Jean-Georges'a.

A żebyś wiedziała, pomyślał. Musiał przypomnieć szefowi sali o pewnym incydencie, który udało mu się wyciszyć, zanim zdjęcia trafiły na szóstą stronę gazet.

– Powiedziałem im, że jest szansa... niewielka, minimalna, ale jednak jest... że najpiękniejsza i najbardziej czarująca dama w całym Nowym Jorku zechce zaszczyścić ich przybytek, i natychmiast padli mi do nóg.

– Grubo jedziesz.

– Subtelność nie jest moją mocną stroną – odrzekł Malone. – Co o tym myślisz?

Kolejna długa chwila ciszy. W końcu usłyszał:

– Z przyjemnością, detektywie.

Zabiera ją do Jean-Georges'a, bo Claudette lubi wszystko, co francuskie.

Restauracja znalazła się w rankingu Zagat, ma trzy gwiazdki Michelin i nie sposób dostać tam rezerwacji, chyba że jest się detektywem celebrytą.

Ale to Malone, choć ma na sobie dobry garnitur, jest trochę zdenerwowany i spięty w tym snobistycznym miejscu, nie Claudette.

Ona sprawia wrażenie, jakby się tu urodziła.

Kelner też tak uważa, toteż właśnie do niej kieruje większość pytań i komentarzy, a ona odpowiada z taką swobodą, jakby robiła to przez całe życie. Spokojnie wybiera wina i potrawy, a Malone zgadza się na wszystko.

– Skąd to wszystko wiesz? – pyta, wgryzając się w żółtko na grzance z kawiozem i ziołami, która jest znacznie lepsza, niż mógł przypuszczać.

– Możesz mi wierzyć albo nie – odpowiada Claudette – ale nie jesteś pierwszym mężczyzną, z jakim się spotykam. Zdarzyło mi się być na południe od Sto Dziesiątej Ulicy chyba pięć czy sześć razy, a może nawet siedem.

Malone czuje się jak zupełny kretyn.

– Możesz mnie kopnąć w tyłek. Zasłużyłem na to.

– Zasłużyłeś, skarbie, ale doskonale się bawię. Dziękuję, że mnie tu przyprowadziłeś. Tu jest pięknie.

– To ty jesteś piękna.

– Widzisz? Radzisz sobie coraz lepiej.

Malone wybrał homara z Maine, Claudette wędzony *squab*.

– Czy to nie jest gołąb? – pyta Malone.

– Gołąb – potwierdza. – Nigdy nie miałeś ochoty się zemścić?

Nie rozmawiają o heroinie, jej potknięciu i głodzie. Claudette czuje się już lepiej i lepiej wygląda. Malone myśli, że może już sobie z tym poradzić. Na deser zamawiają czekoladki w różnych smakach i Claudette mówi:

– To nasza pierwsza prawdziwa randka od dawna.

– Kluczowe słowo to „pierwsza”.

– Przy naszych godzinach pracy trudno znaleźć czas.

– Może zacznę pracować trochę mniej – mówi Malone. – Brać więcej wolnego.

– Chciałabym, żeby tak było.

– Tak?

– Bardzo. Ale nie musimy zawsze robić, wiesz... tego.

– Miło jest to zrobić.

– Ja po prostu chcę spędzać z tobą czas, skarbie.

Malone wstaje, by skorzystać z toalety, ale nie idzie tam, tylko podchodzi do hostessy i prosi o prawdziwy rachunek, bo niektóre rzeczy można dostać za darmo, ale za inne trzeba zapłacić.

Gdy się gdzieś zabiera swoją dziewczynę, trzeba za to zapłacić.

– Menedżer powiedział... – mówi hostessa.

– Wiem – przerywa jej Malone. – I bardzo dziękuję, ale chciałbym dostać prawdziwy rachunek.

Dostaje prawdziwy rachunek. Płaci, zostawia spory napiwek i odsuwa krzesło Claudette.

– Pomyślałem, że może miałabyś ochotę wpaść do Smoke Jazz. Dzisiaj będzie tam Lea DeLaria. – Malone nie wie, kto to taki, wie tylko, że śpiewa. Przeczytał o niej w internecie.

– Wspaniale – mówi Claudette. – Uwielbiam ją. Ale ty nie lubisz jazzu.

– To twój wieczór.

Smoke Jazz and Supper Club znajduje się przy Sto Szóstej i Broadwayu, w rejonie Malone'a. Klub jest nieduży, jakieś pięćdziesiąt miejsc, ale Malone zadzwonił wcześniej, żeby zrobić rezerwację, na wypadek gdyby Claudette miała ochotę przyjść.

Dostają dwuosobowy stół.

DeLaria śpiewa standardy z towarzyszeniem kwartetu złożonego z kontrabas, perkusji, pianina i saksofonu.

Claudette udaje zdumienie.

– Biała kobieta, która potrafi śpiewać. Coś takiego!

– Rasistka.

– Po prostu realistka, skarbie.

Między jedną a drugą piosenką DeLaria spogląda na Claudette i pyta:

– Czy on cię dobrze traktuje, kochanie?

Claudette kiwa głową.

– Bardzo dobrze.

DeLaria patrzy na Malone'a.

– Dbaj o nią. Jest tak piękna, że mogłabym ci ją odebrać.

A potem zaczyna śpiewać „Come Rain or Come Shine”.

O tym, że w deszczu czy słońcu, w szczęściu czy nieszczęściu zawsze będą razem, bo tak mocno nie kochał jeszcze nikt...

Wśród publiczności poruszenie, gdy w drzwiach staje Tre ze swoją świtą. DeLaria kiwa mu głową. Tre podchodzi do stolika, a potem hiphopowy gigant dostrzega Malone'a i Claudette i z szacunkiem kiwa głową. Malone odpowiada tym samym.

– Znasz go? – pyta Claudette.

– Od czasu do czasu pracuję dla niego – odpowiada, myśląc przy tym, że teraz wszyscy zaczną gadać o tym, że ten drań Denny Malone spotyka się z czarną dziewczyną. – Chcesz go poznać?

– Właściwie nie – odpowiada Claudette. – Hip-hop tak bardzo mnie nie kręci.

Malone wie, co zdarzy się za chwilę, i rzeczywiście tak się dzieje: na ich stoliku pojawia się butelka szampana marki Cristal z pozdrowieniami od Tre.

– Co właściwie dla niego robisz? – pyta Claudette.

– Ochrona.

DeLaria śpiewa teraz „You Don't Know What Love Is”.

– Billie Holiday – mówi Claudette.

Zupełnie zatracą się w muzyce.

Malone spogląda na Tre, który również na niego patrzy, wyraźnie próbując ocenić, kim jest facet, którego widzi w tej chwili.

Rozumiem, myśli Malone. Ja próbuję robić to samo.

Biała sukienka zsuwa się z niej jak deszcz spływający po obsydianie.

Jej usta są pełne i ciepłe, jej szyja ma piżmowy zapach.

Kochają się, a gdy ona usypia, on leży, patrząc przez okno i przypominając sobie słowa piosenki, którą kiedyś śpiewała Billie Holiday.

O tym, że dopóki bezsennymi oczami nie zmierzysz się z każdym świtem, dopóty się nie dowiesz, czym jest miłość.

## ROZDZIAŁ 19

Komórka znowu dzwoni.

A on znów ją ignoruje. Odwraca się do Claudette i próbuje zasnąć na powrót z twarzą ukrytą w zagłębieniu jej szyi. Potem jednak sumienie wygrywa i Malone spogląda na ekran telefonu.

To Russo.

– Słyszałeś już?

– Co słyszałem? – pyta Malone.

– O Torresie.

Malone czuje nerwowe drgnienie w całym ciele.

– A co?

– Strzelił sobie w łeb.

Na parkingu przy komisariacie, opowiada Russo. Dwóch mundurowych usłyszało strzał, wybiegło i znalazło go w samochodzie. Silnik był włączony, klimatyzacja też. Z radia na cały regulator leciała salsa, a na tylnej szybie rozprysnął się mózg Torresa.

Żadnego listu.

Żadnej wiadomości.

Nie zesrał się w portki, tylko po prostu to zrobił.

– Dlaczego on to, kurwa, zrobił? – pyta Russo.

Malone wie dlaczego.

Federalni go przycisnęli. Zostań szczurem albo pójdiesz siedzieć.

A Torres miał dla nich odpowiedź.

Brutalny, podły rasista i łgarz, ten nędzny skurwysyn Raf Torres miał dla nich odpowiedź.



Pierdolcie się. Odejdę jak mężczyzna.

Malone wstaje z łóżka.

– Co się stało? – pyta Claudette sennie.

– Muszę iść.

– Już?

– Policjant się zabił.

Malone wpada w drzwi, łapie O'Della za kłapy, podnosi z krzesła i wciska w ścianę.

– Próbowałem do ciebie dzwonić – mówi O'Dell.

– Skurwysyny.

Weintraub podchodzi, żeby ich rozdzielić, ale Malone odwraca się i przeszywa go zabójczym spojrzeniem, które mówi: jeśli naprawdę chcesz się w to mieszać, to proszę bardzo, na co Weintraub wycofuje się i mówi słabym głosem:

– Uspokój się, Malone.

– Co wyście zrobili?! – pyta Malone. – Próbowaliście go namówić na donoszenie? Dać mu mikrofon? Bo jak nie, to zakujecie go w kajdanki na komisariacie w obecności jego braci gliniarzy i wyprowadzicie jak bandytę przed kamerami, przed tłum miejscowych, którzy będą krzyczeć do niego „ty świnió”? Opowiadaliście mu, że pójdzie do więzienia i co się stanie z jego rodziną?

– Robiliśmy to, co do nas należy.

– Zabiliście policjanta – parska Malone, opryskując twarz O'Della kropelkami śliny. – Jesteś zabójcą policjanta.

– Gdy tylko o tym usłyszałem, próbowałem do ciebie zadzwonić – mówi O'Dell. – To nie jest nasza wina ani twoja, tylko jego. On sam podejmował decyzje, włącznie z tą ostatnią.

– Może podjął właściwą decyzję – mówi Malone.

– Nie – odpowiada O'Dell. – Zabrakło mu odwagi, żeby ponieść konsekwencje tego, co zrobił. Ty miałeś odwagę, Malone, i teraz naprawiasz swoje błędy.

– Zabijając brata policjanta.

– Torres wybrał wyjście tchórze – mówi Weintraub.

Malone zrywa się z krzesła i przybliży twarz do jego twarzy.

– Nie mów tak. Nigdy, kurwa, tak nie mów. Widziałem, jak ten facet przechodził przez klatki schodowe. Widziałem, jak przechodził przez drzwi. A gdzie ty wtedy byłeś, co? Na lunchu z podwójnym martini? Bezpieczny w łóżku z dziewczyną?

– Przecież nawet go nie lubiłeś.

– Nie lubiłem. Ale był policjantem i nie był tchórzem.

– Niech będzie.

– Siadaj, Denny – mówi O'Dell.

– To ty siadaj.

– Czy ty jesteś naćpany? – pyta O'Dell. – Nakręciłeś się czymś czy co? Tylko pół tuzina tabletek na energię i parę kresek koki.

– Zróbcie mi badania. Jak coś wyjdzie w moczu, to dołożycie kolejny punkt do oskarżenia. Co wy na to?

– Uspokój się.

– Jak ja się mam, kurwa, uspokoić! – wrzeszczy Malone. – Myślicie, że na tym się skończy? Że nie będzie żadnych plotek? Że ludzie nie zaczną zadawać pytań? Pieprzone Biuro Spraw Wewnętrznych zaraz się do tego przyczepi!

– Zajmiemy się tym.

– Tak jak zajęliście się Torresem?

– Z Torresem to nie była moja wina – mówi O'Dell. – Jeśli jeszcze raz nazwiesz mnie zabójcą policjanta, to...

– To co, kurwa?

– Ty sam nie jesteś niewinny, Malone.

Do pokoju wchodzi Paz. Patrzy na nich i mówi:

– Dziewczynki, kiedy skończycie już z tą histerią, to może siądziemy do pracy.

Malone i O'Dell patrzą na siebie groźnie, obydwaj gotowi wybuchnąć.

– No dobrze. Żaden z was nie ma największego fiuta – mówi Paz. – Ja go mam, więc usiądźcie, panowie.

Siadają.

– Skorumpowany policjant odebrał sobie życie – mówi Paz. – Wielkie mi co. Dajcie już z tym spokój. Teraz trzeba się zastanowić nad minimalizacją szkód. Czy Torres z kimś rozmawiał, zanim odwołał swoją rezerwację? Opowiedział komuś o dochodzeniu? Malone, dowiedz się, co ludzie gadają.

– Nie.

– Nie? – powtarza Paz. – Czyżby cię ogarnęły wyrzuty sumienia, *papi*? Irlandzko-katolickie poczucie winy? Masz ochotę wejść na krzyż i przybić się do niego? Zwalcz to, Malone. Zresztą moim zdaniem i tak należysz do ludzi, którzy potrafią przetrwać w każdej sytuacji.

– Chcesz powiedzieć, że jestem typem Judasza.

– Nie rób sobie tego, Malone – powtarza Paz. – Trzymaj się. Chcę tylko wiedzieć, co twoi bracia policjanci mówią o Torresie, bo i tak będą o tym gadać. Oni będą rozmawiać z tobą, a ty z nami. To bardzo proste. Czy masz z tym jakiś problem, o którym nie wiem?

Jest mnóstwo problemów, o których nie wiesz, myśli Malone.

– Poszukajmy też alternatywnych wyjaśnień samobójstwa Torresa. – Paz patrzy na Malone'a. – Może pił? Brał narkotyki? Miał kłopoty w małżeństwie albo finansowe?

– Nic o tym nie wiem.

Torres zarabiał spore pieniądze. Miał żonę, dwoje dzieci i co najmniej trzy kobiety w Heights.

– Nawet jeśli zaczną krążyć jakieś plotki o dochodzeniu – mówi Paz – może się to obrócić na twoją korzyść, Malone. Twoi bracia policjanci pomyślą, że kapuś zginął. Nie potrafił sobie poradzić z poczuciem winy, więc skończył ze sobą. To ci oczyści drogę.

– Drogę do czego? – pyta Malone. – Już wam dałem to, czego chcieliście.

– Potrzebujemy szerszej bazy – wyjaśnia Paz. – Nie chcemy wykazać, że brał tylko jeden policjant. Chcemy mieć całą stajnię. Chcemy wielokrotnego oskarżenia. Czy Torres dawał odsyp komuś na górze?

– A spytaliście Torresa?

– Powiedział, że da nam odpowiedź – mówi Weintraub.

– I chyba wam dał, nie? – kwituje Malone.

Na komisariacie panuje chaos.

Gdy Malone dociera do siedziby Manhattan Północ, furgonetki wiadomości już tam są. Przepycha się przez tłum reporterów, rzucając krótkie „bez komentarza”, i wchodzi do budynku. W środku widzi istny dom wariatów, wszędzie kłębią się plotki, złość i lęk. Przy recepcji stoi gromada policjantów w mundurach. Idąc na górę, do pomieszczeń Task Force, Malone czuje ich wzrok na plecach.

Wie, co myślą. Malone coś wie. Malone zawsze coś wie.

Wszyscy stoją przy jego biurku – Russo, Montague, Levin. Gdy wchodzi, podnoszą wzrok.

– Gdzieś ty był? – pyta Russo.

Malone nie odpowiada, tylko też pyta:

– Ktoś już rozmawiał z lekarzem?

– McGivern tu jest. – Russo ruchem głowy wskazuje gabinet Sykesa.

Inspektor stoi tam i patrzy na kapitana, który rozmawia przez telefon.

– Biuro Spraw Wewnętrznych? – pyta Malone.

– Chcą rozmawiać ze wszystkimi detektywami z Task Force – mówi Montague.

– Wezwano nas wszystkich – dodaje Levin.

– Powiem wam, co macie mówić – stwierdza Malone. – Nic nie wiecie, o niczym nie macie pojęcia, nie słyszeliście o żadnym alkoholu, narkotykach, kłopotach finansowych, o niczym. Niech jego oddział gada, jeśli chce.

Podchodzi do drzwi gabinetu Sykesa, stuka i wchodzi do środka, nie czekając na zaproszenie.

McGivern kładzie mu rękę na ramieniu.

– Jezu, Denny.

– Wiem.

– Co się, do diabła, stało?

Malone wzrusza ramionami.

– Taka strata – mówi McGivern.

– Rozmawiał pan już z lekarzem?

– Dopuszcza możliwość, że to był wypadek – odpowiada McGivern.

– To najlepsze, co może pan zrobić dla Torresa, inspektorze. Ale media pewnie już podały, że to samobójstwo.

– Taka szkoda – powtarza McGivern.

Sykes kończy rozmowę i patrzy na Malone'a.

– Gdzieś ty był, sierżancie?

– Spałem – odpowiada Malone. – Nie słyszałem telefonu.

Sykes wydaje się wstrząśnięty. Malone nie może go za to winić. To wydarzenie wstrząsnęło gładką ścieżką jego kariery.

– Co możesz mi o tym powiedzieć? – pyta Sykes.

– Dopiero tu przyszedłem, kapitanie.

– Nie widziałeś żadnych sygnałów? Torres z niczego ci się nie zwierzał?

– Nie byliśmy ze sobą szczególnie blisko, sir – odpowiada Malone. –

A co mówią ci z jego oddziału? Gallina, Oritz, Tenelli?

– Nic – odpowiada Sykes.

Oczywiście, że nic, myśli Malone. I dobrze.

– Wciąż są w szoku – dodaje McGivern. – Nawet kiedy brat policjant zginie od kuli przestępcy, to jest tragedia, ale coś takiego...

Chryste, myśli Malone, on już pisze w głowie przemowę.

Sykes wpatruje się w niego.

– Chodzą plotki, że Biuro Spraw Wewnętrznych miało coś na Torresa.

Wiesz coś o tym?

Malone odpowiada mu równym spojrzeniem.

– Nie.

– Więc nie słyszałeś o żadnej przyczynie, dla której Biuro Spraw Wewnętrznych mogło prowadzić dochodzenie w sprawie Torresa?

– Nie.

– Albo jakiegokolwiek detektywa z Task Force?

– To pan tu jest zwierzchnikiem, sir – odpowiada Malone. Groźba w tych słowach jest oczywista. Jeśli zaczniesz w tym grzebać, sam wykopiesz sobie grób.

McGivern włącza się do rozmowy:

– Nie wybiegajmy przed szereg, panowie. Niech ci z Biura Spraw Wewnętrznych robią, co do nich należy.

– Spodziewam się, że będziesz z nimi współpracował – mówi Sykes do Malone'a. – I to dotyczy całego twojego oddziału.

– To się rozumie samo przez się.

– Rozmawiajmy poważnie, Malone. Co zrobisz ty, to zrobi cała jednostka. Wszyscy pójdą za twoim przykładem. Ty tu nadajesz ton.

Jest to zadziwiające wyznanie, niemniej jednak kapitan ma rację.

– Nie będziemy niczego ukrywać – mówi Sykes. – Nie będziemy wznosić barykad i chować się za nimi.

Właśnie to zrobimy, myśli Malone.

– Będziemy otwarci i przejrzysti – ciągnie Sykes. – I niech to dochodzenie wykaże, co ma wykazać.

Jeśli to zrobisz, myśli Malone, to sam się nadziejesz dupą na wyniki tego dochodzenia.

– Czy to już wszystko, sir?

– Nadaj ton, sierżancie.

Masz rację, myśli Malone, wychodząc. Sygnalizuje Russowi i Montague'owi, żeby poszli za nim, schodzi na dół i idzie do recepcji.

– Sierżancie, czy może pan tu zwołać wszystkich?

– Ej, słuchajcie!

Dokoła zapada cisza.

– No dobrze – mówi Malone. – Wszyscy oplakujemy Torresa. Nasze myśli i modlitwy kierują się w stronę jego rodziny. Ale w tej chwili musimy się zająć własnymi sprawami. Jeśli będziecie rozmawiać z mediami, macie powiedzieć tak: „Sierżant Torres był lubianym i szanowanym funkcjonariuszem policji, będzie nam go brakowało”. To wszystko. Bądźcie uprzejmi, ale nie zatrzymujcie się. Nie sądzę, by ktoś tutaj miał takie zamiary, ale jeśli któremuś z was przyjdzie do głowy, że dzięki tej sprawie może się stać gwiazdą telewizji i mediów społecznościowych, osobiście dobiorę mu się do tyłka.

Milknie na chwilę, żeby dotarło do nich to, co powiedział. Russo i Montague wspierają go spojrzeniami. Potem jeszcze dodaje:

– Na pewno znajdą się tacy, którzy będą świętować na ulicy. Nie reagujcie na to. Będą próbowali was prowokować, żebyście zrobili coś głupiego, ale nie dajcie się. Nie chcę, żeby któregokolwiek z was oskarżono o brutalność. Zachowajcie spokój i zapamiętujcie twarze. Zajmiemy się nimi później, macie na to moje słowo. Jeśli Biuro Spraw Wewnętrznych będzie was przepytawało, współpracujcie z nimi. Powiedzcie prawdę, że nic nie wiecie. Bo to jest prawda. Myśleć, że się coś wie, a naprawdę wiedzieć to dwie różne rzeczy. Jeśli dacie szczerom ser, to będą wracać, a jeśli będzie czysto, pójdą gdzie indziej. Jakies pytania?

Nie ma żadnych pytań.

– W porządku – mówi Malone. – Jesteśmy N-Y-P-D. Wychodzimy stąd i wracamy do roboty.

Tę przemowę powinien wygłosić kapitan, ale nie zrobił tego. Malone wraca na górę i widzi Gallinę, partnera Torresa, który stoi przy swoim biurku.

– Chodźmy się przejść – mówi Malone.

Wychodzą tylnym wyjściem, by uniknąć mediów.

– Co się właściwie stało? – pyta Malone. Jeśli Torres z kimkolwiek rozmawiał, to na pewno z Jorge Galliną. Byli bliskimi kumplami.

– Nie wiem. – Gallina wyraźnie jest wstrząśnięty i przestraszony. – Wczoraj był bardzo milczący. Coś było nie tak.

– Ale nie powiedział co?

– Zadzwoił do mnie z samochodu i powiedział tylko, że chce się pożegnać. Zapytałem go: „Co się, kurwa, dzieje, Raf?”, a on powiedział, że nic, i się rozłączył.

Facet zamierza odebrać sobie życie, myśli Malone, i żegna się z partnerem, a nie z żoną.

Policja.



– Może Biuro Spraw Wewnętrznych go namierzyło? – pyta Malone, czując się jak gnida.

– Nie – mówi Gallina. – Coś byśmy o tym wiedzieli. Co my teraz zrobimy, Malone?

– Zamkniemy sprawę. Będziemy się zachowywać tak, jakby chodziło o zwykłe umorzenie mandatu. Odetniemy się murem od Biura Spraw Wewnętrznych i w nic się nie będziemy mieszać. Jeśli ten szwadron szcurów zacznie obrzucać Rafa błotem, to napuścimy na nich media.

– Okej – mówi Gallina.

– Gdzie są pieniądze Torresa?

– W różnych miejscach. Ja mam mniej więcej setkę w funduszu.

– Gloria o tym wie? – Ostatnia rzecz, jakiej można by sobie życzyć, to żona, która oprócz wszystkich innych kłopotów musi się jeszcze martwić o pieniądze.

– Tak, ale przypomnę jej.

– Jak ona sobie radzi?

– Jest załamana – mówi Gallina. – To znaczy wcześniej wspominała o rozwodzie, ale mimo wszystko go kocha.

– Znajdź jego kobiety – mówi Malone. – Daj im trochę gotówki, żeby zamknęły gęby. I na wszystkie świętości, dopilnuj, żeby przypadkiem nie przyszło im do głowy pojawić się na pogrzebie.

– W porządku.

– Musisz się uspokoić, Jorge – mówi Malone. – Szczury wyczuwają strach jak rekiny krew.

– Wiem. A jak wezmą mnie na badanie wykrywaczem kłamstw?

– To zadzwonisz do przedstawiciela związków zawodowych, a on im powie, żeby się odpieprzyli. Jesteś wstrząśnięty i zrozpaczony. Nie nadajesz się do takich badań.

Ale Gallina się boi.

– Myślisz, że ci od spraw wewnętrznych coś na niego mieli, Malone? Jezu, chyba nie sądzisz, że założyli Rafowi kabelek?

– Torresowi? Niemożliwe.

– To dlaczego to zrobił?

Bo ja go wydałem, myśli Malone. Bo ja wrzuciłem go w bagno i włożyłem mu pistolet do ręki.

– Kto to, kurwa, może wiedzieć – mówi.

Zawraca do komisariatu. McGivern już na niego czeka.

– Jest niedobrze, Denny – mówi.

Nie, kurwa, niemożliwe, myśli Malone. Ale może jest jeszcze gorzej, niż sądził, bo Bill McGivern, inspektor NYPD, który ma lepsze koneksje niż miejski radny, wydaje się przestraszony.

I naraz jakby się postarzał.

Jego blada skóra przypomina pergamin, białe włosy wyglądają jak zakrętka na butelce aspiryny, opalenizna na policzkach nagle zmieniła się w sieć popękanych naczynek.

– Jeśli Biuro Spraw Wewnętrznych namierzyło Torresa... – mówi.

– Nie namierzyli go.

– Ale jeśli tak? – drąży McGivern. – Co im powiedział? Co wiedział? Czy wiedział o mnie?

– Tylko ja przynosiłem panu koperty. – Malone przynosił koperty od całej jednostki Manhattan Północ.

Ale tak, kurwa, Torres o tym wiedział.

Wszyscy wiedzą, jak to działa.

– Czy myślisz, że Torres miał mikrofon? – pyta McGivern.

– Nawet jeśli tak, to nie ma się pan o co martwić – mówi Malone. – Nie rozmawiał pan z nim chyba o niczym ważnym.

– Masz rację. Nie.

– A czy Biuro Spraw Wewnętrznych wzywało pana? – pyta Malone.

– Nie odważyli się, ale jeśli ktoś zacznie gadać...

– Nikt nie zacznie gadać.

– Task Force jest pewne, Denny? Chłopaki będą trzymać pion?

– Absolutnie. – W każdym razie taką mam, kurwa, nadzieję, myśli Malone.

– Słyszałem plotki, że to nie wewnętrzni, tylko federalni – mówi McGivern.

– Którzy federalni?

– Południowy Dystrykt. Ta latynoska suka. Ona ma ambicje, Denny.

W ustach McGiverna to słowo brzmi jak przekleństwo. Ambicje. Tak jakby miała wszy. Jakby to, że ma ambicje, robiło z niej dziwkę.

Malone też nienawidzi tej *buchiach*, ale z innych powodów.

– Ona chce nas osłabić – mówi McGivern. – Nie możemy jej na to pozwolić.

– Przecież nawet nie wiemy, czy to ona.

Ale McGivern go nie słucha.

– Brakuje mi dwóch lat do emerytury. Jeannie i ja mamy domek w Vermoncie.

I apartament na Sanibel Island, myśli Malone.

– Chciałbym trochę pożyć w tym domku – mówi McGivern. – A nie za kratami. Jeannie nie czuje się najlepiej.

– Przykro mi to słyszeć.

– Potrzebuje mnie. Nie wiem, ile nam czasu zostało. Liczę na ciebie, Denny. Liczę na ciebie, że to wszystko wyciszysz. Zrób to, co musisz zrobić.

– Tak, sir.

– Ufam ci, Denny. – McGivern kładzie rękę na ramieniu Malone’a. –  
Dobry z ciebie chłop.

Tak, myśli Malone, oddalając się.

Jestem królem.

Wyciszenie tej sprawy będzie wymagało brutalności.

Po pierwsze, ulica zacznie gadać. Każdy półgłówek detalista, którego Torres kiedykolwiek okradł albo pobił, zacznie opowiadać swoją historię, bo już nie musi się go obawiać.

Potem ci, których wsadził za kratki, zaczną świergotać w swoich celach:

– No tak, Torres był skorumpowany.

– Kłamał w sądzie.

– Chcę powtórki procesu, nie, chcę umorzenia, chcę kasacji sprawy.

Jeśli wyjdzie na jaw, że Torres był skorumpowany, palestra będzie miała pełne ręce roboty. Te dupki adwokaci otworzą na nowo każdą sprawę, której Torres kiedykolwiek dotknął. Kurwa, nawet każdą, której kiedykolwiek dotknęło Task Force.

A to może wyjść na jaw, wystarczy, że złamie się jeden człowiek. Gallina już jest wstrząśnięty. Jeśli on się złamie, zacznie gadać nie tylko o swoim oddziale, ale o wszystkich.

Efekt domina.

Musimy zamknąć tę sprawę.

Nie „my”, skurwysynu, tylko ty.

To ty puściłeś kulkę w ruch.

Malone zostaje wezwany na rozmowę z Biurem Spraw Wewnętrznych jako ostatni ze swojego oddziału.

Jego ludzie zrobili to, co mieli zrobić, i Russo powiedział mu:

– Nic nie mają i gównie wiedzą.

– Kto tam jest?

– Buliosi i Henderson.

Henderson, myśli Malone. Wreszcie się poszczęściło.

Wchodzi do pokoju.

– Proszę usiąść, sierżancie Malone – mówi Buliosi.

Porucznik Richard Buliosi to typowy gnojek z BSW. Może to bliźny po trądziku sprawiły, że został szczurem, myśli Malone, ale z całą pewnością ma jakiś problem ze światem.

Siada.

– Co może nam pan powiedzieć o rzekomym samobójstwie sierżanta Torresa? – pyta Buliosi.

– Niewiele. Niezbyt dobrze go znałem.

Buliosi patrzy na niego z ostentacyjnym niedowierzaniem.

– Służyliście w tej samej jednostce.

– Torres przeważnie pracował na terenie Heights i Inwood, a mój oddział głównie w Harlemie.

– To nie są dwa różne światy.

– Zdziwiłby się pan. To znaczy gdyby pracował pan na ulicach.

Natychmiast żałuje tej złośliwości, ale Buliosi nie odgryza się.

– Czy Torres był w depresji?

– No pewnie tak.

Buliosi zaczyna się irytować.

– Chodzi mi o to, czy wykazywał jakieś oznaki depresji.

– Nie jestem psychiatrą – odpowiada Malone. – Ale z tego, co widziałem, zachowywał się jak zwykle. To znaczy jak kutas.

– Nie dogadywaliście się?

– Doskonale się dogadywaliśmy – mówi Malone. – Jak kutas z kutasem.

Zamierzasz się w to włączyć, Henderson? – zastanawia się Malone, patrząc na niego. Czy muszę ci przypomnieć, że gra idzie również o twoją

skórę?

Henderson chwyta ten przekaz.

– Z tego, co rozumiem, Torres miał reputację twardego gościa. Czy możesz to potwierdzić, Malone?

– Ktoś, kto nie ma reputacji twardego gościa, długo tu nie przetrwa.

– Czy to prawda, że było to jedno z kryteriów doboru detektywów do Task Force?

– Owszem, powiedziałbym, że jest to zgodne z prawdą.

– Na tym właśnie polega problem z Task Force – mówi Buliosi. – Ta jednostka sama się prosi o kłopoty.

– Czy to było pytanie, sir?

– Kiedy zechcę zadać pytanie, sierżancie, to je zadam – mówi Buliosi.

Tak ci się wydaje, myśli Malone, ale w tej chwili rozmawiamy o tym, o czym ja chcę rozmawiać, prawda?

Buliosi zadaje pytanie:

– Czy wiadomo panu o czymś, co Torres zrobił i co mogłoby w jakiś sposób zagrażać jego pracy lub jego przyszłości?

– Chyba to wy jesteście od takich spraw?

– Pytamy pana.

– Już mówiłem, że nie wiem, co Torres robił czy czego nie robił.

– Nie słyszał pan żadnych plotek w komisariacie? – pyta Buliosi.

– Nie.

– Czy brał pieniądze?

– Nie wiem.

– Okradał dilerów narkotykowych?

– Nie wiem.

– A pan?

– Nie.

– Na pewno?

– Chybabym o tym wiedział – odpowiada Malone, patrząc mu w oczy.

– Czy zdaje pan sobie sprawę, jakie konsekwencje przewidziane są za składanie fałszywych zeznań w dochodzeniu prowadzonym przez Biuro Spraw Wewnętrznych?

– Kary dyscyplinarne wewnątrz departamentu, potencjalne zwolnienie z pracy, możliwe jest także wniesienie oskarżenia kryminalnego z powodu utrudniania pracy wymiaru sprawiedliwości.

– Zgadza się – mówi Buliosi. – Niestety, Torres nie żyje. Nie musi go pan już chronić.

Malone czuje narastającą złość. Ma ochotę rąbnąć tego skurwysyna, żeby wreszcie zamknął tę pieprzoną, obleśną gębę.

– Naprawdę jest panu z tego powodu smutno, poruczniku? Bo nie widać tego po panu.

– Jak pan wspomniał, nie jest pan psychiatrą.

– Ale czytanie z twarzy pajaców to część mojej pracy.

– Wystarczy już, Malone – włącza się Henderson. – Wiem, że jest pan przygnębiony stratą brata funkcjonariusza, ale...

– Jeszcze się nie zdarzyło, żeby facet z BSW wpakował sobie pistolet w usta – mówi Malone. – Wy tego nie robicie, prawnicy też tego nie robią i mafia tego nie robi. Wiecie, kto to robi? Policjanci. Tylko policjanci. To znaczy prawdziwi policjanci.

– Myślę, że to na razie wszystko, sierżancie – mówi Henderson. – Może weźmie pan sobie trochę wolnego, żeby się uspokoić.

– Zastrzegamy sobie prawo do ponownego przesłuchania – dodaje Buliosi.

Malone podnosi się.

– Powiem wam coś. Wam obydwu. Nie wiem, dlaczego Torres zrobił to, co zrobił. Nawet go nie lubiłem. Ale był policjantem. Ta praca odbija się na człowieku. Czasami dzieje się to nagle. Jakiś bandyta do ciebie strzeli i jest po wszystkim. W innych przypadkach to się dzieje powoli. Narasta tak powoli, że nawet się tego nie zauważa. Ale pewnego dnia człowiek się budzi i czuje, że już dłużej tak nie może. Torres nie zabił się sam. Tak czy inaczej, to praca go zabiła.

– Może powinien porozmawiać pan z wydziałowym psychiatrą – mówi Buliosi. – Mogę pana umówić.

– Nie – mówi Malone. – Potrzebuję wrócić do pracy.

Spotyka się z Hendersonem w Riverside Parku przy boisku do softballu.

– Dzięki za pomoc w tej rozmowie.

– Nie pomogłeś sobie tym zachowaniem – odpowiada Henderson. – Teraz Buliosiemu gula chodzi na twój widok.

– Tak jakby całemu BSW nie chodziła już wcześniej – mówi Malone. – Wam gula chodzi na widok każdego prawdziwego policjanta.

– No dzięki, Denny.

Malone patrzy przez rzekę na Jersey i myśli, że jedyną dobrą stroną mieszkania tam jest widok na Nowy Jork.

– Namierzaliście Torresa?

– Nie.

– Na pewno?

– Zacytuję nieśmiertelnego Denny’ego Malone’a: chyba bym o tym wiedział. To nie my. Może federalni. Południowy Dystrykt ma krzywo z komisarzem.

Jezu, myśli Malone. Wyczuł sprawę, kurwa.

– Ale teraz wy się tym zajmujecie. Ile to będzie kosztowało?



– To są wiadomości na nagłówek, Denny – mówi Henderson. – *News, Post*, nawet *Times*. Po tej pieprzonej sprawie Bennetta...

– Tym bardziej należałoby to wyciszyć – mówi Malone. – Naprawdę myślicie, że komisarzowi zależy, żebyście wykopywali szkielety z szafy Torresa? Skandale nie są długowieczne, ale chłopcy z One Police Plaza tak. I mają dobrą pamięć. Zaczekają, aż sprawa przycichnie, a potem wam przypierdolą. Pójdiesz na emeryturę w tej samej randze, w której jesteś teraz, o ile w ogóle dotrwasz do emerytury.

– Masz rację.

– Wiem, że ją mam – mówi Malone. – A teraz chcę się dowiedzieć, ile.

– Będę musiał pogadać z Buliosim.

– To dlaczego jeszcze tu stoisz?

– Jezus, Malone. Jeśli spróbuję i chybię, to pójdę siedzieć.

– A co się z tobą stanie, jeśli Gallina się złamie? – pyta Malone. – Larry, jeśli my polecimy, to ty polecisz razem z nami.

Odchodzi, zostawiając Hendersona wpatrzonego w widok New Jersey.

– Och, jakie to piękne – mówi Paz. – Poważnie nam mówisz, że opłacacie Biuro Spraw Wewnętrznych? Rzucałeś kości stróżującym psom?

– Nie wszystkim – mówi Malone.

– A co oni dla was robili? – pyta O'Dell.

– Ostrzegali – wyjaśnia Malone i dodaje: – Chcieliście policjantów.

– Coś pięknego! – unosi się Paz. – Na pewien chory sposób to niemal godne podziwu. Będzie donosił na kapusiów.

– Jak wysoko to sięga w Biurze Spraw Wewnętrznych? – pyta Weintraub.

– Ja płacę porucznikowi – mówi Malone. – Nie mam pojęcia, co on potem robi z tymi pieniędzmi.

– Jesteś w stanie to nagrać? – pyta Weintraub. – To, jak porucznik Biura Spraw Wewnętrznych bierze łapówkę?

– A co przed chwilą powiedziałem?

Wszyscy patrzą na Paz.

Ona kiwa głową.

– Nie – mówi Malone. – Chcę, żeby powiedziała to pani na głos, szefowo. „Sierżancie Malone, proszę się zająć Biurem Spraw Wewnętrznych”.

– Masz moją autoryzację.

Dobrze, myśli Malone. Napuści jedno szczury na drugie, żeby poodgryzały sobie głowy.

– Czy sądzisz, że twój człowiek może usunąć Buliosiego? – pyta Weintraub.

– To nie jest mój człowiek.

– Oczywiście, że jest – mówi Weintraub. – Masz go w kieszeni.

– Nie wiem.

– Musimy utajnić to, że zajmujemy się BSW – mówi Paz. – Przedwczesne ujawnienie zagroziłoby naszemu dochodzeniu.

– To znaczy odebraliby wam laury – mówi Malone.

– To znaczy – powtarza Paz z naciskiem – że jeśli BSW jest umoczone, to będą zatajać dowody i uszczelniać przecieki. Zostanie nam tylko Henderson.

Jasne, myśli Malone. Tak naprawdę boją się, że komisarz uprzedzi burmistrza i uderzy pierwszy. Ujawni korupcję, sam się z nią rozprawi i wyjdzie z tego jako bohater.

– Ten pieprzony Torres – mówi Paz. – Kto mógł wiedzieć, że to taki mięczak?

– Więc nie uderzycie w BSW? – pyta Malone.

– Oczywiście, że uderzymy, ale jeszcze nie teraz. – Paz podchodzi do Malone'a. Zapach jej perfum dociera do niego wcześniej niż ona sama. –

Sierżancie Malone, jest pan najwspanialszym na świecie skorumpowanym policjantem. Bardzo możliwe, że sam jeden ujawnił pan korupcję wśród obrońców, w gabinecie prokuratora, w Biurze Spraw Wewnętrznych i w całym NYPD.

– To większa sprawa niż Serpico – mówi Weintraub. – Bob Leuci, Michael Dowd, Eppolito. To lepsze od nich wszystkich.

Dzwoni telefon Malone’a.

O’Dell kiwa mu głową, żeby odebrał.

To Henderson.

Ma już odpowiedź.

Buliosi kosztuje sto tysięcy dolarów.

– To może być przeciwuderzenie – mówi O’Dell.

– A co mam, kurwa, do stracenia? – pyta Malone.

– Całe nasze dochodzenie – wyjaśnia Weintraub. – Jeśli zapłacisz Buliosiemu, a on cię rozegra, Biuro Spraw Wewnętrznych zlikwiduje Task Force i wtedy my zostajemy na lodzie.

– A ty im o nas opowiesz, prawda? – mówi Paz.

– W mgnieniu oka.

– Może już czas skoordynować działania z BSW – mówi O’Dell. – Jeśli są czysti, to nasze dochodzenia będą się nawzajem blokować.

– Czyś ty całkiem zwariował? – oburza się Paz. – Oni zamierzają sprzedać dochodzenie w sprawie Torresa.

– Albo i nie – mówi O’Dell.

– Jeśli odkryjemy ich teraz – włącza się Weintraub – to po prostu wrzucą Hendersona pod autobus i zamkną całą sprawę. Nie zrobią nic, co mogłoby narazić pozycję komisarza.

– Zabarykadują się przed nami – mówi Paz. – Odetną nas od wszelkich informacji.

– A wtedy burmistrz nie zostanie gubernatorem – mówi Malone. – A pani nie zostanie burmistrzem. O to w tym wszystkim chodzi. Oszczędźcie mi tych bajeczek o powstrzymaniu korupcji, bo to wy jesteście korupcją.

– A ty jesteś biały jak śnieg – odparowuje Paz.

– Jak nowojorski śnieg – poprawia ją Malone.

Brudny, zbrylony, twardy.

Paz spogląda na O’Della.

– Zapłacimy Buliosiemu.

– A mamy w ogóle sto tysięcy w gotówce? – pyta O’Dell.

Nikt nie odpowiada.

– W porządku – mówi Malone. – Ja mam.

I mam was.

Może nawet uda mi się znaleźć sposób, żeby się z tego wyplątać.

– Jest pan sławny, sierżancie Malone – mówi Rubenstein.

Siedzą na górze w Landmark Tavern.

– Nie – mówi Malone.

Nie potrafi ocenić, czy Rubenstein jest gejem, czy nie, choć Russo tak uważa. Ale Russo wszystkich dziennikarzy uważa za gejów, nawet kobiety. Jedno, czego Malone jest pewny, to że Rubenstein jest niebezpieczny. Drapieżnik zawsze rozpozna innego drapieżnika.

– Nie, przecież tak jest – mówi Rubenstein. – Największy przechwyty narkotyków w historii. Jest pan największym celebrytą spośród wszystkich policjantów w tym mieście.

– Ale proszę o tym nie wspominać mojemu kapitanowi, dobrze?

– Na ulicy mówi się, że to pan rządzi w jednostce Manhattan Północ – uśmiecha się Rubenstein.

Jest niebezpieczny.

– Proszę tego nie pisać, bo więcej nie będę z panem rozmawiał. Niech pan posłucha, cała ta rozmowa musi pozostać... jak wy to nazywacie...

Malone doskonale wie, jak oni to nazywają.

– W głębokim cieniu – mówi Rubenstein.

– No właśnie. Nikt nie może się dowiedzieć, że przekazałem panu jakieś informacje. Muszę panu pod tym względem zaufać.

– Może mi pan zaufać.

Jasne, akurat. Reporterom nie ufa się jak psom. Dopóki trzymasz kość w rękę i karmisz pismaka, jesteś dobry, ale kiedy ręka jest pusta, broń Boże nie odwracaj się plecami. Albo ty karmisz media, albo one zjedzą ciebie.

– Zdaje się, że już wcześniej doprowadził pan do oskarżenia Peny? – mówi Rubenstein.

Jezu, kurwa, z kim ten facet zdążył już porozmawiać?

– Zgadza się.

– Czy to miało jakiś wpływ na pańskie zachowanie? – pyta Rubenstein.

– Słyszał pan kiedyś o irlandzkim alzheimerze?

– Nie.

– Zapomina się wszystko oprócz uraz – wyjaśnia Malone. – Wie pan, wchodząc do tego budynku, nie mieliśmy pojęcia, na co trafimy. Okazało się, że trafiliśmy na bandytów z bronią, którzy chcieli wyrównać rachunki. Jednym z nich był Pena. Czy cieszę się, że to my wyszliśmy z tego górną? Tak. Czy lubię zabijać ludzi? Nie.

– Ale jakoś musiało to na pana wpłynąć.

– Udręczony policjant – mówi Malone. – To stereotyp. Sypiam dobrze, dziękuję za troskę.

– Jak pańskim zdaniem mieszkańcy ubogich dzielnic traktują obecnie policję? – pyta Rubenstein.

– Nie ufają nam – mówi Malone. – Widzi pan, NYPD ma długą historię rasizmu i brutalności. Żaden poważny człowiek nie może temu zaprzeczyć. Ale wiele się zmieniło. Ludzie nie chcą w to uwierzyć, ale to prawda.

– Zastrzelenie Michaela Bennetta wskazywałoby na coś innego.

– Może zaczekamy na ustalenie faktów – mówi Malone.

– Dlaczego to dochodzenie trwa tak długo?

– Proszę zapytać Wielkiej Ławy Przysięgłych.

– Pytam pana – mówi Rubenstein. – Brał pan udział w wielu incydentach, w których padały strzały.

– I w każdej z tych sytuacji dochodzenie wykazywało, że użycie broni było uzasadnione.

– Może właśnie o tym mówię.

– Nie przyszedłem tu na debatę – odpowiada Malone.

– To po co pan przyszedł?

– W sprawie Rafaela Torresa. W mediach pojawiło się wiele spekulacji.

– To był skorumpowany policjant – mówi Rubenstein. – Chronił dilerów narkotykowych.

– To bzdury.

– Musi się pan zgodzić, że nie jest to nieprawdopodobne. To znaczy istnieje mnóstwo precedensów...

– Brudna Trzydziestka. Michael Dowd – mówi Malone. – To prehistoria.

– Naprawdę?

– Nikt bardziej niż policjanci nie życzyłby sobie, by heroina zniknęła z ulic – mówi Malone. – To my musimy radzić sobie z przemocą, z przestępczością, z cierpieniem, z tymi, którzy przedawkowali, z ciałami. To my chodzimy do kostnic. To my zawiadamiamy rodziny, a nie *New York Times*.

– Zdaje się, że ten temat pana złości, sierżancie.

– Ma pan rację, złości mnie. – Malone jest wkurzony na siebie, że dał się sprowokować. – Złoszczą mnie ludzie, którzy rzucają dokoła bezpodstawne oskarżenia. Z kim wyście rozmawiali?

– A czy pan zdradza swoje źródła, sierzancie? – pyta Rubenstein.

– No dobra, w porządku. Ale przyszedłem tutaj, żeby podać panu prawdziwy powód, dla którego Torres się zabił.

Kładzie na stole kopertę. Ten materiał sprokurował dla niego posłuszny lekarz z West Side, trochę przy tym marudząc, że to nadużycie i złamanie etyki zawodowej.

Rubenstein otwiera kopertę, patrzy na zdjęcie rentgenowskie i opinię lekarza.

– Rak prostaty?

– Nie chciał odchodzić w ten sposób.

– Dlaczego nie zostawił żadnej wiadomości? – pyta Rubenstein.

– Raf nie był tego typu człowiekiem.

– I nie był również skorumpowanym policjantem?

Pierdol się, Rubenstein.

– Nie wiem. Czy Torres przyjąłby darmową kawę albo kanapkę? Pewnie tak, jasne. Ale nic ponadto.

– Słyszałem na ulicy, że praktycznie był ochroniarzem DeVona Cartera.

– Ja słyszę na ulicy rozmaite bzdury – mówi Malone. – Wie pan, że Jack Kennedy prowadzi bar na Marsie, a Trump jest nieślubnym dzieckiem reptilian, którzy żyją pod ziemią pod Madison Square Garden? Mamy taki klimat, że ludzie uwierzą we wszystko złe na temat policjantów i będą to powtarzać, aż w końcu stanie się to powszechnie przyjętą prawdą.

– Powiem panu, co jest w tym najzabawniejsze – mówi Rubenstein. – Ludzie z tak zwanej okolicy chętnie rozmawiali ze mną o Torresie, i nagle

przestali, nie odbierają telefonów i odwracają się plecami na mój widok. Zupełnie jakby ktoś im czymś zagroził.

– To się nie mieści w głowie – mówi Malone. – Właśnie podałem panu prawdziwy powód, dla którego Torres zabrał się z tego świata, ale pan tak dalej woli snuć swoje teorie spiskowe. Pewnie chodzi o to, żeby historia była ciekawsza.

– Najciekawsze są prawdziwe historie, sierżancie.

– No to zna pan już prawdę.

– Szefowie pana tu przysłali?

– A przyjechałem rowerem? – pyta Malone. – Przyszedłem tu z własnej woli, żeby chronić reputację mojego brata policjanta.

– I reputację Task Force.

– Tak, to też.

– Dlaczego przyszedł pan właśnie do mnie? – pyta Rubenstein. – *Post* zawsze się zabija o dostęp do przecieków z policji.

– Czytałem pańskie artykuły o heroinie – mówi Malone. – Były dobre. Spojrzał pan na to z odpowiedniego punktu widzenia. A poza tym pracuje pan dla pieprzonego *Timesa*.

Rubenstein zastanawia się przez chwilę, po czym mówi:

– A gdybym napisał, że wiarygodne źródło, którego nie mogę ujawnić, przekazało mi informację, że Torres cierpiał na bolesną i śmiertelną chorobę?

– Byłbym panu bardzo wdzięczny.

– I co ja bym z tego miał?

Malone podnosi się.

– Nie chodzę do łóżka na pierwszej randce. Kolacja, może kino, a potem zobaczymy, co dalej.

– Zna pan mój numer.



Znam, myśli Malone, wychodząc na ulicę. Znam twój numer.

Spotyka się z Russem i Montym w wynajętym mieszkaniu.

Zwykle przychodzą tu, żeby się rozluźnić i uspokoić, ale w tej chwili o spokoju można tylko pomarzyć. Atmosfera jest duszna i napięta. Russo i Monty, dwóch twardych sukinsynów, są wstrząśnięci. Z twarzy Russa znikł wieczny uśmiezek, Monty jest wyjątkowo ponury, niezapalone cygaro ciężko zwisa z kącika jego ust.

A Levin w ogóle nie przyszedł.

– Gdzie nowy? – pyta Malone.

– Poszedł do domu – mówi Russo.

– Wszystko z nim w porządku?

– Jest wstrząśnięty, ale nic mu nie będzie. – Russo wstaje z kanapy i przechadza się po pokoju. Wygląda przez okno, a potem znów odwraca się do Malone'a. – Jezu Chryste. Myślisz, że Torres nas wysypał?

– Gdyby nas wysypał, już byśmy byli w kajdankach – mówi Monty. – O Rafie Torresie można powiedzieć różne rzeczy, ale na pewno nie był szczurem.

Malone czuje się tak, jakby dostał nożem pod żebro.

Bo Big Monty ma rację. Raf Torres handlował narkotykami, był alfonsiem i bił kobiety, myśli Malone, ale nie był mną. Nie był kapusiem. Nie okłamywał swoich partnerów, patrząc im w oczy, tak jak ja to za chwilę zrobię.

– Mimo wszystko pożar przygasa – mówi Russo.

– To nie było Biuro Spraw Wewnętrznych – mówi Malone i czuje się jak ostatnia gnida. – W każdym razie Henderson tak twierdzi. Będzie próbował to wyciszyć, a nas będzie to kosztowało sto kawałków z funduszu na czarną godzinę.

– To koszty prowadzenia interesu – mówi Monty.

– Więc kto to był? Federalni? – pyta Russo.

– Nie wiadomo – mówi Malone. – Może nikt. Z tego, co wiemy, Torres mógł się poczuć zmęczony życiem. Miał dość tego, że jest bezwartościowym gównem i postanowił to skończyć. Puściłem w obieg historyjkę, że był chory.

Zapada cisza. Monty i Russo patrzą na siebie. Rozmawiali wcześniej, zanim Malone tu dotarł. Malone chce się dowiedzieć, co im chodzi po głowach. Kurwa, myśli, czyżby się zastanawiali nade mną?

– O co chodzi? – pyta i serce niemal przestaje mu bić.

– Denny, rozmawialiśmy właśnie... – zaczyna Russo.

– Jezu Chryste, wyduś to z siebie – mówi Malone. – Widzę, że coś cię dręczy. Powiedz, kurwa, o co chodzi.

– Uważamy, że czas już ruszyć ten towar od Peny.

– Teraz? – mówi Malone. – Kiedy pali się nam pod tyłkiem?

– Właśnie dlatego, że pali się nam pod tyłkiem – odpowiada Russo. – A jak trzeba będzie się stąd zrywać albo jak będą nam potrzebne pieniądze na prawników? Jeśli będziemy czekać, to może się tak zdarzyć, że w ogóle nie będziemy w stanie tego ruszyć.

Malone patrzy na Monty'ego.

– A ty co o tym myślisz?

Monty obraca w dłoni cygaro i zapala je starannie.

– Nie staję się młodszy, a Yolanda ciągle marudzi, że powinienem spędzać więcej czasu z rodziną.

– Mówisz o wyjściu z Da Force? – mówi Malone.

– W ogóle z roboty – odpowiada Monty. – Dwadzieścia lat minie mi za parę miesięcy. Sam już nie wiem, czy nie wolałbym skończyć przy jakimś biurku na przedmieściach, a potem powiesić odznakę na kołku, brać emeryturę i przenieść się z rodziną do Karoliny Północnej.

– Skoro tego właśnie chcesz, Monty, to zrób to – mówi Malone.

– Karolina Północna – powtarza Russo. – Nie chcesz zostać w mieście?

– Moi chłopcy, szczególnie dwaj starsi, są już w takim wieku, że zaczynają się odszczekiwać. Nie robią tego, co im każę, tylko pyskują. A ja nie chcę, żeby zaczęli pyskować niewłaściwemu policjantowi i dostali kulkę.

– Co ty, kurwa, gadasz, Monty – obrusza się Russo.

Więc do tego już doszło, myśli Malone. Czarny gliniarz boi się, że inny gliniarz zastrzeli mu dziecko.

– Żaden z was nie musi się o to martwić – mówi Monty. – Wasze dzieci są białe. Ale ja i Yo musimy brać coś takiego pod uwagę. Yo śmiertelnie się boi, że jeśli to nie będzie policjant, to jakiś bandyta.

– Na Południu też strzelają do czarnych chłopaków – mówi Malone.

– Ale nie tak jak tu – odpowiada Monty. – Myślisz, że ja chcę stąd wyjeżdżać? Cholera, nie mam ochoty wyjeżdżać z Nowego Jorku nawet na kolację za miastem. Ale Yo ma rodzinę niedaleko Durham. Tam są dobre szkoły. Mógłbym dostać niezłe stanowisko w jakimś college’u. Słuchaj, mieliśmy dobrą passę, ale wszystko się kiedyś kończy. Może ta cała sprawa z Torresem to dla nas znak, żeby zgarnąć pieniądze i odejść. Więc tak, chcę dostać swój udział.

– No dobra – mówi Malone. – Może Savino mógłby to zabrać gdzieś do Nowej Anglii, daleko od naszego terenu.

– Więc musimy się z nim spotkać – mówi Russo.

– Nie my, tylko ja – poprawia go Malone.

– Bo co?

Bo to, że gdyby trzeba było przejść badania na wykrywaczu kłamstw, będę mógł przysiąc, że was tam nie było, myśli Malone.

– Im mniej nas przy tym będzie, tym lepiej.

– On ma rację – mówi Monty.

– No dobra. Trzeba zakopać Rafa, a potem się tym zajmę – mówi Malone. – A tymczasem poczekajmy, aż wszystko się trochę uspokoi i wiatr rozwieje dym.

## ROZDZIAŁ 20

Detektywowi sierżantowi Rafaelowi Torresowi wyprawiono oficcerski pogrzeb.

Departament chce w ten sposób pokazać światu, że nie ma nic do ukrycia, myśli Malone. Że nie mają się czego wstydzić.

*The Times* też pomógł.

Artykuł Rubensteina trafił na czołówkę. Zajął całą górną połowę pierwszej strony. Pod nagłówkiem BOHATERSKI POLICJANT DAJE ZA WYGRANĄ znalazło się tylko jedno nazwisko.

Majstersztyk, myśli Malone.

*Nikt tak naprawdę nie wie, dlaczego Rafael Torres zrobił to, co zrobił. Czy zrobił to świadomie, czy przypadkowo? Czy przywiodła go do tego śmiertelna choroba, czy też długie lata niekończącej się wojny z narkotykami? Wiemy tylko, że naciśnięciem na spust zakończył życie pełne cierpień.*

No cóż, to w każdym razie jest prawda. Torres był przyczyną wielu cierpień.

Cierpieli jego żona, rodzina, jego dziwki, kochanki, aresztanci – praktycznie wszyscy, którzy mieli z nim jakieś kontakty. On sam być może też cierpiał, choć Malone w to wątpi. Raf Torres był socjopata, nie odczuwał cudzego bólu.

Ale pociągnął za spust, myśli Malone.

To jedno trzeba mu przyznać.

Pogrzeb odbywa się na cmentarzu Woodlawn w Bronksie. Malone już zapomniał, że Torres był stąd. Cmentarz jest ogromny, wiele setek akrów

porośniętych wielkimi cedrami i sosnami, między którymi stoją wystawne mauzolea. Malone był tu wcześniej tylko raz. Przyciągnęła go tu Claudette, żeby położyć kwiaty na grobie Milesa Davisa.

Tak jak wszyscy policjanci na pogrzebie, Malone jest w pełnym umundurowaniu. Ma niebieską kurtkę, białe rękawiczki, złotą odznakę przepasaną czarną opaską i medale. Malone nie ma wielu medali. Nie lubi ich, bo trzeba o nie występować, co jego zdaniem jest żalosne.

On i tak wie, co zrobić.

Wiedzą również wszyscy ci, którzy są istotni.

Pogrzeb boleśnie przypomina mu pogrzeb Billy'ego.

Szeregi policjantów, dudy, salwa honorowa, poczet sztandarowy.

Tylko że Billy nie miał dzieci, a Torres ma. Dwie dziewczynki i chłopiec stoją dzielnie obok matki. Na ich widok Malone'a przeszywa lodowate ostrze wyrzutów sumienia. To ty im to zrobiłeś, ty je pozbawiłeś ojca.

Żony też tu są – nie tylko żony członków oddziału Torresa, ale wszystkich policjantów. Obyczaj wymaga, by przyszły na pogrzeb. Stoją w równym szeregu, w czarnych żałobnych sukienkach, które muszą wkładać zbyt często. Jak wrony na drucie telefonicznym, myśli Malone nieprzyjaźnie. I wie, co wszystkie te żony czują – smutek z powodu Glorii Torres oraz poczucie winy z powodu ulgi, że to nie one są na jej miejscu.

Sheila z całą pewnością schudła o kilka kilogramów.

Wygląda dobrze.

Wydaje się nawet, że ma łzy w oczach, choć nie cierpiała Torresa i nie znosiła okazji, gdy musiała się z nim spotykać towarzysko.

Burmistrz wygłasza krótką przemowę, ale Malone nie ma pojęcia, co powiedział, bo go nie słucha, a poza tym jakie to, kurwa, ma znaczenie? Większość policjantów w subtelny sposób okazuje, że nie zwraca na niego

uwagi, bo nienawidzą go do szpiku kości. Uważają, że zdradzał ich przy każdej okazji i że zrobi to znów w sprawie Michaela Bennetta.

Ojciec Gospodarz na szczęście ma dość rozumu, by nie gadać długo i oddać głos komisarzowi. Malone myśli, że mogliby się rzucić sobie do gardeł od razu tutaj i zaoszczędzić wszystkim trudu przychodzenia na następny pogrzeb. Nie robią tego tylko z obawy, że dostaliby owacje na stojąco.

Policjanci jednak słuchają komisarza, bo choć niewątpliwie jest kutasem, mimo wszystko stoi po ich stronie w sprawie Bennetta i w pozostałych sprawach dotyczących użycia brutalnej siły. Poza tym boją się go nie słuchać, bo szef patroli i szef detektywów patrzą na nich i notują nazwiska. Burmistrzowie i komisarze przychodzą i odchodzą, ale szefowie wydziałów sprawują swoje funkcje dożywotnio.

Następny jest ksiądz, którego Malone również nie słucha, dociera do niego jednak, gdy ten pieprzony pasożyt mówi, że Torres jest teraz w niebie. To może oznaczać tylko jedno: że w ogóle nie znał Torresa.

Policja musiała przycisnąć Kościół, żeby ksiądz odprawił pełną ceremonię pogrzebową i pochował go w poświęconej ziemi, choć Torres popełnił samobójstwo, co jest grzechem śmiertelnym, i nie przyjął ostatniego namaszczenia.

Pieprzone pajace.

Powinni zrobić to jak trzeba, pozwolili rodzinie pożegnać nieboszczyka i odesłać go do piekła. I tak by tam trafił, jeśli takie miejsce w ogóle istnieje. Ale policja jest stałym klientem i przekazuje Kościołowi dużo pieniędzy, toteż Kościół się ugiął, a Malone, chcąc nie chcąc, zauważa, że ksiądz jest Azjata.

Kurwa, czy nie udało im się otrzeźwić żadnego irlandzkiego księdza na wystarczająco długi czas, żeby odprawił pogrzeb policjanta? Albo znaleźć

Portorykańczyka w koloratce, który akurat nie był zajęty molestowaniem kolejnego chłopaczka? To nie, musieli ściągnąć jakiegoś Filipińczyka, czy kim on tam, kurwa, jest. Malone słyszał, że Kościołowi zaczyna brakować białych księży, a teraz myśli, że to musi być prawda. Mały Filipińczyk w końcu zamyka gębę, rozlega się dźwięk dud i Malone myśli o Liamie.

O nim i o wszystkich innych pogrzebach z tamtych dni.

Te cholerne dudy.

Muzyka przestaje grać, rozlega się salwa ze strzelb, flaga zostaje zwinięta, formacja rozsypuje się.

Malone podchodzi do Sheili.

– Okropne, prawda?

– Żal mi tych dzieci.

– Wszystko będzie z nimi w porządku.

Gloria jest przystojną kobietą, wciąż młodą i atrakcyjną. Lśniące czarne włosy, dobra figura. Nie będzie miała problemu ze znalezieniem zastępstwa za Rafa, jeśli zechce.

A prawdę mówiąc, bardzo możliwe, że Gloria Torres właśnie wygrała los na loterii. Chciała się rozwieść z mężem, zanim zwinął się z tego świata, a teraz będzie dostawać oficjalną i nieoficjalną rentę.

Malone dopilnował, żeby Gloria dostała grubą kopertę i żeby zapewniono jej comiesięczne raty.

Torres będzie nadal zarabiał.

– A co z dziwkami? – zapytał go Gallina.

– Wychodzicie z tego biznesu.

– Kim ty, kurwa, jesteś, żeby...

– To ja odciągnąłem wam od dupy Biuro Spraw Wewnętrznych – wyjaśnił Malone. – Tym właśnie, kurwa, jestem. Jeśli spróbujecie się zerwać ze smyczy, sami się przekonacie, jak to się skończy.



– Czy to ma być groźba?

– To rzeczywistość, Jorge – mówi Malone. – Rzeczywistość wygląda tak, że nie potraficie zapanować nad własnym gównem. Dziewczyny wsiądą do autobusu, wrócą tam, skąd przyjechały, i koniec dyskusji.

Malone podchodzi, żeby złożyć kondolencje Glorii Torres.

Te tępe dupki nie wiedzą, co dla nich zrobiłem, myśli. Napuściłem na siebie federalnych i Biuro Spraw Wewnętrznych, żeby wyniszczyli się wzajemnie. Wyciszyłem szepty o Torresie. Przy odrobinie szczęścia cała ta sprawa zostanie pochowana razem z nim i wszyscy wrócimy do poprzedniego życia.

Ustawia się w kolejce, a gdy dochodzi do wdowy, mówi:

– Bardzo mi przykro z powodu twojej straty, Glorio.

Jest wstrząśnięty, gdy ona szepcze do niego:

– Odpierdol się ode mnie.

Malone patrzy na nią w milczeniu.

– Rak, Denny? On miał raka?

– Próbowałem chronić jego opinię.

Gloria wybucha śmiechem.

– Opinię Rafa?

– Ze względu na ciebie i na dzieci.

– Nie wycieraj sobie gęby jego dziećmi.

Patrzy na niego z czystą nienawiścią w oczach.

– Co...

– To ty, skurwysynu – syczy.

Malone czuje się tak, jakby uderzyła go w twarz. Nie wierzy własnym uszom. Zmusza się, by na nią spojrzeć.

– Raffy mi powiedział. To przez ciebie.

Prawa pięść Russa trafia Ortiza w twarz.

Ortiz cofa się i przykłada rękę do zakrwawionych ust, jednak Russo jeszcze nie skończył. Zamierza dołożyć lewą, ale Malone odciąga go na bok.

– Czyś ty zwariował? Tutaj? Na oczach połowy wyższych szarż z NYPD?

– Słyszałeś, co on powiedział o tobie? – Twarz Russa jest zaczerwieniona, wykrzywiona grymasem wściekłości. – Nazwał cię pieprzonym szczurem!

Russo próbuje wyrwać się z uścisku Malone'a. Monty również odciąga ich od siebie. Levin staje między nimi a ludźmi Galliny, a Monty odprowadza Russa na bok. Policjanci zaczynają się już odwracać i gapić.

– Nazwał Malone'a szczurem – mówi Russo. – Mówi, że Torres powiedział żonie.

– Jeśli to prawda – mówi Monty – była to ostatnia podłość Torresa, wymierzona już z za grobu. Nienawiść nie ginie.

Russo wyrywa się z uścisku Malone'a i podnosi rękę.

– W porządku, w porządku.

Opiera się o nagrobek i łapie oddech.

Podchodzi do nich Levin.

– Co się dzieje?

Russo potrząsa głową.

– Ludzie Torresa twierdzą, że Malone współpracował z federalnymi i że go wystawił.

– To chyba nieprawda? – mówi Levin.

Malone rzuca się na niego.

– Kurwa...

Monty staje między nimi i przytrzymuje Malone'a.

– Ja też będę musiał się z tobą bić?

– To bzdura! – wrzeszczy Malone i niemal sam w to wierzy.

– Oczywiście, że bzdura – mówi Monty. – Powiedzieli tak, żeby sprawdzić, jak zareagujemy.

– Jeśli to ma być test, to dlaczego mówili o federalnych, a nie o Biurze Spraw Wewnętrznych? – pyta Levin.

Malone myśli, że to pytanie śmierdzi prawdą.

– Bo wiedzą, że mamy BSW w kieszeni – odpowiada Russo. – Czy tobie, nowy, wydaje się, że wszystko, kurwa, wiesz?

– Nie – mówi Levin.

– Uspokoileś się już? – pyta Monty Malone’a.

– Tak.

Monty puszcza go.

To się stało w jednej chwili, myśli Malone. Jedna minuta po oskarżeniu wystarczyła, żeby Monty stał się przywódcą, a ja wybrakowanym towarem. Nie wini Monty’ego – tamten robi to, co trzeba zrobić, ale Malone nie może na to pozwolić.

– Idźcie, powiedzcie im. Park Charlesa Younga, dzisiaj o dziesiątej wieczorem – zwraca się do Monty’ego i Russa. – Niech wszyscy przyjdą.

Monty oddała się od nagrobków.

– No i dobrze – mówi Levin. – Wyjaśnimy to sobie.

– Ty nie będziesz brał w tym udziału – mówi Malone.

– Dlaczego?

– To są główniane sprawy, o których nie musisz wiedzieć.

– Słuchaj, albo należę do oddziału, albo...

– To dla twojego dobra – wyjaśnia Malone. – Któregoś dnia być może będziesz musiał przejść badanie wykrywaczem kłamstw, a wtedy dobrze by było, żebyś mógł powiedzieć „nie wiem” i żeby nie rozdzwoniły się wszystkie dzwonki.

Levin wpatruje się w niego.

– Jezu Chryste, w co wyście się wpakowali?

– W gówno, przed którym próbuję cię uchronić.

– Przecież już wziąłem pieniądze – mówi Levin. – To znaczy, że jestem ugotowany?

– Masz przed sobą całą karierę – mówi Malone. – Próbuję cię chronić. To wszystko ciebie nie dotyczy. Zajmij się dzisiaj wieczorem czymś innym.

Russo i Monty wracają.

Spotkanie zostało uzgodnione.

– To już koniec! – krzyczy Malone. – Kurwa, to koniec!

– Uspokój się – mówi Paz.

– To ty się, kurwa, uspokój! – wrzeszczy Malone. – To się rozniesie po całej jednostce. Gdzie tam, jeszcze dzisiaj rozniesie się po całej policji! Jestem napiętnowany, naznaczony, tak jakbym miał na plecach tarczę strzelniczą!

Paz odchyła się na oparcie krzesła i patrzy na niego spokojnie.

– Zaprzecz wszystkiemu.

Znajdują się w „bezpiecznym domu”, który Malone’owi nie wydaje się już bezpieczny, na Trzydziestej Szóstej Ulicy.

– Mam zaprzeczyć? Torres powiedział żonie.

– To jej słowa – mówi Paz. – Możliwe, że po prostu próbują się ciebie pozbyć.

– I namówili do tego Glorię?

Paz wzrusza ramionami.

– Glorię Torres trudno nazwać pogrążoną w rozpacz widową. Poza tym w jej najlepszym interesie jest zapewnić sobie dopływ brudnych pieniędzy.

Malone patrzy na O’Della.

– Ujawniliście mnie przed Torresem?

– Pokazaliśmy mu nagranie was obydwu – mówi O’Dell. – Ale powiedzieliśmy, że mamy nagrania wszystkich z Task Force.

– Więc oni, kurwa, wiedzą, że mnie zwerbowaliście! Pierdoleni idioci! Pierdolone puste garnitury z pierdolonego Południowego Dystryktu! Jezu Chryste...

– Siadaj, Malone – mówi Paz. – Powiedziałam, siadaj.

Malone siada ciężko na metalowym krześle.

– Zawsze wiedzieliśmy, że w którymś momencie będziemy musieli cię odkryć. Ale nie jestem pewna, czy ta chwila już nadeszła. Na ile wiedzą ludzie Torresa, to mógł być każdy z Task Force albo w ogóle nikt. Więc owszem, zaprzeczaj wszystkiemu.

– Nie uwierzą mi.

– To ich przekonaj – mówi Paz. – I przestań jęczeć. To nie my wpakowaliśmy cię w tę sytuację. Sam to zrobiłeś. Radziłabym ci o tym pamiętać.

– Zachowaj swoje rady dla przyjaciółek.

– Nie mam żadnych przyjaciółek – mówi Paz. – Za bardzo jestem zajęta skorumpowanymi policjantami, takimi jak ty i świętej pamięci Rafael Torres. On był skorumpowany i jego oddział jest skorumpowany. Ty jesteś skorumpowany i cały twój oddział też jest skorumpowany.

– Ja nie będę...

– Tak, tak, wiem – przerywa mu Paz. – Nie zrobisz niczego, co mogłoby zaszkodzić twoim partnerom. Słyszeliśmy to już piętnaście razy. Chcesz chronić swoich partnerów, Malone? To zaciśnij zęby, zostań w policji i przynoś nam następne oskarżenia.

– W końcu go zabiją – mówi O’Dell.

Paz znów wzrusza ramionami.

– Ludzie czasem giną.

– Nieźle – odzywa się Weintraub.  
– Co zamierzasz? – pyta Paz Malone’a.  
– Mamy się spotkać dziś wieczorem. Mój oddział i Torresa.  
– Dwie pieczenie na jednym ogniu – mówi Paz. – Będziesz nagrywał.  
– Odpierdol się – mówi Malone. – Pierwsza rzecz, jaką zrobią, to mnie sprawdzą.

– Nie pozwól im.  
– Wtedy już będą mieli zupełną pewność.  
– Wiesz, czego w tobie nie lubię, Malone? – mówi Paz. – Poza wszystkim innym? Uważasz, że jestem głupia. Tak naprawdę nie chcesz pójść z mikrofonem na to spotkanie, bo boisz się, że pogrążysz swoich partnerów. Przecież już cię zapewniłam, i jest to na taśmie, że jeśli twoi ukochani partnerzy nie popełnili innych przestępstw niż te, o których już wiemy albo których możemy się domyślać na podstawie tego, co ty robiłeś, to odejdą wolno dzięki twojej współpracy.

O’Dell włącza się do rozmowy:

– Jeśli pójdzie na to spotkanie z mikrofonem, a oni go sprawdzą, wtedy już na pewno uda nam się go zabić. Ale jeśli dla ciebie to nie ma znaczenia, Isobel, to weź pod uwagę, że w takim wypadku też niczego nie nagra i niczego już nie będzie mógł potwierdzić.

– Zawsze trzeba to brać pod uwagę – mówi Weintraub.

– Chcę dostać od Malone’a pełny, prawdziwy i podpisany raport z tego spotkania.

– Chcesz dostać jakieś wsparcie? – pyta go O’Dell.

– Co?

– Na wypadek kłopotów. Możemy umieścić w pobliżu ludzi, którzy w razie czego cię stamtąd wyciągną.

Malone wybuchają śmiechem.

– No tak, jasne. Myślisz, że federalnych w tamtej okolicy nie rozpoznają gliniarze ani miejscowi? Kurwa, to by mnie zabiło najszybciej!

– Jeśli dasz się zabić, nasza umowa stanie się nieważna – oświadcza Paz. Malone nie jest pewien, czy to żart.

Wkłada do buta nóż komandoski.

Sig sauer jest w kaburze przy pasie, beretta na plecach. Do kostek przykleił taśmą dodatkowe magazynki.

I to na spotkanie z innymi gliniarzami, myśli.

Na spotkanie z innymi gliniarzami.

No tak, ale to są gliniarze, którzy chcą mnie zabić.

Kompleks sportowy pułkownika Charlesa Younga to cztery ziemne boiska bejsbolowe mieszczące się między Sto Czterdziestą Trzecią a Sto Czterdziestą Piątą Ulicą, na wschód od Malcolm X i na zachód od Harlem River Drive, w miejscu, gdzie most na Sto Czterdziestej Piątej łączy ją z Deegan. Po drugiej stronie Malcolm X znajduje się stacja metra przy Sto Czterdziestej Piątej, która w razie potrzeby może zapewnić Malone'owi kolejną drogę ucieczki.

Zgodnie z umową spotyka się ze swoim oddziałem na południowo-zachodnim rogu Sto Czterdziestej Trzeciej i Malcolm i razem idą na boiska.

Russo ubrany jest w skórzaną kurtkę. Malone wie, że pod spodem ma strzelbę. Monty ma tweedową marynarkę od Harrisa. Na jego biodrze widoczne jest wybrzuszenie od trzydziestkiósemki.

– To jak Runnymede – mówi Monty, gdy przechodzą przez Sto Czterdziestą Trzecią, idąc w stronę boisk.

– Rany co?

– Runnymede – powtarza Monty. – Baronowie chcą obalić króla.

Malone nie ma pojęcia, o czym Monty mówi, ale jest pewien, że Monty wie, o czym mówi, i to mu wystarcza. W każdym razie rozumie, o co

chodzi. Wie, kto jest królem i kim są baronowie.

Na widok policjantów z parku zmywa się kilkoro dzieciaków i paru narkomanów.

Dzwoni telefon. Malone spogląda na wyświetlacz.

To Claudette.

Powinien odebrać, ale nie może. Nie teraz. Czuje się nieco winny. Powinien ją odwiedzić albo zadzwonić, ale tyle się działo, że nie miał na to czasu.

Kurwa, myśli. Może powinienem zatrzymać się na chwilę i oddzwonić.

Widzi jednak ludzi Torresa, którzy wychodzą na boisko od przeciwnej strony. Czekali na nich, żeby sprawdzić, czy przyjdą sami.

Malone wcale się im nie dziwi.

Patrzy na nich, gdy idą w jego stronę i zatrzymują się pośrodku boiska. Wie, że też są uzbrojeni po zęby.

To bardziej przypomina strzelaninę z westernu niż jakichś cholernych baronów i królów. Przeciwnicy – kurwa, teraz jesteśmy przeciwnikami – krok po kroku zbliżają się do siebie.

– Muszę cię obszukać – mówi do niego Gallina.

– Może wszyscy się rozbierzemy? – proponuje Malone.

– My nie jesteśmy szczurami.

– Ja też nie.

– Słyszeliśmy co innego – mówi Tenelli.

– A coś ty, kurwa, słyszała? – pyta Russo.

– Najpierw sprawdźmy, czy nikt tu nie nagrywa – mówi Gallina.

Malone wyciąga wyprostowane ręce na boki. To upokarzające, ale pozwala, żeby Gallina go obszukała.

– Teraz pozostali – mówi Gallina.



– Niech wszyscy obszukają wszystkich – proponuje Malone. – Przecież nie wiemy, czy to nie był ktoś z was.

Wygląda idiotycznie, gdy policjanci obmacują się nawzajem.

– No dobra – mówi w końcu Malone. – Teraz już możemy gadać?

– Nie nagadałeś się wystarczająco? – pyta Tenelli.

– Nie wiem, co wam powiedziała Gloria, ale to nie ja wydałem Torresa.

– Mówiła, że federalni odtworzyli Torresowi nagranie z nim i tobą – mówi Gallina. – On tego nie nagrał, więc to musiałeś być ty.

– Bzdury – mówi Malone. – Mogli nagrywać z zaparkowanego samochodu albo z dachu. Z dowolnego miejsca.

– W takim razie dlaczego nie przyszli po ciebie? – pyta Gallina.

– A może przyszli? – dodaje Tenelli.

– Nie.

– Dlaczego? – powtarza Tenelli.

– Przyjdą – mówi Gallina. – I co wtedy zrobisz?

– Powiem, żeby spieprzali. Nie mają nic więcej na nikogo. I nie będą mieli.

– Chyba że ty im coś podrzucisz – mówi Gallina.

– Nie skrzywdziłbym brata policjanta.

– A skąd możemy wiedzieć, że już tego nie zrobiłeś? – pyta Tenelli.

– Jeszcze nigdy w życiu nie uderzyłem kobiety – odpowiada Malone. – Ale ty bardzo się o to prosisz.

– Przestań.

Gallina znów się włącza do rozmowy:

– I czego to miałyby dowieść? Jeśli to nie ty, Malone, to jak w ogóle federalni się do nas dobrali?

– Nie wiem – mówi Malone. – To wy, kretyni, siedzieliście w kieszeni u Cartera. Może to on sypnął? Prowadziliście interes z dziewczynkami, może to

ściągnęło ich uwagę.

– A ten nowy, Levin? – pyta Ortiz.

– On? A co on?

– Może to on jest szczurem. Może współpracuje z federalnymi?

– Odpieprz się.

– Bo co?

– Bo ja ci w tym pomogę.

Ortiz ustępuje.

– Więc co teraz?

– Teraz będziemy czyści – mówi Malone.

– A co z pensją od Cartera?

– Od tej chwili ja się będę zajmował Carterem.

– Najpierw doprowadziłeś do śmierci Torresa, a teraz chcesz nas skazać na głodówkę? – pyta Tenelli.

– Posłuchaj – odpowiada Malone. – To Raf wykopał pode mną dołek, a nie na odwrót. Ale z tym sobie poradzę. Jeśli będę musiał rzucić się na miecz, to tak zrobię. Ale przy odrobinie inteligencji wszyscy możemy wyjść z tego cało. Mamy Biuro Spraw Wewnętrznych w kieszeni. Nie mogą nas skrzywdzić, nie krzywdząc jednocześnie siebie. Policja miała ostatnio za dużo złej prasy. Jeśli nic nowego nie wypłynie, to wyciszą sprawę.

– A federalni? – pyta Gallina.

– Zbliża się długie, gorące lato. Pojawi się raport w sprawie Bennetta i jeśli oczyszczą tego gówniarza z zarzutów, to miasto eksploduje. Federalni o tym wiedzą, i wiedzą również, że będą nas potrzebować, by powstrzymać pożar w mieście. Róbcie swoje i miejcie czyste ręce. Jakoś nas przez to przeciągnę.

Nie wydają się zadowoleni, ale nikt nic nie mówi.

Król wciąż jest królem.

Potem odzywa się Monty:

– Praca w policji jest niebezpieczna, o czym wszyscy wiemy, ale jeśli cokolwiek przydarzy się Malone’owi... jeśli trafi go kula, spadnie na niego kawałek betonu albo uderzy w niego piorun... to będę szukał winnego wśród tych, którzy teraz stoją na tym boisku. I zabiję was.

Rozchodzą się, każda grupa w swoją stronę.

Wracają do mieszkania.

– Nie rozmawiajcie o interesach z nikim z zewnątrz – mówi Malone. – I w ogóle o niczym nie rozmawiajcie w domu, w samochodzie ani w żadnym miejscu, co do którego nie jesteśmy na sto procent pewni, że jest bezpieczne.

– Więc federalni mieli ciebie i Torresa na taśmie? – pyta Monty.

– Na to wygląda.

– A co tam było?

– Tylko dwa razy rozmawiałem z Torresem o czymś, co mogło być ryzykowne – mówi Malone. – Raz w Boże Narodzenie. Wtedy to on do mnie przyszedł, żeby pogadać o Teddym. Drugi raz po tej sprawie z bronią. Chodziło o Cartera, choć nie pamiętam dokładnie, co mówiliśmy. Ale nic dobrego.

– A jeśli federalni przyczepią się do ciebie? – pyta Russo.

– Nic nie dostaną – mówi Malone.

– To pójdziesz siedzieć – kwituje Monty.

– To pójdę siedzieć.

– Jezu, Denny.

– Mną się nie martwcie. Zajmiecie się moją rodziną.

– To oczywiste – mówi Russo.

– Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie. Jeszcze nie wypadłem z gry. Ale jeśli dojdzie...

– Będziemy cię asekurować – mówi Russo. – A co z Levinem?

– Jezu, ty też?

– Całe to gównno zaczęło się po tym, jak dołączył do oddziału – mówi Russo.

– *Post hoc, ergo propter hoc* – stwierdza Monty.

– Co?

– Po tym, czyli z tej przyczyny – wyjaśnia Monty. – To błąd logiczny. To, że całe to gównno zaczęło się po przyjsciu Levina, nie znaczy, że zaczęło się z powodu przyjscia Levina.

– Wziął swoją działkę z pieniędzy Teddy’ego – mówi Malone.

– No tak, ale gdzie ją zabrał? – pyta Russo. – Może zaniósł te pieniądze federalnym.

– No dobra – mówi Malone. – Wpadnijcie do niego o drugiej czy trzeciej w nocy i sprawdźcie, czy ma te pieniądze.

– A jak nie?

– To będziemy mieli do niego parę pytań – mówi Malone.

Wychodzi z mieszkania i idzie do samochodu.

Czas już ruszyć towar od Peny.

To najgorsza możliwa chwila, by zrobić coś tak ryzykownego, ale musi ruszyć towar od Peny.

## ROZDZIAŁ 21

Spotykają się na cmentarzu St. John.

– Po cholere musieliśmy przyjeżdżać aż tutaj, na Queens? – pyta Lou Savino.

– Wolałbyś się spotkać na Pleasant Avenue? – pyta Malone. – To plan filmowy dla federalnych. Zawsze możesz powiedzieć, że przyszedłeś odwiedzić starych przyjaciół.

Leży tu połowa najważniejszych szefów pięciu wielkich mafijnych rodzin: Luciano, Vito Genovese, John Gotti, Carlo Gambino, Joe Colombo i nawet stary Salvatore Maranzano, który to wszystko zaczął.

Cmentarz St. John to coś w rodzaju gangsterskiej galerii gwiazd.

Leży tu także Rafael Ramos.

Trudno uwierzyć, że minęły już dwa lata od dnia, gdy został zastrzelony razem z drugim policjantem, Wenjianem Liu, gdy siedzieli w radiowozie w Bed-Stuy. Świr, który to zrobił, twierdził, że była to zemsta za Erica Garnera i Michaela Browna. Powiedział, że „przyprawił świniom skrzydła”. Starczyło mu rozumu, żeby strzelić sobie w mózg, zanim dopadło go NYPD.

Broń, z której strzelał, pochodziła z Żelaznego Szlaku.

Gdzie wtedy byli ci pieprzeni demonstranci, zastanawia się Malone. Gdzie były transparenty „Błękitne życie jest ważne”?

Malone był na pogrzebie Ramosa. To był największy pogrzeb w historii policji – ponad sto tysięcy ludzi. Wielu policjantów odwróciło się plecami do burmistrza, kiedy wygłaszał przemowę.

A burmistrz odwrócił się do nich plecami w sprawie Erica Garnera.

Przyprawić świniom skrzydła, myśli Malone.

Pocałuj mnie w moją świńską dupę.

W każdym razie jest miłe czerwcowe przedpołudnie. Ładny dzień na spacer.

– Jesteś pewien? – pyta Malone. – Jeśli twoi szefowie usłyszą, że zajmujesz się dilerką, to cię zlikwidują.

W rodzinie Cimino obowiązuje zasada: dilujesz – umierasz.

Nie ze względu na skrupuły, tylko na to, że groźba dużego wyroku skłania do współpracy z policją. Jeśli zgarną cię z narkotykami, ryzyko jest zbyt duże. Dlatego musisz odejść.

– To nie jest kara za dilerkę – mówi Savino. – Tylko za to, że cię złapią na dilerce. Dopóki szefowie dostają swoją porcję pod dziób, gównu ich to obchodzi. A ja muszę jakoś zarabiać na chleb, nie?

No tak, myśli Malone.

Louie, który udaje biedaka, to zabawny widok. Tak jakby musiał handlować heroiną, żeby mieć co jeść. Po prostu wie, że jest tu doskonały interes do zrobienia. Prawdziwe Eldorado, jeśli tylko uda mu się to przeprowadzić.

– Pozwól, że sam będę się martwił o siebie – mówi Savino. – Ile za to chcesz?

– Sto tysięcy za kilo – mówi Malone.

– Na jakim ty, kurwa, świecie żyjesz? – pyta Savino. – Mogę dostać heroinę po sześćdziesiąt pięć – siedemdziesiąt.

– Ale nie Dark Horse – odpowiada Malone. – Nie sześćdziesiąt procent czystości. Rynkowa cena to sto.

– Tyle byś dostał bezpośrednio od detalisty – mówi Savino. – Ale nie możesz iść do detalisty i dlatego zadzwoniłeś do mnie. Ja mogę dać siedemdziesiąt pięć.

– Spieprzaj z taką ceną.

– Zastanów się – mówi Savino. – Masz okazję zrobić interes z rodziną, z białymi, a nie z czarnuchami i brudasami.

– Siedemdziesiąt pięć to za mało – mówi Malone.

– To podaj swoją propozycję.

– Całkiem jak w programie dla inwestorów – mówi Malone. – No dobra, łaskawco. Niech będzie dziewięćdziesiąt za kilo.

– Mam się oprzeć na tym nagrobku, żebyś mógł mnie wyruchać od tyłu?

– pyta Savino. – Może mógłbym ci dać osiemdziesiąt.

– Osiemdziesiąt siedem.

– Kurwa, czy my jesteśmy Żydami? – pyta Savino. – Nie możemy zrobić tego jak dżentelmeni? Powiedzmy osiemdziesiąt pięć. Osiemdziesiąt pięć tysięcy za kilo razy pięćdziesiąt. Cztery miliony dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów. To mnóstwo pączków z czekoladą.

– Masz tyle?

– Zdobędę – mówi Savino.

To znaczy, że będzie musiał zwrócić się do innych, myśli Malone. Więcej ludzi to więcej gadania i większe ryzyko. Ale nic nie można na to poradzić.

– Jeszcze jedno. Nie puścisz tego w obieg na północnym Manhattanie. Zabierz to na północ stanu, do Nowej Anglii, gdzie chcesz, ale nie tutaj.

– Niezły jesteś – mówi Savino. – Nic cię nie obchodzi los ćpunów, o ile tylko nie są to twoje ćpuny.

– Zgadzasz się czy nie?

– Stoi – mówi Savino. – Tylko dlatego, że nie mam ochoty dłużej sterczeć na cmentarzu. Dostaję od tego dreszczy.

No tak, myśli Malone. Nic tak jak cmentarz nie uświadamia człowiekowi, że któregoś dnia trzeba będzie zapłacić, odpowiedzieć za wszystko, co się zrobiło.

Pieprzone zakonnice.

– Kiedy to zrobimy? – pyta Savino.

– Podam ci czas i miejsce – mówi Malone. – Tylko gotówka, Lou. Nie przynoś mi żadnej trefnej biżuterii czy kwitu na zły kredyt.

Savino uśmiecha się krzywo.

– Gliniarze. Tacy podejrzliwi.

Przed wyjściem z cmentarza Malone idzie jeszcze do grobu Billy’ego, by oddać mu hołd.

– To dla ciebie, Billy. Dla twojego syna.

Malone otwiera skrytkę w prysznicu.

Jak to nazywają Portorykańczycy? *La caja*.

Pięćdziesiąt kilo hery, każdy kilogram zapakowany w błękitny plastik z nalepką świadczącą o tym, że to Dark Horse. Malone zrywa nalepki i spłukuje je w toalecie, a potem przekłada paczki do dwóch dużych worków brezentowych, które kupił na tę okazję. Zamyka skrytkę, po jednym zwozi worki windą na dół i chowa z tyłu samochodu.

Normalnie pomagalyby mu Russo, Monty albo obydwaj, ale woli ich trzymać z dala od tego i po prostu dać im pieniądze, jakby znów było Boże Narodzenie. Z drugiej strony ryzykownie jest robić to samemu, bez asekuracji.

Ale taki jest teraz twój świat, mówi sobie. Skręca na północ w Broadway i jedzie w stronę centrum. Dopóki nie odczepisz się od Paz i federalnych, jesteś samotnym wilkiem. Do tego czasu musisz chronić swoich kolegów.

Dobrze byłoby mieć ich przy sobie na wypadek, gdyby Savino próbował go okraść, ale Malone wątpi, by miało się tak zdarzyć. Policja ma wiele powiązań z *borgatą* Cimino. Z drugiej strony to mnóstwo pieniędzy i mnóstwo towaru, a nigdy nie wiadomo, co komu może odbić.

Być może Savino uzna, że trafił mu się złoty strzał.



A z pewnością nie pomyślałby tak, gdyby Russo i Monty również byli na miejscu.

Ale teraz jestem sam. Mam tylko siga, berettę i nóż. No dobra, jeszcze MP5 pod kurtką. Mam mnóstwo broni palnej, ale tylko jeden palec, którym można naciskać spust, więc przede wszystkim muszę liczyć na honor Savina.

Kiedyś głównie na to liczyłeś w kontaktach z mafią.

Ale kiedyś wiele rzeczy wyglądało inaczej.

Skręca w West Side Highway, przejeżdża przez most Waszyngtona, a potem przez Fort Tryon Park pod Cloisters. Jest pierwsza po północy i park jest prawie pusty, a jeśli nawet ktoś tam jest, na pewno nie ma czystego sumienia. Może to być bezdomny, który rozpala nielegalne ognisko, ktoś, kto przyprowadził tu dziwkę albo szuka kogoś, kto zrobi mu laskę, choć tego jest znacznie mniej od czasu, kiedy geje wyszli z ukrycia.

Albo ktoś, kto chce ubić interes z heroiną.

To właśnie ja, myśli Malone. Jestem taki sam jak każdy inny bandyta.

Gdybym ja tego nie zrobił, zrobiłby to ktoś inny, myśli, choć wie, że jest to racjonalizacja stara jak świat. Ale jest stara jak świat dlatego, że jest prawdziwa. Właśnie w tej chwili w jakimś laboratorium w Meksyku powstaje następna partia tego gówna, więc gdyby nie chodziło o te konkretne pięćdziesiąt kilo, chodziłoby o inne, i gdybym to nie był ja, byłby to ktoś inny.

Więc dlaczego tylko źli faceci mają przez cały czas zarabiać? Ci, którzy torturują i zabijają. Dlaczego ja, Russo i Monty nie możemy trochę zarobić, żeby zbudować przyszłość dla naszych rodzin?

Przez całe pieprzone życie próbujesz utrzymać to gówno z dala od ludzi i ile byś tego nie przechwycił, ilu dilerów byś nie złapał, to i tak wciąż się

pojawia. Trafia z pól opiumowych do laboratoriów, potem do ciężarówek, do strzykawk i w żyły.

Rzeka płynie równo i nieustannie.

Ale zdaje sobie sprawę z własnej hipokryzji.

Wie, że równie dobrze mógłby wstrzyknąć to od razu w ramię Claudette.

Tylko że jeśli to nie będę ja, będzie ktoś inny.

A ironia sytuacji polega na tym, że wykorzystam te pieniądze, żeby opłacić jej odwyk i żeby wysłać moje dzieci do college'u. Dzięki temu te pieniądze nie trafią do jakiegoś Meksykanina czy Kolumbijczyka, który kupiłby sobie za nie następne ferrari, jeszcze parę złotych łańcuchów, tygrysa na smyczy, wiejską rezydencję albo harem.

Tak czy owak, powtarzasz sobie to, co musisz sobie powtarzać, żeby zrobić to, co musisz zrobić.

I czasami, kurwa, nawet w to wierzysz.

Zatrzymuje się w miejscu, gdzie Fort Tryon Road schodzi się z Corbin Drive. Chce w dalszym ciągu być na swoim terenie, na północnym Manhattanie, na wypadek gdyby coś poszło nie tak. Ale wie też to, co wie każdy przestępca, że należy zmieniać rejony komisariatów. Zaczynasz na terenie Dwudziestego Ósmego, ubijasz interes przy Trzydziestym Czwartym, a jednocześnie przez cały czas jesteś na obszarze działania jednostki Manhattan Północ.

Przy tej metodzie, jeśli coś się spieprzy i wpadniesz, to jest nadzieja, że coś się pochrzani w papierach krążących między komisariatami i rejonami. Zazdrość i rywalizacja mogą stanąć na drodze sprawiedliwości i może nawet uda ci się wyjść z tego cało.

Dlatego na przykład prostytutki chodzą po ulicach położonych na granicy dwóch rejonów, bo żaden policjant nie chce mieszać się w to, co się dzieje na cudzym terenie. Za dużo papierologii. Tak samo drobni dilerzy, goście,

którzy sprzedają małe porcje. Na widok policjanta przechodzą na drugą stronę ulicy, a ten przeważnie za nimi nie idzie. Jeśli teraz ktoś będzie ich ścigał, Malone pojedzie do centrum Manhattanu, ale Savino ruszy w stronę Bronksu, włączając w akcję zupełnie inną dzielnicę.

Bronx i Manhattan nienawidzą się nawzajem.

Chyba że w jakąś sprawę włączą się federalni, wtedy jedni i drudzy nienawidzą federalnych.

Ludzie nie mają pojęcia, jak bardzo plemienny charakter mają zasady obowiązujące w policji. Przede wszystkim kwestia narodowości. Najliczniejszym plemieniem są Irlandczycy, potem Włosi, a dalej plemię złożone z Wszystkich Pozostałych Białych. Za nimi idą plemiona Czarnoskórych i Latynosów.

Każda grupa ma swój klub: Irlandczycy mają Emerald Society, Włosi – Columbia Association, Niemcy – Stauben Society, Polacy – Pulaski Association, a pozostali biali zbieraninę nazywaną St. George's Society. Czarni to Guardians, Portorykańczycy mają Hispanic Society, dwunastu Żydów – Shomrim Society.

Dalej sprawy się komplikują, bo istnieją również plemiona Mundurowych, Niemundurowych i Detektywów, i tu podziały biegną w poprzek podziałów narodowościowych. Przede wszystkim istnieje Plemię Policjantów Pracujących na Ulicy, którego wrogiem jest Plemię Administracji ze swoim podklanem, Plemieniem Spraw Wewnętrznych.

Dalej idą podziały na dzielnice, rejony i jednostki.

Malone należy zatem do Plemienia Irlandzkich Detektywów Pracujących na Ulicy Jednostki Specjalnej Manhattan Północ.

A także do jeszcze jednego plemienia – Plemienia Skorumpowanych Gliniarzy.

Savino już podjeżdża.

Dwukrotnie miga światłami czarnego navigatora. Malone staje przed navigatorem w taki sposób, że gdyby Savino chciał szybko wyjechać, musiałby wrzucić wsteczny. Nie widzi, co się dzieje we wnętrzu SUV-a. Potem Savino wysiada.

Jak Boga kocham, *capo* ma na sobie dres. Niektórzy z tych gości po prostu nie potrafią się powstrzymać. Przy pasie po prawej stronie widać wybrzuszenie od broni, a na twarzy szeroki, głupawy uśmiech.

Malone nieoczekiwanie myśli, że niespecjalnie lubi Savina, zwłaszcza gdy otwierają się tylne drzwi SUV-a i wychodzi z nich trzech Dominikańczyków.

Jednym z nich jest Carlos Castillo.

Najwyraźniej to on jest tu *jefe*. Ma na sobie czarny garnitur, białą koszulę bez krawata i otacza go zapach pieniędzy. Czarne włosy przylizane do tyłu i cienki wąsik. Pozostali dwaj to cyngle – czarne kurtki, dzinsy, odjechane kowbojskie buty i AK.

Malone wyjmuje MP5 i trzyma je przy biodrze.

– Spokojnie – mówi Savino. – To nie jest to, na co wygląda.

Akurat, kurwa, myśli Malone. Wciągnąłeś mnie w pułapkę. Całe to pieprzenie na cmentarzu, że nie masz pieniędzy, to było *fugazy* – pozory, szopka, żeby mnie dopaść.

Castillo uśmiecha się do niego.

– Myślisz, że nie wiedzieliśmy, ile kilo było w tym pokoju i ile pieniędzy?

– Czego chcesz?

– Diego Pena był moim kuzynem.

Nie cofaj się, mówi sobie Malone. Jeśli zaczniesz się wycofywać, to cię zabiją. Jeśli okażesz słabość, to cię zabiją.

– Chcesz zamordować detektywa Departamentu Policji miasta Nowy Jork? Cały świat zwali ci się na głowę.

Jeśli ja ci jej wcześniej nie odstrzelę.

– Jesteśmy kartelem – mówi Castillo.

– Nie, to my jesteśmy kartelem – odpowiada Malone. – W moim gangu jest trzydzieści osiem tysięcy ludzi. A ty ilu masz?

Castillo zaczyna się zastanawiać. Ten facet nie jest głupi.

– Kiepsko się składa. Więc na razie będę musiał poprzestać na odzyskaniu naszej własności.

Jedna z zasad Malone'a: nigdy się nie cofaj. Ani kroku wstecz.

– Możesz to kupić – mówi.

– To bardzo hojna oferta z twojej strony – odpowiada Castillo. – Miło, że proponujesz nam odkupienie naszego towaru.

– Proponuję wam interes, który wytargował ten sukinsyn makaroniarz – mówi Malone. – Jeśli ci się nie podoba, to możesz zapłacić cenę detaliczną.

– Ukradłeś nam ten towar.

– Przejąłem go – mówi Malone. – To jest różnica.

Castillo uśmiecha się.

– Więc ja też mogę go przejąć.

– Twój ludzie mogą – mówi Malone. – Ciebie wyślę tam, gdzie już wysłałem twojego kuzyna.

– Diego nigdy nie wyciągnąłby na ciebie broni – odpowiada Castillo. – Był na to za sprytny. Po co walczyć z tym, co można kupić?

– Diego dostał to, na co zasłużył.

– Nie – mówi Castillo spokojnie. – Nie musiałeś go zabijać. Chciałeś to zrobić.

To kurewska prawda, myśli Malone.

– Robimy interes czy nie?

Jeden z Dominikańczyków wraca do samochodu i wyjmując z niego dwie aktówki. Zamierza je podać Castillo, ale tamten patrzy na Malone'a i potrząsa głową, więc goryl oddaje aktówki Savinie.

Ładne walizki.

Savino podchodzi do samochodu Malone'a, kładzie je na masce i otwiera, pokazując pliki setek.

– Tyle, ile miało być – mówi Castillo. – Cztery miliony dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

– Chcesz przeliczyć? – pyta Savino.

– Nie trzeba. – Malone nie ma ochoty pozostawać tu ani chwili dłużej, niż to konieczne, i nie chce odrywać wzroku od Dominikańczyków na tak długi czas, jakiego wymagałoby przeliczenie pieniędzy. Poza tym gdyby chcieli dać mu za mało, to równie dobrze mogliby mu nie dać nic.

Umieszcza walizki na podłodze swojego samochodu przy fotelu pasażera, obchodzi samochód dokoła, wyciąga worki i kładzie je na masce.

Savino stawia worki obok Castilla, który otwiera je i zagląda do środka.

– Nie ma naklejek.

– Zerwałem je – mówi Malone.

– Ale to jest Dark Horse?

– Tak. Chcesz spróbować?

– Wierzę ci – mówi Castillo.

Malone przez cały czas trzyma palec na spuście MP5. Jeśli chcą go zastrzelić, teraz jest odpowiednia chwila. Mają już heroinę i wciąż jeszcze mogą mu odebrać pieniądze. *Jefe* kiwa głową jednemu ze swoich goryli, który łapie worki i ładuje je do samochodu Savina.

Savino uśmiecha się.

– Interesy z tobą to zawsze wielka przyjemność, Denny.

No tak, myśli Malone. Castillo zabiłby mnie na miejscu, gdyby nie to, że chce robić interesy z rodziną Cimino. A ty i ja musimy poważnie porozmawiać, Louie.

Castillo wpatruje się w Malone'a.

– Wiesz, że to tylko odroczenie.

– Wszyscy o tym wiemy – mówi Malone. Wsiada do samochodu i odjeżdża. Cztery miliony i ćwierć leżą obok niego na podłodze. Adrenalina kipi mu w żyłach, a potem strach i gniew uderzają z podwójną siłą, jak młot, i Malone zaczyna się trząść.

Widzi, że jego ręce na kierownicy drżą, zaciska je mocniej i szybko wciąga powietrze przez nos, żeby uspokoić tętno.

Myślałem, że już po mnie.

Myślałem, że już jestem pieprzonym trupem.

Tym razem mi się udało, mówi sobie. Ale kuzyn Peny tak tego nie zostawi. Zaczeka na okazję i odbierze, co jego. A może zleci to rodzinie Cimino. Louie zaprosi mnie na rozmowę, z której już nigdy nie wrócę. Najwięcej zależy od tego, kto ma większą wartość dla rodziny Cimino – ja czy kartel.

Ja bym postawił pieniądze na Domosów.

I jeszcze jedna sprawa.

Ci pieprzeni Dominikańczycy sprzedadzą tę heroinę na ulicach północnego Manhattanu, żeby wygryźć DeVona Cartera z biznesu.

Narkomani w moim rejonie będą umierać.

To kolejna rzecz, z którą muszę żyć.

Jedzie na południe wzdłuż rzeki Hudson. Czarna woda lśni srebrzyście od świateł mostu.

## ROZDZIAŁ 22

Malone wkłada walizki z pieniędzmi do skrytki, wychodzi z łazienki i nalewa sobie drinka.

Ręce w końcu przestały mu się trząść. Połyka kilka tabletek deksedryny i spłukuje je whisky. Jest już po trzeciej w nocy, a o ósmej trzydzieści John gra mecz bejsbolowy, którego Malone nie chce opuścić. Siada i czeka, aż tabletki zaczną działać, a potem wychodzi z mieszkania, wsiada do samochodu i jedzie do Staten Island, żeby obejrzeć wschód słońca nad oceanem.

Idzie plażą, patrząc na ognistoczerwone słońce i różowe morze, nad którym wznosi się bursztynowy łuk mostu Verrazano-Narrows. Stado mew tuż przy skraju wody nie rusza się z miejsca, gdy Malone przechodzi obok nich. To on jest tu intruzem. Czekają, aż fala przyniesie wodorosty, a razem z nimi śniadanie. Malone'a trzymają prochy. Dzięki nim nie jest głodny, choć nic nie jadł od wczorajszego lunchu. Tak trzymać, mewy, myśli. Nie pozwólcie nikomu ruszyć się z miejsca. To wy tu rządzą.

W dzieciństwie czasem chodził z ojcem i bratem na tę plażę. Malone uwielbiał gonić mewy. Jeśli woda była wystarczająco ciepła, ojciec uczył go rzucać się na fale, i była to najlepsza rzecz na świecie. Miałby ochotę rzucić się teraz do wody, choć jest jeszcze lodowato zimna, ale nie chce, żeby sól osadziła mu się na skórze, bo nie ma gdzie wziąć prysznic, nie ma też ręcznika.

Ale dobrze byłoby wejść do zimnej wody. Uświadamia sobie, że zapomniał wziąć prysznic. Ma nadzieję, że nie śmierdzi. Wącha się pod pachą. Nie jest tak źle.



Nie ogolił się też i John może być niezadowolony, więc gdy wraca do samochodu, wyjmuje podróżną kosmetyczkę, którą zawsze wozi pod przednim siedzeniem, i goli się na sucho, przeglądając się we wstecznym lusterku. Maszynka drapie i nie goli tak gładko, jak Malone mógłby sobie życzyć, ale w każdym razie wygląda przyzwoiciej.

Jedzie na stadion bejsbolowy.

Sheila już jest na miejscu. Drużyna Johna rozgrzewa się. Dzieci wydają się smętne. Jest sobota rano, gdyby nie mecz, mogłyby pospać dłużej.

Malone podchodzi do Sheili.

– Dzień dobry.

– Miałeś kiepską noc?

Nie odpowiada.

– Caitlin tu jest?

– Została na noc u Jordana.

Malone jest rozczarowany i nie potrafi pozbyć się podejrzeń, że taki właśnie był plan – chcieli, żeby się poczuł rozczarowany. Spogląda na Johna i macha do niego ręką. John sennie odmachuje, ale oddaje mu uśmiech. To cały John, on zawsze się uśmiecha.

– Może gdzieś usiądziemy? – mówi do Sheili.

– Może później. Mam pierwszy dyżur przy stoisku z jedzeniem.

– Macie tam kawę?

– Chodź, coś ci zrobię.

Malone idzie za nią do baraczku, w którym znajdują się stoiska z jedzeniem. Sheila dobrze wygląda w zielonej polarowej bluzie i džinsach. Zaparza kawę i nalewa mu kubek. Malone sięga również po lukrowany pączek, bo wie, że powinien coś zjeść. Kładzie na blacie dziesiątkę i każe jej wrzucić resztę do słoika.

– Rozrzutny jesteś.

Wyjmuje kopertę z kieszeni kurtki. Sheila chowa ją do torebki.

– Sheel – mówi Malone – gdyby cokolwiek się zdarzyło, to wiesz, do kogo masz się zwrócić, tak?

– Do Phila.

– A gdyby jemu też coś się stało?

Myśli o tych dwóch policjantach, Ramosie i Liu – partnerach, którzy zginęli, siedząc po prostu w samochodzie.

– Wtedy do Monty’ego – mówi Sheila. – A czy coś ma się zdarzyć, Denny?

– Nie, chciałem tylko sprawdzić, czy wiesz, co masz robić.

– W porządku. – Jednak Sheila patrzy na niego z niepokojem.

– Powiedziałem, że chcę tylko sprawdzić.

– A ja powiedziałam, że w porządku. – Wykłada na blat czekoladki, ciastka i batoniki musli, a potem jabłka, banany i kartony z sokiem. – Niektóre matki chciały, żebyśmy sprzedawały jarmuż. Jak my tu mamy wystawić jarmuż?

– A co to jest jarmuż?

– No właśnie.

No właśnie, myśli Malone. Naprawdę nie wie, co to jest jarmuż.

– Jak się miewa Caitlin?

– Nie wiem, a która godzina? – Sheila skupia się na wykładaniu batoników i po chwili dodaje: – Może zajrzy tu później. Zależy, o której wstaną.

– Miło by było.

– No tak. Zależy, o której wstaną.

Malone nie wie, co mógłby dodać w tej rozmowie, ale wydaje mu się, że nie powinien jeszcze odchodzić.

– W domu wszystko w porządku?

– Naprawdę cię to obchodzi, Denny?

– Tak. Przecież właśnie o to zapytałem.

Naprawdę nie potrzebują żadnego powodu, żeby się pokłócić.

– Mógłbyś ściągnąć fachowca od bojlera – mówi Sheila. – Znowu wydaje dziwne dźwięki. Dzwoniłam do niego już chyba ze trzy razy.

Cholerny Palumbo. Spławia kobiety, jakby tylko wymyślały sobie te dziwne dźwięki.

– Zajmę się tym.

– Dziękuję.

Sheilę wyraźnie irytuje to, że potrzebuje męża, żeby fachowiec potraktował ją poważnie, jakby jej opinia w ogóle się nie liczyła. Gdybym był kobietą, myśli Malone, pewnie wyszedłbym na ulicę z pistoletem maszynowym i siekłbym dookoła, krzycząc na całe gardło.

– Masz jakieś pokrywki?

Sheila rzuca mu pokrywkę.

Malone odczekuje chwilę, po czym odchodzi w stronę otwartych trybun oddzielonych płotem od linii boiska. Siedzi tam już kilkoro rodziców. Niektóre kobiety trzymają na kolanach koce, inne mają termosy i pudełka pączków z Dunkin' Donuts. Cholera, myśli Malone, nie mogą wydać dolara na stoisku, żeby wesprzeć dzieci?

Zna większość rodziców, kiwa im głową, ale siada nieco dalej.

Chodził z tymi ludźmi na spotkania komitetu rodzicielskiego, na przedstawienia dziecięce i na różne inne bzdury – do Pizza Hut po meczach, na podwórkowe grille czy imprezy przy basenie. Wciąż bywa na szkolnych uroczystościach, ale nie jest już zapraszany na dodatkowe zajęcia. Zdaje się, że podarłem kartę klubu ojców z przedmieść, myśli, albo to oni ją podarli. Nie okazują mu wrogości ani nic w tym rodzaju, ale coś się zmieniło.

Z taśmy leci hymn narodowy. Malone wstaje i kładzie rękę na sercu, patrząc na Johna stojącego w szeregu chłopców.

Przepraszam cię, John.

Może kiedyś zrozumiesz.

Twój popieprzony ojciec.

Zaczyna się mecz. Drużyna Johna gra w boisku i zaczynają od wewnętrznego pola. John biegnie na lewo. Jest duży jak na swój wiek, więc wystawiają go na zapolu. Profilowanie, myśli Malone. Ma dobry chwyt, ale niezbyt dobry zamach. Próbuje celować w każdą piłkę i przeciwnicy o tym wiedzą, dlatego podsyłają mu paskudne rzuty, ale Malone nie zamierza zachowywać się tak jak ci tatusiowie kretyni, którzy krzyczą do swoich dzieci z trybun. Jaki to, kurwa, ma sens? Przecież żaden z tych dzieciaków nie trafi do Yankees.

Obok niego siada Russo.

– Okropnie wyglądasz.

– Jest aż tak dobrze?

– Wczoraj w nocy poszliśmy do Levina – mówi Russo. – O drugiej po północy. Myślałem, że chłopak zsika się w portki. Jego dziewczyna też nie była zachwycona.

– No i?

– Pieniądze były w walizce z tyłu szafy. Powiedziałem mu: chłopie, musisz wymyślić coś lepszego.

– To znaczy, że to nie Levin – stwierdza Malone.

– Ja bym go jeszcze nie wykluczał – mówi Russo. – Może to gra obliczona na dłuższy termin. Może chodzi im o to, co zgarnęliśmy u Peny. Denny, musimy się pozbyć tego gówna.

– Już to zrobiłem – odpowiada Malone. – Jesteś o milion z groszami bogatszy niż wczoraj wieczorem.

– Jezu. Sam to zrobiłeś? – Russo nie jest zadowolony.

Malone opowiada mu, jak sprzedał heroinę Savinowi, o Carlosie Castillo i Dominikańczykach.

– Odsprzedałeś im ich własny towar? Denny pieprzony Malone.

– To jeszcze nie jest koniec – mówi Malone. – Castillo chce nam odpłacić za Penę.

– Cholera, Denny, połowa północnego Manhattanu ma ochotę spuścić nam łomot – mówi Russo. – To już żadna różnica.

– Bo ja wiem. Cimino, Domos...

– Trzeba pogadać z Lou – mówi Russo. – To nie w porządku, że tak cię wystawił.

– Zajmę się tym.

– Kurwa, co z ciebie ostatnio taki samotny jeździec? – pyta Russo. – Mam wrażenie, że trzymasz mnie z dala od wszystkiego.

Jakiś chłopak wrzuca piłkę głęboko na lewo. John ściąga ją, przechwytuje i podnosi, żeby sędzia zobaczył.

– Dobra robota, John! – krzyczy Malone.

Przez chwilę milczą, a potem Russo pyta:

– Wszystko w porządku, Denny?

– Tak, a bo co?

– Sam nie wiem. Gdyby coś cię niepokoiło, to chyba byś mi powiedział, co?

Słowa więzną w gardle Malone'a.

Ta jedna chwila zmienia wszystko.

Księża mówili mu kiedyś, że są grzechy czynne i grzechy zaniechania, i że czasem traci się duszę nie przez to, co się robi, ale przez to, czego się nie robi. Czasami to nie kłamstwo wypowiedziane na głos, ale niewypowiedziana prawda otwiera drzwi do zdrady.

– O co ci chodzi? – Malone czuje się jak kawałek gówna. Właśnie z tym facetem powinien porozmawiać, jemu powinien powiedzieć. Ale nie może się na to zdobyć. Nie może się zdobyć na to, żeby powiedzieć Russowi, że został szczurem. A może Phil próbuje go wyczuć, może on też zaczyna już wierzyć w to, co powiedziała Gloria Torres.

Bo to prawda.

Zaufaj partnerowi, powtarza sobie Malone.

Zawsze powinienes ufać partnerowi.

Tak, ale czy Russo jest w stanie zaufać jemu?

Jakiś ruch na parkingu przyciąga jego uwagę. Spogląda tam i widzi Caitlin, która wysiada z hondy CR-V. Prostuje się, macha komuś w samochodzie, a potem podchodzi do stoiska z kawą, wspina się na palce i całuje matkę w policzek.

Russo też to zauważa, ale Russo zauważa wszystko.

– Brakuje ci tego?

– Codziennie.

– Wiesz, że jest na to sposób.

– Jezu, ty też?

– Tak tylko mówię.

– Już za późno – odpowiada Malone. – Poza tym wcale tego nie chcę.

– Gówno prawda – mówi Russo. – Słuchaj, możesz robić na boku, co chcesz, ale centrum to centrum.

– Módl się za mnie, ojcie, bo zgrzeszyłem.

– *Va fangul.*

– Uważaj, co mówisz, bo moje dziecko tu idzie.

Caitlin wspina się na trybuny. Malone podtrzymuje ją i przyciąga do siebie. Mała przytula się do niego.

– Cześć, tatusiu.

– Cześć, skarbie. – Malone całuje ją w policzek. – Przywitaj się z wujkiem Philem.

– Cześć, wujku Phil.

– Czy to na pewno Caitlin? – pyta Russo. – Myślałem, że to Ariana Grande.

Caitlin uśmiecha się.

– Co nowego, skarbie? – pyta Malone.

– Spałam u Jordana.

– Dobrze się bawiłaś?

– Tak. – Opowiada mu, w co się bawiła, a potem pyta, kiedy Malone znów do nich przyjdzie i kiedy będą mogli zostać u niego na noc.

A potem dostrzega kilka przyjaciółek przy płocie za bazą domową, więc Malone mówi:

– Jak chcesz, Cait, to idź do koleżanek.

– Ale potem podejdziesz, żeby się ze mną pożegnać?

– Oczywiście.

Odprowadza Caitlin wzrokiem, a potem wyciąga telefon i znajduje na liście kontaktów Palumbę.

– Chciałbym rozmawiać z Joem.

– Nie ma go w domu.

– Jest w łazience i trzepie konia – mówi Malone. – Daj mi go do telefonu.

Palumbo podchodzi do telefonu.

– Cześć, Denny.

– Spieprzaj – mówi Malone. – Co jest, kurwa, Joe? Moja żona dzwoniła do ciebie trzy razy, a ty się nie pojawiłeś. O co chodzi?

– Byłem zajęty.

– Naprawdę? Następnym razem, kiedy zbierzesz kupkę mandatów, to ja będę zajęty.

– Denny, jak możemy dojść do zgody?

– Kiedy moja żona do ciebie dzwoni, to masz przyjść!

Malone rozłącza się. Pieprzony dureń.

– Zauważyłeś, że gdy ci goście już się pokażą, to nigdy nie mają przy sobie odpowiednich narzędzi? – mówi Russo. – Cała ciężarówka sprzętu stoi przed domem, a im brakuje akurat tego jednego narzędzia, które jest potrzebne. Donna się z nimi nie pieprzy. Któregoś razu powiedziała do Palumba: wypisałabym ci czek, ale nie mam odpowiedniego długopisu. Dotarło do niego.

– No tak, ale Sheila to nie Donna.

– Włoszki takie już są – mówi Russo. – Jak chcesz dostać od nich pieniądze, to musisz zrobić, co do ciebie należy.

– Nadal mówimy o hydraulikach?

– Mniej więcej.

– Co tam u twoich dzieci?

– Chłopaki to głupie osły – mówi Russo.

– Tak czy owak, masz już na college dla nich.

– Chyba tak.

– To dobrze, nie? – mówi Malone.

– Żartujesz?

Obydwaj wiedzą, co zrobili i dlaczego. Jeśli zatone, myśli Malone, moim dzieciom będzie przykro z powodu ojca kryminalisty, ale będą przeżywać tę przykrość, studiując w college'u.

Mecz ciągnie się w nieskończoność. Niskopunktowa gra obronna, myśli Malone sarkastycznie, jakieś 15:13. Kiedy wreszcie drużyna Johna wygrywa, Malone podchodzi do niego.



– Dobrze grałeś.

– Wyrzuciłem aut.

– Ale ważne, że wyrzuciłeś aut z uderzenia. A ile miałeś wyrzutów z pola? To się liczy tak samo jak punkty z biegu, John.

Syn uśmiecha się do niego.

– Dzięki, że przyszedłeś.

– Chyba żartujesz – mówi Malone. – Jak mogłem nie przyjść? Idziecie do Pizza Hut?

– Do Pinkberry – odpowiada John. – Tam jest zdrowsze jedzenie.

– To dobrze.

– Jasne – mówi John. – Masz ochotę iść z nami?

– Muszę wracać do miasta.

– Łapać bandytów.

– No właśnie.

Malone ściska go, ale nie całuje, żeby nie wprawiać go w zażenowanie. Żegna się z Caitlin i podchodzi do Sheili.

– Nie przyszłaś ze mną posiedzieć.

– Marjorie się nie pokazała – mówi Sheila. – Pewnie ma za dużego kaca.

Russo czeka na niego na parkingu.

– Powinniśmy jeszcze pogadać?

– O czym?

– O tobie – mówi Russo. – Nie jestem głupi. Ostatnio nie jesteś sobą. Wydajesz się rozproszony i czymś przygnębiony. Znikasz z zasięgu w dziwnych godzinach. A jeśli to połączyć z Torresem...

– Czy jest coś, co chciałbyś mi powiedzieć, Phil?

– A czy jest coś, co ty chciałbyś mi powiedzieć, Denny?

– Na przykład co?

– Na przykład, że to prawda. – Russo przez chwilę milczy, a potem dodaje: – Posłuchaj, może cię przycisnęli. To się zdarza. Może dostrzegłeś jakąś drogę wyjścia. Potrafię to zrozumieć. Masz żonę, dzieci...

Malone czuje, że serce boleśnie mu się ściska.

Trzaska jak kamień w ogniu.

– To nie byłem ja – mówi.

– W porządku.

– To nie byłem ja.

– Słyszałem, co powiedziałaś.

Phil patrzy na niego tak, jakby nie był pewien, czy powinien mu uwierzyć. Mimo wszystko mówi:

– Dzięki, wiesz. Za to, że się tym zająłeś.

– Odpieprz się.

Na Staten Island te słowa są wyrazem uczucia.

## ROZDZIAŁ 23

Jest późne sobotnie popołudnie i Malone mniej więcej wie, gdzie o tej porze znajdzie Lou Savina. Dawne włoskie kawiarnie, gdzie Lou zapewne chętnie siedziałby w ogródku, popijając espresso jak Tony Soprano, już nie istnieją, dlatego Savino lubi chodzić do Starbucksa. Kupuje espresso i siada na zewnątrz na niewielkim, otoczonym płotkiem patio przy Sto Siedemnastej Ulicy.

Żałosne, myśli Malone. Lou siedzi w idiotycznym dresie z jednym ze swoich żołnierzy, nieudacznikiem o wielkich ambicjach, który nazywa się Mike Sciollo, i ogląda się za każdą przechodzącą dupą.

Ale nie lekceważ go, mówi sobie Malone. Zrobiłeś to wczoraj w nocy i niewiele brakowało, by cię to kosztowało życie. Lou Savino nie dlatego został *capo*, że jest głupi. To sprytny, bezlitosny skurwysyn, myśli Malone, wchodząc do środka.

Ale nawet sprytnie i bezlitosne skurwysyny muszą sikać. Savino mieszka dość daleko, w Yonkers, więc będzie musiał wyjść do toalety, zanim wsiądzie do samochodu. I rzeczywiście, Lou wstaje i wchodzi do środka. Malone wymierza ruchy tak, że pojawia się w toalecie akurat w chwili, gdy Savino wchodzi do kabiny i zaczyna zamykać za sobą drzwi.

Malone wtyka stopę do środka, odpycha drzwi i zamyka je za sobą.

– Denny – mówi Savino. – Miałem do ciebie zadzwonić.

W kabinie jest ciasno. Stoją tuż koło siebie.

– Miałeś do mnie zadzwonić – powtarza Malone. – A nie przyszło ci do głowy, żeby do mnie, kurwa, zadzwonić, zanim wydałeś mnie Castillowi?

– To były interesy, Denny.

– Przestań pieprzyć takie głupoty. Nie jesteś Sollozzem – mówi Malone.  
– Ty i ja też prowadzimy interesy. Powinieneś mi powiedzieć, Lou. Dałeś słowo, że nie będziesz rozprowadzał tego towaru w moim rejonie.

– Masz rację. Masz rację – powtarza Savino. – Ale źle zrobiłeś, załatwiając Penę. Wiesz o tym, Denny. Trzeba było puścić go wolno.

– Gdzie znaję Castilla?

– Lepiej, żebyś go nie znajdował. On ma ochotę odciąć ci głowę.

– A ja każę spreparować jego głowę i będę ją nosił w kieszeni – mówi Malone. – Żeby przez cały czas ssał mi jaja. Gdzie on jest, Lou?

Savino wybucha śmiechem.

– Co zamierzasz zrobić? Stłuc mnie kolbą pistoletu jak jednego z twoich czarnuchów? Daj spokój.

Patrzy ponad ramieniem Malone'a, jakby się spodziewał, że Sciollo załomocze do drzwi i zapyta, czy wszystko w porządku.

– Słyszeliśmy o tobie różne rzeczy. Niektórzy ludzie bardzo się niepokoją.

Malone wie, że „niektórzy ludzie” to Stevie Bruno. A Bruna niepokoi myśl, że Malone donosi, bo wie, że miałby wiele do powiedzenia na temat rodziny Cimino.

– Powiedz tym ludziom, że nie mają powodu do zmartwień.

– Poręczyłem za ciebie – mówi Savino. – Jestem odpowiedzialny za to, co robisz. Mnie też zabijają. Zaproсили mnie na rozmowę. Wiesz chyba, co to znaczy.

– Ja bym na twoim miejscu nie szedł.

– No tak. Ty też zostałeś zaproszony, ośle – mówi Savino. – Jutro o wpół do pierwszej. La Luna. Obecność obowiązkowa. Przyjdź sam.

– Po to, żeby dostać kulkę w tył głowy? – Albo jeszcze gorzej, myśli Malone. Nóż w plecach, garota zaciśnięta na gardle, własny fiut wepchnięty

w usta. – Opuścę sobie.

– Słuchaj – mówi Savino. – Poręcę za ciebie, jeśli ty będziesz mnie osłaniał w sprawie heroiny.

– Nie powiedziałaś o tym Brunowi?

– Chyba mi to umknęło. Ten chciwy kutas chciałby dwadzieścia procent. Jeśli będziemy się nawzajem asekurować, to może uda nam się wyjść cało z tego spotkania.

– Okej, w porządku.

– Do zobaczenia w południe.

Sciollo puka do drzwi.

– Ej, Lou, utopiłeś się tam?

– Spieprzaj! – Lou patrzy na Malone'a. – Uważasz, że dasz sobie radę z całym światem?

Tak, tak właśnie uważam, myśli Malone.

Z całym pieprzonym światem, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Jedzie z powrotem do centrum i nagle czuje, że nie jest w stanie oddychać.

Jakby ściany samochodu zaczęły na niego napierać.

Kurwa, tak jakby cały świat zaczął go dławić – Castillo i Dominikańczycy, rodzina Cimino, federalni, Biuro Spraw Wewnętrznych, departament, gabinet burmistrza, Bóg jeden wie, kto jeszcze. Czuje ucisk w piersi i zastanawia się, czy to zawał. Zatrzymuje samochód, wyciąga ze schowka xanax i połyka.

To nie jesteś ty, myśli.

Kurwa, co to było? Atak paniki?

To nie jesteś ty.

Ty jesteś Denny pieprzony Malone.

Znów uruchamia silnik i jedzie Broadwayem, ale wie, że jest pod obserwacją. Patrzą na niego z chodników, z budynków, z samochodów. Oczy w czarnych twarzach, oczy w brązowych twarzach. Stare oczy, młode oczy, smutne oczy, rozzłoszczone oczy, oskarżające oczy, naćpane oczy. Oczy bandytów, oczy dzieci.

Czuje na sobie mnóstwo oczu.

Jedzie do Claudette.

Jest naćpana.

Nie tak, żeby głowa jej opadała i kiwała się na boki, ale na tyle, że cała kołysze się w rytm muzyki. Cécile McLorin Salvant czy coś takiego. Claudette otwiera mu drzwi i oddala się tanecznym krokiem, przywołując Malone'a ruchem palców.

Uśmiecha się, jakby cały świat był miseczką śmietanki.

– Chodź tu, skarbie. Nie bądź taki sztywny. Zatańcz ze mną.

– Jesteś naćpana.

– Masz rację. – Obraca się i patrzy na niego. – Jestem naćpana. Masz ochotę odlecieć razem ze mną, skarbie?

– Nie, dzięki.

Nigdy nie będzie lepiej, myśli. Nigdy nie będzie lepiej z Claudette. Ty nie możesz być z nią przez cały czas, a heroina tak.

Ta sama heroina, którą właśnie wyprowadziłeś na ulicę.

Claudette wraca przez pokój i otacza go ramionami.

– Chodź, skarbie, zatańcz ze mną. Nie chcesz ze mną zatańczyć?

Kłopot polega na tym, że chce.

Zaczyna się kołysać razem z nią.

Jej ciało przy jego ciele jest ciepłe.

Mógłby tak zostać na zawsze, ale nie tańczą długo, bo heroina zaczyna działać i Claudette zaczyna się kiwać. Kiwając się, mamrocze:

– Nie odebrałeś, kiedy dzwoniłam.

Mówi się, że można oszaleć na czyimś punkcie. Oszalałem, myśli Malone. Oszalałem na punkcie tej kobiety. Szaleństwem jest ją kochać, szaleństwem jest być z nią. Ale jestem i będę z nią.

Szalona miłość.

Niesie ją do łóżka.

## ROZDZIAŁ 24

Niedziela zaczyna się dla Malone'a tak jak zawsze: niejasnym dzieciennym niepokojem, bo nie poszedł na mszę.

Bardziej drzemał, niż spał, a gdy nie spał, myślał o Claudette.

Teraz przygotowuje dwie kawy, wraca do sypialni i budzi ją.

Claudette otwiera oczy i Malone widzi, że poznaje go dopiero po chwili.

– Dzień dobry, skarbie.

Claudette uśmiecha się.

Spokojnym uśmiechem, który mówi, że jest niedziela rano i można poleżeć dłużej w łóżku.

– Ta noc... – mówi Malone.

– Była piękna, skarbie – odpowiada ona. – Jeszcze raz dziękuję.

Zupełnie nic nie pamięta. Malone wie, że przypomni sobie, gdy porządnie oprzytomnieje i znów dopadnie ją głód.

Wie, że powinien z nią zostać, ale...

– Muszę iść do pracy – mówi.

– Jest niedziela.

– Więc śpij dalej.

– Chyba tak zrobię – odpowiada Claudette.

La Luna to stara szkoła, myśli Malone.

Miejsce, jakie mogłoby się pojawić w mokrych snach Savina. Mieści się w głębi Village. Chcą, żebym zszedł ze swojego terenu.

A rodzina Cimino ma tu swoją załogę.

Trzeba było wziąć ze sobą Russa i może Monty'ego, zapewnić sobie wsparcie.



Ale mają rozmawiać o tym, czy Malone donosi.

Może O'Della.

Tak powinien zrobić, ale uznał, że pieprzyć to.

Sciollo czeka na niego w drzwiach.

– Muszę cię sprawdzić, Denny.

– Mam dziewiątkę przy pasie – mówi Malone. – I berettę na plecach.

– Dzięki. – Sciollo odbiera mu broń. – Oddam ci, kiedy będziesz wychodził.

A tak, myśli Malone. O ile w ogóle stąd wyjdę.

Sciollo obszukuje go, sprawdzając, czy nie ma mikrofonu. Gdy nic nie znajduje, prowadzi go do boksu na tyłach sali. Kawiarnia jest prawie pusta, przy barze siedzi tylko kilkoro gości, w tym jakaś czuląca się do siebie para.

Savino siedzi w boksie w towarzystwie Steviego Bruna, który wydaje się tu nie na miejscu w koszuli w kratkę, kamizelce, beżowych sztruksach i martensach. Ma nawet brezentową torbę, która leży obok niego na krześle. Spogląda nieszczęśliwym wzrokiem zza filiżanki herbaty – podmiejski ojciec chrzestny zmuszony przyjechać do brudnego miasta.

Ma ze sobą czterech ludzi, w zasięgu wzroku, ale poza zasięgiem słuchu.

Skinieniem głowy wskazuje Malone'owi miejsce w boksie. Sciollo siada tuż przy wyjściu z boksu. Malone ma odciętą drogę odwrotu.

– Denny Malone, Stevie Bruno – mówi Savino z napiętym uśmiechem.

– Ta para przy barze, która właśnie zaczyna się rozmnażać – mówi Malone. – Które z nich jest cynglem, dziewczyna czy chłopak?

– Naoglądałeś się za dużo filmów – mówi Bruno.

– Miałbym ochotę obejrzyć jeszcze kilka.

– Chcesz coś do picia, Denny? – pyta Savino.

– Nie, dzięki.

– To pierwszy raz, kiedy Irlandczyk odmawia – mówi Savino. – Jeszcze czegoś takiego nie widziałem.

– Ściągnęliście mnie tutaj, żeby sobie żartować?

– To nie jest żart – mówi Bruno. – Ludzie gadają, że po cichu pracujesz dla federalnych.

Mafii policja nie przeszkadza za bardzo, ale nienawidzą federalnych. Uważają ich za faszystów i prześladowców, czepiających się każdego, czyje nazwisko kończy się na samogłoskę. Szczególnie nienawidzą włoskich fedów i informatorów.

Malone wie, na czym polega różnica. Policyjna wtyczka, która odgrywa swoją rolę, nie jest szcurem, ale skorumpowany policjant, który robił z nimi interesy, a potem zaczyna donosić, jest.

– Wierzycie w to? – pyta.

– Nie chcę w to wierzyć – mówi Savino. – Powiedz, że to nieprawda.

– To nieprawda.

– Ostatnie słowa umierającego mężczyzny do żony – mówi Bruno. – Ja zwykle wierzę w takie rzeczy.

– Federalni mieli na nagraniu mnie i Torresa – mówi Malone. – Nie wiem skąd. Mogę tylko powiedzieć, że ja nie miałem mikrofonu.

– W takim razie dlaczego przycisnęli Torresa, a nie ciebie? – pyta Bruno.

– Nie wiem.

– To jeszcze gorzej.

– Torres nie wiedział o moich powiązaniach z waszą rodziną – mówi Malone. – Nigdy z nim o tym nie rozmawiałem, więc federalni nie mogą tego mieć na żadnych nagraniach.

– Ale jeśli federalni wezmą cię w obroty, dowiedzą się wszystkiego – stwierdza Bruno.

Savino patrzy na Malone'a niespokojnie. Malone wie, o co chodzi. Savino obawia się, że Malone powie: Gdybym donosił federalnym, to Savino miałby już wyrok od trzydziestu lat do dożywocia za heroinę i właśnie w tej chwili próbowaliby go zmniejszyć, wydając was.

Ale mówi tylko:

– Ile pieniędzy *borgata* Cimino zarobiła dzięki mnie? Ile worków gotówki zaniósłem prokuratorom, sędziom, urzędnikom miejskim za wygrane przetargi? Ile lat to trwało bez żadnych problemów?

– Nie wiem – mówi Bruno. – Ja byłem w Lewisbergu.

Jezu, kurwa, Savino, powiedz coś!

Ale Savino nic nie mówi.

– Piętnaście lat nic dla was nie znaczy? – pyta Malone.

– Znaczy bardzo wiele – mówi Bruno. – Ale ja ciebie w ogóle nie znam, bo przez większość tego czasu mnie tu nie było.

Malone wpatruje się w Savina, który w końcu mówi:

– To dobry człowiek, Stevie.

– Postawiłbyś na to życie? – pyta Bruno, przesywając go śmiernym spojrzeniem. – Bo to właśnie w tej chwili robisz.

Savino odpowiada dopiero po chwili.

Jest to cholernie długa chwila.

– Postawiłbym, Stevie – mówi. – Ręczę za niego.

Bruno przyjmuje to do wiadomości, po czym pyta:

– Co powiesz federalnym?

– Nic.

– Gotów jesteś odsiedzieć cztery do ośmiu?

– Pewnie bliżej czterech – mówi Malone. – Dopilnujcie chyba, żeby wasi bracia nie zrobili ze mnie swojej dziwki?

– Goście z charakterem nie muszą się schylać – oświadcza Bruno.

– Mam charakter.

– Powiem ci, na czym polega problem – mówi Bruno. – Ty może dostaniesz cztery lata, ale ja zgniję w więzieniu, nawet jeśli zgarną mnie za śmiecenie na ulicy. Dlatego najważniejsze pytanie dla mnie w tej chwili, to czy mogę zaryzykować. Jeśli jesteś szczurem, powiedz od razu. Zginiesz szybką i bezbolesną śmiercią, a ja dopilnuję, żeby twoja żona dostała kopertę. W innym wypadku... jeśli będę musiał wyciągać z ciebie prawdę siłą, będzie to wyglądało paskudnie, a twoja pani zostanie bez żadnej pomocy.

Malone czuje, że gniew wzbiera w nim jak wrząca woda, a on nie jest w stanie wygasić płomienia. Wie, że oni go testują, pokazują mu drogę wyjścia, tak jak zrobiliby to dwóch policjantów w pokoju przesłuchań.

Jeśli okaże jakąkolwiek słabość, już po nim.

Zabiera się więc do tego od drugiej strony.

– Nigdy nie próbuj mi grozić – mówi. – Nie próbuj grozić moim pieniądzom ani mojej żonie.

– Spokojnie, Denny – mówi Savino.

– Chcemy tylko usłyszeć prawdę – dodaje Bruno.

– Powiedziałem wam prawdę.

– Okej. – Bruno sięga do torby, wyjmuje z niej plik papierów i kładzie na stole. – Więc jak wygląda prawda o tym gościu z charakterem?

Malone widzi swój raport.

Łapie Sciolla za włosy, wali jego twarzą o stolik i wykopuje spod niego krzesło. Potem wyciąga nóż z buta, chwyta Savina za głowę i przykłada ostrze do jego szyi.

Dwaj faceci, w tym ten, który całował się z dziewczyną, wyciągają broń.

– Podetnę gardło temu makaroniarzowi – mówi Malone.

– Odsuńcie się od niego – jęczy Savino.

Obydwaj spoglądają na Bruna, który kiwa głową. Nie zawahałby się zastrzelić Malone'a w czystej sytuacji, ale nie może pozwolić na krwawą łaźnię, która trafiłaby na pierwszą stronę *Post*.

Malone wyciąga Savina z boksu i wycofuje się w stronę drzwi, zasłaniając się nim jak tarczą i przez cały czas trzymając nóż przy jego gardle.

– Jeśli chcecie, żebym mu poderznął gardło, to spróbujcie jeszcze raz zagrozić mojej żonie. No już. Otwórz gębę i postrasż mnie jeszcze raz.

– On i tak już jest martwy – mówi Bruno. – Ty też. Ciesz się swoim ostatnim dniem na tym świecie, skurwysyński szcurze.

Malone sięga do tyłu, wymacuje klamkę, odpycha Savina, który upada na podłogę, i wychodzi.

Biegiem dopada swojego samochodu.

– Miał mój raport! – krzyczy Malone.

– No dobra – mówi O'Dell, ale widać, że jest wstrząśnięty.

– Mówiliście, że będzie bezpieczny! – krzyczy Malone, krążąc po pokoju. – W sejfie. Że tylko ci, którzy są tu obecni...

– Uspokój się – mówi Paz. – Przecież żyjesz.

– Na pewno nie dzięki tobie. Mają mój raport. Mają dowód. Tak się przejęliście szukaniem korupcji w policji, że nie widzicie jej we własnej akcji!

– Nic o tym nie wiemy – mówi O'Dell.

– W takim razie skąd oni to wzięli? Przecież nie ode mnie.

– Mamy problem – mówi Weintraub.

– Co ty powiesz? – Malone uderza pięścią w ścianę.

Weintraub przegląda raport.

– Gdzie tu jest coś o tobie i o rodzinie Cimino?

– Nic nie ma.

– Pełne ujawnienie – mówi Paz. – Tak się umawialiśmy.

Naraz Malone coś sobie uświadamia.

– Boże... Sheila...

– Agenci już tam jadą – mówi O'Dell.

– Pieprzę was – odpowiada Malone. – Sam tam jadę.

Rusza do drzwi.

– Zostań, gdzie jesteś – mówi Paz.

– Myślisz, że mnie, kurwa, zatrzymasz?!

– Jeśli będę musiała – oświadcza Paz. – W korytarzu jest dwóch federalnych funkcjonariuszy. Nigdzie nie pójdziesz. Użyj mózgu. Stevie Bruno nie wyśle nikogo na Staten Island, żeby skrzywdził twoją żonę w biały dzień. On chce uniknąć więzienia, a nie trafić tam z własnej woli. Mamy trochę czasu.

– Muszę się zobaczyć z rodziną.

– Gdybyś nam o tym wcześniej powiedział – ciągnie Paz – to miałbyś przy sobie mikrofon i już mielibyśmy Bruna za kratkami. No dobra, to już krew pod mostem. Wybaczone. Ale teraz musisz nam powiedzieć, co miałeś wspólnego z rodziną Cimino.

Malone nie odpowiada. Siada z głową schowaną w dłoniach.

– Jeśli chcesz chronić siebie i swoją rodzinę, to musisz nam wydać Bruna – mówi Paz. – Daj mi jakąś podstawę, żebym mogła wypisać nakaz aresztowania.

– Nigdy wcześniej go nie spotkałem.

– Spotkałeś – mówi Paz.

Malone podnosi głowę i widzi w jej oczach, że ona bardzo chętnie się zgodzi, a wręcz zależy jej na tym, żeby złożył fałszywe oskarżenie.

O'Dell unika jego wzroku. Odwraca głowę.

Weintraub znów przekłada papiery.

– Weźmiemy ciebie i twoją rodzinę do programu ochrony świadków – mówi.

– Pieprzę to.

– Nie masz wyboru – mówi Paz. – Nie masz wyboru.

– Wypuście mnie stąd – mówi Malone. – Sam się zajmę Brunem.

– Wiecie co? – odzywa się Paz. – Zawołajcie tych funkcjonariuszy, niech go zakują w kajdanki. Ja już skończyłam z tym durnym osłem.

– A co z moją rodziną? – pyta Malone.

– Muszą sobie radzić sami! – wrzeszczy Paz. – Co ja jestem, opieka społeczna? To ty naraziłeś ich na niebezpieczeństwo! To twoja wina, nie moja! Nie wiem, kup im rottweilera i system alarmowy!

– Ty pieprzona suko – mówi Malone.

– Dlaczego tych funkcjonariuszy jeszcze tu nie ma? – pyta Paz.

– Wy jesteście tacy przegnili, że mnie nawet o czymś takim się nie śniło – stwierdza Malone.

Zapada cisza. Nikt nie ma na to odpowiedzi.

– Dobra – mówi Malone. – Włączcie nagrywanie.

Jego kontakty z mafią zaczęły się tak jak u większości policjantów – od przyjęcia niezbyt grubej koperty za przymknięcie oka na przybytki hazardu.

Nic wielkiego. Setka tu, setka tam.

Poznał Lou Savina, gdy *capo* był jeszcze chłopcem z ulicy, zwykłym żołnierzem. Któregoś dnia Savino podszedł do niego w Harlemie i zapytał, czy Malone chce zarobić.

Chciał zarobić. Jeden z chłopaków Savina miał głupie rachunki do wyrównania. Nic takiego, po prostu chronił swoją siostrę, którą pobił pewien pieprzony skurwysyn, ale był jeden świadek, który tego nie rozumiał. Może Malone mógłby zajrzeć w papiery, wyciągnąć nazwisko

i adres tego świadka i zaoszczędzić miastu kosztów procesu, a wszystkim kłopotów.

Nie, Malone nie chciał brać udziału w pobiciu i być może zabójstwie świadka.

Savino wybuchnął śmiechem. Daj spokój, przecież nie chodzi o nic takiego, tylko o to, żeby wysłać tego świadka gdzieś na miłe wakacje, może nawet kupić mu samochód.

Samochód? – zdziwił się Malone. Musiał zdrowo oberwać.

Nie, rzecz w tym, że ten gość od Savina miał wyrok w zawieszeniu, więc oskarżenie o napaść wpakuje go do więzienia na dziesięć lat. To ma być sprawiedliwość? To nie jest sprawiedliwość. Jeśli wolisz, to możesz sam dostarczyć tę kopertę i upewnić się, że nikomu nie stanie się krzywda. Ty też dostaniesz odsyp i wszyscy będą szczęśliwi.

Malone był zdenerwowany przed rozmową z policjantem, który dokonał aresztowania, ale okazało się, że niepotrzebnie. To było bardzo łatwe. Wgląd w protokół zatrzymania kosztował setkę; wracaj, gdy tylko będziesz potrzebował. Świadek z wielką chęcią pojechał do Orlando i zabrał dzieci do parku Disneya. Wygrana-wygrana-wygrana. Wszyscy byli szczęśliwi oprócz faceta, któremu złamano szczękę, ale przecież zasłużył sobie na to, skoro uderzył kobietę.

Sprawiedliwości stało się zadość.

Malone jeszcze parę razy przysłużył się sprawiedliwości w imieniu rodziny Cimino, a potem Savino poprosił go o coś innego. Pracuje w Harlemie, tak? Tak. Zna okolicę, zna ludzi? Jasne. A zatem na pewno zna również czarnego kaznodzieję, który ma kościół przy Sto Trzydziestej Siódmej i Lenox.

Wielebnego Corneliusa Hamptona? Wszyscy go znali.



Organizował protest na budowie, bo nie przyjmowano do pracy mniejszości narodowych.

Savino wręczył Malone'owi kopertę i poprosił o zanieśenie jej Hamptonowi. Wielebny nie chciał być widziany w towarzystwie Włochów.

To za przerwanie protestu? – zapytał Malone.

Nie, ty głupi pieprzony Irlandczyku. To za podtrzymanie protestu. Gramy na dwie strony: wielebny zaczyna protest i powoduje zamknięcie budowy, wykonawca przychodzi do nas po ochronę, my dostajemy działkę od inwestora i protest się kończy.

My zarabiamy, wielebny zarabia, wykonawca zarabia.

Malone poszedł więc do kościoła i odszukał wielebnego, który wziął kopertę bez ceregieli, jakby to była przesyłka UPS.

Nie powiedział ani słowa.

Ani wtedy, ani następnym razem, ani jeszcze następnym.

– Wielebny Cornelius Hampton – mówi teraz Weintraub. – Aktywista walczący o prawa człowieka. Głos ludu.

– Czy przy którejś okazji spotkałeś się ze Stevenem Brunem? – pyta Paz.

– Czy kiedykolwiek kontaktował się z tobą?

– Zdaje się, że był wtedy pod waszą opieką – odpowiada Malone.

– Ale wiedziałeś chyba, że Savino pracuje zgodnie z jego instrukcjami? – pyta Paz.

– To tylko pogłoski – mówi Weintraub.

– Nie jesteśmy w sądzie – odparowuje Paz.

– Tak – mówi Malone. – Oczywiście zdawałem sobie sprawę, że Savino działa jako pośrednik Bruna.

– Czy Savino ci to powiedział?

– Tak. Kilka razy.

Wszyscy wiemy, że to kłamstwo, myśli Malone. Ale oni chcą słuchać kłamstw.

Mówi dalej. Następnym razem przekazywał pieniądze od rodziny Cimino kilka lat później, gdy Bruno wyszedł już z Lewisbergu.

– Kto to taki? – dopytywał się wtedy.

Savino znów wybuchnął śmiechem.

Urzednicy miejscy. Ci, którzy rozstrzygają przetargi.

– Wyłączcie nagrywanie – mówi Paz.

Weintraub wyłącza.

– Powiedziałaś: urzednicy miejscy? – powtarza Paz. – Chodziło ci o urzedników z ratusza?

– O gabinet burmistrza – mówi Malone. – Rewidenci księgowi, wydział operacyjny. Jeśli włączycie nagrywanie, powtórzę to. – Patrzy na nią. – Dopiero teraz to do was dotarło? Może wolelibyście o tym nie wiedzieć.

– Ja chcę o tym wiedzieć – mówi O'Dell.

– Zamknij się, John.

– Nie mów mi, żebym się zamknął – mówi O'Dell. – Masz tu wiarygodnego świadka, który twierdzi, że urzednicy miejscy są opłacani przez rodzinę Cimino. Może Południowy Dystrykt wolałby o tym nie wiedzieć, ale biuro jest bardzo zainteresowane.

– Zgadzam się – mówi Weintraub.

– Zgadzasz się?

– Ty sama otworzyłaś te drzwi, Isobel – mówi Weintraub. – Mam prawo przez nie przejść.

– Proszę bardzo. – Paz pochyla się, włącza nagrywanie i patrzy na Malone'a prowokująco. – Wymień nazwiska.

Malone wie, że złapał ją w pułapkę.

Wymienia nazwiska.

– Jezu Chryste – mówi Weintraub. – Że powiem coś nowego.

– No tak – mówi Malone. – Pomogłem zbudować mnóstwo domów w Westchester, domków letnich w Nantucket, opłacać wakacje na Bahamach.

Patrzy na Paz. Obydwoje wiedzą, że to, co powiedział, wystarczy, żeby zniszczyć całą administrację miasta, zrujnować wiele karier i ambicji, włącznie z jej karierą i ambicjami. Ale Paz nie ma wyboru, więc bierze to na klatę.

– Z kim z rodziny Cimino spotykałeś się przy przekazywaniu tych łapówek?

– Z Lou Savinem – mówi, patrząc prosto na nią. Odczekuje chwilę i dodaje: – I ze Stevenem Brunem.

– Więc spotkałeś pana Bruna osobiście?

– Kilka razy.

Wymyśla prawdopodobne daty i miejsca.

– Dla jasności – mówi Paz. – Chcesz powiedzieć, że przy kilku okazjach, o których wspominałeś, Steven Bruno dawał ci pieniądze i polecał przekazać je urzędnikom miejskim w zamian za ustawienie wyników przetargów budowlanych?

– Właśnie to mówię.

– To niewiarygodne – wzdycha Weintraub.

– Może właśnie niewiarygodne – zauważa Paz.

Co za śliska glista, myśli Malone. Próbuje zjeść ciastko i mieć ciastko, zachować wszystkie swoje opcje, dopóki nie będzie pewna, jak grać, jak rozłożą się szanse.

Weintraub dostrzega to i próbuje ją przycisnąć.

– Chcesz powiedzieć, że nie uważasz go za wiarygodnego?

– Mówię, że nie wiem – mówi Paz. – Malone udowodnił już, że kłamie.

– Naprawdę chcesz otwierać te drzwi? – pyta Weintraub.

– Chcę się zobaczyć z moją rodziną – mówi Malone.

– Jeszcze nie – odpowiada Paz. – Czy to już wszystko, sierżancie Malone? Utrudnianie działania sprawiedliwości, przekupywanie urzędników publicznych.

– To wszystko – mówi Malone.

Nie zamierzam wprowadzać was w temat narkotyków, myśli.

Ani wspominać o Penie.

Na razie grozi mu wyrok od czterech do ośmiu.

Za Penę byłby wyrok śmierci.

Paz mówi:

– Właśnie przyznałeś się do kilku przestępstw, o których nie było mowy w naszej pierwotnej umowie, przez co ta umowa staje się nieważna.

Malone wyraźnie czuje, jak jej mózg przepala się od pracy na podwyższonych obrotach.

– Aresztujecie mnie czy nie? – dociska.

– Nie teraz. Jeszcze nie. Muszę się naradzić z kolegami.

– Naradzić – powtarza Malone. – Może naradzicie się na temat donosiciela, którego macie u siebie.

– Nie będziesz bezpieczny, jeśli wyjdiesz na ulicę – mówi O'Dell.

Malone wybucha śmiechem.

– Teraz się o to martwicie? Byłem już postrzelony, dźgnięty nożem, przechodziłem przez setkę klatek schodowych i zaułków, przez tysiące drzwi, nie mając pojęcia, co jest po drugiej stronie, a wy nagle zaczynacie się o mnie martwić? Po tym, jak omal mnie nie zabiliście? Pieprzcie się wszyscy.

Wychodzi.

– Zgarniemy ich wszystkich – mówi Russo. – Bruna, Savina, Sciollę. Wszystkich pieprzonych Cimino, jeśli będziemy musieli.

– Nie możemy tego zrobić – mówi Malone.

Są w tajemnym mieszkaniu.

– Ulica już gada – mówi Monty. – Denny Malone stał się zbrojnie z trzema członkami mafii w znanym lokalu należącym do mafii. To tylko kwestia czasu, zanim Biuro Spraw Wewnętrznych zacznie się dopytywać, co tam robiłeś.

– Myślisz, kurwa, że o tym nie wiem?

– Po co chcieli się z tobą spotkać? – pyta Monty.

– Słyszeli te bzdury o Torresie i chyba w to uwierzyli. Sam nie wiem.

– Dlaczego nie wziąłeś nas do asekuracji? – pyta Russo.

– Myślałem, że poradzę sobie sam – mówi Malone. – I poradziłem sobie.

– Gdybyśmy tam byli z tobą – mówi Monty – nie byłoby żadnej konfrontacji, żadnego gadania na ulicach i żadnego Biura Spraw Wewnętrznych. A potem zniknąłeś z radaru na trzy godziny. W połączeniu z tym, co mówią ludzie Torresa...

– Co ty chcesz powiedzieć, Monty?

– Tylko to, że za niecałe dwa miesiące odchodzę z tej roboty. Zabieram rodzinę i wynoszę się z miasta. I nie pozwolę, żeby cokolwiek albo ktokolwiek mi w tym przeszkodził. Więc jeśli jest coś, czym musimy się zająć, Denny, zajmijmy się tym teraz.

Malone wychodzi na ulicę i wsiada do samochodu.

Naraz jego szyję otacza drucziana pętla.

Ktoś zaciska ją coraz mocniej.

Malone odruchowo łapie za drut, ale jest zbyt mocno zaciśnięty na szyi. Nie może go oderwać ani nawet wsunąć pod spód palców, żeby zrobić

sobie trochę miejsca do oddychania. Sięga po pistolet, który leży na fotelu pasażera, ale nie jest w stanie zacisnąć dłoni na rękojeści i wypuszcza go.

Wymachuje łokciami, próbując trafić w napastnika, ale nie może odwrócić się na tyle, by wziąć porządny zamach. Od braku powietrza bołą go płuca i czuje, że traci przytomność. Nogi zaczynają drgać spazmatycznie. Resztką świadomości myśli, że umiera, a głos w jego głowie zaczyna powtarzać modlitwę z dzieciństwa:

*Boże, z całego serca przepraszam, że Cię obraziłem.*

*Żałuję za wszystkie moje grzechy...*

Słyszysz chrypienie wydobywające się z gardła.

Ból jest okropny.

*Żałuję za wszystkie moje grzechy...*

*Żałuję za wszystkie moje grzechy...*

*wszystkie moje grzechy...*

*moje grzechy...*

*grzechy...*

A potem jest martwy i nie widzi oślepiającego białego światła, tylko ciemność, i nie słyszy muzyki, tylko krzyki. Widzi Russa i zastanawia się, czy Phil też jest martwy. Podobno w niebie widzi się wszystkich, których się kocha. Ale nie ma tu Liama ani ojca, tylko Russo, który łapie go za ramiona, trzyma mocno i wyrzuca na twardej asfalcie ulicy. Zaczyna się krztusić, pluć i kasłać. Russo podnosi go i prowadzi do innego samochodu, potem Malone siedzi na fotelu pasażera, a Russo na swoim miejscu za kierownicą, w krainie żywych, a nie martwych, i samochód rusza.

– Mój samochód – chrypi Malone.

– Monty go prowadzi – mówi Russo. – Jedźcie za nami.

– Gdzie jedziemy?

– Gdzieś, gdzie będziemy mogli spokojnie pogadać z tym, który siedział z tyłu.

Jadą przez West Side Highway i zatrzymują się w Fort Washington Park, w pobliżu mostu Waszyngtona.

Malone wysiada na niepewnych nogach. Monty wyciąga z samochodu jakiegoś faceta i kładzie go na wysepce trawy między dwiema nitkami Hudson River Greenway.

Malone kuśtyka w tę stronę i patrzy na niego.

Facet jest mocno pobity i półprzytomny. Jego głowa wygląda tak, jakby trafiła w nią kolba trzydziestkiósemki, włosy są pokryte skrzepami krwi. Może mieć jakieś trzydzieści pięć lat. Czarne włosy, oliwkowa cera. Może być Włochem, Portorykańczykiem albo, kurwa mać, Dominikańczykiem.

Malone kopie go w żebra.

– Kim jesteś?

Tamten potrząsa głową.

– Kto cię przysłał?

Tamten znów potrząsa głową.

Monty łapie go za rękę i wkłada w drzwiczki samochodu.

– Ten człowiek zadał ci pytanie.

Kopniakiem zamyka drzwi.

Facet wrzeszczy.

Monty otwiera drzwi i wyciąga jego rękę.

Zmiażdżone palce wskazują we wszystkich kierunkach, kości sterczą przez skórę. Zdrową ręką łapie się za przegub, znów zaczyna wyć i podnosi wzrok na Monty'ego.

– Teraz zajmiemy się drugą ręką – mówi Monty. – Albo nam powiesz, kim jesteś i kto cię przysłał.

– *Los Trinitarios.*

– Dlaczego?

– Nie wiem... Powiedzieli mi tylko... żebym był w samochodzie... jeśli wyjdiesz...

– To co? – pyta Malone.

– Mam cię załatwić. Przynieść im twoją głowę. Dla Castilla.

– Gdzie teraz jest Castillo? – pyta Russo.

– Nie wiem. Nie widziałem go. Dostałem tylko rozkazy.

– Włóż drugą rękę w drzwi – nakazuje Monty.

– Proszę...

Monty wyciąga trzydziestkęósemkę i mierzy w jego głowę.

– Włóż drugą rękę w drzwi.

Trinitariańczyk z płaczem wkłada rękę w drzwi, drżąc od stóp do głów.

– Gdzie jest Castillo? – powtarza Monty.

– Ja mam rodzinę.

– A ja nie? – mówi Malone. – Gdzie on jest?

Monty przymierza się do kopnięcia w drzwi.

– Park Terrace! W penthousie!

– Co mamy z nim zrobić? – pyta Monty.

– Hudson jest tuż obok – mówi Russo.

– Proszę, nie.

Russo pochyla się nad nim.

– Próbowaleś zabić detektywa policji Nowego Jorku, obciąć mu głowę.

Jak, kurwa, sądzisz, co możemy z tobą zrobić?

Facet jęczy. Wciąż trzymając się za rękę, zwija się w kłębek, poddaje się i zaczyna nucić.

– Baron Samedi...

– Co on plecie? – pyta Russo.



– Modli się do Barona Samediego – wyjaśnia Monty. – To bóg śmierci w dominikańskim wudu.

– Dobry wybór. – Russo wyciąga prywatną broń. – Skończ. Jeśli potrzebna ci do tego kura albo coś w tym rodzaju, to masz wielkiego pecha.

– Nie – mówi Malone.

– Nie?

– Mamy już Penę na koncie. Lepiej nie dokładać do tego kolejnego zabójstwa.

– On ma rację – mówi Monty. – Nasz przyjaciel już raczej nigdy nie użyje garoty.

– Jeśli zostawimy go przy życiu, wyślemy nieodpowiedni przekaz – mówi Russo.

– Chyba nie interesują mnie już przekazy – stwierdza Malone i przykuca przy niedoszłym zabójcy. – Wracaj do swoich Dominikańczyków. Jeśli znowu cię zobaczę w Nowym Jorku, to cię zabiję.

Wsiadają do samochodu i jadą do Inwood.

Park Terrace Gardens to prawdziwa twierdza.

Apartamentowce stoją na wzgórzu przy czubku półwyspu, który wyznacza północny koniec Manhattanu, peryferie królestwa Malone'a.

Półwysep od zachodu opływa rzeka Hudson, a od północy i wschodu Spuyten Duyvil Creek, który oddziela Manhattan od Bronksu. Przez Spuyten Duyvil przerzucone są trzy mosty: kolejowy na skraju rzeki, potem most Henry'ego Hudsona i najdalej na wschód, gdzie odnoga skręca na południe, most Broadway.

Gardens – takiej nazwy używają mieszkańcy – to kompleks pięciu siedmiopiętrowych budynków z szarego kamienia wzniesionych w roku 1940, własność wspólnoty mieszkaniowej. Budynki stoją w zadrzewionym

kwartale między Zachodnią Dwieście Piętnastą a Zachodnią Dwieście Siedemnastą.

Na południe od nich znajduje się Northeastern Academy i mały Isham Park, a na zachodzie dużo większy Inwood Hill Park oddziela Gardens od drogi i rzeki. Od brzegu rzeki po północnej stronie oddziela je kwartał budynków mieszkalnych oraz obiekty użyteczności publicznej – kompleks sportowy Uniwersytetu Columbia, stadion piłkarski i filia New York Presbyterian Hospital.

Na północnym wschodzie znajduje się park Muscota Marsh.

Z górnych pięter budynków Gardens rozciągają się fantastyczne widoki: wieżowce Manhattanu, rzeka Hudson, porośnięte dębami wzgórze Inwood Hill, Broadway Bridge.

Widać daleko w każdą stronę.

Widać, gdy ktoś nadchodzi.

Jadą w dwa samochody Broadwayem, który jest centralną arterią Inwood. Na zachód odchodzi boczna uliczka dochodząca do Park Terrace East. Jadą nią na północ do Dwieście Siedemnastej, zatrzymują się i patrzą na budynek, w którym mieszka Castillo. Jego penthouse znajduje się po północnej stronie.

Potwierdza się to, co Malone wiedział już wcześniej. Tutaj nie dobiórą się do niego. Handlarz heroiną, człowiek, który rozkazał obciąć głowę nowojorskiemu detektywowi, jest chroniony nie tyle przez kamienne wieże czy otaczającą je fosę, co przez prawo. To nie jest komunalne osiedle, miejska kamienica ani getto. Ta wspólnota ma zarząd i stowarzyszenie lokatorów, a także własną stronę internetową, a przede wszystkim mieszkają tu bogaci biali, więc nie można po prostu wpaść do środka i wyciągnąć Castilla na zewnątrz. Praworządni mieszkańcy Gardens już po

pięciu sekundach zaczęliby dzwonić do burmistrza, do rady miejskiej i do komisarza policji, oprotestowując komandoską taktykę.

Potrzebują nakazu, by tu wejść, a nie dostaną go.

Powiedz sobie szczerze, myśli Malone, nie dostaniesz nakazu, bo jesteś skorumpowany. W żaden sposób nie możesz zaaresztować Carlosa Castilla i on dobrze o tym wie, dlatego może siedzieć bezpiecznie w swoim zamku, przerzucać heroinę i knuć, jak cię zabić.

Pogódź się z tym.

Więc co zrobisz?

Prędeż czy później Castillo wypuści Dark Horse na ulicę. Będzie tego doglądał osobiście. To jego zadanie.

Kiedy to zrobi, możesz go dopaść na ulicy.

Musisz tylko cierpliwie poczekać.

Wycofaj się, obserwuj Castilla i czekaj, aż on wykona jakiś ruch. Skontaktuj się z Carterem i powiedz mu, gdzie można znaleźć Castilla.

Graj tymi kartami, które masz, i nie martw się o te, których nie masz. Para blotek jest równie dobra jak strit, jeśli potrafisz je odpowiednio rozegrać. A masz coś więcej niż tylko parę blotek.

Russo wyciąga lornetkę i obserwuje taras penthouse'u.

– Co obserwujemy? – pyta Levin. Wciąż jest wkurzony za ten nalot na swoje mieszkanie o drugiej w nocy.

– Nie traktuj tego osobiście – powiedział mu Russo. – Musieliśmy sprawdzić, czy jesteś czysty.

– Chyba raczej sprawdzić, czy jestem brudny.

– Coś ty, kurwa, powiedział? – zwrócił się do niego Malone.

Levinowi wystarczyło rozumu, żeby tego nie komentować. Powiedział tylko:

– Amy była wściekła.

– Pytała cię o te pieniądze? – zapytał Russo.

– Jasne.

– I co jej powiedziałaś? – odezwał się Monty.

– Żeby pilnowała swojego nosa.

– Nasz chłopak dorasta – stwierdził Russo. – Teraz będziesz musiał się z nią ożenić, żeby nie mogła świadczyć przeciwko tobie.

– Oddam te pieniądze na dobroczynność – rzekł Levin.

– Zrobisz, co zechcesz – mówi do niego Malone. – A teraz do roboty. To jest sejf Carlosa Castilla. Musimy go otworzyć.

– Podśluch?

– Jeszcze nie. Na razie tylko obserwacja.

– Hej. – Russo podaje mu lornetkę i Malone patrzy na Castilla we własnej osobie, który wychodzi na taras z filiżanką kawy, żeby podziwiać wschód słońca.

Król patrzy na swoje królestwo.

Jeszcze nie, myśli Malone.

To jeszcze nie jest twoje królestwo, skurwysynu.

## ROZDZIAŁ 25

– Zawaliłam – mówi Claudette.

Malone w ogóle nie miał ochoty przechodzić przez te drzwi z obawy przed tym, co za nimi znajdzie.

Uznał jednak, że musi sprawdzić.

Jest jej to winien.

I kocha ją.

A teraz Claudette przechodzi przez fazę wyrzutów sumienia, którą widział już sto razy. Żałuje (obydwoje wiedzą, że to prawda), nie zrobi tego więcej (obydwoje wiedzą, że zrobi). Malone czuje się kurewsko wyczerpany.

– Claudette, nie mam teraz do tego głowy. Przepraszam cię, ale po prostu nie mogę.

Claudette dostrzega ślady na jego szyi.

– Co ci się stało?

– Ktoś próbował mnie zabić.

– To nie jest śmieszne.

– Muszę wziąć prysznic. Może to mi rozjaśni w głowie.

Wchodzi do łazienki, rozbiera się i staje pod prysznicem.

Całe ciało ma obolałe.

Szoruje się, aż skóra zaczyna go boleć, ale nie potrafi zetrzeć z siebie brudu, który pokrywa jego ciało i duszę. Malone teraz rozumie, dlaczego jego ojciec, gdy wracał z pracy, od razu wchodził pod prysznic.

Ulica zostaje z tobą.

Wnika przez pory aż do krwi.

A dusza? – zastanawia się Malone. Czy o to również obwinisz ulicę?  
Po części tak.

Wdychałeś korupcję, odkąd przypiąłeś odznakę, tak jak wdychałeś śmierć tamtego wrześniowego dnia. Korupcja jest nie tylko w powietrzu tego miasta; jest w jego DNA, i w twoim też.

No tak, zrzuć winę na miasto, na Nowy Jork.

Zrzuć winę na robotę.

To za łatwe. To pozwala nie zadawać sobie najtrudniejszego pytania.

Jak tu dotarłeś?

Tak jak w każde inne miejsce.

Krok po kroku.

Myślał, że to żart, gdy w akademii ostrzegano ich przed śliskim zboczem. „Kubek kawy, kanapka prowadzą do większych rzeczy”. Nie, myślałeś. Kubek kawy to tylko kubek kawy, a kanapka to kanapka. Właściciele sklepu spożywczego są ci wdzięczni za służbę, cieszą się z twojej obecności.

Co w tym złego?

Właściwie nic.

I nadal nie ma w tym nic złego.

A potem wydarzył się jedenasty września.

Jezu, nie zrzucaj na to winy. Chyba nie upadłeś jeszcze tak nisko, żeby na to zwalać? Martwy brat, dwudziestu siedmiu martwych braci, roztrzęsiona matka, złamane serce, smród zwęglonych ciał, popiołu i pyłu.

Nie zwalaj na to winy, mistrzu.

Bo jeśli to zrobisz, to już nigdy nie będzie ci wolno pójść na grób Liama.

Tak naprawdę to się zaczęło, gdy pracowałeś jako tajniak.

Ty i Russo weszliście kiedyś do magazynu, bandyci uciekli, a na podłodze leżały pieniądze. Nie tak dużo, kilka tysięcy, ale wy mieliście

kredyty na dom, pieluchy, może chcieliście zabrać żony do jakiejś restauracji, gdzie na stolikach leżą prawdziwe obrusy.

Popatrzyliście na siebie i zgarnęliście te pieniądze.

Nikommu nie powiedzieliście o tym ani słowa.

Ale granica została przekroczona.

Nie wiedzieliście, że są jeszcze inne granice.

Na początku robiliście to, gdy nadarzała się okazja – uciekający dilerzy zostawiali pieniądze, właścicielki burdeli proponowały wam gotówkę albo darmowe usługi w zamian za to, żebyście patrzyli na ich przybytki przez palce, jakaś koperta od bukmachera. Nie szukaliście okazji, nie byliście myśliwymi, tylko zbieraczami, ale jeśli coś się trafiło, zgarnialiście to.

Bo co złego mogło z tego wyniknąć? Ludzie i tak będą grać, i tak będą chodzić na dziwki.

No dobra, może potem zdarzyło się, że weszliście do domu albo sklepu, gdzie było włamanie, i może wzięliście coś, czego nie zabrał złodziej. Nikomu nie stała się krzywda oprócz firmy ubezpieczeniowej, a to przecież największy oszuści ze wszystkich.

Ciągle bywaliście w sądzie i widzieliście, jak z powodu niekompetencji, nieskuteczności i – cholera, tak – korupcji, bandyci, których zaciągnęliście przed ławę przysięgłych, ryzykując własne życie, wychodzą wolno. Opuszczali gmach sądu na waszych oczach, uśmiechając się do was szeroko, prosto w twarz. A potem, któregoś dnia, gdzieś za budynkiem sądu podszedł do ciebie obrońca i powiedział:

– Przecież i tak działamy w tym samym systemie, więc może postaramy się, żeby ten system działał na naszą korzyść. – Dał ci wizytówkę i obiecał:  
– Jeśli będziesz mi podsyłał sprawy, dostaniesz swoją działkę.

Do diabła, dlaczego nie? Oskarżony i tak weźmie sobie obrońcę. W tym systemie wszyscy są opłacani oprócz ciebie, więc dlaczego nie miałbyś

wziąć swojej części, skoro ci to proponują? A jeśli obrońca zechce potem, żebyś zaniósł kopertę chętnemu prokuratorowi, który wypuści wolno kogoś, kto i tak zapewne wyszedłby wolno – no to, cholera, przecież to w dalszym ciągu są pieniądze tego diler.

Odnosiłeś korzyści z przestępstw, ale nie organizowałeś przestępstw, żeby odnosić z nich korzyści, a potem...

To była fabryka cracka na Sto Dwudziestej Trzeciej, przy bulwarze Adama Clayтона Powella. Wszystko zrobiliście zgodnie z regulaminem, mieliście nakaz i w ogóle. Ale diler nie uciekł, tylko siedząc spokojnie na miejscu, powiedział:

– Bierzcie to, a potem niech każdy idzie w swoją stronę i wszyscy wyjdziemy na tym lepiej.

Teraz nie mówimy już o tysiącu czy dwóch, tylko o pięćdziesięciu, o poważnych pieniądzach. O takich pieniądzach, które jeśli się je odłoży, pozwolą posłać dzieci do college'u. Ten diler pewnie wzięłby sobie za obrońcę Gerry'ego Bergera i wyszedłby wolno z sądu, a tak przynajmniej dostanie jakąś karę, będzie go to trochę kosztowało. Wymierzacie mu grzywnę. Dlaczego ta grzywna ma trafić do skarbu państwa, a nie do waszej kieszeni, gdzie bardziej się przyda?

Więc puściliście go wolno.

Nie czułeś się z tym dobrze, ale też nie tak źle, jak sądziłeś wcześniej, bo doszedłeś do tego miejsca krok po kroku. Dlaczego tylko prawnicy mają zarabiać pieniądze? System sądowniczy, więzienia?

Skracasz cały proces, wymierzasz sprawiedliwość na miejscu.

Tak postępują królowie.

Ale wciąż była granica, której jeszcze nie przekroczyłeś. Nie zdawałeś sobie sprawy, że się do niej zbliżasz.



Powtarzałeś sobie, że ty jesteś inny. I wiedziałeś, że kłamiesz, gdy sobie powtarzałeś, że to była ostatnia granica, którą przekroczyłeś, bo wiedziałeś, że nie była ostatnia.

Kiedyś oszukiwałeś na nakazach, żeby zrobić uzasadniony nalot, zgarnąć z ulic narkotyki i przestępców. A potem nadszedł czas, kiedy zacząłeś oszukiwać na nakazach i robić naloty po to, żeby się wzbogacić.

Wiedziałeś, że zmieniasz się z padlinożercy w myśliwego.

Zostałeś drapieżnikiem.

Stuprocentowym przestępcą.

Mówiłeś sobie, że to co innego, bo nie okradasz banków, tylko dilerów.

Mówiłeś sobie, że nikogo byś nie zabił, żeby go okraść.

Ostatnie kłamstwo. Ostatnia granica.

Bo co, kurwa, miałeś zrobić, kiedy wszedłeś do fabryki i oni chcieli cię zabić? Mogłeś pozwolić, żeby cię zabili, albo do nich strzelać. A potem miałeś nie zabrać pieniędzy i towaru tylko dlatego, że jakiś szmacciarz został zlikwidowany?

Wziąłeś pieniądze, które dosłownie pokryte były krwią.

I wziąłeś narkotyki.

Pozwoliłeś, żeby nazwano cię bohaterskim policjantem, i sam niemal w to uwierzyłeś.

A teraz jesteś dilerem.

Takim samym dilerem jak ci szmacciarze, których jako policjant miałeś zwalczać.

Teraz jesteś nagi, nie możesz zetrzeć piętna Judasza ze swojego ciała i duszy, i wiesz, że Diego Pena nie wyciągał pistoletu, żeby do ciebie strzelać. Wiesz, że zamordowałeś go z zimną krwią.

Jesteś kryminalistą.

Bandytą.

Drzwi prysznicza odsuwają się i Claudette wchodzi do środka. Staje razem z nim pod strumieniem wody, przesuwa palcem po blednącej bliźnie na jego nodze, a potem dotyka świeżego śladu na gardle.

– Naprawdę cię skrzywdzili – mówi.

– Jestem niezniszczalny. – Otacza ją ramionami. Kropelki wody z prysznicza mieszają się ze łzami na jej miękkiej brązowej skórze.

– Życie próbuje nas zabić – mówi Claudette.

Życie, myśli Malone, próbuje zabić każdego.

I zawsze mu się udaje.

Czasami jeszcze zanim zginiesz.

Wychodzi spod prysznicza i ubiera się. Gdy Claudette również wychodzi, Malone mówi:

– Przez jakiś czas nie będę mógł tu wrócić.

– Dlatego, że ja znowu wzięłam?

– Nie, nie w tym rzecz.

– Wracasz do żony, tak? Do tej rudej matki twoich dzieci ze Staten Island? Wszystko w porządku, skarbie. Tam jest twoje miejsce.

– Ja sam zdecyduję, gdzie jest moje miejsce, Dette.

– Chyba już zdecydowałeś.

– Nie byłoby bezpiecznie dla ciebie, gdybym tu był – mówi Malone. – Pewni ludzie mnie szukają.

– Gotowa jestem zaryzykować.

– Ale ja nie. – Przypina do biodra sig sauera.

Berettę 8000D wkłada do kabury przy kostce.

Dziewięćmilimetrowego glocka do kabury na ramieniu.

Potem przykrywa to wszystko bardzo luźną czarną koszulką i wsuwa nóż komandoski do buta.

Claudette wpatruje się w niego.

- Jezu Chryste, kto cię szuka?
- Miasto Nowy Jork – mówi Malone.

## ROZDZIAŁ 26

Ned Chandler mieszka przy Barrow Street na zachód od Bedford.

Uchyła odrobinę drzwi i widzi odznakę, a potem nie widzi już nic więcej, bo drzwi uderzają go w twarz. Denny Malone popycha go na kanapę i przyciska lufę pistoletu do jego skroni.

– Ty skurwysynu.

– Co jest? Co jest? Spokojnie.

– Paz jest dziewczynką burmistrza, tak? – mówi Malone. – Zbiera dla niego oskarżenia przeciwko policji?

– Jeśli chcesz tak to ująć – mówi Chandler. – Jezu, Malone, możesz odłożyć ten pistolet?

– Nie, nie mogę. Bo próbują mnie zabić. Opowiedziałem Paz o przekupstwach w ratuszu i godzinę później ktoś zarzucił mi drut na gardło. To był jeden z ludzi Castilla, ale Castillo skumał się z rodziną Cimino, a rodzina Cimino jest w dobrych stosunkach z ratuszem.

– Nie powiedziałbym, że w dobrych stosunkach.

– Sam nosiłem te pieprzone koperty. – Malone mocniej przyciska lufę do skroni Chandlera. – Kto im dał mój raport?

– Nie wiem.

– Wierzysz w Boga, Ned?

– Nie. Nie wiem...

– Nie znasz odpowiedzi, tak?

– Tak.

– Jak chcesz poznać wszystkie odpowiedzi, to powtórz jeszcze raz, że nic nie wiesz. Kto wyniósł mój raport?

– Paz.

Malone cofa broń.

– Mów.

– Nie śledziliśmy jej dochodzenia – mówi Chandler. – Gdybyś przyszedł do nas wcześniej, tobyśmy je zamknęli albo przynajmniej skierowali w inną stronę. Gdy się dowiedzieliśmy, że chodzi o ciebie, zrozumieliśmy, że będzie... problem.

– I sądziliście, że rodzina Cimino rozwiąże ten problem za was.

Chandler nie odpowiada. Nie musi.

– A gdy im się nie udało, próbował Castillo.

– Zrobił to na własną rękę – mówi Chandler. – Podobno zabiłeś mu kogoś z rodziny.

– I wszyscy biliście mi brawo, kiedy to zrobiłem. – Ale oni nie wiedzą, myśli Malone, nie wiedzą o zagarniętych pieniądzach. Nie wiedzą, że ich durni kumple z rodziny Cimino przekazali pięćdziesiąt kilo heroiny Dominikańczykom.

Jest jeszcze sposób wyjścia z tego kociołka.

– Postawiłeś zarzuty korupcji w obecności federalnych – mówi Chandler.

– Nie chodzi o Paz, tylko o FBI. O Weintrauba. Postawiłeś pewnych ludzi w bardzo trudnej sytuacji.

– Nie będzie taka trudna, jeśli zginę. Wtedy nie będę mógł zeznawać.

Chandler wzrusza ramionami.

– Których ludzi? – pyta Malone. – Kto chce mnie dopaść?

– Wszyscy – mówi Chandler.

No tak, myśli Malone. Castillo, rodzina Cimino, oddział Torresy, Sykes, Biuro Spraw Wewnętrznych, federalni, ratusz.

Czyli wszyscy.

– To nie musi iść tą drogą – mówi Malone. – Ja się zajmę Castillem i wezmę na siebie Cimino, a ty mnie umów z tymi pewnymi ludźmi.

– Nie wiem, czy jestem w stanie to zrobić – odpowiada Chandler. – Bez obrazy, Malone, ale ty teraz jesteś trucizną.

– Wiem, że jesteś w stanie – stwierdza Malone. – Widzisz, Neddy, ja nie mam nic do stracenia i mogę wpakować ci dwie kulki prosto w ten twój pieprzony mózg.

Chandler sięga po telefon.

Pięćdziesiąta Siódma Ulica nazywana jest Ulicą Miliarderów.

Portier wiezie Malone'a prywatną windą do penthouse'u pod numerem 57. Bryce Anderson otwiera drzwi osobiście.

– Sierżant Malone – mówi. – Proszę wejść.

Prowadzi Malone'a do salonu, którego całą jedną ścianę stanowią okna. Widok uzasadnia cenę apartamentu wynoszącą sto milionów dolarów. Pod nimi rozciąga się cały Central Park, po lewej cała West Side, a po prawej East Side.

To właśnie oglądają bogaci ludzie, myśli Malone. Całe miasto ściele się im do stóp.

Tylną ścianę salonu w całości zajmuje morskie akwarium z prawdziwą rafą koralową.

– Dziękuję, że zgodził się pan spotkać ze mną tak wcześnie – mówi Malone.

– Nie lubię przesypiać świtu – odpowiada Anderson. Wygląd ma odpowiedni jak na tytana rynku nieruchomości: wysoki, jasne włosy, orli nos, przenikliwe świdrujące spojrzenie. – Chandler dał mi do zrozumienia, że to nie jest wizyta towarzyska. Napije się pan kawy?

– Nie.

Anderson staje na tle okna, za którym słońce wschodzi nad Nowym Jorkiem.

Robi to celowo.

Pokazuje Malone'owi swoje królestwo.

– Czy będziemy się wzajemnie obmacywać, sierżancie, czy też załatwimy to jak dżentelmeni? – pyta Anderson.

– Nie mam mikrofonu.

– Ja też nie. Więc?

– Nosilem wiele kopert od rodziny Cimino i spora część z nich trafiła tutaj – mówi Malone.

– Być może – odpowiada Anderson. – Niech pan posłucha, detektywie. Jeśli nawet przyjmowałem koperty, były to drobne sumy. Brałem je po to, żeby można było coś zrobić, coś zbudować. Tak to się wszystko odbywało. Niech pan popatrzy na tamten budynek... i tamten... i jeszcze tamten. Wie pan, ile to miejsc pracy? Jak dobrze to wpływało na biznes i turystykę? Nie jest pan naiwny, wie pan, czego trzeba, żeby odbudować miasto. Chciałby pan wrócić do dawnych złych czasów? Do bezrobocia? Żeby fiolki po cracku znów chrzęściły pod nogami jak muszelki?

– Ja tylko chcę przeżyć.

– A jak pan sądzi, co jest do tego konieczne? – pyta Anderson. – W dalszym ciągu ma pan problem z co najmniej dwiema organizacjami przestępczymi, które chcą zobaczyć pańskiego trupa. Wydaje mi się, że przysparza pan sobie wrogów z równą łatwością, z jaką Lay's produkuje chipsy.

– Tak to już jest w tej pracy – mówi Malone. – Dam sobie radę z dilerami narkotyków i mafią, ale rząd federalny trochę mnie przerasta. Ratusz też. A kiedy połączą siły... Wy chcecie dopaść komisarza i całą policję. Ja jestem tylko jednym gliniarzem.

– Jedynym gliniarzem, który stoi nam na drodze – mówi Anderson. – A teraz wystawił pan na odstrzał ratusz i innych bardzo potężnych ludzi, włącznie ze mną.

– Nie musi pan być na celowniku.

– Jakim sposobem?

– Wystarczy zamknąć federalne dochodzenie – mówi Malone. – To o wiele prostsze niż zabicie mnie.

– Na to wygląda – mówi Anderson. – A gdybyśmy zamknęli dochodzenie, czy ludzie, którzy odbudowali to miasto, nadal mieliby powód, żeby się panem martwić?

– Sądzi pan, że obchodzi mnie to, kto wypycha im kieszenie? Kto będzie burmistrzem czy gubernatorem? Dla mnie wszyscy jesteście tacy sami.

– W nocy wszystkie koty są czarne – mówi Anderson. – Ale dlaczego mielibyśmy panu zaufać, panie Malone?

– Jak się miewa pańska córka?

– Co to ma znaczyć? – pyta Anderson, ale jest inteligentny i szybko kojarzy. – No tak, oczywiście. To był pan. Radzi sobie już dobrze, dziękuję. I chcę powiedzieć, że to dzięki panu. Studiuje na Bennington, jest na liście rektorskiej.

– Miło mi to słyszeć.

– A zatem to ma być szantaż – mówi Anderson. – Ma pan kopię tego filmu i rozpowszechni go pan, jeśli nie zamknę dochodzenia?

– Ja nie jestem panem – mówi Malone. – Nawet nie obejrzałem tej taśmy, tym bardziej nie zachowałem kopii. Może właśnie dlatego nie mam takiego apartamentu i haruję jak osioł w mieście, które pan odbudował. Nie próbuję pana szantażować. Jest pan wystarczająco inteligentny, żeby zrobić to, co dla pana najlepsze. Ale chcę tylko powiedzieć, że jeśli ktoś będzie



próbował dobrać się do mnie, do mojej rodziny albo do moich partnerów, to wrócę i pana zabiję.

Podchodzi do okna.

– To pieprzone miasto jest piękne, prawda? Kochałem je jak swoje życie.

Isobel Paz jak co rano biega dokoła stawu w Central Parku.

Malone dogania ją i biegnie za jej plecami.

Jej włosy są związane w długi koński ogon.

– Isobel – mówi Malone. – Pewnie nigdy nie postrzelono cię w plecy. Mnie też nie. Ale widziałem to kilka razy i nie jest to ładny widok. Wydaje mi się też, że to boli. Bardzo. Więc jeśli odwrócisz się i zaczniesz wołać o pomoc albo coś w tym rodzaju, wpakuję ci kulę w nerkę. Wierzysz mi?

– Tak.

– Przekazałaś mój raport rodzinie Cimino – mówi Malone. – Nie próbuj zaprzeczać, bo i tak o tym wiem. Zresztą niewiele mnie to już obchodzi.

– Więc teraz mnie zabijesz? – Próbuje zachować twarz, ale jest mocno wystraszona, tak mocno, że głos jej drży.

– Tylko kilku tanich prawników i policjantów zapłaci za to gardłem, tak? – mówi Malone. – Dzieci funduszy powierniczych odejdą wolno. Gdy policjant przyjmuje łapówkę, jest przestępcą. Gdy robi to urzędnik miejski, to tylko zwykły biznes.

– Czego chcesz?

– Mam już to, czego chcę – mówi Malone. – Zgodził się na to facet, który z mieszkania widzi cały ten park. Przyszedłem tylko powiedzieć ci, jak to ma wyglądać. Odchodzę wolno, bez żadnych zarzutów i bez odsiadki. Rezygnuję ze służby i odchodzę.

– Nie mogę objąć cię programem ochrony świadków, jeśli nie będziesz zeznawał – mówi Paz.

– Nie chcę programu. Sam zadbam o siebie i o rodzinę.

– Jak?

– Nie musisz się o to martwić. Miałaś rację, to nie jest twój problem.

– Co jeszcze?

– Moi partnerzy zachowają pracę, odznaki i emerytury.

– Chcesz mi powiedzieć, że twoi partnerzy są winni współudziału? –

pyta Paz.

– Mówię ci, że jeśli spróbujesz zrobić im krzywdę, to zrzucę ci na głowę całe to miasto. Ale sądzę, że pewni ludzie do tego nie dopuszczą.

Paz zatrzymuje się i obraca w jego stronę.

– Nie doceniłam cię.

– To prawda – mówi Malone. – Ale nie mam ci tego za złe.

Odwraca się i odchodzi, żeby zabić Lou Savina.

Samochodu Savina nie ma na podjeździe przed jego domem w Scarsdale.

Malone obserwuje dom przez kilka minut, a potem znów jedzie do miasta, do mieszkania kochanki Savina na Sto Trzynastej, pierwsze piętro bez windy.

Chowa dziewiątkę za plecami i naciska dzwonek.

Słyszy w środku kroki, a potem kobiecy głos pyta:

– Lou, co się stało? Znowu zgubiłeś klucz?

Malone podnosi odznakę do wizjera.

– Pani Grinelli? NYPD. Chciałbym z panią porozmawiać.

Grinelli otwiera drzwi na szerokość łańcucha i pyta:

– Czy chodzi o Lou? Coś mu się stało?

– Kiedy widziała go pani po raz ostatni?

– O mój Boże. – Zaraz jednak przypomina sobie, kim jest i gdzie mieszka. – Nie rozmawiam z policją.

– Czy on jest w środku, pani Grinelli?

– Nie.

– Czy mogę wejść i się rozejrzeć? – pyta Malone.

– A ma pan nakaz?

Malone wykopuje drzwi butem i wchodzi. Kobieta Savina trzyma się za twarz.

– Ja krwawię, ty durniu!

Z bronią w pogotowiu Malone przechodzi przez salon, potem sprawdza łazienkę, sypialnię, szafę w sypialni i kuchnię. Okno w sypialni jest zamknięte. Wraca do salonu.

– Kiedy po raz ostatni widziała pani Lou?

– Pierdol się.

Malone przykłada lufę pistoletu do jej twarzy.

– Nie mam czasu na zabawy. Kiedy widziałś go po raz ostatni?

Grinelli drży.

– Parę dni temu. Przyszedł tylko na seks i zaraz wyszedł. Miał się pojawić wczoraj wieczorem, ale nie było go. Nawet nie zadzwonił, kretyn. A teraz to. Proszę... proszę, nie zabijaj mnie... proszę...

Mike Sciollo wraca do domu.

Wyjmuje klucze z kieszeni džinsów i otwiera drzwi do budynku, kiedy Malone uderza go kolbą pistoletu w tył głowy i wpycha do środka, do korytarzyka.

Przyciska go do skrzynek pocztowych, trzymając lufę tuż za jego uchem.

– Gdzie twój szef?

– Nie wiem.

– Powiedz „dobranoc”, Mike.

– Nie widziałem go!

– Od kiedy?

– Od rana. Wypiliśmy razem kawę, a potem już go nie widziałem.

– Dzwoniłeś do niego?

– Nie odbierał.

– Mówisz prawdę, Mike? – pyta Malone. – A może pomagasz Lou w ucieczce? Jeśli kłamiesz, sąsiedzi znajdą fragmenty twojego ciała na swoich rachunkach za prąd.

– Nie wiem, gdzie on jest.

– To co robiłeś na ulicy? Jeśli Bruno kazał sprzątnąć Lou, to ty jesteś następny na liście zagrożonych gatunków.

– Musiałem załatwić parę spraw – mówi Sciollo. – Zaraz się stąd zwijam.

– Jeśli cię, kurwa, kiedyś jeszcze zobaczę, Mikey, to przyjmę, że masz wrogie zamiary i zgodnie z tym się zachowam. *Capiche?*

Popycha Sciolla na ścianę i wraca do samochodu.

Lou Savino już nie wróci, myśli Malone, jadąc w stronę centrum. Jest w rzece albo w jakiejś rozpadlinie. Znajdą jego samochód przy lotnisku Kennedy’ego, jakby gdzieś poleciał, ale on nie wyjechał z Nowego Jorku i już nie wyjedzie.

Bruno zniszczy raport.

Paz zakopie resztę.

Anderson wszystkiego dopilnuje.

Ja zajmę się Castillem.

Wraca do domu, żeby się przespać.

Już po wszystkim.

Pokonałeś ich.

## ROZDZIAŁ 27

Śpi mocno, kiedy ktoś wyważa drzwi do mieszkania. Czyjeś ręce popychają go na ścianę.

Inne ręce odbierają mu broń.

Ramiona ma wykręcone za plecy, nadgarstki skute kajdankami.

– Jesteś aresztowany – mówi O’Dell. – Nadużycia służbowe, łapówki, wymuszenia, utrudnianie pracy wymiarowi sprawiedliwości...

Malone jest zdezorientowany. Nic nie rozumie.

– Coś ci się pomyliło, O’Dell. Porozmawiaj z Paz.

– Ona już nie jest za nic odpowiedzialna – mówi O’Dell. – Prawdę mówiąc, postawiono jej oskarżenie. Andersonowi też. To była niezła rozgrywka, Malone. Dobrze sobie radziłeś. Zarzuty wobec ciebie obejmują również posiadanie narkotyków z zamiarem sprzedaży, organizowanie sprzedaży i dystrybucji narkotyków oraz rabunek z bronią w ręku.

– O czym ty, kurwa, mówisz? – pyta Malone.

O’Dell łapie go za ramiona i obraca.

– Denny, Savino oddał się w nasze ręce i zaczął gadać. Opowiedział nam o Penie i o heroinie, którą rąbnęliście i sprzedaliście mu.

– Chcę adwokata.

– Możemy nawet zadzwonić do niego w twoim imieniu – mówi O’Dell.

– Jak się nazywa?

– Gerard Berger – odpowiada Malone. Może Bóg jednak istnieje, myśli, i może istnieje piekło.

Ale z całą pewnością nie ma wielkanocnego zajęczka.

## CZEŚĆ 3

### CZWARTY LIPCA, TYM RAZEM POŻAR

*I puszczę ogień na mur Tyrski, i pożre domy jego<sup>[4]</sup>.*

## ROZDZIAŁ 28

Gerard Berger zaplata palce, kładzie ręce na stole i mówi:

– Muszę powiedzieć, że z wielu tysięcy telefonów, jakie mogły mnie wyrwać ze snu o tej porze, najmniej spodziewałem się telefonu od ciebie.

Siedzą w pokoju przesłuchań w siedzibie FBI przy Federal Plaza 26.

– Więc dlaczego przyjechałeś? – pyta Malone.

– Biorąc pod uwagę, z kim rozmawiam, traktuję te słowa jak podziękowanie – odpowiada Berger. – A odpowiadając na twoje pytanie... no cóż, poczułem się zaintrygowany. Ale nie zdziwiony. Zawsze wiedziałem, że ze względu na swoje nieszczęsne skłonności w końcu wpadniesz po szyję w ukrop. Dziwi mnie jednak to, że właśnie do mnie zadzwoniłeś z prośbą o rzucenie koła ratunkowego.

– Potrzebuję najlepszego obrońcy – mówi Malone.

– Mój Boże, jak wiele cię musiało kosztować wypowiedzenie tych słów.

– Berger uśmiecha się. – A to przywodzi nas do pierwszego i najistotniejszego tematu rozmowy, mianowicie czy masz wystarczające fundusze, żeby pokryć moje honorarium? To zasadnicze pytanie. Jeśli odpowiedź nie będzie satysfakcjonująca, nie wyjdziemy z tej sali razem.

– Jaka jest twoja stawka? – pyta Malone.

– Tysiąc dolarów za godzinę – odpowiada Berger.

Tysiąc za godzinę, myśli Malone. Przeciętny policjant z patrolu zarabia trzydzieści.

– Jeśli wyciągniesz mnie stąd dzisiaj, pierwsze pięćdziesiąt godzin mogę opłacić gotówką.

– A potem?

– Stać mnie jeszcze na dwieście godzin – mówi Malone.

– To zaledwie początek – stwierdza Berger. – Masz dom, samochód... Być może twoja historia jest wystarczająco interesująca, żeby sprzedać prawa do książki albo do filmu. W porządku, sierżancie Malone, masz prawnika.

– Czy mam opowiedzieć, co zrobiłem? – pyta Malone.

– Mój Boże, nie! – obrusza się Berger. – Absolutnie mnie nie interesuje, co zrobiłeś. To kompletnie nieistotne. Ważne jest tylko to, co potrafią ci udowodnić albo wydaje im się, że potrafią. Jakie zarzuty ci postawiono?

Malone powtarza to, co powiedział mu O'Dell – wielokrotne zarzuty korupcji, wielokrotne zarzuty składania fałszywych zeznań, a do tego rabunek na wielką sumę i handel narkotykami.

– Czy to ma związek ze sprawą Diego Peny?

– A czy dla ciebie występuje tu konflikt interesów?

– Absolutnie nie – mówi Berger. – Pan Pena już nie jest moim klientem. Nie żyje, o czym wiesz.

– Myślisz, że to ja go zabiłem.

– Ty go zabiłeś – prostuje Berger. – Rzecz tylko w tym, czy to było morderstwo, i nie ma najmniejszego znaczenia, co ja o tym myślę. Nie ma również znaczenia, czy naprawdę go zamordowałeś, a poza tym nie pytam cię o to, więc zamknij gębę. Na razie nie postawiono ci zarzutu zabójstwa. W gruncie rzeczy nie postawiono ci żadnego zarzutu, po prostu cię aresztowali. Czy zatem powinniśmy zaprosić ich tutaj, żeby sprawdzić, co mają?

O'Dell i Weintraub wchodzą do pokoju i siadają.

– Uważałem cię za przyzwoitego człowieka – mówi Weintraub do Malone'a. – Za dobrego gliniarza, który w coś się zaplątał i nie wiedział,



jak się z tego wydostać. A teraz wiem, że jesteś po prostu kolejnym handlarzem narkotyków.

– Skoro już zrzucił pan z serca ciężar rozczarowania i osobiste urazy do mojego klienta, czy możemy przejść do istotniejszych spraw? – pyta Berger.

– Jasne – mówi O’Dell. – Pański klient sprzedał pięćdziesiąt kilo heroiny Carlosowi Castillo.

– Skąd o tym wiecie?

– Od zaufanego świadka – mówi Weintraub. – Od Louisa Savina.

– Lou Savino? – powtarza Berger. – Skazany za przestępstwa, znany mafioso? Ten Lou Savino?

– Wierzymy mu – mówi O’Dell.

– A kogo obchodzi, w co wierzycie? – Berger wzrusza ramionami. – Istotne jest tylko to, w co uwierzy ława przysięgłych. Kiedy postawię Savina na miejscu świadka i wypytam go o jego przeszłość oraz o układ, który niewątpliwie zaproponowaliście mu w zamian za zeznania, to sądzę, że istnieje co najmniej pięćdziesięcioprocentowe prawdopodobieństwo, że ława przysięgłych nie uwierzy w ani jedno słowo tego gangstera przeciwko słowom bohaterskiego detektywa policji. Jeśli nie macie wobec mojego klienta innych zarzutów niż tylko fantastyczne opowieści snute przez handlarza narkotyków, który chciałby uniknąć dożywocia i który w kartotece policyjnej ma tyle fotografii, że mógłbym wytapetować nimi cały sąd, to proponuję, żebyście wypuścili mojego klienta natychmiast i z przeprosinami.

Weintraub pochyła się, naciska guzik odtwarzacza i Malone słyszy głos Savina:

– Pozwól, że sam będę się martwił o siebie. Ile za to chcesz?

– *Sto tysięcy za kilo* – mówi Malone.

Weintraub zatrzymuje taśmę, spogląda na Bergera i stwierdza:

– Wydaje mi się, że to głos pańskiego klienta.

Znów włącza odtwarzacz.

– *Na jakim ty, kurwa, świecie żyjesz?* – pyta Savino. – *Mogę dostać heroinę po sześćdziesiąt pięć, siedemdziesiąt.*

– *Ale nie Dark Horse* – odpowiada Malone. – *Nie sześćdziesiąt procent czystości. Rynkowa cena to sto.*

– *Tyle byś dostał bezpośrednio od detalisty* – mówi Savino. – *Ale nie możesz iść do detalisty i dlatego zadzwoniłeś do mnie. Ja mogę dać siedemdziesiąt pięć.*

– Przewińmy dalej, dobrze? – mówi Weintraub.

Malone znów słyszy swój głos:

– *Całkiem jak w programie dla inwestorów. No dobra, łaskawco. Niech będzie dziewięćdziesiąt za kilo.*

– *Mam się oprzeć na tym nagrobku, żebyś mógł mnie wyruchać od tyłu? Może mógłbym ci dać osiemdziesiąt.*

– *Osiemdziesiąt siedem.*

– *Kurwa, czy my jesteśmy Żydami?* – pyta Savino. – *Nie możemy zrobić tego jak dżentelmeni? Powiedzmy osiemdziesiąt pięć. Osiemdziesiąt pięć tysięcy za kilo razy pięćdziesiąt. Cztery miliony dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów. To mnóstwo pączków z czekoladą.*

Ten skurwysyn miał mikrofon i przez cały czas nagrywał, może już w Boże Narodzenie, kiedy narzekał na swoich szefów i na to, jak cienka jest jego koperta. Na wszelki wypadek już wtedy kopał sobie tunel do ucieczki.

Malone znów słyszy własny głos:

– Jeszcze jedno. Nie puścisz tego w obieg na północnym Manhattanie. Zabierz to na północ stanu, do Nowej Anglii, gdzie chcesz, ale nie tutaj.

Weintraub zatrzymuje taśmę.

– Czy to miała być próba okazania cnót obywatelskich, Malone? Czy mamy być ci wdzięczni?

Znów włącza odtwarzanie.

– Niezły jesteś. Nic cię nie obchodzi los ćpunów, o ile tylko nie są to twoje ćpuny.

– Zgadzasz się czy nie?

– Stoi.

– Jako dowód ta taśma zostanie odrzucona – mówi Berger znudzonym tonem.

– Można by o tym dyskutować – odpowiada Weintraub i patrzy na Malone'a. – Postawisz własne życie na przesłuchanie dowodowe?

– Nie odpowiadaj. – Berger uśmiecha się do Weintrauba i O'Della. – Ja tu słyszałem, i zapewne ława przysięgłych również to usłyszy, jak detektyw policji umawia się z gangsterem na zakup kontrolowany.

– Naprawdę? – pyta O'Dell. – Gdyby tak było, to Malone miałby mikrofon. Gdzie jest kopia tego nagrania? Gdzie nakaz? Gdzie pozwolenie od przełożonych? Będziesz w stanie pokazać w sądzie cokolwiek z tego?

– Wszyscy wiedzą, że sierżant Malone często nagina zasady – mówi Berger. – Ława przysięgłych dojdzie do wniosku, że po raz kolejny działał na własną rękę.

Weintraub uśmiecha się szyderczo, a Malone wie dlaczego.

Skoro Savino nagrał spotkanie na cmentarzu, to nagrał również sfinalizowanie transakcji. I oczywiście Weintraub wsuwa następny mikrodyk do urządzenia i rozsiada się wygodnie. Z taśmy słychać głos Carlosa Castilla, który pyta:

– *Myślisz, że nie wiedzieliśmy, ile kilo było w tym pokoju i ile pieniędzy?*

– Czego chcesz?

- Diego Pena był moim kuzynem.
  - Chcesz zamordować detektywa Departamentu Policji miasta Nowy Jork? Cały świat zwali ci się na głowę.
  - Jesteśmy kartelem.
  - *Nie, to my jesteśmy kartelem. W moim gangu jest trzydzieści osiem tysięcy ludzi. A ty ilu masz?*
  - Policjant chwali się, że NYPD jest największym kartelem na świecie. Jak to się spodoba ławie przysięgłych? – pyta O’Dell.
  - *Możesz to kupić* – mówi Malone na taśmie.
  - *To bardzo hojna oferta z twojej strony. Miło, że proponujesz nam odkupienie naszego towaru.*
  - *Proponuję wam interes, który wytargował ten sukinsyn makaroniarz. Jeśli ci się nie podoba, to możesz zapłacić cenę detaliczną.*
  - *Ukradłeś nam ten towar.*
  - Przejąłem go. To jest różnica.
  - Myślę, że usłyszeliśmy już dosyć – mówi Berger.
  - Proszę – odzywa się Weintraub. – Tylko nie próbuj nas przekonywać, że to była tajna operacja. Gdzie jest wynikający z niej nakaz aresztowania Castilla? Gdzie skonfiskowana heroina? Z pewnością trafiła do szafy z dowodami i macie na to kwit. Ja jednak myślę, że powinniśmy posłuchać dalej.
  - Robimy interes czy nie?
  - Tyle, ile miało być. Cztery miliony dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów.
  - Chcesz przeliczyć?
  - Nie trzeba.
- Malone słucha reszty swojej rozmowy z Castillem, a potem swoje trzy grosze dorzuca Savino:

– Interesy z tobą to zawsze wielka przyjemność, Denny.

W pokoju zapada milczenie.

Malone wie, że jest upieprzony w stu procentach.

– Gdzie jest prokurator federalna Południowego Dystryktu? – pyta Berger. – To ona podpisała umowę świadka z detektywem Malone’em.

– Pani Paz została odsunięta od tej sprawy – mówi Weintraub.

– Przez kogo?

– Przez jej szefa. To znaczy przez prokuratora generalnego Stanów Zjednoczonych.

– Czy mogę zapytać dlaczego?

– Może pan, ale nie mamy obowiązku odpowiadać.

– Zdaję sobie z tego sprawę.

– Powiedzmy po prostu, że wystąpił tu konflikt interesów – mówi Weintraub. – I na tym poprzestańmy. Pani Paz również grozi oskarżenie, tak jak wielu innym osobom związanym z ratuszem.

– Chciałbym przez chwilę porozmawiać sam na sam z moim klientem.

– To nie jest pański gabinet – mówi O’Dell. – Nie może nas pan stąd odesłać jak swoich asystentów.

– Jestem przekonany, że rozmowa z klientem pozwoliłaby posunąć tę dyskusję dalej – odpowiada Berger. – Proszę was o wyrozumiałość.

Gdy O’Dell i Weintraub wychodzą, Berger pyta:

– Co wiesz o Paz?

Malone opowiada mu o rozmowach z Chandlerem, Andersonem i Paz.

– Paz próbowała sprzedać kontrakt z tobą, a oni tego nie kupili – mówi Berger. – Przeliczyła się.

Paz nie wzięła pod uwagę tego, wyjaśnia Berger, że administracja w Waszyngtonie ma ochotę zdławić w zarodku polityczne ambicje burmistrza i z wielką radością powitałaby korupcyjny skandal w Nowym

Jorku. Toteż gdy Paz anulowała umowę, żeby zatuszować ten skandal, Weintraub i O'Dell nasłali na nią Waszyngton. Nie doceniła ich.

– Zagrałeś mocną kartą – mówi Berger. – Muszę powiedzieć, że zrobiłeś na mnie wrażenie. Ale ta karta nie była wystarczająco mocna.

– Czy jesteś w stanie zagwarantować, że taśmy Savina nie przejdą przez przesłuchanie dowodowe? – pyta Malone.

– Nie – mówi Berger.

– Więc mam przejebane.

– Tak – potwierdza Berger. – Ale są różne stopnie przejebania. Chcą twojej współpracy przy rozwaleniu administracji burmistrza, ale to nie jest już takie cenne, bo mają też Savina. Sprawdzimy, ile twoje potencjalne zeznania są warte na rynku.

Wychodzi i przyprowadza federalnych.

Siadają.

– Mój klient okazał się już chętnym do współpracy świadkiem – zaczyna Berger.

– Był nim – mówi O'Dell. – A potem przyznał się do przestępstw, których nie ujawnił przy zawieraniu pierwotnej umowy, toteż pogwałcenie klauzuli o pełnej jawności unieważnia tę umowę.

– I co z tego? – pyta Berger. – Teraz gotów jest zeznawać w sprawie tych wcześniej nieujawnionych przestępstw. Przecież o to wam tak naprawdę chodzi. Czekamy na propozycje, panowie.

– Spieprzaj – mówi Weintraub. – Do tego mamy Savina.

– Możemy zawrzeć umowę co do innych rzeczy – mówi O'Dell. – Przekupstwa, ustawianie wyroków. Ale nie będziemy się targować w sprawie brudnego policjanta, który wystawia pięćdziesiąt kilo heroiny na ulicę.

– Wiedzieliście, że miałem obrywy od handlarzy – mówi Malone.

– Zamknij się, Dennis – ostrzega go Berger.

– Nie, pieprzę tych świętojebliwych dupków – mówi Malone. – Pieprzę was wszystkich. Chcecie rozmawiać o moich przestępstwach, o tym, co zrobiłem? Porozmawiajmy o tym, co wyście zrobili. Jesteście równie brudni jak ja.

O'Dell wybuchła. Podnosi się i wali pięścią w stół.

– To bagno musi się skończyć! Nie pozwolę, słyszysz?! Nie pozwolę, żeby policjanci zmieniali się w bandyckie gangi okradające handlarzy narkotyków, a potem sprzedające proszek na ulicach! Skończę z tym! A jeśli w tym celu będę musiał rzucić się na własny miecz, to jestem na to gotów!

– Zgadzam się – mówi Weintraub. – Usiądź, O'Dell, bo dostaniesz zawału.

O'Dell siada. Twarz ma czerwoną, ręce mu się trzęsą.

– Możemy wam zaproponować tylko jeden układ.

– Słuchamy – mówi Berger.

– Dni, kiedy to ty dyktowałeś, kogo wydasz, kogo nie wydasz, kogo skrzywdzisz, a kogo będziesz chronił, już minęły – mówi O'Dell. – Masz powiedzieć wszystko. Wszystko o każdym policjancie. O McGivernie, o Task Force, i tak, Malone, chcę również twoich partnerów, Russa i Montague'a.

– Oni nie mają...

– Nie wciskaj mi tych bzdur – mówi O'Dell. – Byli razem z tobą podczas nalotu na Penę. Dostali za to medale. Mieli w tym udział. Nie próbuj mi wmawiać, że nie wiedzieli, że zabrałeś te pięćdziesiąt kilo, i że nie dostali swojej części ze sprzedaży.

– Racja – mówi Weintraub. – Możesz milczeć. Dostaniesz wtedy od trzydziestu do dożywocia.

– O tym zadecydują sędzia i ława przysięgłych – mówi Berger. –  
Pójdziemy z tym do sądu i wygramy.

Nie, myśli Malone.

O'Dell ma rację. Już po wszystkim. To musi się skończyć.

Pójdę do więzienia.

Russo zaopiekuje się moją rodziną.

To nie jest świetny układ, ale też nie taki zły.

W każdym razie tylko taki mi pozostał.

– Ja już skończyłem – mówi. – Nie będę więcej z wami gadał,  
negocjował ani zawierał żadnych układów. Róbcie, co macie zrobić.

– Po co mnie tu ściągnąłeś, skoro sam zamierzasz być własnym obrońcą?  
– odzywa się Berger. – Ja bym tego nie zalecał.

Malone patrzy przez stół na O'Della.

– Od samego początku mówiłem, że nie pozwolę ruszyć moich  
partnerów. Mogę iść siedzieć.

– Pewnie możesz – mówi Weintraub. – Ale czy Sheila może siedzieć?

– Co?

– Czy twoja żona może iść do więzienia? – powtarza Weintraub. – Może  
dostać dziesięć do dwunastu lat.

– Za co?!

– Czy Sheila potrafi uzasadnić swoje dochody? – pyta Weintraub. – Jeśli  
przyślemy do niej kontrolę skarbową, czy będzie w stanie wytłumaczyć się  
z wydatków, z wpływów na konta karty kredytowej, których nie mogła  
zrobić, jeśli nie ma ukrytych źródeł dochodu? Jeśli wejdziemy do twojego  
domu, czy znajdziemy tam koperty z gotówką?

Malone patrzy na Bergera.

– Czy oni mogą to zrobić?

– Niestety, obawiam się, że tak.



– Pomyśl o swoich dzieciach, Denny – mówi O’Dell. – Będą miały oboje rodziców w więzieniu i nie będą miały domu. Bo jeśli twoja pensja nie pokryje jego pełnej wartości co do ostatniej rymny, to grozi ci konfiskata. Domu, samochodu, konta oszczędnościowego i – popatrz mi w oczy, Denny – i zabawek twoich dzieci.

Weintraub dodaje:

– Jeśli ukryłeś gdzieś pieniądze ze sprzedaży narkotyków, żeby zabezpieczyć rodzinę, możesz o tym zapomnieć. Czego my nie zabierzemy, to zabierze ten tutaj obrońca. Wydasz wszystko co do centa na adwokata i grzywny. Gdy wyjdiesz – o ile wyjdiesz – będziesz starym człowiekiem bez grosza, z dorosłymi dziećmi, które nie będą cię znały. Będą tylko wiedziały, że to jest facet, który wysłał ich matkę do więzienia.

– Zabiję was.

– Z Lompoc? – pyta Weintraub. – Z Victorville? Z Florence? Bo tam właśnie będziesz, na drugim końcu kraju, w federalnym więzieniu o zaostrowym rygorze. Nigdy nie zobaczysz swoich dzieci. A twoja żona będzie w Danbury razem z dresiarzami i włochatymi lesbijkami.

– Kto będzie wychowywał twoje dzieci? – pyta O’Dell. – Wiem, że Russowie są ich opiekunami, ale czy wujek Phil będzie miał ochotę wychowywać dzieci donosiciela, zwłaszcza że nie będziesz w stanie pomóc im finansowo? Czy będzie je ładnie ubierał i wysłał do college’u? Czy będzie wydawał pieniądze na podróże do więzienia, żeby mogły zobaczyć się z mamą?

– Russo jest skąpy – mówi Weintraub. – Nie kupi im nawet nowej kurtki.

– Jak miałbym to zrobić ich rodzinom? – pyta Malone.

– Chcesz powiedzieć, że kochasz ich dzieci bardziej niż własne? – pyta O’Dell. – Kochasz ich żony bardziej niż swoją?

– Dennis, chodźmy z tym do sądu – mówi Berger.

– Jest w tym pewien sens – odpowiada Weintraub. – Może proces Sheili będzie w tym samym wydziale. Będziecie mogli razem jadać luncha.

– Ty skurwysynu.

– Wyjdziemy na dziesięć minut – mówi O’Dell. – Zastanów się nad tym, porozmawiaj ze swoim obrońcą. Dziesięć minut, Denny, i to wszystko. Potem musisz zdecydować, co dalej.

Wychodzą. Malone i Berger siedzą w milczeniu. Potem Malone podnosi się, podchodzi do okna i patrzy na centrum miasta, gdzie jak zwykle panuje nowojorski ruch. Ludzie biegną we wszystkie strony, próbują zarobić dolara, próbują jakoś przetrwać.

– To jest piekło – mówi.

– Zawsze nienawidziłeś adwokatów oskarżonych – odpowiada Berger. – Uważałeś nas za największe gówno na świecie. Sądziłeś, że pomagamy winnym uciec przed sprawiedliwością. A teraz rozumiesz, Denny, po co istniejemy. Kiedy mały pionek trafi w system, jeśli jego nazwisko kończy się na samogłoskę albo, nie daj Boże, jest czarny lub jest Latynosem, albo nawet policjantem, maszyna miele go na miazgę. To nie jest uczciwa walka. Temida ma przepaskę na oczach, bo nie jest w stanie patrzeć na to, co się dzieje.

– Wierzysz w karmę? – pyta Malone.

– Nie.

– Ja też nie, ale teraz zaczynam się zastanawiać. Wszystkie moje kłamstwa, fałszywe nakazy, ludzie, których pobiłem, mafia, czarni z ulicy, drobni handlarze, których wsadziłem za kratki... Teraz jestem jednym z nich. Jestem ich murzynem.

– Nie musi tak być – mówi Berger. – Masz jeszcze mnie.

No tak. Malone aż za dobrze wie, że Berger świetnie umie sobie radzić w sądzie, i rozumie, co ten adwokat ma na myśli. Ale jeśli sprawa przejdzie

przez Wielką Ławę Przysięgłych, a przejdzie, to żaden prokurator ani sędzia nie zaryzykuje sprzedania jej.

– Nie mogę narażać rodziny – mówi.

Nie potrzebował tych dziesięciu minut. Gdy tylko zaczęli o tym mówić, wiedział, że nie pozwoli, żeby Sheila poszła do więzienia.

Mężczyzna musi dbać o swoją rodzinę, to wszystko.

– Przyjmuję układ.

– Będziesz musiał pójść do więzienia – mówi Berger.

– Wiem.

– Twoi partnerzy też.

– O tym też wiem.

W piekle nie ma alternatywnych rozwiązań.

Trzeba wybierać między tak samo potwornymi rozwiązaniami.

– Nie mogę reprezentować Russa ani Montague’a – mówi Berger. – To byłby konflikt interesów.

– Zróbmy, co mamy zrobić.

Berger wychodzi po O’Della i Weintrauba. Gdy wracają, mówi:

– Detektyw Malone ujawni wszystkie swoje przestępstwa i przyzna się do handlu heroiną. Będzie bezwarunkowo współpracował i dobrowolnie świadczył przeciwko innym czynnym policjantom, o których wie, że są zamieszani w przestępstwa.

– To nie wystarczy – mówi O’Dell. – Musi założyć mikrofon i zdobyć przekonujące dowody przeciwko nim.

– Będzie ich nagrywał – mówi Berger. – W zamian za to otrzyma od sędziego prowadzącego proces zaświadczenie o współpracy z rekomendacją łącznego wyroku za dowolną liczbę przestępstw nie wyższego niż dwanaście lat, kar finansowych nie wyższych niż sto tysięcy

dolarów oraz przypadku wszelkiego mienia uzyskanego w wyniku nielegalnych czynności.

– Zasadniczo się zgadzam – mówi Weintraub. – O szczegółach możemy porozmawiać później. Z pełną listą oskarżeń zaczekamy na zakończenie współpracy ze świadkiem.

– O ile nowy raport Malone’a nie będzie zawierał żadnych przekłamań, niczego nie będzie pomijał – mówi O’Dell – oraz Malone nie popełni żadnych kolejnych przestępstw.

– Nasz drugi warunek... – mówi Berger.

– Nie możecie stawiać żadnych dodatkowych warunków – przerywa mu O’Dell.

– Gdyby tak było, to nie siedzielibyśmy tutaj, tylko w areszcie więzienia metropolitalnego. Czy mogę mówić dalej? Współpraca detektywa Malone’a w kwestii detektywów Russa i Montague’a będzie możliwa pod warunkiem, że w żadnym sądzie nie zostanie wniesione oskarżenie przeciwko żonie żadnego z nich. To nie podlega negocjacom. Ten warunek zostanie uwzględniony w osobnej nocie podpisanej przez was obydwu oraz przez prokuratora generalnego Stanów Zjednoczonych.

– Nie ufasz nam, Gerry? – pyta Weintraub.

– Chcę się tylko upewnić, że każdy ma coś do stracenia w tej grze – mówi Berger – i że mój klient będzie chroniony, nawet jeśli obydwaj odejdziecie z dotychczasowych stanowisk.

– Zgoda – mówi Weintraub. – Nie chcemy krzywdzić rodzin.

– A jednak robicie to codziennie – zauważa Berger.

– A zatem mamy umowę? – pyta O’Dell.

Malone kiwa głową.

– Czy to oznacza zgodę? – pyta Weintraub.

– Mój klient zgadza się – mówi Berger. – Czego jeszcze chcecie, jego krwi?

– Chcemy, żeby to powiedział.

– Ja mówię w imieniu mojego klienta – odpowiada Berger.

– No cóż, proszę w każdym razie wyjaśnić swojemu klientowi – mówi Weintraub – że jeśli próbując wydostać się z tej sytuacji, wybierze drogę Rafaela Torresa, umowa stanie się nieważna i jego żona przez pięć do ośmiu lat nie będzie mogła przynosić kwiatów na jego grób.

– Potrzebujemy teraz jego zeznań – mówi O'Dell.

Malone opowiada im wszystko o nalocie na Penę, kradzieży pieniędzy i heroiny oraz o późniejszej sprzedaży heroiny.

Nie mówi im tylko tego, że zabicie Diego Peny było w gruncie rzeczy egzekucją.

Wychodzi z budynku razem z Bergerem.

– Właśnie po to mnie wezwałeś – mówi Berger – żebyś mógł stąd wyjść.

– A czy będziesz ze mną również wtedy, kiedy będę wchodził? – pyta Malone. – Gdy pójdę do federalnego więzienia?

– Postaramy się, żebyś poszedł do Allenwood – mówi Berger. – To tylko trzy godziny jazdy stąd. Rodzina mogłaby cię odwiedzać.

Malone potrząsa głową.

– Dla mojego bezpieczeństwa umieszczą mnie w izolatce i przez całe lata nie będę miał żadnych odwiedzin. Zresztą nie chcę, żeby dzieci widziały mnie w więzieniu, żeby musiały przez to wszystko przechodzić i siedzieć w poczekalni razem z rodzinami bandytów. Jeśli stali bywalcy dowiedzą się, że odwiedzają policjanta, zaczną ich nękać, może nawet grozić.

– Do tego czasu minie wiele miesięcy, a może nawet lat – mówi Berger. – Jeszcze wiele może się zdarzyć.

– Pójdę po pieniądze.

– Musimy się umówić, jak będziesz je przekazywał – mówi Berger. –  
Raczej nie powinieneś przychodzić do mojego gabinetu.

Malone ma ochotę wybuchnąć śmiechem.

– A co zwykle robią twoi klienci kapusie?

Berger podaje mu wizytówkę.

– To pralnia chemiczna. Taki mały żart.

– A co z resztą twojego honorarium? – pyta Malone. – Te konfiskaty...  
Liczyłem, że zapłacę ci właśnie z tych pieniędzy.

– Powiem ci to zupełnie jasno – mówi Berger. – Ja jestem pierwszy  
w kolejce. Rząd federalny ostatni. Co mogą zrobić? Zabrać ci pieniądze,  
których nie masz?

– Mogą mi odebrać dom.

– To i tak zrobią – mówi Berger.

– Świetnie.

– A co cię to obchodzi? Przez kilka lat będziesz świadkiem, więc  
będziesz mieszkał w bazie wojskowej. Twoja rodzina zostanie objęta  
programem. Kiedy wyjdiesz, dołączysz do nich. Podobno za te same  
pieniądze można kupić znacznie większy dom w Utah.

– Ty masz apartament na Piątej Alei.

– A także dom w Hamptons – mówi Berger – i letni domek w Jackson  
Hole. Ostatnio oglądałem pewną *casitę* na St. Thomas.

– Musisz mieć gdzie przycumować łódź.

– Masz rację – mówi Berger. – To biznes, detektywie. Sprawiedliwość to  
biznes i tak się składa, że umiem sobie w nim bardzo dobrze radzić.

– To niezła fucha dla tych, którzy potrafią ją dostać.

– Chciałbyś wiedzieć, jakie są wady tej sytuacji? – pyta Berger.

– Jasne.

– Nikt nigdy do mnie nie dzwoni, kiedy wszystko jest w porządku.

## ROZDZIAŁ 29

Jest upał i jest upał w Nowym Jorku.

Lepki, spocony, parujący, brudny, śmierdzący upał, który drży nad betonem i asfaltem, zmieniając całe miasto w saunę pod gołym niebem.

Pora upałów. Lato w mieście.

Malone obudził się spocony i w trzydzieści sekund po wyjściu spod prysznica znów był mokry od potu.

Tu, na Staten Island, jest trochę lepiej. Siedzi na podwórzu Russa i popija piwo coors prosto z butelki. Na dżinsy ma wyrzuconą dżinsowa koszulę, na nogach czarne buty nike.

Russo w idiotycznej hawajskiej koszuli, bermudach i sandałach włożonych na białe skarpetki przewraca hamburgery na grillu.

– Czwarty lipca. Uwielbiam ten kraj.

Monty ma na sobie białą hinduską koszulę, luźne spodnie khaki i niebieski kapelusz. Zaciąga się wielkim montecristo.

Czwarty lipca, grill u Russa. Zawsze robią tę imprezę w ich pierwszy wolny dzień weekendowy niedaleko czwartego.

Tradycja oddziału.

Obecność obowiązkowa. To dzień dla rodzin.

Żony, stałe narzeczone, dzieci.

John jest w basenie, gra w wodne polo z chłopcami Monty’ego i braćmi Russa. Caitlin siedzi z Sophią, która robi jej makijaż. Poważny przypadek kultu idolki. Yolanda, Donna i Sheila siedzą przy stole na patio, popijając sangrię i rozmawiając o babskich sprawach.

Głównym tematem rozmów jest to, że Monty ogłosił odejście na emeryturę. Yolanda aż kipi z podniecenia. Nie może się już doczekać, kiedy zabierze męża gdzieś daleko od niebezpieczeństw związanych z pracą i wyciągnie dzieci z miasta. Na widok jej szczęścia serce Malone'a pęka.

– Widzisz tych małych idiotów w basenie? – mówi Monty. – Są inteligentni. Nadają się do college'u.

– Są czarni. Dostaną stypendium – zauważa Russo.

– Mają już stypendium – śmieje się Monty. – Stypendium Peny. – Stuka butelką o butelkę Russa.

– Stypendium Peny – powtarza Russo. – Podoba mi się to.

Malone kurczy się wewnątrznie. Właśnie teraz, w domu najbliższego przyjaciela i w obecności jego rodziny nagrywa taśmę, która to wszystko mu odbierze.

Ale robi to. Rozgląda się, sprawdzając, czy nie podsłuchuje ich żadna żona ani dziecko, i mówi:

– Musimy jakoś załatwić Castilla. Jeśli go dorwą, zanim my to zrobimy, to powie, że po nalocie na Penę brakowało pięćdziesięciu kilo heroiny.

– I myślisz, że mu uwierzą? – pyta Russo.

– A chcesz ryzykować? – odpowiada Malone. – Piętnaście do trzydziestu lat w więzieniu federalnym. Musimy się tym zająć. – Patrzy znacząco na Russa, który zdejmuje kiełbaskę z grilla i kładzie ją na talerzu. – Zacytuje nieśmiertelnego Tony'ego Soprano: niektórzy ludzie muszą odejść.

Monty starannie roluje cygaro, żeby równo się paliło.

– Ja nie miałbym żadnego problemu z wpakowaniem dwóch kulek w głowę Castilla.

– Miewacie czasem wyrzuty sumienia? – pyta Malone.

– Z powodu Peny? – mówi Russo. – Przez to, że odebrałem pieniądze temu mordercy dzieci i użyłem ich w dobrym celu? Żeby moje dzieci miały



przyszłość? Żeby nie musiały przez całe życie dźwigać na grzbiecie garba kredytu? Wyjdą z college'u na czysto. Pieprzyć Penę, cieszę się, że to zrobiliśmy.

– Zgadzam się – mówi Monty.

Chłopcy podchodzą do brzegu basenu i wołają ojców, żeby przyłączyli się do zabawy.

– Za chwilę.

– Zawsze tak mówisz!

– Nie martwisz się, że kości im się rozpuszczą od tej wody? – pyta Russo.

– Martwię się, że mózgi im się rozpuszczą – odpowiada Monty. – Wszędzie dokoła pełno młodych cipek gotowych dać wszystko za załadowanie piosenki z iTunes. Wybieram się na emeryturę do Karoliny Północnej i jeszcze długo nie chcę mieć wnuków.

– W Karolinie jest drogo – mówi Malone. – Ja się zastanawiam nad Rhode Island. Kurwa, na co te pieniądze idą? Te od Peny, od prawników, z innych obrywów. Przecież przez te wszystkie lata zarobiliśmy, no nie wiem, chyba po parę milionów każdy.

– Co w ciebie dzisiaj wstąpiło? Co ty jesteś, Merrill Lynch? – mówi Russo.

– Nie wiadomo, kiedy przydarzy nam się następna taka wypłata – odpowiada Malone. – Zostaniemy tylko na gołej pensji, może z jakimiś nadgodzinami.

– Monty – mówi Russo. – Malone chce ci sprzedać obligacje miejskie.

– Przecież zawsze wiedzieliśmy, że to nie może trwać wiecznie – mówi Monty. – Wszystko co dobre kiedyś się kończy.

– Może ja też powinienem już odwiesić odznakę na kołek – mówi Malone. – W końcu po co ryzykować, że jakiemuś naćpanemu bandziorowi

uda się celnie strzelić? Może czas zgarnąć żetony i odejść od stolika, póki wciąż jestem wygrany.

– Jezu, chcecie mnie zostawić samego z Levinem? – wzdycha Russo.

– Muszę się wysikać. To przez to piwo – mówi Malone.

W kuchni dopada go Donna. Otacza ramieniem jego barki i ruchem głowy wskazuje na Sheilę siedzącą na zewnątrz.

– Miło was widzieć znowu razem, całą rodzinę. Sheila mówiła, że wzięła sobie kilka dni wolnego, żeby pomyśleć. Wróćcie do siebie?

– Na to wygląda.

– Dumna jestem z ciebie, Denny. Odzyskałeś rozum. Twoje życie jest przy nich, przy nas.

Malone wchodzi do łazienki, odkręca kran, żeby zagłuszyć dźwięki, i zaczyna płakać.

Czwarte piwo wchodzi lepiej niż trzecie, a piąte lepiej niż czwarte.

– Może trochę zwolnisz? – mówi Sheila.

– Możesz mi nie mówić, co mam robić? – Malone oddala się od niej i podchodzi do basenu, gdzie odbywa się coroczny mecz dzieci z ojcami w wodne polo.

John doskonale się bawi.

– Tato, chodź, zagraj z nami! – woła.

– Nie teraz, Johnny.

– Chodź, tato!

– Wskakuj – mówi Russo. – Dają nam popalić.

– Tu mi dobrze – odpowiada Malone.

W tonie Russa, który również jest po kilku piwach, pojawia się odrobina wrogości.

– Zamocz tyłek, Malone!

– Nie, dzięki.

Dokoła zapada cisza. Wszyscy na nich patrzą. Kobiety wyczuwają, że atmosfera jest zbyt napięta jak na zwykłą sprzeczkę o wejście do basenu.

– Dlaczego? – pyta Monty, któremu jakimś cudem udało się nie zamoczyć cygara podczas gry.

– Bo nie mam ochoty – odpowiada Malone.

Bo mam na sobie mikrofon.

– Nagle zacząłeś się wstydzić? – pyta Russo.

– No właśnie.

– Nie masz nic, czego byśmy wcześniej nie widzieli – mówi Russo. – Wskakuj do tego cholernego basenu.

On i Malone patrzą na siebie ponuro.

– Nie przyniosłem spodenek kąpielowych.

– Na imprezę przy basenie? – dziwi się Monty. – Nie przyniosłeś spodenek?

– Pożyczę ci spodenki – proponuje Russo. – Donna, przynieś Denny’emu spodenki!

Ale nie odrywa spojrzenia od Malone’a.

– Jezu, Phil – mówi Donna. – Przecież powiedział, że nie chce.

– Słyszałem, co powiedział. A ty słyszałaś, co ja powiedziałem? Idź do tego cholernego domu i przynieś mu te cholerne spodenki!

Donna wbiega do domu.

– Czy jest jakiś powód, dla którego nie chcesz się rozebrać, Denny? – pyta Monty.

– A co cię to obchodzi?

– Masz wejść do basenu – oświadcza Monty.

– Zmusisz mnie?

– Jeśli będzie trzeba.

– Pierdol się, Monty! – wybucha Malone. – Pierdol się, Phil!

– Jezu, Denny! – woła Sheila.  
– Ty też się pierdol!  
– Denny!  
– Pieprzę to wszystko! – wrzeszczy Malone. – Wynoszę się stąd.  
– Nigdzie nie pójdziesz – mówi Russo.  
Sheila łapie go za ramię.  
– Nie powinieneś teraz prowadzić.  
Malone wyrywa jej rękę.  
– Wszystko w porządku.  
– Akurat! – krzyczy za nim. – Jesteś durny! Skończony dureń!  
Pokazuje im środkowy palec i odchodzi.

Gdy Malone wyjeżdża z miasta drogą 95, Kendrick Lamar dudni z głośników.

O czym dudni?

O tym, że ma całe miasto przeciwko sobie.

O tym, że jeśli pewni faceci się dogadają, to nastąpi koniec.

Ofiarują mu kulkę, taki będzie ten koniec.

Oni wiedzą, myśli Malone.

Russo i Monty. Oni, kurwa, wiedzą.

Jezu Chryste.

Jedzie sto pięćdziesiąt na godzinę.

Przechodzi mu przez myśl, żeby się wbić w słup elektryczny. To byłoby takie łatwe. Śmiertelny wypadek po pijanemu, żadnych śladów. Nikt nigdy by nie udowodnił, że było inaczej. Wystarczy przycisnąć gaz do dechy, a nagranie przyjaciół spłonie razem z samochodem.

I razem z tobą.

Pogrzeb wikinga, od razu na miejscu wypadku.

Wszystkie problemy rozwiązane za jednym zamachem.

Rozsyp moje prochy na północnym Manhattanie.

To by ich wkurzyło. Wciąż bym tam był. Denny Malone unosiłby się w powietrzu razem ze śmieciami.

Wchodziłbym ludziom do oczu, do nosa.

Wciągaliby mnie jak kokę, jak herę.

Czarna irlandzka smoła.

Zrób to, mistrzu, nie bądź cipą. Przyciśnij gaz, a nie hamulec, skreć kierownicę w prawo i będzie po wszystkim.

Dla wszystkich.

Tak jak śpiewa Eminem.

O tym, że póki masz farta w grze, łap, co w łapy ci wpada.

A kiedy fart mówi „dobranoc”, pogódź się z tym, że to koniec.

Malone mocniej zaciska ręce na kierownicy.

Zrób to, kurwa.

Zrób to, skurwysyński donosicielu.

Judaszu.

Ostro szarpie kierownicę.

Camaro przelatuje przez cztery pasy. Dokoła rozlega się ryk klaksonów i pisk hamulców. Tuż za przednią szybą majaczą stalowe drążki znaku drogowego.

W ostatniej chwili omija je.

Camaro wpada w poślizg i obraca się o trzysta sześćdziesiąt stopni. Głowa Malone'a wiruje, przed oczami przelatuje mu panorama Manhattanu.

Potem samochód zwalnia i wyrównuje tempo. Malone przyciska gaz, wraca na pas i jedzie w stronę miasta.

Huczy w głowie.

Słyszy rap. Słyszy strzały.

Malone zrywa plaster z brzucha i rzuca dyktafon na stół.

– Macie i spierdalajcie. To jest krew moich partnerów.

– Jesteś pijany? – pyta O'Dell.

– Jestem nawalony piwem i deksedryną – odpowiada Malone. – Możecie to dopisać do listy oskarżeń. Zbierzcie, kurwa, co tylko się da.

– Po to przyjechałem z Hamptons, żeby słuchać tego gówna? – mówi Weintraub.

– Moi partnerzy wiedzą! – wrzeszczy Malone.

– Co wiedzą? – pyta O'Dell.

– Że donoszę.

Opowiada im o incydencie nad basenem.

– To wszystko? – pyta Weintraub. – Chodzi tylko o to, że nie chciałeś wejść do tego pieprzonego basenu?

– To policjanci – odpowiada Malone. – Urodzili się podejrzliwi. Wyczuwają winnego. Wiedzą.

– To nie ma znaczenia – stwierdza O'Dell. – Jeśli nagrałeś, co trzeba, to i tak jutro ich zdejmujemy.

Słuchają taśmy.

– *Są czarni. Dostaną stypendium.*

– *Mają już stypendium. Stypendium Peny.*

– *Stypendium Peny. Podoba mi się to.*

– *Musimy jakoś załatwić Castilla. Jeśli go dorwą, zanim my to zrobimy, to powie, że po nalocie na Penę brakowało pięćdziesięciu kilo heroiny.*

– *I myślisz, że mu uwierzą?*

– *A chcesz ryzykować? Piętnaście do trzydziestu lat w więzieniu federalnym? Musimy się tym zająć.*

– *Zacytuję nieśmiertelnego Tony'ego Soprano: niektórzy ludzie muszą odejść.*

– *Ja nie miałbym żadnego problemu z wpakowaniem dwóch kulek w głowę Castilla.*

– Będziesz musiał to potwierdzić w zeznaniach – mówi Weintraub.

– Wiem.

– Ale to jest dobre. Dobra robota, Malone.

Weintraub znów włącza taśmę.

– *Miewacie czasem wyrzuty sumienia?*

– *Z powodu Peny? Przez to, że odebrałem pieniądze temu mordercy dzieci i użyłem ich w dobrym celu? Żeby moje dzieci miały przyszłość? Żeby nie musiały przez całe życie dźwigać na grzbiecie garba kredytu? Wyjdą z college'u na czysto. Pieprzyć Penę, cieszę się, że to zrobiliśmy.*

– Zgadza się.

– No i to wszystko – mówi O'Dell.

– Przygotuję oskarżenia wobec Russa i Montague'a – oświadcza Weintraub.

– Widzę, że bardzo wam się z tym śpieszy – mówi Malone.

– Co ty sobie właściwie wyobrażasz, Malone, że kim jesteś? – mówi Weintraub. – Nie jesteś Serpico! Zgarniałeś obiema rękami wszystko, co tylko dało się zgarnąć. Spieprzaj.

– Ty też spieprzaj, pajacu!

– Chodźmy na spacer – mówi O'Dell. – Na świeże powietrze.

Zjeżdżają na dół służbową windą i wychodzą na Piątą Aleję.

– Wiesz, co ja myślę, Denny? Myślę, że czujesz się winny. Winny z powodu tego wszystkiego, co zrobiłeś, a teraz jeszcze przez to, że zdradzasz innych policjantów. Ale nie możesz grać na obie strony. Jeśli naprawdę żałujesz tego, co zrobiłeś, to pomożesz nam z tym skończyć.

– Czy ty, kurwa, jesteś moim spowiednikiem?

– Coś w tym rodzaju – odpowiada O'Dell. – Pomagam ci uporać się z emocjami i zobaczyć wszystko jasno.

– Mam już na sobie etykietkę kapusia – mówi Malone. – Jestem skończony. I tak już do niczego się wam nie przydam. Myślisz, że jakiś gliniarz zechce teraz ze mną rozmawiać? Albo jakikolwiek prawnik? – Zatrzymuje się i opiera o ścianę.

– Dokonałeś wielkiej rzeczy – mówi O'Dell. – Pomagasz nam oczyścić to miasto. Sądy, departament policji... Jesteśmy ci wdzięczni. Przestałeś chronić to bractwo, które osłania handlarzy narkotyków i które samo sprzedaje narkotyki, ale nic nie robi, żeby ocalić ludzi umierających z przedawkowania, dzieci, które giną w zaułkach albo umierają od...

– Zamknij się, kurwa.

– To miasto niedługo wybuchnie – mówi O'Dell. – I w dużej mierze przez brudnych policjantów, brutalnych policjantów, policjantów rasistów. Nie ma ich wielu, ale ich gówno rozpryskuje się na tych porządnym.

– Nie zniosę tego dłużej!

– To, czego nie możesz znieść, to wstyd, Denny – mówi O'Dell. – Nie chodzi o to, że donosisz na innych policjantów. Nie możesz znieść, że zdradziłeś siebie. Rozumiem cię. Obydwaj wychowaliśmy się w tym samym Kościele, uczono nas katechizmu. Nie jesteś złym człowiekiem, ale robiłeś złe rzeczy i jedyny sposób, żebyś znów mógł się poczuć dobrze, to wszystko ujawnić.

– Nie mogę.

– Z powodu twoich partnerów? – pyta O'Dell. – Myślisz, że gdyby oni znaleźli się na twoim miejscu, toby cię nie wydali?

– Nie znasz ich – mówi Malone. – Oni nie będą z tobą gadać.

– Może ty też ich nie znasz tak dobrze, jak sądziłeś?



– Ja ich nie znam? Każdego dnia oddaję swoje życie w ich ręce. Siedzę z nimi całymimi godzinami w zasadzkach, jem gówniane jedzenie, śpię obok nich na pryczach w szatni. Jestem ojcem chrzestnym ich dzieci, a oni są ojcami chrzestnymi moich. I sądzisz, że ich nie znam?! Jedno wiem na pewno: to najlepsi ludzie, jakich spotkałem w życiu. Lepsi ode mnie.

Odchodzi.

Jego telefon dzwoni.

To Russo.

Chce się spotkać.

## ROZDZIAŁ 30

Morningside Park.

Napięcie ściska pierś Malone'a jak drut kolczasty.

W każdym razie nie ma dyktafonu. O'Dell chciał, żeby wziął, ale Malone kazał mu się odpierdolić.

O'Dell nie chciał, żeby tam w ogóle szedł.

– Jeśli rzeczywiście cię podejrzewają, to mogą cię zabić.

– Nie zabiją mnie.

– Po co chcesz tam iść? – zapytał Weintraub. – Mamy już dość, żeby ich zgarnąć od razu, a ciebie obejmujemy programem.

– Nie możecie ich zaarrestować w domu – powiedział Malone. – Nie przy rodzinach.

– To może on pójdzie na to spotkanie i wtedy ich zgarniemy? – zaproponował Weintraub.

– To musiałyby mieć przy sobie mikrofon.

– Odpieprzcie się – rzekł Malone.

– Jeśli nie będziesz miał mikrofonu, to nie będziemy mogli cię asekurować – zauważył O'Dell.

– No i dobrze. Nie chcę asekuracji.

– Nie bądź durniem – stwierdził Weintraub.

Kiedy właśnie jestem, pomyślał Malone. Jestem durniem.

– I co im powiesz? – zapytał O'Dell.

– Prawdę – odrzekł Malone. – Powiem im prawdę o tym, co zrobiłem. Przynajmniej będą mogli przygotować rodziny. Możecie ich zaarrestować jutro.

– A jak uciekną?

– Nie uciekną. Nie zostawią żon i dzieci na lodzie.

– Jeśli uciekną, to przez ciebie – stwierdził O'Dell.

A teraz stoi w parku i patrzy, jak Russo i Monty zbliżają się od strony Morningside Avenue.

Twarz Russa jest wykrzywiona złością, Monty'ego nieruchoma, nieprzenikniona.

Twarze policjantów.

Są uzbrojeni po zęby. Malone dostrzega dodatkowe wybrzuszenie na biodrze Russa, widzi to po ruchach Monty'ego.

– Musimy cię obszukać, Denny – mówi Monty.

Malone podnosi ramiona do góry. Russo podchodzi do niego i szuka urządzenia.

Niczego nie znajduje.

– Wyrzeźwiałeś? – pyta.

– Wystarczająco.

– Jest coś, co chciałbyś nam powiedzieć? – odzywa się Monty.

Oni wiedzą. To są policjanci, jego bracia. Widzą na jego twarzy poczucie winy. Ale nie potrafi się zdobyć, by to powiedzieć.

– Na przykład co?

– Na przykład że zmusili cię do sypania – mówi Monty. – Złapali cię, zmusili do sypania i wydałeś nas.

Malone nie odpowiada.

– Jezu, Denny – mówi Russo. – W moim domu, przy rodzinach? Miałeś pieprzoną pluskwę w moim domu, gdy nasze żony rozmawiały ze sobą, a dzieci bawiły się w basenie?

– Jak się do ciebie dobrali? – pyta Monty.

Malone nie odpowiada. Nie jest w stanie.

– To nie ma znaczenia – mówi Monty.

Wyciąga trzydziestkęósemkę i mierzy w twarz Malone’a.

Malone nie sięga po broń, tylko na niego patrzy.

– Jeśli uważasz mnie za szczura, zrób to.

– Zrobię.

– Musimy mieć pewność – mówi Russo, niemal płacząc. – Musimy być pewni na sto procent.

– Czego jeszcze potrzebujesz? – pyta Monty.

– Żeby to powiedział. – Russo chwytą Malone’a za ramiona. – Denny, popatrz mi w oczy i powiedz, że to nieprawda. Uwierzę ci. Cholera, człowieku, proszę, powiedz, że to nieprawda.

Malone patrzy mu w oczy.

Żadne słowo nie wychodzi mu z ust.

– Denny, proszę – powtarza Russo. – Zrozumiem, jeśli... to mogłoby się zdarzyć każdemu z nas... tylko, kurwa, powiedz prawdę, to jakoś sobie z tym poradzimy.

– Jak sobie z tym poradzimy? – pyta Monty.

– On jest ojcem chrzestnym moich dzieci!

– On wpakuje ojca twoich dzieci do więzienia – mówi Monty. – Moich też. Chyba że zginie, wtedy nie będzie mógł potwierdzić nagrania ani zeznawać. Przykro mi, Denny, ale...

– Denny, powiedz mu, że się pomyliliśmy!

– On i tak będzie myślał swoje – mówi Malone.

Russo również wyciąga broń.

– Nie pozwolę ci tego zrobić.

– I co, będziemy teraz strzelać do siebie nawzajem? – mówi Malone. – Do tego już doszliśmy?

Dzwoni jego telefon.

– Odbierz, tylko powoli – mówi Monty.

Malone wyciąga telefon z kieszeni dżinsów.

– Daj na głośnik – mówi Monty.

Malone daje na głośnik.

To Henderson z Biura Spraw Wewnętrznych.

– Denny, pomyślałem, że powinienes się o tym dowiedzieć. Federalni właśnie przynieśli mi moją głowę na tacy.

– O czym ty, kurwa, mówisz?

– Fed, który nazywa się O'Dell, kazał mi się odzepić od Task Force. Powiedział, że mają tam swojego człowieka – mówi Henderson. – Denny, to Levin.

Malone czuje, że robi mu się niedobrze.

O'Dell, coś ty zrobił?

– Mówiłeś przecież, że Levin jest czysty.

– Pokazał mi raport – mówi Henderson. – Podpisany nazwiskiem Levina.

– W porządku. – Malone rozłącza się.

Russo siada na trawie.

– Jezu Chryste, o mało się nie pozabijaliśmy. Jezu, kurwa, Chryste, przepraszam cię, Denny.

Monty chowa trzydziestkęósemkę do kabury, ale robi to powoli.

Malone widzi, że Monty zastanawia się, rozgrywa w głowie partię szachów, przechodzi przez wszystkie ruchy. Henderson jest człowiekiem Denny'ego, a federalni pokazują dokumenty policjantom miejskim tylko wtedy, kiedy muszą.

Nie kupił tego.

Teraz dzwoni telefon Russa. Russo słucha przez chwilę, rozłącza się i mówi:

– O wilku, kurwa, mowa.

– Co?

– Levin – wyjaśnia Russo. – Zauważył Castilla.

Idą do radiowozu.

Monty świdruje wzrokiem Malone'a. Malone niemal czuje, jak kula z trzydziestkiósemki wbija się w tył jego głowy.

Stara szkoła.

Zasługuję na to, myśli. Kurwa, zasługuję.

Prawie tego chcę.

Zwalnia i zrównuje się z Montym.

– Naprawdę chciałeś mnie zastrzelić, Big?

– Nie wiem – mówi Monty. – Ale zapytam cię o jedno. Co ty byś zrobił, gdyby sytuacja była odwrotna?

– Nie wiem, czy mógłbym cię zastrzelić.

– Żaden z nas tego nie wie, dopóki nie przyjdzie co do czego – odpowiada Monty.

– Co zrobimy z Levinem? – pyta Russo. – Jeśli on współpracuje z federalnymi, to jesteśmy upieprzeni. Wsadzi nas wszystkich do więzienia.

– O czym ty mówisz? – pyta Malone.

– Że jeśli zrobimy nalot na Castilla, to dwie osoby nie wyjdą z tego żywe.

– Naloty na handlarzy narkotyków są niebezpieczne – mówi Malone.

– Masz z tym jakiś problem? – pyta Russo

Malone znów czuje mdłości. Co ten O'Dell, kurwa, zrobił? Chciał mnie chronić? Powiedz im, powiedz im teraz. Cztery sylaby: jestem szczurem.

Nie może się na to zdobyć.

Myślał, że będzie mógł.

Ale mówi tylko:

– Ruszmy się.

Może będę miał szczęście, myśli.

I zginę.

Budynek stoi przy Payson Avenue po przeciwnej stronie ulicy od Inwood Hill Park.

– Jesteś pewny? – pyta Malone.

– Widziałem, jak podjeżdżała tu furgonetka – mówi Levin. Głos ma napięty, podniecony. – Sami Trinitarianie. Wyciągali ze środka worki.

– I widziałeś Castilla – upewnia się Malone.

– Zostawili go tu i odjechali. Poszedł na trzecie piętro. Widziałem go tam, zanim zaciągnął żaluzje.

– Jesteś pewien? – powtarza Malone jeszcze raz. – Jesteś pewien, że to był on?

– Na sto procent.

– Ktoś jeszcze wchodził tam albo wychodził?

– Nikt.

A więc nie wiemy, ilu ludzi ma tam Castillo, myśli Malone. Może tylko tych dziesięciu, których Levin widział, a może jeszcze dwudziestu czeka w środku. Castillo tam jest. Sprawdza wszystko i przelicza, zanim wystawi towar na ulicę. Upewnia się, że nikt z jego ludzi niczego nie podprowadził.

Powinniśmy obserwować to miejsce, myśli Malone, wezwać Manhattan Północ, pozwolić, żeby Sykes ściągnął tu specjalną jednostkę SWAT. Tylko że nie możemy tego zrobić, bo to nie jest zwykły nalot. To jest egzekucja.

Wszyscy wiedzą, czym ryzykują, i wszyscy oprócz Levina wiedzą, dlaczego ryzykują.

Nikt nic nie mówi.

Panuje milcząca zgoda.

– Przygotujcie się – mówi Malone. – Kamizelki, broń automatyczna. Musimy tam wejść uzbrojeni po zęby.

– A nakaz? – pyta Levin.

Malone dostrzega spojrzenie Russa.

– Nakaz na podstawie strzałów. Widzieliśmy członków gangu, poszliśmy za nimi i usłyszeliśmy strzały. Nie mieliśmy czasu, żeby wezwać wsparcie. Czy ktoś ma z tym jakiś problem?

– Jeszcze im nie odpłaciliśmy za Billy’ego – mówi Russo, rozdając pistolety HK.

Levin spogląda na Malone’a, który dodaje:

– Aresztowania nie są tu naszym priorytetem.

Levin chwyta jego spojrzenie.

– Nie mam nic przeciwko temu.

– A jeśli w środku będzie pluton egzekucyjny? – pyta Malone. – Albo Biuro Spraw Wewnętrznych?

– W porządku.

– Tym razem zmienimy kolejność – mówi Russo. – Ja rozwalam drzwi, Levin wchodzi pierwszy, Malone drugi, zaraz za nim. Monty pilnuje drzwi.

Patrzy na Malone’a wzrokiem, który wyraźnie mówi, że nie należy mu się sprzeciwiać. Levin też patrzy na Malone’a. To Malone zawsze wchodził pierwszy.

– Levin, nie masz nic przeciwko temu? – pyta Malone.

– Moja kolej – odpowiada Levin.

– Chodźmy – mówi Malone.

Wypala dwa strzały w powietrze.

Monty podchodzi do drzwi i wpycha w szczelinę łom hydrauliczny. Levin wsuwa się obok niego, przyciska się do ściany i podnosi lufę HK wysoko, gotów do wejścia.

Zamek puszcza.

Drzwi otwierają się.



Russo wrzuca do środka granat hukowo-błyskowy.

Wnętrze rozświetla się upiornym blaskiem.

Levin liczy do trzech, wrzeszczy:

– Wchodzimy! – obraca się na pięcie i wpada w drzwi.

Kule przeszywają go od góry do dołu. Trafiają w nogi, w brzuch, w szyję, w głowę.

Jest martwy, zanim jeszcze upadnie.

Malone wpada za nim. Widzi Trinitarian w zielonych bandanach, przykucniętych za poręczą schodów. Mają kevlarowe kamizelki oraz bojowe hełmy z ciężkimi wizorami i noktowizorami.

Biegną w górę po schodach.

Malone rzuca się na plecy za ciałem Levina, przyciska guzik radia i wrzeszczy:

– Dziesięć-trzydzieści! Zginął policjant! Zginął policjant!

A potem wyciąga lufę HK nad piersią Levina i przyciska spust.

Odpowiada mu seria kul, które wbijają się w ciało Levina.

Russo stoi przy drzwiach i strzela z pistoletu maszynowego.

– Wypierdalaj stąd, Denny!

Malone przetacza się przez ciało Levina i strzela.

Potem podnosi się i wchodzi na schody.

– Denny, wracaj!

Russo jednak dołącza do niego. Monty też.

Malone słyszy za plecami dudnienie ich kroków na schodach.

Nigdy wcześniej nie musiał się martwić o tyły, bo wiedział, że Monty jest za nim.

A teraz martwi się o tyły, bo Monty jest za nim.

I Monty też martwi się o swoje tyły. Zastanawia się, czy Malone wbił mu nóż w plecy.

Słyszy nad głową szybkie kroki Trinitarian. Pieprzeni gówniarze są o wiele szybsi niż on. Biegają na trzecie piętro, żeby bronić heroiny i *jefe*. Ale to nie ma znaczenia, że są szybsi, bo i tak nie mają dokąd uciec. Mogą tylko wyjść na dach, a to jest śmiertelna pułapka.

Zatrzymują się jednak i strzelają.

Kule obijają się o ściany klatki schodowej jak w mechanicznym bilardzie, odbijają się od ścian i od poręczy.

Malone słyszy, jak Russo wrzeszczy:

– Moje oko!

Obraca się i widzi, że Russo przykucnął, zwinął się w kłębek i trzyma się za twarz. To był kawałek rdzy z poręczy. Monty przyciska go do podłogi, przechodzi nad nim i podchodzi wyżej, trzymając się ściany.

– Wszystko w porządku! – krzyczy Russo. – Ale schodźcie już!

Malone nie schodzi, tylko biegnie do drzwi trzeciego piętra, a Monty za nim z opuszczonym pistoletem.

Malone odsuwa się na bok.

Monty wykopuje drzwi. Malone wpada do środka, strzelając.

Słyszy krzyk jednego trafionego Trinitarianina. Kule siekają betonową podłogę, sypiąc iskrami. Odłamki betonu fruują w powietrzu.

Malone rzuca się na podłogę i przetacza na bok.

Spogląda w tył i widzi, że Monty podnosi trzydziestkęósemkę. Celuje w niego.

Malone czołga się do ściany tuż przy drzwiach i przyciska do niej plecami. Nie ma już dokąd uciec.

Podnosi HK w stronę Monty'ego.

Patrzają na siebie.

Monty strzela w drzwi.

Trinitarianin zwija się trafiony w podbrzusze pod kamizelką. Jego AK wypala w sufit. Monty powala go dwoma strzałami w nogi. Tamten składa się jak scyzoryk i pada na plecy.

Trinitarianie nie zamierzają się poddać. Wiedzą, że zabili policjanta i nie wyjdą stąd po prostu w kajdankach. Pozostało im dotrzeć do tylnych drzwi albo pozabijać resztę policjantów.

Malone wystawia pistolet za otwarte drzwi i strzela, a potem się kryje. Monty, korzystając z osłony ognia, przesuwa się na drugą stronę drzwi. Patrzy na Malone'a i jego spojrzenie mówi: teraz jesteśmy w tym razem. Potem ruchem głowy wskazuje na drzwi. Idź.

Malone wybiega za drzwi. Czuje grad mocnych uderzeń w żebra. Kule trafiają w kamizelkę i powalają go.

Zbliża się do niego Trinitarianin z wycelowanym glockiem.

Malone rzuca się naprzód, łapie go za nogi i powala na podłogę. Wyrzywa mu pistolet i raz za razem wali kolbą w głowę, aż ciało staje się bezwładne. Słyszy kolejny wybuch i ktoś pada na niego, przygniatając go. Spogląda w górę i widzi, że Monty opuszcza pistolet.

Monty patrzy na niego.

Zastanawia się, czy strzelić jeszcze raz.

Bratobójczy ogień. To się zdarza.

Ryk syren rozrywa noc. Za drzwiami pulsują światła. Malone spycha z siebie ciało.

Jakaś sylwetka odrywa się od podestu schodów przeciwpożarowych.

Monty wyskakuje za nią przez okno.

W pomieszczeniu nie ma żadnej heroiny ani liczarek do pieniędzy. I nie ma Castilla.

To była zasadzka.

Castillo zapewne wyszedł tylnymi drzwiami, zanim tu dotarliśmy, myśli Malone. Zauważył, że jest obserwowany, i zastawił na mnie pułapkę, wiedząc, że to ja zawsze pierwszy wchodzę przez drzwi.

Ta pierwsza seria była przeznaczona dla mnie.

Tymczasem trafiła w Levina.

Russo wtacza się do pokoju.

Na schodach dudnią kroki i Malone słyszy NYPD. Wpadają do korytarza i rozlegają się strzały.

– NYPD! – krzyczy Malone. – Jesteśmy policją!

Próbuje sobie przypomnieć hasło tego dnia.

– Czerwony! Czerwony! – krzyczy Russo.

Na zewnątrz słychać kolejne strzały.

Kule wbijają się w ściany nad nimi. To Task Force, Gallina i Tenelli. Wpadli z korytarza i strzelają przed siebie. Russo pada na podłogę i odpełza pod stół. Malone wciska się w kąt. Ściąga smycz z szyi i rzuca odznakę na podłogę w miejsce, gdzie jest dobrze widoczna.

– NYPD! Malone!

Tenelli widzi go, ale udaje, że nie widzi.

Strzela dwa razy. Malone zasłania twarz ramionami. Kula drasnęła go w głowę po lewej stronie.

– Kurwa, przestańcie! To ja, Russo! – rozlega się jego wrzask.

Kolejne kroki, kolejne głosy.

Mundurowi z Trzydziestego Drugiego krzyczą:

– Wstrzymać ogień! Wstrzymać ogień! To policja! Russo i Malone!

Tenelli opuszcza broń.

Malone podnosi się i podchodzi do niej.

– Ty pieprzona pizdo!

– Nie zauważyłam cię.

– Nie zauważyłaś mnie, kurwa!

Między nimi staje mundurowy.

– Gdzie jest, kurwa, Monty? – pyta Russo.

– Wybiegł na schody przeciwpożarowe.

Idą za nim.

Na ulicy panuje kurewski chaos. Podjeżdżają radiowozy, piszcą hamulce. Słychać krzyki. Ludzie biegają dokoła.

Monty leży na plecach na chodniku.

Z jego tętnicy szyjnej tryska krew.

Malone przykłęka przy nim i mocno uciska jego szyję, próbując powstrzymać krwotok.

– Nie umieraj, bracie, nie umieraj. Proszę, Big, nie umieraj mi tu.

Russo obraca się wokół własnej osi jak pijak. Płacze i trzyma się za głowę.

Radiowóz z Trzydziestego Drugiego podjeżdża z piskiem opon. Ze środka wyskakują mundurowi z wycelowaną bronią. Malone krzyczy:

– Jesteśmy z policji! Task Force! Policjant postrzelony! Ściągnijcie tu karetkę!

Słyszcy, jak jeden z mundurowych mówi:

– To ten pieprzony Malone? Może przyjechaliśmy za wcześnie.

– Wezwijcie busa! – wrzeszczy Russo. – Jeden policjant nie żyje, dwóch rannych, jeden w stanie krytycznym!

Podjeżdżają kolejne samochody, a potem w końcu karetka. Ratownicy odsuwają Malone'a na bok.

– Przeżyje? – pyta, podnosząc się. Cały jest pokryty krwią Monty'ego.

– Za wcześnie, żeby powiedzieć.

Jeden z ratowników podchodzi do Russa.

– Panu też trzeba pomóc.

Russo odsuwa go.

– Najpierw zajmijcie się Montague’em. Już.

Karetka odjeżdża.

Sierżant w mundurze podchodzi do Malone’a.

– Co tu się, kurwa, stało?

– W środku jest martwy policjant i pięciu martwych podejrzanych.

– Czy ktoś z tych bandytów przeżył?

– Nie wiem, może.

Z budynku wychodzi mundurowy.

– Trzech zginęło na miejscu. Dwóch się wykrwawia. Jeden dostał postrzał w udo, drugi ma wgniecioną czaszkę.

– Chcesz porozmawiać z tymi skurwysynami? – pyta sierżant Malone’a.

Malone potrząsa głową.

– Poczekaj dziesięć minut – mówi sierżant do mundurowego. – A potem zgłoś śmierć pięciu bandytów na miejscu. I ściągnij tu jeszcze jedną karetkę. Trzeba wynieść ciało tego policjanta.

Malone siada i opiera się o ścianę. Nagle czuje się zupełnie wyczerpany. Spadek adrenaliny wpycha go w czarną dziurę. Potem widzi Sykesa, który pochyla się nad nim.

– Co jest, kurwa, Malone? Coś ty, kurwa, zrobił?

Malone potrząsa głową.

Russo podchodzi do nich niezgrabnie.

– Denny?

– Tak?

– Wszystko się spierdoliło.

Malone podnosi się, bierze Russa za łokieć i prowadzi do samochodu.

Dzwonek u drzwi policjanta może dzwonić o czwartej rano tylko z jednego powodu. Yolanda o tym wie. Malone widzi to na jej twarzy

w chwili, gdy otwiera mu drzwi.

– Och, nie.

– Yolanda...

– O Boże, nie, Denny. Czy on...?

– Jest ranny – mówi Malone. – Poważnie.

Yolanda patrzy na jego koszulę. Zapomniał, że cała jest pokryta krwią Monty'ego. Yolanda tłumi płacz, przełyka go i unosi głowę wyżej.

– Poczekaj, włożę coś na siebie.

– Czeka na ciebie radiowóz – mówi Malone. – Muszę jechać, zawiadomić dziewczynę Levina.

– Levina?

– Zginął.

Za plecami Yolandy staje najstarszy syn Monty'ego.

Wygląda jak chuda wersja ojca.

Malone widzi w jego oczach lęk.

Yolanda odwraca się do niego.

– Tato jest ranny. Jadę do szpitala. Zaopiekuj się braćmi, dopóki nie przyjedzie babcia Janet. Zadzwoń do niej po drodze.

– Czy tato wyzdrowieje? – pyta chłopiec drżącym głosem.

– Jeszcze nie wiadomo – mówi Yolanda. – Na razie musimy być silni dla niego. Musimy się modlić i być silni, synku. – Znów patrzy ma Malone'a. – Dzięki, że przyjechałeś, Denny.

Malone jest w stanie tylko skinąć głową.

Gdyby się odezwał, wybuchnąłby płaczem, a Yolandzie tego nie potrzeba.

Amy sądzi, że to następny wieczór przy kręglach.

Podchodzi do drzwi wkurzona jak wszyscy diabli, a potem widzi, że Malone jest sam.

– Gdzie jest Dave?

– Amy...

– Gdzie on jest? Malone, do cholery, gdzie on jest?

– Odszedł, Amy.

– Odszedł? – W pierwszej chwili nie rozumie. – Dokąd?

– Była strzelanina. Dave został postrzelony... Nie przeżył, Amy. Bardzo mi przykro.

– Och.

Ilu ludziom musiał już mówić, że ci, których kochają, nie wrócą do domu? Niektórzy wtedy krzyczą albo mdleją, a inni przyjmują to tak jak ona. Jest ogłuszona.

– Och – powtarza.

– Zawiozę cię do szpitala – mówi Malone.

– Po co? – pyta Amy. – On nie żyje.

– Będą mu robić sekcję zwłok – mówi Malone. – To było zabójstwo.

– Rozumiem.

– Chcesz się szybko przebrać?

– Tak. Jasne. Dobrze.

– Zaczekam.

– Masz na sobie krew. Czy to...?

– Nie.

Może trochę. Ale tego nie ma zamiaru jej mówić.

Amy przebiera się szybko. Wychodzi w dzinsach i jasnoniebieskiej bluzie z kapturem.

W samochodzie mówi:

– Wiesz, dlaczego David przeniósł się do twojego oddziału?

– Chciał brać udział w akcjach.



– Chciał pracować z tobą – mówi Amy. – Byłeś jego idolem. Tylko o tobie przez cały czas mówił. Denny Malone to, Denny Malone tamto. Miałam już dosyć słuchania o tym. Wracił do domu i opowiadał o wszystkim, czego się nauczył, o wszystkim, czego ty go nauczyłeś.

– Za mało go nauczyłem.

– To była kwestia męskiej ambicji. Nie chciał, żeby ludzie traktowali go jak kolejnego żydowskiego chłopaka po college’u.

– Nikt tak nie myślał.

– Oczywiście, że wszyscy tak myśleli – mówi Amy. – Bardzo chciał być jednym z was. Prawdziwym policjantem. A teraz nie żyje. Taka strata. Ja byłam wystarczająco szczęśliwa z żydowskim chłopakiem po college’u.

– Amy, ty i Levin nie byliście małżeństwem – mówi Malone. – Więc nie dostaniesz po nim renty.

– Pracuję. Wystarczy mi.

– Departament wyprawi mu pogrzeb.

– Na razie nie będę zwracać uwagi na ironię tego stwierdzenia – mówi Amy. – Powiem jego rodzicom.

– Ja się z nimi skontaktuję.

– Nie, nie rób tego. Będą cię obwiniać.

– Ja sam się obwiniam.

– Nie szukaj u mnie współczucia – mówi Amy. – Bo ja też cię obwiniam.

Patrzy przez okno.

Na życie, jakie znała dotychczas.

W szpitalu panuje chaos.

Zwykle tak jest o tej porze, przed południem, w Harlemie.

Młoda portorykańska matka trzyma na rękach kaszlące dziecko. Stary bezdomny mężczyzna z opuchniętymi stopami owiniętymi bandażem kołysze się w przód i w tył. Młody psychotyk prowadzi ożywioną rozmowę

z ludźmi w swojej głowie. Są tu złamane ręce, skaleczenia, bóle brzucha, infekcje zatok, grypa, delirium tremens.

Donna Russo siedzi obok Yolandy Montague, trzymając ją za rękę. McGivern i Sykes stoją przy drzwiach, rozmawiając cicho. Mają o czym rozmawiać, myśli Malone. Jeden detektyw nie żyje, drugi na krawędzi, a zaledwie parę dni temu trzeci detektyw z tej samej jednostki popełnił samobójstwo.

Niecały rok temu jeszcze jeden, Billy O, zginął w podobnym nalocie. Dwóch mundurowych z Trzydziestego Drugiego stoi za nimi i blokuje drzwi przed atakiem hordy mediów z ulicy.

Na ulicy jest również więcej policji.

McGivern odrywa się od Sykesa i podchodzi do Malone'a.

– Można zamienić z tobą słowo, sierżancie?

Malone idzie za nim korytarzem. Sykes podąża za nimi.

– Jeden policjant nie żyje, drugi być może właśnie umiera. Pięciu martwych podejrzanych, wszyscy z mniejszości etnicznych. Żadnej asekuracji, żadnego wsparcia z jednostek ratowniczych, żadnego planu operacyjnego. Nawet nie zawracałeś sobie głowy, żeby zawiadomić swojego kapitana.

– Teraz? – pyta Malone. – Zacznie pan mnie rozliczać z tego teraz, gdy Monty tam leży?

– To przez ciebie tam leży, Malone. A Levin...

Malone rzuca się w jego stronę.

McGivern staje między nimi.

– Wystarczy! To wstyd!

Malone cofa się.

– Co się stało, Denny? – pyta McGivern. – W tym magazynie nie było żadnych narkotyków, tylko snajperzy przygotowani do walki.

– Dominikańscy chcieli się zemścić za Penę – mówi Malone. – Grozili Task Force. Szliśmy za nimi, ale to była zasadzka. Nie przewidziałem tego. To moja wina. To przeze mnie.

– Media już się rzuciły na tę sprawę – dodaje Sykes. – Już mówią o szybkostrzelnych kowbojach z policji, którzy wyrwali się spod kontroli. Już pytają, czy należałoby rozwiązać Task Force. Muszę im dać jakieś odpowiedzi.

McGivern prostuje się.

– Myśli pan, że wystarczy im rzucić Malone’a na żer, a oni się tym zadowolą? Jeśli tylko da pan im jakąś szczelinę, którą będą mogli się wśliznąć, to zjedzą nas wszystkich żywcem. Powiem panu, co trzeba im powiedzieć. Czterech nowojorskich policjantów, policjantów bohaterów, wciągnęło gang zabójców w desperacką wymianę ognia. Jeden z tych bohaterów zginął, oddał życie za to miasto, a następny walczy o życie. To są właściwe odpowiedzi, jedyne odpowiedzi, jakich pan udzieli. Rozumie mnie pan, kapitanie?

Sykes odchodzi. McGivern chce coś jeszcze powiedzieć, ale w holu powstaje zamieszanie. Przez tłum przepychają się komisarz policji, szef detektywów i burmistrz.

Kamery ożywają.

Malone widzi, że szef Neely jest w pełnym umundurowaniu. Widocznie zanim przybiegł tutaj, zdążył się przebrać.

Wyprzedza burmistrza i podchodzi do Yolandy pierwszy.

Pochyla się nad nią, zapewne wypowiadając jakieś słowa pociechy, przypuszcza Malone. Wszyscy jesteśmy z panią. Proszę być dobrej myśli. Trzydzieści osiem tysięcy pracowników naszego departamentu będzie szukać człowieka, który to zrobił pani mężowi, i znajdziemy go.

Neely zauważa Malone’a i podchodzi do niego.

Spogląda na McGiverna, który szybko się oddala.

– Sierzancie Malone – mówi Neely.

– Sir.

– Dopóki to wszystko nie ucichnie, będę cię wspierał, wychwalał przed prasą i osłaniał tyły w stu dziesięciu procentach. Ale to już twój koniec w tej robocie. Nie ma tu miejsca na takie kowbojskie wyczyny. Przez ciebie zginął dobry policjant, a może dwóch. Zrób coś dla siebie i wystąp o rentę z powodów zdrowotnych. Ja ci to podpiszę.

Klepie Malone'a po ramieniu i odchodzi.

Do poczekalni wchodzi lekarz w fartuchu, a za nim Claudette. Rozgląda się i zauważa Yolandę. Donna pomaga jej wstać. Obydwie podchodzą do lekarza. Malone i Russo zbliżają się na tyle, żeby słyszeć.

– Skończyliśmy operować pani męża – mówi lekarz.

– Bogu dzięki – mówi Yolanda.

– Zabraliśmy go na intensywną terapię. Dopływ krwi do mózgu był wstrzymany przez dość długi czas. Poza tym jeszcze jedna kula drasnęła kręgosłup szyjny i rdzeń kręgowy. W tej chwili raczej nie należy mieć zbyt wielkich oczekiwań.

Yolanda bezwładnie osuwa się w ramiona Donny.

Donna odprowadza ją na bok.

Lekarz wraca do sali operacyjnej.

Malone podchodzi do Claudette.

– Możesz to przetłumaczyć?

– Nie wygląda to dobrze. Ma poważnie uszkodzony mózg. Nawet jeśli przeżyje, to musicie się przygotować.

– Na co?

– Człowieka, którego znałeś, już nie ma – mówi Claudette. – Jeśli przeżyje, będzie funkcjonował na bardzo podstawowym poziomie.

– Chryste.

– Przykro mi – mówi Claudette. – I czuję się winna. Kiedy usłyszałam, że zginął policjant, myślałam, że to ty. A potem poczułam ulgę, że to nie ty.

Malone widzi, że Claudette jest czysta. W każdym razie nie jest naćpana heroiną.

Może od lekarza, który jest jej uległy, dostała coś, żeby mogła pracować.

Claudette ogląda się przez ramię i dostrzega zbliżającą się do nich Sheilę.

– Idź już – mówi.

Malone obraca się i również zauważa Sheilę. Podchodzi do niej. Sheila obejmuje go.

– Cały jestem zakrwawiony – mówi Malone.

– Wszystko jedno. Nic ci nie jest?

– Ze mną wszystko w porządku. Levin nie żyje, Monty jest w złym stanie.

– Przeżyje?

– Może byłoby lepiej, żeby nie przeżył.

Sheila dostrzega Claudette i od razu wie, kto to taki.

– To ona? Jest ładna, Denny. Rozumiem, co w niej widzisz.

– Nie tutaj, Sheilo.

– Nie martw się, nie zrobię sceny. Nie w obecności Yolandy. Wystarczy jej tego, przez co i tak musi przechodzić.

Podchodzi do Claudette.

– Jestem Sheila Malone.

– Domyśliłam się. Przykro mi z powodu pani przyjaciela.

– Chciałam pani tylko powiedzieć – mówi Sheila – że jeśli chce pani mojego męża, to proszę go sobie wziąć. Powodzenia, kotku.

Podchodzi do Yolandy i otacza ją ramieniem.

Inspektor policji, który jest irlandzkim katolikiem, niczego nie kocha bardziej niż śmierć i tragedia. McGivern w takich sprawach jest gorszy niż staruszki. Już kilka razy Malone, wchodząc do jego gabinetu, przyłapał go na czytaniu nekrologów.

Teraz znajduje McGiverna w szpitalnej kaplicy, gdzie siedzi, ściskając w palcach różaniec.

– Denny... Właśnie się modliłem.

Malone ścisza głos.

– Jeśli wydział zabójstw zacznie szukać motywów, jeśli przyczepią się do Castilla, to wszystko może się wydać.

– Co za wszystko? Co ma się wydać?

Nie udawaj, kurwa, niewiniątka, myśli Malone.

– Sprawa Peny.

– Ale ja nic o tym nie wiem.

– A jak ci się wydaje, skąd pochodzą twoje grube koperty? – mówi Malone. – Kupiliśmy na spółkę bilet na loterię i to jest twój udział w wygranej. Myślisz, że to tylko zbieg okoliczności, że po nalocie na Penę twoja miesięczna działka poszła w górę jak portfel dobrego gracza giełdowego?

– Nigdy nic mi nie wspominałeś o nalocie na Penę – odpowiada z napięciem. – Wiem tylko tyle, ile napisałeś w raporcie.

– Bo nie chciałeś wiedzieć.

– I nadal nie chcę. – McGivern podnosi się. – Przepraszam, sierżancie, ale muszę zajrzeć do ciężko rannego policjanta.

Malone nie wychodzi z ławki.

– Jeśli dopadną Castilla, to on może powiedzieć, ile kilo naprawdę było w tym pokoju. A to obciąży mnie i moich partnerów, włącznie z tym ciężko rannym policjantem, o którego tak się martwisz.

– Ale chyba zachowasz się honorowo, co? – mówi McGivern. – Znam cię, Denny. Wiem, że mężczyzna, którego wychował twój ojciec, nigdy nie donosiłby na brata policjanta.

– Mógłbym trafić do więzienia.

– Wtedy zajmiemy się twoją rodziną.

– Mafia też tak mówi.

– To co innego – odpowiada McGivern. – My naprawdę to robimy.

– Tak sobie myślę, że ty i mój ojciec siedzieliście w tych samych kieszeniach, co nie?

– Dbaliśmy o rodziny – mówi McGivern. – Tobie i twojemu bratu nigdy niczego nie brakowało. Twój ojciec o to się zatroszczył.

– Jaki ojciec, taki syn.

– Jesteś dla mnie jak syn, Denny. Twój ojciec, niech Bóg go błogosławi i zachowa jego duszę, kazał mi obiecać, że będę się tobą opiekował. Że pomogę ci w karierze i dopilnuję, żebyś postępował jak należy. I teraz postąpisz jak należy, prawda? Powiedz mi, że zrobisz, co trzeba.

– To znaczy, że będę trzymał gębę zamkniętą?

– Bo to właśnie należy zrobić.

Malone patrzy na jego twarz i dostrzega w niej lęk.

– W takim razie zrobię to, co trzeba, inspektorze.

Podnosi się i wychodzi z ławki.

McGivern wysuwa się do nawy, zwraca twarzą do ołtarza i robi znak krzyża, a potem spogląda na Malone'a.

– Dobry z ciebie chłopak, Denny.

No tak, myśli Malone.

Jestem twoim dobrym chłopakiem.

Nie robi znaku krzyża.

Po co?

Przenieśli Monty'ego na oddział intensywnej opieki.

Gdy Malone tam idzie, w korytarzu tuż przy pokoju Monty'ego pielęgniarka zastępuje mu drogę.

– Tylko najbliższa rodzina, sir.

– Jestem najbliższą rodziną – mówi Malone. Wymija ją i pokazuje odznakę. – Ale to dobrze, że pani tu jest.

Monty wciąż jest w śpiączce i nie reaguje. Przeszedł „zdarzenie wieńcowe”, ale udało się go ustabilizować. Po jaką cholere, myśli Malone, i natychmiast czuje się winny, bo pomyślał, że byłoby lepiej, gdyby pozwolili mu po prostu umrzeć.

Yolanda drzemie zwinięta na krześle. Urządzenia szumią i pikają. Monty ma rury w nosie, w ustach i w ramionach. Oczy ma zamknięte. Te części jego twarzy, które widać spod bandażu, są purpurowe i opuchnięte. Malone kładzie rękę na jego dłoni, pochyla się nad nim i szepcze:

– Big, tak mi przykro. Cholernie cię za wszystko przepraszam.

Tym razem nie potrafi powstrzymać łez. Spływają mu po twarzy, spadają na dłoń Monty'ego.

– Nie obwiniaj się, Denny. – Yolanda się obudziła. – To nie twoja wina.

– To ja dowodziłem. To była moja wina.

– Monty jest dorosłym człowiekiem. Wiedział, jakie jest ryzyko.

– Jest silny. Wyjdzie z tego.

– Nawet jeśli wyjdzie, to jako warzywo – mówi Yolanda. – Będę miała w domu zaślinionego męża na wózku. Jego ubezpieczenie nie pokryje wszystkich potrzeb, nie wspominając już o trzech synach. Nie wiem, co my zrobimy.

Malone spogląda na nią.

– Yolanda, czy Monty rozmawiał kiedyś z tobą o pieniądzach? – Nie bardzo rozumie, w czym rzecz, widać to w jej wzroku, dlatego Monty



precyzuje: – O dodatkowych pieniądzach?

– O tym, co zarabiał na fuchach? Tak, ale...

Cholera, myśli Malone, ona nic nie wie.

Pochyla się, otacza ją ramieniem i mówi cicho:

– Monty ma odłożone ponad milion dolarów. Część w gotówce, część zainwestowana. Nie mówił ci o tym?

– Zawsze myślałam, że żyjemy z jego pensji.

– Żyliście – potwierdza Malone. – Całą resztę chyba zaoszczędził.

– Gdzie...

– Nie musisz tego wiedzieć. Phil wie, gdzie te pieniądze są i jak się do nich dostać. Porozmawiaj z nim dzisiaj wieczorem, Yo. Koniecznie dzisiaj.

Yolanda patrzy mu w oczy.

– Ta robota nic nie zostawia człowiekowi, prawda?

Malone ściska jej dłoń i wychodzi.

Russo siedzi w korytarzyku przy wejściu na oddział intensywnej terapii i przerzuca stary egzemplarz *Sports Illustrated*.

– Musimy pogadać – mówi Malone.

– Okej.

– Nie tutaj. Na zewnątrz.

Idą do tylnego wyjścia ze szpitala, które znajduje się obok bramy dostawczej. Z pojemników wysypują się śmieci. Niedopałki wyznaczają na asfalcie półkola wokół miejsc, gdzie stali palacze odpalający papierosa od papierosa.

Malone siada na schodku i ukrywa głowę w dłoniach.

Russo opiera się o kontener na śmieci.

– Jezu Chryste, kto mógł wiedzieć, że coś takiego się zdarzy!

– My – odpowiada Malone.

– Nie zabiliśmy tego chłopaka i nie postrzeliliśmy Monty’ego – mówi Russo. – To nie my, tylko Dominikańczycy.

– Akurat – mówi Malone. – Przynajmniej ze sobą możemy być szczerzy. Wszystko zaczęło się pieprzyć od śmierci Billy’ego. Czasami wydaje mi się, że to kara boska za to, co zrobiliśmy. To wszystko skończy się dziś wieczorem.

– Jak to, kurwa? – oburza się Russo. – Nasz partner umiera tam w środku. Musimy odpowiedzieć.

– Już po wszystkim – powtarza Malone.

– Wydaje ci się, że to wszystko tak po prostu zniknie? Zasadzki, Biuro Spraw Wewnętrznych? To wszystko śmierdzi zabójstwem. Będą szukali motywu. Mogą się dokopać do tej całej historii z Peną.

– Jesteśmy skończeni – mówi Malone.

– Jedyne osoby, które mogą powiedzieć coś o Penie, są tu – mówi Russo.

– Dopóki będziemy się trzymać razem, nie mogą nas dotknąć. Teraz jesteśmy tylko we dwóch. I tyle.

Malone wybucha płaczem.

Russo podchodzi do niego i kładzie rękę na jego ramieniu.

– Wszystko w porządku, Denny. Wszystko w porządku.

– Nie jest w porządku. – Podnosi głowę i patrzy na Russa. Twarz ma czerwona, policzki zalane łzami. – To byłem ja, Phil.

– To nie twoja wina. To się mogło zdarzyć.

– Phil, to nie był Levin. To byłem ja.

Russo przez chwilę patrzy na niego bez wyrazu, a potem zaczyna rozumieć.

– O kurwa, Denny. – Siada obok niego. Przez dłuższą chwilę milczy zupełnie ogłuszony, jakby coś uderzyło go w głowę, a potem pyta: – Jak się do ciebie dobrali?

– Przez gównianą bzdurę. Piccone.

– Jezu Chryste, Denny. Nie mogłeś odsiedzieć czterech lat?

– Odsiedziałbym i nie mieszałbym was w to – mówi Malone. – Ale potem Savino zaczął sypać i federalni zaczęli grozić Sheili. Powiedzieli, że wsadzą ją za unikanie podatków i przyjmowanie skradzionej własności. Nie mogłem...

– A co z naszymi żonami? – pyta Russo. – Z naszymi rodzinami?

– Obiecali, że jeśli was wydam, to nie ruszą rodzin – odpowiada Malone.

Russo prostuje plecy i patrzy na niebo, a potem pyta:

– Co im powiedziałaś?

– Wszystko – przyznaje Malone. – Oprócz zamordowania Peny. To poszłoby na konto nas wszystkich jako nieumyślne zabicie przestępcy. Nagrałem was, kiedy rozmawialiśmy o tym nalocie i o pieniądzach.

– Więc co mnie czeka? Od dwudziestu do dożywocia? – mówi Russo. – A jaki ty masz z nimi układ? Co dostałeś za to, że nas sypnąłeś?

– Dwanaście lat – mówi Malone. – Konfiskata, kary pieniężne.

– Pierdol się, Denny – mówi Russo. – Kiedy mnie zgarną?

– Jutro. Miałem ci powiedzieć dopiero kilka minut wcześniej.

– To cholernie wielkoduszne z twojej strony.

– Możesz uciec – mówi Malone.

– Jak mam uciec? Mam rodzinę. Chryste, kiedy dzieci mnie zobaczą...

– Przepraszam – mówi Malone.

– To nie tylko twoja wina – przyznaje Russo. – Jesteśmy dorośli i wiedzieliśmy, co robimy. Wiedzieliśmy, co się może zdarzyć. Ale jak to się stało, że znaleźliśmy się w tym miejscu?

– Krok po kroku – mówi Malone. – Kiedyś byliśmy dobrymi glinami, a potem... sam nie wiem, ale doszło do tego, że wystawiliśmy pięćdziesiąt kilo hery na nasze ulice. Nie tak miało być. Miało być zupełnie odwrotnie.

To jest tak: zapalasz zapalnik i wydaje ci się, że nic złego się nie stanie, a potem zrywa się wiatr i z zapalnika powstaje pożar, który niszczy wszystko, co kochasz.

– Kochałem cię, Denny – mówi Russo, podnosząc się. – Jak brata.  
Kochałem cię jak brata.

Odchodzi, a Denny nadal siedzi na schodku.

## ROZDZIAŁ 31

Wchodzi frontowym wejściem do domu na Staten Island, który kiedyś był jego domem, i widzi O'Della, który stoi tam i czeka na niego.

– Co ty robisz w moim domu? – pyta.

– Pilnuję twojej rodziny. Właściwe pytanie brzmi, dlaczego ty tego nie robisz?

– Może słyszałeś, że paru moich braci zostało postrzelonych. Jeden nie żyje, a drugi też może umrzeć.

– Przykro mi.

– Tak? Masz w tym swój udział. To przez to, że przykleiłeś Levinowi etykietkę szczura.

– Próbowałem ratować ci tyłek.

– Próbowałeś ratować swoje dochodzenie.

– To nie ja kazałem mu przejść przez te drzwi, tylko ty – mówi O'Dell.

– Możesz sobie to powtarzać. – Przeciska się obok O'Della i wchodzi do kuchni.

Sheila siedzi przy blacie śniadaniowym ze spuszczoną głową.

Przy ścianie stoi dwóch federalnych w garniturach. Jeden wygląda na podwórze przez szybę w drzwiach kuchennych. Sheila płakała, oczy ma czerwone i zapuchnięte.

– Zostawcie nas na chwilę samych? – pyta Malone.

Agenci patrzą na siebie.

– Powtórzę to jeszcze raz, trochę inaczej – mówi Malone. – Dajcie nam, kurwa, pięć minut. Idźcie pomóc swojemu szefowi pilnować salonu.

Wychodzą z kuchni. Sheila podnosi głowę i patrzy na niego.

– Chcesz mi coś powiedzieć, Denny?

– Co słyszałaś?

– Nie graj ze mną w ten sposób! – krzyczy. – Nie jestem jakimś bandytą, nie jestem Biurem Spraw Wewnętrznych, tylko twoją żoną! Mam prawo wiedzieć.

– Gdzie dzieci? – pyta Malone.

– O cholera, a więc to prawda? Są u mojej matki. Co się stało, Denny? Masz kłopoty?

Malone chciałby skłamać i grać dalej, ale nie może tego zrobić. Sheila zna go za dobrze. Zawsze wiedziała, kiedy kłamał. Po części dlatego rozpadło się ich małżeństwo. Dlatego, że zawsze wiedziała, kiedy próbował ją okłamać.

Więc mówi jej.

Wszystko.

– Jezu, Denny.

– Wiem.

– Pójdiesz do więzienia?

– Tak.

– A co z nami? Ze mną i z dziećmi? Coś ty nam zrobił?

– Nie słyszałem wcześniej, żebyś się skarżyła na koperty. Nowe meble do salonu, rachunki z restauracji...

– Nie zwalaj tego na mnie! – krzyczy Sheila. – Jak śmiesz zwalać winę na mnie?

Nie, to moja wina, myśli Malone.

Ja sam nas w to wpakowałem, nikt inny.

– Mam odłożoną gotówkę w miejscu, gdzie federalni nie mogą się do niej dostać. Bez względu na to, co się stanie, ty będziesz miała zapewniony byt, a dzieci college.

Widzi, że Sheili wiruje w głowie, i nie dziwi jej się.

– Wydałeś im Phila? Monty’ego?

Bez słowa kiwa głową.

– Jezu, Denny. Jak ja mam teraz spojrzeć Donnie w oczy?

– Wszystko w porządku, Sheel.

– W porządku?! W domu są agenci federalni. Co oni tu robią?

Malone otacza ją ramieniem.

– Posłuchaj. Tylko się nie wystrasz, ale możliwe, że będziemy musieli przystąpić do programu.

– Ochrony świadków?

– Może.

– Co jest, kurwa, grane, Denny? – mówi Sheila. – Mamy zabrać dzieci ze szkoły i przenieść się gdzieś daleko od przyjaciół, od rodziny? Gdzie? Do Arizony? Mamy zostać kowbojami?

– Nie wiem. To może być sposób, żeby zacząć wszystko od początku.

– Ja nie chcę zaczynać wszystkiego od początku. Mam tu rodzinę. Rodziców, siostrę, braci.

– Wiem.

– I dzieci miałyby nigdy więcej nie zobaczyć kuzynów?

– Przejdźmy przez to krok po kroku, okej?

– A jaki jest następny krok?

– Ty i dzieci pojedziecie na wakacje. Już, teraz.

– Nie możemy ich zabrać ze szkoły.

– Możemy – mówi Malone. – I zabierzemy, jak tylko wrócą do domu. Jedźcie, nie wiem, do Poconos. Przecież zawsze chciałaś tam pojechać. Albo do tego miejsca w New Hampshire.

– Na jak długo?

– Nie wiem.

– O Boże.

– Musisz być silna, Sheel. Bardzo potrzebuję, żebyś teraz była silna. Musisz mi zaufać w tej sprawie. Zaufać, że wyprowadzę wszystko na prostą, że zrobię to dla rodziny. Spakuj najważniejsze rzeczy. Ja zbiorę rzeczy dzieci.

– Tylko tyle masz do powiedzenia?

– A co jeszcze mam powiedzieć?

– Nie wiem – mówi Sheila. – Przepraszam?

– Przepraszam cię, Sheilo. Nawet nie wiesz, jak bardzo jest mi przykro. Za parę dni federalni przywiozą mnie do was i...

– Nie, Denny.

– Co to znaczy: nie?

– Nie chcę już być z tobą – mówi Sheila. – I nie chcę, żebyś był przy dzieciach.

– Sheel...

– Nie, Denny – powtarza. – Używasz wielkich słów. Rodzina, braterstwo, lojalność, uczciwość. Uczciwość, Denny? Chcesz uczciwości? Jesteś pusty. Jesteś pustym człowiekiem. Wiem, że brałeś pieniądze. Wiem, że byłeś skorumpowany, ale nie wiedziałam, że jesteś zabójcą, i nie wiedziałam, że jesteś donosicielem. Ale tym właśnie jesteś. I nie chcę, żeby mój syn wyrósł na takiego człowieka jak jego ojciec.

– Chcesz mi odebrać dzieci?

– Ty już je opuściłeś – mówi Sheila. – Tak jak porzuciłeś wszystko inne w życiu. Dlaczego ja ci nie wystarczałam, Denny? Dlaczego my ci nie wystarczaliśmy? Wiedziałam, w co się pakuję. Kurczę, wyrosłam w takim układzie. Kiedy się wychodzi za policjanta, z góry wiadomo, że będzie nieobecny myślami, że może będzie za dużo pił, może od czasu do czasu zdarzy mu się jakaś przygoda na boku. Ale wraca do domu. Przychodzi do



domu i zostaje. Zgodziłam się na taki układ i myślałam, że ty też. Pożegnaj się z dziećmi. Jesteś im to winien. Jesteś im też winien to, żeby być daleko od nich i żeby o tobie zapomnieli.

Rozmowa z dziećmi jest trudna.

Jeszcze trudniejsza, niż sądził.

Kurczę, kiedy sam był chłopcem i jego ojciec obiecywał, że odbierze go ze szkoły, Malone sikał w majtki ze szczęścia, a John i Caitlin zawsze myśleli tylko o klasówkach, lekcjach tańca, małej lidze.

Wystraszyli się federalnych.

Teraz stoją w salonie i patrzą przez okno na agentów, których Malone prosił, żeby, na litość boską, poczekać na ulicy.

– Kto to jest, tatusiu? – pyta Caitlin.

– Przyjaciele z policji.

– To dlaczego jeszcze nigdy ich nie widzieliśmy?

– Bo są nowi.

– To dlaczego oni nas gdzieś zabierają?

– Bo ja muszę wracać do pracy – odpowiada Malone.

– Łapać bandytów – mówi John, ale tym razem w jego głosie nie słychać pewności.

– Dlaczego wujek Phil nie może nas tam zawieźć? – pyta Caitlin.

Malone obejmuje ich i przyciąga do siebie.

– Posłuchajcie. Zdradzę wam wielką tajemnicę. Umiecie dochować tajemnicy?

Z zadowoleniem kiwają głowami.

– Ja i wujek Phil pracujemy nad wielką sprawą – mówi Malone. – Ściśle tajną.

– Widziałem w telewizji – mówi John.

– Właśnie takimi rzeczami się zajmujemy. Widzicie, udajemy bandytów. Więc jeśli usłyszycie, jak ktoś mówi, że jesteśmy bandytami, to musicie udawać, że się z tym zgadzacie. Nic nikomu nie mówcie.

– Czy dlatego musimy się ukrywać? – pyta Caitlin.

– Właśnie tak – mówi Malone. – Żeby oszukać tych bandytów.

– A czy oni będą próbowali nas znaleźć? – pyta John.

– Nie, nie.

– To po co ci nowi policjanci jadą z nami?

– To część gry – mówi Malone. – Teraz uściśnijcie mnie mocno. Obiecujcie, że będziecie grzeczni i będziecie się troszczyć o mamę.

Ściskają go tak mocno, że zbiera mu się na płacz.

– Johnny – szepcze do ucha syna.

– Tak, tatusiu?

– Musisz mi coś obiecać.

– Dobrze.

– Chcę ci coś powiedzieć – mówi Malone, przetykając łyżę. – Jesteś dobrym chłopcem i będziesz dobrym człowiekiem, okej?

– Okej.

– Dobrze.

Wchodzi O'Dell i mówi, że muszą już jechać.

Malone całuje Sheilę w policzek.

To ze względu na dzieci.

Ona nie musi nic mówić.

Powiedziała już wszystko, co chciała.

Malone otwiera drzwi samochodu i pomaga jej wsiąść.

Patrzy, jak jego rodzina odjeżdża.

Donna Russo otwiera mu drzwi. Widać, że płakała.

– Idź stąd, Denny. Nie jesteś tu mile widziany.

– Przykro mi, Donno.

– Przykro ci? W Boże Narodzenie siedziałeś przy naszym stole! Czy już wtedy wiedziałeś? Siedziałeś z nami, wiedząc, że zniszczysz moją rodzinę?

– Nie.

– Po co tu przyszedłeś? – pyta Donna. – Żeby ci powiedziała, że rozumiem? Że ci wybaczam? Żebyś mógł się poczuć lepiej?

Nie, żebyś mógł się poczuć gorzej.

Słyszy wołanie Russa.

– To Denny? Wpuść go.

– Nie – mówi Donna. – Nie do tego domu. On nigdy więcej nie przestąpi progu tego domu.

Russo podchodzi do drzwi. Wygląda na to, że on też płakał.

– Sheila i dzieci pewnie są wstrząśnięci?

– Tak.

– Tak – powtarza Russo. – Oni jeszcze nie wiedzą, jak im się poszczęściło. To mój ostatni wieczór z rodziną, więc jeśli nie masz nic do powiedzenia...

– Chciałem tylko sprawdzić.

– Czy nie strzelę sobie w łeb? – mówi Russo. – Irlandczycy tak robią, nie Włosi. My, makaroniarze, myślimy o życiu, nie o umieraniu. Myślimy o tym, że musimy zrobić to, co musimy zrobić.

– Żałuję, że Monty nie wpakował mi kulki w łeb.

– Samobójstwo z rąk innego gliniarza? – pyta Russo. – To za łatwe, Denny, o wiele za łatwe. Jeśli nie masz jaj, żeby zrobić to samemu, to będziesz musiał żyć z tym, co zrobiłeś, z tym, że donosiłeś. A teraz, jeśli nie masz nic przeciwko temu, pójdę uściskać dzieci, dopóki jeszcze mogą.

Donna zamyka drzwi.

Claudette stoi w drzwiach mieszkania. Nie wpuszcza go do środka.

Jest czysta, znów jest czysta. Jej trzeźwość jest delikatna, krucha jak porcelanowa filiżanka, która może pęknąć od głośniejszego dźwięku.

– Wracaj do żony – mówi bez wrogości.

– Ona mnie nie chce – odpowiada Malone.

– Więc wróciłeś do mnie?

– Nie. Przyszedłem się pożegnać.

Claudette wydaje się zdziwiona, ale mówi:

– Tak chyba będzie najlepiej. Nie nadajemy się dla siebie, Denny. Zaczęłam chodzić na mityngi.

– To dobrze.

– Muszę być czysta – mówi. – Będę czysta. A nie mogę być czysta i kochać cię jednocześnie.

Ma rację. Malone wie, że ona ma rację.

Są jak dwoje tonących, którzy czepiają się siebie nawzajem, nie chcą puścić, i razem toną w mrocznej, zimnej toni ich połączonych smutków.

– Chciałem tylko, żebyś wiedziała – mówi Malone. – Nigdy nie byłeś po prostu jakąś dziwką, którą pieprzyłem. Kochałem cię. Nadal cię Kocham.

– Ja też cię Kocham.

– Jestem brudny – mówi Malone.

– Wielu policjantów...

– Nie. Jestem brudny – powtarza. Musi jej to powiedzieć. Czas już się oczyścić. – Wystawiłem heroinę na ulicę.

– Och – mówi Claudette.

Tylko tyle – „och” – ale ta jedna sylaba zawiera w sobie wszystko.

– Przykro mi – mówi Malone.

– I co teraz? Pójdiesz do więzienia?

– Zawarłem układ.

– Jaki układ?

Taki, który na zawsze postawi mnie po drugiej stronie. Taki, po którym nie będę mógł patrzeć na ciebie rano.

– Wyjeżdżam stąd.

– Jeden z tych programów? Tak jak w filmach?

– Coś w tym rodzaju.

– Skarbie, tak mi przykro.

– Mnie też.

Tak bardzo, bardzo mi przykro.

Ciężki worek podskakuje.

Podskakuje na łańcuchu i ponownie wraca na miejsce. Malone znów zamierza się lewą i uderza brutalnie w sam środek ciała.

Jeszcze raz, i jeszcze, i jeszcze.

Pot spływa mu po twarzy i spada na worek. Malone dokłada jeszcze prawy sierpowy, a potem lewy w wątrobę.

To przyjemne uczucie.

Przyjemnie jest ranić.

Pot, palenie w płucach, nawet otarte, posiniaczone kostki palców, gdy uderza nagimi pięściami w szorstki brezent upstrzony jego krwią. Wyładowuje się na worku. Wyładowuje się na sobie. Jedno i drugie zasługuje na ból, na cierpienie, na wściekłość.

Łapie oddech i znów zaczyna. Tym razem mocne uderzenia wymierzone są w O’Della, Weintrauba, Paz, Andersona, Chandlera, Savina, Castilla, Bruna, a przede wszystkim w Denny’ego Malone’a.

W sierżanta Denny’ego Malone’a.

Gliniarza bohatera.

Szczura.

Kończy mocnym ciosem w serce. Worek podskakuje, a potem opada na łańcuchu i kołysze się łagodnie, jakby był martwy, ale jeszcze o tym nie

wiedział.

## ROZDZIAŁ 32

Rankiem Malone idzie Broadwayem. Mija stragan z gazetami na rogu i widzi swoją twarz na okładce *New York Post* z wielkim nagłówkiem:

DWÓCH BOHATERÓW POSTRZELONYCH

Zdjęcie przedstawia Malone'a stojącego obok Russa i Monty'ego po nalocie na Penę.

Postać Monty'ego otoczona jest białym owalem jak aureolą.

*Daily News* krzyczy:

ZGINĄŁ POLICJANT Z ELITARNEJ JEDNOSTKI, DRUGI JEST RANNY

Tu jest nieco inne zdjęcie Malone'a, a także jego zdjęcie z nalotu na Penę z podpisem:

BRUDNY DENNY. CZY UWAŻAŁ SIĘ ZA SZCZĘŚCIARZA?

Na pierwszej stronie *New York Timesa* nie ma jego zdjęcia, ale jest nagłówek:

KRWAWA ŁAŹNIA. CZY JUŻ CZAS ZASTANOWIĆ SIĘ NAD LOSAMI ELITARNYCH JEDNOSTEK POLICJI?

Pod nagłówkiem Malone widzi nazwisko Marka Rubensteina. Zatrzymuje taksówkę i jedzie na komisariat Manhattan Północ.

Russo jest odstrzelony.

Wyprasowany garnitur od Armaniego, biała koszula z monogramem i spinkami, czerwony krawat Zegny, buty Magliego wypastowane do połysku. Jest lato, więc nie włożył staroświeckiego płaszcza, tylko przerzucił go przez ramię, przez co O'Dellowi niewygodnie jest zakuwać go w kajdanki. W każdym razie skuwa go od przodu, a nie za plecami.

Malone zakrywa kajdanki płaszczem. Pod komisariatem warują media – furgonetki telewizji, radio, dziennikarze prasowi z fotoreporterami.

– Musicie to robić? – pyta Malone O’Della. – Wyprowadzać go stąd jak przestępcę?

– To nie ja ich tu ściągnąłem.

– Ktoś to zrobił.

– Ale nie ja.

– I musicie to robić właśnie tutaj, w obecności innych policjantów?

– Wolałbyś, żebyśmy zrobili to w jego w domu, w obecności dzieci? – O’Dell wydaje się rozzłoszczony i spięty. Nic dziwnego. Wszyscy policjanci na komisariacie patrzą z wściekłością na niego i na pozostałych federalnych.

Na Malone’a też tak patrzą.

Mógł tu nie przychodzić. Tak mu radził O’Dell. Ale uznał, że powinien tu być.

Zasłużył, żeby tu być.

Żeby patrzeć, jak zakładają bransolety jego bratu.

Russo trzyma głowę wysoko uniesioną.

– Do widzenia, pieprzone osły – mówi. – Bawcie się dobrze, czekając na emeryturę.

Federalni wyprowadzają go. Malone wychodzi razem z nimi. Kamery szcękają jak pistolety maszynowe.

Reporterzy przepychają się do przodu, ale mundurowi nie pozwalają im podejść. Nie są w nastroju do żartów. Na widok innego policjanta wyprowadzanego w kajdankach robi im się niedobrze i zaczynają się bać.

Robią się źli.

Po postrzeleniu policjantów pełni złych intencji niebiescy falami weszli na osiedla.

Mundurowi unieruchomili system kamer w radiowozach i dopiero wtedy ruszyli do miasta.



Zgarniali każdego, na kogo wydany był nakaz, kto podczas zawieszenia nie stawił się w wyznaczonym terminie na komisariacie, kto miał mandat z powodu śmiecenia. Wystarczyło mieć przy sobie resztkę skręta z trawką, starą igłę, fajkę z odrobiną osadu, żeby zostać zaaresztowanym. Jeśli ktoś opierał się przed aresztem, odszczekiwał czy choćby krzywo spojrzął na gliniarza, dostawał ostry łomot i wrzucano go do samochodu z rękami skutymi na plecach. Ale nie przypinano go pasem, a potem kierowca na przemian naciskał gaz i hamulec, żeby twarz aresztowanego obijała się o przegrodę bezpieczeństwa.

Chłopaki z Trzydziestego Drugiego dwukrotnie przeszli przez osiedle St. Nick's, szukając broni, prochów, a przede wszystkim informacji, próbując znaleźć kogoś, kto zechciałby coś powiedzieć, dać im jakąś wskazówkę, sprzedać nazwisko.

Da Force, a w każdym razie to, co zostało z tych skurwysynów, szła tuż za nimi. Tym razem nie chodziło im o liczbę aresztów, tylko o zemstę. Jedyne sposoby, by się wywinąć, polegał na tym, żeby udzielić im informacji, a wtedy znajdowałeś się między młotem a kowadłem, między Da Force a DeVonem Carterem.

Rzecz w tym, że Da Force przychodzi i odchodzi.

A DeVon Carter zostaje.

Jeśli ktoś dostawał łomot, to dostawał go z ustami zaciśniętymi tak mocno, jakby były zadrutowane, i w gruncie rzeczy zanim Da Force i jej psy bez mundurów skończyły z tobą, miałeś wrażenie, że naprawdę są zadrutowane.

Ludzie w St. Nick's zastanawiali się, dlaczego całe to gówno spada na nich, skoro wszyscy wiedzą, że to Domosi zmasakrowali tamtych gliniarzy i że zdarzyło się to daleko, po drugiej stronie Harlemu.

Toteż gdy rozeszła się wiadomość, że gliniarz z Da Force ma wyjść w kajdankach, tłumek kibiców zebrał się na ulicy, pokrzykując i wiwatując.

Gdyby nie kamery, niewykluczone, że mundurowi rzuciliby się na nich i poprzestawialiby im buźki, pozamykali im te cholerne gęby.

Russo wsuwa się na tylne siedzenie czarnego samochodu.

Macha do Malone'a.

A potem odjeżdża.

Malone wraca na komisariat.

Paru policjantów spogląda na niego z ukosa. Nikt się do niego nie odzywa.

Oprócz Sykesa.

– Opróżnij swoją szafkę – mówi. – A potem przyjdź do mojego gabinetu.

Sierżant w recepcji wbija wzrok w biurko. Inni odwracają się plecami, gdy Malone przechodzi obok nich. Idzie do szatni Task Force. Są tam Gallina, Tenelli i Ortiz. Na ławkach siedzi kilku tajniaków i pieprzą o dupie Maryny.

Na widok Malone'a milkną.

Każdy znajduje jakiś powód, by patrzeć w podłogę.

Malone otwiera swoją szafkę.

Widzi zdechłego szczura.

Słyszy za plecami stłumione śmiechy i obraca się na pięcie. Gallina uśmiecha się szyderczo. Ortiz kaszle, zakrywając usta pięścią.

Tenelli tylko na niego patrzy.

– Kto to zrobił? – pyta Malone. – Który z was dupków?

– W tej szatni są szczury – mówi Ortiz. – Potrzebny jest eksterminator.

Malone łapie go za ubranie i rzuca na szafki po przeciwnej stronie.

– To ty, co? Ty jesteś tym eksterminatorem? Chcesz zacząć od razu?

– Zabieraj te ręce.

– Może chcesz coś jeszcze powiedzieć?

– Puść go, Malone – mówi Gallina.

– Nie mieszaj się w to. – Malone przybliżyła twarz do twarzy Ortiza. –  
Chcesz mi coś powiedzieć?

– Nie.

– Tak myślałem.

Puszcza Ortiza, zabiera rzeczy ze swojej szafki i wychodzi.

Za plecami słyszy śmiechy.

A potem słowa:

– Chodzący trup.

Sykes nie prosi go, żeby usiadł.

Mówi tylko:

– Połóż odznakę i broń na biurku.

Malone zdejmuje odznakę i kładzie ją na biurku, a potem kładzie  
służbową broń.

– Od zawsze chodziło mi po głowie, że jesteś brudnym gliniarzem –  
mówi Sykes. – Ale nie sądziłem, że legendarny Denny Malone jest też  
szczurem. Miałem do ciebie trochę szacunku, niezbyt wiele, ale jednak  
trochę, lecz to przeszłość, nie mam już ani odrobiny. Jesteś oszustem  
i tchórzem, brzydzę się tobą. Król północnego Manhattanu? Nie jesteś  
żadnym królem, wynoś się stąd. Nie mogę na ciebie patrzeć.

– Jeśli to pana pocieszy, ja też nie mogę.

– Nie pociesza mnie – mówi Sykes. – Mój następca już tu jedzie. Moja  
kariera jest zrujnowana. Odebrałeś mi ją. Tak samo jak odebrałeś reputację  
tysiącom przyzwoitych, uczciwych gliniarzy. Wiem, że zawarłeś układ, ale  
mam nadzieję, że i tak wsadzą cię do więzienia. I mam nadzieję, że tam  
zgnijesz.

– W więzieniu nie pożyję długo – mówi Malone.

– Och, zapewnią ci bezpieczeństwo – mówi Sykes. – Wpakują cię do Fort Dix i będą wyciągać stamtąd, żebyś zeznawał. Czeka cię trzy do czterech lat donoszenia na braci, zanim naprawdę cię zamkną. Nic ci nie będzie, Malone. Szczury zawsze sobie poradzą.

Malone wychodzi z gabinetu, a potem z komisariatu.

Odprowadzają go spojrzenia.

I milczenie.

McGivern czeka na niego na ulicy.

– Mnie też wydałeś? – pyta.

– Tak.

– Co wiedzą?

– Wszystko – mówi Malone. – Mają cię na taśmie.

– Twój ojciec wstydziłby się za ciebie – mówi McGivern. – Przewraca się w grobie.

Dochodzą do Ósmej Alei. Malone czeka na zmianę świateł. Zapala się zielone. Wchodzi na ulicę i słyszy za sobą McGiverna, który wykrzykuje:

– Pójdiesz do piekła, Malone! Pójdiesz do piekła!

Malone nie ma żadnych wątpliwości.

To czysty wsad.

Recepcjonistka pamięta go.

– Kiedy widziałam pana poprzednio, miał pan psa – mówi.

– Odszedł już na emeryturę.

– Pan Berger za chwilę z panem porozmawia. Może zechce pan usiąść?

Malone siada i przerzuca magazyn *GQ*, który wyjaśnia mu, co dobrze ubrany mężczyzna będzie nosił najbliższej jesieni. Po kilku minutach recepcjonistka prowadzi go do gabinetu Bergera.

Gabinet jest większy niż całe mieszkanie Malone'a. Stawia teczkę przy biurku Bergera. Adwokat będzie wiedział, co w niej jest.

– Napijesz się czegoś? Mam doskonałą brandy.

– Nie, dziękuję.

– Nie masz nic przeciwko temu, że ja sobie pozwolę? – mówi Berger. – Miałem męczący dzień. Zdaje się, że Russo jest już pod opieką federalnych.

– Zgadza się.

– A ty uznałeś, że koniecznie musisz przy tym być. – Berger nalewa sobie drinka z kryształowej karafki. – Powiedz mi, Malone, czy twój masochizm nie zna granic?

– Chyba nie.

– Słyszałem – mówi Berger – że jakieś dwie trzecie strażaków i policjantów, którzy tamtego dnia pobiegli do wież, przyjęło ostatnie namaszczenie. Ciekaw jestem, czy to prawda.

– Pewnie tak.

– Jeśli masz być świadkiem koronnym, to musisz być bardziej elokwentny. To znaczy...

– Wiem, co to znaczy.

– To już lepiej. – Berger wypija drinka jednym haustem. – Zagwarantowałem O'Dellowi, że przekażę cię do trzeciej. Mamy jeszcze dwie godziny. Czy są jakieś sprawy, którymi musisz się zająć? Potrzebujesz czegoś?

– Mam ze sobą szczotkę do zębów, ale jest pewna sprawa – mówi Malone. – Chodzi o pewną kobietę, nazywa się Debbie Phillips. Niedawno urodziła dziecko. To syn Billy'ego O'Neilla. Należy jej przekazać część tych pieniędzy, ale nie za dużo naraz. Wszystkie informacje są w środku. Czy możesz się tym zająć?

– Mogę – mówi Berger. – Coś jeszcze?

– To wszystko.

– No cóż. Nie ma lepszej chwili niż obecna.

Recepcjonistka wtyka głowę do środka.

– Prosił pan, żeby panu powiedzieć. Za chwilę podadzą wyniki dochodzenia w sprawie Bennetta.

Berger włącza telewizor na ścianie.

– Obejrzymy?

Na mównicy stoi prokurator federalny. Po obu stronach ma komisarza policji i szefa patroli.

– To był bardzo niefortunny wypadek – czyta do mikrofonu – ale fakty są jasne. Ofiara, czyli pan Bennett, nie wypełniła polecenia funkcjonariusza Hayesa, który zgodnie z prawem kazał się zatrzymać. Bennett odwrócił się i zaczął się zbliżać do Hayesa, jednocześnie wyjmując z kurtki coś, co wyglądało jak pistolet. Funkcjonariusz Hayes wystrzelił i śmiertelnie ranił pana Bennetta. Tragiczne jest to, że przedmiot uznany przez funkcjonariusza Hayesa za broń, okazał się telefonem komórkowym, ale funkcjonariusz Hayes działał zgodnie z prawem w granicach odpowiednich procedur. Gdyby pan Bennett usłuchał zgodnego z prawem rozkazu, ta tragedia by się nie wydarzyła. Z tego powodu wielka ława przysięgłych zdecydowała się nie wnosić żadnych oskarżeń wobec funkcjonariusza Hayesa.

– Prawnie w porządku – mówi Berger. – Ale politycznie to idiotyzm. Są zupełnie głusi na atmosferę. Getta zapłoną jeszcze przed zachodem słońca. Gotów jesteś iść?

Malone jest gotów.

Kierowca Bergera zabiera ich do siedziby FBI przy Federal Plaza 26. Kto by, kurwa, przewidział, myśli Malone, że pojedę do piekła w limuzynie z szoferem?

Budynek jest wieżą ze szkła i stali, zimną jak martwe serce. Przechodzą przez wykrywacze metalu i idą do gabinetu O'Della na trzynastym piętrze. Siadają na ławce w korytarzu i czekają.

Drzwi gabinetu otwierają się i wychodzi z nich Russo. Dostrzega Malone'a na ławce.

– Więc nie wpakowałeś sobie kulki w łeb – mówi.

– Nie. – Może powinienem to zrobić, myśli Malone.

Ale nie zrobił.

– W porządku – mówi Russo. – Zrobiłem to za ciebie.

– O czym ty, kurwa, mówisz, Phil?

– Mówiłem ci wczoraj wieczorem – odpowiada Russo – że zrobię to, co będę musiał.

Malone wciąż nie rozumie.

Russo pochyla się do niego i mówi prosto w twarz:

– Wydałeś mnie, żeby ratować własną rodzinę. Nie winię cię za to. Ja bym zrobił to samo. Więc właśnie to zrobiłem, Denny.

Wreszcie do niego dotarło. Russo miał tylko jedną kartę do zagrania i właśnie wyłożył ją na stół.

– Tak. Pena – mówi Russo. – Powiedziałem, że go zamordowałeś, że zabiłeś tego skurwysyna z zimną krwią. Teraz ja będę zeznawał. Zostanę pieprzoną gwiazdą, świadkiem na twoim procesie. Wyjdę wolno i będę sprzedawał aluminiowy siding w Utah, a ty dostaniesz dożywocie bez prawa łaski.

Jakiś federalny wychodzi z gabinetu, łapie Russa za przegub i odprowadza na bok.

– Nie mam do ciebie urazy, Denny – mówi Russo. – Każdy z nas zrobił to, co musiał zrobić.

O'Dell otwiera drzwi i gestem przywołuje Malone'a do środka.

– Nasza umowa jest nieważna – mówi. – Pański klient zostanie oskarżony o morderstwo pierwszego stopnia. Jego zeznania nie będą już potrzebne, bo w zupełności wystarczą nam zeznania Phila Russa. A sierżant Malone będzie musiał poszukać sobie nowego adwokata, bo pan nie będzie mógł już dłużej pełnić tej roli.

– Dlaczego?

– Pojawił się konflikt interesów – mówi Weintraub. – Wezwiemy pana jako świadka oskarżenia, żeby zeznał pan, że Malone żywił głęboką osobistą wrogość do Diego Peny.

O'Dell zakuwa Malone'a w kajdanki i prowadzi do celi aresztu metropolitalnego przy Park Row.

Drzwi zamykają się i tak po prostu Malone naraz znajduje się po ich drugiej stronie.

– Dlaczego musiałeś go zabić? – pyta O'Dell.



## ROZDZIAŁ 33

To Śmierdziel dał Malone'owi znać, że coś dziwnego dzieje się pod numerem 673 przy Zachodniej Sto Pięćdziesiątej Szóstej. To było jeszcze w początkach istnienia Task Force, parny sierpniowy wieczór, i kapuś nawet nie chciał za to zapłaty ani w gotówce, ani w heroinie. Wydawał się wstrząśnięty, gdy mówił:

– Słyszałem, że tam się stało coś złego, Malone. Naprawdę złego.

Oddział Malone'a poszedł sprawdzić.

W tej robocie przechodzi się przez mnóstwo drzwi. Prawie wszystkie są podobne do siebie i szybko się o nich zapomina. Ale tych drzwi Malone nie zapomni nigdy.

Cała rodzina nie żyła: ojciec, matka i troje małych dzieci w wieku od trzech do siedmiu lat – dwóch chłopców i dziewczynka. Dzieci zostały zabite strzałem w tył głowy. Dwoje dorosłych tak samo, choć najpierw porąbano ich maczetami. Krew tętnicza zapryskała wszystkie ściany.

Russo przeżegnał się.

Montague tylko patrzył. Zamordowane dzieci były czarne i Malone wiedział, że Montague myśli o własnych dzieciach.

Billy O rozplakał się.

Malone zgłosił pięć zabójstw – Afroamerykanie, dorosły mężczyzna, dorosła kobieta i troje nieletnich. I pośpieszcie się, kurwa. Minelli z oddziału zabójstw Task Force był na miejscu najwyżej po pięciu minutach, a zaraz za nim lekarz i technicy kryminalni.

– Jezu Chryste – powiedział Minelli, wpatrując się w mieszkanie. Potem otrząsnął się i dodał: – Dobra, dzięki. Dalej już my się tym zajmujemy.

– My tu zostaniemy – powiedział Malone. – To ma związek z narkotykami.

– Skąd wiesz?

– Ten dorosły mężczyzna to DeMarcus Cleveland – wyjaśnił Malone. – A to jego żona Janelle. Byli średniego szczebla handlarzami heroiną i pracowali dla DeVona Cartera. To nie był napad rabunkowy. Nic w mieszkaniu nie jest poprzewracane. Po prostu przyszli i wykonali egzekucję.

– Za co?

– Za handel na niewłaściwych rogach ulicy.

Minelli nie miał zamiaru kłócić się o granice kompetencji – nie w obliczu trojga zabitych dzieci. Nawet ekipa śledcza była wstrząśnięta. Nikt nie próbował żartować ani rozglądać się dokoła w poszukiwaniu czegoś, co dałoby się schować do kieszeni.

– Masz jakieś pojęcie, kto to zrobił? – zapytał Minelli.

– Mam. Diego Pena.

Pena był menedżerem średniego szczebla w nowojorskiej organizacji Dominikańczyków. Jego zadanie polegało na tym, żeby ustabilizować chaotyczny handel detaliczny w okolicy i podporządkować sobie czarnych handlarzy niskiego szczebla albo ich przepędzić. Krótko mówiąc, kupujesz od nas albo nie kupujesz w ogóle.

Malone przypuszczał, że Clevelandowie nie chcieli się podporządkować i płacić franczyzy. Słyszał któregoś wieczoru, jak DeMarcus Cleveland chwalił się swoim oporem na rogu ulicy:

– To jest nasza pieprzona okolica. Okolica Cartera. My jesteśmy czarni, nie jesteśmy Latynosami. Widzisz tu jakieś tacos? Ktoś tu tańczy merengue?

Na rogu rozległy się śmiechy, ale teraz już nikt się nie śmiał.

I nikt nic nie mówił.

Malone i jego oddział przeczesali budynek, ale nikt nic nie słyszał. I to nie było zwykłe „pieprzyć policję, bo i tak nic nie zrobią” ani gangsterskie „sami potrafimy zadbać o własne interesy”.

To był strach.

Malone rozumiał. Zabójstwo dilerów w sporze o strefy wpływów w tej okolicy jest po prostu codziennością. Ale zabijając dilerów i jego całą rodzinę włącznie z dziećmi, wysłała się przekaz do wszystkich mieszkańców.

*Pónganse a la cola.*

Wracaj do szeregu.

Malone jednak nie przyjmował odpowiedzi „nie wiem”.

Troje martwych dzieci zastrzelonych w łóżku. Rzuciła się na to z całą siłą Task Force. Nie chcesz być świadkiem? Świetnie, to możesz zostać oskarżonym. Jego oddział wziął w obroty wszystkich ćpunów, dilerów i alfonsów w całej okolicy. Zgarniali ludzi tylko za to, że stali na ulicy, snuli się, śmiecili albo krzywo na nich spojrzeli. Nic nie słyszałeś, nic nie widziałeś, nic nie wiesz? W porządku. Będziesz miał sporo czasu w Rikers, żeby się nad tym zastanowić. Może wtedy coś ci się przypomni.

Jego oddział zappełnił areszty w Trzydziestym Drugim, Trzydziestym Czwartym i Dwudziestym Piątym. Ich kapitanem był wówczas Art Fisher. Miał jaja, rozumiał ulicę i nie czepiał się niczego.

Ale Torres się czepiał. Pokłócili się o to kiedyś w szatni, gdy Torres zapytał:

– Po co tak się napinasz w tej sprawie? To przecież BOL.

Brak ofiar w ludziach.

– Troje martwych dzieci?

– Policz sobie – odrzekł Torres. – To oszczędziło miastu mniej więcej osiemnaścioro nieślubnych wnuków na zasiłkach.

Monty musiał ich rozdzielić.

Monty'ego nie da się obejść w razie sprzeczki. Powiedział do Torresa:

– Zamknij tę głupią gębę, bo jak nie, to przez miesiąc nie będziesz mógł nikomu zrobić laski. – A do Malone'a: – Dlaczego pozwalasz mu się sprowokować? – Miało to znaczyć: skoro ja nie reaguję, to dlaczego ty reagujesz?

W tej sprawie najbardziej zasłużył się Śmierdziel.

Gdy nie był naćpany, działał na ulicach jak gliniarz (Malone kilka razy musiał mu przypominać, że nie jest policjantem). Chodził swoimi drogami, ryzykował, zadawał pytania ludziom, których nie powinien o nic pytać. Z jakiegoś powodu ta sprawa go poruszyła. A Malone, który już dużo wcześniej uznał, że ćpuny nie mają duszy, musiał zmienić zdanie.

Ale nie znaleźli nic, czego można byłoby użyć przeciwko Penie.

Pena wciąż wyprowadzał na ulice heroinę, produkt z etykietką Dark Horse, i wszyscy za bardzo się go bali, żeby wchodzić mu w drogę.

– Musimy się do niego dostać bardziej bezpośrednio – powiedział Malone pewnego wieczoru, gdy siedzieli przy piwie na boiskach Carmansville.

– A może po prostu go zabić? – podsunął Monty.

– A warto siedzieć za niego? – odrzekł Malone.

– Może.

– Ty masz dzieci – powiedział Russo. – Rodzinę. Wszyscy mamy.

– Ale gdyby on pierwszy próbował nas zabić, to nie byłoby morderstwo – stwierdził Malone.

I tak ruszyła kampania Malone'a, która miała sprowokować Penę do próby zabicia policjanta.

Zaczęli od klubu w hiszpańskim Harlemie – bardzo miłego klubu z muzyką salsa. Pena miał w nim udział. Możliwe, że używał go do prania

pieniędzy. Zaczekali na piątkowy wieczór, kiedy w klubie był tłum, i wtargnęli do środka jak komandosi na cracku.

Ochroniarze przy drzwiach próbowali się stawiać, kiedy Malone i jego oddział bezceremonialnie ominęli kolejkę, pokazali odznaki i powiedzieli, że wchodzą.

– Macie nakaz?

– Kto ty jesteś, Johnnie Cochran? – odrzekł Malone. – Widziałem, jak przebiegał tędy facet z bronią. Może to nawet byłeś ty. Powiedz, to byłeś ty? Obróć się i załóż ręce za plecy.

– Chronią mnie prawa konstytucyjne!

Monty i Russo złapali go za koszulę na plecach i wrzucili do środka przez wielkie okno. Jakaś kobieta nagrała to telefonem i podniosła go wysoko.

– Mam tu wszystko, co zrobiliście!

Malone podszedł do niej, wytrącił jej telefon z ręki i rozgniół podeszwą martensa.

– Czy ktoś jeszcze uważa, że jego konstytucyjne prawa zostały pogwałcone? Chciałbym o tym wiedzieć, żebyśmy mogli od razu zaradzić tej sytuacji.

Nikt się nie odezwał. Większość ludzi wbijała wzrok w chodnik.

– A teraz wynoście się stąd, dopóki jeszcze możecie.

Weszli do klubu i rozwalili wszystko w drzazgi. Monty rozbijał szklane stoliki i krzesła aluminiowym bejsbolowym kijem, Russo kopał w głośniki. Goście na łeb na szyję schodzili im z drogi. Gdy zaczęli rzucać broń na podłogę, brzmiało to jak ulewa dudniąca o blaszany dach.

Malone wszedł za bar i jednym ruchem ramienia zrzucił wszystkie butelki z półki, a potem powiedział barmance:

– Otwórz kasę.

– Nie wiem, czy...

– Widziałem, jak chowałaś tam kokainę. Otwieraj.

Otworzyła. Malone wyjął garść banknotów i rozrzucił je po barze jak suche liście. Wielki facet w drogiej jedwabnej koszuli podskoczył do niego.

– Nie możesz...

Malone złapał go za kark i uderzył jego twarzą w bar.

– Może powiesz mi jeszcze raz, czego nie mogę robić? Jesteś tu menedżerem?

– Tak.

Malone wepchnął mu do ust garść banknotów.

– Zjedz to. No już, *jefe*, zjedz. Nie? To może będziesz trzymał tę pieprzoną gębę zamkniętą, chyba że chcesz mi powiedzieć, gdzie jest Pena. Jest tutaj? Na zapleczu?

– Wszedł.

– Wszedł – powtórzył Malone. – Jeśli pójde do sali VIP-ów i zobaczę go, to obydwaj będziemy mieli problem. To znaczy ty będziesz miał problem, bo ja po prostu odtączę „Riverdance” na twojej twarzy.

– Zgarnijcie wszystkich! – zawołał, wchodząc na schody. – Wezwijcie mundurowych i powiedzcie, żeby przyprowadzili busa! Niech biorą wszystkich!

Poszedł na górę do sali VIP-ów. Ochroniarz przy drzwiach nie był pewny, co zrobić, więc Malone pomógł mu podjąć decyzję:

– Jestem VIP-em. W tej chwili jestem najważniejszą osobą w twoim świecie, bo to ja decyduję, czy trafisz do klatki z ekipą *mallates*, którzy nienawidzą Latynosów, więc przepuść mnie.

Facet go przepuścił.

W sali bankietowej siedziało czterech mężczyzn w towarzystwie kobiet, fantastycznych Latynosek w pełnym makijażu, z burzą włosów

i w pięknych, drogich krótkich sukienkach.

U stóp mężczyzn na podłodze leżała broń.

To byli dobrze ubrani goście dużego kalibru, bardzo spokojni, zdystansowani i aroganccy. Malone wiedział, że to muszą być ludzie Peny.

– Wychodźcie z za stołu i połóżcie się na podłodze – rozkazał.

– Co ty tu właściwie robisz? – zapytał jeden z mężczyzn. – Tracisz nasz czas i swój. Te wasze naloty są nielegalne.

Drugi sięgnął po telefon i wyciągnął go w stronę Malone'a.

– Hej, Ken Burns – powiedział Malone. – Możesz tym nagrać najwyżej własną kolonoskopię. – „Ken Burns” odłożył telefon. – Na podłogę – rozkazał Malone. – Kłąć się. Wszyscy.

Wysunęli się z przegródki, ale kobiety nie miały ochoty się kłąć, bo spódnice podjeżdżały im za wysoko.

– To brak szacunku wobec naszych kobiet – stwierdził ten pierwszy.

– No tak, bo one ogromnie się szanują. To takie same kawałki gówna jak ty – odrzekł Malone. – Drogie panie, czy wiecie, że wasi przyjaciele zabijają małe dzieci? Trzyletnie? W ich własnych łóżkach? Tak, z całą pewnością uważam, że powinnyście za nich wyjść. Tylko że na pewno są już żonaci.

– Zachowuj się przyzwoicie – powiedział ten pierwszy.

– Jeśli jeszcze raz otworzysz gębę – ostrzegł go Malone – to przyprowadzę policjantkę, żeby przeszukała otwory w ciele waszych pań. A kiedy ona będzie to robić, ja skopię wam mózgi na miazgę.

Ten pierwszy zaczął coś mówić, ale zastanowił się i zamknął usta.

Malone przykucnął i powiedział cicho:

– Kiedy wyjdziecie za kaucją, biegnijcie szybko powiedzieć Penie, że sierżant Denny Malone ze Specjalnej Jednostki Manhattan Północ rozwali

wszystkie jego kluby, zrobi naloty na dilerów, przesłucha klientów, a potem zabierze się do sprawy poważniej. Rozumiesz mnie? Możesz się odezwać.

– Rozumiem.

– To dobrze. Potem zadzwoń do swoich szefów na Dominikanie i powiedz im, że to się nie skończy. Powiedz im, że Pena spieprzył sprawę i że detektyw sierżant Denny Malone ze Specjalnej Jednostki Manhattan Północ będzie pompował ich Dark Horse do kanałów, dopóki Pena chodzi na dwóch nogach po Nowym Jorku. Powiedz im, że to nie oni rządzą w tej okolicy, tylko ja.

Kiedy Malone zszedł na dół, mundurowi już tam byli. Zakuwali ludzi w kajdanki, odbierali im fiolki z koką, tabletki, broń.

– Bierzcie wszystkich – powiedział Malone sierżantowi w mundurze. – Posiadanie broni palnej, kokainy, ecstasy. Zdaje się, że mamy tu też trochę heroiny.

– Denny, wiesz chyba, że te oskarżenia się nie utrzymają – powiedział sierżant.

– Wiem. – Malone odwrócił się do tłumu i wykrzyknął: – Nie wracajcie do tego klubu, bo tak będzie za każdym razem!

Gdy cały oddział wychodził z klubu, Malone zawołał jeszcze na pożegnanie:

– Niech Da Force będzie z wami!

Ówczesny kapitan Art Fisher nie był mięczakiem i wziął wszystko na klatę.

Prokuratorzy federalni pchali się do jego gabinetu, krzycząc, że nie mogą ani nie chcą zrobić z tego ani jednej sprawy. Że cały ten nalot odbył się z pogwałceniem zasady Mappa, że jest to pierwszorzędny przykład złej taktyki policyjnej, która przekracza granice brutalności.



Gdy Fisher zgasił ich („Boicie się, że jakaś *chiquita* zaskarży was z powodu iPhone’a?”), prokuratorzy zwrócili się do bezpośredniego przełożonego, którym w tamtych czasach była Mary Hinman. Niewiele im z tego przyszło.

– Jeśli nie chcecie brać tych spraw, to ich nie bierzcie – powiedziała. – Ale nie lamentujcie jak płaczki. Wyhodujcie sobie jaja i zapnijcie pasy, bo dalej będzie jeszcze gorzej.

– Więc mamy po prostu pozwolić, żeby Denny Malone i jego jaskiniowcy sunęli przez cały północny Manhattan jak czołg? – zapytał któryś.

Hinman nawet nie podniosła wzroku znad papierów.

– Jeszcze tu jesteście? Myślałam, że wyszliście, kiedy kazałam wam wracać do roboty. Ale jeśli nie chcecie tej pracy...

Biuro Spraw Wewnętrznych też wzięło nieśmiały zamach, bo zbierali opinie od skarżących się obywateli i Biura Skarg Obywatelskich. McGivern położył temu kres. Wyciągnął z biurka zdjęcie z dochodzenia przedstawiające troje dzieci zabitych strzałem w głowę i zapytał, czy chcą to zobaczyć na pierwszej stronie *Post* z nagłówkiem:

BIURO SPRAW WEWNĘTRZNYCH BLOKUJE DOCHODZENIE W SPRAWIE ZABÓJCZY  
DZIECI

Nie, nie chcieli tego.

To wszystko zdarzyło się jeszcze przed Fergusonem, przed Baltimore i przed pozostałymi zabójstwami. I choć latynoska społeczność czuła się urażona nalotem na nocny klub, nie miała problemu z zabójcami niemowląt, podobnie jak czarna społeczność.

Malone nie odpuszczał.

Jego oddział trzepał sklepy spożywcze, magazyny, domy, gdzie przechowywano pieniądze, kluby i rogi ulic. Po ulicy rozniosło się, że jeśli bierze się lub sprzedaje co innego niż Dark Horse, policja będzie na to

patrzeć przez palce, ale jeśli masz towar od Diega Peny, Da Force pójdzie z tobą na zderzenie czołowe i załatwi sprawę na czysto.

A oni nie mieli zamiaru przestawać, dopóki ktoś nie da im czegoś, czego mogliby użyć przeciwko Penie.

Malone przeniósł te działania na zupełnie inny poziom, łamiąc niepisane zasady rządzące stosunkami policji i gangsterów. Diler postrzelony podczas trzeciego z rzędu nalotu powiedział im, gdzie naprawdę mieszka Pena. Malone znalazł go w Riverdale i zastawił pułapkę.

Widział, jak żona Peny odwozi ich dwoje dzieci do bardzo snobistycznej prywatnej szkoły. Któregoś dnia, gdy wysiadła z samochodu i szła do domu, zbliżył się do niej i powiedział:

– Ma pani ładne dzieci, pani Pena. Czy wie pani, że pani mąż kazał mordować całe rodziny innych ludzi? Miłego dnia.

Wrócił na komisariat i po niecałych dziesięciu minutach sekretarka powiedziała mu, że ktoś na dole pyta o sierżanta Malone'a.

Podawała mu wizytówkę:

*Gerard Berger, adwokat*

Malone zszedł na dół i zobaczył elegancko ubranego mężczyznę, który musiał być adwokatem Gerardem Bergerem.

– Sierżant Malone.

– Gerard Berger. Reprezentuję Diego Penę. Czy jest tu jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy porozmawiać?

– A dlaczego nie tutaj?

– Chciałem tylko oszczędzić panu potencjalnego zażenowania w obliczu pańskich kolegów.

Zażenowania, pomyślał Malone, w obliczu tych facetów? Widział już, jak niektórzy z nich stawiali zakłady, kto najdalej wytryśnie.

– Nie, wszystko w porządku – powiedział. – Dlaczego Pena potrzebuje przedstawiciela? Czy został o coś oskarżony?

– Wie pan, że nie – odrzekł Berger. – Pan Pena uważa, że jest nękanym przez NYPD, a szczególnie przez pana, sierżancie Malone.

– Ojej, to okropne.

– Może pan sobie żartować – powiedział Berger. – Zobaczymy, jak się pan będzie śmiał, gdy pana zaskarżymy.

– Proszę mnie zaskarżyć. Nie mam żadnych pieniędzy.

– Ma pan dom na Staten Island – rzekł Berger. – I rodzinę, o którą musi pan zadbać.

– Proszę sobie nie wycierać gęby moją rodziną, panie mecenasie.

– Mój klient daje panu szansę, sierżancie. Proszę go zostawić w spokoju. W innym wypadku wniesiemy cywilne oskarżenie i oficjalną skargę do departamentu. Odbiorę panu odznakę.

– Kiedy już będzie pan miał ją w ręku, proszę ją sobie wsadzić w dupę.

– Sierżancie, znaczy pan dla mnie mniej niż psie gówno pod moim butem.

– Czy to wszystko?

– Na razie tak.

Malone wrócił do biurka. Cały oddział już słyszał, że niesławny Gerard Berger złożył im wizytę.

– Czego chciał ten kutas? – zapytał Russo.

– Wygłosił do mnie mowę typu „już-nigdy-więcej-nie-znajdziesz-pracy-w-tym-mieście” – odparł Malone. – Kazał mi się odczepić od Peny.

– Masz taki zamiar?

– Oczywiście.

To, co Malone zrobił potem, na zawsze przeszło do legend jednostki Manhattan Północ jako „pieskie popołudnie”.

Spotkał się z Grosskopfem z oddziału K-9 i poprosił o wypożyczenie Wolfiego, olbrzymiego owczarka alzackiego, który od lat terroryzował Harlem.

– Co masz zamiar z nim zrobić? – spytał Grosskopf.

Kochał Wolfiego.

– Wezmę go na przejażdżkę – odrzekł Malone.

Grosskopf zgodził się, bo powiedzenie „nie” Denny’emu Malone’owi było bardzo trudne, nie wspominając już o tym, że również ryzykowne.

Malone i Russo wsadzili Wolfiego na tylne siedzenie samochodu Russa i podjechali do ciężarówki z jedzeniem przy Wschodniej Sto Siedemnastej. Tak naprawdę ciężarówka nazywała się Paco’s Tacos, ale powszechnie znano ją jako Laxatruck. Tam Malone nakarmił Wolfiego trzema enchiladami z kurczaka z zielonym chili, pięcioma tacos wypełnionymi tajemniczym mięsem oraz olbrzymim burrito, znanym pod nazwą Wymiatacz Jelit.

Wolfie, na co dzień trzymany na bardzo ścisłej diecie, był zachwycony i wdzięczny, i natychmiast obdarzył Malone’a żarliwym uczuciem. Wylizał go entuzjastycznie i wsiadł do samochodu, machając radośnie ogonem i niecierpliwie wyczekując kolejnej gastronomicznej niespodzianki.

– Ile czasu trzeba, żeby tam dojechać? – zapytał Malone.

– Jeśli nie będzie korków, to dwadzieścia minut.

– Myślisz, że zdążymy?

– Powinniśmy.

Droga zajęła im dwadzieścia dwie minuty. W tym czasie radość Wolfiego zmieniła się w wyraźny niepokój. Tłuste jedzenie zaczęło robić swoje w jelitach i domagało się wyjścia na zewnątrz. Wolfie popiskiwał, dając sygnały, które Grosskopf natychmiast odczytałby jako potrzebę wyjścia na zewnątrz.

– Wytrzymaj, Wolfie – powiedział Malone, drapiąc się po głowie. – Niedługo dojedziemy.

– Jeśli ten pies zesra się w moim samochodzie...

– Nie zrobi tego – powiedział Malone. – To reproduktor.

Wolfie kręcił się nerwowo i gdy dotarli na miejsce, natychmiast pobiegł w stronę skrawka trawy przy biurowcu, ale Malone i Russo zabrali go do środka, do windy, i zawieźli na szesnaste piętro.

Recepcjonistka Bergera, olśniewającej urody kobieta, z którą Berger zapewne sypiał, powiedziała:

– Nie może pan wejść tu z psem, sir.

– To pies przewodnik – powiedział Russo, wpatrując się w jej cycki. – Jestem niewidomy.

– Czy jest pan umówiony z panem Bergerem?

– Nie.

– Co jest temu psu?

Odpowiedź w następnej chwili stała się zbędna.

Wolfie zapiszczał, obrócił się wokół własnej osi i wypuścił apokaliptyczny strumień parującego, przesyconego chili psiego gówna na ręcznie tkany dywan Gerarda Bergera, zresztą niegdyś biały.

– Oj – powiedział Malone i wyszedł, słysząc za plecami dźwięki wydawane przez wymiotującą recepcjonistkę. Poklepał po łbie Wolfiego, który najwyraźniej czuł jednocześnie wstyd i ulgę.

– Dobry piesek, dobry Wolfie.

Potem zabrali Wolfiego z powrotem na komisariat.

Nowiny dotarły tam wcześniej niż oni sami. Powitała ich owacja na stojąco. Wolfiego zasypała lawina maskotek, uścisków, pocałunków oraz pudełko ciasteczek w kształcie kości przewiązanych niebieską wstążką.

– Kapitan powiedział, że chce się z wami widzieć, jak tylko wrócicie – poinformował ich sierżant w recepcji.

Odprowadzili Wolfiego do wściekłego Grosskopfa i weszli do gabinetu Fishera.

– Zapytam tylko raz – usłyszeli. – Czy zabraliście psa policyjnego, żeby obsrał cały gabinet Gerarda Bergera?

– A czy ja mógłbym zrobić coś takiego? – zdziwił się Malone.

– Wynoście się. Jestem zajęty.

I rzeczywiście był zajęty. Telefon się urywał. Wszystkie komisariaty w całym Nowym Jorku dzwoniły z gratulacjami.

Grosskopf nigdy nie wybaczył Malone’owi tej zbrodni na układzie pokarmowym Wolfiego, a jego wrogość powiększał jeszcze fakt, że za każdym razem, gdy Malone znalazł się o dwadzieścia metrów od Wolfiego, pies próbował do niego podbiec. Malone zafundował mu najlepsze popołudnie w całym jego życiu.

Malone nie odpuszczał. Śmierdziel – Bóg jeden wie, skąd on brał takie informacje – powiedział mu, że żona Peny wydaje urodzinowe przyjęcie-niespodziankę dla swojego męża w Rao’s, słynnej restauracji we wschodnim Harleemie.

Pena siedział przy wielkim stole w towarzystwie rodziny, przyjaciół, kilku znanych biznesmenów oraz paru miejscowych kumpli i otwierał prezenty. Sięgnął po wielką paczkę i wyjął z niej oprawioną w ramki fotografię trojga zabitych dzieci z karteczką:

*Od przyjaciół ze Specjalnej Jednostki Task Force Manhattan Północ.  
Obyś szczeł, dzieciobójco.*

Malone słyszał o tym od członków mafii z Pleasant Avenue. Dostał zaproszenie na spotkanie z Lou Savinem, którego znał jeszcze z czasów,

kiedy pracował w mundurze jako patrolowy. Siedzieli w kawiarnianym ogródku nad filiżankami espresso i *capo* powiedział:

– Niezły z ciebie numer, ale musisz trochę przyhamować.

– Od kiedy jesteś posłańcem dla tacosów?

– Mógłbym się za to obrazić – stwierdził Savino. – Ale nie obrażę się.

Nie mieszamy żon w nasze sprawy, Denny.

– Powiedz to Janelle Cleveland. No tak, nie możesz, bo zginęła razem z całą rodziną.

– To jest konkurs na najdłuższego fiuta między dwiema drużynami małąp – wyjaśnił Savino. – Są brązowe mały i czarne mały. Co za różnica, która dostanie banana? To nie ma nic wspólnego z nami.

– I lepiej, żeby nie miało, Lou – oświadczył Malone. – Jeśli twoi ludzie ruszą towar od Peny, to wszystkie zasady przestają obowiązywać. Dorwę ich i nic mnie nie będzie obchodziło.

Wiedział, co robi. W ten sposób przekazał Savinowi, że jeśli chce się bawić w heroinę, to niech się bawi z kimkolwiek innym, ale nie z Peną.

Być może to skłoni Savina, żeby zadzwonił do Dominikańczyka.

Jeśli chce się przetrwać w ekipie zajmującej się zorganizowaną przestępczością, sekret jest bardzo prosty: trzeba działać tak, żeby dać innym zarobić. Dopóki dajesz innym zarobić, jesteś bezpieczny. Ale gdy ludzie zaczynają tracić przez ciebie pieniądze, stajesz się ciężarem, a przestępcze organizacje nie holują za sobą ciężarów zbyt długo.

Nie mogą sobie niczego odpisać od podatku.

Malone powoli przekształcał Penę w obciążenie. Jego szefowie zaczęli tracić pieniądze i wpadać w kłopoty. Stawiał ich w żenujących sytuacjach. Musieli się za niego wstydzić. Pozwalał się upokarzać, obrażać swoją żonę i niszczyć swój biznes. Stał się obiektem żartów.

Jeśli chcesz zostać mistrzem toastów, to zależy ci na tym, żeby być dobrym komikiem, ale jeśli chcesz przejąć handel narkotykami w getcie, w żadnym razie nie możesz się wydawać zabawny.

Chcesz, żeby się ciebie bali.

A jeśli ludzie drwią z ciebie nawet za twoimi plecami, to znaczy, że się ciebie nie boją. A jeśli się ciebie nie boją i jeśli nie przynosisz im pieniędzy, stajesz się problemem.

Organizacje handlujące narkotykami nie mają departamentu kadr. Nikt ci nie doradza i nie udziela wskazówek, jak masz lepiej pracować. Przysyłają do ciebie kogoś, kogo znasz i komu ufasz. Ten ktoś zabiera cię na drinka albo na kolację i mówi ci: *cuida de tu negocio*.

Zatroszcz się o swoje sprawy.

– Po prostu usiądź z nim i pogadajcie – powiedział Savino. – O nic więcej cię nie proszę. Może dojdziemy do porozumienia.

– Troje martwych dzieci. Tu nie ma o czym gadać.

– Zawsze dobrze jest porozmawiać.

– Jeśli on chce rozmawiać – powiedział Malone – to niech przyjdzie i wyzna, że kazał zamordować rodzinę Clevelandów, a potem niech napisze oświadczenie. Tylko pod tym warunkiem mogę z nim usiąść.

Ale wtedy Savino zagrał asem:

– To nie on prosi, tylko my.

Malone nie mógł odmówić prośbie pochodzącej bezpośrednio od rodziny Cimino. Robili razem interesy i miał wobec nich zobowiązania.

Spotkali się w tylnej salce małej restauracji we wschodnim Harleemie, w okolicy kontrolowanej przez Cimino. Savino zagwarantował Malone'owi bezpieczeństwo. On z kolei obiecał, że nie będzie nalotu i że nie będzie niczego nagrywał.

Gdy Malone wszedł do sali, Pena siedział już przy stole.



Biała koszula, nadwaga. Był brzydki nawet w garniturze za tysiąc dolarów.

Savino podniósł się, uścisnął Malone'a i zaczął go obmacywać. Malone odepchnął od siebie jego ręce.

– Obmacujesz mnie? A jego obmacałeś?

– On nie ma powodu, żeby przychodzić z pluskwą.

– To ja nie mam powodu, żeby przychodzić z pluskwą – powiedział Malone. – To nie jest dobry początek spotkania, Lou.

– Gdzie jest ta pluskwa?

– W dupie twojej matki – odpowiedział Malone. – Następnym razem, jak będziesz ją tam lizał, uważaj na słowa. Pieprz się, ja stąd spadam.

– Wszystko w porządku – powiedział Pena.

Savino wzruszył ramionami i gestem wskazał Malone'owi miejsce.

– Od kogo teraz przyjmujesz rozkazy? – rzucił do niego Malone, siadając naprzeciwko Peny.

– Zjesz coś? – zapytał Pena.

– Nie będę się z tobą przełamywał chlebem. I nie będę z tobą pił. Lou poprosił, żebym się z tobą spotkał, więc jestem. Co chcesz mi powiedzieć?

– To musi się skończyć.

– Skończy się, kiedy wbiją ci igłę w ramię – powiedział Malone.

– Cleveland wiedział, corobi – odrzekł Pena. – Wiedział, że człowiek ryzykuje nie tylko własne życie, ale życie całej rodziny. Takie są u nas zasady.

– To mój teren – powiedział Malone. – I obowiązują moje zasady. A moje zasady są takie, że nie zabijamy dzieci.

– Nie próbuj ze mną rozmawiać tym tonem moralnej wyższości – skontrował Pena. – Wiem, kim jesteś. Jesteś brudnym gliną.

Malone popatrzył na Savina.

– Czy to już wszystko? Odbiliśmy rozmowę? Czy mogę teraz wyjść i iść coś zjeść?

Pena położył na stole teczkę.

– Tu jest dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Weź to i idź jeść.

– Za co?

– Wiesz, za co.

– Nie. Ty mi powiedz, za co, ty śmieciu. Powiedz mi, że to jest za to, żeby morderstwo tej rodziny uszło ci na sucho.

– Sprawdź go – powiedział Pena do Savina.

– Lou, jeśli dotkniesz mnie choćby palcem, to rozmażę cię po tej podłodze.

– Ma pluskwę – stwierdził Pena.

– Denny, ty stąd nie wyjdiesz – powiedział Savino.

Malone zerwał z siebie sportową kurtkę, rozpiął guziki i rozchylił koszulę, obnażając pierś.

– Zadowolony jesteś, Lou? A może chcesz założyć rękawiczkę i wsadzić mi palec do dupy, ty pedalski skurwysynu?

– Jezu, Denny, nie obrażaj się.

– To wy mnie obrażacie. Ty i ten zabójca dzieci. – Malone sięgnął po teczkę i rzucił nią w Penę. – Nie wiem, co o mnie słyszałeś, ale wiem, czego nie słyszałeś. Nie słyszałeś, żebym pozwalał, żeby jakiś kundel, który zabił troje dzieci w moim rejonie, odszedł wolno. Jak jeszcze raz zaproponujesz mi tę teczkę, to wepchnę ci ją do gardła i wyjdzie ci dupą. Nie zakuję cię w kajdanki i nie zgarnę, bo obiecałem Lou, że tego nie zrobię. Ale ta obietnica nie dotyczy jutra, pojutrze czy jeszcze kolejnego dnia. Mam zamiar dopilnować, żebyś trafił na stół w kostnicy, jeśli wcześniej nie zrobią tego twoi szefowie.

– Może to ja zaprowadzę cię na ten stół – powiedział Pena.

– Zrób to. Spróbuj mnie dostać. Ale najpierw ściągnij wszystkich swoich ludzi. Gdy wołasz wilka, przylatuje całe stado.

W tej właśnie chwili Russo i Montague stanęli w drzwiach, tak jakby wszystko słyszeli. Bo słyszeli. Siedzieli na zewnątrz w samochodzie i nagrywali rozmowę przez mikrofon paraboliczny.

– Masz jakiś problem, Denny? – zapytał Russo uzbrojony w szeroki uśmiech i mosberga 590.

Monty się nie uśmiechał.

– Żadnych problemów! – odkrzyknął Malone i popatrzył na Penę. – A co do ciebie, gnoju, będę pieprzył w dupę wdowę po tobie na twojej trumnie, aż zaczniesz do mnie mówić *Papi*.

Uzbroili się po zęby.

Nosili przy sobie całą pieprzoną artylerię.

To mogło nadejść z każdej strony. Mógł to zrobić Pena albo nawet ktoś z Cimino, choć Malone wątpił, by mafijna rodzina była na tyle lekkomyślna, by zabić detektywa NYPD.

Zabezpieczali się. Malone nie wracał do domu na Staten Island, tylko koczował na West Side. Russo woził automat na siedzeniu pasażera. Ale wciąż pracowali na ulicach, rozgryzali operacje Peny, korzystali z informatorów, skubali obrywy.

Malone zaniósł taśmę do Mary Hinman.

– Berger przejdzie przez to jak gówno przez gęs – stwierdziła. – Nie miałeś pozwolenia na podsłuch ani uzasadnionego powodu.

– Funkcjonariusze policji nagrywali kolegę, który prowadził tajną operację – rzekł Malone. – W trakcie pełnienia tych obowiązków usłyszeli, jak ktoś przyznaje się do wielokrotnego morderstwa i...

– Chcesz, żebym na tej podstawie oskarżyła Penę o zabójstwo Clevelandów? – przerwała mu Hinman. – To byłby koniec mojej kariery.

– Po prostu go wezwij – powiedział Malone. – Posadź go w pokoju. Niech ci z wydziału zabójstw puszcza mu taśmę i popracują nad nim.

– Uważasz, że Berger pozwoli mu odpowiedzieć na jakiegokolwiek pytanie? Nawet o nazwisko?

– W każdym razie spróbuj – powiedział Malone. Z napięcia i frustracji czuł się tak, jakby miał zaraz popękać. – Jesteś mi to winna.

Ilu ludzi udało ci się skazać dzięki moim zeznałganiom?

Wezwali Penę.

Malone patrzył przez okno, jak Hinman puszcza mu taśmę.

– *Cleveland wiedział, co robi. Wiedział, że człowiek ryzykuje nie tylko własne życie, ale życie całej swojej rodziny. Takie są u nas zasady.*

Berger podniósł rękę, sygnalizując Penie, żeby milczał. Popatrzył na Hinman i powiedział:

– Nie usłyszałem tu niczego, co choćby z grubsza przypominałoby wyznanie albo nawet świadczyło o wiedzy o zamordowaniu rodziny Clevelandów. Usłyszałem tylko człowieka, który opisał odrażającą normę kulturową. Jednakże, choć ta norma bez wątplenia jest odrażająca, samo takie oświadczenie nie jest przestępstwem.

Hinman znów włączyła odtwarzanie.

– *Tu jest dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Weź to i idź jeść.*

– *Za co?*

– *Wiesz, za co.*

– Więc teraz wydaje się wam, że przyłapaliście mojego klienta na próbie przekupienia funkcjonariusza policji – powiedział Berger. – A może teczka była pusta? Może mój klient tylko drażnił się z sierżantem Malone'em, próbując mu odpłacić za długą listę złośliwych szczeniackich kawałów? Co dalej?

– *Nie. Ty mi powiedz, za co, ty śmieciu. Powiedz mi, że to jest za to, żeby morderstwo tej rodziny uszło ci na sucho.*

– *Sprawdź go.*

Hinman odtworzyła taśmę do końca.

– Nie usłyszałem nic, co mogłoby pogrozić mojego klienta – powiedział Berger. – Słyszałem tylko, jak detektyw NYPD groził rozmówcy i powiedział, że będzie pieprzył w dupę jego żonę na jego trumnie. Zapewne jest pan z siebie bardzo dumny. W każdym razie ta taśma jest bezużyteczna. Nawet gdybyście okazali się na tyle głupi, żeby wnieść oskarżenie przeciwko mojemu klientowi, nie zostałyby uznana za materiał dowodowy. Być może zrobiłaby wrażenie na Wielkiej Ławie Przysięgłych, ale każdy sędzia z oburzeniem wyrzuciłby ją do kosza, gdzie jej miejsce. Nie macie nic na mojego klienta.

– Wiemy już, kto strzelał – powiedziała Hinman. – A oni obwinia pańskiego klienta. To dla niego ostatnia chwila, żeby zdecydować się na współpracę, jeśli chce uniknąć zastrzyku.

To był zupełny blef, ale Pena pobladł.

Berger nie.

– Zdaje się, że jedzie pani po bandzie. A może to ma być milczące przyznanie, że tak naprawdę nie macie żadnej sprawy? Powiem pani jedno: ta pani policja wyrwała się spod kontroli. Zgłoszę to do Biura Skarg Obywatelskich, ale radziłbym pani zadbać o swoją przyszłość zawodową i przedsięwziąć coś, żeby okiełznać to stado wściekłych psów. – Podniósł się i skinął na Penę. – Do widzenia.

Popatrzył prosto w lustro, wyjął chusteczkę do nosa, uśmiechnął się do Malone'a, podniósł nogę, otarł podeszwę buta i wyrzucił chusteczkę do kosza na śmieci.

Okolica zaczęła się zwracać przeciwko Penie.

Na początku były to bardzo subtelne sygnały, cieniutkie strumyczki, ale strumyczek zmienił się w strumień, a ten w powódź, która roztrzaskała zapory wokół Peny. Nikt nie przyszedł na komisariat, to nie było tego rodzaju zaufanie; chodziło o jakieś skinienie, ruch głowy, drobne gesty, które sygnalizowały krążącemu po ulicach Malone'owi, że ktoś chce z nim pogadać.

Te rozmowy odbywały się na rogach ulic, w zaułkach, w korytarzach kamienic, na strzelnicach, w barach. Szeptano o tym, kto zabił tamtych troje dzieci, kogo Pena wynajął, kim byli cyngle.

Niektóre informacje wynikały z cynizmu. Informatorzy chcieli, żeby rzeka heroiny znów popłynęła, żeby przestano ich nękać, żeby Malone zakończył wreszcie swoją niezłomną krucjatę. Ale częściej chodziło o sumienie wyzwolone od strachu, gdy fala zaczęła się odwracać.

Obraz stawał się coraz wyraźniejszy. Pena wynajął dwóch ambitnych nowicjuszy, którzy chcieli przy nim wyrosnąć. A w okolicy największy gniew wzbudziło to, że byli czarni.

Tony i Braylon Carmichaelowie byli braćmi. Jeden miał dwadzieścia dziewięć, a drugi dwadzieścia siedem lat. Już jako młodociani byli notowani za napady, rabunki, handel narkotykami, włamania do domów, a teraz zamierzali zostać hurtownikami Peny.

Ale najpierw musieli się wkupić.

Zabić Clevelandów.

Całą rodzinę.

Malone, Russo i Montague wpadli do mieszkania na Sto Czterdziestej Piątej z bronią w ręku, gotowi strzelać.

Ale Pena dotarł tam pierwszy.

Tony Carmichael zwiślał z krzesła. W czole miał dwa otwory wlotowe po kuli.

No cóż, pomyślał Malone, przynajmniej udało nam się pośrednio wykonać egzekucję jednego z zabójców, mówiąc Penie, że poszukujemy tych, którzy strzelali.

Przeszukali całe mieszkanie, ale nie znaleźli Braylona, a to oznaczało, że akcja przeciwko Penie nie jest jeszcze zakończona.

Malone poszedł do Śmierdziela.

– Rozgłoś to na ulicach. Jeśli skontaktuje się ze mną, to obiecuję, że zapewnię mu bezpieczeństwo. Nie będzie bity. W zamian za zeznanie przeciwko Penie zmniejszymy mu wyrok, na ile się da.

Braylon był durniem, to jego nieżyjący brat był mózgiem operacji. Ale Braylonowi wystarczyło inteligencji, by zrozumieć, że skoro poluje na niego Pena, a także przyjaciele Clevelandów, to Malone jest jego jedyną szansą.

Skontaktował się z nim jeszcze tego samego wieczoru.

Malone i jego oddział zgarnęli go w St. Nicholas Park, gdzie ukrywał się w krzakach, i przywieźli na komisariat.

– Nie odzywaj się do mnie ani słowem – ostrzegł go Malone. – Trzymaj gębę zamkniętą.

Chciał to zrobić, tak jak trzeba. Zgłosił zatrzymanie, upewnił się, że Minelli jest gotów do przesłuchania, a Hinman jest u siebie. Braylon nie chciał prawnika. Opowiedział wszystko o tym, jak Pena wynajął jego i jego brata do zabicia Clevelandów.

– Czy to wystarczy? – zapytał Malone.

– Wystarczy, żeby go aresztować.

Hinman dostała nakaz aresztowania Peny. Chłopaki z wydziału zabójstw pojechali po niego. Hinman wyraźnie zabroniła Malone'owi jechać z nimi.

Nie zastali Peny.

Minęli się z nim o minuty.

Gerard Berger oddał swojego klienta federalnym.

Nie za morderstwo, tylko za przemyt narkotyków.

Malone wybuchł, gdy Hinman zadzwoniła do niego z nowinami.

– Nie chcę, żeby został skazany za przemyt. Chcę go dorwać za morderstwa!

– Nie zawsze dostajemy to, czego chcemy – odrzekła Hinman. – Czasami musi nam wystarczyć to, co możemy dostać. Uspokój się, Malone, wygralesz. Pena oddał się federalnym, żeby ocalić życie. Pójdzie do federalnego więzienia, gdzie jego ludzie nie będą mogli go zabić. Odsiedzi piętnaście do trzydziestu i zapewne tam umrze. To jest zwycięstwo. Ciesz cię.

Okazało się jednak, że to nie było zwycięstwo.

Gerard Berger wywalczył dla swojego klienta najlepszy interes wszech czasów. W zamian za informacje o kartelu i zeznawanie w kilkunastu już otwartych sprawach Diego Pena dostał dwa lata z odliczeniem czasu spędzonego w areszcie, co oznaczało, że kiedy skończy zeznawać, odejdzie wolno.

Sędzia federalny musiał podpisać ten układ i zrobił to, twierdząc, że informacje otrzymane od Peny pozwolą zdjąć z ulic tony heroiny i ocalą więcej niż pięć ludzkich istnień.

– Bzdury – powiedział Malone. – Jeśli to nie będzie heroina Peny, to będzie czyjaś inna.

– Robimy, co możemy – odrzekła Hinman.

– Co ja mam powiedzieć ludziom? – zapytał ją Malone.

– Jakim ludziom?

– Tym z okolicy, którzy zaryzykowali własne pieprzone życie, żeby zamknąć tego faceta. Tym, którzy mi zaufali, że wymierzę sprawiedliwość za życie tych dzieci.



Hinman nie wiedziała, co odpowiedzieć.

Malone nie wiedział, co ma powiedzieć im.

Ale oni i tak wiedzieli. Dobrze znali tę historię, to nie było dla nich nic nowego. Kariery białych facetów w garniturach są ważniejsze niż śmierć pięciorga czarnych.

Braylon Carmichael dostał pięć wyroków dożywocia do odsiedzenia po kolei.

Denny Malone stracił kawałek duszy. Nie całą, ale tyle, że gdy Penie znudziło się przykładne życie i wrócił do handlu heroiną, Malone nie tylko mściwie marzył o tym, ale po prostu był w stanie dokonać na nim egzekucji.

## ROZDZIAŁ 34

Otwierają się drzwi celi i staje w nich O'Dell.

– Brałeś już prysznic? – pyta.

– Tak.

– To dobrze. Wyjeżdżamy z miasta.

– Dokąd? – Dobrze mu tutaj w celi w towarzystwie własnych myśli.

– Pewni ludzie chcą się z tobą zobaczyć – mówi O'Dell.

Wyprowadza go na zewnątrz, sadowi z tyłu samochodu, wsuwa się na siedzenie obok i zdejmuje mu kajdanki.

– Chyba mogę ci zaufać, że nie uciekniesz?

– Niby dokąd miałbym uciec?

Malone wygląda przez okno. Samochód mija ratusz, wyjeżdża przez Chambers na West Street, a potem na West Side Highway.

Po zaledwie jednej nocy spędzonej w celi wolność wydaje się dziwna.

Nieoczekiwana.

Uderza do głowy.

Rzeka Hudson wygląda na szerszą i bardziej błękitną, jej otwarta przestrzeń zdaje się oferować ucieczkę. Białe grzywy piany w ostrym wietrze wyglądają hipnotyzująco. Samochód przejeżdża przez Holland Tunnel, Chelsea Piers, gdzie Malone grywał w hokeja o północy, potem Javits Center. Zlecenia przy tej budowie – wylewanie betonu, instalacje hydrauliczne, okna i oświetlenie – ocaliły mafię. Potem Lincoln Tunnel i Pier 83. Malone zawsze zamierzał przywieźć tu rodzinę i zafundować im wycieczkę dokoła Manhattanu, ale nigdy do tego nie doszło, a teraz jest już za późno.

Gdy samochód skręca na wschód w Pięćdziesiątą Siódmą, Malone zaczyna dostrzegać, że coś jest nie tak.

Powietrze po północnej stronie wydaje się żółtawe.

Niemal brązowe.

Ostatni raz widział coś takiego, gdy runęły wieże.

– Czy mogę opuścić okno? – pyta.

– Możesz.

W powietrzu wyczuwalny jest zapach dymu. Malone patrzy na O’Della z pytaniem w oczach.

– Wczoraj około piątej zaczęły się zamieszki – wyjaśnia O’Dell. – Wkrótce po tym, jak cię zamknęliśmy.

Protesty po decyzji w sprawie Bennetta zaczęły się spokojnie, mówi O’Dell. A potem gdzieś poleciała butelka, za nią cegła. O szóstej trzydzieści wystawy sklepów przy St. Nicholas i Lenox były już porozbijane, a sklepy splądrowane. Przed dziesiątą wieczorem obrzucono koktajlami Mołotowa radiowozy przy Amsterdam i Broadway.

W ruch poszły pałki i gaz łzawiący.

Ale nic to nie dało, zamieszki rozszerzały się. O jedenastej zapłonęło Bed-Stuy, potem Flatbush, Brownsville, południowy Bronx i część Staten Island.

Gdy w końcu nadszedł świt, gorące lipcowe słońce zasnuwał dym. Urzędnicy miejscy mieli nadzieję, że zamieszki nie przetrwają do rana, ale około południa znów się zaczęły. Protestujący gromadzili się przy ratuszu oraz przy One Police Plaza i atakowali szeregi policjantów.

Na północnym Manhattanie strażacy, którzy próbowali ugasić ogień, zostali ostrzelani z wieżowców St. Nick’s, toteż strażacy nie przyjmowali kolejnych zgłoszeń i całe kwartały po prostu się spaliły.

Cała policja w mieście została postawiona na nogi w trybie alarmowym. Nie wracali do domów, tylko drzemali chwilę w szatniach. Teraz są wyczerpani fizycznie i psychicznie, lada chwila mogą wybuchnąć.

„Ochotnicy” – kluby motocyklowe, milicja obywatelska, biali rasiści, szaleńcy walczący o prawo do posiadania broni – ściągnęli z innych obszarów, żeby pomóc w przywróceniu „ładu i porządku”, przez co zadanie policji stało się jeszcze trudniejsze. Nie wolno dopuścić, by zamieszki eskalowały w pełnowymiarową wojnę rasową.

Tym razem wybuchł pożar.

Samochód wjeżdża w Billionaires' Row i zatrzymuje się przy budynku Andersona.

Na ulicy stoi Berger. Wyraźnie na nich czeka. Podchodzi i otwiera drzwi od strony Malone'a.

– Nic nie mów, dopóki się nie dowiemy, czego chcą.

– Co jest, kurwa?

– To już o trzy słowa za dużo.

Jadą windą do penthouse'u.

Niezła ekipa, myśli Malone.

Komisarz policji, komendant Neely, O'Dell, Weintraub, burmistrz, Chandler, Bryce Anderson, Berger i Isobel Paz. Na jej widok na twarzy Malone'a odbija się zdziwienie.

– Zawarliśmy pewną umowę – wyjaśnia Paz. – Proszę usiąść, sierżancie Malone. – Wskazuje mu krzesło.

– Już się nasiedziałem – mówi Malone.

Woli stać.

– Ponieważ poznaliśmy się już wcześniej – mówi Paz – poproszono mnie, żebym poprowadziła to spotkanie.

Komisarz i Neely wyglądają tak, jakby mieli ochotę spalić Malone'a na stosie. Burmistrz wpatruje się w stolik do kawy, Anderson przypomina posąg, Berger jak zwykle ma na twarzy pełen samozadowolenia uśmiezek.

O'Dell i Weintraub wyglądają tak, jakby chciało im się rzygać.

– Po pierwsze, tego spotkania w ogóle nie było – mówi Paz. – Nie pozostaną po nim żadne zapisy, żadne raporty, nie będzie żadnych śladów. Czy rozumiesz i zgadzasz się?

– Możesz napisać każdą fikcję, jaka tylko ci się zamarzy – mówi Malone.

– Gównu mnie to wszystko już teraz obchodzi. Dlaczego tu jestem?

– Upoważniono mnie do przedstawienia ci pewnej propozycji – mówi Paz. – Gerard?

– Zdawało mi się, że występuje tu konflikt interesów – mówi Malone.

– Tak było, kiedy wydawało się pewne, że zmierzamy do procesu – wyjaśnia Berger. – Ale teraz to już nie jest takie pewne.

– Dlaczego?

– Nie wiem, czy słyszałeś o niepokojach społecznych, które wynikły z niefortunnej decyzji Wielkiej Ławy Przysięgłych w sprawie Michaela Bennetta – mówi Berger. – Mówiąc wprost, jeszcze jedna zapalka i zapłonnie całe miasto, jeśli nie cały kraj.

– To zadzwońcie do strażaków – mówi Malone. – Czy mogę już wrócić do swojej celi?

– Do gabinetu burmistrza dotarły pogłoski – ciągnie Berger – że istnieje film z zastrzelenia Michaela Bennetta nagrany telefonem komórkowym. Na tym filmie rzekomo widać, że Hayes zastrzelił Bennetta, gdy ten uciekał. Gdyby to nagranie zostało upublicznione, wybuchłaby wojna, przy której to, co się dzieje teraz, sprawiałoby wrażenie harcerek ogniska.

– Nie możemy do tego dopuścić – mówi burmistrz.

– A co to ma wspólnego ze mną? – pyta Malone.

– Masz swoje stosunki w społeczności afroamerykańskiej na północnym Manhattanie – wyjaśnia Berger. – Szczególnie mam tu na myśli stosunki z DeVonem Carterem.

– O ile można to tak nazwać. – Choć jeśli ktoś pragnie twojej śmierci, chyba można to nazwać stosunkiem.

– Nie opowiadaj nam tu bajek, detektywie – mówi komisarz. – Ty i cała twoja jednostka siedzieliście w kieszeni u Cartera.

Niezupełnie, myśli Malone.

Torres i jego oddział siedzieli w tej kieszeni.

Niemniej jednak – ciepło.

– O ile wiemy, Carter ma ten film – mówi Paz. – I grozi, że go upubliczni. Zszedł do podziemia i zagrzebał się gdzieś, gdzie nie możemy go znaleźć. Nasza propozycja...

– Czy możemy przestać pieprzyć bzdury? – pyta komisarz. – Malone, oferta polega na tym, że jeśli zdobędziesz dla nas ten film, odchodzisz wolno. Moim zdaniem to śmierdzi jak kupa gówna, ale tak to wygląda.

– A co z Russem?

Weintraub marszczy brwi.

– Jego układ nadal będzie obowiązywał.

– I żadnych oskarżeń wobec Montague'a – zastrzega Malone.

– Sierżant William Montague jest policjantem bohaterem – mówi komisarz.

– Umowa stoi? – pyta Paz.

– Nie tak szybko – odpowiada Berger. – Jest jeszcze kwestia przypadku mienia.

– Nie – mówi Weintraub. – Nie pozwolimy mu zatrzymać tych pieniędzy. Nie.

– Myślałem o domu – mówi Berger. – Malone zgadza się przenieść pełne prawo własności do domu na żonę, która z tego, co wiem, i tak występuje o rozwód, więc to ona zatrzyma dom.

– Mamy pozwolić, żeby najbrudniejszy policjant w tym mieście po prostu odszedł wolno? – mówi komendant Neely.

W końcu odzywa się Bryce Anderson:

– A czy woli pan, żeby całe miasto spłonęło? Innymi słowy, czy naprawdę tak bardzo nas obchodzi to, że handlarz heroiną dostał to, na co zasłużył? Czy mamy to położyć na szali przeciwko potencjalnej śmierci niewinnych ludzi, nie wspominając już o zniszczeniach? Jeśli trzech skorumpowanych policjantów odejdzie wolno – cóż, nie będzie to pierwszy taki przypadek, prawda? A jeśli wypuszczenie wolno tego człowieka może powstrzymać pożar miasta... Ja jestem gotów zgodzić się na to bez wahania.

Te słowa przeważają.

Właściciel penthouse'u ma w tej rozmowie ostatnie słowo.

Paz patrzy na Bergera.

– Wszystko już dobrze?

– Nie użyłbym słowa „dobrze” – mówi Berger. – Powiedzmy po prostu, że osiągnęliśmy wzajemnie satysfakcjonujące porozumienie i wszyscy możemy uznać, że stało się tak dla wyższego dobra publicznego. Umowa stoi, detektywie Malone?

– Będę potrzebował odznaki i broni – odpowiada Malone.

Znów będzie policjantem.

Po raz ostatni będzie policjantem.

## ROZDZIAŁ 35

Północny Manhattan jest obleżony.

Malone przebiega przez ścieżkę zdrowia między protestującymi, którzy napływają od strony Grant i od centrum, od Manhattanville.

Zwrócone na południe szwadrony umundurowanych policjantów stoją wzdłuż bulwaru Martina Luthera Kinga. Kolejne, zwrócone na północ, stoją przy Sto Dwudziestej Szóstej. Tworzą w ten sposób korytarz, w którym niczym obleżony fort znajduje się budynek komisariatu. Policjanci ustawili radiowozy w szeregu i kryją się za nimi. Jest też policja konna. Konie nerwowo drepczą po chodniku. Na dachu komisariatu siedzą snajperzy.

Amsterdam Liquor Mart został splądrowany, szyby są porozbijane, w środku nic nie zostało. Supermarket C-Town na MLK również został zdemolowany. Księża z kościoła zielonoświątkowców na Manhattanie i baptystów z Antiochii wyszli na ulicę, zachęcając do spokojnego i biernego oporu. Po drugiej stronie Sto Dwudziestej Szóstej protestujący gromadzą się w małym parku obok kościoła Marii Panny i obie strony ulicy wydają się czekać zachodu słońca, żeby się przekonać, co będzie się działo dalej.

Malone szuka Śmierdziela.

Ale donosiciel przepadł jak kamień w wodę.

Malone sprawdza wszystkie jego zwykłe kryjówki: Buck Twenties przy Lenox Avenue, Morningside Park pod numerem 449.

Biały policjant sam w Harlemie pośrodku zamieszek rasowych. Gdyby to był ktokolwiek inny, a nie Malone, pewnie już by nie żył, ale jego reputacja



jeszcze działa. Wzbudza lęk, a nawet szacunek. Ludzie pozwalają mu przejść i zostawiają go w spokoju.

Manhattan może płonie, ale wciąż jest królestwem Malone'a.

Widzi Och Nie Henry'ego.

On również go zauważa i odbiega dalej jak spłoszona gazela. Na szczęście dla Malone'a ćpyny nie osiągają szczególnie dobrych wyników na setkę, więc zrównuje się z nim i popycha na ścianę w zaułku.

– Teraz ode mnie uciekasz, Henry?

– Och nie!

– Przecież uciekałeś.

– Myślałem, że to jakiś goryl.

– Jasne, chcę ci rąbnąć heroinę – mówi Malone. – Gdzie jest Śmierdziel?

– Nie możemy przejść gdzieś, gdzie nie ma nikogo? – pyta Henry. – Jeśli mnie z tobą zobaczą...

– To mów szybko. Powiedz od razu, bo jak nie, to włączę syrenę i przejdę przez całą Lenox, ogłaszając wszystkim, że jesteś moim kapusiem.

Henry zaczyna płakać. Wygląda na przerażonego.

– Och nie, och nie!

– Gdzie on jest? – Malone odrywa go od ściany.

Henry zsuwa się w dół i leży na chodniku zwinięty w kłębek. Zasłania twarz rękami i zanosi się płaczem.

– Przy szkole na boisku.

– Przy której szkole?

– Przy sto siedemdziesiątej piątej. – Henry zwija się jeszcze ciaśniej. – Och nie, och nie!

Och Nie Henry pieprzy głupoty.

Och Nie Henry okłamał go, bo Malone nigdzie nie widzi Śmierdziela przy szkole numer 175. Zresztą to dziwne. Jest gorący letni wieczór i mimo

zamieszek boisko jest zupełnie puste.

Jakby było radioaktywne czy coś takiego.

Potem Malone słyszy.

Jęk, ale to nie jest ludzki jęk.

Jakby jęczało jakieś ranne zwierzę.

Rozgląda się, próbując określić, skąd dochodzi ten dźwięk. Nie od strony boiska do koszykówki ani od ogrodzenia z siatki.

W końcu dostrzega Śmierdziela opartego o pień drzewa.

Nie, on nie jest oparty o drzewo.

Jest przybity do drzewa.

Gwoździe wbito w dłonie, nie w nadgarstki.

Jest zupełnie nagi. Ramiona ma wyciągnięte do góry, jedną dłoń założoną na drugą i przybitą gwoździem do drzewa, chude nogi wyprostowane, stopy skrzyżowane i też przybite. Podbródek opadł mu na pierś.

Stłukli go na miazgę.

Twarz ma jak hamburger. Oczy szaleńczo biegają w jedną i drugą stronę. Szczeka złamana, krzywe zęby poszczerbione, usta obwisłe.

Zesrał się.

Gównno zaschło na jego nogach i grzbietach stóp.

– O Boże – mówi Malone.

Śmierdziel otwiera oczy na tyle, na ile jest w stanie je otworzyć. Dostrzega Malone'a i jęczy. To nie są żadne słowa, tylko jęk bólu.

Malone chwyta gruby gwóźdź, który przechodzi przez stopy Śmierdziela, i wyciąga go z drzewa. Potem wspina się na palce i udaje mu się pochwycić główkę gwoździa tkwiącego w jego dłoniach. Szarpie się i ciągnie, szarpie i ciągnie, aż w końcu gwóźdź wychodzi. Malone chwyta Śmierdziela wpół i kładzie go na ziemi.

– Trzymam cię, trzymam – powtarza, sięgając po radio. – Potrzebuję busa. Szybko. Sto Trzydziesta Piąta i Lenox.

– Malone?

– Przyślijcie busa.

– Spieprzaj, szczurze. Mam nadzieję, że zginiesz.

Bus nie przyjedzie.

Żaden radiowóz też nie przyjedzie.

Malone wsuwa ramię pod plecy Śmierdziela, unosi go i niesie jak dziecko przez Lenox na izbę przyjęć szpitala Harlem.

– Kto ci to zrobił? – pyta. – Gruby Teddy?

Nie rozumie, co Śmierdziel próbuje mu powiedzieć.

– Gdzie on jest? – pyta. Tego przede wszystkim chciał się dowiedzieć, ale przyszedł za późno.

– St. Nick's – szepcze Śmierdziel. – Budynek numer siedem. – Potem uśmiecha się, jeśli ten grymas, w który układają się resztki jego ust, można nazwać uśmiechem, i dodaje: – Słyszałem coś jeszcze, Malone.

– Co takiego?

– Że teraz jesteśmy tacy sami. Ty i ja. Obydwaj jesteśmy szczurami.

Jego głowa opada na ramię Malone'a.

Malone wnosi go na izbę przyjęć.

Claudette ma dyżur.

– Jezu Chryste – mówi – co oni zrobili temu biedakowi?

Kładą Śmierdziela na wózku i wwożą do środka.

– Cały jesteś zakrwawiony – mówi Claudette do Malone'a.

Idzie obok wózka, trzymając Śmierdziela za rękę.

Malone idzie do toalety, zwilża papierowy ręcznik i robi, co może, żeby zetrzeć z ubrania krew i gówno.

Potem wraca do poczekalni i siada.

Poczekalnia jest pełna ofiar zamieszek – skaleczenia szkłem z powybijanych okien, siniaki od uderzeń, poparzenia u tych, którzy podkładali ogień albo znaleźli się w płomieniach, oczy zaczerwienione i podpuchnięte od gazu łzawiącego, urazy od trafienia pociskami woreczkowymi z policyjnej broni. Poważniej ranni, trafieni z broni palnej, są już na oddziale ratunkowym, na chirurgii albo w kostnicy, gdzie czekają na przewiezienie do domów pogrzebowych.

– Odszedł, skarbie – mówi Claudette.

– Tak myślałem.

– Przykro mi. To był twój przyjaciel?

– To był mój informator – mówi Malone refleksyjnie, po czym zastanawia się przez chwilę. – Tak, był moim przyjacielem.

Pogwałcenie jednej z najważniejszych zasad pracy policyjnej: nigdy nie zaprzyjaźniaj się z informatorami.

Ale jak inaczej można nazwać człowieka, z którym dzieliło się te same ulice, parki i zaułki, z którym tak naprawdę pracowało się razem, bo pomagał przygotowywać naloty, zdjąć z ulic najgorszych bandytów, chronić okolicę?

Nigdy nie zaprzyjaźniaj się z informatorem ani z ćpunem, a zatem ćpun-informator...

Ale jednak, myśli Malone, Śmierdziel był moim przyjacielem i zawsze uważał mnie za przyjaciela. I dokąd go to zaprowadziło?

– Miał jakąś rodzinę? – pyta Claudette.

– Nic o tym nie wiem. – Ale też nigdy nie próbowałem się dowiedzieć, myśli Malone. Pewnie tak, pewnie jest gdzieś jakaś matka albo ojciec, może nawet żona, może dziecko albo dzieci. Może ktoś go szuka, a może dali sobie spokój, spisali na straty.

– Więc ciało...

– Zadzwoń do Unity. – Malone wymienia nazwę najbliższego domu pogrzebowego. – Ja zapłacę za pogrzeb.

– Jesteś dobrym przyjacielem – mówi Claudette.

– Jestem takim dobrym przyjacielem, że nigdy nawet nie przyszło mi do głowy sprawdzić, jak on się naprawdę nazywa.

– Benjamin – mówi Claudette. – Benjamin Coombs.

Wygląda na wyczerpaną. Jest na nieustającym dyżurze przy ofiarach zamieszek z kilkuminutowymi przerwami na drzemki.

– Masz chwilę? – pyta Malone. – Możemy wyjść na zewnątrz i porozmawiać?

Claudette rozgląda się i mówi:

– Ale tylko chwilę. Sam widzisz, jak to wygląda. Te zamieszki...

Wychodzą na Sto Trzydziestą Szóstą Ulicę.

– Myślałam, że idziesz do więzienia – mówi Claudette.

– Ja też tak myślałem. Zawarłem układ. – Może jeszcze bardziej paskudny niż ten poprzedni. – Mówiłaś mi kiedyś, jak trudno jest być czarnym. Nadal tak się czujesz?

– Przecież dalej jestem czarna, Denny.

– Czy wciąż tak cię to męczy?

– Nie biorę – odpowiada. – Jeśli o to właśnie pytasz.

– Nie, chciałem tylko...

– Co chciałeś?

– Sam nie wiem.

Claudette spuszcza wzrok, przesuwa czubkiem buta po betonowym chodniku i znów na niego spogląda.

– Muszę wracać.

– Dobrze.

– Dobrze zrobiłeś, że go tu przyniosłeś. Nie mogłabym cię kochać bardziej. – Otacza go ramionami, jej policzek przy jego szyi jest mokry. – Do widzenia, skarbie.

– Do widzenia, Claudette.

Upalny letni wieczór, klimatyzacja nie działa, więc mieszkańcy St. Nick's wyszli na podwórza. W żaden sposób nie jest możliwe, żeby biały gliniarz zakradł się tam niepostrzeżenie, toteż Malone nawet nie próbuje zachowywać się subtelnie. Po prostu wchodzi tam, jakby to miejsce nadal należało do niego.

Jakby nadal był Denny Malone'em.

Natychmiast słyszy gwizdy, pohukiwania, okrzyki i obelgi. Zanim jeszcze dociera do budynku numer siedem, całe St. Nick's wie już, że się pojawił, i nikt przy tym nie myśli o świątecznych indykach.

Myślą tylko o tym, jak bardzo nienawidzą gliniarzy.

Przy drzwiach budynku numer siedem stoi załoga Get Money Boys.

To nie dziwi Malone'a.

Ale dziwi go to, że jest z nimi Tre.

Tytan rapu podchodzi do niego.

– Przeniosłeś się do slumsów, Tre? – pyta Malone.

– Pomagam moim ludziom się bronić.

– Ja też.

– Jak myślą, że któryś z braci zabił gliniarza, to wywracają świat do góry nogami – mówi Tre. – A kiedy gliniarz zabije brata, to całkiem inna sprawa.

– Jeśli chcesz chronić swoich ludzi, to powiedz swoim kumplom, żeby zeszli mi z drogi – mówi Malone.

– Masz nakaz?

– To miejski budynek, nie potrzebuję nakazu. Skończyłeś prawo, powinieneś o tym wiedzieć.

– Przykro mi z powodu twojego przyjaciela – mówi Tre. – Montague był spoko.

– Nadal jest – mówi Malone.

– Słyszałem co innego. Słyszałem, że będzie mu potrzebna małpka do pomocy.

– Zgłaszasz się na ochotnika? – pyta Malone.

Chłopaki z GMB uznają, że już wystarczy, i zbliżają się w jego stronę z wyraźnym zamiarem spuszczenia mu porządnego łomotu. Wiedzą już, cała ulica wie, że nie dostanie żadnego wsparcia.

Tre uspokaja ich gestem i odwraca się do Malone'a.

– Czego tu chcesz?

– Muszę pogadać z Grubym Teddym.

– Wiesz przecież, że Teddy prędzej pozwoli się zatłuc na śmierć, niż cokolwiek ci powie. Ma matkę, siostrę i troje kuzynów w St. Nick's i Grant's.

– Będziemy ich chronić.

– Nie potrafisz ochronić nawet siebie samego – stwierdza Tre.

– Tre, utrudniasz śledztwo policyjne – mówi Malone. – Zejdź mi z drogi, bo założę ci kajdanki.

– Widzisz, moim zdaniem utrudniam jakieś prywatne sprawy między tobą a Carterem – mówi Tre. – Ale jak chcesz mi zarzucić utrudnianie, to zakuj mnie w kajdanki, a zaraz zobaczysz nową falę zamieszek.

Obraca się i wyciąga do niego ręce.

– Bardzo byś tego chciał, co? – mówi Malone. – Chcesz, żeby ulica ci zaufała.

– Rób, co masz do zrobienia – odpowiada Tre. – Nie będę tu sterczał przez cały wieczór.

Naraz Gruby Teddy wychodzi z drzwi z rękami uniesionymi do góry.

– Mój prawnik już tu jedzie. Czego ode mnie chcesz?

– Jesteś aresztowany.

– Słyszałem, że już nie pracujesz w policji.

– Źle słyszałeś. Załóż ręce za plecy, zanim rozwalę ci ten gruby łeb.

– Nie musisz tego robić, Teddy – mówi Tre.

– Zamknij gębę, kurwa.

– Bo co?

– Bo ja ci ją zamknę – mówi Malone. – Nie denerwuj mnie.

– To ty mnie nie denerwuj – mówi Tre. – Widzisz tu kogoś oprócz braci? Możesz zadzwonić po wsparcie, Malone, ale słyszałem, że nikt tu nie przyjedzie. Byłbyś jedynym martwym gliniarzem, którego śmierć nikogo by nie obeszła.

– Ale ty tego nie doczekasz – mówi Malone.

Chyba ze dwadzieścia osób trzyma w wyciągniętych do góry rękach komórki. Jak na koncercie rockowym, myśli Malone, i znów spogląda na Teddy'ego.

– Ręce za plecy, bo jeśli wyciągnę broń, to zastrzelę najpierw ciebie, a potem Tre. Gównu mnie już wszystko obchodzi.

Teddy chyba mu wierzy, bo zakłada ręce za plecy. Malone odprowadza go o kilka kroków od drzwi, popycha na ścianę i zakuwa w kajdanki.

– Jesteś aresztowany pod zarzutem zabójstwa.

– Kogo zabiłem? – pyta Teddy.

– Śmierdziela.

Teddy ścisza głos.

– Ja go nie zabiłem.

– Nie? A kto?

– Ty.

Malone wie, że to prawda, ale pyta:



– Jakim sposobem?

– Przez tę broń – mówi Teddy. – Carter go zabił, bo Śmierdziel zakapował ci tę broń.

– Carter przybił go do drzewa.

– Myślisz, że o tym nie wiem? – mówi Teddy. – Po co bym ci mówił? To nie w porządku, co Carter zrobił. Możesz zabić brata, jeśli musisz, ale zrobić mu coś takiego? Czegóż takiego nie robi się człowiekowi.

– Gdzie jest Carter?

– Nie mam pojęcia, gdzie jest Carter! – krzyczy Teddy tak głośno, że okrzyk odbija się echem od wszystkich ścian w osiedlu.

Malone pochyla się do niego i szepcze:

– Kiedy powiem Carterowi, że to ty sypnąłeś go w sprawie broni, to zabije ciebie, twoich kuzynów, twoją siostrę i twoją matkę.

– Chcesz mnie tak załatwić, człowieku? – mówi Teddy. – Chcesz tak załatwić moją rodzinę? O to cię nie podejrzewałem, Malone.

– Nie mam już żadnych granic, Teddy – mówi Malone. – Już nie mam. Gdzie on jest?

W ich stronę zaczynają lecieć butelki.

Poczta lotnicza.

Butelki, puszki, a potem płonące śmieci.

Ogień sypie się z nieba.

Rozlegają się syreny i kawaleria w niebieskich mundurach sunie przez miejskie kaniony – Bóg świadkiem, nie po to, żeby ocalić Malone'a, ale żeby skopać jakąś czarną dupę, zanim ogień znów rozszerzy się po osiedlach.

– I co będzie, Teddy? – pyta Malone. – Nie mamy za dużo czasu.

– Zachodnia Sto Dwudziesta Druga cztery – wyjawia Teddy. – Ostatnie piętro. Wiesz co, Malone? Mam nadzieję, że cię zabiją. Mam nadzieję, że

twoi bracia gliniarze wpakują ci dwie kulki w twarz, żebyś widział, co się dzieje.

– Rób, jak chcesz, durny gnoju! – wrzeszczy Malone. – Trzymaj dalej gębę na kłódkę, a zobaczysz, gdzie cię to zaprowadzi!

Tłum rusza w jego stronę. Malone wycofuje się w kierunku samochodu. Kiedyś nigdy by tego nie zrobił, nie pozwoliłby tym dzamalom wygonić się z osiedla, ale i tak nie ma zamiaru już tu wracać.

## ROZDZIAŁ 36

To stara okolica Mount Morris.

Stary Harlem zbudowany z pełnych wdzięku kamienic z brązowego piaskowca, w których kiedyś mieszkali lekarze, prawnicy, muzycy, artyści i poeci.

Zamieszki tu nie dotarły.

Teraz Malone już wie dlaczego.

DeVon Carter by na to nie pozwolił.

Zatrzymuje samochód po przeciwnej stronie ulicy. Czujki Cartera zauważają go od razu. Jeden z nich mówi:

– Masz jaja. Biały gliniarz, i żeby tu przyjść?

– Powiedz Carterowi, że chcę się z nim zobaczyć.

– Po co?

– Dlaczego pytasz: po co? Idź i powiedz Carterowi, że Denny Malone chce z nim pogadać.

Ochroniarz przeszywa go wrogim spojrzeniem i wchodzi do budynku. Po jakichś dziesięciu minutach wraca.

– Wejdz. – Prowadzi go na górę.

DeVon Carter czeka w salonie. Apartament jest duży, przestronny i skąpo umeblowany. Na ścianach w kolorze przybrudzonej bieli wiszą duże czarno-białe zdjęcia Milesa Davisa, Sonny'ego Stitta, Arta Blakeya, Langstona Hughesa, Jamesa Baldwina i Theloniousa Monka. W ciągnącej się od podłogi do sufitu biblioteczce pomalowanej na błyszczący czarny kolor stoją książki, przeważnie o sztuce: Benny Andrews, Norman Lewis, Kerry James Marshall, Hughie Lee-Smith.

Carter ma na sobie czarną koszulę, czarne dżinsy, czarne mokasyny bez skarpetek. Zauważa, że Malone zerka na grzbiety książek.

– Znasz afroamerykańską sztukę? No tak, przecież masz czarną dziewczynę. Może czegoś cię nauczyła.

– Nauczyła mnie wiele – mówi Malone.

– Właśnie kupiłem Lewisa na aukcji – mówi Carter. – Sto pięćdziesiąt tysięcy za pracę bez tytułu.

– Można by pomyśleć, że za takie pieniądze powinni przyczepić do niej jakiś tytuł – mówi Malone.

– Jeśli chcesz ją zobaczyć, to jest na górze.

– Nie przyszedłem tutaj, żeby podziwiać twoją kolekcję sztuki.

– To po co przyszedłeś? – pyta Carter. – Słyszałem, że jesteś za kratkami. Mówili coś o tym, że sprzedałeś dużą partię heroiny Dominikańczykom. A ja myślałem, Malone, że jesteście przyjaciółmi.

– Nie jesteśmy.

– Ja bym ci dał więcej – mówi Carter.

– Bo bardziej jej potrzebowałeś – odpowiada Malone. – A teraz nie masz heroiny ani broni, więc nie masz pieniędzy i nie masz ludzi. Castillo zmiecie cię z ulic jak śmieć, bo jesteś śmieciem.

– Mam policję.

– Stary oddział Torresa? – pyta Malone. – Jeśli jeszcze nie przeszli na stronę Dominikańczyków, niedługo to zrobią.

Ale nie zrobi tego Gallina, myśli Malone. Brakuje mu sprytu i charakteru.

To będzie Tenelli.

Carter wie, że on ma rację.

– Więc co chcesz mi zaproponować? – pyta. – Swój oddział? To, co z niego zostało? Nie, dzięki.

– Proponuję ci cały pieprzony departament – mówi Malone. – Północny Manhattan, komendę dzielnicową, wydział narkotykowy, wydział detektywów. Dorzucę jeszcze gabinet burmistrza i połowę tych skurwysynów z Billionaires' Row.

– W zamian za co?

– Za film z Bennettem.

Carter uśmiecha się. Teraz już wszystko rozumie.

– Więc twoi szefowie wypuścili swojego murzyna z klatki, żeby przyniósł im ten film.

– To właśnie ja.

– A dlaczego myślisz, że mam ten film?

– Bo jesteś DeVonem Carterem.

Ma go.

Malone widzi to w jego oczach.

– Więc chcesz, żebym sprzedał swoich ludzi i kupił za to ochronę białych.

– Sprzedawałeś swoich ludzi, odkąd wystawiłeś pierwszą partię towaru na ulicę.

– I to mówi brudny gliniarz, który handlował heroiną.

– Dlatego właśnie o tym wiem – mówi Malone. – Jesteśmy tacy sami, ty i ja. Obydwaj jesteśmy dinozaurami, które próbują sobie kupić odrobinę więcej czasu, zanim wyginą.

– Taka jest ludzka natura – stwierdza Carter. – Człowiek chce oddychać, dopóki może, a król chce zostać na tronie. Byliśmy królami, Malone.

– Byliśmy.

– Szkoda, że nie pracowaliśmy razem. Nadal bylibyśmy królami.

– Jeszcze możemy nimi być.

– Jeśli dam ci tę taśmę.

– To bardzo proste – mówi Malone. – Jeśli dasz mi tę taśmę, to będziemy rządzić północnym Manhattanem razem. Nikt nie będzie mógł nas tknąć.

Carter patrzy na niego przez dłuższą chwilę, po czym mówi:

– Wiesz, co jest najlepsze w tych zamieszkach? Palą to, co i tak należałoby rozebrać. Slumsy, brudne sklepiki, obskurne bary. Potem tanio kupujesz te działki, stawiasz ładne budynki i sprzedajesz drogo. Dam ci pewną radę, Malone. Weź te pieniądze, które zarobiłeś na brudnym handlu narkotykami, i włóż je w nieruchomości, a staniesz się podporą społeczeństwa.

– Czy to znaczy, że umowa stoi?

– Zawsze mieliśmy umowę.

– Muszę zobaczyć ten film.

Carter ma piękny monitor z płaskim ekranem.

Podłącza do niego iPhone'a.

Obraz jest boleśnie wyraźny.

Michael Bennett jest typowym chłopakiem z ulicy w szarej bluzie z kapturem, workowatych dżinsach i butach do koszykówki. Stoi pośrodku ulicy i kłóci się z policjantem w mundurze. Kłóci się z Hayesem.

Hayes wyciąga kajdanki.

Bennett odwraca się i ucieka.

Jest szybki, jak to siedemnastolatek, ale nie szybszy niż kula.

Hayes wyciąga służbową broń i opróżnia magazynek.

Ciało Bennetta obraca się tak, że dwa ostatnie strzały trafiają go w twarz i pierś, zupełnie odwrotnie, niż stwierdził patolog.

Jezu Chryste.

To zwykłe morderstwo.

Czarne życie ma znaczenie, myśli Malone.

Ale trochę mniejsze niż białe życie.

– Zrobiłeś kopię – stwierdza Malone.

– Oczywiście – mówi Carter. – Pani Carter nie wychowała głupich czarnych dzieci. Powiedz swoim szefom, że jeśli cokolwiek mi się przydarzy, ten film zostanie upubliczniony w pięćdziesięciu głównych serwisach medialnych i w internecie. Wtedy zapłonie całe miasto. Możesz zawrzeć z nimi taką samą umowę, nie mam nic przeciwko temu. Chcę, żebyś wrócił na ulicę. – Podaje Malone’owi telefon. – Zamieszki w końcu ucichną, tak jak zawsze. Ty i ja znów będziemy starali się utrzymać pokrywkę nad tym kociołkiem, bo zawsze tak było. Postaraj się o to, żeby północny Manhattan był bezpiecznym miejscem do lokowania pieniędzy w nieruchomości. A teraz idź i powiedz panu Andersonowi, że dopóki zostawi moją piaskownicę w spokoju, nie będzie musiał się martwić o ten film.

Malone wkłada telefon do kieszeni.

– Wszystko jasne? – pyta Carter.

– Zapytam cię o coś – mówi Malone. – Kim był Benjamin Coombs?

Carter wydaje się zaskoczony. Szuka w pamięci tego nazwiska, jakby to był jakiś afroamerykański malarz, o którym nie słyszał, ale nic mu się nie kojarzy i w końcu z irytacją pyta:

– Kto?

Malone wyciąga pistolet.

– Śmierdziel – mówi.

Pakuje dwie kule w pierś Cartera.

## ROZDZIAŁ 37

Czekają na niego w penthousie Andersona.

Cała banda.

Jak grupowy portret namalowany dwa razy w dwa kolejne dni. Ci sami ludzie w innych pozach, ale wszyscy wbijają wzrok w Malone'a, który staje w drzwiach.

– Obmacajcie go – mówi komendant Neely.

– Dlaczego? – pyta Berger.

– Przecież jest donosicielem. – Szef detektywów podchodzi do Malone'a i zaczyna go obszukiwać. Patrząc mu prosto w twarz, mówi: – Szczur zawsze pozostanie szczurem. Nie chcę pozbyć się jednego nagrania tylko po to, żeby pojawiło się jeszcze gorsze.

– Nie mam żadnego mikrofonu – mówi Malone, podnosząc rękę. – Ale proszę bardzo, sir.

Neely oklepuje go, potem spogląda na całą grupę i mówi:

– Jest czysty.

– Masz ten film? – pyta Paz.

– Nie martw się, mam. Taka była umowa, prawda? Jak wam przyniosę taśmę z Bennettem, wypuszczacie mnie na wolność?

Paz kiwa głową.

– Nie – mówi Malone, przewiercając ją wzrokiem. – Chcę usłyszeć, jak to mówisz. Chcę, żebyś powtórzyła tę propozycję głośno, jasno i wyraźnie.

– Taka była umowa – mówi Paz.

– Tak, taka była umowa – powtarza Malone. – To było przedtem.

– Przed czym? – pyta Anderson.



– Zanim to zobaczyłem – mówi Malone. – Zanim zobaczyłem, jak nasz człowiek zabija tego chłopaka. Zabija, kiedy tamten ucieka. To było zwykłe morderstwo. Więc teraz ten film jest wart więcej.

– Czego chcesz? – pyta Anderson.

– Chcę wrócić do pracy – mówi Malone. – Chcę znowu rządzić północnym Manhattanem. To moja cena. Cena Cartera jest nieco wyższa. Dostanie wolną rękę w prowadzeniu swojego biznesu narkotykowego. Zajmiemy się Dominikańczykami, a jego zostawimy w spokoju. Jeśli zamierzacie nasłać snajpera na niego albo na mnie, od razu możecie o tym zapomnieć.

– Są kopie tego filmu – stwierdza Anderson.

– A myśleliście, że gracie z dziećmi? Z durną policją i jeszcze durniejszymi małpami? Carter i tak jest pańskim partnerem w handlu nieruchomościami, prawda, panie Anderson? Ale proszę się nie martwić. Jeśli wy dotrzymacie umowy ze swojej strony, my też jej dotrzymamy.

– Nie możemy tolerować... – mówi burmistrz.

– Owszem, możemy. – Anderson nie spuszcza wzroku z Malone'a. – Możemy i będziemy tolerować. Nie mamy wyboru, prawda?

– Umowa dotyczy wszystkich, tak? – Malone przebiega pokój wzrokiem, przenosząc spojrzenie z jednej twarzy na następną, tak jak w starych westernach Johna Forda, które lubił jego ojciec: kolejne zbliżenia twarzy, na których odbija się nadzieja, strach, złość, niepokój, wyzwanie. Tylko że to nie są twarze kowbojów, to są twarze ludzi z miasta, nowojorczyków, ludzi, którzy mają mnóstwo pieniędzy, charakteru, cynizmu, zachłanności i energii. – Pan burmistrz, pan komisarz, komendant Neely, agent do zadań specjalnych O'Dell, pani Paz, pan Anderson, wszyscy zgadzacie się na tę umowę, tak? Proszę przemówić teraz albo na zawsze...

– Daj nam ten cholerny film – mówi Anderson.

Malone rzuca mu telefon.

– To jest oryginał. Carter nie żyje. Film jest już pewnie dostępny na CNN, Fox, Channel 11, w sieci. Nie wiem, gdzie jeszcze.

Paz wpatruje się w niego z niedowierzaniem.

– Wiesz, coś ty zrobił? – pyta Anderson. – Spaliłeś to miasto. Podpaliłeś cały kraj.

– Nie mogę ci już w niczym pomóc, Denny – mówi Berger. – Nic nie mogę zrobić, żeby cię ocalić.

– To dobrze – mówi Malone. – Nie chcę być ocalony. Kochałem tę robotę. Kochałem ją. Kochałem to pieprzone miasto. Ale teraz wszystko jest nie tak. Wszystko spieprzyliście. Pierdolicie się. Indywidualnie i zbiorowo, pierdolicie się wszyscy. Spędziłem na tych ulicach osiemnaście lat. Przechodziłem przez korytarze, przez drzwi. Robiłem to, co chcieliście, żebym robił. Nie chcieliście wiedzieć, jak to zrobię, chcieliście tylko, żeby to było zrobione. Robiłem to dla was, a teraz już koniec. Teraz musicie żyć z tym, co się stanie, kiedy nie będzie już takich gości jak ja, którzy mogliby nie dopuścić do tego, żeby zwierzęta wyrwały się z klatek, przeszły przez cały Broadway i zdobyły to, czego nie pozwalaliście im zdobyć przez czterysta lat.

Milczy przez chwilę, znów sycąc się widokiem ich twarzy.

– Mówicie, że jestem brudnym gliniarzem, ja i moi partnerzy, ja i moi bracia. Mówicie, że jesteśmy skorumpowani. A ja mówię, że to wy jesteście skorumpowani. To wy jesteście korupcją, zgnilizną w duszy tego miasta i tego kraju. Bierzecie miliony łapówek za pozwolenia budowlane, ale zgodziliście się mnie wypuścić wolno, żeby to ukryć. Lordowie slumsów dostają certyfikaty na budynki bez ogrzewania i z nie działającymi toaletami, a wy przymykacie na to oczy. Sędziowie kupują ławy

przysięgłych i sprzedają sprawy, żeby sobie to odbić. Ale wy nie chcecie o tym słyszeć.

Patrzy na komisarza.

– Przyjmujecie prezenty, wycieczki, darmowe posiłki, bilety od bogatych obywateli miasta, żeby chronić ich przed mandatami, wezwaniami, oskarżeniami. Dajecie im broń, a potem niszcycie policjantów, bo przyjęli darmowy kubek kawy, napój czy pieprzoną kanapkę.

Patrzy na Andersona:

– A ty zbudowałeś ten penthouse za pieniądze z narkotyków. Ten cały pieprzony budynek jest zbudowany na stercie białego proszku i grzbietach biedaków. Wstyd mi, że kiedyś dla ciebie pracowałem, że pomagałem cię chronić.

Znów milczy przez chwilę.

– Tak, jestem brudnym gliniarzem. Jestem niewłaściwym człowiekiem. Odpowiem za to, co zrobiłem, przed Bogiem, ale nie przed wami. Nie przed żadnym z was. Ta wojna narkotykowa to dla was tylko sposób, żeby utrzymać czarnuchów i Latynosów na swoim miejscu, zapełnić sądy i areszty, dać robotę prawnikom, strażnikom więziennym i tak, policji w całej jej pieprzonej sile. Bawicie się cyferkami, żeby wyszło z nich to, co chcecie, żebyście dzięki temu dostali awanse, trafili na nagłówki gazet i zrobili kariery polityczne.

Rozgląda się wokół, szuka ich spojrzeń.

– Ale to my wychodzimy na ulice. My znajdujemy ciała, my mówimy rodzinom, my widzimy ich łzy. Wracamy do domów i płaczemy, wykrwawiamy się, umieramy. A wy? Za każdym razem, kiedy pojawiają się kłopoty, spuszczaście nas z prądem. Ale my wychodzimy na ulice i bez względu na wszystko, bez względu na to, co jeszcze zrobiliśmy czy co

o nas myślicie, kiedy zagubimy się po drodze, to my tam wychodzimy i próbujemy chronić tych porządnych ludzi.

I wreszcie kończy:

– Brudni gliniarze to moi bracia i moje siostry. Może są brudni, może zbłądzili, ale są lepsi od was. Każdy z nich jest lepszy niż każdy z was.

Malone wychodzi. Nikt nie próbuje go zatrzymać. Idzie Piątą Aleją na południową stronę Central Parku, skręca w stronę Columbus Circle i kiedy już jest w połowie drogi, ogląda się przez ramię i widzi O'Della, który idzie za nim, trzymając prawą rękę pod kurtką. Idzie szybko, zdecydowanym krokiem, jak człowiek, który ma misję.

Równie dobre miejsce, jak każde inne, myśli Malone.

Obraca się i czeka.

O'Dell podchodzi do niego, jest nieco zdyszany.

– Masz? – pyta Malone.

O'Dell rozchyła koszulę i pokazuje mu kabelek.

– Jadę najbliższym ekspresem do Waszyngtonu. Będą próbowali cię dopaść, wiesz o tym.

– Wiem. Ciebie też.

– Może gdy ludzie usłyszą, co jest na tej taśmie...

– Może – mówi Malone. – Ale nie liczyłbym na to za bardzo. Oni też mają przyjaciół w Waszyngtonie. Uważaj na siebie, okej? Miej oczy dokoła głowy.

Ludzie przepływają wokół nich jak woda dokoła kamienia. Opływają ich, tę nieruchomą przeszkodę w mieście nieustannego ruchu.

– Co teraz zamierzasz? – pyta O'Dell.

Malone wzrusza ramionami.

Będę robił jedyną rzecz, jaką umiem robić, myśli.

## ROZDZIAŁ 38

Nowy Jork, czwarta rano.

Miasto nie śpi, tylko odpoczywa, zdyszane po kolejnej nocy zamieszek, które wybuchły ze zdwojoną siłą, gdy ludzie zobaczyli film z Bennettem.

Buntownicy przeszli Broadwayem od strony Harlemu, rozbijając okna i plądrując sklepy. Najpierw dokoła uniwersytetów Columbia i Barnard, potem zagłębili się w Upper West Side, przewracali samochody, okradali taksówkarzy, bili wszystkich białych, którzy nie zamknęli się w budynkach, wzniecali pożary, aż w końcu Gwardia Narodowa utworzyła szpaler przy Siedemdziesiątej Dziewiątej i wypaliła pierwsze gumowe kule, a potem zaczęła strzelać z ostrej amunicji.

Trzynastu cywilów, wszyscy czarni, zostało postrzelonych, dwóch śmiertelnie.

Ale to nie był tylko Nowy Jork.

Protesty przekształciły się w zamieszki w Newark, Camden, Filadelfii, Baltimore i Waszyngtonie. Do wieczora, jak iskry niesione gwałtownym wiatrem, przeniosły się do Chicago, East St. Louis, Kansas City, Nowego Orleanu i Houston.

Los Angeles zapłonęło później.

Watts, South Central, Compton, Inglewood.

Wezwano oddziały Gwardii Narodowej. Federalne jednostki wysłano do Los Angeles, Nowego Orleanu i Newark. Rozruchy spowodowane filmem z Michaeliem Bennettem były najgorsze od czasów Rodneya Kinga i długich upalnych miesięcy w latach sześćdziesiątych.

Malone obserwował wszystko ze stołka przy barze w Dublin House.

Widział prezydenta, który pojawił się i prosił o spokój. Gdy prezydent skończył mówić, Malone poszedł do męskiej toalety i po trzech Jamesonach połknął cztery tabletki na energię.

Wiedział, że będzie ich potrzebował.

Wiedział, że będą go szukać.

Pewnie już byli w jego mieszkaniu.

Wyszedł z baru i wszedł do samochodu.

To jego samochód, jego ukochane Camaro, które kupił, gdy został promowany na sierżanta.

Z głośnikami podkreconymi na cały regulator jedzie Broadwayem za innym samochodem.

Droga na północ od centrum jest podróżą przez roztrzaskane marzenia.

Całe dziesięciolecie postępu spłonęło w ciągu kilku dni furii i nocy cierpienia. Malone krążył tymi ulicami przez osiemnaście lat. Widział je, gdy były pustynią getta, widział, jak rozkwitały i wzrastały, a teraz znów patrzy na zabite deskami wystawy i zwęglone fronty sklepów.

Wewnątrz ludzie wciąż mają te same marzenia, przeżywają te same rozczarowania, miłość, nienawiść, wstyd. Wszystko jest takie samo, ale marzenia pozostają w zawieszaniu.

Przejeżdża obok sklepu warzywnego Hamilton, obok Big Brother Barber Shop, apteki Apollo, cmentarza przy kościele Świętej Trójcy i muralu z krukiem na Sto Pięćdziesiątej Piątej Ulicy, obok kościoła Wstawiennictwa Bożego – ale już za późno na wstawiennictwo, myśli Malone – obok Wahi Diner i drobnych miejscowych bogów, jego osobistych świątyń, wyznaczników jego życia na tych ulicach, które kocha, jak mąż kocha zdradzającą żonę, a ojciec zbłąkanego syna.

Jedzie za tamtym samochodem w górę Broadwayu.

Z głośników wali „Illmatic” Nasa.

Nas śpiewa, że nigdy nie śpi, bo sen to kuzyn śmierci.

Nas śpiewa o „nowojorskim stanie umysłu”.

Nas śpiewa o...

W głowie Malone’a kłębią się myśli:

Kiedy ostatni raz jechałeś na północ tak wcześnie rano, byli z tobą bracia, partnerzy. Bezwzględni i roześmiani.

To była ta noc, kiedy zginął Billy O.

Teraz Monty właściwie już nie żyje.

Russo nie jest już twoim bratem.

Levin, którego miałeś chronić, jest martwy.

A twoja rodzina, dla której podobno to wszystko robiłeś, odeszła i nie chce cię zobaczyć.

Nie masz nic.

Jest czwarta rano w Nowym Jorku.

Czas marzeń na jawie.

Czas przebudzenia ze snów.

Samochód, za którym jedzie, skręca w lewo w Sto Siedemdziesiątą Siódmą i zmierza na zachód obok Fort Washington i Pinehurst Avenue, a potem znów skręca w lewo w Haven Avenue, przekracza Sto Siedemdziesiątą Szóstą i zatrzymuje się po wschodniej stronie Haven, tuż przy Wright Parku. Malone widzi, jak Gallina, Tenelli i Ortiz wysiadają i wchodzą do budynku, nie próbując nawet zamaskować karabinów automatycznych M4 i rugera 14.

Czujki Trinitarian wpuszczają ich do środka.

Dlaczego nie, myśli Malone. Teraz są po tej samej stronie. Tenelli wykonała ruch i postawiła na właściwego konia.

Pod budynek podejżdza czarny navigator i z tylnego siedzenia wysiada Carlos Castillo, a za nim dwóch cyngli. Stają po obu jego stronach

i wchodzą do środka. Malone jedzie nieco dalej, zatrzymuje się przy Pinehurst Avenue i parkuje w końcu ślepego zaułka.

I znów docierają do niego słowa Nasa.

Który śpiewa o ogarniającym go zdumieniu, gdy zanurza się w przeszłość.

I o tym, że nic nie może się równać z „nowojorskim stanem umysłu”.

Cokolwiek to ma znaczyć.

Malone chyba wie.

Ma sig sauera i berettę, nóż przy kostce i granat hukowo-błyskowy.

Ale nie ma Billy’ego O, Russa, Monty’ego ani Levina, żeby zabezpieczali mu tyły.

Wkłada kamizelkę kuloodporną i mocno ściska ją paskami. Żałuje, że nie może znów usłyszeć głosu wielkiego Monty’ego, który narzeka na ciasną kamizelkę, zsuwa kapelusz na tył głowy i roluje cygaro.

Wkłada na szyję smycz z odznaką, potem sięga do skrzynki po łom, przecina park i wchodzi w alejkę za domem Castilla.

Schodami przeciwpożarowymi dociera do krawędzi dachu.

Trinitarianin stojący na czujce patrzy w drugą stronę ulicy, jest trochę odjechany, nie wypatruje zbyt uważnie. Malone czuje zapach trawki.

Przesuwa się po dachu. Otacza lewym ramieniem szyję Trinitarianina i pociąga go w górę tak mocno i zręcznie, że schwyty nie wydaje żadnego dźwięku, gdy Malone pakuje mu w plecy dwie kulki z siga. Gdy ciało staje się bezwładne, Malone spokojnie je wypuszcza.

Nikt nie zwrócił uwagi na strzały. W całym mieście wciąż ktoś gdzieś strzela i radiowozy przestały już reagować na kod dziesięć-trzydzieści, a niezmordowani imprezowicze wciąż wypuszczają fajerwerki z okazji czwartego lipca.



Malone spogląda w stronę centrum. Widzi niesamowity pomarańczowy blask płomieni i chmury gęstego czarnego dymu wznoszące się na nocnym niebie.

Idzie do drzwi na dachu.

Są zamknięte, więc otwiera je łomem. Drzwi nie chcą puścić i znów żałuje, że nie ma z nim Monty'ego, ale naciska dalej. W końcu zamek poddaje się i drzwi stają otworem.

Schodzi po schodach.

Moja ostatnia akcja na schodach, myśli.

Trzyma przed sobą siga.

Kolejne drzwi, ale nie są zamknięte na klucz.

Za nimi ciągnie się korytarz.

Słabe światło świetlówki zwisającej z zardzewiałego łańcucha rzuca chory, żółty blask na twarz zdziwionego wartownika za drewnianymi drzwiami na końcu korytarza.

Jego usta układają się w puste O.

Mózg śpieszy przesłać sygnał, który nie zdąży już dotrzeć do ręki, bo Malone strzela do niego dwa razy i wartownik zwija się przed drzwiami jak pomięta wycieraczka.

Ostatnie drzwi, myśli Malone.

Przypomina mu się Billy O.

I Levin.

Tak wiele pieprzonych drzwi, tak wiele rzeczy po drugiej stronie.

Zbyt wielu martwych.

Martwe rodziny, martwe dzieci.

Martwa dusza.

Przyciska się do ściany i ostrożnie posuwa w stronę drzwi. Rozlegają się strzały. Kule dużego kalibru przeszywają drewno, sypią się drzazgi.

Malone krzyczy jakby z bólu i rzuca się twarzą w dół na podłogę.

Drzwi otwierają się.

Gallina trzyma przed sobą pistolet. Źrenice ma rozszerzone od adrenaliny. Obraca głowę dokoła, wypatrując zagrożenia, a potem widzi martwe ciało u swoich stóp.

Malone wypala mu w pierś.

Gallina obraca się wokół własnej osi jak fontanna tryskająca krwią.

Pistolet wypada mu z ręki i ze szczękiem uderza o podłogę.

Kolejne kule wbijają się w ścianę nad głową Malone'a, który przetacza się po podłodze na drugą stronę. Pistolet Trinitarianina zatacza szeroki łuk w drzwiach, szukając go.

Malone wyciąga zawleczkę z granatu hukowego, wrzuca go za drzwi i wciska twarz w zgięcie łokcia.

Huk jest okropny, wywołuje mdłości.

Białe światło rozmywa wszystko.

Liczy do pięciu, potem zrywa się na nogi i rzuca się przez otwarte drzwi. Wybuch granatu pozbawił go poczucia równowagi, nogi chwieją się pod nim jak pod pijakiem. Jakiś Trinitarianin wytacza się z drzwi, wrzeszcząc na całe gardło. Twarz ma poparzoną, zielona bandana na szyi płonie. Łapie się za gardło, żeby ściągnąć płonąca pętlę, obija się o Malone'a i przewraca go, wytrącając mu z ręki sigę. Malone nie może go dostrzec, więc wyciąga zza pasa berettę. Z góry patrzy na niego Ortiz. Podnosi do góry rugera.

Malone strzela, przesuwał się na tyłku w taki sposób, żeby mieć ścianę za plecami. Ortiz wydaje z siebie głuchy jęk i opada na kolana, ale ruger wciąż jest wycelowany w Malone'a, który wbija w Ortiza jeszcze dwie kule.

Ortiz upada na twarz.

Pod jego ciałem zbiera się kałuża krwi.

Heroina, pięćdziesiąt kilo Dark Horse, leży na stołach w równych stertach.

Za jednym ze stołów siedzi spokojnie Castillo ukryty za swoim towarem niczym Midas liczący złote sztaby.

Malone podnosi się i celuje w niego z beretty.

– Myślałem, że to będzie Carter – mówi Castillo.

Malone potrząsa głową.

– Zabiłeś jednego z moich braci. Drugi ma martwy mózg.

– Ta gra, w którą gramy, jest niebezpieczna – mówi Castillo. – Zawsze wiedzieliśmy, jakie jest ryzyko. Więc co będziemy tu robić?

Uśmiecha się.

Jest to uśmiech szatana przy spotkaniu z Faustem.

Jedno szybkie spojrzenie mówi Malone'owi, że jest tu cała Dark Horse. Mieli zamiar porozdzielać towar, żeby wyprowadzić go na ulice.

Jego ulice.

Kiedy poprzednim razem stał w tym miejscu, popełnił największy błąd w całym swoim życiu. Teraz mówi:

– Jesteś aresztowany. Masz prawo...

Dwa wystrzały popychają go do przodu jak dwa uderzenia. Upada na twarz, ale przed zetknięciem z podłogą obraca się, podnosi wzrok i widzi Tenelli.

Jego palec raz za razem naciska na spust.

Cztery kule przeszywają ją od dołu do góry, od podbrzusza przez żołądek, pierś i szyję.

Czarne włosy smagają ją po twarzy.

Gdy kula trafia w szyję, Tenelli zamierza się ręką, jakby był to komar, a potem siada na podłodze i patrzy na Malone'a z dziwnym uśmiechem,

jakby była zdziwiona, że umiera, jakby nie mogła uwierzyć, że była na tyle głupia, by dać się zabić.

Z głębi jej piersi wyrywa się chrypienie, oczy wychodzą z orbit. Już po niej.

Malone podnosi się.

Ból jest okropny.

Klnie, a potem wyrzuca z siebie wymioty. Pochyliła się i znów wymiotuje. Spogląda w dół i widzi krew wypływającą z rany wylotowej poniżej kamizelki. Dotyka rany i krew przecieka mu przez palce, które stają się czerwone, gorące i lepkie.

Mierzy z pistoletu w głowę Castilla i naciska na spust. Słyszy metaliczne kliknięcie. Magazynek jest pusty. Castillo wybucha śmiechem. Podnosi się z krzesła, podchodzi do niego, kładzie rękę na piersi Malone'a i popycha go w dół.

Nie trzeba wiele.

Malone opada na podłogę, ledwie się utrzymuje na czworakach.

Jak zwierzę.

Ranne zwierzę, które trzeba dobić.

Castillo wyciąga spod kurtki pistolet.

Mały zgrabny taurus PT22.

Mały, ale wystarczy.

Castillo przykłada lufę do głowy Malone'a.

– *Por Diego.*

Malone nic nie mówi. Wyciąga nóż komandoski zza kostki, podnosi się i uderza za plecami.

Pistolet wypala z ogłuszającym hukiem, ale Malone wciąż żyje w świecie pełnym czerwonego światła i czerwonego bólu. Podnosi się, obraca i przejeżdża nożem po nodze Castilla, rozcinając tętnicę udową.

Patrzy na twarz Castilla, wyciąga nóż, a potem wbija go w żołądek i prowadzi ostrze wyżej.

Usta Castilla otwierają się szeroko.

Wydobywa się z nich niehumaniczny dźwięk.

Malone wyciąga nóż i Castillo upada.

Jego krew tryska na pierś Malone'a.

Malone chwiejnie podchodzi do stołu i ładuje paczki heroiny do brezentowych worków.

## ROZDZIAŁ 39

Kiedyś Malone zabrał rodzinę na wiosenne ferie do White Mountains w New Hampshire. Wynajęli mały domek w kanionie nad rzeką. Któregoś ranka wstał wcześniej i puścił wodę z kranu. Była tak zimna, że prawie bolało, gdy ją pił, ale tak czysta i smakowała tak dobrze, że nie mógł przestać.

To była udana podróż, udane wakacje.

Teraz, gdy wychodzi z budynku na ulicę, słyszy dobiegającą z jakiegoś boomboksa muzykę bachata.

Śmigła helikoptera rozcinają powietrze.

Wszystko go boli i chce mu się pić. Idzie, a właściwie wlecze się, niosąc ciężkie worki na zachód przez Sto Siedemdziesiątą Szóstą w stronę Haven. Przekracza ulicę i kuśtykając, wychodzi na Riverside, a potem między drzewa po drugiej stronie, zostawiając za sobą ścieżkę krwi jak brudny sekret. Potyka się o korzeń i przewraca.

Dobrze by było po prostu tu zostać, leżeć tak i zasnąć w ciepłej trawie, ale przeszywa go ból i wie, że nie może tu zostać, musi gdzieś dojść. Z trudem gramoli się na nogi i idzie dalej.

John złapał w rzece pstrąga. Gdy Malone położył go na pniaku i zaczął czyścić, John rozpłakał się na widok wyjmowanych z ryby wnętrzności. Płakał, bo było mu przykro, że zabił rybę.

Malone wchodzi na most Henry'ego Hudsona.

Jakiś samochód ryczy klaksonem, omijając go. Z okna dochodzi krzyk:

– Pieprzony pijak!

Przechodzi przez nitkę biegnącą na północ, potem przez południową i znów jest pomiędzy drzewami. Dociera do boiska do koszykówki. Teraz, wczesnym rankiem, boisko jest puste. Widzi już rzekę, ale musi oprzeć się o słupek, żeby odpocząć i odzyskać równowagę. Pochyla się i znów wymiotuje. Potem znów rusza, dochodzi do kolejnych drzew i przytrzymuje się ich, aż wreszcie ma przed sobą kamienie na brzegu rzeki.

Siada.

Rozsuwa zamki worków i wyjmuje z nich paczki heroiny.

Billy O podnosi wzrok i uśmiecha się do niego.

– Jesteśmy bogaci.

Potem pies zaczyna szarpać się na łańcuchu.

Szczeniaki piszczą. Kuleczki wierzgającego życia.

Dzień, gdy Malone skończył akademię, był jednym z tych wiosennych dni, jakie czasami zdarzają się w Nowym Jorku – jednym z tych wspaniałych dni, gdy się wie, że nie chciałoby się być w żadnym innym miejscu na świecie i nie chciałoby się być nikim innym niż sobą w tym miejscu, w tym mieście, w tym świecie.

Był młody. Młody, czysty, pełen nadziei, dumy i wiary – wiary w Boga, w siebie i w pracę, w swoją misję: chronić i służyć.

Wbija nóż w paczkę heroiny, rozdziera plastik i wrzuca ją do rzeki. Robi to z następną paczką i z następną.

Tamtego wiosennego dnia stał pośrodku błękitnego oceanu złożonego z jego braci i sióstr, przyjaciół, towarzyszy broni. Byli wśród nich biali, czarni, brązowi i żółci, ale tak naprawdę wszyscy byli niebiescy.

Gdy wchodzili do sali i stawali na baczność, Sinatra śpiewał „New York, New York”.

Powinienem nadać kod dziesięć-trzyście, myśli. Policjant postrzelony, potrzebuje pomocy. Ale nie ma przy sobie radia i nie pamięta, gdzie jest

telefon. Zresztą i tak nie ma to znaczenia, bo nikt by nie przyjechał, gdyby usłyszeli, że to on. A nawet gdyby przyjechali, to nie zdążyliby na czas.

Trzeba było wywołać dziesięć-trzydzieści już dawno.

Zanim zrobiło się za późno.

Skóra Claudette jest czarna na tle białego jedwabiu w tym najmniejszym miejscu na świecie, na świecie złożonym z betonu i asfaltu, stalowych kajdanków i krat, twardych słów i jeszcze twardszych myśli. Jej skóra jest ciemna, miękka i chłodna tak niedaleko od emanującego z niej ciepła.

Opróżnia jeden worek i zabiera się do następnego. Chce skończyć, zanim uśnie.

Levin uśmiecha się do niego. Jesteśmy bogaci.

Nie, to był Billy.

Albo Liam.

Tak wielu zmarłych.

Zbyt wielu.

Gdy rodził się John, trwało to tak długo, że gdy w końcu wysunął się na świat, Malone był tak zmęczony, że położył się na wózku szpitalnym i wszyscy troje zasnęli razem.

Caitlin przysłała na świat druga, więc trwało to znacznie krócej.

Jezu, to boli.

Malone w nowym niebieskim mundurze z nową odznaką w czapce i białych rękawiczkach. Jego matka, jego brat Liam i Sheila patrzą na niego, a on żałuje, że ojciec tego nie dożył. Byłby dumny, choć mówił Malone'owi, że nie chce dla niego takiego życia, ale to było jedyne życie, jakie znała jego rodzina, jego ojciec i dziadek, to było ich życie, to, co robili, to, w co wierzyli – przechodzenie przez ból i rozpacz – to właśnie robili, i żałował, że ojciec nie może zobaczyć, jak składa przysięgę.



*Przysięgam strzec konstytucji Stanów Zjednoczonych oraz konstytucji stanu Nowy Jork i wiernie pełnić obowiązki policjanta w departamencie policji miasta Nowy Jork w miarę moich umiejętności. Tak mi dopomóż Bóg.*

Tak mi dopomóż Bóg.

Bóg nie dopomoże, bo dlaczego miałby mi pomóc?

Ból wgryza się w jego wnętrze. Malone krzyczy i wije się na skałach.

John płakał po tej rybie. Płakał.

Powietrze śmierdzi popiołem. Tak jak w dniu, kiedy zginął Liam.

Popiół, dym, roztrzaskane budynki i złamane serca.

Łzy znaczyły ślady na zwęglonych policzkach.

Teraz miasto się budzi.

Syreny wyją jak nowo narodzone dzieci.

Malone obraca się i patrzy na swoje królestwo w płomieniach. Chmury dymu wznoszą się jak ze stosów pogrzebowych.

Rozcina następną paczkę i wrzuca ją do rzeki.

Potem wyrzuca białe rękawiczki w powietrze  
a niebieskie i białe konfetti sypią się na niego

na jego braci i siostry

i wszyscy krzyczą ile tchu w płucach tłum wiwatuje...

W tamtej chwili Malone wie

że tego właśnie chce

tego zawsze chciał

tak spędzi całe życie

odda temu krew duszę

i całą swoją istotę.

W jego sercu płonie czysty ogień.

To najlepszy dzień jego życia.

Ale to nie dzisiaj, przypomina sobie.

To nie teraz, to było wtedy.

Heroina sypie się z sufitu, jakby w pokoju padał śnieg. Łagodnie opada na rany Billy'ego, na jego krew, na żyły, łagodzi ból.

Billy, czy jeszcze cię boli?

Czy ten ból ustaje?

Czy się kończy?

Nasze początki nie znają naszego końca, nasza niewinność nie potrafi sobie wyobrazić własnego zepsucia. Wtedy wiedział tylko, że kocha tę robotę, w tych pierwszych latach, kiedy chodził lub jeździł po ulicach w mundurze i wiedział, że ludzie go widzą, niewinni ludzie czuli się bezpieczni, bo on tam był, a winni czuli się zagrożeni, bo on tam był.

Przypomina sobie swoje pierwsze aresztowanie, tak jak pamięta się pierwszą noc z dziewczyną. Bandzior, który napadł na staruszkę. Malone znalazł go i zgarnął z ulicy. Okazało się, że był poszukiwany za dziesięć innych rabunków i miasto stało się bezpieczniejsze, ludzie byli bezpieczniejsi, bo Malone był w tej robocie, bo Malone był policjantem.

Kochał to, jak ludzie na niego patrzyli, prosząc, żeby im pomógł, ocalił przed drapieżnikami albo przed nimi samymi. Kochał to, że szukali u niego pomocy, odpowiedzi, a nawet oskarżeń i rozgrzeszenia. Kochał to miasto, kochał ludzi, których chronił i którym służył.

Kochał policję.

Nie potrafił sobie wtedy wyobrazić, że te ulice mogą go znużyć, że praca go znuży. Że rozpacz i złość ciała, ból serca, cierpienie, głupota, cynizm zmielą jego duszę jak żarna, stępią ją, zamiast wyostrzyć, zostawiając poszarpane brzegi i niewidoczne, złowieszcze rysy, które będą się rozszerzać, aż stal pęknie i rozsypie się na kawałki, aż zrozumie, co zabiło

jego ojca, dlaczego jego niebieski mundur leżał rozpostarty na brudnym śniegu i dlaczego Billy O leżał na podłodze zasypanej brudnymi pieniędzmi, z zatrutym ciałem i krwią.

Na początku dusza Malone'a była błyszcząca jak nowa odznaka. Potem pociemniała i zmieniła się w złoto, a teraz jest czarna jak noc.

Wrzuca ostatnią paczkę do wody.

Dobrze. Ta heroina nie trafi już na jego ulice.

Robota skończona. Kładzie się na plecach.

Ojciec zmarł w stercie brudnego śniegu, Liam pod spalonym budynkiem, ja na ostrych skałach, patrząc na niebo.

Niebo jest szare, słońce niedługo wzejdzie.

Wyją syreny.

W uszach słyszy trzask radia.

Dziesięć-trzydzieści, dziesięć-trzydzieści.

Postrzelony funkcjonariusz.

Potem niebo staje się białe, syreny milkną, radio cichnie, a Malone znów przeprowadza swoje pierwsze aresztowanie faceta, który obrabował staruszkę.

Przez całe życie Denny Malone chciał tylko być dobrym policjantem.

## PODZIĘKOWANIA

Wielu funkcjonariuszy policji, czynnych i w stanie spoczynku, okazało mi niezwykłą wielkoduszność, dzieląc się ze mną swoim czasem, doświadczeniami, opowieściami, przemyśleniami, opiniami i emocjami. Jestem im niezmiernie zobowiązany, ale mógłbym się im źle przysłużyć, wymieniając ich nazwiska. Wiecie, kim jesteście, a ja nigdy nie będę w stanie wyrazić wam ogromu mojej wdzięczności. Chciałbym podziękować również za to, co zrobiliście i co nadal robicie.

Skoro już jesteśmy przy podziękowaniach, ta książka zaczęła się od porannego telefonu od Shane'a Salerna, mojego współnika w pisaniu powieści kryminalnych i przyjaciela już od niemal dwudziestu lat. Dziękuję mu za inspirację, twórczy wkład, niezachwiane wsparcie i ogromnie potrzebny śmiech. To była niezła jazda, bracie.

Chciałbym także podziękować Davidowi Highfillowi za to, że zapoznał mnie z Williamem Morrowem i za staranną redakcję manuskryptu.

Dziękuję Deborah Randall, Davidowi Kollowi, Nickowi Carrarze i wszystkim ze Story Factory.

Michaelowi Morrisonowi, Liate Stehlik, Lynn Grady, Kaitlin Harri, Jennifer Hart, Sharyn Rosenblum, Shelby'emu Meizlikowi, Brianowi Groganowi, Danielle Bartlet, Juliette Shapland, Samancie Hagerbaumer i Chloe Moffett za entuzjastyczne wspieranie tej książki oraz za ciężką pracę, która umożliwiła jej publikację.

Dziękuję też naszym redaktorkom Laurie Cherkas i Laurie McGee za ich trud.

Ridleyowi Scottowi, Emmie Watts, Steve'owi Asbellowi, Michaelowi Schaeferowi i wytwórni Twentieth Century Fox za ich wiarę w ten manuskrypt i zakup praw do ekranizacji po naszej udanej współpracy przy „Kartelu”.

Dziękuję Matthew Snyderowi i Joemu Cohenowi z Creative Artists Agency.

Cynthii Swartz i Elizabeth Kushel za fantastyczną pracę przy „Savages”, „Kartelu” i teraz przy „Skorumpowanych”.

Mojemu prawnikowi Richardowi Hellerowi.

Johnowi Albu za przewodnictwo.

Dobrym ludziom z Solana Beach Coffee Company, Jeremy's on the Hill, Mr. Manitas, The Cooler, El Fuego i Drift Surf za to, że dbali o mój poziom kofeiny i zaopatrywali mnie w burritos na śniadania, burgery, nachos, rybne tacos, a także dostarczali nieco bardzo pożądanej rozrywki.

Dziękuję nieżyjącemu już Matty'emu Pavisowi za dobre serce i hojność, oraz mojemu *paisan* ze Staten Island, Steve'owi Pavisowi, za to, że poznał mnie ze swoim bratem.

Nieżyjącemu Bobowi Leuciemu, który zawsze był księciem.

Chciałbym też wyrazić wdzięczność wszystkim moim czytelnikom, dawnym i nowym, za wsparcie i serce, jakie okazywali mi przez lata. Bez nich nie miałbym pracy, którą kocham.

Mojej matce, Ottis Winslow, za to, że pozwalała mi korzystać ze swojej werandy i za wszystkie książki z bibliotek przez te wszystkie lata.

Mojemu synowi Thomasowi za encyklopedyczną znajomość tekstów hiphopowych i za wszystkie lata cierpliwości i wsparcia.

I jak zawsze, mojej cierplivej żonie Jean za niewzruszone wsparcie, a także za to, że zechciała wybrać się ze mną w tę i każdą inną podróż. Bardzo Cię kocham.

[1] Raymond Chandler „Żegnaj, lalczko”, tłum. Ewa Życieńska, Czytelnik, 1969.

[2] Amerykańska agencja rządowa zajmująca się kontrolą obrotu lekami oraz walką z narkotykami.

[3] Harlem Children's Zone.

[4] Biblia, Księga Amosa, 1, 10. Przekład Jakuba Wujka, Warszawa 1950 (reprint z edycji krakowskiej z 1599 roku).

Tytuł oryginału: The Force

Pierwsze wydanie: William Morrow, An Imprint of HarperCollins Publishers LLC, Nowy Jork, USA, 2017

Opracowanie graficzne okładki: Emotion Media

Projekt graficzny okładki: Ploy Siripant

Redaktor prowadzący: Grażyna Ordęga

Opracowanie redakcyjne: Jakub Sosnowski

Korekta: Sylwia Kozak-Śmiech

© 2017 by Samburu, Inc.

© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o., Warszawa 2017

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wydanie niniejsze zostało opublikowane na licencji HarperCollins Publishers, LLC.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych i umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

HarperCollins jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC. Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Ilustracja na okładce: Stephen Mulcahey/ALAMY STOCK PHOTO.

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Zdjęcie autora na okładce: Robert Gallagher.

HarperCollins Polska sp. z o.o.

02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

[www.harpercollins.pl](http://www.harpercollins.pl)

ISBN: 978-83-276-3064-3

Konwersja do formatu MOBI:

Legimi Sp. z o.o.

# Spis treści

Strona tytułowa

Dedykacja

Ostatni

Prolog

Część 1

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Część 2

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19



Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

### Część 3

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Podziękowania

Przypisy

Strona redakcyjna